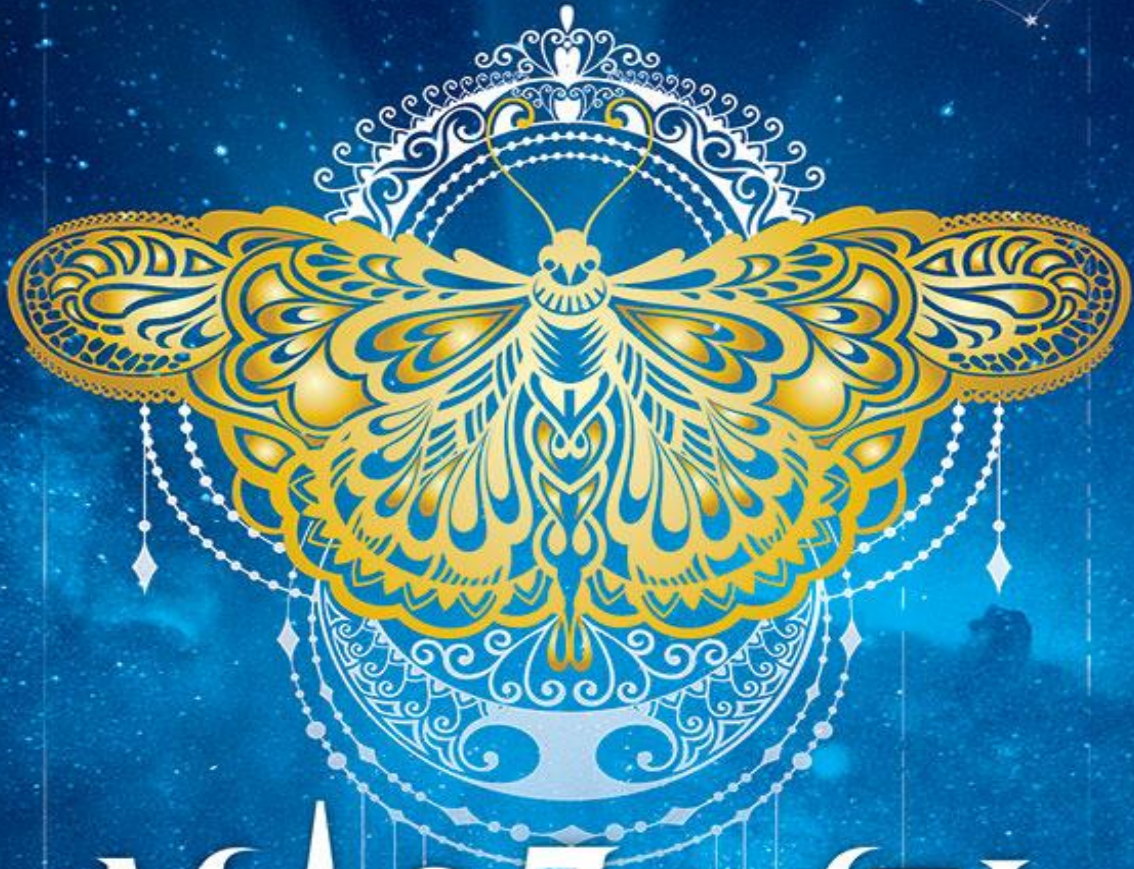


LAINI TAYLOR



# MARZYGISEL

STRANGE  
THE DREAMER

sqn  
imaginatio



LAINI TAYLOR

# MARZYGIEŁ

STRANGE  
THE DREAMER

tłumaczenie:  
Bartosz Czartoryski

KRAKÓW 2018



## Prolog

Drugiego Szabatu Dwunastego Księżyca na miasto Szloch spadło z nieba dziewczę.

Skórę miało niebieską, krew czerwoną.

Uderzyła o żelazną bramę, wyszczerbiając ją, i tak zawisła, z ciałem wręcz nieprawdopodobnie wygiętym, lecz nadal pełna gracji, niczym świątynna tancerka omdlała w ramionach kochanka. Kwiaton uprzejmie dał jej oparcie. Jego koniec sterczał z mostka dziewczyny, lśniąc jakoby ozdobna broszka. Przez chwilę dygotała, gdy opuszczał ją duch. Z jej długich włosów wypadły pąki etlingery wyniosłej.

Później ludzie mówili, że nie były to żadne kwiaty, lecz kolibrze serca.

Mówili też, że nie broczyła krwią, ale ją wypłakiwała. Że spoglądała na nich lubieżnie i oblizywała zęby, zwisając głową w dół i umierając. Że wymiotowała oślizłego węża, który uderzając o ziemię, zmienił się w smuzkę dymu. Że zleciało się pełno oszalałych ciem próbujących ją unieść.

I tylko to ostatnie było prawdą. Tylko to.

Nie dały jednak rady. Cmy były bowiem nie większe niż otwarte ze zdziwienia dziecięce buzie i mimo że nadleciały ich całe tuziny, zdołały tylko skubać ciemniejące kosmyki, aż ich skrzydełka się pouginały, ciężkie od krwi. Zwiało je razem z pąkami, kiedy przyszedł dławiący się żwirem podmuch znad ulicy. Ziemia dźwignęła się pod stopami. Niebo obróciło na swej osi. Dziwaczna jasność przebiła się przez kłęby dymu i lud Szlochu musiał zmrużyć oczy. Dmuchało piachem, grzało od osobliwego blasku, śmierdziało saletrą. Coś wybuchło. Mogli umrzeć wszyscy, wówczas i w tym właśnie miejscu, lecz odeszła tylko ta dziewczyna, wytrząśnięta z którejś sakiewki nieba.

Miała bose stopy, a usta utyłane śliwkami. Wysypywały się jej z kieszeni. Była młoda, urocza, jakby zdziwiona. Martwa.

I niebieska. Niebieska jak opale, bladoniebieska. Niebieska jak chaber albo skrzydła ważki, jak wiosenne – nie letnie – niebo.

Ktoś krzyknął, a krzyk ten sprowokował kolejne. Krzyczeli, lecz nie dlatego, że dziewczę było martwe, lecz dlatego, że było niebieskie, a w mieście Szloch miało to znaczenie. Nawet kiedy niebo przestało się obracać, a ziemia uspokoiła, wypluwając z siebie ostatni kłąb dymu, który prędko się rozwiął, krzyki nie ustały, jeden głos karmił drugi jak rozprzestrzeniający się powietrzem wirus.

Wreszcie zjawił się duch niebieskiej dziewczyny i przycupnął, osamotniony, na ostrej końcówce wystającego kwiatonu, cal nad nieruchomą piersią. Ze świstem wciągając powietrze, uniósł swą niewidzialną głowę, spojrział ze smutkiem i żalem na niebo.

Krzyki nie ustawały.

Po drugiej stronie miasta, na szczycie wypolerowanego na lustrzany błysk i bezszwowo złączonego metalowego monolitu poruszyła się, jakby wybudzona zamieszanem, statua i powoli podniosła swój ogromny, rogaty łeb.

## CZEŚĆ I

shrestha (shres·thuh) *rzeczownik*

Kiedy marzenie się spełnia, lecz nie marzącemu.

*Archaizm; pochodzi od imienia Shres, bękarciogo boga szczęścia, który, jak wierzono, zwykł karać wznoszących modły za zbyt skromne ofiary, ziszczając pragnienia ich serca komuś innemu.*

Imiona przepadają albo zostają zapomniane. Nikt nie przekonał się o tym w większym stopniu niż Lazlo Strange. Nosił niegdyś inne miano, ale zniknęło niczym pieśń, której nie miał już kto zanucić. Może było to stare nazwisko rodowe, pielęgnowane przez całe pokolenia? A może nadał mu je ktoś, kto go kochał? Lubił tak myśleć, choć nie miał zielonego pojęcia, jak ono brzmiało.

Został z „Lazlo” i „Strange”\*. Imię odziedziczył po pozbawionym języka wuju mnicha, zaś nazwisko to nadawano wszystkim znajdom w Królestwie Zosmy.

„Musiał go sobie wyciąć na więziennej galerze – powiedział mu brat Argos, kiedy chłopiec miał już tyle lat, aby podobną rzecz zrozumieć. – Był osobliwym, cichym człowiekiem, a jako że ty jesteś osobliwym i cichym dzieckiem, Lazlo wydało mi się odpowiednie. Musiałem tego roku nazwać niejedno dziecko i nadawałem im pierwsze lepsze imię, jakie przyszło mi do głowy. – Zamilkł, zamyślił się i po chwili dodał: – Nie spodziewałem się zresztą, że przeżyjesz”.

Tego roku Zosma padła krwawiąca na kolana, posłano bowiem całe zastępy na wojnę o nic. Rzecz jasna mordercza boginka nie zadowolila się samymi żołnierzami. Spalono pola, ograbiono osady. Bandy pozbawionych strzechy nad głową wieśniaków krążyły po ogołoczonej ziemi i walczyły z krukami o pokłosie. Zginęło tak wielu ludzi, że dwukołowymi wózkami, którymi zwykle odwożono złodziei na stryczek, wyładowywanymi całymi grupami sierot, rozwożono dzieci po klasztorach. Mnisi mówili potem, że przewożono je jak owce, bo maluchy nie miały świadomości swojego losu. Niektóre dorosły chociaż na tyle, że pamiętały swoje imiona, lecz Lazlo był wówczas niemowlęciem, i do tego schorowanym.

„Miałeś skórę szarą jak deszcz – opowiadał brat Argos. – Byłem pewny, że nie przeżyjesz, ale jadłeś i piłeś, a kolor powrócił ci na twarz. Nigdy nie płakałeś, ani razu, co wydawało się nienaturalne, lecz bynajmniej na to nie narzekaliśmy. Nie zostaliśmy mnichami, żeby robić za mamki”.

Na to Lazlo, jeszcze malec, odparł z duszą w ogniu: „A żadne z nas nie zostało dzieckiem, aby nas osierocono”.

Lecz był sierotą, i choć miał tendencję do bujania w obłokach, nigdy się co do tego nie łudził. Nawet będąc małym chłopcem, rozumiał, że nie dozna objawienia. Nikt po niego nie przyjdzie, więc nie dowie się, jak brzmiało jego prawdziwe imię.

Może dlatego tajemnica Szlochu pochłonęła go bez reszty.

A właściwie dwie: stara i nowa. Ta pierwsza otworzyła mu umysł, lecz to ta druga wgramoliła się do środka, zrobiła parę kółek i umościła się tam ze stęknieniem, niczym usatysfakcjonowany smok na wygodnym, nowym leżu. I tam owa tajemnica miała pozostać na całe lata; uparta enigma.

Tajemnica brała swe źródło z założenia, że imię może zostać nie tylko zagubione lub zapomniane, ale też skradzione.

Miał pięć lat, kiedy do tego doszło. Znajdował się pod opieką opactwa

zemoniańskiego i wymknął się do starego sadu, gdzie mógł się bawić samotnie, za towarzyszy mając jedynie owady i niewielkie latające ssaki. Wczesna zima zdążyła już ogołocić ciemne drzewa. Z każdym krokiem pod jego stopami chrzęścił szron, a oddechem jak towarzyski duszek wtórował obłok pary.

Rozdzwonił się Angelus, jego odlany z brązu głos spłynął nad owczarnię i przeleciał nad murami sadu powolnymi, gęstymi falami, wzywając na modły. Jeśli nie pójdzie, zabraknie go, a jeśli go zabraknie, zostanie wychłostany.

Nie poszedł.

Lazlo zawsze szukał sposobu, żeby się oddalić, przez co nogi nieustannie miał poznaczone czerwonymi pręgami od brzoźowej witki, która wisiała na haczyku z jego imieniem. Ale było warto choć na chwilę uwolnić się od mnichów, ich zakazów i nakazów, od życia, które uwierało jak ciasne buty.

Żeby móc się pobawić.

„Zawróćcie natychmiast, pókim dobry”, ostrzegał nieistniejących wrogów, ściskając w obu dłoniach swoje miecze, czyli oderwane od jabłonki czarne gałęzie, których twardsze końce oplótł sznurem, robiąc rękojeści. Był drobną, niedożywną znajdą z rankami na głowie, gdzie pozacinali go golący mu głowę mnisi, chcąc przegonić wszy, a jednak nosił się z niebywałą godnością i nie mogło być wątpliwości, że wtedy, w tamtej chwili, stał się wojownikiem. Nie jakimś tam zwyczajnym, ale Tizerkane'em, najmężniejszym, jaki kiedykolwiek stąpał po tej ziemi.

„Żaden obcy – mówił nieprzyjaciołom – nawet nie spojrzysz na zakazane miasto. Póki dycham, nikomu nigdy się to nie uda”.

A tamci odpowiadali:

„Czyli dopisało nam szczęście. – Wydawali się w świetle zmierzchu bardziej rzeczywiści niż mnisi, których modły niosły się od opactwa po zboczu wzgórza. – Bo już niedługo będziesz dychał”.

Lazlo zmrużył szare oczy.

„Myślicie, że mnie pokonacie?”

Czarne drzewa tańczyły. Jego oddech- duch rozwiął się na wietrze, ale rychło zastąpił go inny. Cień rzucany przez własne ciało wydawał mu się ogromny, a chłopięca wyobraźnia rozgrywała na nowo starodawne boje i snuła opowieści o skrzydlatych istotach, gorze przetopionych gnatów demona i mieście leżącym na jej dalekim podnóżu; mieście, które przykryły mgły czasu.

Oto stara tajemnica.

Poznał ją dzięki staremu mnichowi, bratu Cyrusowi, który był inwalidą. Na sierotach spoczął obowiązek przynoszenia mu posiłków. Nie był miłym człowiekiem. Nie zastępował nikomu dziadka i nie służył mentorską radą. Miał paskudny zwyczaj mocnego chwywania za nadgarstek tych, co mu usługiwali, i potrafił nie puszczać całymi godzinami, zmuszając do powtarzania nonsensownego katechizmu i spowiadania się z rozmaitych, dziwacznych przewinień, które malcy ledwie rozumieli, a co dopiero popełnili. Wszyscy chłopcy bali się brata Cyrusa i jego powykrzywianych rąk. Starsi, zamiast chronić młodszych, posyłali ich do jego komnaty w zastępstwie za siebie. Lazlo bał się mnicha tak samo jak pozostali, lecz zgłaszał się na ochotnika, żeby do niego chodzić.

Czemu?

Ano właśnie dlatego, że brat Cyrus znał różne historie. I to takie, na które w opactwie nie reagowano uśmiechem, bo w najlepszym razie rozpraszały słuchacza poszukującego duchowej kontemplacji, a w najgorszym wychwalały fałszywe bóstwa i namawiały do grzechu. Lecz brat Cyrus był ponad podobnymi ograniczeniami. Jego umysł dawno zerwał się z cumy. Wydawał się nieświadomy tego, gdzie się znajduje, i drażniła go wynikająca z tego konfuzja. Robił się czerwony na twarzy i zaciskał szczękę. Złorzeczył, aż mu ślina leciała z ust. Miewał jednak chwile spokoju i prześlizgiwał się wtedy przez jakieś piwniczne drzwi pamięci do chłopięcych czasów, kiedy babcia opowiadała mu historie. Nie mógł przypomnieć sobie imion innych mnichów ani nawet treści modlitw, które przez dziesiątki lat były jego powołaniem, lecz owe opowieści wylewały się z niego ciurkiem.

A Lazlo słuchał. Słuchał spragniony niczym kaktus spijający krople deszczu.

Na południowym wschodzie kontynentu Namaa – hen daleko za północnymi granicami Królestwa Zosmy – rozciągała się szeroka pustynia zwana Elmuthaleth. Sposób na przemierzenie jej był sztuką dopracowaną do perfekcji przez niewielu, a przez to zarazem pilnie strzeżonym sekretem. Gdzieś za całą tą pustką znajdowało się miasto, którego nikt nigdy nie widział. To zaledwie plotka, baśń, lecz jedna z tych plotek czy baśni, które rodziły cuda niesione przez pustynię na wielbłądzich grzbietach, rozpałały ludzką wyobraźnię na całym świecie.

Miasto nosiło pewną nazwę.

Ludzie, którzy jeździli na owych wielbłądach i przywozili cuda, wspominali ją, snuli także opowieści i zarówno one, jak i rzeczona nazwa pokonywały granice odległych krain, gdzie powoływały do życia wizje błyszczących kopuł i oswojonych białych jeleni, kobiet tak pięknych, że nie mieściło się to w głowie, mężczyzn z bułatami tak lśniącoymi, że potrafiły oślepić.

Tak było przez całe stulecia. Pałacowe skrzydła zastawiono cudami, a biblioteczne półki – historiami. Handlarze się bogacili. Podróżnicy mężnieli. Nareszcie sami poszli szukać zakazanego miasta. Żaden nie powrócił. *Faranji* – obcy – nie mieli tam bowiem wstępu i nawet ci, którzy pokonali Elmuthaleth, trafiali na katowski pieniek jako szpiedzy, co nie przeszkodziło kolejnym śmiałkom podejmować podobnych prób. Zabroń czegoś człowiekowi, a będzie tego pragnął jak zbawienia duszy; jeszcze bardziej, jeśli to coś jest źródłem niebywałego bogactwa.

Niejeden próbował.

Żaden nie powrócił.

Pustynny horyzont wypluwał słońce za słońcem i wydawało się, że nic się nigdy nie zmieni. Aż wreszcie, dwieście lat temu, karawany ustały. Wysunięte na zachód Elmuthaleth posterunki – jak chociażby Alkonost, ale i inne – wyglądały za rozmazanymi żarem wielbłądzimi sylwetkami, które mogły niebawem wychynąć z pustki, jak miały to w zwyczaju, lecz więcej się ich nie doczekano.

Choć czekano i czekano.

Czekano i czekano.

Nie wypatrzone już żadnego wielbłąda, żadnego człowieka, żadnego cudu i żadnej



opowieści. Nigdy. Nikt już nie opuścił zakazanego, niewidocznego, zagubionego miasta – i to właśnie tajemnica, która otworzyła umysł Lazła szeroko niczym rozwarte na oścież drzwi.

Co się wydarzyło? Czy miasto nadal istniało? Chciał się dowiedzieć wszystkiego. Nauczył się prowadzić brata Cyrusa do krainy marzeń i kolekcjonował jego historie jak skarby. Lazlo nie miał nic, ani jednego przedmiotu. Od najmłodszych lat opowieści te traktował jak kufry pełne złota.

Kopuły miasta, jak twierdził brat Cyrus, połączone były jedwabnymi wstęgami, a dzieci balansowały na nich niczym linoskoczkowie, przemieszczając się z pałacu do pałacu w pelerynach z kolorowych piór. Żadne drzwi nigdy nie były przed nimi zamknięte, nawet klatki pootwierano, aby ptaki mogły wylatywać i wracać do nich, kiedy im się żywnie podobało. Drzewa uginały się pod dorodnymi owocami, czekającymi tylko na zerwanie, a na kuchenne parapety wystawiano świeże ciasta i zapraszano do częstowania się.

Lazlo nigdy nie widział ciasta, chłostano go nawet za jedzenie leżących już na ziemi jabłek przeżartych przez robactwo. Wizje swobody i obfitości oczarowały go. Myśli te odrywały go od duchowej kontemplacji, jak spadająca gwiazda odciąga człowieka od bólu pustego brzucha. Marzył, że istnieje inne życie niż to, które zna. Lepsze, słodsze.

Ulice miasta, opowiadał brat Cyrus, wyłożono lazurytem, o którego nieskazitelną czystość skrzętnie dbano, aby nie pobrudził rozpuszczonych długich włosów tamtejszych dam, które ciągnęły swe kosmyki za sobą niczym całuny najczarniejszego jedwabiu. Pełne elegancji białe jelenie przechadzały się ulicami jak zwyczajni mieszkańcy, nazywano je spektralnymi, a substancję, z której wykonano ich poroże – spektralys, lub też lys – ceniono wyżej od złota. Gady dorównujące rozmiarem ludziom unosiły się na powierzchni rzeki. Wołano na nie svygatory, ich różowa krew była eliksirem nieśmiertelności. Żyły tam również ravidy – wielkie koty o kłach wielkich i ostrych jak kosy – oraz ptaki potrafiące udawać ludzkie głosy i skorpiony, których kolce jadowe dodawały człowiekowi nadludzkiej siły.

I byli jeszcze wojownicy – Tizerkane'owie. Posługiwali się bronią zwaną hreshtek, na tyle ostrą, żeby odciąć człowieka od jego cienia, trzymali skorpiony w mosiężnych klatkach przypiętych do pasa. Przed bitwą wkładali do środka palec przez specjalny otwór i dawali się ukłuć, by zyskać nowe pokłady siły.

„Myślicie, że mnie pokonacie?”, opierał się swoim wrogom z sadu Lazlo.

„Nas jest setka – odpowiadali tamci – a ty tylko jeden. Jak więc sądzisz?”

„Myślę, że powinniście byli wierzyć każdej opowieści, jaką słyszeliście o Tizerkane'ach, i czym prędzej brać nogi za pas!”

Śmiech wrogów rozbrzmiał jak trzeszczenie gałęzi i Lazlo nie miał wyjścia – musiał uciekać. Włożył palec do pokrzywionej, zbudowanej z kawałków drewna klatki majtającej się przy jego wykonanym ze sznura pasie. Nie siedział w niej jednak żaden skorpion, a zamarły z zimna żuk, ale chłopak i tak zazgrzytał zębami, kiedy ukłuło go wyimaginowane ostrze, i poczuł, że w jego żyłach płynie nadana mu przez jad moc. Uniósł wtedy swoje miecze, jego ramiona utworzyły literę V. Ryknął.

Wyryczał nazwę swego miasta. Była niczym grzmot, niczym lawina, niczym

bojowy okrzyk serafina, który przybył na skrzydłach z ognia i oczyścił świat z demonów. Jego wrogowie stanęli jak wryci, otworzyli ze zdziwienia usta. Jad śpiewał w ciele Lazła, chłopak stał się bowiem czymś więcej niż człowiekiem. Tajfunem. Bogiem. Próbowali dać mu odpór, lecz nie mogli się z nim równać. Jego miecze były piorunami. W okamgnieniu rozbroił ich wszystkich.

Podczas tych zabaw owe sny na jawie wydawały mu się tak żywe, że każdy powrót do rzeczywistości był szokiem. Gdyby mógł zobaczyć się z boku, ujrzałby małego chłopca wywijającego odłamany gałęziami i przebijającego się przez pokryte lodem liście orlicy, ledwie by się rozpoznał, bo tak wczuł się w rolę widzianego okiem wyobraźni wojownika, który dopiero co pokonał setkę nieprzyjaciół i posłał ich do domu ze spuszczonej głowami. Odchylił się i wydał z siebie tryumfalny okrzyk...

...tryumfalny okrzyk...

– Szloch!

Zamarł, zmieszany. Słowo to samo wyrwało mu się z ust niczym przekleństwo, zostawiając po sobie posmak łez. Chciał sięgnąć raz jeszcze po nazwę tamtego miasta, jak udało mu się to przed momentem, ale... zniknęła. Spróbował ponownie i znowu odszukał myślami tylko Szloch. Jakby wyciągał dłoń po kwiat, a kładziono by mu na niej ślimaka albo zużytą chusteczkę. Nie potrafił się otrząsnąć. Nie przestał próbować, lecz każdy kolejny raz był gorszy niż poprzedni. Sięgał po coś, co przecież wiedział, gdzieś tam było, lecz potrafił wyłowić jedynie paskudne słowo „Szloch”, jakby nasączone błędnością i wilgotne niczym złe sny, ciężkie od słonawego osadu. Wykrzywił z rozgoryczenia usta. Dopadły go zawroty głowy i szalona pewność, że mu ją odebrano.

Odebrano ją jego umysłowi.

Zrobiło mu się niedobrze. Poczuł się okradziony, umniejszony. Pobiegł po zboczu i przelazł przez niskie kamienne murki, pognął przez owczarnię, minął ogród i śmignął kruźgankiem, nadal ściskając swoje jabłoniowe miecze. Nikogo nie widział, ale jego widziano. Zakazywano biegać po klasztorze, poza tym nie stawiał się na nieszpórach. Pobiegł prosto do celi brata Cyrusa i zbudził go.

– Nazwa – powiedział, łapczywie chwytając dech. – Brak mi jej. Miasto z twoich opowieści... Zdradź mi jej nazwę!

Miał w głębi ducha pewność, że jej nie zapomniał, chodziło o coś innego, coś mrocznego i dziwnego, ale nadal istniała szansa, że może, ale tylko może, brat Cyrus mu ją przypomni i wszystko dobrze się skończy. Lecz mnich odparł:

– O czym mówisz, niemądry chłopcze? To Szloch...

Lazło zdążył jeszcze zobaczyć, jak na twarzy starca odmalowuje się niezrozumienie, zanim czyjaś dłoń zacisnęła się na kołnierzu jego koszuli i wyprowadziła go za drzwi.

– Zaczekaj – nalegał. – Proszę.

Bezskutecznie. Zaciągnięto go aż do gabinetu samego opata i kiedy znowu go chłostano, tym razem nie sięgnięto po brzoźową witkę, wiszącą jak zawsze obok pozostałych – do każdego chłopca przypisana była inna – lecz jeden z jego własnych mieczy. Nie był już Tizerkane'em. Aby go rozbroić, nie trzeba było setki mężów, wystarczył jeden mnich. Pobity własną bronią. Ależ z niego bohater. Utykał potem całymi

tygodniami i zabroniono mu odwiedzać brata Cyrusa, którego tak zaniepokoiła nagła wizyta, że musiano mu podać zioła uspokajające.

Nie było potem już żadnych opowieści czy ucieczek ani do sadu, ani nigdzie poza meandry wyobraźni. Mnisi trzymali go od tej pory krótko, zdecydowani ocalić Lazla i od grzechu, i od radości, która mimo że grzechem nie była, brukowała do niego drogę. Wciąż wyznaczano mu nowe zajęcia. Kiedy nie pracował, modlił się. Kiedy się nie modlił, pracował. Zawsze pod ostrożnym nadzorem, co miało zapobiegać jego zniknięciom niczym dzikiego zwierza pośród lasu. Nocą, wycieńczony jak grabarz, spał, ale był zbyt zmęczony, aby śnić. Zupełnie jakby wygaszono jego ogień, zduszono grzmot i powstrzymano lawinę, zdławiono okrzyk bojowy i tajfun.

Nazwa zapomnianego miasta też zniknęła. Lazlo zapamiętał jednak to specyficzne uczucie, które jawiło mu się niczym staranna kaligrafia, lecz litery wypisano jakby miodem i ani on, ani nikt inny nie potrafił zbliżyć się do tajemnicy. Nie chodziło jedynie o niego i brata Cyrusa. Gdzie tylko nazwa się niegdyś pojawiła – wydrukowana na grzbietach ksiąg z opowieściami, zapisana na pożółkłych kartach rejestrów handlowych prowadzonych przez kupców, którzy nabywali cuda, czy wpleciona pomiędzy wspomnienia każdego, kto ją usłyszał – została po prostu wymazana, a na jej miejscu pozostał Szloch.

Oto nowa tajemnica.

Nie wątpił, że była ona dziełem magii.

Lazlo dorósł.

Trudno było powiedzieć, że dopisało mu szczęście, ale na pewno mogło być gorzej.

Jeden z klasztorów, które przygarniały sieroty, prowadzili flagelanci. Mnisi z innego hodowali świnie. A opactwo zemonañskie słynęło ze swoich skryptoriów. Chłopców uczono kopiować – lecz nie czytać, tę sztukę młodzieniec musiał opanować samodzielnie – i tych, którzy wykazali się ponadprzeciętnymi umiejętnościami, szkolono na skrybów. Lazlo okazał się pojętnym uczniem, mógł resztę życia spędzić pochylony nad biurkiem, a szyja rosłaby mu naprzód, nie do góry, gdyby któregoś dnia bracia nie zatruli się nieświeżą rybą. Chłopak miał szczęście, a może zwyczajnie upomniało się o niego przeznaczenie, bo trzeba było przewieźć manuskrypty do Wielkiej Biblioteki Zosmy, którym to zadaniem, jako jedyne go zdrowego, obarczono właśnie jego.

Nigdy już nie powrócił do klasztoru.

Wielka Biblioteka nie była zwykłym miejscem, w którym przechowywano książki. Było to raczej ogrodzone murem miasto poetów, astronomów i myślicieli różnej maści. Znajdowały się tam nie tylko rozległe archiwa, ale i uniwersytet, laboratoria i szklarnie, sale operacyjne i pokoiki muzyczne, a nawet obserwatorium. Wszystko to mieściło się na terenie dawnego pałacu królewskiego, który przekazano Gildii Uczonych po tym, jak dziadek obecnej władczyni zbudował okazalszy, przycupnięty na Ederze zamek. Ulokowano go na szczycie górskiego pasma Zosimos, które przecinało miasto Zosma niczym rekinia płetwa, więc był widoczny z bardzo daleka.

Lazlo zachwycił się, kiedy tylko przeszedł przez bramy. Na widok Pawilonu Myśli otworzył szeroko usta. Była to dostojna sala balowa, gdzie zbierano teraz teksty filozoficzne. Kilkunastometrowe półki rosły aż do niezwykłego, malowanego sufitu, a książkowe grzbiety lśniły jaskrawymi kolorami skórzanych opraw. Złote stronice z błyskiem odbijały światło gław niczym ślepia dzikiego zwierzęcia. Gławy były idealnie wypolerowanymi kulami zwisającymi z góry całymi setkami i dającymi białe światło, czystsze niż to, które rzucały grubo ociosane czerwone kamienie, jakie mieli w klasztorze. Mężczyźni w szarych szatach wspinali się po drabinach na kółkach i wydawało się, że suną w powietrzu, zwoje łopotały za ich plecami niczym skrzydła, kiedy śmigali od półki do półki.

Strange nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby kiedykolwiek opuścić to miejsce. Poczul się tam jak wędrowiec w zaczarowanym lesie. Z każdym krokiem rzucony na niego urok działał mocniej i chłopak przekradał się coraz głębiej, od komnaty do komnaty, jakby prowadzony instynktem, aż zszedł po tajemnych schodach do podziemi, gdzie nieniekójone od lat księgi przykrywała gruba kołderka kurzu. Szturchnął je. Wydawało mu się, że je zbudził, a one obudziły jego.

Miał trzynaście lat i dawno już nie bawił się w Tizerkane'a. Dawno już nie bawił się w ogóle ani nawet w żaden inny sposób nie wystąpił z szeregu. Pod dachem klasztoru

był po prostu kolejną odzianą na szaro postacią idącą tam, gdzie mu kazano, pracującą, modlącą się, śpiewającą, modlącą się, pracującą, modlącą się i czasem śpiącą. Niewielu jego braci pamiętało, czym jest dzikość. Myślał, że z niego również ją wyrugowano, ale jedynie ukryła się głębiej. Opowiadane mu historie nadal się w nim gnieździły, każde słowo usłyszane od brata Cyrusa wciąż w nim tkwiło. Pielęgnował je jak niewielką sztabkę złota ukrytą w zakamarkach myśli.

Tego dnia dorzucił kolejne. Dużo. Księgi schowane pod kurzem kryły opowieści. Baśnie i bajki, mity i legendy z całego świata. Pochodziły sprzed stuleci, ale były też i dawniejsze, całe regały – całe piękne regały – opowieści o Szlochu. Podniósł pierwszy tom z czcig, jaką nigdy nie obdarzał nawet świętych pism klasztornych, zdmuchnął kurz i zaczął czytać.

Kilka dni później znalazł go starszy bibliotekarz, szukał go od jakiegoś czasu. Z kieszeni szat mężczyzny wystawał list od opata. Gdyby nie to, Lazlo mógłby zostać tam na długie lata i żyć niczym w jaskini. Może na nowo by zdziczał. O tak, dziki chłopiec z Wielkiej Biblioteki, obeznany z trzema martwymi językami i wszystkimi historiami, jakie w nich spisano, obszarpany niczym żebrak i pałający się po alejkach Grymasu.

Przyjęto go na ucznia.

„Biblioteka ma swój rozum – powiedział mu stary mistrz Hyrrokkin, prowadząc go z powrotem po tajemnych schodach. – Kiedy wykrada chłopaka, możemy go zatrzymać”.

Lazlo nie mógł należeć do tego miejsca bardziej, nawet gdyby sam był książką. Mijały dni, potem miesiące i lata, aż stał się mężczyzną; rzadko widywano go w innej pozycji niż z nosem między stronicami. Czytał, idąc. Czytał, jedząc. Pozostali bibliotekarze podejrzewali, że czytał, nawet kiedy spał, albo że w ogóle nie sypiał. Gdy unosił wzrok znad lektury, sprawiał wrażenie zbudzonego ze snu.

„Strange marzyciel”, mówili na niego. „Ten marzyciel, Strange”.

Czasem wchodził w ściany, zaczytany. Jego ulubione książki pochodziły z owej piwnicy, do której nikomu nawet nie chciało się schodzić. Błądził z głową pełną mitologicznych opowieści, zawsze zatopiony w poznawaniu kolejnej. Demony i skrzydlaci mężowie, serafiny i zjawy – uwielbiał je wszystkie. Wierzył w magię gorliwie jak dziecko, a w duchy naiwnie jak wieśniak. Pierwszego dnia pracy złamał sobie nos, kiedy spadło na niego tomiszczce z baśniami, i to, jak powtarzano, mówiło wszystko, co chciałoby się wiedzieć o *nomen omen* nieznanym Lazlo Strange’u: głowa w chmurach, własny świat, bajeczki i cuda-wianki.

O tym myśleli jego towarzysze, nazywając go marzycielem, i w gruncie rzeczy nie mylili się, lecz nie zauważali sprawy najważniejszej. Lazlo był marzycielem w większym jeszcze stopniu, niż sądzili. Miał marzenie, które go prowadziło i nigdy nie opuszczało, stało się częścią jego tożsamości niczym druga dusza pod skórą. Składał się na nią krajobraz jego umysłu, a był on rozległy, śmiały i niezwykły, budził zachwyt, podobnie jak rzeczony marzenie. Zbyt śmiały, zbyt niezwykły dla takich jak on. Zdawał sobie z tego sprawę, lecz cóż mógł poradzić, skoro to marzenie wybiera marzącego, a nie odwrotnie.

– Co czytasz, Strange? – zapytał mistrz Hyrrokkin, wyrastając za jego biurkiem jak spod ziemi. – Mam nadzieję, że list miłosny.

Stary bibliotekarz wyrażał to swoje życzenie częściej, niż wydawało się to

przyzwyczajony, niezrażony odpowiedzią, która niezmiennie brzmiała tak samo – „Nie”. Lazlo już miał powiedzieć to co zawsze, ale zadumał się.

– Poniekąd – mruknął i wyciągnął ku mężczyźnie poślizgniętą ze starości, skruszałą kartkę.

Promyki nadziei rozświetliły blaknące brązowe oczy mistrza Hyrrokkina, lecz kiedy poprawił okulary na nosie i spojrzął na zapisaną kartkę, na powrót zgasły.

– To chyba pokwitowanie – zdziwił się.

– Ach. Ale za co?

Sceptyczny mistrz Hyrrokkin zmrużył oczy i zaśmiał się, co zwróciło uwagę wszystkich akurat pograżonych w lekturze w wielkim, cichym Pawilonie Myśli. Uczniowie w szkarłatnych szatach siedzieli przygarbieni nad długimi stołami i spoglądali z nadzwojowcami czy zwojów, ich spojrzenia pełne były niezadowolenia. Mistrz Hyrrokkin skinął im przepaszająco głową i oddał kartkę Strange'owi – stary rachunek na sporą dostawę afrodyzjaku wystawiony dawno zmarłemu królowi.

– Zatem Jurnym Królem nazywano go nie z powodu ton poezji, które spłodził, hę? Wytlumacz mi lepiej, co robisz? Nie to, na co wygląda, prawda? Na litość boską, chłopcze, powiedz, że nie archiwizujesz pokwitowań, kiedy masz wolny dzień.

Lazlo nie był już tym samym chłopcem, nie pozostał w nim najmniejszy nawet ślad – przynajmniej na skórze – po ogolonym, drobnym znajdzie z ranami na głowie. Urósł wysoki, zapuszczał włosy, odkąd umknął przed mnichami i ich tępymi brzytwami. Ciemne, gęste pukle związywał z tyłu introligatorskim sznurkiem i niewiele o nich myślał. Jego brwi stały się jak włosy – ciemne i gęste, a rysy twarzy mocne. „Grubo ciosane”, ktoś mógłby powiedzieć. Może nawet „zbójce”, szczególnie w towarzystwie złamanego nosa, który odcinał się od profilu pod kątem ostrym, a od przodu wyginał się wyraźnie na lewą stronę. Lazlo miał surowy, niedbały wygląd i tak też brzmiał. W jego męskim, głębokim głosie próżno było się doszukiwać jakiegokolwiek gładkości, jakby zbyt długo leżał na dworze. Przy tej chropowatej powierzchowności oczy marzyciela wydawały się nie na miejscu: szare, szerokie i szczere.

Lazlo nie spojrzął nawet na mistrza Hyrrokkina.

– Oczywiście, że nie – odparł nieprzekonująco. – Cóż za szalenie porządkowałyby jakieś tam pokwitowania w wolnym czasie?

– Czyli co robiłeś?

Lazlo wzruszył ramionami.

– Klucznik znalazł w piwnicy stare pudło z rachunkami. Tylko rzucam okiem.

– Cóż za marnowanie młodości. Ile masz lat? Osiemnaście?

– Dwadzieścia – przypomniał mu Lazlo, choć nie był pewien, czy to prawda, bo sam, jako chłopiec, wybrał sobie dzień narodzin.

– Ty również tak zmarnowałeś swoje młode lata.

– Dlatego mówię ku przestrodze! Popatrz na mnie.

Lazlo podniósł wzrok. Zobaczył łagodną i przygarbioną istotę człekopodobną, z miękkimi niczym dmuchawiec włosami oraz brwiami pokrywającymi znaczną część twarzy i to pod takim kątem, że wystawały spod nich jedynie ostry, niewielki nos i okrągłe okulary. Pomyślał, że mistrz wygląda jak sówka, która wypadła z gniazda.



– Chcesz doczekać końca swoich dni jako niedowidzący troglodyta przedzierający się przez biblioteczne trzewia? – zapytał staruszek. – Wyjdź na zewnątrz, Strange. Pooddychaj powietrzem i pooglądaj świat. Mężczyzna powinien mieć zmarszczki od spoglądania za horyzont, a nie tylko od ślęczenia nad książkami po ciemku.

– Co to jest horyzont? – zapytał Lazlo z kamienną miną. – Coś jak koniec półek z książkami?

– Nie – odparł mistrz Hyrrokkin. – Nic podobnego.

Lazlo uśmiechnął się i powrócił do pokwitowań – już samo to słowo brzmiało nudno, nawet dla niego. Miał przed sobą stare listy przewozowe, co wydawało się odrobinę bardziej interesujące, jeszcze z czasu, kiedy pałac nadal był królewską rezydencją i dobra przyływały tu ze wszystkich stron świata. Ich jednak nie archiwizował. Przeglądał jedynie, chcąc się przyjrzeć zawijasom szczególnie rzadkiego alfabetu. Szukał, jak zawsze, choćby tylko podświadomie, jakiegoś tropu Niewidocznego Miasta – tak zaczął o nim myśleć, bo Szloch nadal przypominał mu o smaku łez.

– Za chwilę pójdę – zapewnił mistrza Hyrrokkina.

Choć na to nie wyglądało, wziął sobie słowa starego do serca. Nie miał zamiaru spędzić całego życia za bibliotecznymi murami – niedowidzący czy z sokolim wzrokiem – i chciał zasłużyć na zmarszczki od spoglądania za horyzont. Lecz ten, do którego pragnął dotrzeć, rozciągał się bardzo, ale to bardzo daleko.

I tak się składało, że jego widok był zakazany.

Mistrz Hyrrokkin gestem wskazał na okno.

– Jesteś chociaż, mam nadzieję, świadomy, że mamy lato? – Kiedy Lazlo nie odpowiedział, mężczyzna dodał: – Duża pomarańczowa kula na niebie, głębsze dekolty u płci pięknej. Czy coś ci to mówi? – Nadal nie doczekał się reakcji. – Strange?

– Co? – Lazlo uniósł głowę; nie usłyszał ani słowa, znalazł bowiem to, czego szukał, rachunki z Niewidocznego Miasta. Cały plik!

Stary bibliotekarz wydał z siebie teatralne westchnięcie.

– Rób, jak sobie chcesz – burknął, na poły zrezygnowany, na poły jakby rzucał klątwę. – Tylko uważaj, bo książki może i są nieśmiertelne, ale ty nie jesteś. Zejdiesz któregoś poranka do podziemi, a zanim wejdiesz z powrotem, będziesz miał brodę do pasa i zorientujesz się, że nigdy nawet nie ułożyłeś wierszyka dla dziewczyny, którą poznałeś na lodowisku w Ederze.

– To tam się poznaje dziewczęta? – zapytał Lazlo, nie do końca żartując. – Rzeka nie zamarznie jeszcze przez najbliższych parę miesięcy. Mam czas zebrać się na odwagę.

– E tam! Dziewczyny się nie hibernują. Idź już. Nazrywaj po drodze kwiatków i daj którejs. To naprawdę aż tak proste. Szukaj szczerych oczu i szerokich bioder, słyszysz? Bioder, chłopaku. Bo nie zna życia ten, kto nie złożył głowy na miłych, miękkich...

Szczyśliwie dla Lazlo wywód mistrza został przerwany krokami nadchodzącego uczonego.

Strange nie potrafiłby wydukać słowa i nie zaczerwienić się przy dziewczynie, a co dopiero złożyć głowy na miłym, miękkim czymkolwiek. Poznał jedynie opactwo i bibliotekę, ledwie widział jakąkolwiek kobietę, a żeby jeszcze młodą. I nawet jakby miał choć mgliste pojęcie, co mógłby do takiej powiedzieć, nie spodziewał się, że którakolwiek

spojrzałaby łaskawym okiem na zaloty młodszego bibliotekarza bez grosza przy duszy, ale z krzywym nosem i sromotnym nazwiskiem.

Kiedy uczyony przeszedł obok nich, mistrz Hyrrokkin podjął przerwany wykład.

– Życie samo do ciebie nie przyjdzie, chłopcze – powiedział. – To ty musisz przyjść do niego. I zapamiętaj sobie: duch marnieje, kiedy człowiek odrzuca swoje pasje.

– Mojemu duchowi nic nie jest.

– Smuć mnie twoje słowa, młodzieńcze. Twój duch powinien tętnić życiem!

Nie chodziło o duszę, o nic tak abstrakcyjnego, ale ducha ciała – przejrzystą ciecz pompowaną przez drugie serce osobną siecią naczyń, subtelną i bardziej tajemniczą niż układ krwionośny. Jego funkcja nie została jeszcze zrozumiana i określona przez naukę. Człowiek mógł żyć, nawet jeśli drugie serce by mu stało, a duch stwardniał w żyłach. Ale łączyło się ono z żywotnością lub, jak mówił mistrz Hyrrokkin, pasją. Ludzie pozbawieni go nie okazywali żadnych emocji, zachowywali się, jakby trwali w letargu. Innymi słowy – byli pozbawieni ducha.

– Skup się na swoim duchu – odparł Lazlo. – Nie jest jeszcze dla ciebie za późno, na pewno niejedna wdowa byłaby szczęśliwa, gdyby zainteresował się nią romantyczny troglodyta.

– Nie bądź impertynentem.

– Nie bądź impotentem.

Mistrz Hyrrokkin odetchnął ciężko.

– Tęsknię za czasami, kiedy się mnie bałeś. Choć nie trwało to długo.

Lazlo wybuchnął śmiechem.

– Możesz za to podziękować mnichom. Nauczyli mnie bać się starszych. Nauczyli mnie też, jak przestać się ich bać, za co zawsze będę im wdzięczny – powiedział to z uczuciem i nie mogąc się powstrzymać, spojrzał na nadal przerzucane przez siebie papiery, co zauważył bibliotekarz.

– Dobra, dobra. – Mężczyzna wydał z siebie zmęczone westchnienie. – Baw się dobrze ze swoimi rachunkami. Nie poddam się jednak tak łatwo. Bo jaki jest sens bycia starym, skoro nie można nękać młodziaka licznymi historyjkami świadczącymi o niemałej mądrości?

– A jaki jest sens bycia młodym, skoro nie można ignorować wszystkich rad?

Mistrz Hyrrokkin burknął coś pod nosem i spojrzał na stos papierzyśk, który przed momentem przyniesiono mu na biurko. Lazlo wpatrywał się w swoje drobne znalezisko. Pawilon Myśli spowiała cisza, którą zakłócały jedynie skrzypienie kółek od drabin i szum przewracanych stronic. Nagle rozdarł ją niski i powolny gwizd Lazla – zrozumiał, że jego odkrycie nie było takie drobne, jak sądził.

Mistrz Hyrrokkin uniósł głowę znad biurka.

– Kolejne eliksiry miłości?

– Nie – odparł Lazlo. – Spójrz.

Stary poprawił okulary na nosie i spojrzał na papierek.

– No tak – powiedział cierpiętniczym głosem. – Tajemnice Szlochu. Mogłem się spodziewać.

Szloch. Słyszając tę nazwę, Lazlo poczuł nieprzyjemne ukłucie za gałkami ocznymi.

Nie zdziwił go protekcyjny ton, jaki usłyszał. Zwykle zachowywał swoje fascynacje dla siebie. Nikt ich nie rozumiał, tym bardziej nikt ich nie podzielał. Niegdyś, dawno, dawno temu, ludzi ciekawiły tajemnice otaczające Niewidoczne Miasto i jego losy, lecz po dwustu latach traktowano je jak baśnie i niewiele ponadto. Jeśli zaś chodziło o niesamowitość jego zapomnianej nazwy, chyba nikomu nie spędzało to snu z powiek. Tylko Lazlo wyczuł tę zmianę. Pozostali dowiedzieli się o tym w późniejszym czasie poprzez powolny strumyczek plotek i wydawało im się, że to ledwie coś, co im umknęło. Ktoś czasem szeptał o spisku czy sztuczce, ale zwykle dochodzono do konkluzji, która zatrzaskiwała dociekliwą część umysłu, że to zawsze był Szloch i wszystkie głosy twierdzące inaczej rozsiewają bzdury, taka gadka szmatka. Innego sensownego rozwiązania nie widzieli.

Bo przecież to nie magia.

Lazlo domyślał się, że mistrz Hyrokkin nie był tym zainteresowany, ale poniosła go ekscytacja.

– Sam zobacz – powiedział i podsunął papier staruszkowi pod nos.

Bibliotekarz przeczytał kartkę, ale najwyraźniej zawarta na niej treść mu nie zaimponowała.

– I co?

I co? Pośród wypisanych dóbr – takich jak przyprawy, jedwabie i tym podobne – znalazła się linijka o cukierkach z krwią svygatora. Aż do teraz Lazlo znał ją tylko z opowieści, uważano takie rzeczy za element folkloru, nie dowierzano, że rzeczony stwory mogły w ogóle istnieć, a co dopiero dawać nieśmiertelność za sprawą różowej krwi. A jednak dokument potwierdzał, że została zamówiona i opłacona przez królewski ród Zosmy. Może znajdzie też dowód zakupu smoczyczych łusek?

– Krwawe cukierki – powiedział, wskazując wpis palcem. – Nie widzisz? To prawda.

Mistrz Hyrokkin prychnął.

– I to ma niby być potwierdzenie? Gdyby tak było, ten, kto zjadł cukierka, nadal by żył i sam ci o tym opowiedział.

– Niekoniecznie – spierał się Lazlo. – Opowieści mówią, że nieśmiertelność trwała, dopóty jadło się krew, a przecież dostawy ustały. – Zwrócił uwagę starego na datę. – Ma dwieście lat. Może przyszły z ostatnią karawaną.

Ostatnią, jaka kiedykolwiek przebyła przez Elmuthaleth.

Lazlo wyobrażał sobie rozległą pustynię i budzące się o świcie słońce. Jak zwykle wszystko, co dotyczyło tajemnicy, przeszywało go dreszczem ekscytacji, a serce biło mu szybciej, niczym bęben; nawet dwa serca, to od krwi, i to od ducha – ich łomotanie przeplatało się ze sobą, jakby rytm wybijały różne ręce.

Kiedy pierwszy raz stanął na progu biblioteki, myślał, że pozna tam wszystkie odpowiedzi. I faktycznie, znalazł mnóstwo opowieści zawartych w zakurzonych księgach, lecz to nie wystarczyło. Jak sądził, cała historia świata mieściła się pomiędzy skórzanymi okładkami czy na zwojach i trwała ustawiona na regałach tego cudownego miejsca. Naiwnie wierzył, że muszą się tam znajdować również tajemnice czekające na tych, którzy będą mieli chęć i cierpliwość je odszukać. On miał jedno i drugie. Szukał

siedem lat. Przeglądał stare dzienniki i stopy korespondencji, raporty szpiegowskie, mapy i traktaty, rejestry handlowe i sprawozdania królewskich sekretarzy, wszystko, co tylko zdołał wygrzebać. A im głębiej kopał, tym wyższa rosła sterta zgromadzonych przez niego skarbów. Wreszcie zrobiła się tak duża, że wypełniła cały jego umysł.

I przelała się na papier. Kiedy dorastał w opactwie, jego jedynymi skarbami były opowieści. O ileż stał się bogatszy teraz, kiedy miał książki!

Jego książki – jego słowa, napisane jego ręką na kartach powiązanych przez niego starannymi niciami – bez złotych stronic i skórzanych opraw jak tomiszczka z Pawilonu Myśli były raczej skromne. Z początku wyławiał papier z koszy, połowicznie zapisane arkusze wyrzucone przez nieekonomicznych uczonych, i radził sobie ze skrawkami nici introligatorskiej z książkowej infirmerii, gdzie dokonywano niezbędnych napraw. O atrament było ciężko, ale tutaj też uczeni przychodzili nieświadomie z pomocą, bo pozbywali się kałamarzy nadal wypełnionych tuszem na grubość małego palca. Musiał go co prawda rozwadniać, dlatego najwcześniejsze woluminy zapisywał bladymi słowami-zjawami, dopiero później nędzne grosze, jakie zarabiał, pozwoliły mu chociaż na zakup atramentu. Miał sporo książek. Ustawił je na okiennym parapecie swojego malutkiego pokoiku. Mieściły w sobie siedem lat poszukiwań: najmniejsze szczegóły i najdrobniejsze ciekawostki dotyczące Szlochu i otaczających go tajemnic.

Brakowało jedynie odpowiedzi.

Lazlo pogodził się z tym, że ich nie znajdzie, na pewno nie na żadnej z szerokich półek. Bo właściwie czego się spodziewał? Czy myślał, że biblioteka zatrudnia wszechobecne wróżki, które zapisują wszystko, co się dzieje na świecie, nieważne, jak daleko stąd i jak bardzo by to było tajemnicze? Ano nie. Jeśli miał gdziekolwiek znaleźć swoje odpowiedzi, to raczej na południowym wschodzie kontynentu Namaa, na odległym krańcu Elmuthaleth, skąd nikt nigdy nie powrócił.

Czy Niewidoczne Miasto nadal tam stało? Czy tamtejsi mieszkańcy jeszcze żyli? Co wydarzyło się dwieście lat temu? Co wydarzyło się piętnaście lat temu? Jakaż moc potrafi wymazać nazwę miasta z ludzkiej świadomości?

Lazlo chciał tam pójść i się przekonać. Takie miał marzenie, śmiałe i cudowne: pójść tam, przez pół świata, i samemu rozwiązać tajemnicę.

Wydawało się to oczywiście niemożliwe. Ale czy kiedykolwiek powstrzymało to jakiegoś marzyciela?

Mistrz Hyrokkin pozostawał nieczuły na zachwyty Lazla.

– To tylko opowieści, chłopcze. Wymysły i fantazje. Nie istniał żaden eliksir nieśmiertelności. To pewnie najzwyczajniejsza krew z cukrem.

– Ale spójrz na cenę – upierał się Lazlo. – Płaciliby tyle za krew z cukrem?

– Skąd możemy wiedzieć, ile i za co są w stanie zapłacić królowie? To dowód na nic poza naiwnością bogacza – odparł bibliotekarz.

Ekscytacja Lazla zaczęła zanikać.

– Masz rację.

Rachunek potwierdzał jedynie, że zakupiono „krwawy cukierek”. I tyle. Nie miał jednak zamiaru się poddać.

– Tyle że ten kwit sugeruje także, że svygatory istniały naprawdę. – Zamilkł. – Chyba.

– Nawet jeśli istniały – powiedział mistrz Hyrokkin – nigdy się tego nie dowiemy na pewno. – Położył dłoń na ramieniu chłopaka. – Nie jesteś już dzieckiem. Najwyższy czas sobie odpuścić. – Jego delikatny uśmiech ukrył się pomiędzy puszystymi jak dmuchawiec wąsami opadającymi mu na brodę, usta starego przypominały ledwie zmarszczkę. – I tak masz dość słabo płatnej pracy. Po co sobie dokładać zadań? Nikt ci za to nie podziękuje. Nasza praca polega na odnajdywaniu książek. Resztę zostaw uczonym.

Mistrz chciał dobrze. Lazlo zdawał sobie z tego sprawę. Mężczyzna żył i oddychał biblioteką. System kastowy wydawał mu się zasadą, na której opiera się idealny świat. Za tymi murami uczeni byli arystokracją, a wszyscy inni ich sługami, szczególnie bibliotekarze, których dyrektywa to pomagać im w ważnej pracy. Uczeni kończyli uniwersytety. Bibliotekarze nie. Może i mieli do tego predyspozycje, lecz nie złoto, by zapłacić za naukę. Bibliotekarski staż stanowił jedyną naukę, jaką odbierali, choć zależnie od pojętności bibliotekarza mogli przewyższyć uczonych. Ale lokaj z lepszymi manierami od swojego pana nadal pozostawał lokajem. Podobnie działo się z bibliotekarzami. Nie zakazywano im studiowania książek, póki nie przeszkadzało im to w obowiązkach, lecz ogólnie przyjęto, że robią to w ramach kształcenia osobistego i nie dołożą cegiełki do wiedzy o świecie.

– Czemu to uczeni spijają całą śmietankę? – zapytał Lazlo. – Poza tym żaden z nich nie zajmuje się Szlochem, więc nie wchodzę im w drogę.

– Szloch to martwy temat – odparł mistrz Hyrokkin. – Uczeni zajmują się ważnymi sprawami. – Kiedy dobitnie wypowiadał te słowa, jakby na ich potwierdzenie otwarły się drzwi i do czytelni wkroczył uczony.

Pawilon Myśli służył niegdyś za salę balową, dlatego tamtejsze drzwi były dwukrotnie wyższe i dwukrotnie szersze od innych. Zwykle uczeni otwierali więc tylko jedno skrzydło i cichutko je za sobą zamykali, ale nie ten. Mężczyzna położył dłoń na

masywnych drzwiach i popchnął je, a zanim uderzyły o ścianę i zatrzęsły się, zdążył już przestąpić próg, stukając obcasami o marmurową podłogę. Stawiał długie, pewne kroki, których nie spowalniały szeleszczące szaty. Gardził insygniami i nosił je tylko podczas wyjątkowych, ceremonialnych okazji, zwykle wybierał gustowne płaszcze i bryczesy, zakładał wysokie, czarne buty jeździeckie i nie rozstawał się z przytroczoną do boku szablą. Swoją przynależność do grona uczonych zaznaczał jedynie szkarłatną apaszką, którą nosił zawsze w tym kolorze. Nie należał do zwyczajnych bywalców biblioteki. Był najbardziej znaną postacią w Zosmie, nie licząc królowej i arcykapłana, i uznawano go za apoteozę uczonego, z pewnością nikt nie mógł mu dorównać popularnością. To sam Thyon Nero, młody, sławny i piękny alchemik, drugi syn diuka Vaalu, chrześniak królowej.

Uczeni unieśli wzrok, lecz na ich twarzach nie gościła irytacja, rozglądali się z zaskoczeniem, które szybko zastąpione zostało przez zazdrość albo przymilne grymasy. Mistrz Hyrokkin spoglądał na uczonego z czystym uwielbieniem i rozmiłowanym spojrzeniem. Niegdyś i Lazlo by się tak zachował, ale już od dawna tego nie robił. Nikt jednak na niego nie patrzył, więc nikt nie zauważył, jak zamiera niczym ofiara dzikiego zwierza i wydaje się kurczyć w miarę zbliżania się złotego chrześniaka. Jego rażny krok niósł go prosto do biurka Lazla, do stanowiska zapytań, co było cokolwiek niecodziennym widokiem. Takie sprawy zwykle załatwiali asystenci Thyona Nero.

– Mój panie – powiedział mistrz Hyrokkin, prostując się na tyle, na ile pozwalały mu stare plecy. – Jakże się cieszę, że u nas gościsz. Nie musiałeś się jednak kłopotać osobiście, z pewnością masz pilniejsze sprawy na głowie niż odwiedzać bibliotekę.

Stary rzucił spojrzenie z ukosa do Lazla, chcąc, jakby chłopak nie zrozumiał tego dostatecznie dobitnie poprzednim razem, podkreślić, że oto przykład uczonego zajmującego się „ważnymi sprawami”.

A jakież to ważne sprawy zaprzętały myśli Thyona Nero?

Nic mniej istotnego niż fundamenty wszechświata. Konkretniej azoth, tajemna esencja, której alchemicy poszukiwali przez całe stulecia. Jemu udało się wydestylować ją w wieku zaledwie lat szesnastu, co umożliwiło prawdziwe cuda, a pośród nich ziszczenie największego pragnienia tej starożytnej sztuki: przemianę ołowiu w złoto.

– Miło z twojej strony, Hyrokkinie – powiedział posagowy uczonego o boskim obliczu i takowym umyśle – ale uznałem, że lepiej przyjdę sam – podał mu zwinięty formularz – i upewnij się, czy nie popełniono żadnej pomyłki.

– Pomyłki? Ależ nie było takiej potrzeby, mój panie – zapewnił mistrz Hyrokkin. – Z pańskimi prośbami nigdy sobie na nie pozwalamy, bez względu na to, kto przynosi księgi. Jesteśmy przecież tutaj, by służyć, a nie sprawiać kłopoty.

– Miło mi to słyszeć – odparł Nero z uśmiechem, który salonowe bywalczyńskie przyprawiał o niemalże zakłopotanie.

Uczonego spojrzano na Lazla. Chłopak zupełnie się tego nie spodziewał. Jakby nagle zanurzył się w lodowatej wodzie. Nie ruszył się, odkąd otworzyły się drzwi. Teraz tak właśnie reagował na obecność Thyona Nero: zaczynał się i stawał niewidzialnym; zresztą alchemik zachowywał się, jakby istotnie tak było. Lazlo przywykł do niemalże ogłuszającej ciszy i chłodnego spojrzenia, które prześlizgiwało się po nim, jakby nie



istniał, dlatego też zerknięcie to zaszokowało go, a dołączone do niego słowa wprawiły go w jeszcze większe osłupienie.

– Prawda, Strange? Jesteś tu, żeby służyć czy sprawiać kłopoty? – powiedział Nero przyjaznym tonem, ale błękitne oczy emanowały jasnością, która wypełniła chłopaka trwogą.

– Żeby służyć, panie – odparł głosem kruchym jak papiery, które trzymał w rękach.

– Dobrze – mruknął Nero, nie spuszczać z niego oczu.

Lazlo ledwie się powstrzymał, żeby nie odwrócić wzroku. Gapili się tak na siebie, uczony i bibliotekarz, a łącząca ich tajemnica płonęła niczym alchemiczny ogień. Nawet stary mistrz Hyrokkin to wyczuł i spoglądał z konfuzją na obu młodych mężczyzn. Nero wyglądał jak książkę wyjętą z sagi opowiadanej przy ognisku, otoczony nimbem wyniosłości. Skóra Lazla nie była szara, odkąd dorósł, lecz taki kolor miały jego bibliotekarskie szaty oraz oczy, jakby barwa ta stanowiła jego przeznaczenie. Był cichy i potrafił przemykać niezauważenie jak cień. Oczy Thyona płonęły za to niczym ogniki. Cała jego postać, elegancka i rześka, kojarzyła się ze świeżo wyprasowanym jedwabiem. Codziennie golił go balwierz ostrzoną regularnie brzytwą, a krawcowi płacił tyle, że dałoby się za to wyżywić całą osadę. Lazlo wydawał się nieoszlifowany – jeśli Nero był jedwabiem, to on jutą. Jego szaty nie były nowe, nawet kiedy dostał je przed rokiem, do tego na tyle za duże, że nie dało się nawet wobrazić pod nimi kształtu jego sylwetki. Ich krawędzie poszarpały się od ciągłego szurania po chropowatych kamiennych schodach. Byli tego samego wzrostu, lecz Nero prężył się, jakby pozował rzeźbiarzowi, a Lazlo garbił się, jakby czekał na cios.

Czego chciał Nero?

Odwrócił się do starego. Uniósł głowę, jakby był świadomy perfekcyjnej linii swojego podbródka. Kiedy mówił do kogoś niższego, jedynie spuszczał wzrok. Podał mu formularz.

Mistrz Hyrokkin rozwinął papier, poprawił okulary i przeczytał. Po czym... ponownie poprawił okulary i przeczytał raz jeszcze. Spojrzał na Thyona. Potem na Lazla. I wtedy chłopak zrozumiał. Domyślił się, o co prosi Nero. Zesztywniał. Poczul się, jakby jego krew i duch przestały krążyć, a powietrze właczać się do płuc.

– Dostarczcie je do mojego pałacu – powiedział.

Mistrz Hyrokkin otworzył usta, zmieszany, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Spojrzał raz jeszcze na Lazla. Światło głowy padało starem na okulary i chłopak nie dostrzegł jego oczu.

– Czy mam zostawić adres? – zapytał Nero.

Życzliwość alchemika była żartem, bo każdy znał stojący na nabrzeżu pałac z jasnego, różowego marmuru, który podarowała mu królowa, a on dobrze o tym wiedział. Adres nie miał znaczenia.

– Oczywiście, że nie, panie – odparł mistrz Hyrokkin. – Tylko że...

– Jakiś problem? – zapytał Nero, jego miłemu tonowi zaprzeczał chłód spojrzenia.

„Tak – pomyślał Lazlo. – Tak, istnieje pewien problem”.

Mistrz Hyrokkin struchlał ze strachu.

– Nie, panie. Będzie to dla nas... Będzie to dla nas zaszczyt – odpowiedział.

Jego słowa były jak nóż wbity Lazlo w plecy.

– Znakomicie – powiedział Nero. – Czyli załatwione. Spodziewam się kuriera dzisiaj wieczoru.

Po tych słowach wyszedł, tak jak się pojawił, do drzwi odprowadzały go stuknięcia obcasów na marmurowej podłodze i ciekawe spojrzenia wszystkich obecnych.

Lazlo odwrócił się do mistrza Hyrrokkina. Jego wstrzymane przed chwilą serca łomotały teraz szybko i nieregularnie, jak dwie uwięzione ćmy.

– Powiedz mi, że nie o to chodzi – wydusił z siebie.

Nadal skonfundowany, stary bibliotekarz nie odpowiedział, stał dalej nieruchomo, trzymając formularz. Lazlo odebrał go od niego. Przeczytał. Zatrząśły mu się ręce. Było tak, jak się spodziewał. Na kartce wypisano pociągłymi, zamaszystymi literami: „Lazlo Strange, *Dziela zebrane*”.

Mistrz Hyrrokkin zapytał kompletnie zagubiony:

– Po co Thyonowi Nero twoje książki?

Alchemik i bibliotekarz. Nie mogliby się różnić od siebie bardziej. Tak jakby Shres, bękarci bóg szczęścia, ustawił ich ramię przy ramieniu i rozdzielił pomiędzy nich dary ze swojego kosza: każdy oddawał Thyonowi Nero, jeden po drugim, aż do ostatniego, który rzucił na ziemię u stóp Lazla.

„Zrób z tym, co uznasz za stosowne”, mógłby powiedzieć, gdyby istniał i miał złośliwy nastrój.

Thyon Nero otrzymał: dobre urodzenie, bogactwo, urodę, urok, mądrość.

Lazlo Strange podniósł i otrzepał z kurzu to, co zostało mu rzucone: honor.

I chyba byłoby dla niego lepiej, gdyby i on przypadł w udziale Thyonowi.

Podobnie jak Lazlo, Thyon Nero urodził się podczas wojny, lecz wojna, tak jak szczęście, nie dotyka wszystkich jednakowo. Dorastał w ojcowskim zamku, z dala od widoku czy zapachu cierpienia, którego nie doświadczył ani razu. Tego samego dnia, kiedy szary, bezimienny niemowlak został rzucony na wózek wysłany do opactwa zemoniańskiego, złotego chłopca ochrzczono imieniem Thyon – po świętym wojowniku, który przegnał barbarzyńców z Zosmy – podczas rozbuchanej ceremonii, na której pojawiła się połowa dworu. Był bystrym, pięknym dzieckiem i choć to jego starszy brat miał odziedziczyć tytuł i ziemię, jemu przypadła cała reszta – miłość, uwaga, uśmiechy, pochwały – które przyjmował z otwartymi ramionami. Podczas gdy Lazlo był cichym dzieckiem, wychowywanym surowo przez wiecznie urażonych mnichów, Thyon zachowywał się niczym uroczy, mały tyran, który domagał się wszystkiego, a dostawał jeszcze więcej. Lazlo sypiał z innymi chłopcami w dormitorium, chodził do łóżka głodny i budził się zmarznięty. Chłopięce łóżko Thyona wyrzeźbiono na wojenny bryg, ozdobiono czerwonymi żaglami i olinowaniem, a nawet miniaturowymi armatami; było tak ciężkie, że do snu musiały go kołysać dwie opiekunki. Jego włosy przybrały niesamowity kolor: lśniły złotem jak słońce na freskach, na które dało się patrzeć bez ryzyka, że wypali oczy. Zapisał je długie, choć nie przyjmowało się, żeby chłopcy tak się nosili. Ścięto mu je na dziewiąte urodziny i zapleciono z nich fantastyczny naszyjnik dla jego matki chrzestnej, królowej. Nosila go chętnie i tym samym – ku niezadowoleniu cechu złotniczego – rozpoczęła modę na biżuterię z ludzkich włosów. Żadna kopia jej naszyjnika nie mogła dorównać wspaniałości oryginału.

Pseudonim Thyona, złoty chrześniak, towarzyszył mu od tamtej pamiętnej ceremonii i prawdopodobnie wybrukował jego dalszą ścieżkę. Imiona mają moc, a jego od niemowlęctwa wiązało się ze złotem. Pasowało do niego. Kiedy poszedł na uniwersytet, nikogo nie zdziwiło, że zajął się alchemią – metalurgią doprawioną mistycyzmem, pogonią za duchowością materialności, szlachetną i dumną próbą opanowania żywiołów dla osiągnięcia czystości, perfekcji i boskości.

I oczywiście złota. Jego przede wszystkim.

Królowie go pragnęli, a alchemicy je obiecywali. Obiecywali przez całe stulecia, a jeśli jakkolwiek sztukę opanowali do perfekcji, była to sztuka ciągłych niepowodzeń.

Thyon, trzynastolatek o umyśle ostrym jak kiel żmii, przyglądał się tajemnym rytuałom i teoriom filozoficznym, ale miał je za zbędne, służące jedynie za wymówkę mającą zamaskować klęski. Alchemicy powtarzali, że to skomplikowane, ale sami takim ten proces uczynili, co rusz udziwniali go i cudaczyli. Młodzi adepci musieli złożyć przysięgę na szmaragd rzekomo wylupiony z czoła upadłego anioła, lecz kiedy pokazano ów artefakt Thyonowi, wyśmiał go i odmówił wypowiedzenia przysięgi. Nie chciał też studiować pism ezoterycznych, które uważał za „pocieszenie dla niedoszłych czarowników przeklętych życiem na świecie pozbawionym magii”.

„Masz, młody człowieku, duszę kowala”, powiedział mu rozeźlony mistrz alchemii.

„Lepsze to niż dusza szarlatana – odciął się Thyon. – Prędzej przysięgnę na kowadło i poświęcę się uczciwej pracy, niż będę mamiał świat bajdurzeniem”.

Złoty chrześniak złożył więc przysięgę na kowadło, a nie anielski szmaragd. Kto inny zostałby wydalony z uniwersytetu, ale nie Thyon

– faworyt królowej. Stara gwardia nie miała innego wyjścia, jak ustąpić i pozwolić mu pracować po swojemu. Chłopak dbał jedynie o namacalne aspekty fachu: naturę żywiołów, esencję i zmienność materii. Wykazywał się ambicją, skrupulatnością i intuicją. Ogień, woda oraz powietrze odkrywały przed nim swe tajemnice, minerały odsłaniały sekretne właściwości. Jako piętnastolatek, ku głębokiemu niezadowoleniu niedoszłych czarodziei, dokonał pierwszej transmutacji w historii zachodniego świata. Niestety, nie udało mu się uzyskać złota – przemienił ołów w bizmut, i to, jak powiedział, bez uciekania się do duchów i zaklęć. Za tryumf ten matka chrzestna wynagrodziła go własnym laboratorium, które zbudowano we wspaniałym starym kościele w Wielkiej Bibliotece. Nie żałowano wydatków. Królowa nazwała je Chryzopezjum – od słowa *chryzopeja*, oznaczającego transmutację metali nieszlachetnych w złoto. Miała na sobie włosiany naszyjnik, kiedy przyszła wręczyć chrześniakowi swój prezent. Szli ramię w ramię, oboje w złocie: u niego lśniło na głowie, u niej na szyi. Za nimi maszerowali żołnierze odziani w takież opończe, uszyte specjalnie na tę okazję.

Lazlo stał tego dnia w tłumie, zachwycony spektaklem i wspaniałym złotym chłopcem, który zawsze jawił mu się niczym postać z opowieści, młody bohater pobłogosławiony przez los i gotowy zająć należne mu miejsce na świecie. To samo zresztą widzieli wszyscy zgromadzeni jak teatralna publika, beztrosko nieświadomi, że za kulisami aktorzy odgrywają ponurą sztukę. O czym Lazlo miał się wkrótce dowiedzieć.

Działo się to jakiś rok po pierwszej transmutacji – Strange miał wówczas szesnaście lat. Któregoś dnia szedł po zmroku grobową ścieżką, kiedy usłyszał czyjś głos, przenikliwy i mocny niczym cięcie katowskim toporem. Z początku nie rozróżnił słów. Przystanął, rozglądając się za ich źródłem.

Grobową ścieżka stanowiła pozostałość po starym cmentarzu pałacowym, odcięta od reszty terenu placem budowy wieży astronomicznej. Uczni nie wiedzieli o jej istnieniu, ale bibliotekarzom nie była obca, wykorzystywali ją bowiem jako skrót pomiędzy niekończącymi się regałami a czytelniami znajdującymi się na parterze wieży. Lazlo szedł obładowany manuskryptami, kiedy usłyszał ten odgłos. Miał on pewien rytm i towarzyszyła mu interpunkcja w postaci uderzeń lub plaśnieć. Łup. Łup. Pojawił się też

drugi, ledwie słyszalny. Myślał, że to jakieś zwierzę, a kiedy wyjrzał za róg mauzoleum, ujrzał unoszące się i opadające z miarowym, złowieszczym świstem ramię. Dłoń dzierżyła szpicrutę. I choć był pewien tego, co zobaczył, nadal myślał, że mężczyzna bije zwierzę. Postać u jego stóp kuliała się i wydawała z siebie nieludzkie kwilenie. Lazła wypełniła paląca złość, rozpełzła mu się po ciele szybko jak ogień trawiący główkę zapalki. Wziął oddech, by krzyknąć.

Ale raptownie go wstrzymał.

Mimo że nie towarzyszyło temu jasne światło dzienne, tak prędko, że jego ust nie zdążyło opuścić choćby pojedyncze słowo, pojął rozgrywającą się na jego oczach scenę.

Wygięte plecy. Skulony chłopiec. Światło głowy na złotych włosach.

Diuk Vaal bił swojego syna jak psa.

„Przestań!”, prawie mu się wyrwało. Słowo uwięzło jednak w gardle niczym płomień.

– Bezmózgi – łup – imbecyl – łup – niefrasobliwy – łup – i żałosny.

Bezlitosne lanie trwało w najlepsze. Lazło krzywił się przy każdym uderzeniu, ale jego złość zdusiło ogromne zmieszanie. Jeśli miałby chwilę, żeby się zastanowić, rozgorzałby na nowo, gorętszy niż poprzednio. Lecz przypatrując się podobnej scenie, odczuwał przede wszystkim wszechogarniający szok. Podobne kary nie były mu obce. Jego nogi nadal znaczyły blade blizny po chłostach. Czasem zamykano go na noc w kryptach, gdzie za towarzyszy miał jedynie czaszki martwych braci. Nie dałby rady zliczyć, ile razy został nazwany głupim, bezwartościowym albo jakimś jeszcze gorszym wyzwiskiem. Ale on to on. Nie należał do nikogo i niczego nie posiadał. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Thyon Nero mógłby zostać potraktowany podobnie. Natknął się na osobisty wycinek z czyjegoś życia, który podkopywał wszystko, co wiedział o złotym chrześniaku i jego zaczarowanej egzystencji, i coś jakby w nim pękło, bo zobaczył chłopaka w tak upokarzającej sytuacji.

Nie byli przyjaciółmi. Nie istniała taka możliwość. Nero był arystokratą, czyli wszystkim tym, czym Lazło nie mógł się stać. Lecz raz, kiedy biegał za zamówionymi przez Thyona pismami, na początku swojej pracy, natrafił na rzadki traktat naukowy o metalurgii, który, jak ośmielił się napomknąć, alchemik mógł uznać za użyteczny. Nero powiedział nawet wtedy „Dziękuję”.

Jasne, to nic; albo jeszcze gorzej, bo sam fakt, że powiedział to przez cały ten czas tylko jeden jedyny raz, wydawał się cokolwiek bulwersujący. Ale Lazło wiedział, że chłopcy tacy jak on byli uczeni mówić rozkazami, więc kiedy Thyon spojrzął znad traktatu i wypowiedział to proste słowo ze szczerością i przekonaniem – „Dziękuję” – młody bibliotekarz nie mógł nie spuchnąć z dumy.

A teraz „Przestań” piekło go w język. Chciał krzyknąć, lecz tego nie zrobił. Stał, jakby zapuścił korzenie, przyciśnięty do chłodnej, omszałej ściany mauzoleum, bojąc się ruszyć.

Szpicruta zawisła. Thyon chwycił głowę w dłonie, schował twarz. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, ale Lazło widział, że drżą mu ramiona.

– Podnieś się – wysyczał diuk.

Thyon wyprostował się i Lazło zobaczył go wyraźnie. Miał czerwoną twarz, złote

włosy przyczepiły mu się do skroni, sklejone w wilgotne strąki. Wyglądał na mniej niż szesnaście lat.

– Masz pojęcie, ile wydała na twoje laboratorium? – dopytywał się diuk. – Szklarze sprowadzeni z Amayi. Piece zbudowane według twojego projektu. Komin tak wysoki, że będzie górował nad miastem. A co ty przynosisz? Notatki? Pomiary?

– Alchemia to notatki i pomiary – zaprotestował Thyon głosem rozmiękłym od płaczu, lecz niepozobawionym uporą. – Trzeba znać właściwości metali, zanim można choćby myśleć o ich przemianie.

Diuk pokręcił głową z nieskrywaną pogardą.

– Mistrz Luzinay miał rację. Masz duszę kowala. Alchemia to złoto, rozumiesz? Teraz złoto to całe twoje życie. Chyba że zawiedziesz, wtedy nie mogę zaręczyć, że będziesz jeszcze miał jakiegokolwiek życie. Rozumiesz mnie?

Thyon odsunął się, zaskoczony groźbą.

– Ojczy, proszę, minął dopiero rok...

– Dopiero rok? – Diuk zaśmiał się bez krztyny wesołości. – Czy wiesz, co się stało w ciągu tego roku? Całe rody upadły. Królestwa nawet. A ty przez cały ten czas siedziałeś sobie w swoim laboratorium i uczyłeś się właściwości metali?

Thyona zacięło, Lazla też. Królestwa?

– Ale... nie możesz oczekiwać, że osiągnę w rok to, czego nikomu nigdy się nie udało.

– Nikomu nie udało się też dokonać transmutacji metali, a ty zrobiłeś to jako piętnastolatek.

– Tylko z bizmutem – odparł gorzko chłopiec.

– Jestem świadomy niedoskonałości tego osiągnięcia. – Diuk splunął. – Od czasu rozpoczęcia przez ciebie nauki ciągle słyszę, żeś mądrzejszy od innych. To się mądrzyj, cholera. Powiedziałem jej, że ci się uda. Zapewniłem ją.

– Próbuję, ojczy.

– Próbuj bardziej!

Mężczyzna otworzył oczy tak szeroko, że białka otoczyły mu tęczęwki pierścieniami. Przemawiała przez niego desperacja. Ukrytego w cieniu Lazla przeszły dreszcze. Kiedy królowa wymyśliła nazwę Chryzopezjum, diuk uważał, że idealnie pasowała do laboratorium alchemicznego. Dawała mu bowiem nadzieję, że pewnego dnia ziści się tam największa ambicja sztuki alchemii. Ale okazało się, że „pewnego dnia” to za mało. Królowa chciała złota już teraz.

Thyon przełknął ślinę i spojrzał na ojca. Chłopcem zatrzęsa trwoga.

– A co, jeśli tego nie da się zrobić? – zapytał powoli, szeptem.

Lazlo oczekiwał kolejnego wybuchu diuka, ale ten jedynie zazgrzytał zębami.

– Powiem ci to jasno i klarownie. Skarbiec jest pusty. Nie mamy czym płacić żołnierzom, którzy dezertują, co nie umknęło uwadze naszych nieprzyjaciół. Jak tak dalej pójdzie, zaatakują. Zaczynasz rozumieć, o czym mówię?

To nie było wszystko. Mierzyli się z niszczycielskimi intrygami i ogromnymi długami. Sytuacja sprowadzała się do bardzo prostej konkluzji: „Zrobisz złoto albo Zosma upadnie”.



Lazlo patrzył, jak Thyon błędnie, kiedy na jego barkach zostaje złożony ciężar odpowiedzialności za całe królestwo. Bibliotekarz poczuł się, jakby to jemu rzucono go na ramiona.

Poniekąd to właśnie się stało.

Nie dlatego, że narzucili mu to okrutny ojciec i pazerna królowa, ale dlatego, że chciał. Stojąc na grobowej ścieżce, jakby spoczywał na nim prawdziwy, namacalny ciężar, zdecydował, że pomoże Thyonowi go nieść, choć sam zainteresowany nie miał o tym zielonego pojęcia.

Czemu Lazlo to zrobił? Mógł przecież odwrócić się na pięcie i zająć się swoimi sprawami, swoim życiem, z ulgą stwierdzić, że to nie jego zmartwienia. Niejeden by tak postąpił. Ba, niejeden by również pośpieszył przekazać szeptem to, co usłyszał, i puścić plotki dalej jeszcze przed nastaniem nocy.

Ale Lazlo nie zamierzał tego zrobić. Stał w mroku, rozzłoszczony własnymi myślami. Dumał o wojnie i ludziach, których pochłonął ostatni konflikt, jeszcze zanim zdążył ich poznać, o dzieciach, jakie zostaną osierocone podczas kolejnej wojny, o imionach umierających niczym starożytne pieśni. Był również boleśnie świadomy swojej bezużyteczności. Jak niby miał pomóc złotemu chrześniakowi? Nie był ani alchemikiem, ani żadnym bohaterem, lecz prostym bibliotekarzem, marzycielem. Czytelnikiem i niedocenianym ekspertem od dawno utraconego miasta, które nikogo już nie obchodziło. Jak mógłby...?

I wtedy pojął.

Nie, nie był alchemikiem. Był ekspertem od dawno utraconego miasta, które nikogo już nie obchodziło. A tak się złożyło, że, przynajmniej według legend, praktykowało się tam alchemię, jeszcze kiedy Zosmę nadal zamieszkiwały barbarzyńskie plemiona. Archetypiczne wyobrażenie o tej sztuce i praktykujących ją ludziach przynieśli ze starymi opowieściami podróżnicy z Elmuthaleth: historie o potężnych mężczyznach i kobietach, którzy poznali sekrety natury i kosmosu. Lazlo często o nich rozmyślał. Rozmyślał o nich też wtedy, gdy Thyon i diuk odeszli z grobowej ścieżki, milcząc, z nerwami napiętymi jak postronki. Lazlo zwrócił niesione przez siebie naręcze manuskryptów do biblioteki i myślał o tym wszystkim jeszcze długo po jej zamknięciu. Zrezygnował z kolacji, aby móc wrócić do swojego pokoju i książek.

Uczeni-rezydenci mieszkali w wygodnych kwaterach gościnnych, piętro nad służbą, gdzie niegdyś lokowano pokojówki i lokajów. Lazlo siedł długim, niskim korytarzem, po którego obu stronach znajdowały się identyczne drzwi, a przy każdym na haku zawieszono gławę. Zdjął jedną z nich i zaniósł ze sobą do swojego pokoju.

Gławy były kamieniami łupanymi wydzielającymi naturalne, stałe światło. Nie emitowały ciepła, jedynie blask, którego kolor i siła różniły się zależnie od jakości materiału. Ta była jedną z tańszych, nieładnie ociosanym kłocem czerwonej skały rzucającej mętne światło i mimo że Lazlo miał niedużą celę, nie rozpraszała narożnych cieni. Po jednej stronie pomieszczenia stało wąskie łóżko, po drugiej stołek. Na dwóch wieszakach wbitych w ścianę wisały jedyne ubrania, jakie posiadał. Nie stała tam żadna półka, służył za nią parapet. Na nim poukładał swoje książki. Zawiesił gławę i zaczął wyciągać je po kolei i kartkować.

Niedługo później siedział już na podłodze, oparty o ścianę, zaznaczając strony i robiąc notatki. Z korytarza dobiegały go odgłosy kroków innych bibliotekarzy, ale Lazlo nie zwracał na nie uwagi. Nie zauważył też zapadającej ciszy, wschodu i zachodu księżycy. Nocą wyszedł z pokoju i skierował się do dawniej zakurzonego podziemia, które przez lata zdążył już odkurzyć. Służyło mu za sanktuarium, to była jego kraina baśni, nie tylko z Niewidocznego Miasta, ale z całego świata. Szloch stanowił jego marzenie, lecz kochał wszelkie opowieści, poznał więc wszystkie, jakie tam zgromadzono, choć musiał przetłumaczyć je z tuzina języków z pomocą słowników i podręczników gramatyki. Tam, zamknięta pomiędzy okładkami, znajdowała się historia ludzkiej wyobraźni i nic nie wydawało mu się jednocześnie piękniejsze, straszniejsze i dziwniejsze. Znalazł tam zaklęcia, przekleństwa, mity i legendy, a marzyciel Strange tak długo karmił nimi swój umysł, że jeśli ktokolwiek mógłby go odwiedzić, odnalazłby tam najczystszą fantazję. Nie myślał jak inni ludzie. Nie odrzucał istnienia magii i nie uważał, że baśnie są dla dzieci. Co więcej, wierzył, że magia jest prawdziwa, bo wyczuł jej obecność, kiedy Niewidoczne Miasto zostało wykradzione z jego myśli. Baśnie uznawał za refleksje ludzi, którzy je opowiadali, naznaczone drobinkami prawdy, rzeczywistością wplecioną w fantazję, jak... okruchy na brodzie czarodzieja.

Miał nadzieję, że sam jest jednym z nich.

Sercem alchemii była wiara w azoth – tajemną esencję zawartą w każdej materii. Alchemicy uważali, że dadzą radę ją wydestylować, co pozwoli im na opanowanie podstawowych struktur świata fizycznego: transmutację ołowiu w złoto, wyodrębnienie uniwersalnego rozpuszczalnika, a może nawet odkrycie eliksiru nieśmiertelności. Dawno temu ustalono, że konieczny do osiągnięcia tego celu będzie skomplikowany proces angażujący trzy składniki: sól, rtęć i siarkę. Napisano na ten temat absurdalną liczbę, zważywszy na brak dowodu empirycznego, książek i opracowań naukowych. Tomiszczka wypełniały ryciny przedstawiające smoki pożerające słońca i mężczyzn ssących piersi boginek. Lazlo uważał, że są tak samo nieokiełznane jak baśnie, a jednak to one zajmowały cenniejsze miejsce na półkach – za drzwiami dawnego pałacowego skarbcza.

Tymczasem skazana na banicję pod najniższymi schodami, tam, gdzie żaden alchemik nigdy nie przychodził, czekała księga z opowieściami z Niewidocznego Miasta, żartobliwie nazwana *Cuda na śniadanie*. To w niej poruszono odmienną od wszystkich teorię, że sam alchemik stanowi tajemny składnik, a tylko łącząc ludzką duszę z duszą żywiołu, można uzyskać azoth.

Księga stała zapomniana. Okruszek na brodzie czarodzieja.

Powinien był zaczekać, przynajmniej kilka dni. Naprawdę nie powinien był tam iść, ale zrozumiał to za późno. Lazlo wiele rzeczy pojmował za późno.

Słońce zdążyło już się rozbudzić, kiedy wyszedł z za regału, ściskając księgę. Padał co prawda z nóg po nieprzespanej nocy, lecz rozsadzała go też energia. Ekscytacja. Nerwy. Czuł się, jakby został częścią czegoś większego, i zapomniał, że tylko on jeden o tym wiedział. Nie udał się z powrotem do swojego pokoju, lecz wyszedł z głównej części pałacu i skierował się przez ogrody do starego kościoła, w którym mieściło się Chryzopezjum. U jego stóp rozciągało się całe miasto. Blask słońca padał na Eder tam, gdzie stykał się on z horyzontem. Jaśniejąca kula unosiła się coraz wyżej, jej promienie pędziły wzdłuż rzeki niczym ogień po loncie, niosąc ze sobą światło dnia. Wybrzmiały katedralne dzwony, zawtórowały im mniejsze, kościelne, lekko i radośnie jak dzieci odpowiadające na wezwanie rodzica.

Lazlo pomyślał, że Thyon też pewnie nie spał, nie, kiedy musiał nieść taki ciężar. Podszedł do drzwi. Dużych, odlanych z brązu wrót, nieprzystosowanych do pukania, ale i tak uderzył w nie knykciami. Odpowiedziało mu ledwie słyszalne nawet dla niego stukanie. Miał szansę się poddać, wycofać, dać sobie czas na przemyślenie tego, co miał zamiar uczynić. Gdyby entuzjazm wynikający z owego odkrycia zdążył zelżeć, nawet ktoś tak naiwny jak on zdałby sobie sprawę, że postępuje nierozważnie. Lecz zamiast tego okrążył kościół, znalazł drzwi z dzwonkiem i potrząsnął nim. I wtedy się zaczęło.

Otworzył Thyon. Wyglądał na zubożonego. Wyzutego z życia.

– Tak? – zapytał.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Lazlo; a może wydukał coś podobnego.

To, co było potem, rozmyło mu się w pamięci. Słyszał łomot swego serca. Zwykle tak nie postępował, nie wychodził przed szereg. Jeśli czegokolwiek nauczono go w opactwie, to pielęgnacji dogłębnego poczucia bezwartościowości. Tym razem jednak napędzała go niewysłowiona złość, bulwersacja, gniewał się bowiem w imieniu Thyona. Poczul nagły przyływ solidarności z innym bitym chłopcem. Przede wszystkim jednak przechodziły go dreszcze emocji za każdym razem, kiedy tylko pomyślał o swoim odkryciu. Niewykluczone, że wybełkotał wtedy „Znalazłem coś dla ciebie” i pokazał książkę.

Cokolwiek powiedział, Thyon odsunął się od drzwi i pozwolił mu wejść do środka.

Laboratorium, przestronne, o wysokim sklepieniu, ciche, jak każdy kościół, zalatywało siarką, jakby pochodziła z dna piekła. Nikłe światło świtu przefiltrowane przez witraże rzucało kolorowe refleksy na półki zastawione naczyniami z połyskującego szkła i miedzi. Pod nawą stał długi stół do pracy, na którym poukładano sprzęt alchemiczny. Całą apsydę zajmował monumentalny piec z ceglany kominem przecinającym sam środek pokrytej freskami kopuły. By go tam zmieścić, odłupano rzeźbionym aniołom głowy.

– O co chodzi? – zapytał Thyon. Chodził sztywno, Lazlo nie wątpił, że jego plecy pokryte są pręgami i siniakami. – Masz dla mnie kolejny traktat? – dodał. – Są bezwartościowe.

– To niezupełnie traktat – odparł Lazlo, kładąc księgę na pokrytym plamami blacie stołu.

Dopiero teraz zauważył rycinę na okładce. Przedstawiała łyżkę pełną gwiazd i mitycznych bestii. *Cuda na śniadanie*. Wyglądała jak książka dla dzieci. Kiedy to skonstatował, po raz pierwszy dopadły go złe przeczucia. Otworzył ją czym prędzej, aby Thyon nie zauważył okładki i tytułu.

– Chodzi jednak o złoto – powiedział i zaczął tłumaczyć.

Przytaczane przez niego słowa wydawały się nie na miejscu pośród ponurych ścian kościoła. Zaczął się śpieszyć, aby przegonić postępujące zawstydzenie, przez co im szybciej mówił, tym bardziej szalenie i głupio brzmiał.

– Słyszałeś o zaginionym mieście Szloch – mówił; zmusił się do użycia fałszywej nazwy i momentalnie poczuł smak łez – i jego alchemikach, którzy, jak się uważa, wytwarzali złoto.

– Legendy – zbył go Thyon.

– Być może – przyznał Lazlo. – Ale czy to niemożliwe, że opowieści mówią prawdę? O złocie?

Dostrzegł niedowierzanie na twarzy Thyona, lecz źle je zinterpretował, sądząc, że alchemik sam punkt wyjścia uznał za niedorzeczny, pośpieszył więc z wyjaśnieniami.

– Spójrz na to – przejechał palcem po fragmencie tekstu traktującym o alchemiku będącym tajemnym składnikiem azothu. – Piszą o połączeniu ludzkiej duszy i duszy żywiołu, co brzmi trochę, sam nie jestem pewien, mało pomocnie, bo jak złączyć duszę z metalem? Ale myślę, że to błąd translatorski. Już się z takimi spotykałem. Język Niewidocznego... Znaczący język Szlochu nie rozróżnia „duszy” i „ducha”. Słowo określające obydwa znaczenia to *amarin*. Stąd bierze się rzeczona pomyłka – stuknął palcem w kartkę i zrobił pauzę. Przyszła pora na jego wielką myśl. – Uważam, że kluczem do azothu jest duch. Duch ciała.

Wyciągnął przed siebie ręce dłońmi do góry, pokazując ścieżki żył, aby się upewnić, że Thyon zrozumie, o czym mowa. I wtedy zabrakło mu słów. Potrzebna była jakaś konkluzja, coś, co rzuci jasne światło na ów pomysł, lecz nic takiego nie przyszło mu do głowy. Jego ostatnie słowa zawisły, ot tak, w powietrzu, brzmiąc dość niedorzecznie.

Thyon gapił się na niego o kilka uderzeń serca zbyt długo.

– Co to ma znaczyć? – zapytał nareszcie, a w jego lodowatym głosie pobrzmiwała groźba. – Czy to jakieś wyzwanie? Przegrałeś zakład? A może to żart?

– Słucham? – Zaskoczony Lazlo pokręcił z niezrozumieniem głową. Twarz mu zapłonęła, a dłonie zlodowaciały. – Nie – zaprzeczył, nagle rozumiejąc, czego dotyczyło niedowierzanie Thyona.

Nie chodziło o historyjkę, jaką opowiedział, ale o samą jego obecność. Lazlo przyjął perspektywę swojego gospodarza i zrozumiał, co takiego uczynił. On – Strange, marzyciel, młodszy bibliotekarz – pomaszerował prosto do Chryzopezjum ze zbiorem

baśni pod pachą i z zamiarem podzielenia się przemyśleniami na temat najgłębszej tajemnicy alchemii. Tak jakby potrafił rozwiązać problem dręczący uczonych, łącznie z samym Nero, od stuleci. Buta, którą dopiero teraz dostrzegł, odebrała mu dech. Jak mógł pomyśleć, że to dobry pomysł?

– Powiedz mi prawdę – rozkazał Thyon. – Czyj to pomysł? Mistrza Luzinaya? Przysłał cię tu, żebyś mnie wyszydził, tak?

Lazlo pokręcił głową, chcąc zaprzeczyć temu oskarżeniu, lecz poznał, że Thyon nawet go nie dostrzega, za bardzo zagubił się pośród swojego gniewu i nieszczęścia. Jeśli zauważał cokolwiek, to były to jedynie pełne szyderstwa twarze innych uczonych i chłodne kalkulacje samej królowej zamawiającej cuda na śniadanie. A może wyobrażał sobie pogardę wypisaną zeszłego wieczoru na twarzy swojego ojca, czuł ją na skórze przy każdym pełnym bóle ruchu. Emocje buzowały w nim niczym chemikalia wlane razem do alembiku: strach unosił się jak siarkowa mgiełka, zgorzknienie paliło ostro niczym sól, a klęskę i rozpacz można by porównać do kapryśnej rtęci.

– Nigdy bym z ciebie nie zażartował – wydukał Lazlo.

Thyon złapał księgę i zamknął ją, żeby spojrzeć na okładkę i tytuł.

– *Cuda na śniadanie* – powiedział. Przekartkowując, zobaczył ryciny przedstawiające syreny i czarownice. – I niby to nie są żarty?

– Przysięgam, że nie. Mogę się mylić, panie. I... pewnie tak jest.

Do Lazla dotarło, jak to wygląda, chciał się wytłumaczyć, wyjaśnić, że folklor jest nasiąknięty prawdą, ale nawet jemu wydawało się to teraz absurdalne. Okruchy na brodzie czarodzieja i cała magia to nic innego jak nonsensy.

– Przepraszam. To aroganckie przychodzić tu i przeszkadzać ci, lecz klnę się, że nie chciałem cię urazić. Jedynie pomóc.

Thyon zatrzasnął księgę.

– Pomóc. Ty chciałeś pomóc mnie – powiedział i zaśmiał się chłodnym, donośnym rechotem przywołującym na myśl kruszenie się lodu. Trwało to długo, a z każdym kolejnym atakiem śmiechu Lazlo czuł się coraz mniejszy. – Oświeć mnie, Strange – odezwał się po chwili Nero. – Jakim cudem i na jakim świecie mógłbyś mi pomóc?

Na jakim świecie? To istniał jakiś inny? Może taki, w którym Lazlo dorastał z nazwiskiem i przy rodzinie, a to Thyona rzucono na wóz i powieziono do opactwa? Raczej się tego nie spodziewał i nawet ze swoją wybujałą wyobraźnią nie potrafił przywołać obrazu mnicha ścinającego te złote pukle.

– Masz oczywiście rację – wybełkotał. – Pomyślałem, że... nie powinieneś nieść tego samodzielnie.

Znów powiedział za dużo.

– Czego nieść samodzielnie? – domagał się wyjaśnień Thyon, pytanie tliło mu się w oczach.

Lazlo spostrzegł swój błąd. Zamarł jak wtedy na grobowej ścieżce, kiedy krył się bezużyteczny pośród cieni. Tutaj nie miał gdzie się schować, a jako że podstęp był mu obcy, wszystko dało się odczytać z jego twarzy. Szok. Oburzenie.

Litość.

Tym razem to Thyon zrozumiał, co przywiodło młodszego bibliotekarza o świecie

do jego drzwi. Gdyby chłopak trochę odczekał – kilka tygodni, może nawet dni – wtedy alchemik tak szybko by się nie połapał. Ale z płonącymi z bólu plecami i uciekającym ku nim spojrzeniem Lazlo od razu pojął, o co chodzi. „Biedny Thyonek, tatuś go bije”. Zatem jego niespodziewany gość ujrzał go obnażonego. Do mieszanki emocji dołączyło kolejne. Wstyd, który podsycił pozostałe uczucia.

– Przepraszam – powiedział Lazlo, choć nie miał pojęcia za co.

Że Thyona pobito? Że akurat miał pecha przy tym być?

– Nawet nie śmieję się nade mną litować, jesteś nikim – syknął Thyon z takim jadem, że Lazlo aż się skrzywił, jakby faktycznie na niego splunięto.

Resztę ledwie pamiętał, dalsza część wizyty rozpląnęła mu się jak niewyraźna plama złościwości przemieszanej ze złością. Czerwona i wykrzywiona twarz. Obnażone zęby i zaciśnięte pięści. Rozbite szkło. To wszystko przez kolejne dni powracało do niego w koszmarach, podkoloryzowane lękiem i żalem. Lazlo wytoczył się za drzwi, potykając się. Może go wypchnięto, a może po prostu zahaczył o próg i padł jak długi na niedużych schodach, przygryzając sobie język do krwi. Przełykał ją w drodze powrotnej, usiłując wyglądać zwyczajnie, choć krwawił i kuśtykał. A kiedy dotarł na miejsce, zorientował się, że zostawił książkę. Koniec z cudami na śniadanie i ze śniadaniem jako takim, bo spuchł mu język.

Nie jadł kolacji ani nie spał, lecz nie był ani głodny, ani zmęczony. Do rozpoczęcia zmiany miał jeszcze trochę czasu, żeby się pozbierać, i tak też uczynił. Ochlapał twarz zimną wodą, wzdrygnął się, przemywając usta, i splunął do zlewu czerwienią. Miał poraniony język, a bolesne łupanie wypełniało mu głowę. Przez cały dzień nie odezwał się do nikogo ni słowem, nawet tego nie zauważono. Bał się, że Thyon rozkaże go wyrzucić, lecz tak się nie stało. Właściwie nic się nie stało. Nikt się nie dowiedział, co zrobił tego ranka, nikomu nie brakowało zapomnianej książki – poza nim, on pragnął ją odzyskać.

Trzy tygodnie później usłyszał wieści: królowa miała przybyć do Wielkiej Biblioteki po raz pierwszy od oddania do użytku Chryzopezjum – które okazało się mądrą inwestycją.

Thyonowi Nero udało się uzyskać złoto.

## Przypadek?

Alchemicy przez setki lat starali się wydestylować azoth, a trzy tygodnie po wizycie Lazla w Chryzopezjum dokonał tego Thyon Nero. Młodszy bibliotekarz miał pewne podejrzenia, które jednak pozostawały podejrzeniami aż do dnia, kiedy otworzył drzwi do swojego pokoju i zobaczył tam złotego chrześniaka. Zadrżało mu serce. Jego książki leżały porozrzucane po podłodze, ich stronicie powyginały się niczym połamane ptasie skrzydła. Thyon przeglądał jedną z nich – bodaj najokazalszy egzemplarz, którego oprawa godna była Pawilonu Myśli. Lazlo ozdobił nawet grzbiet płatkami złota, które odkładał przez trzy lata. *Niewidoczne Miasto* – wykaligrafowano na okładce starannym pismem, jakiego nauczyli go mnisi.

Książka uderzyła z hukiem o ziemię, a Lazlo odczuł to sercem. Chciał się pochylić i ją podnieść, ale stał tylko na progu i gapił się na intruza, który dobrze ubrany i elegancki, wydawał się zupełnie nie pasować do otoczenia, przyłapany w obskurnym małym pokoiku niczym promyk słońca w piwnicy.

– Czy ktoś wie, że odwiedziłeś mnie w Chryzopezjum? – zapytał Thyon.

Lazlo powoli pokręcił głową.

– A książka? Czy ktoś wie, co tam jest?

Żaden przypadek. Lazlo miał rację. Duch był kluczem do azothu. To niemal zabawne, że baśnie skrywały prawdę, że poszukiwany, tajemniczy składnik to coś tak pospolitego jak płyn ustrojowy. Każdy alchemik, który strawił życie na badaniach, zmarł, mając odpowiedź przed nosem, czując ją pod skórą w żyłach. Gdyby obwieszczono tę nowinę, każdy dysponujący garnkiem i ogniem mógłby spróbować wytworzyć złoto, wydrzeć swemu ciału ducha albo wykraść go innym. Kruszec nie byłby wtedy jednak taki cenny, a złoty chrześniak wyjątkowy. Lazlo zrozumiał, co spoczywało na szali.

Thyon miał zamiar za wszelką cenę zachować tajemnicę azothu dla siebie.

A Lazlo mógł ją narazić.

Zastanawiał się, czy nie oszukać, lecz nie potrafiłby wymyślić żadnego kłamstwa, które mogłoby go uratować. Z ociąganiem ponownie pokręcił głową i pomyślał, że nigdy nie był niczego tak bardzo świadomy jak dłoni Thyona zaciśniętej na rękojeści miecza.

Czas zwolnił. Palce zbieleły chłopakowi, kiedy zaczął wysuwać klingę z pochwy, ukazując lekko nieregularne ostrze, jakby żebrowane. Światło głowy nadawało mu lustrzany poblask. Miecz odbijał złoto i szarość. Spojrzenia Lazla i Thyona się spotkały. Bibliotekarz ujrzał w oczach arystokraty dokonywaną naprędce kalkulację. Złoty chrześniak rozważał trud zabicia go i ryzyko pozostawienia przy życiu. Lazlo wiedział, do jakiej konkluzji doprowadzą Thyona te rozmyślenia. Jeśli da mu żyć, nie będzie jedyną osobą znającą sekret, a przecież zabicie go to tak naprawdę żaden trud. Mógłby przebić młodszego bibliotekarza swoim przekazywanym z pokolenia na pokolenie, grawerowanym mieczem i nie kłopotać się jego wyciągnięciem, a rano zwrócono by mu wypolerowaną broń, a sprawę zatuszowano. Ktoś taki jak Nero mógł zrobić z kimś takim

jak Lazlo wszystko. Ale... nie zrobił.

Thyon schował miecz z powrotem do pochwy.

– Nigdy nawet się o tym nie zająknij – powiedział. – Nigdy o tym nie pisz. Nikt się nie dowie. Rozumiesz mnie?

– Tak – wychrypiał Lazlo.

– Przysięgnij – nakazał Thyon, po czym powiódł wzorkiem po porozrzucanych na podłodze książkach i gwałtownie zmienił zdanie. – Albo nie, nie przysięgaj. – Na jego ustach wykwitła ledwie zauważalna drwina. – Obiecuj mi to trzykrotnie.

Lazlo zdębiał. Potrójna obietnica? To przecież nic innego jak dziecięca przysięga z baśni, której złamanie byłoby dla niego niczym klątwa, potężniejsza niż jakakolwiek obietnica złożona bogu czy monarsze.

– Obiecuję – powiedział, trzęsąc się ze strachu przed nadal czyhającą nań śmiercią. – Obiecuję – powtórzył; twarz go piekła. – Obiecuję.

Następujące po sobie słowa miały rytm inkantacji i były ostatnimi, jakie wybrzmiały między mężczyznami od przeszło czterech lat. Aż do dnia, kiedy złoty chrześniak przyszedł osobiście do biurka zapytań i poprosił o książki bibliotekarza.

*Dziela zebrane* Lazlo Strange'a.

Ręce mu drżały, kiedy ścisnął formularz. Książki należały do niego i były wszystkim, co miał. On sam napisał je i oprawił, kochał, tak jak się kocha dzieło swoich rąk, choć nawet i to nie wyrażało jego uczuć. To nie były jakie zapiski. Stronice te zawierały nierealne marzenie, wszystko, co odkrył na temat Niewidocznego Miasta, każdy element układanki, jaki wskoczył na miejsce. Ale nie było to też zwyczajne kompendium wiedzy, bo przyświecał mu pewien cel. Lazlo łudził się, że pewnego dnia... Tak radził sobie z niemożliwością tego zadania. Tak podróżował tam, gdzie nigdy nie dotarł żaden obcy. Przekraczał pustynię, patrzył na lśniące domostwa własnymi oczyma i nareszcie dowiadywał się, co też przytrafiło się Niewidocznemu Miastu. Książki zawierały siedmioletnią kronikę jego nadziei. Sam ich dotyk dodawał mu odwagi. A teraz miały trafić do Thyona Nero?

– Czego, do diaska, on może tam szukać? – zapytał mistrz Hyrrokkin.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział zrezygnowany Lazlo. – Niczego. Po prostu chce mi je odebrać.

Stary mlasnął.

– Jest ponad podobną małostkowość.

– Tak myślisz? A może zamierza przeczytać je od deski do deski?

Lazlo mówił beznamiętnym tonem, co dało mistrzowi Hyrrokkinowi do myślenia, lecz scenariusz ten wydawał się jeszcze bardziej niedorzeczny.

– Ale czemu? – upierał się stary. – Czemu miałbyś chcieć ci je odebrać?

Tego chłopak nie mógł zdradzić. Zastanawiał się jednak, dlaczego robił mu to akurat teraz, po czterech latach? Nie złamał obietnicy ani nie sprowokował gniewu Nero.

– Bo może? – zapytał smutno.

Próbował zapobiec zarekwirowaniu. Pewnie, że próbował. Udał się prosto do mistrza-archiwisty i przedstawił swoją sprawę. Książki należały przecież do niego, nie były własnością biblioteki i nigdy nie pozostawiano złudzeń co do tego, że badania



prowadzone przez bibliotekarzy zasługują na uwagę dostojnych uczonych. Dlatego nie można ich przejąć, bo takowe działanie byłoby i niesprawiedliwe, i sprzeczne z owym przekonaniem.

– Niesprawiedliwe? Powinieneś być dumny, młodzieńcze – powiedział mistrz Villiers. – Thyon Nero zainteresował się twoimi pracami. To dla ciebie wielki dzień.

Zaiste wielki. Przez siedem lat Lazlo uchodził za Strange'a marzyciela, a jego książki nazywano bazgrołami i głupotami. A teraz, ot tak, uznano je za prace godne uwagi. Zostały docenione i ukradzione za jednym zamachem.

– Proszę – błagał, szepcząc ponaglająco. – Proszę, nie oddawajcie mu moich książek.

I... nie oddali. Zmusili go, żeby zrobił to osobiście.

– Przynosisz sobie ujmę – syknął Villiers. – Nie pozwolę, abyś zawstydził całą bibliotekę. To złoty chrześniak, a nie jakiś złodziej czający się pomiędzy regałami. Zwróci je, jak skończy. Idź już.

Nie miał wyjścia. Załadował tomy do skrzyni, którą postawił na wózku ręcznym, i wytoczył się z biblioteki przez główną bramę ze swoim księgozbiorem. Poszedł długą drogą oplatającą grań Zosimos. Tam przystanął i rozejrzał się. Eder lśnił na słońcu bogatym brązem pięknych dziewczęcych oczu. Nowy Pałac wydawał się otaczać je łukiem, fantastyczny niczym scenograficzne tło do teatralnej adaptacji jakiejś baśni. Ptaki krążyły nad rybackimi dokami, a na wieżyczce blad różowego pałacu Thyona powiewał długi, złoty proporzec. Lazlo szedł powoli. Z ociąganiem zadzwonił do drzwi. Przypomniawszy sobie, jak przed czterema laty szarpał inny dzwonek z *Cudami na śniadanie* pod pachą. Nigdy już tej książki nie zobaczył. Czy z tymi będzie inaczej?

Otworzył mu lokaj. Kazał zostawić skrzynię pod drzwiami, lecz Lazlo odmówił.

– Muszę się zobaczyć z lordem Nero – powiedział. Kiedy Thyon nareszcie stanął w drzwiach, zapytał go wprost: – Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzył alchemik. Miał na sobie koszulę, bez marynarki i szkarłatnej apaszki, ale miecza nie odłożył. Stał z dłonią swobodnie spoczywającą na rękojeści. – Sam zawsze chciałem zadać ci to pytanie.

– Mnie?

– Owszem. Dlaczego, Strange? Dlaczego mi ją przyniosłeś.

Ją? Raczej sekret i wszystko, co z niego wynikło.

– Mogłeś zatrzymać ją dla siebie – dodał – i stać się kimś.

Prawda była taka, że Nero nigdy nie zrozumiałby, że Lazlo nie szukał osobistej korzyści. Wtedy na grobowej ścieżce wydawało mu się oczywiste, że to opowieść o chciwych królowych i zwichrowanych ojcach, o wojnie majaczącej na horyzoncie i... że nie była to jego opowieść, a Thyona. Gdyby ją przygarnął... dopuściłby się kradzieży. To proste jak drut.

– Jestem kimś – odparł i skinął na skrzynię. – Oto, kim jestem – powiedział i po chwili dodał pełnym napięcia szeptem: – Nie zabieraj ich. Proszę.

Nastąpiła chwila, choć krótka, kiedy pilnie strzeżona obojętność zniknęła z twarzy Thyona i Lazlo ujrzał na niej ludzki rys. Może nawet żal. Emocja jednakże prędko zniknęła.

– Nie zapomnij o obietnicy – przestrzegł bibliotekarza Thyon i zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Lazlo ociągał się tego dnia przy kolacji, żeby nie musieć wracać do swojego pokoju. Dotarłszy do drzwi, zdjął z haczyka głowę, zawahał się i zawiesił ją z powrotem. Biorąc głęboki oddech, przestąpił próg. Miał nadzieję, że ciemność przysłoni jego stratę, lecz do środka wpadało akurat tyle księżycowego światła, żeby skapać delikatnym blaskiem okienny parapet. Całe pomieszczenie wydało mu się puste i martwe, jak ciało z wyciętym sercem. Nawet oddychanie nie przychodziło mu łatwo. Przysiadł ciężko na skraju łóżka.

– To tylko książki – przekonywał samego siebie.

Tylko papier i atrament.

Papier, atrament i spędzone nad nimi lata.

Papier, atrament, lata i jego marzenie.

Pokręcił głową. Jego marzenie mieszkalo przecież w myślach i w duszy. Thyon mógł ukraść mu książki, lecz tego już nie. Tak sobie wmawiał tej pierwszej, długiej nocy bez swych książek. Miał kłopoty z zaśnięciem, bo zastanawiał się, gdzie były i co Nero z nimi zrobił. Może spalił je albo zniósł do zawilgotnionej piwnicy. A może akurat wrywał strona po stronie i składał z nich ptaszki, które potem zrzucał ze swojego wysokiego tarasu. Kiedy nareszcie udało mu się zasnąć, śnił, że jego książki zostały pogrzebane pod ziemią, a źdźbła trawy, które na nich wyrosły, szeptały z wiatrem „Szloch, Szloch”. Kto je usłyszał, od razu płakał rzewnymi łzami.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Thyon może je czytać. Że siedzi w pokoju tak zdobnym, jak skromny był jego, z nogami na wypchanym podnóżku, i czyta je przy ustawionych po obu stronach fotela gławach, aż nastaje głęboka noc, a służący przynoszą mu herbatę, kolację i znowu herbatę. Lazlo w najśmielszych fantazjach nie wyobrażał go sobie, jak robi notatki łabędzim piórem i tuszem z ośmiornicy czerpanym prosto z kałammarza wysadzanego lysem, który przywieziono przed pięciuset laty ze Szlochu. Na przystojnym licu Thyona nie znać było ani szyderstwa, ani złośliwości, lecz powagę, żywotność i fascynację.

Co okazało się jeszcze gorsze. Bo jeśli Lazlo uważał, że marzeń nie da się ukraść, nie doceniał Thyona Nero.

Bez swoich książek Lazlo czuł się, jakby odcięto go od jego marzenia. Niewidoczne Miasto nigdy nie wydawało mu się tak odległe, tak bardzo poza zasięgiem. Jakby rozproszyła się zalegająca od dawna mgła, zmuszając go do konfrontacji z niewygodną prawdą.

Ale to nie książki były owym marzeniem. Lazlo wetknął swą fantazję pomiędzy ich stronicę niczym zakładki i zadowalał się tym, że tam po prostu jest. Fakty pozostawały jednak faktami: nic, co wyczytałby lub znalazłby na półkach Wielkiej Biblioteki Zosmy, nie przybliżyłoby go nawet o krok do Szlochu. Mogła to uczynić jedynie prawdziwa podróż.

Rzecz jasna łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Od Niewidocznego Miasta dzieliła go długa droga. Prawdopodobnie zdołałby odnaleźć szlak i dotrzeć do Alkonost, rozstai, gdzie kontynent stykał się z zachodnim krańcem pustyni Elmuthaleth. Nie posiadał żadnych umiejętności, które mogłyby zaświadczyć o choć potencjalnym powodzeniu tej wyprawy, lecz istniała szansa, że uda mu się załapać na konwój handlowy i podróżować tym sposobem. Potem jednak zostałby porzucony na pastwę losu. Żaden przewodnik nie poprowadzi *faranji* przez piachy. Ba, nie sprzeda wielbłąda tym, którzy mogliby podjąć podobną próbę samodzielnie, bo uzna to za samobójstwo. Nawet założywszy, że komuś udałoby się przeprowadzić przez pustynię, musiałby się zmierzyć z Cusp, górą z białego szkła, którą jak podają legendy, demony wykorzystywały jako pogrzebowy stos. Istniał tylko jeden sposób, żeby ją pokonać – należało przejść przez bramy fortu Misrach, tylko że to tam skazywano *faranji* na śmierć za szpiegostwo.

Jeśli miasto było martwe, Lazlo badałby jego ruiny. Sama ta myśl wydawała mu się bezbrzeżnie smutna. Nie chciał znaleźć tam gruzowiska, lecz tętniące życiem i mieniące się kolorami miasto prosto z opowieści. Lecz z drugiej strony, o ile zastałby je w takim stanie, zostałby najpewniej niezwłocznie pochwycony, poćwiartowany i rzucony na pożarcie padlinożernym ptakom. Nie było trudno zrozumieć, czemu powkładał swoje marzenie do książek, gdzie miało pozostać bezpieczne.

Jednak teraz, kiedy je utracił, musiał spojrzeć na nie trzeźwym, rozsądnym okiem. I nie wyglądało to zachęcająco. Z którejkolwiek perspektywy nie spoglądał, ciągle widział to samo: coś niemożliwego. To marzenie wybiera marzącego, ale jego marzenie wybrało niewłaściwie. Potrzebowało bowiem kogoś o wiele śmielszego niż on.

Potrzebowało gromu i lawiny, wojennego okrzyku i tajfunu. Potrzebowało ognia.

Po paru tygodniach od chwili, kiedy Thyon Nero odebrał mu książki, smutek Lazla osiągnął apogeum. Dni ciągnęły się niemiłosiernie. Mury zacieśniały się wokół niego. Marzył o pustyniach i ogromnych, piaszczystych miastach, wyobrażał sobie, że czuje, jak uciekają przez niego minuty i godziny życia, jakby był klepsydrą z kości i krwi. Łapał się na bezcelowym wyglądaniu przez okna, tęsknie spoglądał na odległy, niedostępny horyzont.

I któregoś dnia wypatrzył na nim ptaka. Stał akurat na jednej z drabin w Pawilonie

Myśli i sięgał po książki zamówione przez niecierpliwego filozofa.

– Nie mam całego dnia! – zawołał z dołu uczony, drepcząc nerwowo.

„Ale ja mam”, pomyślał Lazlo, odpychając drabinę, a ta przesunęła się wzdłuż półek. Znajdował się na samym szczycie bardzo wysokiego regału ciągnącego się przy północnym murze, za którym podobna rekiniej płetwie grań niknęła za stromym klifem, prowadząc do samego miasta. Pomędzy kolejnymi sekcjami umieszczono podłużne okna, przez które chłopak wylapywał fragmenty letniego nieba przesuwającego się nad jego głową. Regał, okno, regał, okno. Wtedy zauważył ptaka unoszącego się z prądem wstępującym, tak jak zwykle robiły po tej stronie grani, po chwili zawisając niczym postrzępione latawce. Nigdy jednak nie miał przed oczyma stworzenia takiego jak to. Zatrzymał drabinę, żeby móc mu się przyjrzeć, i coś w głębi niego zamarło. Drapieżny ptak miał śnieżnobiałe upierzenie, zakrzywiony dziób i bardzo szeroki rozstaw skrzydeł. Był ogromny, nawet orły wykorzystywane do polowań przez nomadzkie plemiona, które widywał czasem na targowiskach, nie mogły się z nim równać. Jego skrzydła przypominały żagle niewielkiego statku, każde pióro było szerokie niczym klinga kordelasa. Lecz nie tylko kolor czy rozmiar zwierzęcia zadziwiły Lazla. Może to tylko refleks świetlny, ale sylwetka tego ptaka... Jej krawędzie jakby się rozmywały, wydawał się rozpląwać na tle błękitu nieba jak łyżeczka cukru wsypana do filiżanki herbaty. Niczym duch przesiąkający przez zasłonę świata.

– Co ty tam jeszcze robisz? – zawołał filozof.

Lazlo go zignorował. Nachylił się do okna, żeby móc spojrzeć na oślepiające światło słońca i ptaka wykonującego za pomocą szerokiego skrzydła piruet, który zakończył powolną i pełną gracji spiralą. Chłopak przyglądał się, jak cudowne stworzenie szybuje w dół i gwałtownie podrywa się do góry, rzucając cień na drogę i dach jadącego nią powozu.

Królewskiego powozu.

Zaskoczony Lazlo przycisnął czoło do szyby. Długą, krętą drogą szła procesja. Za i przed powozem jechały na koniach rzędy żołnierzy, promienie słońca odbijały się od ich lśniących pancerzy. Chłopak zmrużył oczy. Jeden oddział wyraźnie różnił się od pozostałych. Był za daleko, aby dojrzeć szczegóły, lecz zbroje należących do niego wojaków nie błyszczały, a wierzchowce szły w dziwaczny sposób. Droga zawijała za południową część grani i niebawem cała kolumna zniknęła mu z oczu. Ogromny biały orzeł przez cały czas szybował za nimi i wtedy...

Coś na moment odwróciło wzrok Lazla. Być może mrugnął. Nie wydawało mu się, żeby tak się stało, lecz ptak w jednej chwili po prostu zniknął. Nawet gdyby chłopak rzeczywiście mrugnął, zwierzę nie umknęłoby mu sprzed oczu tak prędko. Nie miałyby gdzie się schować. Perkusyjne bicie obu serc Lazla przybrało na sile. Ptak wyparował.

– Ej, ty tam! – Filozof zdążył się już już niezłe rozżłościć.

Lazlo spojrział w dół.

– Czy królowa miała nas dzisiaj odwiedzić? – zawołał.

– Co? Gdzie tam.

– Nadjeżdża królewski powóz.

Uczeni siedzący najbliżej usłyszeli jego słowa i podnieśli głowy, rozległy się

szepty. Królewskie wizyty stanowiły niezwykłą rzadkość, do tego zazwyczaj zapowiadano je ze sporym wyprzedzeniem. Badacze powstawali od swoich stanowisk, zostawiając materiały, żeby czym prędzej wyjść na zewnątrz i zebrać się na dziedzińcu przed budynkiem. Lazlo pośpiesznie zszedł z drabiny i ruszył za nimi, nawet nie słysząc nawoływań bibliotekarza siedzącego za biurkiem zapytał:

– Strange, gdzie idziesz? Strange!

Ptaka zniknął. To magia. Lazlo był tego pewien od samego początku. Cokolwiek przydarzyło się prawdziwej nazwie miasta, odpowiadała za to magia. Chłopak nigdy nie miał co do tego żadnych wątpliwości, lecz obawiał się, że nigdy nie zdobędzie namacalnego dowodu. Trojakię lęk zasiedły mu na dnie żołądka i męczyły niczym połknięte zęby, a kiedy siedział sam ze swoimi myślami i zapadała głęboka cisza, szorowały o siebie i gryzły od środka.

Pierwszy lęk: nigdy nie ujrzy dowodu na istnienie magii.

Drugi lęk: nigdy nie dowie się, co wydarzyło się w Szlochu.

Trzeci lęk: pozostanie samotny na zawsze.

Przez całe życie czas upływał mu w jedyny sposób, jaki znał: nieśpiesznie i niepopędzany, jak ziarenka piasku przesypujące się jedno po drugim przez klepsydrę. Gdyby była prawdziwa, jej dolna część i przewężenie – czyli przeszłość i teraźniejszość – wypełnione piaskiem życia Lazla byłyby szare niczym jego szaty, zaś górna – przyszłość – lśniłaby fantazyjnymi kolorami: błękitem i cynamonowym, oślepiającą bielą i złotą żółcią oraz bladym różem krwi svygatora. Miał nadzieję, a raczej marzył, że z czasem, ziarnko za ziarnkiem, szarości ustąpią marzeniu i piaski jego życia nabiorą kolorów. A teraz ujrzał ptaka. Dowód na obecność magii. Coś leżącego poza granicami pojmowania, wymykającego się rozumowi, a jednak znajomego. To było jak... otwarcie książki na pierwszej stronie, na samym początku opowieści. Jakby znał tę historię, jakby z czymś mu się kojarzyła, lecz zdążył już zapomnieć z czym. A teraz, bez żadnego wyraźnego powodu, który potrafiłby ubrać w słowa, klepsydra została rozbita. Koniec z chłodną szarością przesiewanych mozolnie dni i gorliwym wyczekiwaniem na ciurkającą przyszłość. Kolorowe marzenie Lazla nie było już czymś, czego musiał wyglądać, cyklon rozpełtał się tu i teraz. Nie miał pojęcia, co się zdarzyło, lecz poczuł ukłucie szkła po tym, jak klepsydra spadła z półki i roztrzaskała się o podłogę.

Coś się stało.

Tu i teraz.

Żołnierze i powóz ze stukotem przekroczyli bramę. Królewski *entourage* zawsze stanowił nie lada spektakl, lecz nie dlatego Lazlo stanął jak wryty, jakby dusza uleciała z jego ciała i zostawiła pustą skorupę. Nic podobnego się zresztą nie stało, lecz niewykluczone, że dusza wysunęła się z niego naprzód jak wyciągnięta szyja.

Przez całe swoje życie nie widział absolutnego, nierozrzedzonego cudu. Aż do teraz.

Wojownicy. Tylko tak można było określić mężczyzn jadących za królową. Nie pochodzili z Zosmy, tutejsi żołnierze nawet podczas walki ledwie zasługiwali na to miano. Wydawało się, że miejsce ciągnących się za powozem żołnierzy jest na starożytnych polach bitewnych, pośród rozdzierających okrzyków bojowych. To do ludzi takich jak oni należała wojna. Mieli na sobie hełmy z okazałymi ciosami i brązowe napierśniki. Do pleców przypasali topory. Górowali nad pozostałymi. Ich wierzchowce były nienaturalnie wysokie. Lazlo zorientował się, że to nie konie. Nigdy nie widział niczego podobnego do tych zwierząt – gibkich, dostojnych, o tak skomplikowanej budowie. Ich długie szyje zginały się niczym u czapli; nogi miały szczupłe, z licznymi stawami; pyski jak u jelenia; duże, czarne oczy; uszy wyglądały jak śnieżnobiałe pióra; poroże, rozłożyste i imponujące, połyskiwało jak szczere złoto. Lys.

Ich rogi to spektralys, a one same to spektralni.

Spośród zebranych i zbierających się jedynie Lazlo rozpoznał białych rogaczy z Niewidocznego Miasta i tylko on potrafił nazwać jadących na nich wojowników.

– Tizerkane'owie – wyszeptał.

Tizerkane'owie. Żywi. Mogło to oznaczać tylko jedno: skoro istnieli oni, istniało również miasto. Od dwustu lat nie słyszano na ten temat choćby plotki, nie przyszła stamtąd ani jedna nowina, a teraz Tizerkane'owie wjeżdżali przez bramy Wielkiej Biblioteki. Czyste nieprawdopodobieństwo tej chwili sprawiło, że Lazlo poczuł, jakby jego odwieczne marzenie, zmęczone już czekaniem na niego, po prostu... postanowiło samo zjawić się na progu.

Wojownicy godnie reprezentowali swoich ludzi. Ciosy na ich hełmach to kły ravidów, przy pasach trzymali klatki ze skorpionami. I nie wszyscy byli mężczyznami. Po bliższym przyjrzeniu się ich brązowym napierśnikom Lazlo zauważył, że wyrzeźbiono je niezwykle szczegółowo i podczas gdy na połowie z nich dojrzał kwadratowe mięśnie i nieduże sutki, pozostałe wymodelowano, tak aby pomieściły kobiece piersi, a przy pępku miały odlane z metali tatuaże zwane *elilith*, które wykonywano dla każdej dziewczyny z Niewidocznego Miasta, kiedy ta osiągnęła dojrzałość. To akurat umknęło oczom Lazla, przejętego ekscytującą chwilą ich przyjazdu.

Całą uwagę tłumu skupił na sobie człowiek, który jechał na przedzie. Nie nosił, tak jak pozostali, ani hełmu, ani pancerza, przez co wydawał się bardziej ludzki, co nie ujmowało mu dostojności. Nie był ani młody, ani stary, jego rozwiane czarne włosy zaczęły siwieć na skroniach. Twarz miał kwadratową, ogorzałą i spękaną od słońca, jego

pogodne oczy wydawały się koralikami osadzonymi w szparkach. Biła od niego zadziwiająca żywotność, jakby wciągnął do płuc całe powietrze tego świata, zostawiając coś dla innych tylko z czystej dobroci. Jego potężna postura dwukrotnie przewyższała mocą zwykłego człowieka, ramiona miał dwa razy szersze. Złote opaski na rękawach wrzynały się między bicepsy a mięśnie naramienne, szyję pokrywały tajemnicze tatuaże. Zamiast napierśnika przyodział brunatne futro, a do znoszonego pasa przytroczył nie jeden, a dwa długie miecze. „Hreshtek”, pomyślał Lazlo, a jego dłonie same zacisnęły się na rękojeściach nieistniejących mieczy z gałązek jabłoni. Zalała go fala wspomnień. Czuł ich wyważony ciężar, kiedy machał nad głową wyimaginowaną bronią. Minęło już piętnaście lat, lecz równie dobrze mogło to być piętnaście minut, odkąd setki rozgromionych wrogów uciekły przez lodowiec. Działo się to jednak dawno temu, kiedy nadal miał w sobie dzikość. Kiedy jeszcze był potężny.

Spojrzał na niebo, lecz nie zobaczył ni śladu po widmowym ptaku. Na dziedzińcu panowała martwa cisza, nie licząc stukania końskich kopyt. Te należące do spektralnych nie wydawały żadnego dźwięku, poruszały się z taneczną gracją. Lokaj otworzył drzwi powozu i kiedy tylko wychynęła z niego królowa, mistrz Ellemire, głowa Gildii Uczonych i kustosz Wielkiej Biblioteki, ujął ją za dłoń i pomógł zejść. Był dużym, buńczucznym mężczyzną obdarzonym gromkim głosem, lecz mało co nie zrejterował na widok nowo przybyłych; zabrakło mu języka w gębie. Po chwili od strony Chryzopezjum dobiegł ich dźwięczny stukot obcasów. Ktoś stawiał sprężyste, pewne kroki. Głowy zebranych zwróciły się ku niemu. Lazlo nie musiał nawet patrzeć. Momentalnie pojął, co się dzieje. Zarekwirowanie jego książek nagle nabrało sensu. Zrozumiał, że Thyon ani ich nie spalił, ani nie rzucił powyrywanych kartek z tarasu. Wiedział z wyprzedzeniem o tej niezwyklej wizycie.

„Przeczytał je. Przygotował się. Oczywiście”.

Thyon pojawił się w zasięgu wzroku, kroczył pewnie. Zatrzymał się, aby ucałować dłoń swojej matki chrzestnej, pokłonił się nieznacznie mistrzowi Ellemire’owi i czym prędzej odwrócił do naczelnego Tizerkane’a, jakby to on był przedstawicielem biblioteki, a nie stojący obok starzec.

– *Azer meret*, Eril-Fane – powiedział silnym, śmiałym głosem. – *Onora enet, en shamir*.

„Dobrze cię spotkać, Eril-Fanie. Twoje przybycie to dla nas zaszczyt”.

Lazlo słyszał te słowa, jakby dochodziły z bardzo daleka. To tradycyjne powitanie gości w języku Niewidocznego Miasta. Wyuczone, słowo po słowie, z jego książek.

Całe lata zajęło mu opracowanie funkcjonalnego słownika Niewidocznego Miasta, a jeszcze dłużej ustalenie prawdopodobnej wymowy kolejnych liter alfabetu.

Lata.

A Thyon powiedział całe zdanie, jakby było ono czymś zupełnie zwyczajnym i powszechnie znanym, pospolitym jak kamyk podniesiony z drogi, a nie rzadkim i cennym jak klejnot.

Wojownik – Eril-Fane, jak nazwał go Thyon – był zaskoczony, że ktoś powitał go w jego ojczystym języku, niezwłocznie odwzajemnił pozdrowienie:

– Twoja gościna jest dla nas błogosławieństwem.

Lazlo po raz pierwszy słyszał, jak mówi mieszkaniec Niewidocznego Miasta, i brzmiało to dokładnie, jak sobie zawsze wyobrażał: niczym kaligrafia, litery pisane miodem.

O ile jednak Lazlo zrozumiał te słowa, o tyle Thyon nie miał pojęcia, co do niego powiedziano. Dobrze się jednak z tym krył, wypluwając z siebie kolejne uprzejmości i przechodząc na mowę wspólną:

– Takie dni jak ten tka się z marzeń. Nigdy nie sądziłem, że zobaczę Tizerkane’a na własne oczy.

– Ja zaś widzę, że wszystko, co mówili o Wielkiej Bibliotece Zosmy, to najszczęsza prawda. – Eril-Fane również posługiwał się mową wspólną; jego akcent spoczywał na gładkich sylabach niczym patyna na brązie. – Że wiatry wam sprzyjają i niosą całą wiedzę świata prosto do waszych drzwi.

Thyon roześmiał się serdecznie.

– Gdyby tylko to było takie proste! Ale niestety, to ciężka harówka, lecz ośmielę się powiedzieć, że jeśli czegoś możemy się nauczyć, to się uczymy, a jeśli jest to choć w połowie tak fascynujące jak historia twojego ludu, wtedy się tym fascynujemy.

Eril-Fane zszedł ze swego wierzchowca, a za jego przykładem poszła wysoka i naprężona jak struna wojownicza, która stanęła za nim niczym cień. Pozostali nie zsiadli, ale ich twarze nie pozostawały tak obojętne jak u żołnierzy Zosmy, lecz ożywione, zupełnie jak u ich generała: ciekawskie i pełne werwy. Tu kryła się różnica. Strażnicy Zosmy byli jak statuy posadzone na końskich grzbietach, oczy mieli puste i bez wyrazu. Równie dobrze mogliby być odlani z metalu, a nie zrodzeni z kobiety. Tizerkane’owie patrzyli na uczonych, którzy również im się przypatrywali. Ich twarze, choć otoczone ravidzimi kłami i przez to zacięte, wyrażały również fascynację, przepełniały je entuzjazm i nadzieja. Ale przede wszystkim były ludzkie.

Zaskakujące. I cudowne zarazem.

– Nie jest to nasz pierwszy przystanek – rzekł Eril-Fane; jego szorstki głos przypominał chropawą muzykę – ale nigdzie jeszcze nie przywitano nas znajomymi słowami. Przybyłem tu szukać uczonych, lecz nie spodziewałem się, że sami jesteśmy przedmiotem ich zainteresowania.

– Jak mogłeś tak pomyśleć, panie? – powiedział Thyon, brmiąc przy tym szczerze. – Twoje miasto fascynowało mnie od dziecka, bawiłem się w sadzie w Tizerkane’a i wówczas poczułem, jak jego nazwa... zostaje wyrwana z mojej głowy.

Czasem przychodzi chwila tak niesamowita, że wydaje się wycięta z czasu i przestrzeni. Staje się wtedy w miejscu, podczas gdy cały świat pędzi dalej. Oto jedna z nich. Lazlo zmarł, kompletnie zaskoczony, dzwoniło mu w uszach.

Bez książek jego pokój wydawał się niczym ciało, z którego wycięto serce.

Teraz to jego ciało wydawało się tym, z którego wycięto serce.

Ale to nie wszystko. Królowa i mistrz Ellemire przyłączyli się do tej błagi. Lazlo wszystko słyszał: o nieustającym i żarliwym zainteresowaniu odległym, słynnym miastem i jego tajemnicami, o ekscytacji wywołanej wieścią o tej wizycie. Byli niezwykle przekonujący. Nikt, kto ich słuchał, nie mógłby podejrzewać, że jeszcze kilka tygodni temu nie poświęciliby Szlochowi choćby pojedynczej myśli. Niewątpliwie zgromadzeni



na dziedzińcu uczeni zastanawiali się, jak mogli nie być świadomi tak głębokiego i długoletniego zainteresowania głowy gildii i monarchini tym tematem. Co bardziej spostrzegawczy zwrócili uwagę, że królowa na swoje sztywne, szarzejące loki założyła nową, bezcenną tiarę z lysu.

– Panie – zaczął mistrz Ellemire, prawdopodobnie próbując odebrać Thyonowi pierwszeństwo – co się przez cały ten czas działo ze Szlochem?

Błąd. Stoicki wojownik mało co się nie skrzywił, jakby nazwa ta sprawiała mu fizyczny ból.

– Nigdy nie lubiłem tej nazwy – wtrącił się Thyon i dodał cicho, jak na spowiedzi: – Smakuje gorzko na mym języku. Zwykle myślę raczej o Niewidocznym Mieście.

Kolejny nóż wbity Lazlo w serca i kolejne słowa, którymi Thyon zdobył przychylną Eril-Fane’a.

– My również tego słowa nie używamy – powiedział mężczyzna.

– Czyli jak je nazywacie? – zapytała zaintrygowana królowa.

– Nazywamy je domem, Wasza Wysokość.

– I jesteście daleko od niego – zauważył Thyon, przechodząc do rzeczy.

– Zapewne zastanawiacie się dlaczego.

– Muszę przyznać, że owszem. Ale nie tylko to mnie ciekawi. Przede wszystkim jednak chcemy powitać cię w naszym mieście wiedzy i mamy nadzieję, że będziemy mogli pomóc.

– O tak, możecie mi pomóc – odparł wojownik. – Bardziej, niż myślicie.

Czwórka dostojników weszła do Wielkiej Biblioteki i Lazlo mógł tylko patrzeć, jak znikają za drzwiami. Jego serca żarzyły się, jakby włożono tam węgielki. Nadal palił się w nim ogień. Nie został ugaszony, jeszcze się tlił, a zapłonie niczym skrzydła serafina, jeszcze zanim się to wszystko skończy.

## Rzadka okazja

Szybko się rozeszło, że gość chciał rozmawiać z uczonymi.

– Czego może od nas chcieć? – zastanawiali się po drodze do Królewskiego Teatru.

Obecność była dobrowolna, ale zjawili się wszyscy. Nawet jeśli kogoś nie zainteresowało samo przybycie wojowników, pojawiła się plotka o „rzadkiej okazji”.

– Podobno przyniósł ze sobą skrzynię pełną kosztowności, ogromną jak posazny kufer.

– A widzieliście tiarę? To lys...

– A te stworzenia? Za takie poroże można by kupić całe królestwo.

– Spróbuj się do takiego zbliżyć.

– A wojownicy!

– Niektórzy to kobiety.

– Cóż za brak przyzwoitości!

Lecz przede wszystkim zastanawiano się, kim jest mężczyzna, który rozmawiał z Thyonem.

– Podobno to jakiś bohater – usłyszał Lazlo. – Wyzwoliciel Szłochu.

– Wyzwoliciel? A spod czyjej władzy go wyzwolił?

– Spod czyjej lub od czego – brzmiała tajemnicza odpowiedź.

– Podobno zwą go Zabójcą Bogów.

Wszystko, co nagromadziło się w umyśle Lazla, postawiło krok w tył, aby zrobić miejsce dla tych informacji. Zabójca Bogów. Zastanowił się nad tym. Cóż takiego ów wojownik mógł zabić, co zasługiwało na miano boga? Przez piętnaście lat tajemnice Szłochu rzadko opuszczały jego myśli. Przez siedem przetrząsał bibliotekę, szukając wskazówek dotyczących tego, co się tam zdarzyło. Tymczasem Tizerkane'owie przybyli w jego progi, stali pod tym samym dachem co on, a razem z nimi – odpowiedzi. I cała garść nowych pytań. Co tutaj robili? Mimo oszustwa Nero Lazla opanowywała ekscytacja.

Rzadka okazja.

Czy może się wydarzyć to, na co ma nadzieję? A jeśli tak?

Jego wszystkie marzenia – oraz obawy – nie brały tego pod uwagę, nie przewidział, że jego niemożliwy sen może się ot tak spełnić... wjechać do biblioteki przez frontową bramę.

Nie zajął miejsca pośród szkarłatnych szat, stanął z tyłu, ukryty w cieniu, bo wezwano uczonych, a nie bibliotekarzy, nie chciał ryzykować, że zostanie wyproszony.

Na scenę wyszedł Eril-Fane. Zapadła cisza. Spora część uczonych zobaczyła go po raz pierwszy i prawie dało się wyczuć, jak opuszcza ich z wycuciem pielęgnowany sceptycyzm. Jeśli jakiś bóg miałby zostać zabity, oto odpowiedni człowiek do tej roboty.

Puls Lazlo przyspieszył, kiedy odezwał się ich gość:

– Minęło dwieście lat, odkąd moje miasto utraciło świat – zaczął wojownik – i zostało dlań utracone. Któregoś dnia i ta historia zostanie opowiedziana, ale nie dziś.

Dziś wystarczy powiedzieć, że minęły mroczne czasy, z których udało nam się wyjść żywymi i silnymi. Nasze trudności są już za nami. Wszystkie poza jedną. – Przerwał; dopadła go pośepność, która odcisnęła się na jego twarzy i w głosie, tajemnice Szlochu odbiły się na jego obliczu. – Cień... tego mrocznego czasu stale nas prześladowuje. Ale nie sprawia już zagrożenia. Tyle mogę powiedzieć. Nie ma się czego bać. Zapewniam. – Przerwał ponownie, a Lazlo wychylił się bliżej, sapiąc ciężko. Czemu uznał, że powinien ich o czymkolwiek zapewniać? O jakim strachu mówił? Czy chodziło mu o...? – Być może macie świadomość, że nasze miasto jest zamknięte dla *faranji*. Tak nazywamy przybyszy z zewnątrz. – Uśmiechnął się i dodał: – Rzecz jasna czule. – Odpowiedział mu przetaczający się po sali śmiech. – Być może słyszeliście też, że *faranji*, którzy upierali się przy tym, żeby jednak spróbować szczęścia, skazywano, bez wyjątku, na śmierć. – Śmiechy ustały. – Dlatego jestem wdzięczny waszej dobrej królowej, że przywitała nas milej. – Znowu śmiech, lecz tym razem niezdecydowany. Nie mogli zareagować inaczej, bo było w tym mężczyźnie coś ciepłego, coś podobnego parze unoszącej się z dzbanka herbaty; jedno spojrzenie wystarczyło, żeby stwierdzić, że to wielki mąż, ale i dobry człowiek, a to rzadko spotykane. – Nikt urodzony po tej stronie Elmuthaleth nie widział nigdy, co leży za pustynią. Ale to się zmieni. – Uszy Lazla wypełnił szum, nie chciał uронić ani słowa. – Przyszedłem bowiem z zaproszeniem, abyście odwiedzili moje miasto jako osobiści goście. Ten problem, który nam pozostał... Nie rozwiążemy go sami. Nasza biblioteka i uniwersytet zostały zniszczone przed dwustoma laty. Dosłownie. I, rozumiecie, razem z nimi odeszli depozytariusze naszej mądrości. Dlatego nie mamy dostępu do wiedzy i doświadczenia, których potrzebujemy. Do matematyki, inżynierii, metalurgii. – Mętny gest, jaki wykonał palcami, wskazywał na to, że chodziło mu o szeroko pojmowaną naukę. – Przybyliśmy z daleka, żeby zebrać delegację mężczyzn i kobiet... – kiedy to powiedział, jego oczy zlustrowały zgromadzonych, jakby chciał potwierdzić wcześniejsze przypuszczenie: pośród uczonych z Zosmy nie było kobiet; zmarszczył brwi i mówi dalej: – którzy zapewnią to, czego nam brak, i pomogą przegnać duchy przeszłości tam, gdzie ich miejsce. – Ponownie spojrzał na tłum, zatrzymując się na moment na każdej twarzy, i nawet Lazlo, przyzwyczajony do bycia niemalże niewidzialnym poprzez swoją nieistotność, poczuł na sobie ciężar tego spojrzenia, które spoczęło na nim na sekundę albo dwie i było jak płonąca nić zrozumienia, poczucie, że został przez niego zauważony i wyróżniony. – A jeśli propozycja ta – ciągnął Eril-Fane – nie przekona nikogo do porzucenia pracy i życia na przynajmniej rok, a bardziej prawdopodobne, że i na dwa, mogę zapewnić, że zostaniecie sowicie opłaceni. A na tego, który rozwiąże nasz problem – jego głos stał się gęsty od obietnic – czeka nagroda.

Usłyszawszy to, praktycznie każdy uczony z Zosmy gotowy był spakować kufer i wyprawić się przez Elmuthaleth, ale niestety nie tak to miało działać. Zabójca Bogów wytłumaczył, że nie jest to otwarte zaproszenie, że sam wybierze odpowiednie osoby na podstawie ich kwalifikacji.

Ich kwalifikacji.

Słowa te sprowadziły Lazla na ziemię niczym nagle szarpnięcie grawitacji. Nie musiano mu uzmysławiać, że „marzyciel” to nie umiejętność. Nie wystarczyło po prostu pragnąć tego bardziej od innych. Zabójca Bogów nie przybył z drugiego końca świata,

żeby ziszczyć marzenie młodszego bibliotekarza. Przybył po mądrość i naukę. Lazlo nie podejrzewał, iż oznacza to *faranji* mieniącego się ekspertem, jeśli chodzi o jego miasto. Powiedział wyraźnie, że interesuje go matematyka, inżynieria i metalurgia. Przyjechał tu po praktyczną wiedzę.

Po ludzi takich jak Thyon Nero.

Zabójca Bogów dwa dni przepyttywał uczonych w Wielkiej Bibliotece Zosmy i koniec końców wybrał tylko trzech delegatów: matematyka, filozofa przyrody i, ku niczyjemu zaskoczeniu, alchemika, Thyona Nero. Lazlo nie dostąpił zaszczytu nawet porozmawiania z przybyszem. Lecz to nie Eril-Fane odmówił mu spotkania, a mistrz Ellemire, który nadzorował proces rekrutacji.

– O co chodzi? – zapytał zniecierpliwiony, kiedy Lazlo doczekał się już swojej kolejki. – Masz dla kogoś wiadomość do przekazania?

– Co? Nie – odparł Lazlo. – Chciałem... chciałem zapytać o spotkanie. Prosić.

– Ty? O spotkanie? On raczej nie rekrutuje bibliotekarzy, chłopcze.

Stojący obok uczeni dorzucili kilka drwin od siebie.

– Nie słyszałeś, Ellemirze? Ze Strange'a żaden bibliotekarz, to niemalże uczone. Od bajeczek!

– Przykro mi to mówić – powiedział mistrz do Lazla, nie kryjąc swojego zniesmaczenia – ale Eril-Fane nie wspominał o takich zainteresowaniach.

– Może mają w Szlochu problem z elfami – rzucił inny uczone. – Umiesz łapać elfy, Strange?

– Albo smoki! Pewnie chodzi o smoki.

Szyderstwa ciągnęły się dłuższą chwilę.

– Chciałbym tylko prosić o rozmowę z nim – błagał Lazlo.

Niestety, nadal bezskutecznie. Mistrz Ellemire nie zamierzał „marnować czasu gościa” na kogoś tak „ewidentnie niewykwalifikowanego” i Lazlo nie miał już sił dalej się wyklócać. Faktycznie nie posiadał kwalifikacji. Gdyby stanął przed Zabójcą Bogów, nie miałby nawet pojęcia, co mu powiedzieć. Bo jak miałby wesprzeć swoją kandydaturę? „Znam niejedną opowieść?”

Po raz pierwszy poczuł do siebie taką pogardę, jaką latami obdarzali go inni.

Czy ktoś kiedykolwiek poświęcił taki kawał swojego życia marzeniu, które ostatecznie spełniło się komuś innemu? I to osobie, która nie miała odrobiny życzliwości. Niemożliwe marzenie, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, pokonało pustynie, góry i przybyło do Zosmy, gdzie wystosowało zaproszenie dla wszystkich obecnych... poza nim.

– Jestem ci winien podziękowania, Strange – powiedział mu później Thyon Nero, kiedy już o wszystkim zadecydowano i Tizerkane'owie szykowali się do odjazdu.

Lazlo mógł jedynie patrzeć na niego pustym wzrokiem. Był ciekawy, za co złoty chrześniak mu dziękuje. Za pomoc, kiedy był samotny i nieszczęśliwy? Za przekazanie mu klucza do sławy i bogactwa? Za uratowanie królewskiego skarbcza, dzięki czemu wypłacono żołnierzom Zosmy żołd i uniknięto wojny?

Nie. Nic z tych rzeczy.

– Twoje książki zawierały sporo użytecznych informacji – dodał Thyon. – Rzecz

jasna teraz prawdziwi uczeni zainteresują się Szlochem i amatorskie zapiski nie będą już nikomu potrzebne, ale to naprawdę niezłe prace. Powinieneś być z siebie dumny.

Dumny. Lazlo przypomniał sobie to jedno jedyne „Dziękuję”, które usłyszał od niego, jak jeszcze byli dziećmi, i nie mógł uwierzyć, że było ono choć trochę szczere.

– Co tu jeszcze robisz? – zapytał Thyona. – Nie powinieneś przebywać z wybranymi?

Tizerkane’owie siedzieli już na swoich wierzchowcach, ich spektralni lśnili bielą, kontrastując z ciemnymi, brązowymi twarzami wojowników, zaciętymi i... żywymi. Eril-Fane żegnał się z królową, przy której stali matematyk i filozof. Wybrani uczeni jeszcze nie wyruszyli z Tizerkane’ami, mieli się z nimi spotkać za cztery miesiące w karawanseraj w Alkonost, skąd cała delegacja miała ruszyć razem przez Elmuthaleth. Dostali czas na skończenie badań i przygotowanie się na długą podróż. Żaden z nich nie był poszukiwaczem przygód, przynajmniej jeszcze nie. Tymczasem Tizerkane’owie zamierzali kontynuować swoje podróże i szukać uczonych także w królestwach Syrify, Thanagostu i Maialenu.

Lazlo nie miał pojęcia, czemu Thyon bratał się z plebsem. Nie licząc chęci wygłoszenia kilku przechwałek.

– Już sobie idę – odpowiedział. – Chciałem tylko, żebyś wiedział, jak bardzo pomocne okazały się twoje książki. Eril-Fane był zachwycony moją wiedzą na temat jego miasta. Masz pojęcie, że nigdy nie spotkał żadnego obcego, który potrafiłby powiedzieć o nim cokolwiek? Czyż to nie cudowne?

„Cudowne” nie było słowem, jakie przyszło Lazlo do głowy.

– Tak czy inaczej – ciągnął Thyon – nie chciałem, abys się martwił, że twoja praca poszła na marne.

Lazlo nie był człkiem gniewnym czy zazdrosnym, lecz poczuł w tym momencie ukłucie jednego i drugiego uczucia, jakby jego żyły były lontami, po których biegł ogień, zostawiając po sobie popiół.

– Czemu chcesz tam jechać? – zapytał z goryczą. – Przecież nic to dla ciebie nie znaczy.

Thyon wzruszył ramionami. Wyglądał nieskazitelnie – wdział wyprasowaną koszulę, był dokładnie ogolony, głos miał męski, a minę beztroską.

– Będą o mnie opowiadać historie, Strange. Kto jak kto, ale ty powinieneś to docenić. I musi znaleźć się tam miejsce na przygodę, nie sądzisz? Legenda byłaby nudna, gdyby nie wyszła poza bramy laboratorium.

Legenda? Opowieść o złotym chrześniaku, który wydestylował azoth i uratował królestwo. Nie chodziło o Szloch, ale o niego. Thyon poklepał Lazla po plecach.

– Lepiej już pójdę i się pożegnam. Nie bój się, Strange, odzyskasz swoje książki.

Nie było to żadne pocieszenie. Przez te wszystkie lata symbolizowały one marzenie, a teraz mogą jedynie przypominać o jego kresie.

– Nie bądź taki ponury – kontynuował Thyon. – Któregoś dnia powrócę i wtedy, obiecuję – położył dłoń na sercu – opowiem ci wszystko o tajemnicach Szlochu.

Odrętwiały Lazlo patrzył bezsilnie, jak tamten odchodzi. Tylko dziecko mogłoby

narzekać, że to nieuczciwe, bo któż bardziej od niego przekonał się o niesprawiedliwości życia? Odebrał tę lekcję, jeszcze zanim nauczył się chodzić, zanim nauczył się mówić. Ale jak niby miał się z tym pogodzić? Jak miał dalej żyć ze świadomością, że jego szansa przybyła i odeszła, a jemu nawet nie pozwolono spróbować? Wyobrażał sobie, że robi krok naprzód, na oczach wszystkich, i zwraca się bezpośrednio do Eril-Fane'a. Na samą myśl zapiekła go twarz i zaschło mu w ustach. Równie dobrze mógłby zostać zamieniony w kamień.

Mistrz Hyrrokkin podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Domyślam się, że to trudne, Strange, ale przejdzie ci. Niektórzy rodzą się do rzeczy wielkich, a inni po to, aby pomóc im te rzeczy osiągnąć. I nie ma w tym żadnego wstydu.

Lazlo mało co nie wybuchnął śmiechem. Ciekawe, co mistrz Hyrrokkin powiedziałby, gdyby poznał prawdę o tym, co Lazlo już zdążył zrobić dla złotego chrześniaka? Co powiedzieliby wszyscy, dowiedziawszy się, że to baśnie kryły klucz do uzyskania azothu? Co mówiliby uczeni, którzy go wyśmiewali? Kiedy poszedł do Chryzopezjum ze swoim *Cudem na śniadanie*, było dla niego oczywiste, że to historia Thyona, nie jego, i nawet nie rozważał zatrzymania jej dla siebie.

Lecz tym razem... to była jego historia.

Był Strange'em, marzycielem, a to jego marzenie.

– Chcę pomóc wielkiemu człowiekowi – odpowiedział bibliotekarzowi. – Chcę pomóc Eril-Fane'owi. Chcę pomóc Niewidocznemu Miastu.

– Mój chłopcze – stary westchnął nie bez pewnej dozy smutku – jak miałbyś mu pomóc?

Lazlo tego nie wiedział, lecz był pewien jednego: nikomu nie pomoże, jeśli zostanie tutaj. Patrzył, jak Eril-Fane żegna się z Thyonem. Scena ta mogła oszołomić. Członkowie królewskiego rodu i wojownicy wyglądali wspaniale. Eril-Fane wsunął stopę w strzemię i wskoczył gładko na swego wierzchowca. Thyon stał tuż obok, niczym brakujący element pięknego obrazu. Niektórzy rodzili się tylko po to, żeby stać się częścią takich scen. Mistrz Hyrrokkin był o tym święcie przekonany, tego od zawsze uczono Lazla. A inni rodzili się po to, żeby... Co? Stać beczynnym pośród tłumu, nie robić nic i akceptować bezgłośnie każdą porcję gorzkiego rozczarowania, jaką im się serwuje?

Nie. Po prostu... Nie.

– Zaczekajcie, proszę!

Słowa te wyszły od niego. Tu i teraz, przy wszystkich. Bicie jego serc było ogłuszające. Lazlo czuł się, jakby pod jego czaszką rozległ się grzmot. Uczeni rozglądali się, żeby zobaczyć, który spośród nich miał czelność się odezwać i z zaskoczeniem, zszokowani nawet, obserwowali, jak przez zgromadzonych przeciska się cichy, młodszy bibliotekarz o rozmarzonych oczach. Lazlo sam siebie zaskoczył. Stąpał z poczuciem nierzeczywistości tej chwili. Eril-Fane usłyszał go i obejrzał się z zaciekawieniem przez ramię. Chłopak nie czuł ni stóp, ni nóg. Równie dobrze mógłby unosić się nad ziemią, choć bardziej prawdopodobne wydawało mu się, że jednak idzie, tylko nie czuje żadnego kroku. Odwaga, jaką się wykazał, stała w sprzeczności ze wszystkim, co w nim do tej pory tkwiło, lecz oto stał przed ostatnią szansą: musiał coś zrobić albo na zawsze utraci

swoje marzenie. Zmusił się do pokonania jeszcze paru metrów.

– Nazywam się Lazlo Strange – zawołał i na te słowa obrócił się cały oddział Tizerkane'ów.

Ich żywe twarze zdradzały zaskoczenie. Lazlo nie tylko miał śmiałość się odezwać, lecz mówił po... niewidocznemu. I w przeciwieństwie do Thyona, który traktował ten język jak coś zwyczajnego, on wymawiał każde słowo, jakby szlifował drogocenny klejnot. Jego chropawy głos nadawał im brzmienia magicznego zaklęcia.

– Czy mogę prosić o poświęcenie mi chwili? – zapytał, nadal posługując się ich językiem.

Chyba nie wyglądał przy tym na szaleńca, choć pewnie mało brakowało, bo czuł się takowym, ale Eril-Fane obrócił swojego spektralnego, aby przyjrzeć się chłopakowi, i skinął głową, każąc mu podejść.

– Kto to? – Lazlo usłyszał pytanie królowej zadane kąśliwym tonem. – Co on mówi?

Thyon wystąpił naprzód, zerkając to na Lazla, to na Eril-Fane'a.

– Panie – powiedział pośpiesznie; rozwiała się otaczająca go aura dostojności – nie musisz się nim kłopotać. To tylko bibliotekarz.

– Tylko? – Przybysz zmarszczył brwi.

Jeśli Thyon przeczytał *Dziela zebrane*, musiał wiedzieć, że w dawnym Szlochu powiernicy ksiąg byli również powiernikami mądrości, a nie służącymi jak w Zosmie. Zorientowawszy się, że popełnił błąd, jak najszybciej starał się go skorygować.

– Chciałem jedynie powiedzieć, że nie posiada doświadczenia, którego poszukujesz.

– Rozumiem – odparł Eril-Fane, na powrót odwracając się do Lazla. Odezwał się do niego we własnym języku, a nieprzyzwyczajonemu do tych głosek uchu chłopaka wszystkie jego słowa wydawały się wymawiane powoli i ostrożnie. – Co mogę dla ciebie zrobić, młodzieńcze?

Lazlo nie miał okazji liznąć języka mówionego, lecz zdołał odpowiedzieć, niepewny gramatyki:

– Chcę pojechać z tobą. Proszę, pozwól mi się na coś przydać.

Eril-Fane był szczerze zdumiony.

– Czemuś nie przyszedł do mnie wcześniej?

– Nie... Nie pozwolono mi, panie – odparł Lazlo.

– Rozumiem – powtórzył Eril-Fane, tym razem, jak zdawało się Lazlo, z pewnym niezadowolaniem. – Powiedz mi, jak nauczyłeś się naszego języka?

Chłopak zaczął niepewnie:

– Ułożyłem... Ułożyłem klucz na podstawie starych dokumentów handlowych. Od nich zacząłem, a potem mogłem przerzucić się na listy i książki...

Cóż jeszcze mógł dodać? Jak miałyby opisać te wszystkie godziny, setki godzin, spędzone nad dokumentami przewozowymi, kiedy jego oczy wodziły po arabeskach i zawijasach brzmiącego niczym muzyka alfabetu, który studiował w mdłym świetle głowy? Jak przekazać prawdę o tym, że język ten dopasował się do jego umysłu jak nic nigdy przedtem, był dla niego tym, czym liczby dla matematyka i powietrze dla fletu? Nie



potrafił tego zrobić, dlatego dodał jedynie:

– Zajęło mi to siedem lat.

Eril-Fane przemyślał to, co usłyszał, rzucając kątem oka spojrzenie Thyonowi Nero – który z niepokoju cały zeszywniał – jakby porównywał teoretyczną wiedzę alchemika z głębszym jej zrozumieniem ze strony Lazla; ale nawet jeśli istotnie o tym myślał, nie zdradził się ani słowem.

– A czemuś się go uczył? – zapytał.

Lazlo nie był pewien, jakiej odpowiedzi udzielić. Nie był pewien, co dokładnie powiedział, ale chciał wyrazić swoje myśli mniej więcej następującymi słowami:

– Twoje miasto mnie fascynuje. Nadal czuję na języku smak jego prawdziwej nazwy i mam pewność, że magia istnieje, bo dotknęła mnie tamtego dnia, i nie pragnę niczego bardziej, niż przekonać się samemu, czy to wszystko, co przeczytałem, to prawda.

– O magii? Czy moim mieście?

– O mieście – odparł Lazlo. – O obu. Przez magię... – Szukał odpowiednich słów, lecz sfrustrowany musiał przejść na mowę wspólną. – Obawiam się, że to mroczne zaklęcie – mówił dalej – skoro uczyniło rzecz tak straszną i wymazało pamięć o mieście. Nigdy potem nie byłem już świadkiem istnienia magii. Rzecz jasna nie licząc białego ptaka – dodał na koniec.

– Słucham? – Zabójca Bogów nagle spoważniał. – Jakiego białego ptaka?

– Zjawy... orła – powiedział Lazlo. – Nie do ciebie należał? Tak pomyślałem, skoro przybył z wami.

– Nadal tu jest? – zapytał niecierpliwie Eril-Fane. Rozglądał się po niebie, nad dachami. – Kiedy ją zobaczyłeś? I gdzie?

„Ją”? Lazlo wskazał palcem za pałac.

– Tam, kiedy nadchodziliście od strony drogi – powiedział. – Wydawała się lecieć za wami. I po chwili zniknęła na moich oczach.

– Strange, proszę – wciął się Thyon. – O czym ty mówisz? Znikające ptaki? – Zaśmiał się, tak jak śmieje się dorosły z niemądrego dziecięcego pomysłu, lecz zabrzmiało to fałszywie. – A teraz muszę cię prosić, abyś dał naszemu gościowi spokój. Odsuń się i idź tam, gdzie twoje miejsce.

Lazlo obrócił się do niego. Alchemik położył zupełnie spokojnie dłoń na rękojeści miecza, lecz jego spojrzenie zdradzało gorejącą zawiść. Bibliotekarz odczytał z jego twarzy coś jeszcze, tłący się tam strach. Nie zachowa swojej posady, nie po takim akcie nieposłuszeństwa. Thyon nie pozwoli mu odejść, nie, skoro zna jego tajemnicę. Wychodząc przed szereg, zaryzykował wszystkim. Nagle stało się dla niego jasne, co robić. Gdy chłopak na powrót spojrzał na Eril-Fane'a, zaśpiewała w jego sercach jakaś nienaturalna, ogromna odwaga.

– Panie – zaczął – to prawda, że nie znam się na inżynierii i nauce. Lecz mogę ci się przydać, bo nikt nie będzie pracował ciężiej, przyrzekam ci to. Mogę być twoim sekretarzem, zajmę się kontraktami z członkami delegacji, będę pisał listy i pilnował ksiąg. Będę robił wszystko. Lub zadbam o spektralnych. Będę je poił. Cokolwiek tylko potrzeba. Będę... Będę...

Jakby utracił nad sobą panowanie. Słowa same z niego wypływały. „Kim jestem?”,

zadał sobie pytanie. „Co mogę zaoferować?” Zanim zdążył ugryźć się w język, powiedział:

– Będę opowiadał historie. Znam ich mnóstwo.

Zapadło bolesne milczenie.

„Znam ich mnóstwo”.

Czy naprawdę to powiedział?

Thyon Nero wybuchnął gromkim śmiechem. Eril-Fane pozostał poważny. Wymienił się spojrzeniami ze swoją przyboczną, wysoką, wyprostowaną jak struna. Lazlo nie potrafił zinterpretować ich zachowania. Miał przed sobą piękną wojowniczkę, lecz piękną w inny sposób, niż piękne były kobiety z Zosmy. Nie uśmiechała się i nie korzystała z malowideł. Przy kącikach oczu miała zmarszczki od śmiechu, a przy ustach od smutku. Nie odezwała się, lecz przemknęła między nimi jakaś myśl. Tych parę sekund okazało się najdłuższe w całym życiu Lazla, bo obciążone przeznaczeniem. Jeśli go tutaj zostawią, czy przetrwa choćby dzień? Co zrobi mu Nero i jak długo będzie z tym zwlekał?

Eril-Fane odchrząknął.

– Od bardzo dawna nie słyszeliśmy żadnych opowieści – powiedział. – I istotnie przyda mi się sekretarz. Zbierz swoje rzeczy. Wyruszysz z nami już teraz.

Oddech uwiązał mu w gardle. Nogi miał jak z waty.

Cokolwiek przez cały ten czas pozwalało mu stać prosto, puściło, musiał starać się z całych sił, żeby nie upaść. Wszyscy czekali na jego odpowiedź. Nasiąkniętą niedowierzaniem ciszę przeplatały ożywione szepty.

– Niczego nie mam – wydyszał.

Była to prawda, ale nawet jakby cały pałac wypełniono tym, co uważał za swoje, nie ruszyliby się z miejsca z obawy, że Tizerkane'owie rozmyślą się i odejdą, zabierając jego szansę, jego marzenie – jego życie – ze sobą.

– Zatem wsiadaj – powiedział Eril-Fane.

Przyprowadzono spektralnego.

Spektralny. Dla niego.

– Oto Lixxa.

Wojownik wręczył Lazlo lejce, jakby ten miał pojęcie, co z nimi począć. Nigdy nie jeździł na koniu, a co dopiero na takim stworzeniu. Stał tak przez chwilę i tym razem to Tizerkane'owie zaczęli szeptać i spoglądać na niego ciekawie. Przywykł do chowania się za opasłymi tomiszczami albo w cieniu zastawionych półek, a teraz padało na niego jasne światło letniego poranka. Nie miał się za czym skryć – żadnych ksiąg ani regału. Ostał się tylko Lazlo Strange w wyciągniętych szarych szatach i z nosem złamanym przez baśnie, wyglądający jak bohater nieopowiedzianej nigdy historii.

Albo lepiej: bohater nieopowiedzianej jeszcze historii.

Niezdarnie wdrapał się na grzbiet zwierzęcia. Nie miał odpowiedniego ubioru, lecz udało mu się przełożyć nogę, co wydawało się mu najistotniejsze. Szaty zawinęły mu się do kolan. Miał blade łydki, a miękkie podeszwy jego pantofli już się niemal starły. Lixxa wiedziała, co robić, ruszyła za pozostałymi, kiedy ci wyszli za bramę. Zgromadzeni patrzyli na Lazla z szeroko otwartymi oczyma; tylko Thyon przymrużył swoje z gniewu.

– Możesz zatrzymać książki – powiedział na odchodne Lazlo.

Spojrzał po raz ostatni na tłum – pośród szkarłatnych szat gdzieś dostrzegł szarość – zauważył mistrza Hyrrokkina, równie zdumionego, co dumnego. Lazlo skinął starem głową, bo zdał sobie sprawę, że to jedyny prócz Thyona człowiek, który wiedział, ile to dla niego znaczyło, i jedyny, który życzył mu dobrze, po czym mało co nie wyrwał mu się z piersi szloch.

„Jadę do Szlochu”, pomyślał i niemal się roześmiał, rozbawiony grą słowną. Udało mu się jednak powstrzymać.

Kiedy Tizerkane’owie wyjechali przez bramę Wielkiej Biblioteki, a potem z samej Zosmy, towarzyszył im Strange marzyciel.

Miało to miejsce Szóstego Księżyca, kiedy na północy panowało lato.

Nastał Dwunasty Księżyc, a wraz z nim zima. Eder pokrył się śniegiem, młodzi mężczyźni układali poezje dla dziewczyn poznanych na lodowisku.

Lazla Strange'a pośród nich nie było. Jechał na swoim spektralnym na czele długiej, falującej kolumny wielbłądów. Zostawił za sobą największą pustkę znanego mu świata. Nad głową miał płaskie niebo, pod stopami równie płaską ziemię; przebył niekończące się kilometry nicości, której po to nadano nazwę Elmuthaleth, aby można było ją przeklinać spierzchniętymi ustami.

Miesiące podróży odmieniły go. Słońce przypiekło skórę bibliotekarza, a potem opaliło. Mięśnie mu stwardniały, na dłoniach wykwitły pęcherze. Stwardniał jak płat mięsa zawieszony w wędzarniczym dymie. Mimo że od tygodni nie widział swojego odbicia, nie miał wątpliwości, że mistrz Hyrrokkin byłby z niego zadowolony.

„Mężczyzna powinien mieć zmarszczki od spoglądania za horyzont, a nie tylko od ślęczenia nad książkami po ciemku”.

Cóż, oto horyzont, o którym Lazlo marzył, odkąd skończył pięć lat. Przed nim znajdował się bowiem ostateczny kraniec pustyni: Guzek. Postrzępiony i lśniący, był utworzoną nisko formacją oślepiająco białego kamienia i zarazem idealną, naturalną fortyfikacją strzegącą tego, co leżało za nią. Jeszcze go nie widział, tak jak nie widział go żaden *faranji*, ale wiedział, że znajdowało się tam miasto, które utraciło swoją nazwę, i kłopot, którego Zabójca Bogów nie zdoła rozwiązać bez pomocy.

Był pierwszy tydzień Dwunastego Księżyca. Znajdował się na dalekim krańcu Elmuthaleth. Strange marzyciel – pasażer na gapę z biblioteki i uczonego w baśniach – nigdy nie był bardziej spragniony.

I pełen marzeń.

## CZEŚĆ II

thakrar (thah·krahr) *rzeczownik*

Punkt na skali zdumienia, kiedy zachwyty przechodzi w strach albo strach w zachwyty.

*Archaizm; pochodzi od ekstatycznych kapłanek Thakry, wyznawczyń serafinów, których rytualny taniec oddawał dualizm piękna i trwogi.*

- Da się pocałować ducha.
- Pewnie sama się o tym przekonałaś.
- Żebyś wiedziała. To jak pocałować kogoś żywego.
- O tym to akurat nie masz pojęcia.

Sarai kryła się w półmroku krużganka, przysłuchując się rytmowi melodyjnej kłótni Jaskółki i Ruby. Nigdy nie skakały sobie do oczu, ale też nie potrafiły sobie odpuścić. Miała pewność, że jeśli wyszłyby do ogrodu, zostałyby wciągnięta w sprzeczkę, a nie była jeszcze na to dostatecznie rozbudzona. Było późne popołudnie, dopiero co wstała i zesza chwila, zanim strząsnęła z siebie efekty wypicia haustu śpiocha – mikstury, która pomagała jej spać. Zасыiała co prawda bez problemu. Jej noce były długie i wypełnione czarną robotą, a o świcie padała z nóg i odpływała, jak tylko zamknęła oczy. Nie pozwalała sobie jednak na zaśnięcie, zanim nie łyknęła śpiocha, bo dzięki niemu nie śniła.

Nie odważyłaby się śnić.

- Całowałam się już – powiedziała Ruby. – Całowałam ciebie.
- Buziaki w policzek się nie liczą – odparła Jaskółka.

Sarai patrzyła, jak obie lśnią w świetle kryjącego się już słońca. Jaskółka właśnie skończyła szesnaście lat, urodziny Ruby wypadły za kilka miesięcy. Tak jak Sarai, one również miały na sobie jedynie jedwabne koszule nocne, które gdyby ktoś teraz zobaczył, zapewne uznałyby za bieliznę. Pomyślałby tak ktoś żywy, oczywiście. Zbierały śliwki, ich nagie ramiona wyciągały się ku przypominającym rzemienie bicia gałęziom, ciemne głowy miały odwrócone od Sarai, jedna ze starannie ułożonymi włosami, druga z rozwichrzonymi. Rozczochrana należała do Ruby, która nie godziła się na plectenie warkoczy i zachowywała się, jakby ją mordowano, gdy ktoś podejmował próbę rozczesania jej kołtunów. Po przebiegu ożywionej debaty Sarai domyśliła się, że Ruby utrzymuje, jakoby całowała ducha. Westchnęła. Żadna niespodzianka. Z całej piątki to Ruby była najbardziej żywiołowa, a przez to wykazywała się skrajną nietolerancją na nudę.

„Tobie to łatwo – usłyszała od niej pewnego dnia. – Co noc widzisz ludzi. Żyjesz. Pozostałe z nas są skazane na obcowanie z duchami”.

Sarai nie protestowała. Faktycznie mogło się tak wydawać. Codziennie widywała lud Szlochu, co jednak niczego nie ułatwiała. Bynajmniej. Przecież każdej nocy musiała być świadkiem czegoś, czego sama nigdy nie doświadczy. Żadne to życie. Raczej utrapienie.

- Dobrze, że nie śpisz – powiedział Feral.

Przemierzał właśnie krużganek – długie arkady wychodzące na ogród od strony prawego skrzydła cytadeli, gdzie niebawem miała zostać podana kolacja dla całej ich piątki. Orchidee Jaskółki ociepliły niebieskie mesartjum, z którego skonstruowano całą budowlę, na tyle że twardy materiał jawił się niczym powidok. Całe setki storczyków –

rozmaite ich rodzaje – wykwiwały, wyrastały, ciągnęły się i wiły, oplatając kolumnadę lasem kwieciami. Bluszcz otulił filary, epifity przyczepiły się do sklepienia niczym przycupnięte motyle. Stwarzało to iluzję wystawności. Niemal dało się zapomnieć, gdzie się znajdowali, tam mogli sobie wyobrażać, jak to jest być wolnym, stąpać po prawdziwym świecie.

Niemal.

Feral, sojusznik Sarai, razem z nią jak rodzic opiekował się pozostałą trójką. Miał, tak jak ona, siedemnaście lat, oboje lada chwila zostaną rzućeni na głębokie wody dorosłości. Był wysoki, nadal szczupły, bo i prędko dorósł, niedawno zaczął nawet się golić lub, jak mówiła Jaskółka, męczyć biedne lico brzytwą. Istotnie nie opanował jeszcze tej trudnej sztuki do perfekcji, lecz szybko się wprawiał. Sarai nie widziała na jego twarzy nowych zacięć, tylko gojącą się już ranę na kanciastej krawędzi podbródka. Wyglądał na cokolwiek zmęczonego.

– Zły dzień? – zapytała.

Dziewczyny czasem potrafiły dać wycisk, a jako że Sarai z konieczności przeszła na tryb nocny, praktycznie cała odpowiedzialność za ich obowiązki i egzekwowanie posłuszeństwa Regule spoczywała na Feralu.

– Nie – odparł. – Tylko długi.

Myśl, że dni mogą być długie, wydawała się Sarai osobliwa, bo dziewczyna wszystkie przespiała prawie od świtu do zmierzchu i niezmiennie miała uczucie, jakby otwierała oczy za ledwie chwilę po tym, jak je zamknęła. Tak działał śpioch. Łykała swoje dni jednym szarym haustem.

– A ty? – zapytał. Z jego piwnych oczu wycierała troska. – Miałaś złą noc?

Wszystkie noce Sarai były złe, bo i zła była według niej sama natura nocy.

– Nie, tylko długa – zawtórowała mu z tęsknym uśmiechem, kładąc dłoń na szczupłym karku i kręcąc głową.

Nie spodziewała się, że zrozumie. Żeby cała ich piątka przetrwała, on zrobił swoje i ona zrobiła swoje. Nie było sensu narzekać.

– Gdzie Minya? – zapytała Sarai, zauważając nieobecność piątej członkini ich dziwacznej rodziny.

Feral wzruszył ramionami.

– Nie widziałem jej od śniadania. Może jest z Dużą Ellen.

Duża Ellen przed Rzezią prowadziła żłobek, a teraz zajmowała się wszystkim, a raczej tym, co jeszcze jako tako funkcjonowało. Nie pozostało tego wiele.

– Pocałuj ducha w ucha! – usłyszeli z ogrodu łagodny, wyraźnie rozbawiony głosik Jaskółki, ale jej śmiech urwało niebawem oburzone „Au!”, kiedy Ruby rzuciła w nią śliwką.

– Kto to? – zapytała Sarai. – Na kogo tym razem zapolowała swymi usteczkami?

Feral wydał z siebie jęk będący ekwiwalentem wzruszenia ramionami.

– Chyba na Kema.

– Poważnie? Kema? – Sarai zmarszczyła nos.

Kem był z nimi od samego początku. Przed Rzezią służył jako kamerdyner i nadal miał na sobie tę samą liberię co w chwili śmierci. Sarai uznała to za wyraz ogromnego

braku wyobraźni.

– A co? – zapytał Feral, unosząc brwi. – Ty kogo byś pocałowała?

Tonem jednocześnie lekkim i wyniosłym Sarai odpowiedziała:

– Każdej nocy całuję tuziny ludzi. – Dotknęła palcem miejsca tuż nad zewnętrzną krawędzią łuku swej cynamonowej brwi. – Tutaj. Mężczyzn i kobiety, dzieci i starców. Całuję, a oni drżą. – Jej głos był lodowaty, serca również. – Całuję, a oni lamentują.

– To żadne całowanie – zachnął się Feral. Chciał się z nią tylko podroczyć. Miał, oczywiście, rację. To, co Sarai robiła nocami, nie było całowaniem.

– Może i nie – odpowiedziała nadal lekko i wyniosłe – ale tylko na tyle mogę mieć nadzieję.

Opuściła ramiona i uniosła podbródek. Postawa ta jasno wskazywała, że to koniec dyskusji. Feral wyglądał, jakby miał ochotę ją pociągnąć, lecz nagle dobiegł ich ożywiony głos Ruby.

– Zaraz się przekonamy, dobrze? – powiedziała, a po chwili dodała śpiewnie: – Feral, gdzie jesteś?

– O nie – wymamrotał chłopak.

Na krużganku pojawiła się Ruby, wyglądała jak wylaniająca się z lasu orchidea, jej szczupła sylwetka przypominała łodygę, na której trzymała się rozczochrana grzywa. Feral zapragnął umknąć z jej pola widzenia, lecz było już za późno. Spojrzała go.

– Tutaj jesteś. O, witaj, Sarai, mam nadzieję, że dobrze spałaś. Feralu, podejdiesz na moment?

Jaskółka wyskoczyła za jej plecami.

– Nie potrzebujesz go – powiedziała. – Daj mu spokój!

To, co nastąpiło potem, stanowiło znakomitą ilustrację nieporządku, jakim rządziło się życie cytaдели. Ruby chwyciła Ferala za kołnierz i przysunęła jego głowę bliżej swojej. Chłopak szamotał się, ale trzymała mocno. Docisnęła swoje usta do ust opiekuna, co wyglądało i brzmiało raczej jak akt łapczywej konsumpcji niż całowanie.

Ochłodziło się. Niebo nad ich głowami pociemniało i zachmurzyło się, złowieszcze bałwany uformowały się znikąd, szare, gęste i ciężkie od deszczu. Krużganek wypełnił się dzikim zapachem ozonu, powiało wilgocią, przez co poczuli się, jakby wokół nich rozpętała się burza, jeszcze zanim spadły pierwsze krople, lodowate i rześiste. Mogliby przysiąc, że lecą z wielkiego wiadra z urwanym dnem. Bryznięło zimnem i na Sarai, ale to Ruby była celem. Przemoczyło ją w trymiga.

Dziewczyna odessała się od Ferala, ten zdołał się wyrwać i zatoczył się do tyłu, nie spuszczać jej z oczu i wycierając usta, które choć pozostały całe, aż lśniły od śliny. Ruby próbowała umknąć burzowej chmurze, ale ta niestrudzenie podążała za nią.

– Feral, odwołaj ją! – zawołała, lecz nie posłuchał, więc natarła na niego z deszczem nad głową. Chłopak zdołał wykonać unik. Skrył się za Sarai, którą Ruby staranowała, czemu towarzyszyło plaśnięcie, brzmiące jakby uderzono o wilgotny, lodowaty jedwab.

Zaskoczona Sarai ze świstem wciągnęła powietrze. Deszcz był lodowaty.

– Feral! – zdołała wychrypieć.

Chmura zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Sarai odepchnęła się od Ruby,



skołowana i przemoczona do suchej nitki. Pod jej stopami uformowało się płytkie, ale szerokie jeziorko. Krople deszczu lśniły na orchideach, strugi wody spływały po ich mięsistych płatkach, koszula nocna przylgnęła jej do skóry. Sarai rozbudziła się całkowicie.

– Dziękuję bardzo – rzuciła do Ferala, który nadal wycierał z twarzy ślinę.

– Nie ma za co – odparł gburowato.

Kiedy byli mali, myśleli, że Feral potrafi tkać chmury. Nie było nikogo, kto mógłby im to wytłumaczyć, tak jak nikt nie wyjaśnił im daru Sarai ani tych, którymi obdarzono pozostałe dziewczyny. Bogowie umarli, zostawiając ich samych sobie. Chmury zjawiały się, bo tak chciał Feral. Nadpływały, zanim jeszcze zdążył się zdecydować, że je przywoła, reagując na jego nastroje, co bywało okropnie, jak mówiła Duża Ellen, uciążliwe. Ileż to razy zalewało żłobek, bo mały chłopiec rozżłościł się lub podekscytował. Teraz potrafił je kontrolować i jako tako świadomie przywoływać. Czasem zwiastowały ulewy, robiły się ciemne i ciężkie, innym razem przypominały kłęby lekkiego, białego puchu, które rzucały delikatny cień i wykręcały się w kształty kojarzące się z sylwetkami polujących ravidów albo z unoszącymi się na niebie zamkami. Niekiedy sypały śniegiem, co zawsze witano uśmiechem, albo były gradem, czego z kolei nie znoszono, a niekiedy wydzielaly duszne miazmaty zalatujace ziemią i rozkładem. Rzadziej były piorunami, stwarzając niejaki niebezpieczeństwo. Sarai i Feral mieli po dziesięć, może jedenaście lat, kiedy z mgły wyłonił się oblepiony nią papierowy latawiec i zrozumieli, że Feral nie tkał chmur, ale wrywał je odległemu niebu. Kradł.

Nazywali go Złodziejem Mgieł. Jego zadaniem było utrzymanie ich wszystkich przy życiu. Rzeka płynęła bowiem zbyt daleko, a deszcze pojawiały się rzadko. Przez sporą część roku ich jedyne źródło wody stanowiły owe przyzywane przez Ferala chmury.

Zwykle rozwichrzone włosy Ruby przylgnęły do jej ciała, całe mokre, niczym skóra wydry, nadal ociekając strumieniami deszczu. Biała koszula nocna przykleiła jej się do piersi, małe sutki i zagłębienie pępka stały się teraz doskonale widoczne przez przezroczysty materiał. Dziewczyna jednak nie wykonała żadnego ruchu, żeby się zasłonić. Feral odwrócił wzrok.

Ruby skierowała twarz do Jaskółki i, ewidentnie zaskoczona, przyznała się do porażki:

– Miałaś rację. Jest inaczej niż z duchami. Ciepłej. I... mokro. – Zaśmiała się i potrząsnęła głową, a końcówki jej włosów obficie splunęły deszczem. – Bardzo mokro.

Jaskółka nie podzielała jej rozbawienia. Oszolomiona dziewczyna obróciła się na bosej pięcie i szybkim krokiem udała się z powrotem do ogrodu.

Ruby odwróciła się do Sarai.

– O co jej chodzi? – zapytała, całkowicie niepomna tego, co dla jej rozmówcy było od miesięcy oczywiste: uczucie, jakim Jaskółka darzyła Ferala, dawno już przeistoczyło się z niewinnej siostrzanej miłości w coś... jakby to ujęła Ruby... cieplejszego.

Sarai nie miała jednak zamiaru tłumaczyć tego ani jej, ani Feralowi, który również nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo. Tak zwykło się komplikować życie, kiedy człowiek dorastał. Dotknęła mokrej koszuli i westchnęła. Szczęśliwie jej bielizna nocna

była ciemnoszara i nie zrobiła się przeźroczysta jak u Ruby, ale i tak będzie musiała pójść się przebrać.

– Już prawie czas na kolację – powiedziała Sarai. – Lepiej idź się wysusz.

Ruby spojrzała na siebie, a potem na Sarai.

– Dobrze – odparła z figlarnym błyskiem w oku.

– Ale nie tak... – zaczęła Sarai, lecz było już zbyt późno.

Ruby zapłonęła. Sarai musiała odsunąć się od niej, kiedy ciało Ruby spowiły trzeszczące jęzory ciemnopomarańczowego ognia. Zajaśniała niczym lampa olejowa pocałowana przez iskrę, ale szybko zaczęła przygasać i znowu ujrzeli jej sylwetkę wyraźniej, jakby skóra wsysała płomienie jeden po drugim. Oczy dziewczyny, ostatnia ostoja ognia, płonęły czerwienią rubinu, która nadała jej imię. Przez krótką chwilę wyglądała jak świątynna statua wyrzeźbiona ku czci złej bogini, ale prędko stała się znowu sobą, i tylko sobą. Nie został na jej ciele ani ślad po koszuli nocnej, choćby spopielający pyłek.

Z oczywistej przyczyny nazywali ją Ognikiem. Podczas gdy Feral jako dziecko mógł być przyczyną jedynie niewielkich niedogodności, Ruby stanowiła prawdziwe niebezpieczeństwo, szczególnie przy jej kapryśnym charakterze. Dobrze, że ich opiekunki już wtedy nie żyły, a duchy okazały się niepalne. Płomienie nie mogły też zaszkodzić mesartjum, więc nie istniało ryzyko, że podpali cytadelę.

– Suchutka – powiedziała dziewczyna.

Faktycznie. Jej włosy, nawet nieokopcone, znowu się rozwichrzyły, nadal trzeszcząc po kontakcie z ogniem. Sarai wiedziała, że są jak żarzące się węgielki, naga skóra Ruby również. Pokręciła głową, zadowolona, że ten pokaz ominął Jaskółkę.

Feral nadal stał z odwróconą głową.

– Powiedz mi, kiedy można patrzeć – rzekł znudzony.

– Szkoda koszuli – skarciła ją Sarai.

Ruby wzruszyła ramionami.

– Co za różnica? I tak nie pożyjemy na tyle długo, żeby zabrakło nam koszul.

Powiedziała to od niechcienia, jakby to była oczywistość, dlatego jej słowa z miejsca przebiły zbroję Sarai. Wywołały większy szok niż lodowaty deszcz.

„Nie pożyjemy na tyle długo...”

– Ruby! – upomniała ją.

Feral, równie zaskoczony, odwrócił się, nie martwiąc się już, czy dziewczyna jest naga, czy nie.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał.

– A co, ty nie? – Teraz to Ruby wydawała się szczerze zdziwiona.

Stała tak, wysuszona ogniem, swobodna ze swoją nagością. Niebieska. Niebieska jak opale, bladoniebieska. Niebieska jak chaber albo jak skrzydła ważki, jak wiosenne – nie, letnie – niebo. Niebieska jak pozostali. Niebieska jak pięcioro martwych, którzy jeszcze żyli.

– Naprawdę myślicie, że się tu zestarzejemy? – zapytała, spoglądając to na Sarai, to na Ferala i gestykulując. – Chyba sobie żartujecie. Naprawdę potraficie wyobrazić sobie jakąś przyszłość?

Sarai zamrugwała. Nie pozwalała sobie na stawianie tego pytania. Starali się, jak mogli, i żyli zgodnie z Regułą. Czasem myślała, że to wystarczy.

– Mnóstwo rzeczy może się zdarzyć – powiedziała. Usłyszała w swym głosie słabość i niepewność.

– Co na przykład? – zapytała Ruby. – Poza, oczywiście, śmiercią.

Sarai nie potrafiła wymyślić ani jednego potencjalnego scenariusza.

Sarai zdjęła – a raczej odlepiła – z siebie mokrą koszulę i pozwoliła jej opaść na podłogę garderoby. Szary jedwab na niebieskiej, metalowej podłodze. Niebieskie palce u stóp, niebieskie nogi, niebieskie odbicie w niebieskim lustrze, którego nie wykonano ze szkła, ale z wypolerowanego na wysoki połysk mesartjum. Tylko jej włosy nie były niebieskie – lśniły brązową czerwieńią cynamonu. I białka oczu. I zęby. Te jaśniały nieskazitelną bielą, lecz tylko gdy się uśmiechała, co czyniła nieczęsto.

„I tak nie pożyjemy na tyle długo, żeby zabrakło nam koszul”, powiedziała Ruby.

Sarai popatrzyła na rzędy nocnych koszul zwisających z niewielkich haczyków z mesartjum. Miały ich tak wiele, wszystkie piękne. Owszem, to ledwie bielizna, lecz i ona, i Ruby, i Jaskółka wołały nosić je zamiast jedynej dostępnej alternatywy: sukni.

Nigdy nie będą miały innych ubrań – ani innego życia – tylko to, co zapewnia cytadela, a cytadela zapewnia jedynie ubrania po martwych boginiach.

Garderoba była przestronna niczym hol. Rozwieszono tam dziesiątki sukni, lecz wszystkie zdawały się albo zbyt eleganckie, aby nosić je na co dzień, albo zbyt paskudne. Satyny, jedwabie i sztywne brokaty, zdobione szlachetnymi kamieniami i różnymi futrami – przy niektórych nadal zwisały uczepione zwierzęce łby o szklanych oczach i obnażonych kłach. Któraś miała spód przypominający klatkę wyrzeźbioną z wielorybiej kości, inna długi tren wykonany z tysięcy pozszywanych ze sobą gołębich skrzydeł, jeszcze inna stan z czystego, przetopionego złota, co upodabniało ją do pancerza żuka, kolejna kołnierz z ości trujących ryb, których niewielkie zęby wszyto we wzór niczym małe perle. Wisiały tam również kapelusze i welony, gorsety z ukrytymi sztyletami, gustowne pelerynki i wyglądające na ledwie stabilne wysokie buty wykonane z hebanu i koralu. Wszystko krzykliwe, niepraktyczne, okrutne. Ubrania te wydawały się Sarai czymś, co mógłby nosić jedynie potwór chcący uchodzić za człowieka.

To myśl bliska prawdzie. Potworem tym była Isagol, bogini rozpaczy. Jej matka. Martwa od piętnastu lat.

Sarai miała tysiące wspomnień o Isagol, lecz żadne nie należało do niej. Była młoda, miała tylko dwa lata, kiedy to nastąpiło. To. Rzeź. Lśnienie noży i przelana krew. Koniec jednego świata i początek kolejnego. Pamięć o matce posiadała z drugiej ręki, zapożyczyła od ludzi, których odwiedzała nocą. Niekiedy bogini pozostawała martwa, innym razem jawiła się żywa. Kiedy ją zamordowano, miała na sobie opalizującą zieloną suknię mieniącą się jadem i skrzydełkami żuka, a jako że wyglądała niemal jak Sarai, dziewczyna czuła się, jakby w tych wizjach widziała zapowiedź własnej śmierci. Tyle że Isagol malowała na twarzy, na wysokości oczu, czarny pasek, biegnący od skroni do skroni jak niewielka maska. Sarai spojrzała na półkę, na której matka trzymała malowidła i perfumy. Stała tam też buteleczka barwnika sadzowego, nieruszona przez cały ten czas. Sarai go nie używała. Nie chciała jeszcze bardziej upodabniać się do bogini rozpaczy.

Musiała się ubrać. Obróciła się ku koszulom nocnym. Biały jedwab czy szkarłatny, a może czarny z czerwoną lamówką? Złoty, chartreuse czy różowy jak niebo o zachodzie

słońca? Ciągłe słyszała echo tego, co powiedziała Ruby – „Nie pożyjemy na tyle długo” – i widziała dwa scenariusze: zostanie zamordowana i nigdy nie założy żadnej z tych koszul. Ludzie spalą je lub rozerwą na strzępy, tak jak spalą i rozerwą na strzępy również i ją. Albo będzie żyła i założy je wszystkie, każdą po kolei. Duchy będą je prały i rozwieszały, raz po raz, przez całe lata, a ona będzie wkładać to jedną, to drugą, aż się w nich zestarzeje. Wydawało jej się to jednak szyte grubymi nićmi – te myśli o starości. Musiała sama się przed sobą przyznać, iż nie liczyła na bardziej optymistyczną przyszłość niż Ruby. Ale i tak wypowiedzenie tego głośno było dla niej niczym brutalne objawienie.

Chcąc dobrać ubranie do nastroju, włożyła czarną koszulę i udała się do krużganka na kolację. Ruby przyszła ze swojej garderoby odziana tak skąpo, że równie dobrze mogłaby pozostać naga. Na opuszkach jej palców tańczyły ogniki. Ferał, nie zwracając na nią uwagi, rozłożył księgę symboli.

– Gdzie Minya i Jaskółka? – zapytała Sarai.

– Jaskółka łązi po ogrodzie, nadąsana – odparła Ruby, a jej zaabsorbowanie sobą wskazywało, że nie miała pojęcia, o co chodziło przyjaciółce. – Minya jeszcze nie przyszła.

Sarai wydało się to dziwne. Minya zwykle nie mogła się doczekać, aż wyjdzie ze swojego pokoju, nękała opiekunkę, odkąd tylko zdążyła otworzyć oczy.

„Opowiedz mi coś złowieszczonego – mówiła, a oczy jej lśniły na myśl o sprawozdaniu z ostatniej nocy. – Zmusiłaś kogoś do płaczu? Krzyczał ktoś przez ciebie?”

Latami Sarai nie miała nic przeciwko snuciu podobnych opowieści. Do czasu.

– Pójdę po Jaskółkę – powiedziała.

Ogród w postaci tarasu rozciągającego się na całej szerokości cytadeli stykał się z jednej strony z potężnym murem, a z drugiej sąsiedował z głęboką przepaścią okalaną jedynie sięgającą bioder barierką. Niegdyś ogród był zadbane, dzisiaj przypominał dzicz. Krzewy, które dawniej starannie przycinano, rozrosły się jak rozłożyste drzewa, a pnącza winorośli rozlały się ze starannie sporządzonych drabinek, goniły teraz po murach i kolumnach, oplatając balustradę. Przyroda rozwijała się nieustannie, lecz nie sama z siebie. Nie poradziłaby sobie samodzielnie, nie w tym nieprzyjaznym naturze miejscu. Działo się tak jedynie dzięki Jaskółce.

Sarai zastała ją zbierającą kwiaty anadne – świętą roślinę Lethy, bogini zapomnienia. Otrzymało się z niej śpiocha, napój, który przeganiał sny.

– Dziękuję – powiedziała Sarai.

Jaskółka podniosła głowę i uśmiechnęła się do niej.

– To dla mnie żaden trud. Ellen mówiła, że czas na nową partię. – Dorzuciła garść kwiecica do miski i strzepnęła z dłoni pyłek. – Żałuję, że tego potrzebujesz, Sarai. Chciałabym, abyś się uwolniła od snu.

Sarai również by tego chciała, ale życzenia na nic się zdadzą.

– Może i sama nie śnię – powiedziała, co nie miało zbytniego znaczenia – ale mam sny innych.

– To nie to samo. To jak czytanie tysiąca cudzych dzienników bez prowadzenia własnego.

– Tysiąca? Raczej setki tysięcy.

Bo tyle mniej więcej liczyła ludność Szłochu.

– Dużo – powiedziała Jaskółka, zamyśliwszy się. – Jak dajesz sobie z tym radę? Sarai wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna, czy daję, ale sporo można się nauczyć podczas czterech tysięcy nocy.

– Czterech tysięcy. Tak długo już żyjemy?

– Dłużej, niemądra.

– Dokąd odchodzą dni?

Uśmiech Jaskółki pełen był słodczy, ona sama miała urok nie mniejszy niż ogród i Sarai nie mogła się nadziwić, jak idealnie pasował do niej ten dar. Czarownica Orchidea – tak ją nazywali, ponieważ wyczuwała puls wszelkiego stworzenia i sprawiała, że się rozwijało. Była, jak często zwykła myśleć o niej Sarai, osobą ulepioną z wiosny. Dar Ruby również stanowił przedłużenie jej charakteru: Ognik, płonący niczym ogień na szczycie latarni morskiej, jak nieokiełznany pożar lasu. A Minya i Feral? Czy ich dary do nich pasowały? Sarai nie lubiła tej myśli, bo jeśli tak i ich umiejętności przekazywały prawdę na temat duszy, co dało się o niej rzec?

– Myślałam o tym – zaczęła Jaskółka – że nasze życie jest jak cytrynada. Zamknięte. Bez nieba nad głową. Lecz sen to ogród. Można wyjść z celi i poczuć niebo wokół. Sen doprowadzi cię, gdzie tylko chcesz. Możesz zaznać wolności. Też na nią zasługujesz, Sarai.

– Skoro cytrynada to nasze więzienie – odparła Sarai – to jest też i naszym sanktuarium. – Oderwała biały kwiat od łądygi i wrzuciła Jaskółce do miski. – Tak samo śpioch – dodała.

Sen mógł się jej wydawać szarym pustkowiem, ale wiedziała, co czyha za bezpiecznymi granicami wyznaczanymi przez śpiocha, i owa szarość przynosiła jej ukojenie.

– Poza tym – ciągnęła – moje sny nie byłyby jak ogród.

Nie chciała zazdrościć Jaskółce. Dar przyjaciółki uważała za prosty i piękny zarazem, a swój za ni taki, ni taki.

– Może pewnego dnia takie się staną – powiedziała Jaskółka.

– Może – mruknęła Sarai, a nadzieja nigdy nie jawiła się jej tak fałszywą. – Chodźmy na kolację – dodała i razem udały się do środka.

– Dobry wieczór, boskie dzieci – powiedziała Mała Ellen, niosąc z kuchni wazę.

Tak jak Duża Ellen, Mała była z nimi od samego początku. I też pracowała w żłobku, stąd potrzeba ich rozróżnienia. Szczęśliwie jedna górowała nad drugą nie tylko głową, ale i pozycją. Sam Skathis, bóg żywych stworzeń i pan Mesarthimów, nazwał je odpowiednio Dużą i Małą.

Ruby, kiedy postawiono przed nią talerz, wydała z siebie żalosne westchnienie.

– Znowu zupa z kimrilu. – Nabrała pełną łyżkę, przechyliła ją i patrzyła, jak gęsty płyn ścieka z powrotem do naczynia, beżowa breja o konsystencji zastalej wody. – Wiesz, co to jest? Zupa czyścicowa – powiedziała do Jaskółki. – Nie możesz wyhodować nam czegoś nowego?

– Pewnie bym mogła – odparła dziewczyna, a w jej głosie pojawiła się cierpkość, nieobecna podczas rozmowy z Sarai – gdybym potrafiła wyczarować nasiona z powietrza. – Upiła z łyżki małej zupy. – Ale nie potrafię.

Jaskółka mogła sprawić, że rośliny rosły, lecz musiała mieć z czym pracować. Ogrody cytadeli wypełniały przede wszystkim ozdobne, pełne egzotycznego kwiecia krzewy, z rzadka coś jadalnego. Mieli szczęście, że dawno, dawno temu ogrodnik założył herbarium, posiał trochę ziół, zieleninę i jakiegokolwiek warzywa, oraz że ich niegdysiejszy gość, olbrzymi biały ptak, na którego mówili Zjawa, bo zwykł rozpląwać się w powietrzu, kiedy dopadł ich głód, obdarował ich bulwami kimrilu. Łatwo się go hodowało i był pożywny, choć bez smaku. Stał się z czasem podstawą ich nudnej diety. Sarai zastanawiała się, czy ptak wiedział, że uratował życie pięciu niebieskim odszczepieńcom, czy to naprawdę łut szczęścia. Nigdy potem już się nie pojawił, czyli chyba jednak to drugie. Jaskółka uprawiała grządki. Feral dbał o to, żeby beczułki pozostawały pełne deszczówki. Ruby również robiła swoje: jeśli nie mieli czym palić, zapewniała ogień. Podgrzewała im posiłki i balie. Minya, cóż, odpowiadała za duchy, które wykonywały większość prac.

Tylko Sarai nie miała żadnego z nużących, codziennych zadań.

„Czyścowa polewka”, pomyślała, mieszając breję łyżką.

Najprostsze z możliwych dań serwowali na najlepszej porcelanie, bogato zdobionych talerzach i półmiskach z grawerowanego srebra. Jej kielich także wykonano ze srebra, wyryto na nim splątane gałęzie myrantyny. Niegdyś bogowie pili z niego wino. Dzisiaj bogów już nie było, jedynie dzieci chodzące w białych szatach, a z kielichów żłopano tu tylko deszczówkę.

– Nie mogę już tak dłużej – powiedziała Ruby, wypuszczając łyżkę do zupy, która chlupnęła na stół i na świeżą koszulę. – Nie dam rady przełknąć ani jednego łyka tej mdłej lury.

– Musisz tak dramatyzować? – zapytał Feral. Odłożył łyżkę i upił z przechylnego talerza. – Nie jest taka paskudna. Zostało nam chociaż jeszcze trochę soli. Pomyśl, co będzie, jak się skończy.

– Nie powiedziałam, że jest paskudna – odparła Ruby. – Gdyby była paskudna, nie nazywałaby się czyścową polewką, prawda? Tylko piekielną. Co byłoby pewnie bardziej interesujące.

– Mhm – zgodziła się Jaskółka. – Tak jak ciekawiej jest być bez końca torturowaną przez demony, niż nie być bez końca torturowaną przez demony.

Debata na temat tego, co można uznać za interesujące, trwała jeszcze przez jakiś czas. Ruby upierała się, że zawsze opłaca się gonić za czymś ciekawszym, nawet jeśli związane jest z tym niebezpieczeństwo, które prowadzi do zatracenia.

– Czyściec to nie tylko brak tortur – perorowała. – To kompletna nicość. Może i nikt się nad tobą nie znęca, ale też nawet cię nie dotknie.

– Dotknie? – Zdziwiona Jaskółka uniosła brwi. – Skąd nagle ten temat?

– Nie chcesz, żeby ktoś cię dotykał? – Oczy Ruby zalśniły czerwienią, kąciki ust uniosły się jak u kotki; przemawiały przez nią i tęsknota, i głód. – Nie chciałabyś mieć kogoś, z kim mogłabyś się stąd wymknąć i oddać psotom?

Jaskółka spłonila się, a na jej niebieskich policzkach wykwitly ciepłe, różowe plamy, nadając twarzy dziewczyny fioletowy blask. Spojrzała na Ferala, który ponownie nic nie zauważył. Patrzył na Ruby.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział ponuro. – Już dość dzisiaj nawywijałaś.

Ruby przewróciła oczami.

– Proszę cię. Nie powtórzę już podobnego eksperymentu. Koszmarnie całujesz.

– Ja? – obruszył się Feral. – Przecież to ty... Ja nic nie robiłem!

– Dlatego było koszmarnie! Powinieneś coś zrobić! Pocałowałam cię, a nie sparaliżowałam...

– Raczej podtopiłaś. Nie spotkałem nikogo, kto produkowałby tyle śliny...

– Moi kochani, moje żmije. – Kojący głos Dużej Ellen rozlał się po jadalni.

Jej słowa wydawały się, tak jak i ona sama, unosić. Stopy Dużej Ellen nie dotykały posadzki, nie kłopotala się nawet markowaniem chodzenia. Inaczej niż pozostałe duchy porzuciła pozory śmiertelności. Nie obowiązywały ich te same prawa co żyjących. Jeśli ukazywali się innym dokładnie w takiej postaci, w jakiej odeszli, była to wyłącznie ich decyzja, bo albo uważali, że lepszej formy nie mogliby przyjąć, albo obawiali się przerwania ostatniej nici – symbolizowanej przez ich własną twarz – łączącej ich z rzeczywistością, albo, jak lokaj Kem, nie przyszło im do głowy, że mogą coś zmienić, choć to akurat było rzadkością. Zazwyczaj z czasem dokonywali pewnych niewielkich korekt. Mniejsza Ellen na przykład za życia miała tylko jedno oko, bo drugie wyłupiła jej pewna rozzłoszczona bogini), lecz po śmierci odtworzyła je sobie, a przy okazji powiększyła i wydłużyła rzęsy. Ale to Duża Ellen okazała się prawdziwą mistrzynią pośmiertnej kontemplacji. Jej wyobrażenia stanowiła cudowne narzędzie i kobieta potrafiła z duchowej materii wydziergać ciągle zmieniającą się manifestację swojego wspaniałego „ja”.

Tego wieczoru nosiła ptasie gniazdo zamiast korony, nie zabrakło nawet eleganckiego zielonego ptaszka, który wyśpiewywał arie. Było to tylko złudzenie, lecz złudzenie doskonałe. Twarz pozostawiła jako tako niezmienioną: miała oblicze matrony, policzki wysokie i okrągłe – jak mówiła Sarai, „policzki szczęśliwości” – ale zamiast długich, białych i miękkich jak wełna włosów ciągnęły się za nią jakby chwyczone wiatrem liście.

Postawiła na stole biszkopty upieczone z kimrilowej mąki, równie mdłe jak zupa.

– Dość tego narzekania i marudzenia – powiedziała. – Co z tym całowaniem?

– Nic, nic – odparł Feral. – Ruby próbowała utopić mnie w ślinie, to wszystko. A tak w ogóle, czy widział ktoś ostatnio Kema? Chyba nie leży martwy w jakiejś kałuży?

– Cóż, martwy to jest na sto procent – podkreśliła Sarai. – Nie mam pewności co do śliny.

– Może gdzieś się chowa – powiedziała Jaskółka. – Albo prosi Minyę, żeby oszczędziła mu cierpień.

Ruby pozostała niewzruszona.

– Mówcie sobie, co chcecie. Uwielbia to. Jak nic pisze na ten temat poezje.

Sarai wydała z siebie zduszone prychnięcie na myśl, że Kem mógłby cokolwiek napisać. Duża Ellen westchnęła.



- Te usteczka sprowadzą na ciebie kłopoty, mój piękny płomieniu.
- Mam nadzieję.
- Gdzie się podziewa Minya? – zapytała Duża Ellen, zauważywszy puste krzesło.
- Myślałam, że jest z tobą – odparła Sarai.

Duża Ellen pokręciła głową.

- Nie widziałam jej cały dzień.
- Sprawdziłam pokoje, tam też jej nie ma – dodała Ruby.

Popatrzyli po sobie. Nie dało się zaginać w cytadeli, chyba że skoczyłoby się z tarasu, a Sarai uważała, że jeśli ktokolwiek miałby to zrobić, to na pewno nie Minya.

- Gdzie ona może być? – zastanawiała się głośno Jaskółka.
- Rzadko z nią ostatnio rozmawiałem – przyznał Feral. – Ciekawe, co porabiała.
- Stęskniliście się za mną? – zapytał ktoś dziecięcym, dźwięcznym, słodkim jak lukier głosem.

Sarai odwróciła się i zobaczyła stojącą na progu Minyę. Sześciolatka była niechlujna, miała okrągłą buzię i patykowate kończyny. Jej duże oczy błyszczały, tak jak błyszczą jedynie u dzieci i u spektralnych, choć w tym przypadku nie tliła się w niej niewinność.

- Gdzieś ty się podziewała? – zapytała Duża Ellen.
- Zaprzyjaźniałam się – rzuciła dziewczynka. – Spóźniłam się na kolację? Co jemy? Znowu zupę?

- Powiedziałam dokładnie to samo – mruknęła Ruby.

Minya zrobiła krok naprzód i wyjaśniło się, co oznaczało zaprzyjaźnianie się. Prowadziła za sobą ducha niczym domowe zwierzątko. Był to ktoś świeży, twarz miał jeszcze zdumioną.

Sarai poczuła ucisk w gardle. „Nie, oby nie kolejny”.

Duch szedł za Minyą, zeszywniały, jakby opierał się jakiejś sile. Gdyby jednak szarpał się z całych sił, i tak nic by mu to nie dało. Należał do niej i nie mógł już odzyskać wolnej woli. Oto jej dar. Wyławiała duchy i kazała im sobie służyć. Dlatego cytadelę wypełniali martwi. Tuzin służących dbał o potrzeby pięciorga dzieci, które nie były już dłużej dziećmi.

Minya nie miała pseudonimu, tak jak Złodziej Chmur, Ognik czy Czarownica Orchidei. Minya zawsze była tylko Minyą, albo panią, jak nazywały ją duchy oplecione przez nią pajęczynką niewoli.

Po śmierci dusze stawały się niewidzialne, niematerialne i nietrwale. Krążyły jedynie przez parę dni pomiędzy śmiercią a przejściem na drugą stronę istnienia i tylko wtedy mogły uczepić się swoich ciał albo dryfować bezsilnie ku ostatecznemu unicestwieniu, chyba że zostały odnalezione i zatrzymane przez Minyę. Dziewczynka posiadała umiejętność nadawania im formy; nie ciała i kości, ale materii. Otrzymywali ręce do pracy i usta do całowania. Mogli mówić, tańczyć, kochać, nienawidzić, gotować, nauczać, łaskotać, a nawet kołysać dzieci do snu, ale tylko jeśli Minya im na to pozwoliła. Kontrolowała ich całkowicie.

Teraz prowadziła za sobą mężczyznę, który nadal przypominał siebie za życia. Sarai go poznawała, nie mogło być inaczej. Znała ludzi ze Szłochu lepiej niż

kogokolwiek, łącznie z ich przywódcami i kapłankami. Stanowili przedmiot jej czarnej roboty. Jej noce. Prędzej czy później umierali i trafiali pod kuratelę Minyi, lecz kiedy jeszcze żyli, wtedy decydowała o nich Sarai.

– Powiedz, jak się nazywasz – rozkazała duchowi Minya.

Zazgrzytał zębami, chcąc zatrzymać swoje imię dla siebie, lecz wytrzymał cztery, może pięć sekund, aż uległ, wyraźnie zmęczony. Nie rozumiał, czemu Minya sobie z nim pogrywa. Zostawiła mu dość wolnej woli, żeby wierzył, iż może się jej postawić. Było to okrutne. Jakby zostawić otwartą klatkę, lecz związać ptakowi nóżki pętem, sprawić, że wolność to jedynie iluzja. Przez cały czas, nawet we śnie, Minya zarządzała tuzinem duchów, a jej władza nad nimi była nieograniczona. Jeśli zażądała, żeby się przedstawił, musiał się przedstawić. Gdyby powiedziała mu, aby wyśpiewał swe imię, musiałby to zrobić. Zapewne dobrze się bawiła, pozwalając mu myśleć, że da radę się jej oprzeć.

Sarai nic na to nie powiedziała. Nie mogłaby mu pomóc. A nawet gdyby, to i tak by tego nie zrobiła. Zabiłby ją i wszystkich pozostałych. Gdyby żył, zrobiłby wszystko, żeby rozerwać ich na strzępy gołymi rękoma.

I nie mogła go za to obwiniać.

Nareszcie Minya wyrwała mu z gardła imię.

– Ari-Eil! – wydyszał.

– Młodziak – powiedziała Ruby, przypatrując mu się z nienaturalnym zaciekawieniem. – Jak umarłeś? Ktoś cię zabił? – zapytała tak obojętnym tonem, jakby pytała go o zdrowie.

Mężczyzna, kompletnie przerażony, wodził oczami od Ruby do Ferala, od Jaskółki do Sarai, próbując zaakceptować, że ma przed sobą niebieskich ludzi.

Niebieskich. Niebieskich jak tyrania, jak niewolnictwo, jak potwory na ulicach.

Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Sarai, patrzył na nią trwożliwie i dziewczyna domyślała się, co zobaczył: powstałą z martwych Isagol Groźną. Ale miała młodszą twarz i pewnie wydawała mu się naga bez czarnej krechy wymalowanej na twarzy. Nie była Isagol. Zobaczyła, że dotarło do niego nie to, kim była, ale czym. Czym byli oni wszyscy.

– Boskie pomioty – wyszeptał.

Sarai poczuła jego obrzydzenie, uderzyło ją z całą swoją mocą, jakby i ono otrzymało, z nadania Minyi, materialność. Powietrze aż się od niego lepiło. Cuchnęło. Mężczyzna pokręcił głową i zamknął oczy, jakby chciał zaprzeczyć ich istnieniu, ale to nie pomogło, posłużyło jedynie ostatecznemu potwierdzeniu. Każdy nowy duch, który przychodził do nich zszokowany, tylko udawał, że jeszcze nie złamali Reguły.

Reguła, jedyna słuszna. Sami ją sobie narzucili. Była szalenie prosta, lecz składały się na nią niezliczone zakazy. Gdyby żyli tysiąc lat, odkrywaliby kolejne działania, których nie wolno im wykonywać.

„Żadnego dowodu życia”.

I to tyle. Trzy słowa, mantra zawiadująca ich egzystencją. Cytadela za wszelką cenę musiała wydawać się opuszczona. Musieli pozostać w ukryciu, nie dać ludziom znaku, że jeszcze ktokolwiek tu został i, co było nie do pomyślenia, że pięć szkaradzieństw przetrwało Rzeź i od piętnastu lat ukrywało się przed światem. Reakcja ducha

potwierdzała, że im się udało. Że nadal pozostawali sekretem: owocami masakry przelewającymi się przez zakrwawione palce.

– Jesteście martwi – powiedział, niemalże błagając, aby mu przytaknęli. – Zabiliśmy was.

– A jeśli o to chodzi... – zaczęła Ruby.

Minya pociągnęła za niewidzialną smycz i duch padł na kolana.

– Nie jesteśmy martwi – powiedziała. – Za to ty jesteś.

Mężczyzna musiał się już tego domyślić, lecz bezpośredniość komunikatu okazała się dla niego ciosem z zaskoczenia. Rozejrzał się i starał się zaakceptować, że jest w miejscu, które znał z sennych mar.

– Czy to piekło? – zapytał zachrypniętym głosem.

Ruby się zaśmiała.

– Chciałabym – odparła. – Witaj w czyścicu. Może zupy?

Lazlo ścisnął włócznię mocniej, przemykał powoli po pustynnym piasku. Ruza szedł z lewej, Tzara z prawej. Towarzyszący mu Tizerkane'owie również byli uzbrojeni we włocznie i choć wojowniczką nauczyła go rzucać, chłopak nadal czuł się jak pozorant.

– Jak przyjdzie co do czego, na nic się nie przydam – powiedział, zanim wybrali się na łowy.

Szukali stworzenia rodem z baśni. Nie przypuszczał, że są prawdziwe, a co dopiero, że będzie mu dane na jakieś zapolować.

– Nie doceniasz się, *faranji* – odparł Ruza pewnym głosem. – Zawsze mogę rzucić mu cię na pożarcie i uciec. Jeśli uratujesz mi życie, nigdy ci tego nie zapomnę.

– Pięknie – prychnął Lazlo. – Dokładnie o taki heroizm mi chodziło, kiedy bawiłem się jako dziecko w Tizerkane'a.

– Do niczego takiego nie dojdzie – wtrąciła się Tzara, dźgnąwszy Ruzę w bok. – Tylko się z nim podrażnimy. Nie można docenić trawca, póki się go nie zobaczy. To wszystko.

„Podrażnić. Podrażnić się z potworem. A co potem?”

– Patrzcie i bójcie się – powiedział Eril-Fane zadowolony z pomysłu.

Karawana zmieniła nieco kurs, żeby ominąć stwora szerszym łukiem, lecz Ruza nie mógł się doczekać, aż Lazlo zobaczy najbrzydsze stworzenie Elmuthaeth. Trawce były drapieżnikami atakującymi z ukrycia. Zagrzebywały się pod piaskiem i czekały, nawet całymi latami, aż nawinie im się ofiara, lecz stanowiły zagrożenie tylko wtedy, gdy miało się pecha na nie nastąpić. Dzięki towarzyszącym karawanie sokołom udawało się jednak precyzyjnie określić ich pozycję. Ptak krążył nisko nad ziemią i zataczał koła tam, gdzie chował się trawiec. Z karawaną zawsze podróżował sokolnik opiekujący się wyjątkowym gatunkiem ptaka, który wyczuwał zapach zwierzęcia i pomagał go unikać, a czasem na nie polować, tak jak robili to teraz, lecz nigdy z zamiarem zabicia.

Zbliżyli się do trawca na odległość kilkunastu metrów i Lazlo poczuł na karku dreszcz. Nigdy na nic nie polował.

– Czuje, że nadchodzimy – powiedział Ruza. – Wyczuwa wibracje naszych kroków. Pewnie jest podekscytowany. Jego paszcza wypełnia się sokami trawiennymi, gorącymi i bulgoczącymi. Jakby cię połknął, czułbyś się jak po wejściu do wanny, choć to paskudna kąpiel.

Ruza był najmłodszy z Tizerkane'ów, miał ledwie osiemnaście lat i to on sprawił, że Lazlo poczuł się mile widziany. Nie żeby pozostali byli dla niego nieuprzejmi. Chodziło o to, że Ruza miał energiczny sposób bycia, a przede wszystkim lubił się droczyć, i to on nauczył go podstawowych umiejętności jak jazda konna czy przeklinanie. Dobrze szła mu nauka języka, bo i dużo mówił, lecz nie można było mu wierzyć, o czym Lazlo dość prędko się przekonał. Raz zapytał Azareen, przyboczną Eril-Fane'a, zamiast o to, czy jej pomóc: czy chce powąchać mu pachy.

Odmówiła.

Ale to było kiedyś. Teraz Lazlo opanował niewidoczny na tyle, że poznawał, kiedy Ruza go zwodził. Czyli przez większość czasu.

– Cicho – powiedziała Tzara. – Patrzcie na piasek.

Lazlo spojrzał na cień krążącego nad pustynią sokoła, lecz nadal nie dostrzegał ani śladu zagrzebanej pod piaskiem bestii. Nie dało się poznać, gdzie się ukrył.

Tzara stanęła.

– Chcesz czynić honory? – zapytała.

Też była jedną z młodszych wojowniczek. Twarz miała gładką i ciemną, nos dumny i o wysokim grzbiecie. Jej prawą brew przecinała blizna. Głowę goliła na gładko, zostawiając sobie jedynie gruby na dwa centymetry pasek biegnący przez środek czaszki, pozwalając mu rosnąć i zaplatała go w pojedynczy warkoczyk.

– Honory? – zdziwił się Lazlo.

Podawała mu kamyczek.

– Rzucaj.

Lazlo trzymał w jednej ręce włócznię, w drugiej kamyk. Popatrzył na piasek i cień krążącego nad nim ptaka, po czym nabrał powietrza i... rzucił. Kamień zatoczył łuk. Spodziewał się, że coś się wydarzy, że stwór będzie olbrzymi, lecz nie przygotował się na to, co rzeczywiście nadeszło. Jak tylko kamień uderzył o piach, pustynia wybuchła. Piasek wystrzelił na wszystkie strony, kłuł Lazla w twarz i dostał mu się do oczu. Stwór, który wyskoczył tuż przed nim, wydawał mu się w pierwszej chwili jedynie ogromną, rozmazaną plamą. Odskokzył do tyłu, włócznia nagle wydała mu się niesłychanie ciężka. Potknął się o własne nogi i wylądował z głuchym łupnięciem na ziemi. Ruza i Tzara ani się nie przewrócili, ani nawet nie opuścili włóczni. Nabrał odwagi, patrząc na nich, otarł piach z oczu.

Trawiec wyglądał jak ogromny pajak, lepszego porównania jego umysł nie potrafił znaleźć, aby trafniej opisać to, co miał przed sobą. A i tak nie wydawało się ono ani trochę sensowne. Bo może i monstrum kojarzyło się z napęczniałym brzuszyskiem z powtykanymi nogami, lecz nie zgadzały się żadne proporcje. Jego odnóża były zbyt krótkie, nie dałyby rady utrzymać jego cielska.

Lazlo uświadomił sobie, że to nie odnóża, ale chelicery. Szczękoczułki. Tuzin szczeciniastych wypustek grubości jego ramion bił jak oszalały, a na końcu każdej znajdowały się kleszcze służące do łapania i przyciągania ofiar ku... gardzieli.

Lazlo nie potrafił powiedzieć, jak długo trawnik krył się pod ziemią, lecz na tyle, na ile potrafił to oszacować, składał się praktycznie tylko z otworu gębowego. Nie miał nawet oczu, jakby był jedynie ogromnym, pulsującym zwieraczem z ostrymi zębiskami, nagrzanym do czerwoności. Jego chelicery miały się, domagając się ofiary, a gęba otwierała się i zamykała, dolne i górne zębiska klekotały o siebie, szukając czegoś do ugryzienia. Nie znalazłszy niczego, wypluł z siebie obłok gorącego powietrza cuchnącego rozkładem. Czy to soki trawienne, o których mówił Ruza? Faktycznie jak paskudna kąpiel. Lazlo zastanawiał się, ilu podróżnych przekraczających pustynię musiało paść ich ofiarą, ilu poszukiwaczy przygód dokonało żywota w podobnej gębie. Ruza mówił, że to naturalna pułapka przyrody. Odeszli od trawca, zostawiając go samemu sobie, aby nadal

czekał na kolejnych nierozważnych przybyszy z daleka, którzy próbowali przebyć pustynię.

Dołączyli do karawany, która zatrzymała się na popas.

– I jak? – zapytał Eril-Fane. – Co powiesz o trawcach?

– Muszę chyba dopisać je do mojej listy „Jak nie chciałbym umrzeć” – odpowiedział Lazlo.

Eril-Fane się roześmiał.

– Nie inaczej. Rozumiesz, dotarlibyśmy na zachód szybciej, ale od dwustu lat nikt nie uznał za stosowne przeskoczyć choćby jednego sokoła, więc zdecydowaliśmy się poczekać.

– Rozważna decyzja – przyznał Lazlo.

Dwieście lat. Pierwsza tajemnica Szlochu, która otworzyła jego umysł niczym wierzeje. „Moje miasto zostało utracone dla świata i utraciło świat”, powiedział Eril-Fane w Zosmie. Lazlo od tamtej pory towarzyszył mu każdego dnia, lecz nadal nie dowiedział się, co to mogło znaczyć. Niebawem się to zmieni.

Jutro.

– Rozwieszę siatki mgielne – powiedział.

– Nie trzeba – odparł Eril-Fane, szcztokując swojego spektralnego, Syrangelisa. – Na jutro nam starczy.

Sieci te zaprojektowano, tak aby wysysały wilgoć z chłodnego, nocnego powietrza, które stanowiło istotne, dodatkowe źródło wody na Elmuthaleth. Nadchodziła ich ostatnia noc na pustyni i faktycznie na dotarcie do celu powinno starczyć to, co mieli w bukłakach.

– Nie ma to jak świeżo skoszona mgła – powiedział Lazlo i tak czy inaczej poszedł rozłożyć siatki.

Woda z bukłaków miała już dwa miesiące, zrobiła się nieświeża, poza tym przyzwyczał się do rutynowego zadania polegającego na wbijaniu młotem z drewna żelaznych kołków głęboko w piasek. Rozluźniało go to po całym dniu spędzonym w siodle i choć nigdy by się do tego nie przyznał po dobroci, podobały mu się zmiany zachodzące w jego ciele. Kiedy zdejmował przed kąpielą swoją białą koszulę – o ile można było nazwać kąpielą nacieranie się mieszaniną piasku i pokruszonego korzenia negau – zauważał, że jego mięśnie twardniały i wypiętrzały się tam, gdzie nigdy wcześniej ich nie zauważał. Nawet jego dłonie nie wydawały mu się już jego własnymi. Dawniej miał tylko jeden odcisk, od trzymania pióra. Teraz stwardniały mu całe po wewnętrznej stronie, a wierzch zbrązowiał. Opalił sobie również twarz i tylko szare oczy wydawały się kontrastowo jaśniejsze od ciemnej skóry, choć po miesiącach spędzonych na pustyni przywykł do tego, aby mrużyć je tak, że stawały się wąskimi szparkami. Pełne słońce jakby wyrzeźbiło mu oczy na nowo, wycinając jedynie cieniutkie linie. Zajęło się również czołem chłopaka, wysuwając je nieco i rysując zmarszczkę między brwiami, na tyle głęboką, że wydawały się one łączyć tuż nad nosem. Te niewielkie zmiany skutkowały jednak zasadniczą transformacją – senne roztargnienie zostało zastąpione czujnością łowcy.

Taką moc miało pół roku spoglądania za horyzont.

Lazlo otrzymał nawet pewien dowód na to, że nie przypominał już ani trochę

młodsze bibliotekarza, który przed sześcioma miesiącami wyjechał z Zosmy z Tizerkane'ami. Kiedy wszyscy delegaci stawili się w wyznaczonym terminie w Alkonost, żeby wspólnie przeprawić się przez pustynię, Thyon Nero nawet go nie poznał. Minęły wówczas cztery miesiące od ich ostatniego spotkania. Lazlo ze zdumieniem odnotował, że złoty chrześniak kilkakrotnie przeszedł obok niego, kiedy zatrzymali się w karawanseraj, zanim zorientował się, z niemałym zaskoczeniem, z kim ma do czynienia.

Lazlo ze swoimi długimi, ciemnymi włosami i w kapturze narzuconym na głowę radził sobie na grzbiecie spektralnego niczym wytrawny jeździec, do tego mówił po niewidocznemu, jakby jego zachrypnięty głos został do tego stworzony. Trudno było uwierzyć, że to naprawdę ten sam niezdarny marzyciel, który czytając, potrafił wpaść w ścianę.

Horyzont zamiast ksiąg. Galop zamiast czytania. Faktycznie istniało inne życie, lecz jedno się nie zmieniło: Lazlo nadal pozostał marzycielem, może nawet stał się większym. Zostawił swoje książki, lecz nie porzucił opowieści, a wyniósł je z oświetlonych gławami bibliotecznych półek prosto na pustynne krajobrazy, ileż bardziej do nich pasujące.

Jak chociażby ten, który miał przed sobą.

Naciągnął siatkę mgielną i wyrzwał zza niej na Guzek. Z początku myślał, że to miraż. Na pustyni Elmuthaleth niebo stykało się z piaskiem płaskim i gładkim, ciągnącym się daleko jak okiem sięgnąć. Nie mieściło mu się w głowie, że można tak iść i iść, dzień po dniu, przez całe tygodnie, każdej nocy rozbijać obóz i każdego ranka związać go pośród monotonnej nicości. Dni zlewały mu się w jeden nieustający sen. Nie potrafił ogarnąć umysłem rozległości tego miejsca. I kiedy ujrzał w oddali wyraźny blask, uznał, że to iluzja, jak te jeziora, które czasem widywał, a które znikwały, kiedy do nich podjeżdżali. Ale to lśnienie nie umykało. Przez kilka dni zdążyło się rozrosnąć z bladego błysku majaczącego na horyzoncie do wyraźniejszej sylwetki... Guzka. Czymkolwiek Guzek był.

Służył za wschodni kraniec Elmuthaleth i inni *faranji* zadowolili się nazwaniem go pasmem górskim, choć na nie wyglądał. Nie miał bowiem ani jednego szczytu. Cała ta formacja, przypominała gigantyczny kopiec pokryty bielą, od burego piasku pustyni aż do błękitnego nieba. Barwą przywodził na myśl mleczny kryształ, może lód.

Albo... Wyglądał dokładnie tak, jak mówiły mity.

– Już prawie. Aż trudno uwierzyć.

Calixte, jedna z *faranji*, stanęła obok Lazla, podziwiając panoramę. Zdjęła kaptur, odsłaniając kształtną czaszkę. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, głowę miała gładką jak skorupka jajka – ogoloną siłą jak niegdyś jego – ale teraz włosy jej odrastały i przypominały mięciutki brązowe pierze nowo wyklutego pisklęcia. Sińce zdążyły już zniknąć, lecz nadal miała na skórze widoczne blizny tam, gdzie została spętana kajdanami, które otarły jej kostki i nadgarstki. Calixte była nie tylko pierwszą dziewczyną, którą Lazlo uznał za przyjaciółkę, ale też pierwszą kryminalistką, jaką w ogóle poznał.

– Jutro o tej porze... – powiedział.

Nie musiał nawet kończyć tej myśli, jego napięcie wydawało się namacalne. Jutro

o tej porze będą już na miejscu. Pójdą jedną jedyną ścieżką prowadzącą przez fort Misrach aż na sam szczyt Guzka i stamtąd po raz pierwszy spojrzą na to, co leży za nim.

Na Szloch.

– Ostatnia szansa dla twojej teorii – powiedziała Calixte; trzymała w rękach swój wysłużony notatnik, uniosła go i pomachała, kartki zaszeleściły jak skrzydła motyla.

– Nie poddasz się, co?

– Powiedziałam. Zobacz, została jeszcze jedna strona – pokazała mu. – Specjalnie dla ciebie.

– Nie powinnaś była.

– Ależ powinnam. Nie myśl, że pozwolę ci dotrzeć do Guzka, jeśli czegoś nie wydumasz.

Teoria.

Kiedy delegaci spotkali się w Alkonost, spodziewali się, że zostaną poinformowani o powodzie tej wyprawy, że dowiedzą się, na czym polega ów problem, z którym boryka się Szloch. Z pewnością na to zasłużyli, skoro przebyli tak długą drogę. Kiedy Eril-Fane dźwignął się u szczytu stołu podczas ich pierwszego wspólnego posiłku, czekali milcząco, spodziewając się usłyszeć informację, której tak pragnęli i która im się należała. Następnego poranka mieli bowiem przekroczyć granicę ogromnej i przerażającej pustyni Elmuthaleth. Powinni poznać cel podróży, póki jeszcze mogli zmienić zdanie, rozmyślić się i zawrócić.

„Podczas pobytu między nami – powiedział im wtedy Eril-Fane – będziecie zmuszeni uwierzyć w rzeczy, które dzisiaj wydawałyby się wam niemożliwe. Jesteście racjonalistami, którzy ufają tylko temu, co mogą zobaczyć, dotknąć i zrozumieć. Czegokolwiek bym teraz nie powiedział, nie przygotuję nikogo na to, co się wydarzy. Przeciwnie. Przekonacie się, że niez mordowana nicość pustyni Elmuthaleth ma tendencję do igrania z ludzkim rozumem. Prędszej, niż zaspokoi czyjąś ciekawość, wzmoże sceptycyzm”.

Innymi słowy: to niespodzianka.

I tak poszli wszyscy przed siebie, nie mając pojęcia, ku czemu podążają. Nie opuszczała ich frustracja, nie przestawali spekulować. Przeprawa nie była łatwa dla nikogo, okazała się ponura i monotonna, wycieńczająca fizycznie i psychicznie. Notes z teoriami to pomysł Calixte, i to całkiem niezły. Lazlo widział, jak pozostali rozmawiali na ten temat z iskrą w oku, jakby to była jakaś zabawa, do tego interesująca. Nikomu nie działała się krzywda, że ktoś sobie pogadał, a Calixte dawała reszcie okazję do posłuchania jego głosu. Wyznaczyła proste zasady: zgadywało się, na czym mógł polegać problem Tizerkane'ów, a dziewczyna go zapisywała. Liczba strzałów pozostawała dowolna, ale każdy wpis kosztował dziesięć sztuk srebra, które trafiały do obitej brokatem, starej, zielonej portmonetki zapinanej broszką w jaskrawym kolorze. Calixte twierdziła, że należała do jej babci, lecz skoro pochodziła z rodziny skrytobójców – lub, zależnie od humoru, z rodu akrobatów – trudno powiedzieć, czy lepiej jej wierzyć, czy nie. Po dotarciu do Szlochu zamierzali określić, czyja teoria jest najbliższa prawdy, a zwycięzca miał zgarnąć zawartość portmonetki, czyli około pięciuset sztuk srebra, które niemal rozsadały przetarty zielony materiał. Tylko Lazlo nie chciał się podzielić swoją teorią.



– Na pewno padły już wszystkie możliwe propozycje – powiedział.

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że nic nudniejszego nie wymyślisz. Jeśli usłyszę jeszcze jedną męską fantazję na temat napaści i podboju, chyba się zabiję. Ale ty opowiesz coś lepszego. Jestem tego pewna. Jesteś bazarzem. Wymyśl coś nieokiełznanego i nieprawdopodobnego – prosiła. – Coś pięknego i z potworami.

– Coś pięknego i z potworami?

– Najlepsze historie są dokładnie takie.

Lazlo nie mógł się z tym nie zgodzić. Dokonał ostatnich poprawek przy sieciach.

– Ale nie rywalizujemy na opowieści – powiedział, ruszając ku obozowisku.

Calixte szła tuż obok niego.

– Ależ tak. Tyle że chodzi o prawdziwe historie, a ta konkretna może się okazać dziwaczniejsza niż wszystko, co jesteśmy w stanie razem wymyślić – rzuciła, machając lekceważąco notesem w stronę obozu, gdzie siedziała reszta *faranji*, czekając, aż zostanie im przyniesiona kolacja.

Spora część przywykła do roli gości i nie miała nic przeciwko biernemu przypatrywaniu się poganiaczom i Tizerkane'om przy pracy. Niektórzy delegaci zdążyli już zarzucić na siebie grube wełniane pledy chroniące przed nadciągającym wieczornym chłodem, co stanowiło dowód, że nawet odrobina energii nie została przerobiona na ciepło uczciwą pracą. Siedzieli tak z naciągniętymi kapturami i pletli androny. Lazlo pomyślał, że wyglądają jak duchy na przerwie na kawę.

– Możliwe – przyznał.

– Czyli wszystko zależy od ciebie – powiedziała Calixte. – Zawsze masz dziwaczne pomysły, do czego obliguje cię samo nazwisko. Zgodzisz się ze mną?

Lazlo zaśmiał się wbrew sobie. Zwykle żartowano z niego mniej serdecznie.

– Nie jestem członkiem delegacji – przypomniał jej.

Kim w takim razie? Bazarzem, sekretarzem i człowiekiem od czarnej roboty. Ani wojownikiem, ani delegatem, tylko kimś, kto załapał się na marzenie.

– Ale jesteś *faranji* – skontrowała.

Miała rację. Lazlo nie pasował do reszty Tizerkane'ów, choć wjeżdżał do miast na grzbiecie spektralnego i wszyscy zakładali, że pochodził ze Szlochu. Przynajmniej do czasu, kiedy Thyon Nero oświadczył im usłudźnie, jaka jest prawda.

„To tylko sierota z Zosmy”, mówił, jakby chciał zdusić w zarodku potencjalne przejawy szacunku, jaki pozostali mogliby do niego żywić.

– Nawet gdybym wygrał – rzekł – pozostali stwierdziliby, że Eril-Fane mi wszystko zdradził.

– Nie obchodzi mnie, co pomyślą inni – odparła Calixte. – To moja gra i to ja zdecyduję o tym, kto zasługuje na zwycięstwo, a tobie ufam.

Lazlo był zaskoczony, jak ogromną wdzięczność poczuł, słysząc te słowa, nawet jeśli wypowiedziała je złodziejka grobów z rodziny zabójców. A może zwłaszcza dlatego, że wypowiedziała je złodziejka grobów z rodziny zabójców (lub, zależnie od nastroju, akrobatów). Calixte, tak jak on, nie pasowała do reszty, lecz w przeciwieństwie do Lazla należała do delegacji. Jej obecność wydawała się cokolwiek zaskakująca, a na pewno niespodziewana. Może i sam Eril-Fane się tego nie spodziewał, bo wybrał się do Syrizy

po budowniczego, nie po akrobatkę.

Syriza była ich pierwszym po Zosmie przystankiem, w którym czekało na Lazla pierwsze zadanie jako sekretarza Zabójcy Bogów: rekrutacja Ebliza Toda, człowieka, który postawił najwyższą budowlę na świecie – Iglicę Chmur. Cóż to za cud! Wyglądała jak ogromny świder albo róg jednorożca wystający z ziemi, podobno mierzyła sto osiemdziesiąt dwa metry. Prosta i elegancka spirala, pozbawiona okien i jakichkolwiek ozdób. Syriza słynęła ze swoich iglic, a ta była ich królową.

Eril-Fane, jak przewidywano, zachwycił się nią i przystał na wszystkie warunki Ebliza Toda, aby tylko ściągnąć go do Szlochu. Oficjalny kontrakt sporządzony przez Lazla został podpisany przez obie strony i kiedy Niewidoczni byli gotowi do kontynuowania wyprawy, chłopak napomknął o zasłyszanej plotce, że pewna dziewczyna wspięła się na Iglicę Chmur.

– I to bez liny – relacjonował Eril-Fane’owi. – Tylko za pomocą rąk i nóg po pojedynczej szczelinie biegnącej od podstawy budowli do samego jej szczytu.

– Dotarła na sam czubek? – dopytywał Eril-Fane, mrużąc oczy, aby ocenić prawdopodobieństwo takiego wyczynu.

– Tak mówią. Chyba trafiła za to do więzienia.

– Do więzienia? Za wspięcie się na wieżę?

– Za obrabowanie grobowca – wyjaśnił mu Lazlo.

Iglicę Chmur zbudowano jako królewskie miejsce spoczynku człowieka, który jeszcze żył, ale już wówczas zgromadzono tam bogactwa, mające zapewnić władcy wygodne życie po śmierci. Poza znajdującą się na górze rozetą (umieszczoną tam, aby jak tłumaczono, „dusze miały czym oddychać”) zaprojektowano tam tylko jedno wejście. Nigdy nie zostawiano go bez straży, lecz kiedy skarbnik wszedł do środka z naręczem itzali\*\*, zastał tam dziewczynę siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na wysadzonym klejnotami sarkofagu, zonglującą drogimi kamieniami.

Przyznała się, że dotarła na szczyt iglicy i weszła przez rozetę, ale twierdziła, że nie miała zamiaru niczego ukraść. Chciała jedynie poćwiczyć zonglerkę. Czy nie każdy zrobiłby na jej miejscu to samo? Eril-Fane udał się do więzienia i odwiedził poobijaną, wygłodzoną, ogoloną pod przymusem nieboraczkę zakutą w przerdzewiałe kajdany. Próbwała odegnać go gwoździem, kiedy ten zapytał, czemu zrobiła to, co zrobiła.

– Bo mogłam – odpowiedziała dumnie.

Lazlo podejrzewał, że to powód, dla którego Zabójca Bogów zdecydował się zabrać dziewczynę: bo mogła wspiąć się na wysoką na sto osiemdziesiąt dwa metry iglicę jedynie za pomocą malutkich rąk i bosych stóp. Bibliotekarz nie miał zielonego pojęcia, na co podobna umiejętność mogłaby się przydać Eril-Fane’owi. To kolejny element układanki.

– Ebliz Tod: człowiek, który wybudował wieżę

– Calixte Dagaz: dziewczyna, która ją zdobyła

– Thyon Nero: alchemik, który wydestylował azoth

– Jonwit Belabra: matematyk

– Phathmus Mouzaive: filozof przyrody; lubił deklarować, że jego dziedzina obejmuje nic innego jak „fizyczne prawa wszechświata”, lecz tak naprawdę miał o wiele węższą specjalizację, mianowicie pola magnetyczne

- Kae Ilfurth: inżynier
- Fellingowie: metalurzy; bliźniacy
- Fortune Kether: artysta; lud cenił go za freski, a bojowo nastawieni królowie za projekty katapult i maszyn oblężniczych
- Drave: po prostu Drave, tak zwany eksplozjasta; parał się zbrojeniem min, a jego doświadczenie obejmowało wysadzanie górskich zboczy
- Soulzeren i Ozwin Eoh: mechanik i rolnik-botanik; małżeństwo, razem wymyślili pojazd latający zwany jedwabnymi saniami

Tak prezentowała się delegacja wybrana przez Zabójcę Bogów. Żadnemu jej członkowi nie zdradzono, jaki kłopot nęka Szloch, oświadczone tylko enigmatycznie, że to cień mrocznego czasu, co posłużyło im za podstawę owych teorii, które sami snuli. Odpowiedź, jak rozumowali, musi być wypadkową ich profesji. Skoro mieli to rozgryźć, musieli przeanalizować krok po kroku, z jakiego rodzaju problemami mogą pomóc się uporać ich połączone umiejętności. Jak narzekała Calixte, pomysły zwykle obracały się wokół rozwiązań siłowych, czyli podbojów, broni i obrony. Lazlo rozumiał, dlaczego maszyny oblężnicze, materiały wybuchowe i metalurgia sugerowały taki kierunek, ale nie sądził, aby faktycznie o to chodziło. Eril-Fane powiedział, że rzeczony problem nie stanowił dla nich zagrożenia, poza tym bibliotekarz nie sądził, aby generał Tizerkane'ów opuścił miasto na tak długo, gdyby coś mu zagrażało. A jednak coś, jak powiedział, nadal ich nawiedzało. Dokładnie tego słowa użył: nawiedzało. Chyba tylko Lazlo interpretował je dosłownie. Założył, że faktycznie chodzi o duchy. A skoro Eril-Fane był Zabójcą Bogów, może to... duchy martwych bóstw? Nie chciał jednak zamieszczać tego w notesie Calixte. Po pierwsze, nie miał do czynienia z ludźmi, którzy mieliby ochotę pochylać się nad podobnymi dylematami. Inna sprawa, że pewnie by go wyśmieli, gdyby tylko spróbował im coś podobnego zasugerować.

Czy dlatego nie podzielił się z nikim swoją teorią, bo bał się, że będą go wytykać palcami i urządzać sobie podśmiejki? Nie. Chciał po prostu, aby Calixte miała rację: aby prawda okazała się dziwniejsza niż wszystko, co mogliby sobie wyobrazić. Nie chciał zgadywać, nawet za pięćset sztuk srebra. Chciał za to stanąć jutro na szczycie Guzka i zobaczyć to na własne oczy.

„Jak tylko ujrzysz miasto – obiecał mu Eril-Fane – zrozumiesz, o co chodzi”.

Jak tylko ujrzysz miasto.

Czyli problem da się zauważyć gołym okiem. Miał następny element układanki, lecz nie zamierzał się nad nim zastanawiać.

– Nie chcę zgadywać – powiedział Calixte. – Pragnę niespodzianki.

– I tak ją otrzymasz! – odparła, zirytowana. – Nie masz odgadnąć tajemnicy, tylko wymyślić coś ciekawego.

Byli z powrotem w obozie. Postawiono już nisko zawieszane wełniane namioty, a Tizerkane'owie zagonili spektralnych do krytej zagrody z tej samej podgotowanej wełny. Wielbłądy, okryte skołtunionym futrem, mogły przetrzymać całą noc pod zimnymi gwiazdami. Poganiacze rozładowali bagaże i wbili paliki pod wiatrochrony, choć jeszcze nie wiało. Kłęb dymu znad ogniska nadal unosił się pionowo jak zaczarowane sznury na rynku w Alkonost, które zawisały w powietrzu, a mali chłopcy co rusz wdrapywali się po

nich i schodzili z powrotem na ziemię.

*Faranji* czekali na kolację. Padlinożerne ptaki krążyły nad ich głowami, wydając z siebie paskudne skrzeki. Lazlo wyobrażał sobie, że chcą im powiedzieć: „Umrzyjcie, a wtedy was pożremy”.

Eril-Fane posłał sokoła, który przepędził stadko, wykrzykując drapieżne ostrzeżenie, po czym udał się do Guzka z przywiązany do łapy liścikiem. Lazlo patrzył, jak odlatuje, i widok ten jak bodaj nic innego uzmysłowił mu, jak blisko celu się znajdują. Ogarnęła go niewiarygodna nieuchronność zrealizowania jego niemożliwego marzenia.

– Dobra – powiedziała Calixte. – Niech ci będzie.

Dziewczyna podparła głowę rękoma i zapiszczała, ściągając na nich uwagę pozostałych.

– Cicho, banshee – powiedział, śmiejąc się. – Oto moja teoria, na tyle nieokiełznana i nieprawdopodobna, na ile mnie stać.

– Piękna i z potworami? – upomniała się.

– Piękna i z potworami – przytaknął i już wiedział, co jej opowie.

Najstarszą historię na świecie.

Serafiny to bohaterowie najwcześniejszego mitu świata.

Lazlo przeczytał o nich wszystkie książki z Wielkiej Biblioteki, wszystkie zwoje, wszystkie pieśni i wszystkie sagi, jakie przekazywano sobie z ust do ust przez całe stulecia i nareszcie spisano na papierze, a ta historia była z nich najstarsza. Opowiedziano ją po raz pierwszy przed tysiącami lat – może nawet przed siedmioma tysiącami – w prawie każdej kulturze da się odnaleźć jej echa, łącznie z historią Niewidocznego Miasta, gdzie istoty te obdarzano szczególną czcią. Nazywano je enkyelami, anjelinami albo aniołami, s'rithami, serafainami i serafinami, lecz rdzeń tej historii pozostawał niezmienny.

A brzmiała ona tak...

Istniały niegdyś istoty o niebywałym pięknie, o skrzydłach z bezdymnego ognia – było ich sześćcioro, trzy samce i trzy samice. Dawno, dawno temu, jeszcze zanim nadano czasowi jego nazwę, przybyły z niebios. Chciały się przyjrzeć światu, poznać go. Zostały żywną ziemię i słodkie morza, rośliny pragnące latać jak ptaki, pnące się ku chmurom na rozpostartych liściach. Zostały tam również *ijji*, olbrzymią i paskudną rasę, która zniewoliła człowieka. Zrobiła z niego sługę, pupila, a zależnie od wersji opowieści nawet pożywienie. Serafiny pożałowały ludzi i pozabijały dla nich *ijji*, wszystkich co do jednego. Ludzie złożyli ich ciała na skraju ogromnego morza pyłu, po czym spalili na stosie wielkości księżyca. I tak człowiek objął panowanie nad światem zwanym Zeru, demony zaś zostały z niego wymiecione przez anioły. Ludzie wierzyli w tę historię w dawno minionych czasach, tak jak wierzyli, że serafiny któregoś dnia powrócą i ich osądzą. Dawniej stawiano im świątynie, a kapłanki dbały o obrządek ognia i ofiary. Lecz teraz nikt już nie wierzył w mity.

– Wyciągnij ołówek – powiedział do Calixte Lazlo, wychodząc z namiotu.

Najpierw zajął się wyszczotkowaniem swojej spektralnej, Lixxy, a potem po raz ostatni zażył piaskowej kąpieli. Nie będzie za nią tęsknił.

– Jesteś gotowa? – zapytał. – To będzie naprawdę dobre. I kompletnie nieprawdopodobne.

– Opowiadaj.

– Już, już. – Odchrząknął. Calixte ścisnęła ołówek, nie mogąc się doczekać. – Problem – powiedział poważnie, jakby doszedł do czegoś prawdziwie rozsądnego – związany jest z powrotem serafinów.

Dziewczyna zachwyciła się już tymi pierwszymi słowami. Pochyliła się i zaczęła notować. Od strony siedzących nieopodal *faranji* dobiegł ich czyjś śmiech.

– Serafiny – ktoś prychnął. – Absurd.

Lazlo zignorował przytyk.

– Jestem pewien, że o nich słyszałaś – powiedział do Calixte. – Przybyły z niebios, ale wiesz, gdzie się udały? Tutaj. – Gestem omiółł pustynię. – Jak mówią baśnie, na morze pyłu. A czymże innym jest Elmuthaleth? Stos pogrzebowy wielkości księżyca? – Wskazał

na jedyny punkt wystający nad poziom płaskiej pustyni.

– Guzek? – zapytała Calixte.

– Przypatrz się. To nie kryształ ani marmur, a na pewno nie lód.

Słońce przypominało o tej porze miedziany pas, niebo miało barwę głębokiego błękitu. Guzek wyglądał jeszcze bardziej nienaturalnie niż za dnia, rozświetlony jakby od środka.

– Czyli co? – dopytywała.

– Stopione kości pozabijanych demonów – zdradził, cytując brata Cyrusa. – Całych tysięcy. Święty ogień pożarł ich mięso, a z czegokolwiek nie były zrobione ich kości, stopiły się na szkło. Nadal można dopatrzeć się czaszek pełnych zębisk, odróżnić zakrzywione kręgosłupy i długie szkielety stóp. Padlinożerne ptaki uwiły gniazda w ich oczodołach. Nic nie mogło tam przetrwać prócz pożeraczy martwych.

Calixte przerwała pisanie i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę? – zapytała, ledwie łapiąc dech.

Lazlo uśmiechnął się. Miał jej przypomnieć, że to skrajnie nieprawdopodobne, lecz go uprzedzono.

– Oczywiście, że nie – powiedział Ebliz Tod, budowniczy, głosem pełnym nadwyręzonej cierpliwości. Nie pochwalał wystosowanego przez Zabójcę Bogów zaproszenia dla dziewczyny, która „wlała po Iglicy Chmur jak robak”, i nie krył się ze swoimi żalami, ponieważ „to poniżające dla tych, co niejedno osiągnęli, że pośród nich maszeruje złodziejka”. Kontynuował swój wywód, nie starając się nawet ukryć niechęci. – Droga dziewczyno, twoja naiwność jest ogromna jak ta pustynia. Można by się w niej zagubić i nigdy już nie napotkać żadnego faktu ani nie natrafić na cokolwiek racjonalnego.

Paru jego towarzyszy również się roześmiało, dziwiąc się, jak ktokolwiek może wierzyć w takie nonsensy. Thyon Nero opierał się o wiatrochron, ozłocony przez słońce i ogień.

– Strange też w to wierzy – powiedział Drave, eksplozjasta, który siedział obok alchemika. Przez ten rażący kontrast z nim wyglądał jeszcze biedniej niż zazwyczaj.

Złoty chrześniak potrafił olśniewać nawet podczas przeprawy przez pustynię. Słońce obdarowało jego skórę radosną opalenizną i wybieliło końcówki włosów, tak że lśniły bladym blaskiem. Skromne racje żywnościowe tylko uwypukliły jego kunsztowne rysy, a zadbana, krótka broda – tylko on jeden ją przycinał – przydawała dorosłości i powagi bez odbierania mu młodzieńczego splendoru. Drave z kolei był żyłasty i mocno doświadczony przez pogodę, przez co wyglądał staro jak na osobę przed trzydziestką. Pochodził

z Maialen, gdzie słońce nie gościło zbyt często, miał bladą skórę i cierpiał na Elmuthaleth bardziej niż inni, bo piekła go i odłaziła płatami, potem znowu piekła i odłaziła, przez co jego twarz przypominała patchwork różu i czerwieni z brązowymi kawałkami odklejającej się od ciała tkanki.

Stanowili pozornie niedobraną parę: alchemik i eksplozjasta. Dobrali się jeszcze w Alkonost, od tamtej pory jechali razem i jedli wspólnie posiłki. Ktoś mógłby zinterpretować tę relację jako przyjaźń, lecz Lazlo nie potrafił tak o niej myśleć. Thyon

Nero nie miał przyjaciół, ale wielbicieli. Drave wydawał się idealny do tej roli. Nosił mu śniadania i wytrzepywał piasek z obuwia, choć nie spotykała go za to nawet prosta wdzięczność. Lazlo zastanawiał się, czy to usłyszane przed laty „dziękuję” nie było jedynym, jakie Nero kiedykolwiek wypowiedział. Nie żałował jednak Drave’a, bo oczywiste było, że robił to wszystko nie z sympatii dla swojego towarzysza, ale kierowała nim żądza złota.

„Powodzenia”, pomyślał drwiąco Lazlo.

– On we wszystko wierzy, nawet w duchy – odezwał się Thyon, na co Drave zareagował chichotem.

– To prawda, Strange? – zapytał starszy z mężczyzn.

Lazlo przypomniał sobie ten okropny dzień przy biurku Zapytań, kiedy został poproszony o wydanie swoich książek: nagły grad spojrzeń skupionych tylko na nim, szydercze pytanie, którego intencją było postawienie go w niekomfortowej sytuacji. Dotknął go cień dawnego lęku. Przez całą tę podróż Nero niemal w ogóle się do niego nie odezwał, a jeśli już, jego słowa przypominały ostre szczeknięcia, niemniej czasem Lazlo czuł na sobie jego palące spojrzenie i zastanawiał się, czy alchemik nadal traktuje go jak ciężar. Nadal był przecież jedyną żywą osobą znającą jego tajemnicę.

– Przyznaję, wolę mieć otwarty umysł, a nie zamknięty – rzucił wreszcie niezobowiązująco.

– Za oznakę otwartego umysłu uważasz wiarę w to, że z nieba zlecieli mężczyźni o płonących skrzydłach?

– I kobiety – skorygował Lazlo. – Przygnębiająca byłaby wyłącznie samcza rasa.

– Raczej nieistniejąca – zauważyła Calixte. – Mężczyźni nie mają ani łona, ani zdrowego rozsądku.

Do głowy przyszła Lazlo niepokojąca myśl. Odwrócił się do Ruzy i zapytał po niewidocznemu:

– Trawce dzielą się na samce i samice? Dobry boże, nie mów, że one się rozmnażają.

– Skądś muszą się brać małe trawce – odparł Ruza.

– Ale jak one się odnajdują? – ciągnął Lazlo – Albo...? – nie dokończył myśli.

– Nie mam pojęcia, lecz kiedy przychodzi co do czego, zapewne się nie oszczędzają – stwierdził młody wojownik, unosząc brwi.

Lazlo się skrzywił, a Ruza wzruszył ramionami.

– Z tego, co wiemy, historie miłosne o trawcach są najpiękniejsze...

Calixte prychnęła. Ona również zadała sobie trud nauki języka, a jej nauczycielką – tak jak Ruza uczył Lazla – była Tzara. Kobiety siedziały teraz razem, a Calixte wyszeptwała do wojowniczkii coś, co sprawiło, że ta przygryzła wargę i zaczerwieniła się.

– Wybacz – przerwał ich rozmowę Thyon; wyglądał jak ktoś, kto myśli, że się z niego naśmiewają, a jako że nie chciało mu się uczyć niewidocznego, właściwie dało się jego podejrzenia usprawiedliwić. – Wierzysz, że z nieba zlecieli mężczyźni i kobiety o płonących skrzydłach?

Lazlo nigdy nie powiedział, że wierzył w istnienie serafinów, nie twierdził tak nawet w swoich książkach. Nie miał żadnego dowodu ani wiary. Po prostu interesowało

go – i to bardzo – jakim sposobem wszystkie kultury Zeru zbudowano na podstawie tej samej historii. Mówiło to sporo chociażby o zwyczajach migracyjnych starożytnych, a może i o czymś więcej. Ale nie było to teraz istotne, bo nie starał się zgarnąć dla siebie nagrody, tylko dać Calixte to, czego chciała.

– Nie ma nic złego w rozpatrywaniu różnych możliwości – powiedział. – Czy na przykład potrafiłbyś otrzymać azoth bez otwarcia swojego umysłu na pewne chemiczne związki?

Thyon zacisnął zęby. Kiedy odezwał się ponownie, nie dało się już słyszeć w jego głosie drwiny, ale napięcie.

– Alchemia to nauka. Nie ma porównania.

– Cóż, nie jestem alchemikiem – odparł uprzejmie Lazlo. – Znasz mnie przecież, Strange marzyciel, głowa w chmurach – przerwał i dodał po chwili: – *Cuda na śniadanie*.

Twarz Thyona jakby skamieniała na wzmiankę o książce. Czyżby Lazlo mu groził? Nie, na pewno nie. Nigdy by nie złamał potrójnej obietnicy. Sam słuchał swoich docinków z pełnym dystansu odrealnieniem. Nie pracował już jako młodszy bibliotekarz zdany na łaskę złotego chrześniaka, a resztki szacunku, jaki niegdyś do niego żywił, wyparowały. Nadal jednak głupotą byłoby go prowokować. Lazlo odwrócił się z powrotem do Calixte.

– O czym to ja mówiłem?

– O kościach pozabijanych demonów – pośpieszyła z pomocą dziewczyna.

– No tak. To tam zstąpiły serafiny. A raczej tam, dalej, do miasta. – Machnął ręką na Guzek i to, co leżało za nim. – Pozabijali niegodziwych *ijji*, a zostawili przy życiu młodą i piękną rasę mężczyzn i kobiet, pozbawiając ich zmartwień, po czym odeszli. Minęły tysiąclecia. Ludzkość się rozwijała. Aż pewnego dnia, tak jak przepowiedziano... serafiny powróciły.

Zaczekał, aż Calixte wszystko zanotuje.

– Dobrze – powiedziała. – Odhaczyłeś potwory i chyba można powiedzieć, że temat piękna również został załatwiony. Oczywiście mówię o twym pięknym licu, a nie serafinach – dodała kokieteryjnie.

Lazlo nawet się nie spłonił. Jeśli faktycznie Calixte uznawała jego twarz za urodziwą – co nie wydawało mu się prawdopodobne, zważywszy na krzywiznę nosa – nie przemawiało przez nią ani uczucie, ani nawet zainteresowanie jego osobą. Zauważył bowiem, jak patrzyła na Tzarę, i jak Tzara zerkąła na Calixte, co udzieliło mu stosownej lekcji na temat obiektu jej pożądania.

– Ale na czym polega kłopot? – zapytała.

– Zaraz do tego dojdę – odparł Lazlo, choć tak naprawdę jeszcze nie zdołał rozgryźć tej części swojej nieokiełznanej i nieprawdopodobnej teorii.

Rozejrzał się. Spostrzegł, że słuchają go nie tylko zgromadzeni *faranji*, ale i Niewidoczni: Tizerkane'owie, poganiacze, a nawet stary Oyonnax, szaman. Nie znali wspólnej mowy, lecz jego głos ich przyciągał. Przywykli do tego, że snuje opowieści, choć zwykł czynić to dopiero po kolacji, kiedy niebo już ściemniało i widzieli jedynie swoje twarze rozświetlone migoczącym ogniem. Lazlo przetłumaczył szybko swoje słowa, aby i oni mogli go zrozumieć. Eril-Fane słuchał z lekko drwiącym rozbawieniem, Azareen również. Lazlo podejrzewał, że była dla niego kimś więcej niż tylko przyboczną,



ale nie potrafił określić natury ich znajomości. Łącząca ich bliskość wydawała się wręcz namacalna, ale i... bolesna. Nie dzielili namiotu, choć kilka par sypiało razem, i nie wykazywali żadnego fizycznego zainteresowania sobą, a jednak dla każdego, kto miał oczy, było oczywiste, że Azareen kocha Eril-Fane'a. Jego uczucia z kolei nie dawały się tak łatwo zinterpretować, bo choć odnosił się do wszystkich z serdecznością, otaczał się pewnego rodzaju zbroją. Zapewne łączyła ich przeszłość, ale jaka?

Tak czy inaczej, to nie zagadka, którą Lazlo powinien się teraz zajmować. Myślał o problemie nękającym Szloch. O serafinach i *ijji*. Kątem oka zobaczył Mouzaive'a, filozofa przyrody, który stał nad kucharzem, Madją, z talerzem w dłoni i kwaśną miną, i wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Powtórne przyjście serafinów. Przyjęto ich z podziwem i czcią, lecz co się stało? – zaczął w mowie wspólnej, a potem przeszedł na niewidoczny. – Okazało się, że są koszmarnymi gośćmi, całkowicie zaabsorbowanymi sobą. Nie kiwnęli nawet palcem. Oczekiwali, że wszyscy będą im usłużni, i nie trudzili się rozkładaniem własnych namiotów, nie pomagali przy oporządzaniu wielbłądów. Tylko... pałętali się pod nogami, czekając na porę karmienia.

Calixte zapisywała, przygryzając wargę, aby nie wybuchnąć śmiechem. Paru Tizerkane'ów się nie powstrzymało, Soulzeren i Ozwin – małżonkowie od latających maszyn – również. Oni akurat mieli prawo się śmiać, bo krytyka nie została wymierzona w nich. Przywykli do pracy na jałowych ziemiach Thanagostu, nie lubili siedzieć beczynnie, pomagali, przy czym mogli, czego nie dało się powiedzieć o pozostałych, bo siedzieli, sztywni i obrażeni.

– Czy on sugeruje, żeśmy powinni pracować fizycznie? – zdziwił się Belabra, matematyk, a zawtórowały mu zdumione podszeptowania.

– Krótko mówiąc – kończył Lazlo – celem tej delegacji jest przekonać serafiny, aby wyruszyły w dalszą drogę. Rzecz jasna uprzejmie. A jeśli się nie uda, wyrzucić je siłą – gestem omiótł siedzących *faranji* – za pomocą eksplozji, katapult i innych środków przymusu.

Soulzeren zaczęła klaskać, po czym się ukloniła. Lazlo zobaczył, że dotychczasową rezerwę Eril-Fane'a zastąpiło coś na kształt cichej przychylności. Azareen również patrzyła na chłopaka serdecznie, acz karcąco, na co ten zareagował przeproszającym wzruszeniem ramion. Była to niepotrzebna zagrywka z jego strony, małostkowa i niedyplomatyczna, lecz nie potrafił się powstrzymać. Tymczasem Calixte zapisała całą ostatnią stronicę notatnika, a Lazlo wysupłał dziesięć sztuk srebra. Aż do otrzymania pierwszej wypłaty od Eril-Fane'a nie posiadał takiej kwoty.

– Żegnaj, ma moneto – powiedział, oddając pieniądz Calixte – bo już się nie zobaczymy.

– Nie biadol tak, Strange. Może wygrasz – odparła bez przekonania Calixte.

Obejrzała monetę i zadeklarowała, że wygląda jak zapowiedź cholernego tryumfu, po czym upchnęła ją do wypchanej portmonetki. Szwy ledwie trzymały i wydawało się, że jeszcze jeden pieniążek, a materiał pęknie. Ostatnia strona notatnika, ostatnia moneta. Gra została zakończona.

Jutro dowiedzą się, kto zwyciężył.

Po zmroku temperatura na pustyni znacznie spadła. Lazlo zarzucił na siebie wełniany pled i wsunął kaptur. Płomień ogniska wyraźnie odcinał się od głębokiego granatu nieba, wszyscy podróżni zebrali się wokół jego blasku. Eril-Fane otworzył butelkę palącego w gardło trunku, którą zachował właśnie na tę okazję, na ostatnią noc pragnienia i mdłych racji żywnościowych, obolałego tyłka i poobcieranej od siodła skóry, suchych kąpieli i ubrań pełnych piachu. Ostatnią noc spania na twardej ziemi i zasypiania przy mamrotanych przez szamana inkantacjach towarzyszących ciskaniu co chwilę do ognia jakiegoś proszku.

Ostatnią noc zastanawiania się, co ich czeka.

Lazlo spojrzął na Guzek, łagodnie podświetlony przez gwiazdy. Tajemnice Szłochu były dla jego serca muzyką, odkąd tylko sięgał pamięcią. Jutro o tej porze nie będą już tajemnicami.

„Koniec zgadywania – pomyślał – lecz nie zachwyty”.

To dopiero początek.

Był tego pewien.

Sarai była rozstrojona. Po kolacji Feral wyrwał z odległych niebios śnieżycę i na deser zjedli śnieg z dżemem śliwkowym, ale nie potrafiła się nim cieszyć. Jaskółka i Ruby rzuciły się śnieżkami, lecz ich śmiech wydawał jej się zbyt zjadliwy, a rzuty wymierzone złośliwie. Minya wymknęła się gdzieś z obietnicą, że uwolni ducha Ari-Eila i pozwoli mu odejść.

Sarai nie znosiła, kiedy dziewczynka przyzywała kolejne duchy do cytadeli. „Żeby przypadkiem nie zapomniała, jakim paskudztwem jestem, zaraz jakaś starucha zawyje z przerażenia na mój widok, a młody chłopak pomyśli, że jest w piekle”. Nie poprawiało to jej zdania o sobie.

– Czemu ona to robi? – zapytała na głos.

Pod arkadami krużganka zostali już tylko ona i Feral. Chłopak siedział pochylony nad książką, której stronic nie wykonano z papieru, a z mesartjum, na którym wyryto symbole. Jeśli były to litery, nie mogłyby się różnić bardziej od płynnego i pięknego alfabetu Szlochu, którego nauczyła ich Duża Ellen. Znaki, jakie odczytywał Feral, nie miały kątów, jedynie zaokrąglenia. Sarai jednak wydawały się pozbawione delikatności. Nie miała pojęcia, jak jej przyjaciel mógł nadal nad nimi ślęczeć, skoro przez całe lata nie zdołał ich odszyfrować. Mówił co prawda, że zaczyna łapać kryjące się pośród tych symboli znaczenie, jakby tylko czekało, aż je odnajdzie, niczym kalejdoskop, który wystarczy jedynie obrócić. Pogładził jeden z symboli palcem.

– Czemu kto co robi? – zapytał.

– Minya. Sprowadza tutaj duchy. Ściąga nienawiść prosto do naszego domu.

Sarai zdawała sobie sprawę, że brzmiała cokolwiek małostkowo, narzekając na dotyczące ją niedogodności, ale nie potrafiła określić tego, co naprawdę czuła. Nie wypadało przecież uzalać się nad człowiekiem, czy to żywym, czy martwym.

– Cóż – powiedział oderwany od lektury Feral. – Tyle dobrze, że od ściągania nienawiści do ich domu mamy ciebie.

Sarai mrugnęła kilkakrotnie i spojrzała na swoje dłonie. Feral nie powiedział tego złośliwie, a jednak jego słowa ją ubodły. Może zrobiła się wrażliwsza, odkąd Ruby jawnie oświadczyła, że spodziewa się nieuchronnej zagłady, a ona odkryła z zaskoczeniem, iż ten osąd podziela. A może chodziło o zazdrość, że Feral potrafi ściągać śnieg, Jaskółka pomaga kwiatom rosnać, Ruby jest ich źródłem ciepła, a ona... Robiła to, co robiła.

– Tak o mnie myślisz? – zapytała oschle. – Dziwne, że nie mówicie na mnie Niosącą Nienawiść.

Feral uniósł wzrok znad książki.

– Nie miałem nic złego na myśli – powiedział.

Sarai zaśmiała się bez cienia wesołości.

– Feral, jak nienawiść może być dobra?

– Jeśli ktoś sobie na nią zasłużył, wtedy mówimy o zemście.

Zemsta. Sarai odnotowała, jak wymawia to słowo, i zdała sobie z czegoś sprawę. „Zemstę” powinno się wypowiadać przez zaciśnięte zęby, plując śliną, z nitkami duszy tak poplątanymi, że nie dałoby się ich rozplątać, nawet jakby bardzo się postarać. Jeśli się to czuje – tak naprawdę i dogłębnie – wtedy mówi się o tym z nadal bijącym sercem zaciśniętym w dłoni i krwią spływającą po przedramieniu, skapującą z łokcia, nie mając zamiaru puścić. Feral tak nie powiedział. Równie dobrze mogło to być jakiegokolwiek inne słowo. „Kurz”, „filiżanka” albo „śliwka”. Nie przemawiał przez niego gorejący żar, nie trzymał bijącego serca, nie miał zakrwawionych rąk. Zemsta była dlań tylko słowem. Kiedy to zrozumiała, ośmieliła się odpowiedzieć:

– A co, jeśli nie zasłużył? – zapytała niezdecydowanie.

– Ale kto i na co?

Sarai sama nie miała pojęcia, o czym mówiła. A jeśli to nie zemsta? A jeśli nikt sobie na nią nie zasłużył? Albo co ważniejsze, jeśli nawet nie czuła już w stosunku do ludzi nienawiści? A jeśli wszystko się zmieniło, tak wolno, że nawet tego nie wyczuła?

– To nie zemsta – powiedziała, masując sobie skronie. – Tej wyzbyłam się lata temu. – Spojrzała na chłopaka, próbując odczytać jego myśli. – Też już tego nie czujesz, prawda? Tak czy nie? Jestem pewna, że Ruby i Jaskółka już dawno mają te animozje za sobą.

Feral wydawał się skonfundowany. Słowa Sarai wydawały się klarowne, lecz stały w sprzeczności z podstawowym dogmatem ich egzystencji: musieli mieć wroga. Sami byli wrogami. Sarai widziała, że nie ma już w nim wiele nienawiści, lecz Feral tego nie przyzna. To niemal bluźnierstwo.

– Nawet jeśli – wykręcał się – to i tak Minya ma jej wystarczająco za nas wszystkich.

Co do tego się nie mylił. Niechęć Minyi płonęła jaśniej niż ogień Ruby, i to z dobrego powodu – ona jedna spośród nich pamiętała Rzeź. Minęło już piętnaście lat. Sarai i Feral mieli po siedemnaście lat, Jaskółka szesnaście, Ruby prawie tyle. A Minya? Może i wyglądała jak sześciolatnie dziecko, lecz nim nie była. Tak naprawdę była starsza od pozostałych i to ona ich wtedy uratowała przed śmiercią; mając faktycznie sześć lat, kiedy oni pozostawali jedynie niemowlętami. Żadne z nich nie rozumiało, dlaczego i jak nie zestarzała się od tego krwawego dnia, gdy ludzie celebrowali swoje zwycięstwo nad bogami, wykonując egzekucje na osieroconych dzieciach.

Przeżyła jedynie piątka. Dzięki Minyi.

Sarai znała Rzeź z ukradzionych snów i wspomnień, lecz Minya ją pamiętała. Zamiast serc miała rozżarzone węgle, a jej nienawiść przez lata nie utraciła nic ze swojego nieprzejednania.

– Chyba dlatego to robi – powiedziała Sarai. – Dlatego sprowadza duchy. Musimy patrzeć, jak na nas reagują, nie wolno nam zapomnieć, kim jesteśmy.

– Ale to dobrze, prawda? – skontrolował Feral. – Bo jeśli zapomnimy, możemy się potknąć i postąpić wbrew Regule. Ujawnić się.

– Możliwe – przyznała Sarai.

To prawda, że strach powodował, że byli ostrożni. Lecz czemu służyła nienawiść? Skojarzyła jej się ona z pustynnym trawcem, piaskową bestią, która kryła się całymi

latami pod ziemią, żywiąc się jedynie swoją wylinką. Nienawiść potrafiła to samo – karmić się tylko samą sobą – ale nie wiecznie. Jak trawiec, utrzymywała się przy życiu, dopóki nie napatoczył się obfitszy posiłek.

Po prostu czekała na ofiarę.

A na co oni czekali?

Sarai rozumiała, że Feral nie podzielał jej rozdarcia, bo i czemu miałby? Jedyni ludzie, jakich spotkał, byli duchami, nadal nieotrząśniętymi po szoku doznanym po śmierci, kiedy nagle znaleźli się tutaj, na scenie własnego koszmaru, zniewoleni przez bezlitosną dziewczynkę o skórze tak niebieskiej jak jej najgorsze wspomnienia. Nie wyciągały z nich tego, co najlepsze. Ale po czterech tysiącach nocy pośród ludzi – w ich domach, w ich skórze – Sarai знаła ich tak, jak pozostali nie mieli szansy poznać, dlatego nie było jej łatwo nienawidzić. Zostawiła jednak ten temat.

– Jeśli chodzi o to, co mówiła Ruby... – zaczęła. – Też tak uważasz?

– O czym dokładnie mówisz? O mdłej zupie czy interesującym piekle?

Sarai z uśmiechem pokręciła głową.

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

– Ach tak. Że można spalić na sobie ciuchy, kiedy dopadnie nas na to ochota, bo i tak umrzemy młodo?

– Dokładnie – odparła znowu niepewnie Sarai. – Feralu, wyobrażasz sobie, że się zestarzejemy?

– Oczywiście – odpowiedział bez wahania. – Zostanę dystyngowanym, starszym dżentelmenem z długimi wąsiskami, trzema kochającymi żonami i tuzinem dzieci...

– Trzema żonami? – wcięła się Sarai. – Że niby my? Masz zamiar ożenić się z nami wszystkimi?

– Cóż, oczywiście. Nie chciałbym, aby któraś czuła się pominięta. Wszystkimi prócz Minyi, ale jej nie zależy.

– Masz rację – powiedziała rozbawiona Sarai. – Nie wygląda na dobry materiał na żonę.

– Za to ty...

– O tak, wykapana małżonka. Ale jak to będzie działać? Rozpiszesz dla nas grafik czy będziesz nas sobie wybierał wedle humoru?

– Grafik wydaje się sprawiedliwszy. – Spoważniał. – Pewnie niełatwe będzie dzielenie się mną, ale musimy wycisnąć, ile się da, z tej niedoskonałej sytuacji. – Usiłował zaciskać usta i utrzymać kamienną minę, lecz nie potrafił przepędzić swojej wesołości z rozbieganych oczu.

– Niedoskonała sytuacja – powtórzyła Sarai. – Tak to nazywasz? – Machnęła dłonią na krużganek, mając na myśli całą cytadelę i ich chwiejną, przeklętą egzystencję.

– Czyż nie jest niedoskonała? – zapytał z żalem Feral.

Oboje nie mogli zachować powagi, słysząc podobne niedopowiedzenie. Sarai roześmiała się pierwsza, wybuchła bezradnym chichotem, zarażając przyjaciela swoim rozbawieniem, które roztoczyło swą tak przecież zwyczajną magię, odciągając napięcie z kręgosłupa Sarai i rozpraszając ten chłodny lęk, który ciążył jej przez cały wieczór. Bo tylko tak idzie wytrzymać: śmiejąc się z ponurych zdarzeń. A im chętniej się mnożą, tym

częściej należy się śmiać. Krnąbrnie, desperacko albo histerycznie, jak tylko można. Sarai podejrzewała, że jej matka, bogini rozpaczy, nie zaaprobowałaby podobnego zachowania.

Doceniłaby za to dar swojej córki.

Zbliżała się noc. Pozostali udali się już do swoich łóżek. Sarai również, lecz nie po sen. Jej dzień dopiero się rozpoczynał.

Komnaty te niegdyś należały do matki Sarai. Swoimi rozmiarami i bogactwem ustępowały jedynie tym, które obecnie zajmowała Minya; tamte były niemal osobnym pałacem mieszczącym się za murami cytadeli. Dawniej zamieszkiwał tam jej ojciec, Skathis, bóg bestii i wielki pan Mesarthimów, najpotworniejszych z nich.

Aby dotrzeć do sypialni, Sarai musiała pokonać długi i kręty korytarz prowadzący prawie do samego końca lewego skrzydła kompleksu. Jej drzwi się nie domykały, bo, jak każda rzecz znajdująca się w cytadeli, zamarły w momencie śmierci Skathisa. Co było wówczas otwarte, takim pozostało. Co zamknięto, nie dało się już rozewrzeć. Sporo miejsc zostało odciętych, a ukryte tam tajemnice musiały pozostać tajemnicami. Kiedy cała ich piątka była młodsza, zwykli wyobrażać sobie, że w zamkniętych skrzydłach mieszkają inne dzieci i wiodą równoległe życia. Lubili opowiadać sobie, kim mogą być i jakie dary czynią ich izolację znośną.

Duża Ellen opowiedziała im o dzieciach, które poznała przez lata spędzone w żłobku. O dziewczynce zdolnej tkać iluzje. O chłopcu, który mógł nosić nieswoje twarze. O innym, który potrafił uleczyć każdą ranę – to piękny dar, lecz przeznaczenie wyznaczyło mu drogę życia pełną łez. Ale najbardziej zazdrościli dziewczynce, która umiała wyciągać rzeczy ze snu. Przynosiła stamtąd zabawki, harfy, latawce i motyle. Uwielbiali wyobrażać sobie, co mogłaby im dać: paczki ziaren dla Jaskółki do zasadzenia, książki dla Ferala, który pragnął wiedzy większej niż ta, którą mogłyby mu przekazać duchy. Dla Sarai: lalkę ze Szlochu, na którą łąpała zazdrośnie, a widziała ją w ramionach małej dziewczynki podczas jednej ze swoich nocnych wizyt. Armię dla wiecznie ponurej Minyi. A dla Ruby garniec miodu, którym nie musiałyby się dzielić.

– Tobie powinien przypaść taki dar – powiedziała jej kiedyś Ruby. – Milszy niż ten twój.

– Póki nie przyśni ci się koszmar – odparła urażona Sarai.

– A jeśli wyśniłaby ravida – Minya się wyszczerzyła – i ten po przebudzeniu odgryzłby jej głowę?

Zdążyli jednak zrozumieć, że jeśli faktycznie ktoś pozostałby zamknięty w innych częściach cytadeli, nie przeżyłby tam nawet kilku dni. Byli jedynymi, którzy przetrwali.

Sarai nie mogła zamknąć drzwi, lecz zaciągnęła przymocowaną przez siebie do framugi zasłonę. I choć to system daleki od perfekcji, respektowali swoją przestrzeń. „Niedoskonała sytuacja”, przypominało się jej, lecz tylko prychnęła, nie potrafiąc wykrzesać z siebie niczego więcej.

Do sypialni prowadził przedpokój i w przeciwieństwie do surowych ścian korytarza pomieszczenie to naśladowało architekturę Szlochu, z kolumnami podtrzymującymi ornamentacyjne obelkowanie i wysokim, wachlarzowym sklepieniem. Budynki widzianego w dole miasta zbudowano z kamienia i ozdobiono pieczołowicie wykonanymi rytami przedstawiającymi sceny zarówno ze świata rzeczywistego, jak

i mitycznego. Pośród jej najulubieńszych znajdowała się świątynia Thakry, nad którą przez czterdzieści lat pracował tuzin mistrzów rzeźbiarstwa, a dwóch z wysiłku oślepiło. Sam fryz mógł się pochwalić tysiącem jaskółek tak podobnych żywym, że prawdziwe ptaki na próżno starały się czynić im awanse. Tutaj, w tych komnatach, wyrzeźbiono dwa razy więcej śpiewającego ptactwa, które latało pośród serafinów czy lilii, spektralnych czy pnączy, i choć pracę tę wykonano najpewniej w godzinę albo dwie, ryty były jeszcze bardziej perfekcyjne niż te na świątynnych murach. A wszystko to na ścianach z mesartjum, nie z kamienia. Ale nie wyrzeźbiono ich ani nie namalowano. Nie tak bowiem pracowało się z mesartjum.

Otoczone zasłonami łóżko znajdowało się na stojącym na środku komnaty podeście. Sarai jednak na nim nie spała. Uznała je za zbyt duże, wyglądało jak teatralna scena. Do niszy za garderobą wciśnięto inne, o rozsądniejszych wymiarach. Jako młodsza dziewczyna sądziła, że należało do pokojówki, lecz potem zrozumiała, że to miejsce przeznaczone dla małżonków, oblubieńców czy jakkolwiek ich nazywała Isagol. Nawet ojciec Sarai czasem tam sypiał, kiedy Isagol go nie chciała. Jej ojciec. Gdy zdała sobie sprawę, że kiedyś zajmował to łóżko, odczytała to jako pogwałcenie swojej bezpiecznej przestrzeni. Wyobrażała go sobie, jak korzysta z uroku ulotnej samotności, leży tutaj, wybudzony, i knuje, jak pozabijać wszystkich bogów. Teraz kąt ten należał do Sarai, lecz nie będzie go potrzebowała jeszcze przez parę godzin. Przeszła na bosaka do drzwi wychodzących na taras i wyszła prosto na światło księżyca.

Sarai miała siedemnaście lat, była i boginią, i człowiekiem. Połowę krwi miała ludzką, lecz nie miało to znaczenia, bo i tak nie mogła nic poradzić na błękit swojej skóry. Nazwano by ją boskim pomiotem, anatema, choć była młoda i urocza. Miała ryże włosy i szczupłą szyję, nosiła szatę należącą do bogini rozpaczy. Zbyt długą, dlatego ciągnęła się za nią po ziemi i rąbek przetarł się do połysku i wystrzępił. Spacerując po tarasie, Sarai tak się zamyśliła, że równie dobrze mogłaby się przechadzać po księżycu i z powrotem. Tyle że gdyby faktycznie potrafiła dojść na księżyc, nigdy by nie wróciła.

Nadszedł czas. Zamknęła oczy. Zacisnęła powieki. Jej dar był potworny. Nie pozwalała nikomu patrzeć, jak go przywołuje. Pomyślała, że mogłaby nauczyć Ari-Eila niejednego o odrazie. Wzięła głęboki oddech. Czuła, jak pęcznieje, napiera na nią niczym łyzy. Przytrzymała go jeszcze chwilę. To zawsze impuls: nie dać się tej części niej wy dostać. Ukryć ją. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Miała pracę do wykonania, dlatego otworzyła szeroko usta.

I krzyknęła.

Z pewnością był to krzyk – zastygły, podobny uśmiechowi rechot, wyrzucona naprzód głowa i naprężone gardło – lecz nie wyszedł z niej żaden dźwięk. Sarai nie krzyczała głośno. Krzyczała inaczej, a jej krzyk przypominał miękka, wrzącą ciemność. Wyglądała jak chmura. Lecz nią nie była.

Pięć sekund. Dziesięć. Wykrzyknęła cicho. Wykrzyknęła exodus.

Płynąc prosto w noc, ciemność rozproszyła się na sto trzepoczących kawałeczków, które przypominały porozdzierane strzępki aksamitu. Sto fragmentów mroku rozdzieliło się, po czym połączyło ze sobą i uformowało mały tajfun, który przepłynął nad dachami Szlochu, wirując i kręcąc się na skrzydłach zmierzchu. Sarai krzyczała ćmami. Ćmami

i odpryskami własnego umysłu podzielonego na sto kawałeczków, które wyleciały na świat.



Wszystkie boskie pomioty posiadały magiczne dary, lecz niektóre z nich zasługiwały na nazwanie ich darami w większym stopniu niż inne. Nie sposób przewidzieć, jaką mocą dana osoba zostanie obdarowana, każdy talent objawiał się w swoim czasie, na swój sposób. Niektóre, jak chociażby u Ferala czy Ruby, zmanifestowały się spontanicznie – i intensywnie – kiedy oboje byli jeszcze dziećmi. Burze i pożary rozpętywały się nad żłobkiem. Zaspy, błyskawice, spalona pościel. Czasem nie zostawało nic poza rozzłoszczonym, nagim dzieckiem leżącym w koszyczku z mesartjum. Inne dary wymagały czasu, aby się rozwinąć, odkrywano je dopiero w odpowiednich warunkach i okolicznościach, jak w przypadku Jaskółki, która potrzebowała ogrodu lub chociaż nasiona, żeby uaktywnić swój. Jeszcze raczkowała, kiedy odnalazła w sobie moc. Duża Ellen uwielbiała opowiadać historię małej Jaskółeczki, która śmigła na tłuściutkich rączkach i kolankach przez krużganek ku orchideom. Kwiaty nie zakwitły od Rzezi, przypominały powbijane w doniczki patyki. Duża Ellen nawet nie próbowała jej powstrzymać, jako że orchidee dawno uznano za stracone, i dziewczynka złapała wystające badyle. Coś odwróciło uwagę opiekunki – pewnie Ruby – i kiedy z powrotem spojrzała na doniczki, ujrzała nie suche łodygi, ale uniesioną główkę Jaskółki zachwyconej rozkwitającymi z martwego drewna pąkami, które ścisła małutkimi piąstkami.

Czarownica Orchidea. Złodziej chmur. Ognik. Ich dary objawiły się niewymuszenie, naturalnie. Nie dało się powiedzieć tego samego o mocy Sarai. O ile Feral, Ruby i Jaskółka nie pamiętali swojego życia sprzed magii, ona tak. Zastanawiała się, jaki będzie jej dar, i liczyła na coś dobrego. Pozostali również. Cóż, dziewczynki były jeszcze małe, lecz Feral i Minya zdawali sobie sprawę, że dar Sarai to ostatnia szansa. Zostali uwięzieni w cytadeli, gdzie jakoś musieli ułożyć sobie życie, jak tylko się dało i na tak długo, jak daliby radę, a ich moce mogły im to ułatwić. Sarai zaś nie wystarczało ułatwianie im życia. Chciała ich uratować.

Istniał pewien dar, dzięki któremu mogłaby tego dokonać, dar Skathisa, który najpewniej jednak odziedziczyły jego dzieci, lecz moce boskich pomiotów były nieprzewidywalne i istniała szansa, że pojawią się u innych. Sarai nie łudziła się, że go posiada. Sprawdzono przecież, kiedy jeszcze była dzieckiem. Wszystkich zbadano pod tym kątem. Zadbala o to Korako, bogini tajemnic, która zarządziła także dodatkowe testy, aby wykryć co trudniejsze do zdefiniowania umiejętności. Korako już jednak nie żyła, Skathis i Isagol również, tak jak Letha, Vanth i Ikirok; wszyscy Mesarthimowie zostali zamordowani przez Zabójcę Bogów, Eril-Fane'a.

Darem, jakiego Sarai życzyła sobie najbardziej, nie był talent Skathisa, ale moc latania. Istniały boskie pomioty posiadające tę umiejętność, przynajmniej według Dużej Ellen, i dziewczyna wyobrażała sobie, że pewnego dnia zacznie się unosić, unosić, aż pomknie ku wolności. Zabierała ze sobą innych, lecz jej fantazja nigdy nie miała końca, bo nie potrafiła wyobrazić sobie, czy istnieje na świecie miejsce dla takich jak oni.

Poza dobrymi darami, jakich należało u siebie wypatrywać, istniały też złe, których się obawiano, i im dłużej jej moc się nie objawiała, tym bardziej się lękała, że otrzyma coś złego. Miała pięć lat i nadal nic się nie działo. Sześć i nadal nic.

I nagle... Nie było już nic. Ale też i nie coś konkretnego. Jeszcze nie, niezupełnie. Tylko drobne ukłucie, jakby coś rosło wewnątrz niej. Nic dobrego.

Z początku uczucie to przypominało jej chwile, kiedy nie chciała wypuścić z siebie przeznaczonego dla kogoś przykrego słowa, choć siedziało na języku i paliło niczym trucizna gotowa, aby splunąć nią niczym jadem. Nie pozwoliła temu czemuś wyjść. Nikomu o tym nie powiedziała. A uczucie stawało się coraz silniejsze, cięższe. Opierała się. Od samego początku wydawało jej się, że to coś złego, i tylko się pogarszało. Zrobiła się niespokojna, chciało jej się krzyżeć, miała nieodparte wrażenie, że wszystko jest nie tak, że coś ją ponagla... Ale dopadło ją dopiero tej nocy. Za dnia nic jej nie dolegało, co potraktowała jako kolejną oznakę czającego się wewnątrz niej czegoś mrocznego, złego. Zbierało się, napływało, wznosiło, wypełniało ją coś, czego nie powinno tam być. Każdej upływającej nocy było jej coraz trudniej bronić się przed tym, co na niej wymuszało. Jej gardło chciało krzyżeć. Jej dusza też. Zmagala się z tym zawzięcie, jakby to demony chciały wypełznąć ze środka niej, rozerwać ją i spustoszyć świat.

„Pozwól im – powiedziałyby Minya. – Świat zasługuje na spustoszenie”.

Ona z niej to wyciągnęła. Sto kawałeczków ciemności.

– Przecież widzę, co robisz – rzuciła do niej oskarżycielsko którejś nocy, przyłapując ją w ogrodzie.

Tego roku stały się rówieśniczkami. Młodsza z nich dorastała, Minya jednak ciągle pozostawała małą dziewczynką i wkrótce Sarai ją przerosła.

– Myślisz, że nie zauważyłam? – naciskała. – Kryjesz swój dar. Nie możesz tak. Cokolwiek to jest, należy do nas wszystkich, nie tylko do ciebie.

Sarai się z tym nie sprzeczała. Faktycznie tkwili w tym razem, a ona miała ogromną nadzieję, że jej dar ich wyzwoli. Lecz teraz przestała się już łudzić.

– A jeśli to coś złego? – wyszeptwała zląkniona.

– Złe byłoby dobre – odparła żarliwie Minya. – Potrzeba nam czegoś złego, Sarai. Aby się zemścić.

Ona akurat wiedziała, jak bezbłędnie wypowiedzieć to słowo – przez zaciśnięte zęby i plując przy tym śliną, dając upust nagromadzonej nienawiści. Potrafiła co prawda ukarać ludzi, lecz cóż to za satysfakcja, skoro byli martwi? Sarai mogła sobie marzyć o lataniu i ucieczce, ale nie Minya. Miała nadzieję, że magia ostatej z dziewczyn okaże się bronią przeciwko ich wrogom. Obie dziewczynki nocą w ogrodzie wyglądały na rówieśniczki, na towarzyszki zabaw, lecz w rzeczywistości nimi nie były. Minyę traktowano jak budzącą strach starszą siostrę, która uratowała im życie, i zrobiliby dla niej wszystko, nawet zbudzili nienawiść. To akurat naprawdę proste. Naturalne. Nie znali nic innego poza duchami, cytadelą i nienawiścią żywioną do ludzi, którzy przecież pałali nienawiścią do nich. Dlatego tamtej nocy Sarai poddała się krzykowi i mrok wewnątrz niej rozpostarł skrzydła. A kiedy wypełznął przez jej otwarte usta, ujrzała, że to nie demony, ale ćmy.

Co za horror. Owady wylatujące prosto z jej ciała.

Kiedy nareszcie dokonało się pierwsze wyjście mroku – tych pięć czy dziesięć sekund wydało się jej całą wiecznością – padła na kolana i wycharczała z siebie kolację prosto pomiędzy korzenie śliwy. Minya patrzyła na tę scenę z szeroko otwartymi oczyma i chorą fascynacją. Ćmy zachowywały się jak rozszalałe, bo i Sarai taka była. Trzepotały skrzydełkami i zataczały nieskładne okręgi w rozpaczliwej choreografii. Piekło ją gardło, lecz nie od wymiocin – od ciem. Później zrozumiała, że tak naprawdę nie wyleciały jej przez przelyk, bo nie znajdowały się wewnątrz niej, nie dosłownie. Zrodziły się z niej, wyszły z tego wymiaru jej umysłu lub duszy, który przybrał taką formę. Złączyły się w jej krzyku. Czują, jak ich miękkie, pokryte meszkiem skrzydełka ocierają się jej o usta i tyle. Nie zadławiła się nimi. Nie była żyjącym rojem, nie miała brzucha pełnego poczwarek przemieniających się o zmroku. Nic tak strasznego. Ale i tak za pierwszym razem wydało jej się to okropne, dzikie, wstrząsające i otumaniające. Przykłęknęła pomiędzy korzeniami śliwy i mało się nie przewróciła na bok. Jej umysł otworzył się na oścież, nagi i zabełtany. Chwycała się korzenia, jakby świat rozprysnął się na kawałki i obrócił.

Potrafiła patrzeć oczami ciem. Całej setki naraz. Stąd brały się zawroty głowy, brak koordynacji i równowagi. Widziała to, co zobaczyły one, słyszała to, co usłyszały one, węszyła i smakowała tego, co wywęszyły i posmakowały one, a nawet czuła to, o co otarły się ich skrzydełka, odnóża, czułki i meszek. Oto jej dar, groteskowy, acz przecież cudowny.

Jej świadomość zyskała skrzydła. Nie potrafiła latać, lecz jej umysł tak. To zawsze jakiś sposób ucieczki, choć stroił sobie żarty z wolności. Pozostała przecież więźniem, potworem w ukryciu. Lecz teraz stała się więźniem i potworem w ukryciu, który mógł podpatrywać życie, jakiego jej nie dano. Nawet jeśli stanowiłoby to granice jej mocy, nadal byłaby dla nich użyteczna, bo mieliby okno na Szloch, mimo że nie za dnia – ćmy były stworzeniami nocnymi – mogliby podpatrywać przeciwnika, dowiedzieć się, co knuje. Ale to nie wszystko, to zaledwie skromny początek jej mrocznych i dziwacznych umiejętności.

Dzisiaj, choć nie była już dzieckiem, Sarai robiła każdego dnia po zmroku to samo co przez cztery tysiące ostatnich nocy. Wychodziła na taras i wykrzykiwała swoje ćmy, a te spływały na Szloch i przykrywały wyłożone dachówkami kamienice, jakby zakreślono im je na mapie. Rozdzielały się nad nimi i wlatywały do środka przez kominy, przeciskały się przez szpary w okiennicach. Ciemne, małe i urocze, barwy purpurowej jak podszewka nocy, o jedwabistym blasku gwiazd odbitych od mrocznych wód. Ich czułki wydawały się piórkami, z których można by złożyć wachlarz dla malutkiej królowej, ciała przypominały wierzbowe pąki: małe, futrzane, cudowne.

Stojąca na tarasie Sarai przestępowała z nogi na nogę, nie opuszczała jej nerwowa energia. Po wypuszczeniu ciem nigdy nie potrafiła się odprężyć. Miała otwarte oczy, lecz nie mogła złapać ostrości. Zostało w niej akurat tyle świadomości, żeby robić to, co robiła: krążyć po tarasie i odnotować czyjaś ewentualną obecność. Reszta niej przebywała w Szlochu, w stu miejscach naraz.

Odwiedziła między innymi dom Ari-Eila. Okno zostawiono otwarte, więc ćma bez przeszkód wleciała do środka. Jego zwłoki leżały na kuchennym stole. Nie dotknęła ich, jedynie się przypatrywała. Był przystojny nawet po śmierci, lecz jego bezruch miał

w sobie coś niepokojącego, przepaść między snem a śmiercią wydała jej się olbrzymia. Dziwnie patrzyło się na tę pustą skorupę, kiedy jego duch nie tak dawno odwiedził cytadelę. Gdy ludzie umierali, ich niewidzialne dusze przyklejały się do ciał na tak długo, jak tylko mogły – dzień albo dwa – a kiedy traciły tę przyczepność, odpływały, przyciągane mocą przemijania. Niebo je do siebie wzywało. Unosili się i powracali do niego, niesieni.

Chyba że złapała ich Minya i zatrzymywała jako zabawki.

Ari-Eil nie miał żony, umarł w domu rodzinnym, a u jego łoża czuwała młodsza siostra. Zasnęła. Na imię miała Hayva; była w jej wieku i Sarai nie mogła przestać myśleć, jakże inne by miała życie, gdyby bogowie nadal żyli.

Przebywając w kuchni Ari-Eila, jednocześnie znajdowała się i w innych domach, patrzyła na różne twarze, na kobiety, które nie miały tyle szczęścia co Hayva – były młode, kiedy bogowie jeszcze rządili Szlochem. Wtedy nosił inną nazwę. Tę nadano mu wraz z rozlewem krwi, idealnie opisywała dwieście lat rządów Mesarthimów. Jeśli czegokolwiek przez ten czas nie brakowało, to właśnie łez.

Wszystkie te domy, wszyscy ci ludzie, porozrzucane zabawki, zniszczone buty... było tam zupełnie inaczej niż w cytadeli. Nie mieli mesartjum, tylko ceramikę, drewno i kamień. Ręcznie wydziergane dywaniki, szyte pledy, koty skulone przy ludziach na skotłowanej pościeli. Do nich zmierzała Sarai. Nie do kotów, do ludzi. Do śpiących, których znajdowały ćmy. Dotyk miały tak delikatny, że nawet ich nie budziły. Nigdy się nie budzili, czy to mężczyźni, czy kobiety, dzieci, czy dziadkowie. Ćmy przysiadły im na brwiach albo wystających kościach policzkowych. Miało to pewną dozę intymności. Sarai znała ludzki zapach, rytm oddechu. Była koneserką rzęs – obserwowała, jak spokojnie spoczywały, jak drżały. Lubiła fakturę skóry przy oczach, jej delikatność i tendencję do nabywania zmarszczek. Lubiła też patrzeć na gwałtownie obracające się pod powieką oko. Po jednym spojrzeniu potrafiła powiedzieć, czy śpiący faktycznie śnił, czy znajdował się w fazie odpoczynku pomiędzy kolejnymi marzeniami.

„Nikt, kto stąpał po tym świecie, nie wiedział więcej ode mnie o zamkniętych oczach”, pomyślała.

Obejrzała też niejedno nagie ciało – brązowawe, nie niebieskie – i przypatrywała się pulsującym żyłom na odsłoniętych gardłach i ciepłych, białych nadgarstkach. Patrzyła na ludzi, kiedy byli kompletnie bezbronni, samotni, a jednak razem, śpiąc lub robiąc wszystko to, co robi się po ciemku.

Jak się okazało, istniały niezliczone sposoby na splecenie się dwóch ciał. To cenna lekcja, tak samo zabawna, jak i szokująca. Niegdyś opowiadała o tym pozostałym od razu o poranku, a oni chichotali i zakrywali usta dłońmi, lecz nikogo to już ani nie bawiło, ani nie szokowało. Uczucie to zakradło się do niej niepostrzeżenie: jak przyływ, jak zanęta. Sarai rozumiała głód Ruby. Nie rozglądała się już potem za podobnie intymnymi sytuacjami, lecz nawet widok silnego, nagiego ramienia oplatającego delikatnie biodro czy ramię potrafił sprawić, że okrutnie tęskniła za podobnym gestem. Chciała być jednym z ciał, które podpatrywała podczas owych fuzji. Chciała szukać i znajdywać. Aby ktoś szukał i znajdywał. Być częścią absolutnego zrozumienia. Obudzić się, trzymając czyjąś dłoń.

Poczuła ucisk w gardle. Zacisnęła pięści. Takie rzeczy nie były przeznaczone dla niej.

„Każdej nocy całuję tuziny ludzi”, powiedziała tego wieczoru Feralowi.

„To żadne całowanie”, odparł nie bez racji.

To prawda, Sarai nie całowała ludzi podczas snu. W rzeczywistości wszystko to stanowiło zaledwie wstęp – lot z cytadeli, przeciskanie się przez kominy i przysiadanie na brwiach. Obserwacja, dotyk, smak, zapach to jedynie mała częśćka jej daru. Swą pełnię miał on dopiero objawić.

Kiedy ćma przysiadła na śpiącym, Sarai wchodziła w jego sny z taką łatwością, jak wchodzi się do komnaty przez uchylone drzwi, a kiedy już się tam znalazła, mogła robić, co jej się żywnie podobało. Ich umysły stały przed nią otworem, a raczej ich wierzchnia warstwa, na której pęczniało to, co buzowało pod spodem, i niesione było strumieniami wyobraźni, doznaniem, uczuciami, nieskończenie łącząc się i rozłączając w niestrudzonych próbach nadania sensu i pozoru koherentnej całości nie tylko snom, ale i śniącemu. Bo czymże innym jest człowiek, jak nie kompletem złożonym z wycinków pamięci i skrawków doświadczeń, zestawem określonych komponentów, które można nieograniczenie układać w rozmaite wzory? Kiedy ćma przysiadła na brwi śniącego, Sarai wchodziła w jego sen. To, co odczuwał on, odczuwała i ona. Nie działała jak bezradny widz, gdy tylko znalazła się wewnątrz – niczym rabuś, niewidoczny i nie do wykrycia – kontrolowała sny. Może w świecie rzeczywistym była tylko ukrywającą się przed krzywdą dziewczyną, lecz nieświadomy umysł dawał jej wszechmocną potęgę; stawała się czarodziejką i bajarką, władczynią marionetek i mroczną nadzorczynią.

Sarai była Muzą Koszmarów.

Minya nadała jej to miano, a zarazem wyznaczyła cel. Uczyniła ją tym, kim była.

„Potrzeba nam czegoś złego, Sarai – powiedziała. – Aby się zemścić”.

I tak Sarai została bronią, na którą czekała Minya. Karała ludzi w jedyny możliwy sposób: przez sny. Strach stał się jej orężem, senne koszmary sztuką. Każdej nocy, przez całe lata, znęcała się nad śniącymi ze Szlochu.

„Przyprawiłaś kogoś o łzy?”, zwykła pytać ją o poranku Minya.

Zawsze odpowiadała twierdząco.

Przez długi czas ta nowa, ekscytująca moc stanowiła oś ich egzystencji. Cała czwórka przychodziła o świcie do jej sypialni, aby po powrocie ciem opowiedziała im, co też ujrzała: jak wyglądają miejskie kamienice i jacy są tamtejsi ludzie. Minyę interesowały jedynie koszmary, resztę zwykle sam Szloch. Sarai mówiła im o rodzicach, którzy pocieszali swoje dzieci, kiedy tym przyśniło się coś złego i zrywały się z krzykiem, a jej przyjaciele słuchali w milczeniu, czemu towarzyszyło namacalne wręcz napięcie. Zawsze dało się wyczuć zazdrość i tęsknotę. Nienawidzili ludzi, chociaż chcieli nimi być. Pragnęli ich ukarać, ale marzyli o ciepłych objęciach. O tym, żeby ich zaakceptowano, szanowano, kochano, chcieli poczuć się jak czyjeś dziecko. A jako że nigdy nie miało być im to dane, kipieli ze złości. Każdy, kto kiedykolwiek został skądś wykluczony, mógłby się z nimi utożsamić, zrozumieć, lecz nikt nie doznał podobnego wykluczenia.

Dlatego swoją tęsknotę maskowali cynizmem, jakby przykrywali ciemność śmiechem. Zadziałał instynkt samozachowawczy niższego rzędu. Hartowali się i na

nienawiść reagowali nienawiścią.

Sarai posadziła ćmę na Hayvie, siostrze Ari-Eila, i innych śniących. Zanurzyła się w snach całego Szlochu. Większość była nużąca, można by je przyrównać do monotonnego kronikarstwa. Niektóre jednak się wyróżniały. Pewien mężczyzna tańczył z żoną sąsiada. Starsza kobieta polowała na ravidę z nożem z demonoszkłą. Przyszła matka wyobrażała sobie, że urodzi niebieskie dziecko, i miała nadzieję, że to kolor dotyku śmierci, a nie boski błękit.

Hayva śniła o bracie.

Bawili się we dwoje na dziedzińcu. Ot, wyimek z pamięci. Stało tam uschnięte drzewo, a Ari-Eil niósł Haywę na barana, żeby mogła obwieszać gałęzie papierowymi kwiatami. Jak inne drzewa rosnące w Szlochu, tak i to już nigdy nie zakwitnie. Udawali tylko, że na powrót ożyło.

Sarai stała obok, zupełnie dla nich niewidzialna. Nawet gdyby chciała się pokazać, nie mogła tego zrobić. Tu biegła granica jej daru, nauczyła się tego, zbierając doświadczenia. Dawniej próbowała wszystkiego, aby zwrócić na siebie uwagę. Krzyczała, syczała, ale i tak nie słyszeli. Szczypała, ale nie czuli. Pozostawała duchem w snach innych, skazana na niewidoczność.

Zdążyła już do tego przywyknąć.

Patrzyła, jak dwójka dzieci dekoruje drzewo papierowymi kwiatami, i zastanawiała się, czy to jedyne, na co może liczyć Szloch. Udawane życie.

Ale czy nie mogła powiedzieć tego samego o sobie?

Co tu robiła, w tym domu, w tym śnie? Jeśli chciała zyskać sobie przychyłność Minyi, nie powinna się hamować, lecz będzie musiała wykorzystać czułość i smutek Hayvy przeciwko niej. Sarai dysponowała szerokim i koszmarnym arsenałem. Kolekcjonowała mary senne przez wszystkie te lata, a gdzie indziej mogła je trzymać jak nie w sobie? Czuła, jak buzują gdzieś w jej jądrze – wszystkie te obrazy i sceny portretujące strach i niepokój, wstyd, szok, nieszczęście, rozlewy krwi i ból. Dlatego nie śmiała już śnić, nawiedzały ją te same marzenia i koszmary co innych, dlatego zdała się na łaskę nieświadomości. Kiedy zasypiała, nie była już ani czarodziejką, ani mroczną nadzorczynią, a jedynie śniącą dziewczynką niepanującą nad kipiącymi w niej horrorami.

Gdyby była młodsza, nie wahałaby się zatruć umysłu Hayvy przerażającymi wizjami martwego brata. Mogła kazać mu umierać na sto różnych sposobów, a każdy jeden bardziej makabryczny od poprzedniego. Albo przemienić słodkie wspomnienie o miłym chłopcu w straszną opowieść o żarłocznym nieumarłym, który przygniata siostrę do ziemi i zatapia zęby w jej czaszce. Z pewnością dziewczynka obudziłaby się z krzykiem. Niegdyś Sarai wyobraziłaby sobie uciechę Minyi i zrobiłaby to, co najgorsze. Ale teraz już nie.

Dzisiaj wyobraziła sobie radość Hayvy i zrobiła to, co najlepsze. Postąpiła jak Jaskółka, jej słodka Czarownica Orchidea, i siłą woli powołała drzewo do życia, patrzyła, jak wypuszcza listki i rozkwitają pąki, a dwójka utkanych z pamięci dzieci tańczy wokół niego, śmiejąc się. Tymczasem prawdziwa dziewczynka, siedząca na krześle przy ciele martwego brata, uśmiechnęła się leciutko. Ćma odleciała z jej brwi. Sarai wyszła ze snu i udała się z powrotem ku nocy.

Zabawne, że przez całe lata można wybierać sobie to, co chce się zobaczyć, wybierać powód swojej złości, tak jak wybiera się koszulę nocną, zostawiając pozostałe zwisające z kołków z mesartjum. A jeśli faktycznie owe powody były jak bielizna, przez lata Sarai nosiła tylko jedną koszulę: Rzeź. Jakże dobrze ją znała dzięki snom. Ludzie, którzy się jej dopuścili, nie potrafili uwolnić się od prześladowających ich scen, rozgrywających się raz po raz w ich umysłach.

Szczególnie Eril-Fane.

Lśnienie noża i tryskająca krew. Duża i Mała Ellen leżące bezwładnie na podłodze, mężczyźni, którzy je zabili, musieli deptać ich zwłoki, żeby przejść. Zgroza, błagania malutkich dziewczynek i chłopczyków, którzy mieli już tyle rozumu, by pojąć, co się działo. Zawodzenie i barani bek dzieci zbyt młodych, aby mieć podobną świadomość, lecz zainfekowanych strachem starszych. Dźwięki te dławiono po kolei, jakby cel stanowiła cisza.

I cel ten osiągnięto.

Niemal trzydzieści głosów odjęto tego dnia od świata, nie licząc sześciorga bogów i jakiegoś tuzina ludzi, którzy, tak jak Elleny, nawinęli się pod ostrze. Gdyby nie Minya, Sarai, Feral, Ruby i Jaskółka byłiby jedynie czterema malutkimi martwymi ciałkami więcej spoczywającymi na podłodze żłobka. Ludzie to uczynili. Pomordowali dzieci. Nic dziwnego, że Sarai stała się Muzą Koszmarów, mściwą boginią nawiedzającą ich sny.

Chęć zemsty wypaliła się w niej jednak lata temu.

Za paskudną rzecz – i coś, o czym nigdy nie ośmielała się rozmawiać – uznała to, że aby wykorzystać ludzkie lęki, musiała się w nich zanurzyć. A nie dało się nie zauważyć po czterech tysiącach nocy, nawet wbrew sobie, że ludzie też sporo przeszli. Bogowie byli potworami, zasługiwali na śmierć. Lecz ich dzieci nie. Ani wtedy, ani teraz.

Cytadela stała się więzieniem, jak i sanktuarium, ale na jak długo? Nieważne, jak bardzo pilnowali przestrzegania Reguły, pewnego dnia ludzie i tak po nich przyjdą. Jeśli przerażenie wyciąganych przez Minyę dusz dawało im coś do zrozumienia, to na pewno to, że mieszkańcy Szlochu gotowi są powtórzyć swój krwiożerczy zryw. Jak mieliby się przed nimi bronić?

Ćmami, chmurami, kwiatami, ogniem i duchami. Owszem, nie byli bezbronni, lecz Sarai nie miała złudzeń. Nie daliby rady przetrwać kolejnej Rzezi. Mogli tylko mieć nadzieję, że ich nie znajdą.

Krażyła po tarasie pod jasnym światłem księżyca, podczas gdy jej ćmy latały od domu do domu jak pszczoły z kwiatka na kwiatek. Świadomość Sarai stanowiła narzędzie niepozabawione subtelności. Potrafiła podzielić się po równo na stu posłańców i przeskakiwać pomiędzy nimi w rozmaitych konfiguracjach, skupiając uwagę na tym, czego akurat wymagała, a ignorując przy tym niewiele. Co chwilę zmieniała się jej perspektywa. Musiała reagować impulsywnie, zaufała instynktom, odbijać się z miejsca do miejsca, wskakiwać i wyskakiwać z czyjegoś umysłu, zakręcić setką ciem, jakby wirowały w dzikim piruecie, wykoślawiać sny i wyostrzać je, sprowadzać bogów i bestie na ścieżki śniących. I zawsze, ale to zawsze, czegokolwiek by nie zrobiła, jakichkolwiek lęków by nie przyzwała, dołączała ukradkowe postscriptum, które było niczym skrajnie pesymistyczna wiadomość na końcu listu. Zawsze to samo. Każdy sen nękający śpiących

mieszkańców Szlochu niósł to samo podprogowe ostrzeżenie... przed nienazwanym horrorem kryjącym się za murami cytadeli.

Sama sobie narzuciła to zadanie: zaszyć pomiędzy materię snu strach tak żywy, żeby lud Szlochu nie mógł nawet spojrzeć na cytadelę, a co dopiero podejść do niej. Na razie to wystarczało.

Noc wydawała się przeciągać, lecz miała wkrótce dobiec końca jak wszystkie, więc Sarai przyzywała swoje ćmy do domu. Zamarła. Czekwała. Leciały ku niej przez ostatnie przebliski gwiazdznego blasku i ponownie złączyły się w wir trzepoczących skrzydeł. Otworzyła szeroko usta i przyjęła je do siebie.

Z początku powroty były gorsze niż exodus. Za pierwszym razem nie potrafiła się nawet do tego zmusić i patrzyła, jak ćmy wyparowują po nastaniu świtu. Przez cały dzień nie wypowiedziała ni słowa, jakby jej głos wyparował razem z nimi, lecz po nadejściu zmroku znowu poczuła, jak się w niej kotłują. Cykl rozpoczynał się na nowo i zorientowała się, że jeśli chce znowu przemówić, musi otworzyć usta i zaprosić ćmy.

„Kto chciałby się całować z dziewczyną, która je ćmy?“, zapytała kiedyś ze współczuciem Ruby, ale Sarai nie sądziła – i zdania do tej pory nie zmieniła – żeby musiała kiedykolwiek przejmować się podobnym dylematem. Poza tym nie jadła ciem. Nie było bowiem nic do przełknięcia, żadnego stworzonka. Tylko delikatne muśnięcie skrzydełek o usta, kiedy się z nią stapiały, pozostawiając po sobie posmak soli i sadzy. Soli od łez, sadzy po kominach. Sarai znowu była jednością. Wyczerpana, ale jednak.

Ledwie weszła z tarasu do sypialni, kiedy do środka wparowała Mała Ellen z poranną tacą, na której stały śpioch w małej kryształowej fiolce i miseczka śliwek, aby zabić gorzki smak.

– Dzień dobry, skarbie – przywitał się duch.

– Dzień dobry, kochana – odpowiedziała Sarai i sięgnęła po śpiocha.

Połknęła szare zapomnienie.



Stopione gnaty  
zarżniętych demonów

Po całej tej gadaninie o otwartych umysłach i zabawianiu słuchaczy opowieściami nawet Lazlo się zastanawiał, co tak naprawdę spodziewa się zobaczyć za Guzkiem. Poznaczoną pęknięciami ścianę klifu z doświadczonego przez pogodę marmuru? Kamienie o kształcie czaszek wystające gdzieś na drodze? Skały przypominające kości tak bardzo, że zrodziło to mit?

Nie ujrzał ani jednego, ani drugiego.

– To naprawdę kości – powiedział do Eril-Fane’a, próbując odczytać z twarzy bohatera potwierdzenie, lecz mężczyzna rzucił mu cień uśmiechu i zachował milczenie, które towarzyszyło mu przez cały dzień. – To naprawdę kości – powtórzył Lazlo, tym razem ciszej, do siebie.

Nie miał przed sobą kamienia, który przypominał czaszkę, a prawdziwą czaszkę. Całe setki. A raczej tysiące. Składały się na ogromną, białą masę widoczną z traktu. Patrzył na osadzone w szczękach zębiska ostre jak hresstek i padlinożerne ptaki, tak jak przewidywał, moszczące się w ogromnych oczodołach. Uwiły sobie gniazda z kudłatych i poszarganych surowców, najpewniej ukradzionych: upuszczonych wstążek, kosmyków włosów, frędzli od szalików, a nawet powyrywanych piór. Ptaki to wychodziły, to chowały się, skrzeczały głośno i kryły się pomiędzy ogromnymi, zaokrąglonymi łukami, które niegdyś mogły być jedynie żebrami, potrzaskanymi i poroztapianymi, oraz, czego nie dało się pomylić z niczym innym: kośćmi gigantycznych stóp i dłoni ze strzelistymi kośćmi nadgarstka długości ludzkiego ramienia. Knykcie jak pięści. Stopione ze sobą, połączone. Czaszki pozapadały się jak świece postawione zbyt blisko ognia, dlatego żadna nie przypominała pozostałych, a jednak dało się je rozpoznać. Niegdyś należały do żywych istot.

Z zasady nie lubił się chełpić, lecz chciałby zobaczyć teraz twarze *faranji*, szczególnie Thyona. Złoty chrześniak jechał na wielbłądzie na tyłach karawany. Lazlo cieszył się jak dziecko, słysząc niesione echem, entuzjastyczne okrzyki Calixte, która z kolei sobie nie żałowała.

– Ej, Tod, czy widzisz to co ja? – darła się. – Czy może zgubiła mnie moja łatwowierność? – A po chwili dodała: – Co robisz, Tod? Nie wiesz, że niegrzecznie grzebać w czyjejś naiwności? – A potem: – Czyżby zgubiła mnie moja wyobraźnia? Nie, czekajcie, to kość demona!

Lazlo podejrzewał, że prędko się jej nie znudzi.

– Wydajesz się zdumiony – odezwał się nareszcie do niego Eril-Fane. – Po tym, co mówiłeś zeszłej nocy, myślałem, że wiesz.

– Że wiem? Nie, myślałem... Nie wiem, co myślałem. Chyba że nawet jeśli to prawda, to nie tak dosłowna.

Miał przed sobą coś uderzająco oczywistego, co jednak niemal nie mieściło mu się w głowie, jakby próbował wtłoczyć pod malutką czaszkę cały Guzek. Niecodziennie

przecież widzi się dowód na prawdziwość mitu, bo jeśli nie był to faktycznie ów dowód, to nie potrafił tego nazwać.

– A serafiny? – zapytał. – To też prawda?

– Pytasz, czy istnieje na to dowód? – zapytał Eril-Fane. – Nic podobnego do tego, ale przecież nie skonały tu, nie mogły więc zostawić po sobie kości. *Thakranaxet* zawsze nam wystarczał.

*Thakranaxet* – epos o serafinach. Lazlo w ciągu lat spędzonych w bibliotece odnalazł tylko fragmenty. Poemat nigdy nie dotarł do Zosmy w całości. Słyszając nabożny ton Eril-Fane’a, zrozumiał, że to dla niego święty tekst.

– Czycie je.

– Owszem.

– Mam nadzieję, że moja teoria nie obraziła twoich uczuć.

– Bynajmniej – odpowiedział Eril-Fane. – Podobała mi się.

Jechali dalej. Oszołomiony Lazlo podziwiał otaczające go niezwykle formacje skalne.

– Ta należała do kogoś młodego – powiedział, pokazując czaszkę mniejszą od pozostałych. – To mały demon. Jesteśmy na górze ze stopionych ze sobą kości, a ja jadę po niej na spektralnym. – Lixxa zarżała, gdy poczuła dłoń chłopaka gładzącą jej długie, białe uszy. Lazlo wyszeptał do zwierzęcia kilka słodkich słówek, zanim odezwał się ponownie głośnie: – Przedzieram się przez stos pogrzebowy *ijji*, a za towarzysza mam Zabójcę Bogów, do tego zostałem jego sekretarzem.

Nikły uśmiech Eril-Fane’a znacząco się poszerzył.

– Prowadzisz narrację? – zapytał rozbawiony.

– Powiniennem – odparł Lazlo i mówił dalej dramatycznym głosem: – Guzek, który górował już nad horyzontem, wyglądał z tej odległości złowieszczo. Karawanie parę godzin zajęło pokonanie krętego traktu prowadzącego do fortu Misrach, lecz innej drogi nie było. To tutaj przez całe stulecia wyłapywano zbłąkanych *faranji*, których ćwiartowano i karmiono nimi sirrahy. Lazlo Strange spojrział na niebo – przerwał, uniósł głowę – krążyły nad nim złowrogie, wygłodniałe ptaki, skrzecząc donośnie i zawiązując sobie na zakrzywionych szyjach śliniaki. Zastanawiał się z ukłuciem niepokoju, czy to możliwe, że przebył całą tę drogę tylko po to, aby skończyć jako posiłek dla padlinożercy? – zapytał retorycznie, na co Eril-Fane roześmiał się donośnie.

Lazlo uznał to za swoje małe zwycięstwo. Im bliżej miasta się znajdowali, tym bardziej mężczyzna wydawał mu się ponury. Chłopak nie potrafił tego zrozumieć. Nie powinien się cieszyć z powrotu do domu?

– Z ukłuciem niepokoju? – powtórzył Eril-Fane, unosząc brwi.

Lazlo omiótł gestem krążące nad ich głowami ptaki.

– Są niepokojąco zadowolone z naszej obecności.

– Dobrze, powiem ci dlaczego. Z powodu coraz rzadszych wizyt *faranji* sirrahy cierpiały na chroniczne niedożywienie. Dlatego niezbędne wydało nam się ściągnięcie tu jak najszybciej paru podróżnych, aby mogły się nareszcie najeść. Ptaki też muszą przecież jeść.

– Cholera. Gdybyś powiedział mi wcześniej, kazałbym Calixte to zapisać.

Mógłbym wtedy zapłacić katom za odroczenie wyroku.

– Za późno. Już jesteśmy na miejscu.

Bramy fortecy jakby wyrosły przed nimi spod ziemi. Otworzyli im je dumni wojownicy w hełmach i powitali swojego dowódcę i jego towarzyszy z niemalże niezauważalną radością. Kiedy zostali wprowadzeni na swych wielbłądach na centralny dziedziniec fortecy, Lazlo spotkał się z ciekawością z ich strony, pozostali nieznajomi zresztą także. Twierdzą wycięto bezpośrednio w skale, a raczej w stopionych, wyrzeźbionych przez gorące kościach, które układały się po obu stronach w wysokie mury, jakby trzymały niebo na dystans. Pod ścianami pobudowano koszary i stajnie, były tam koryta i fontanna. Pierwsza nieracjonowana porcja wody, jaką ujrzeli od dwóch miesięcy. Bezpośrednio przed nimi, jakieś dwadzieścia metrów dalej, znajdowała się kolejna brama. Lazlo pomyślał, że za nią kryje się miasto, ale czuł się, jakby nie do końca to do niego docierało.

– Za chwilę zobaczysz, o co w tym wszystkim chodzi – powiedział Eril-Fane.

Cóż to takiego mogło być, że od razu rzucało się w oczy?

Lazlo zsiadł ze spektralnej i poprowadził Lixxę do koryta. Sam podszedł do fontanny, nabrał oburącz wody i oblał sobie głowę chłodną cieczą. Spłynęła mu po czaszce i karku, poczuł się znakomicie. Kolejną porcję wypił. Następną też. I jeszcze jedną. Zaczął drapać się po twarzy i skrobać swędzącą brodę, nie przywykł do zarostu. Kiedy już niemal byli na miejscu, pozwolił sobie na krótki sen na jawie o czekającym go komfortowym posłaniu. Nie żadnym tam luksusem, bo ten pozostawał poza jego zasięgiem, lecz odrobinie wygody: kąpieli, goleniu, posiłku, łóżku. Jak tylko będzie miał szansę, kupi sobie ze swojej pensji nowe ubranie. Nigdy jeszcze tego nie robił i nie miał pojęcia, gdzie się po nie udać, ale coś wymyśli. Co się nosiło, kiedy można było nosić wszystko?

Nie chciał nic szarego. Przypomniał sobie uczucie ostateczności, kiedy zrzucił swoje bibliotekarskie szaty po dołączeniu do Eril-Fane'a, i towarzyszący temu żal. Kochał bibliotekę. Jako chłopiec myślał o niej jak o rozumnej istocie, która, być może, odwzajemniała to uczucie. Bo nawet mimo że to tylko mury, dachy i zgromadzone na tamtejszych półkach papierzyska, oczarowały go, przyciągały i dawały mu wszystko, czego potrzebował, żeby stać się sobą.

Czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy? Czy ujrzy kiedyś starego mistrza Hyrrokkina? Minęło dopiero pół roku, odkąd wyjechał, lecz Wielka Biblioteka już stała się wspomnieniem, jakby jego umysł posortował tych siedem lat i zarchiwizował je jako odległą przeszłość. Cokolwiek by się nie działo, Lazlo zdążył już zaakceptować, że ten rozdział jego życia dobiegł końca. Przekraczał kontynenty i spijał światło gwiazd z bezimiennych rzek. Nie było już dla niego odwrotu.

– Strange! – krzyknęła Calixte, dobiegając do niego tanecznym krokiem; oczy jej się świeciły, gdy złapała go za ramiona obiema dłońmi i potrząsnęła: – Kości, Strange! Czy to nie upiorne?

Jej ton sugerował, że myślała raczej o czymś ekscytującym, choć okropnym, o ile takie rzeczy faktycznie istniały. Lazlo miał co do tego wątpliwości. Jakkolwiek by jednak nie patrzeć – bez względu na to, czym były *ijji* i kto je pozabijał, anioły czy nie – stali na

stercie kości będącej ogromnym masowym grobem. Ale będą jeszcze mieli czas na zadumę. Teraz nadszedł czas zachwyty.

Calixte wyciągnęła zaciśniętą pięść.

– Masz. Sam byłbyś zbyt dobrze wychowany, żeby to zrobić.

Zaciekawiony Lazlo wystawił dłoń. Dziewczyna położyła na niej kawałek lśniącego, białego szkła.

– Oto kiel Guzka – powiedziała rozradowana.

Ząb *ijji*.

– Oderwałaś go? – zdziwił się.

Musiałyby zejść z wielbłąda i wejść po skale.

– Cóż, nikt nie powiedział, żeby nie bezcześcić góry.

Lazlo pokręcił głową. Uśmiechnął się i pomyślał, że gdyby nie usłyszał tej plotki w Syrizie i nie napomknął o tym Eril-Fane'owi, Calixte nadal siedziałyby za kratami. O ile by dotąd przeżyła.

– Dziękuję – powiedział, zaciskając pięść na zębie.

To pierwszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymał.

Czekał na nich skromny posiłek, prosty, ale zarazem wykwintny, bo świeży. Miękki, słonawy chleb z białym serem, plastry przyprawionego mięsa i ćwiartki jakiegoś dużego, okrągłego owocu o smaku słodkiej deszczówki. Nikt się nie odzywał i przez chwilę nie istniały między nimi żadne podziały, na biednych czy bogatych, obcych czy miejscowych, uczonych czy sekretarzy. Choć Thyon dorastał, jedząc delikatesy, a Lazlo Strange okruchy, obu posiłek smakował tak samo.

– Hej, Tod – powiedziała Calixte z ustami pełnymi chleba. – Chcesz porozmawiać o mojej łatwowości? Bo jeśli tak, to może postawisz mi następny posiłek?

No dobrze, może niektóre podziały zostały nienaruszone.

Sirrahy nie przestały krążyć nad ich głowami, chóralnym skrzekiem obwieszczając swój głód, i tak jak minionego dnia ich szeregi zostały rozproszone przez sokoła. Mimo że był o połowę od nich mniejszy, przeleciał gładko przez ich nieduże stado łopoczące poszarpanymi, cuchnącymi skrzydłami, przeganiając je przesywającym okrzykiem. Eril-Fane uniósł ramię, a ptak zszedł elegancką spiralą. Przeciął ostro powietrze i wylądował. Zabójca Bogów odczytał przyniesioną przez ptaka wiadomość, a kiedy uniósł głowę, odszukał spojrzeniem Lazla, po czym niezwłocznie do niego podszedł.

– Coś pilnego? – zapytał chłopak.

– Co, to? – Mężczyzna uniósł liścik. – Kolejne rozkazy.

– Rozkazy?

Od kogo? Dowódcy? Gubernatora?

– Myślałem, że to ty wydajesz rozkazy – zdziwił się Lazlo.

– Nie swojej matce. – Roześmiał się Eril-Fane.

Lazlo zamrugał. Chwila ta i tak zawierała ogromną dozę nieprawdopodobieństwa, lecz teraz uderzyło go ono z całą siłą. Przekroczył Elmuthaleth u boku Zabójcy Bogów, a w jego kieszeni spoczywał ząb istoty z najstarszego mitu, jaki znał świat. Lecz o ile baśnie stanowiły znajomy teren dla jego umysłu, nigdy nawet nie przyszło mu do głowy coś z życia wziętego, że Eril-Fane może mieć matkę.

Bo... był bohaterem. Bo wydawał się odlany z brązu, a nie zrodzony z kobiety. Bo Lazlo, który sam nie miał matki, zwykł zapominać, że inni mogą je mieć. Dotarło do niego, że chyba jeszcze żadnej nie poznał, a już na pewno nie zamienił z żadną ani słowa. Wydawało się to niemożliwe. A jednak.

– Nie może się doczekać, aż cię pozna – powiedział Eril-Fane.

Lazlo spojrzał na niego zaskoczony.

– Mnie? – zapytał. – Ale skąd może wiedzieć...?

Nie dokończył zdania, poczuł w gardle gulę. Zabójca Bogów miał matkę, która czekała na niego za murami Szlochu. Powiadomił ją o rychłym przyjeździe i uznał za stosowne napomknąć o Lazlu.

– Zostaniesz z nią, jak już wjedziesz do miasta.

– Och – wydusił Lazlo zaskoczony.

*Faranji* mieli zostać zakwaterowani w siedzibie cechu kupieckiego. Założył, że on również.

– Obawiam się, że na to nalega. Liczę, że nie masz nic przeciwko. Nie będzie tak wystawnie jak w cechu, ale równie wygodnie.

Lazlo nie był pewien, co jest bardziej niecodzienne: że Eril-Fane uległ naporowi matki, czy że pomyślał, iż towarzyszący mu chłopak mógłby mieć coś przeciwko.

– Nie – odpowiedział. – Wygodnie to wygodnie.

Takie słowa podsunął mu umysł. „Wygodnie to wygodnie”.

– Czekaj. – Po chwili uświadomił sobie, co powiedział Eril-Fane. – Powiedziałeś, że jak już wjadę do miasta. Ty nie idziesz?

– Nie dzisiaj.

– Jak to? Ale czemu?

Eril-Fane nagle wydał mu się zmęczony. Żywotność, która zwykle od niego biła, gdzieś uleciała.

– Nie sypiam zbyt dobrze w Szlochu – odparł, odwracając z zawstydzieniem wzrok.

Lazlo nigdy nie słyszał, żeby Eril-Fane używał tej nazwy. Zmroziło go to.

– Słuchaj – dodał z uśmiechem Zabójca Bogów – zaoferowałem mojej matce, że z nią zostaniesz. Mam nadzieję, że potrafisz przetrzymać małą awanturę. Nie ma nikogo, kto mógłby się nią zająć i jak sądzę, nie będzie cię oszczędzała.

– Nigdy nie brałem udziału w awanturze – powiedział Lazlo, słysząc w swoim głosie coś, czego nie mógł zrzucić na suche gardło – ale chyba jakoś sobie poradzę.

Zabójca Bogów uśmiechnął się, miał ciepłe spojrzenie i radosne oczy. Wyciągnął dłoń, żeby poklepać go po ramieniu, i Lazlo, któremu brakowało nie tylko matki, ale i ojca, pomyślał, że tak musi się czuć ktoś, kto ich posiada.

– Cóż – odparł mężczyzna. – Oto jesteśmy – oświadczył, spoglądając na drugą bramę, i jakby skamieniał. – Jesteś gotowy? – Lazlo pokiwał głową. – W takim razie jedziemy.

Eril-Fane poprowadził drużynę do drugiej bramy. Nie przeszedł jednak na drugą stronę, tylko u jej wrót zawrócił swojego spektralnego. Nie odzywał się przez chwilę. Jego milczenie ciążyło wszystkim. Na twarzy malowało mu się napięcie, rezygnacja, a nawet odrobina strachu.

– Dwieście lat temu rozpętała się burza.

Powiedział tylko tyle. Ostatnie słowo zawisło nad nimi. Bliźniacy metalurdzy wymienili się pełnymi nadziei spojrzeniami, bo jedna z ich teorii dotyczyła huraganu.

– Lecz nie była to zwyczajna burza – mówił dalej Eril-Fane. – Nie padał deszcz, ale wiało i błyskało się, a pioruny nie przypominały żadnych innych, jakie tu dotąd widywano. Burza szalała bezpośrednio nad miastem. Uformowała kulę... Jakby czyjeś ogromne dłonie przeszperały niebo i zebrały wszystkie pioruny z całego świata, a potem je pozlepiały. – Rozłożył ręce, jego potężne ramiona zmarszczyły się, kiedy zagarniał powietrze dłońmi, jakby zbijał pioruny niczym śnieżkę. – I nagle ucichła. – Opuścił dłonie. – Zapadła gęsta, ciemna noc. Bez księżyca, bez gwiazd. Nikt niczego nie widział, lecz czuło się zmianę w atmosferze, w ciśnieniu. A kiedy nareszcie wstało słońce, wszyscy zobaczyli czemu. Tak jak i wy zobaczycie.

Z tymi słowami obrócił wierzchowca i przeprowadził delegację przez bramę. Ścieżkę wykuto przez demonoszkło, była tak wąska, że musieli przechodzić gęsiego. Wiła się i unosiła raptownie, stopniowo się poszerzając. Jechali raz do góry, raz po płaskim. Niebo nad ich głowami rozlewało się coraz większą kałużą, lśniąc głębokim, bezchmurnym błękitem.

A kiedy nareszcie wyjechali na otwartą przestrzeń, ujrzeni to, co chciał im pokazać.

Elmuthaleth była wysoko położoną pustynną niziną, płaską i jałową. Po tej stronie Guzka świat wpadał prosto w głęboki kanion – długi i kręty, wyłobiony przez rzekę, przy której nurcie Eder wydawał się strumyczkiem. Jej donośny szum dał się słyszeć nawet z miejsca, gdzie stali. Lecz ich zdumienie nie skupiało się na rzece, choćby i oszalamiającej. Nie istniało chyba na całym świecie nic, co mogłoby wywołać u nich podobne zdziwienie.

„Cień... tego mrocznego czasu stale nas prześladowe”, powiedział Eril-Fane.

Lazlo rozmyślał o tych słowach, zastanawiał się, jakież to nieszczęście mogło spaść na Szloch, ale nigdy nie spodziewałby się, że będzie chodziło o sam cień.

Dosłownie.

Rozciągające się przed nimi miasto – słynny Szloch, nareszcie widoczny – choć był środkiem jasnego dnia, spowijał mrok.

Lazlo czuł się, jakby rozłupano mu na dwoje czaszkę, a wszechświat wrzucił do środka zapaloną zapałkę. Zrozumiał wtedy swoją małość, kontrastującą z ogromem nieznanego. Kraina niewiadomej była nieskończona. Bez wątpliwości Szloch spowijała ciemność nie z tego świata.

– Strange – powiedziała Calixte – chyba wygrałeś – oświadczyła nieco radosnym,

oszołomionym szeptem, wyciągając dłoń z pękniętą portmonetką.

Wyczuła duchy. Sarai usłyszała ich szeptanie, jeszcze zanim otworzyła oczy. Złote światło dnia tańczyło pod jej powiekami – jasno, ciemno, jasno, ciemno – kiedy chodziły pomiędzy łóżkiem a oknem i z powrotem. Początkowo pomyślała, że to Mała Ellen, a z nią być może któraś z pokojówek, Awyss albo Feyzi, i poczuła ukłucie irytacji, że ośmieliły się wejść nieproszone. Nie nadszedł jeszcze czas na pobudkę. Kończyny nadal miała ociężałe, powieki również. Śpioch jeszcze nie zdjął z niej uroku gęstej szarości, a szeptano coraz bardziej gorączkowo.

– Serca. Mierzmy w serca.

– Nie w serca, bo uderzymy o żebra. Lepiej w gardło.

– Dajcie mnie.

Sarai otworzyła oczy. To nie Mała Ellen, Awyss czy Feyzi, ani żadne ze służących, lecz grupka starych kobiecín, które spłoszone, odskoczyły od łóżka i przytuliły się do siebie.

– Obudziło się! – zakrzyknęła jedna z nich.

– Teraz! Zrób to teraz! – zawołała inna.

Zanim Sarai zdołała pojąć, co się dzieje, duch skoczył ku niej, unosząc nóż, jego twarz wykrzywiła się z nienawiści i chłodnej determinacji. Nie zdołała uskoczyć. Nie potrafiła poruszać się aż tak szybko, kiedy nadal trzymał ją śpioch, nie przez szarą mgłę. Błysnęło ostrze noża. Stały jej przed oczami zapożyczone wspomnienia o Rzezi – dziecięcy płacz i lśnienie stali – krzyknęła donośnie, krzyczały też staruchy, lecz nie ta, która się na nią rzuciła. Duch ten szlochał z gniewu i szykował się do zadania ciosu, choć ramię staruchy drżało, jakby usiłowała dokończyć dzieła, lecz nie potrafiła zmusić się do zatoczenia łuku i przedziurawienia gardła Sarai ostrym nożem.

– Nie mogę – lamentowała z czystej frustracji.

Łzy ściekały jej po policzkach. Próbowwała się przymusić, lecz ramię nie chciało słuchać i nóż wypadł jej z dłoni, wbijając się w materac tuż obok biodra Sarai. Dziewczyna nareszcie odzyskała władzę nad swoim ciałem. Przeturlała się na kolana i odskoczyła od staruch. Serca biły jej jak oszalałe, z każdym uderzeniem pompując jej do ciała panikę, choć wiedziała, że jest bezpieczna. Duchy nie mogły jej zranić. To pierwszy imperatyw narzucany przez Minę: martwi nie krzywdzą żywych. Te duchy najwyraźniej o tym nie wiedziały. Kobiecina, która na nią naskoczyła, wydawała się zrozpaczona. Sarai ją znała, lecz nie miała pojęcia, że umarła.

Nazywała się Yaselith. Jej historia była podobna do historii innych kobiet z jej pokolenia, a one wszystkie narodziły się i wychowały pod rządami Mesarthimów, kiedy jeszcze Skathis ujeżdżał Rasalasa, swoją ogromną metalową bestię, i porywał chłopców oraz dziewczynki z ich łóżek.

Żadne nigdy nie zdradziło, co działo się w cytadeli. Zanim ich zwracano, odwiedzała ich Letha, bogini zapomnienia, pani pamięci. Potrafiła wyczyścić człowiekowi umysł jednym mrugnięciem. I tak też czyniła, odbierając dzieciom z miasta



całe lata. Kiedy Skathis je zwracał, nie pamiętały ani chwili spędzonej z bogami. Ich ciała jednak nosiły ślady, których nie dało się tak łatwo wymazać, skradziono im bowiem o wiele więcej niż wspomnienia.

Yaselith miała wilgotne i czerwone oczy, włosy białe i lekkie jak obłok dymu. Trzęsła się, łapiąc urywane oddechy, a kiedy nareszcie się odezwała, przemówiła głosem chrzęszczącym niczym łeppek zapalki potarty o draskę:

– Czemu? – domagała się odpowiedzi. – Czemu nie mogę cię zabić?

Sarai, skonfrontowana z niedoszłą morderczynią, nie poczuła złości. W każdym razie nie na staruchę. Minya to co innego. Czemu nowe duchy błąkały się po cytadeli?

– To nie twoja wina – powiedziała niemal delikatnie – ale nie dasz rady mnie zranić.

– Czyli sama powinnaś się zranić – syknęła Yaselith, wskazując na nóż. – Wybaw Szloch od tego nieszczęścia. Zabij się, dziewczyno. Zlituj się nad nami. Zrób to. Zrób.

Duchy zaczęły syczeć, niemal skandować, zaciągnęły zasłony łoża Isagol i otoczyły Sarai.

– Miej choć trochę przyzwoitości. Zrób to.

Ich oczy lśniły blaskiem dzikiej radości i Sarai rozpoznała każdą z nich, choć nie rozumiała, jak mogą tutaj być, bo żadna nie umarła. Poczowała narastającą panikę, kiedy ujrzała własną dłoń sięgającą po nóż. Pierwszą myślą, jaka przyszła jej do głowy, było to, że sama zmarła i teraz Minya każe jej to robić, bo naprawdę nie mogła się powstrzymać. Jej palce zacisnęły się na rękojeści, wyciągnęła nóż z materaca. Po ostrzu został nieduży ślad, z otworu trysnęła krew niczym z pulsującej jeszcze, przeciętej arterii. Nawet szalona nierealność tego spektaklu nie przywróciła jej zmysłów. Łóżka krwawią. Tkwiła tak głęboko w koszmarnych pejzażach, że nawet nie śmiała tego zakwestionować. Dłoń Sarai obróciła się sama, mierząc czubkiem noża w jej własną pierś. Dziewczyna spojrzała na rozradowane twarze staruch ze Szloch, a tam, gdzie jeszcze niedawno widziała ich pięć czy sześć, zmaterializowały się tuziny, przyciśnięte do prześwitujących zasłon, przez co ich usta i oczodoły wyglądały jak czarne dziury. Wtedy jej uwagę zwróciło coś zupełnie innego.

Czemu leżała w łóżku swojej matki?

Tak brzmiała jej ostatnia myśl przed tym, zanim zatopiła nóż w swoich sercach i zerwała się gwałtownie, wciągając ze świstem powietrze i dostrzegając, że jest u siebie. Sama. Żadnych duchów ani noża. Żadnej krwi. Ale też i oddechu, którego nie mogła złapać. Jakby się zadławiła i nie potrafiła wypuścić powietrza z płuc. Szarpała palcami pościel niczym szponami, zesztyniały jej mięśnie, a pod czaszką utkwiał krzyk, przysłaniając myśli. Stupor ten trwał jeszcze chwilę, aż pomyślała, że umrze na bezdech, a wówczas nareszcie ją puściło. Zgięła się wpół, kaszląc, jakby jej ciało przypomniawszy sobie, co robić. Przez kilka długich minut leżała skulona, po prostu oddychając, z piekącym gardłem i zacisniętymi powiekami, niezdolna stawić czoła prawdzie.

Miała sen.

Zacząła się niekontrolowanie trząść. Sen powoli ją opuszczał.

– O nie – wyszeptała, przyciskając kolana do piersi, gdy zrozumiała, co to oznaczało. – O nie.

Śpioch miał trzymać sny z daleka. Czyżby zapomniała go wypić? Nie, nadal czuła przecież na języku jego gorzki smak. Czemu w takim razie śniła?

Pomyślała o czasach sprzed śpiocha, kiedy nagminnie męczyły ją koszmary, co zmotywowało Dużą Ellen, aby ważyć dla niej tę miksturę. Czasem wydawało jej się, jakby wszystkie strachy, które zebrała przez lata, starały się ją dopaść, jakby jej arsenał zwrócił się przeciwko niej. Właśnie przed tym chroniła ją owa gęsta, szara nicość. A przynajmniej powinna.

Nareszcie zebrała się w sobie na tyle, aby wyjść z łóżka. Chętnie wzięłaby kąpiel, lecz oznaczałoby to pójście do pokoju deszczowego i napełnienie wanny, a potem poproszenie Ruby o podgrzanie wody, a to zbyt duży kłopot, aby dała radę się z nim teraz uporać. Dlatego wylała na siebie dzbanek zimnej wody i tak się umyła. Uczesała się i zaplotła warkocze, założyła czystą koszulę nocną, po czym wyszła do głównej komnaty, gdzie stało ogromne łóże jej matki, nietknięte. Przy zasłonach nie czaiły się duchy staruszek o zniszczonych twarzach, ale i tak przemknęła czym prędzej na korytarz przez zasłonkę. Tam natknęła się na Małą Ellen niosącą jej popołudniową tacę. Stała na niej herbata – oczywiście nie prawdziwa, ta skończyła im się już dawno temu, lecz ziołowy napar pomagający strząsnąć z siebie śpiocha – i herbatniki, bo Sarai zwykle przesypiała lunch.

– Wczesnie wstałaś – powiedział zaskoczony duch.

Sarai starała się ukryć swój niepokój.

– Nie jestem pewna, czy popołudnie to wczesnie – odparła ze słabym uśmiechem.

– Jak na ciebie. Coś cię obudziło?

– To moja herbata? – zapytała Sarai, unikając odpowiedzi. Podniosła filiżankę z tacy i naląła sobie do niej herbatę z niewielkiego dzbanuszką, rozsiewając aromat mięty. – Dziękuję, Ellen. – Zabrała napar i odeszła, zostawiając za sobą zdziwionego ducha.

Minęła krużganek, udała się bezpośrednio do kuchni, żeby porozmawiać z Dużą Ellen, którą zapytała szeptem, czy mogłaby wzmocnić śpiocha.

– Jak to wzmocnić? – Kobieta otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. – Coś się stało?

– Nic się nie stało – skłamała Sarai. – Po prostu boję się, że z czasem będzie mniej efektywny. – Faktycznie to właśnie się stało, choć nie tyle jego działanie osłabło, co przestał działać z nocy na noc.

Nie było to coś, z czym mogłaby się od ręki uporać.

– To już się wydarzyło? Nie kłam. Przecież poznam. – Duża Ellen mówiła surowo, patrzyła Sarai prosto w oczy. Twarz ducha przemieniła się w zakrzywiony, zabójczy jastrzębi dziób, przenikliwe żółte oczy wykluły się tuż pod ostrymi krawędziami upierzonych oczodołów.

– Nie rób tego – zaprotestowała Sarai, śmiejąc się wbrew sobie. – Toć wiesz, że mu się nie oprę.

– Spójrz mi prosto w oczy i spróbuj mnie okłamać.

To ich zabawa, którą lubili, kiedy Sarai była młodsza. Duża Ellen nigdy nie próbowała naciskać na nich ani wymuszać posłuszeństwa. Nie skończyłoby się to zbyt

dobrze, zważywszy na to, że ich dary nadal pozostawały kapryśne i nie sprawowali nad nimi kontroli. Dlatego wykorzystywała sprytniejsze metody, takie jak ta, żeby uzyskać lepsze efekty. Nie dało się nakłamać jastrzębiowi.

– To nieuczciwe – powiedziała Sarai, zasłaniając oczy. – Nie możesz mi zaufać? I pomóc?

– Oczywiście, że mogę, lecz muszę wiedzieć, czy to coś pilnego. Czyżbyś się uodporniła? – Nie chodziło o „jeśli”, ale „kiedy”. – Tak jest?

Sarai odsłoniła oczy i zobaczyła Dużą Ellen z powrotem w ludzkiej formie, przesywające spojrzenie jastrzębia zostało zastąpione wzrokiem równie przenikliwym, lecz także po ludzku współczującym. Dziewczyna lekko skinęła głową i była wdzięczna, że Ellen nie drażyła tematu.

– Dobrze, niech ci będzie – powiedział duch rzeczowo, bez pretensji. – Zaordynuję dodatkowe pół dawki rano i spróbuję pogrzebać przy następnej porcji. Zobaczą, co da się zrobić.

– Dziękuję – odparła Sarai.

Ulga w jej głosie musiała być wyraźnie słyszalna, bo Ellen rzuciła jej spojrzenie, jakiego nie powstydziliby się jastrzęb. Powiedziała, ostrożnie dobierając słowa:

– Śpioch nie będzie działał wiecznie. Nieważne, co zrobimy.

– O mnie się nie bój – powiedziała Sarai z udawaną beztróską, ale kiedy wyszła do krużganka, dodała pod nosem, tak cicho, że nikt jej nie usłyszał: – O wieczność też nie musimy się martwić.

Jako pierwszą zauważyła Jaskółkę, która przyklekła przy orchideach z rozmarzoną twarzą. Pnącza owijające jej dłonie rosły i opadały powoli kaskadą pomiędzy palcami, zawijały się wokół już dojrzałych i wypełniały pęknięcia w mesartjum. Siedzący przy stole Minya i Feral głowili się nad partyjką warcabów. Jako że Feral patrzył na swoją przeciwniczkę wilkiem, domyśliła się, że przegrywa. Minya z kolei wydawała się znudzona i przed wykonaniem ruchu zdławiła ziewnięcie. Sarai jak nigdy ucieszyła się z przewidywalnej monotonii życia w cytadeli. Chętnie powitałaby nawet miskę zupy z kimrilu i jej mdły smak. Nadchodzący wieczór nie miał być jednak ani radosny, ani nudny.

– Biedactwo – usłyszała zaśpiew Ruby.

Obróciła się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dziewczyna stała przed Ari-Eilem. Sarai zamarła. Była zaskoczona, raptem przed chwilą patrzyła na jego zwłoki. Minya obiecała go uwolnić, lecz najwyraźniej nadal im towarzyszył. Nawet jeśli zdołał się pogodzić ze swoją nową egzystencją – że zarazem żyje, jak i jest martwy – jego nastawienie w stosunku do nich nie zmieniło się ani o jotę. Nie wydawał się już zmieszany, dzięki czemu mógł się skupić wyłącznie na nienawiści. Minya kazała mu stanąć w kącie, tak jak stawia się nieużywaną miotłę albo parasolkę, a ten nadal, co zadziwiające, usiłował się jej sprzeciwić.

A może nie było to takie zadziwiające. Sarai spostrzegła, że mężczyźnie udało się, choć kosztowało go to mnóstwo wysiłku, przesunąć stopę do przodu, co sugerowało, że Minya nadal się z nim bawiła, dając mu wystarczająco swobody, aby trwał w fałszywej nadziei.

Ruby założyła skromną – jak na nią – sięgającą kolan czarną koszulę nocną. Ręce splotła za plecami, a jedną stopę założyła za drugą z fałszywą wstydlivością.

– Domyślam się, że to musiał być dla ciebie szok – powiedziała do niego – ale jak widzisz, nie jesteśmy tacy źli. Nie odpowiadamy za to, co się kiedyś wydarzyło. Nie jesteśmy jak rodzice.

Ruby wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego policzka. Gest pełen ciepła. Ruby była bezmyślna, lecz nie bawiła się z duchami jak Minya. Sarai miała pewność, że chciała go pocieszyć. Lecz kogoś martwego niełatwo pocieszyć.

– Nie dotykaj mnie, boski pomioście – syknął i kłapnął zębami jak zwierzę.

Ruby zabrała dłoń.

– Cham – powiedziała, odwracając się do Minyi. – Pozwoliłaś mu na to.

– Bez gryzienia – rzuciła dziewczynka.

Oczywiście Ruby miała rację, chłopak nie dałby rady tego zrobić, gdyby Minya mu na to nie pozwoliła. Znając ją, pewnie kazała mu to zrobić. Czasem traktowała duchy jak marionetki. Sarai przypomniał się jej koszmar, brak kontroli nad sięgającą po nóż dłoń, i zadrżała na samą myśl, że mogłaby się stać zabawką swojej towarzyszki niedoli.

– Minya! – zaprotestowała Sarai. – Obiecałaś, że go wypuścisz.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Poważnie? Niezbyt to do mnie pasuje.

Przewrotna, kapryśna i uparta Minya zachowywała się jak dzikie zwierzę – raz skryta, raz agresywna, zawsze brudna i potargana. Brakowało jej empatii, co stanowiło cechę charakterystyczną dla małych dzieci i morderców. Próby ucywilizowania jej nie przynosiły rezultatu. Pozostawała głucha na pochwały, rozsądek do niej nie przemawiał, nie odczuwała żadnego wstydu. Nie dało się jej ani do niczego nakłonić, ani zachęcić; była zbyt przebiegła i chytra na próby manipulacji. Nie mogli nad nią zapanować, odznaczała się skrajnym egoizmem, przemawiał przez nią żal i uraza. I nigdy nie była grzeczna, uprzejma czy usłużna.

– Ale tak było – nalegała Sarai. – Mogłabyś...? Proszę?

– Co znowu? Jesteśmy w trakcie gry.

– Przeżyjesz.

Feral siedział do tej pory nad szachownicą, podpierając podbródek dłonią, ale teraz spojrzał na dziewczyny, zdziwiony, że Sarai wyklóca się z Minyą. Zwykle starali się tego unikać, złość to raczej niedobry doradca. Nie miała nastroju, żeby chodzić na paluszkach i znosić jej fochy. Nie po tym, co się jej przyśniło. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, były złowieszcze miny jakiegoś ducha.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała Minya. – Krwawisz?

Minęła chwila, zanim Sarai zrozumiała, o czym mowa, bo pomyślała o krwi wytryskującej z rany w materacu i fantomowym nożu dociśniętym do jej piersi. Chodziło jej o miesięczne krwawienie i sugestia ta jeszcze bardziej rozżłościła Sarai.

– Nie, Minyo. Reszta z nas, w przeciwieństwie do ciebie, odczuwa całą gamę emocji, łącznie z niepokojem związanym z koniecznością obcowania z odrażającymi duchami.

Nie miała na myśli Ari-Eila, lecz zgromadzone wokół niej staruchy, i wiedziała, że

złość, jaką odczuwa, to pozostałość po śnie, co uznała za nieracjonalne, bo Minya nie przemieniła tamtych kobiet i nie puściła ich samopas po cytadeli, żeby próbowały ją zabić. Ale z nieracjonalnością wiązała się nieświadomość swojego stanu. Sarai nad sobą nie panowała.

– Aż tak ci to przeszkadza? – zapytała Minya. – Jak chcesz, każę mu się odwrócić do ściany.

– To nic nie pomoże – odparła Sarai. – Wypuść go.

Pozostali przyglądali się tej wymianie zdań, wstrzymując oddech i wybałuszając oczy. U Minyi zawsze wydawały się szeroko otwarte, lecz teraz aż lśniły.

– Jesteś pewna? – zapytała, a Sarai odniosła wrażenie, jakby to była pułapka.

Jaką zasadzkę udałoby się jej zastawić?

– Oczywiście, że jestem pewna – odpowiedziała.

– Niech będzie – rzuciła śpiewnie Minya, sugerując, że to błąd. – Dziwne jednak, że nie chcesz usłyszeć, co ma nam do powiedzenia.

– Niby co miałby nam powiedzieć? – zapytała Sarai, usiłując przybrać podobny ton.

– Nie chcesz słuchać, teraz nagle chcesz. – Przewróciła oczyma. – Zdecyduj się, Sarai.

– Nie mówiłam, że chcę – odcięła się. – A ty, że ma nam coś do powiedzenia.

– Aleś drażliwa. – Skrzywiła się Minya. – Jesteś pewna, że nie krwawisz?

„Nawet jeśli, skąd mogłabyś cokolwiek o tym wiedzieć? – pomyślała Sarai. – Może pogadamy o tym, jak kiedyś zdecydujesz się dorosnąć?”. Nie była jednak na tyle rozgłoszczona, ani na tyle nierozważna, aby powiedzieć to na głos. Zazgrzytała zębami i czekała.

Minya odwróciła się do Ari-Eila.

– Podejdź tu – powiedziała.

Posłuchał. Przycisnęła go, ale nadal usiłował się jej przeciwstawić, kolejne kroki stawiał, potykając się i powłócząc nogami. Zaiste groteskowy spektakl, lecz takie było, rzecz jasna, założenie. Kazała mu stanąć po drugiej stronie długiego stołu, przy którym siedziała.

– Gadaj – powiedziała. – Opowiedz, co opowiedziałeś mnie.

– Sama sobie opowiadaj. – Splunął.

Przeciągając i dozując tym samym napięcie, Minya bawiła się nie tyle z nim, co ze swymi towarzyszami. Znowu pochyliła się nad szachownicą i nieśpiesznie przesunęła swój pionek, a po wyrazie twarzy Ferala dało się poznać, że to ruch kończący. Minya zgarnęła krążki z małostkową satysfakcją.

Umysł Sarai chciał krzyknąć, bo przeczucie nadchodzącej zagłady, które trzymało ją od poprzedniego dnia, jeszcze skumulowało się w tym momencie.

„Co ma nam do powiedzenia?”

– Mamy szczęście, że przydarzyło ci się umrzeć – stwierdziła Minya, zwracając się do ducha – bo inaczej zostalibyśmy całkowicie zaskoczeni.

– Nie ma to znaczenia – kpił umarłak. – Już raz was wszystkich pozabijał i zrobi to ponownie.

Sarai jakby coś przeszyło na wylot. Jaskółce zabrakło tchu w piersi. Feral zerwał się z krzesła.

– Minyo – zaczął – o czym on mówi?

– Opowiedz im – rozkazała dziewczyna. Mówiła nadal radośnie, lecz jej głos nie dźwięczał już jak dzwon. Ciął niczym nóż.

Skoczyła na blat i szła – choć miała brudne stopy – po stole, aż zatrzymała się przed duchem. Stali niemal oko w oko: on, dorosły, barczysty mężczyzna, i ona, malutkie i zaniedbane dziecko. Nie było już żadnego przeciągania, żadnej ułudy swobody. Ścisnęła go niczym imadło i wypłuł z siebie kolejne słowa, jakby wepchnęła mu rękę do gardła i wyciągnęła je stamtąd siłą.

– Zabójca Bogów nadchodzi! – wykrzyknął, charcząc; tyle Minya rozkazała mu zdradzić, resztę dopowiedział już sam, nieprzymuszony, z dziką satysfakcją. – Rozerwie wasz świat na strzępy.

Minya obejrzała się przez ramię. Sarai ujrzała w jej oczach Skathisa, jakby bóg bestii nadal żył gdzieś w ciele swojej małej córki. Mrożące krew w żyłach spojrzenie: chłodne i zarazem oskarżycielskie, jednocześnie pełne winy i tryumfalne.

– I co, Sarai? – zapytała. – Co na to powiesz? Twój tatko wraca do domu.

– Co to? – zapytał Lazlo.

Był rozdarty pomiędzy zachwytem a zgrozą, nie miał pojęcia, co ma czuć, choć prędzej chyba to drugie, gdyż dostrzegł lęk na twarzy Eril-Fane'a, lecz jak miałby się nie zachwycić tym, co ujrzał?

– To – odparł mężczyzna – cytadela Mesarthimów.

– Mesarthimów? – zdziwił się Lazlo.

– Cytadela? – powiedział w tym samym momencie Thyon Nero.

Ich głosy naszły na siebie, spojrzenia się zderzyły.

– Cytadela, pałac, loch – dodał Eril-Fane szorstkim głosem; ostatnie słowo ledwie z siebie wydusił.

– To budynek? – dopytywał Ebliz Tod, przemawiało przez niego zarazem niedowierzenie, jak i arogancja.

Wyglądało na to, że jego Iglica Chmur nie była najwyższą budowlą na świecie. Jednak nie tylko wysokość tej struktury stanowiła o jej wspaniałości, nie była to nawet cecha budząca największy zachwyt. Oczywiście prezentowała się imponująco. Nawet z tej odległości – choć dzieliły ich od niej całe kilometry – wydawała się ogromna, ale jakim sposobem mieli określić jej faktyczną wysokość, skoro... cytadela nie stała na ziemi? Unosiła się. Zawieszona w przestrzeni i całkowicie nieruchoma, tak wysoko nad miastem, że niemożliwe, aby cokolwiek ją podtrzymywało, chyba że w samych niebiosach pobudowano rusztowanie.

Cytadelę wybudowano z lśniącego niebieskiego metalu o niemal lustrzanym połysku, tak gładkiego jak woda, żadnych linii prostych ani płaszczyzn, wszystkie kontury wydawały się płynąć, elastyczne niczym skóra. Nie wyglądała jak coś, co zostało zbudowane czy wyrzeźbione, raczej jak odlana z ciekłego metalu. Lazlo nie potrafił się zdecydować, co było bardziej niezwykle: to, że się unosiła czy że przyjęła formę gigantycznej istoty, bo nagle jego nieokiełznana i nieprawdopodobna teoria okazała się nieokiełznana i nieprawdopodobnie prawdziwa. To znaczy w pewnym sensie, bo wymykająca się zdrowemu rozsądkowi konstrukcja okazała się zbyt wielka, aby mogła zostać wzniesiona naturalnym sposobem: figura serafina stała wyprostowana, stopy skierowane miała ku miastu, głowę trzymała wysoko w niebiosach, ramiona wyciągnęła w błagalnym geście. Rozłożyła szeroko skrzydła. Tak, skrzydła. Ogromne, metalowe płyty. Były tak straszliwie rozległe, że utworzyły nad miastem swoisty baldachim, blokując słońce, księżyc, gwiazdy, całe światło.

Nie to Lazlo miał na myśli, dzieląc się swoją teorią, ani trochę, lecz czuł się zobowiązany odpowiedzieć na pytanie, co było bardziej nieokiełznane i nieprawdopodobne: powrót mitycznych istot z niebios czy mierząca trzysta metrów statua jednej z nich, unosząca się nad miastem. Nawet jego żywa wyobraźnia pozostawała jednak zakorzeniona w tym, co znał, a to, co miał przed sobą, wymykało się najodważniejszym teoriom. Racja, gdyby Zabójca Bogów opowiedział im o tym

z wyprzedzeniem, jemu także wydałoby się to absurdalne.

Delegaci nareszcie odzyskali języki w gębie, z ich gardel popłynął strumień pytań.

– Jak to się unosi?

– Czy to metal?

– Kto ją wykonał?

– Jak się tu znalazła?

– Kim są Mesarthimowie? – zapytał Lazlo i to pierwsze pytanie, na jakie Eril-Fane odpowiedział, tak jakby.

– Raczej kim byli. Nie żyją.

Lazlowi wydawało się, że ujrzał w oczach Zabójcy Bogów coś na kształt żalu, nie rozumiał tego. Przecież Mesarthimowie to zapewne owi bogowie, których śmierć z jego ręki zapewniła mu imię, jakie nosił. A skoro ich pozabijał, skąd ten smutek?

– A to – Zabójca Bogów skinął głową na cytadelę – też jest martwe.

– Co masz na myśli? – zdziwił się ktoś. – Kiedyś było żywe? To... coś?

– Niezupełnie – odparł Eril-Fane. – Lecz poruszało się, jakby było. Oddychało.

Nie patrzył na nikogo. Jego myśli powędrowały gdzieś daleko. Zamilkł, szykując się do stawienia czoła narosłej między nimi obcości, i wyrzucił z siebie:

– Kiedy przed dwustoma laty zbudziło się słońce, cytadela zawisła nad miastem. Ludzie powychodzili z domów, unieśli głowy i wielu się ucieszyło. Zawsze czciliśmy serafiny. Choć dla niektórych z was może to brzmieć jak baśń, dla nas to sama prawda, nasze świątynie cembrowano z kości demonów. – Machnął ręką w stronę wielkiego metalowego anioła. – Nasze święte księgi mówią o Powtórny Przyjściu. I choć nie wyglądało ono, tak jak myśleliśmy, że będzie, chcieliśmy w nie wierzyć. Nasze kapłanki zawsze nauczały, że boskość, poprzez cnotę swojej nieskończonej mocy, musi łączyć piękno i grozę. A cytadela wyrażała jedno i drugie. – Eril-Fane pokręcił głową. – Okazało się jednak, że forma tej budowli to jedynie ponury żart. Czymkolwiek byli Mesarthimowie, nie byli serafinami.

Wszyscy ucichli. *Faranji* wydawali się tak samo zmieszani jak Lazlo. Niektórzy, co bardziej racjonalni, zmarszczyli brwi, mocując się z dowodem na istnienie niemożliwego, a przynajmniej do tej pory niewyobrażalnego. Na twarzach pozostałych odmalowało się paralizujące zdziwienie. Sami Tizerkane'owie wyglądali cokolwiek ponuro i... co było dziwne i rzuciło się Lazlo w oczy zaraz po tym, jak spojrzał na Azareen, która nie spuszczała wzroku z Eril-Fane'a, żadne z nich nie patrzyło na cytadelę. Ani Ruza, ani Tzara, ani pozostali Tizerkane'owie. Chłopak odniósł wrażenie, jakby starali się odwracać wzrok gdziekolwiek, aby tylko nie patrzeć na budowlę.

– Nie mieli skrzydeł. Nie zostali zrodzeni z ognia. Przybyło sześcioro, jak serafinów, trzy samce i trzy samice. Bez armii, bez służby. Nie potrzebowali ich – mówił Eril-Fane. – Mieli magię. – Uśmiechnął się gorzko. – Czary istnieją, to nie żadne baśnie, sami się o tym przekonaliśmy. Dlatego się uparłem, żebyście zobaczyli to, na co właśnie patrzycie, zanim przejdę do wyjaśnień. I nawet teraz, kiedy macie przed sobą dowód, nadal nie wydadecie się przekonani.

– Skąd przybyli? – zapytała Calixte.

– Nie wiemy.



– Ale powiedziałeś, że byli bogami – włączył się Mouzaive, filozof przyrody, który bardzo chciał uwierzyć w istnienie czynnika boskiego.

– A czymże jest bóg? – Eril-Fane wzruszył ramionami. – Sam nie znam odpowiedzi, lecz powiem ci jedno: Mesarthimowie byli potężni, ale pozbawieni świętości.

Znowu zamilkł, czekali, aż odezwie się ponownie. Mieli jeszcze tyle pytań, które chcieliby mu zadać, ale nawet Drave, eksplozjasta, wyczuł powagę chwili i ugryzł się w język. Kiedy Eril-Fane znowu się odezwał, powiedział tylko tyle:

– Robi się późno. Lepiej ruszajcie do miasta.

– Jedziemy tam? – zdziwili się niektórzy. Przemawiał przez nich strach. – Pod to coś?

– Nikomu nic nie grozi – zapewnił ich Zabójca Bogów. – Obiecuję. To już tylko skorupa. Pusta od piętnastu lat.

– Na czym polega wasz problem? – zapytał Thyon Nero. – Czemu nas tu sprowadziłeś?

Lazlo był zdziwiony, że alchemik tego nie rozgryzł. Spojrzał na gigantyczną konstrukcję i rozciągającą się pod nią ciemność. „Cień tego mrocznego czasu stale nas prześladowuje”. Eril-Fane może i pozabijał bogów, może uwolnił swój lud spod ich jarzma, lecz cytadela pozostała na dawnym miejscu i nadal blokowała słońce, przeciągając katusze mieszkańców.

– Aby się tego pozbyć – odpowiedział Lazlo za Eril-Fane’a, pewien tego jak mało czego w życiu. – I zwrócić miastu niebo.

Lazlo uniósł głowę i spojrział na lśniąca cytadelę z obcego niebieskiego metalu, unoszącą się na niebie.

Sarai spojrzała na dół, na błysk Guzka, za którym słońce szykowało się do snu, na krętą wstęgę prowadzącą przez dolinę do Szlochu. Ścieżka. Mrużąc oczy, zdołała wypatrzeć punkciki przemierzające kolejne odcinki bieli.

Lazlo był jednym z nich.

I wokół niego, i wokół niej dźwięczały i zgrzytały ożywione głosy – spekulacje, dyskusje, ostrzeżenia – lecz oboje słyszeli jedynie szum, pochłonięci swoimi myślami. Umysł Lazla płonął z pełnego zachwytu zdumienia, jakby zapalką dotykano lont za lontem. Skaczące ogniki biegały po jego umyśle, łącząc oddalone od siebie kropki i wypełniając puste plamy, wymazując znaki zapytania i dopisując tuzin nowych za każdy usunięty. Tuziny tuzinów. Pytania wydawały się nie mieć końca, lecz pojawiały się również zarysy odpowiedzi, a te były niezmiennie niezwykle. Jeśli jednak proces myślowy Lazla można określić szlaczkiem światła, myśli Sarai układały się raczej w bazgroły ciemności. Przez piętnaście lat ona i pozostali trwali w ukryciu, uwięzieni w cytadeli pomordowanych bogów, starając się wycisnąć, ile się da, z tej marnej egzystencji. I może zawsze wiedzieli, że ten dzień nadejdzie, lecz ich życie – ich zdrowie psychiczne – zależało od wiary, że nigdy nie nastanie. Teraz owe punkciki majaczące w oddali, tak małe, że ledwie zauważalne, szły ku nim nieubłaganie, aby rozmontować ich świat. Strzępki wiary, jakie jeszcze Sarai w sobie pielęgnowała, zostały zdeptane.

Zabójca Bogów powrócił do Szlochu.

Zawsze wiedziała, kim był jej ojciec. Na długo zanim zaczęła krzyczeć ómami i posyłać fragmenty swojej świadomości do miasta, nasłuchiwała się o swoim ojcu, który kochał i zabił jej matkę. Ją również by zamordował, gdyby zostawiono ją wtedy z innymi w żłobku. Straszliwe obrazy pochodziły wprost z jej arsenału koszmarów. Silna dłoń podrzynająca nożem gardło Isagol. Krzyczące dzieci i niemowlęta. Te starsze rzucające się w stalowych objęciach swoich oprawców. Tryskające z arterii fontanny, bryzgające mgiełki czerwieni.

„Lepiej w gardło”, powiedziała starucha z jej snu. Sarai sięgnęła do szyi i zasłoniła się, jakby mogła się w ten sposób obronić. Puls jej szalał, oddychała urywanie, niemożliwym wydawało się jej, że ludzie potrafią żyć z czymś tak nietrwałym i cienkim jak skóra, za którą kryje się krew, oddech i dusza, tylko pozornie bezpieczne.

Stojąc przy balustradzie w ogrodzie Mesarthimów, z duchami zaglądającymi jej przez ramię, boski pomiot spoglądał, jak do Szlochu maszeruje ich śmierć.

Na niebie nad jej głową – pustym, pustym, pustym i nagle już nie – pojawił się na tle błękitu biały ptak, niczym czubek noża przebijający całun. Gdziekolwiek przez ten czas był i jakkolwiek się tutaj dostał, przybył i patrzył.

### CZEŚĆ III

mahal (muh·hahl) *rzeczownik*

Ryzyko, którego podjęcie może albo zostać okupione katastrofalnymi konsekwencjami, albo przynieść sową nagrodę.

*Archaizm; pochodzi od słowa mahalath oznaczającego mitologiczną mgłę transformacji, która przemienia człowieka w boga lub potwora.*

Słynne Niewidoczne Miasto nareszcie widoczne.

Ze szczytu Guzka, gdzie przystanąła delegacja Zabójcy Bogów, trakt schodził prosto do kanionu rzeki Uzumark i biel demonoszkła ustępowała ścianom klifu miodowego koloru oraz naturalnie wykształconym łukom, spiczastym wypiętrzeniom i zieleni lasu tak gęstego, że baldachimy listowia wyglądały z góry niczym dywany mchu, po których można by przejść. Z kolei wodospady wydawały się zasłonami z białego jedwabiu zwisającymi ze skraju klifów, zbyt licznymi, aby dało się je zliczyć. Dlatego też kanion przypominał długi, piękny pokój, a Szloch kojarzył się z zabawkowym, miniaturowym miasteczkiem – zaledwie makietą stojącą pośrodku. Szokujący surrealizm cytadeli, sam jej ogrom, potrafił namieszać w głowie z poczuciem skali.

– Czy Eiril-Fane liczy, że tam wejść? – zapytała Calixte, gapiąc się na wielkiego serafina.

– A co? Nie dasz rady? – drwił Ebliz Tod.

– Musiałabym jej dosięgnąć – odcięła się. – I chyba twoja w tym głowa. – Machnęła do niego zalotnie. – Bądź tak dobry i zbuduj mi schody.

Tod poczuł się urażony, momentalnie zamilkł. Krótką pauzę wykorzystała Soulzeren:

– I tak będzie szybciej polecieć. Możemy przygotować jedwabne sanie w ciągu paru dni.

– A co, jak już się tam dostaniemy? – zapytał Ozwin, jej mąż. – To akurat będzie proste. Inna sprawa to pozbycie się tego czegoś.

– Ciekawe, co mamy z tym zrobić – zastanawiała się Soulzeren. – Przesunąć? Rozłożyć?

– Wysadzić – powiedział Drave, na co reszta zareagowała zrezygnowanymi spojrzeniami.

– Jak widzisz, znajduje się bezpośrednio nad miastem – podkreślił Lazlo.

– Gdzieś się pochowają.

– Podejrzewam, że raczej spróbują zapobiec dalszym zniszczeniom.

– To po co mnie zapraszali? – zapytał, szczerząc się.

– Faktycznie, po co? – mruknęła pod nosem Soulzeren.

Drave wyciągnął rękę, żeby szturchnąć w ramię Thyona Nero.

– Słyszałeś? – zapytał, kiedy tamten się nie roześmiał. – Po co mnie zapraszać, jak chce się uniknąć zniszczeń, nie? Na co nam tyle prochu, że dziesięć wielbłądów musi to tachać, skoro nie chce się wysadzić tego czegoś z powrotem w powietrze?

Thyon posłał mu lekki uśmiech i przytaknął lekkim skinieniem głowy, co wskazywało, że jego umysł zaprzętają inne myśli. Bez wątpienia zastanawiał się, jak rozwiązać problem po swojemu, i kiedy pozostali delegaci próbowali się przegadać, on pozostawał wierny własnym pomysłom. Przez całe miesiące jego intelekt paraliżowała tajemnica, a teraz niebo objawiło mu największą naukową zagadkę, na jaką się

kiedykolwiek natknął, i wszyscy szukali swojego sposobu na jej rozwiązanie. Mouzaive opowiadał Belabrze o magnesach, ale ten go nie słuchał, zajęty kalkulacjami nie do rozszyfrowania, zaś Fellingeringowie – bliźniaczy bracia metalurdcy – dyskutowali na temat możliwego składu niebieskiego metalu.

Sam Lazlo słuchał tego z zachwytem i pokorą. Od samego początku był świadomy, że nie posiada kwalifikacji uprawniających go do udziału w ekspedycji, lecz póki nie zderzył się z kłopotem nękającym Szloch, nadal łudził się skrycie, że odegra rolę w pozbyciu się go. O, naiwności! Może i wyczytał z książki z baśniami sekret azothu, a znajomość interesujących opowieści zapewniła mu członkostwo w delegacji, lecz teraz mu raczej nie pomogą.

Niemniej znalazł się tam, gdzie się znalazł, i miał zamiar pomóc pozostałym, jak potrafił najlepiej, nawet jeśli miałby wykonywać za nich codzienne prace. „Niektórzy rodzą się do rzeczy wielkich, a inni po to, aby pomóc im te rzeczy osiągnąć”, powiedział mu przecież mistrz Hyrrokkin. Dodał też, że to żaden wstyd, z czym Lazlo musiał się zgodzić. Lecz czy nie miał prawa chociaż marzyć, że człowiek urodzony do rzeczy wielkich to jednak nie Thyon Nero? Nawet jeśli, na pewno nie był nim on, Lazlo Strange. Parsknął ubawiony swoją małościowością.

Karawana ruszyła ku dolinie. Lazlo rozejrzał się wokół zdumiony. Naprawdę tu był i widział to na własne oczy. Kanion ze złotego kamienia, gąszcz nieprzebytego lasu, ogromna zielona rzeka nieco zamglona unosząca się wysoko znad wodospadu parą, aż do cienia rzucanego przez cytadelę. Tuż przed samym miastem Uzumark poszerzała się do rozmiaru delty, przecinały ją kamienie i niewielkie wysepki, aż wreszcie zniknęła. Pojawiała się znowu dopiero za miastem i kontynuowała swoją burzliwą podróż na wschód i jeszcze dalej. Rzeka, jak się wydawało, płynęła pod miastem. Z tej odległości Szloch był uderzająco podobny do od dawna pielęgnowanego przez Lazla obrazu, a przynajmniej na tyle, na ile mógł powiedzieć przez zasłonę cienia. Ujrzał złote kopuły, choć mniej, niż się spodziewał, do tego nie lśniły, bo nie docierało do nich światło słońca. Do tej pory zdążyło już zejść na tyle nisko, aby przesączyć się pod rozłożystymi skrzydłami statuy, ale zaszło już za Guzek, więc jeden cień zastąpił drugi.

Ale chodziło o coś jeszcze. Był w tym wszystkim jakiś przesycony poczuciem samotności żal, nad miastem wisiało widmo czyhającej rozpacz. Szloch otaczały mury obronne, niegdyś stanowiące harmonijny owal, lecz owa harmonia została zaburzona. Mur był przerwany w czterech miejscach. W strategicznych punktach, wyznaczonych z geometryczną precyzją, tkwiły cztery ogromne sztaby tego samego obcego metalu, z którego zbudowano cytadelę. Strzeliste sztaby, a każda tak gigantyczna, że równie dobrze mogłaby być osobnym zamkiem. Wszystkie wydawały się całkowicie gładkie, nie miały ani okien, ani drzwi. Z góry wyglądały jak przyciski do papieru przytrzymujące krawędzie miasta, żeby go nie zwiało. Trudno powiedzieć z tej odległości, ale Lazlo się wydawało, że coś znajduje się na górze każdej z nich. Może posągi.

– Czym są te bloki? – zapytał Rużę, wskazując palcem.

– To kotwice.

– Kotwice? – zdziwił się Lazlo. Zmrużył oczy, próbując określić pozycję owych sztab względem górującego nad miastem serafina. – Pełnią funkcję kotwic? – upewnił się;

pomyślał o zacumowanych na przystani statkach, u których burty podzwaniał łańcuch, lecz nie zauważył niczego, co mocowałoby cytadelę. – Trzymają ją na miejscu?

Ruza uśmiechnął się ponuro.

– Jakoś nigdy nam tego nie wyjaśnili, Strange. Ustawili je, kiedy tu przybyli, nie bacząc, czy coś znajduje się pod nimi. I stoją tak do dziś – wyjaśnił i skinął głową na idącą przed nimi procesję. – Myślisz, że któryś z tych geniuszy da radę je przesunąć?

– Przesunąć kotwice? Sądziś, że tak przestawicie cytadelę?

Ruza wzruszył ramionami.

– Pewnie, że nie. Przecież nie przyczepimy sznurów i nie odciągniemy jej. Tyle wiem, że w ten sposób się jej nie pozbędziemy. Nie, kiedy Skathis nie żyje.

Skathis. Imię to brzmiało jak syk węża. Lazlo zrozumiał wtedy, że Ruza nareszcie z nim rozmawia. To znaczy zawsze z nim rozmawiał, lecz chodziło o to, że krępujące ich wszystkich więzy tajemnicy najwyraźniej zostały przecięte. Mógł zadawać nurtujące go pytania. Odwrócił się do przyjaciela.

– Nie patrz tak na mnie – powiedział Ruza.

– Jak?

– Jakbym był piękną książką, którą miałbyś za chwilę otworzyć i pożreć jej zawartość swoimi chciwymi, rozszalałymi oczyma.

Lazlo się roześmiał.

– Chciwymi, rozszalałymi oczyma? Pożreć? Czy ty się mnie boisz, Ruza?

Chłopak nagle spowaźniał.

– Czy ty wiesz, Strange, że zapytanie Tizerkane'a, czy się ciebie boi, to jak rzucenie mu wyzwania?

– Cóż – odparł Lazlo, który znał ich zwyczaje na tyle, aby nie dać wiary tym słowom – w takim razie cieszę się, że wyzwiałem ciebie, a nie jakąś budzącą grozę wojowniczkę jak Azareen czy Tzara.

– To podłe – powiedział Ruza, fałszywie zraniony; przybrał strapioną minę i udawał, że szlocha. – Przecież ja też budzę grozę – upierał się. – Budzę!

– No już, już – pocieszał go Lazlo. – Jesteś straszliwym wojownikiem. Nie płacz. Przerażasz mnie.

– Naprawdę? – zapytał Ruza pełnym nadziei głosem. – Czy tylko tak mówisz?

– Dwaj idioci – skomentowała Azareen, a Lazlo poczuł dziwne ukłucie dumy, bo wydawało mu się, że wyczuł w jej słowach odrobinę czułości.

Wymienili się z Ruzą skarconymi spojrzeniami. Azareen wyprzedziła ich na szlaku i poszła przodem. Niedługo wcześniej Lazlo widział, jak kłóci się z Eril-Fane'em, i z przebiegu rozmowy domyślił się, że chciała zostać z nim w forcie Misrach.

„Czemu musisz wszystkiemu stawiać czoła samodzielnie?“, spytała, zanim obróciła się na pięcie i zostawiła go tam. A kiedy Lazlo chciał mu pomachać, gdy karawana ruszyła, zostawiając mężczyznę samego, Zabójca Bogów wydawał mu się nie tylko osowiały, ale i wystraszony.

Skoro w mieście było, jak obiecał, bezpiecznie, czemu tak wyglądał? Czemu nie szedł z nimi? Co się tam wydarzyło?

Nie zadawał jednak kolejnych pytań. Resztę drogi do Szlochu pokonali

w milczeniu.

\*\*\*

Eril-Fane stał na skraju Guzka i patrzył, jak karawana zmierza ku miastu. Dotarcie do celu zajęło podróżnym kolejną godzinę. Udawało mu się wypatrzeć ich czasem między drzewami, ale kiedy wyszli z lasu, znaleźli się zbyt daleko, aby mógł odróżnić, kto jest kim. Ledwie potrafił powiedzieć, czy to wielbłąd, czy spektralny. Zresztą robiło się ciemno.

Zapewne przewodziła Azareen. Wyprostowana, patrzyła przed siebie i żadne z tych, które jechało za nią, nie odgadłoby, co wyraża jej mina.

Samotność. Surową, zatrwajającą żalobę.

On jej to uczynił.

Gdyby dała sobie z nim spokój, przestałby ją ranić. Nie mógłby się stać tym, kim miała nadzieję, że będzie, mężczyzną, którym niegdyś był. Zanim został bohaterem. Zanim został człowiekiem. Zanim został kochankiem bogini rozpacz.

Eril-Fane zadrzał. Nawet po wszystkich tych latach myśl o Isagol Groźnej wzniewała w jego duszy burzę, mieszaninę urazy i tęsknoty, pożądania i obrzydzenia, gwałtu i czułości, wszystko to jątrzyło się i ropiało, krwawiło i wilo się jak szczury pożerające się nawzajem. Tak się teraz czuł, to zostawiła po sobie Isagol. Nic, co dobre i czyste, nie mogło w nim przetrwać. Wnętrznosci i myśli toczyło zepsucie, zalewała jucha, dusił się pogardą dla samego siebie, tym, jak słaby był, jak żaloszny. Może i zabił boginię, ale się od niej nie uwolnił. I nigdy mu się to nie uda.

Gdyby Azareen mogła go wybawić. Każdego dnia czekała, aż na nowo stanie się tym, kim niegdyś był, a on niósł brzemień samotności zarówno swojej, jak i jej.

I swojej matki. Tyle dobrego, że Lazlo się nią zajmie, to trochę pomoże. Nie mógł jednak posłać nikogo z Azareen, aby zajął miejsce jej... męża. Tylko ona mogła dokonać takiego wyboru.

A tego nie robi.

Eril-Fane powiedział Lazlo, że nie sypiał zbyt dobrze w Szlochu. Cóż, to było raczej spore niedopowiedzenie, bo myśl o zamknięciu oczu w mieście mroziła mu krew w żyłach. Nawet z tego miejsca, skąd wydawało się jedynie makieta – połyskiwało starym złotem i odległymi gławami – czuł, jak sięga ku niemu swoimi mackami, chcąc go wciągnąć z powrotem do siebie. Nie mógł przestać się trząść. Lepiej, że nikt go takim nie widzi.

Skoro sam Zabójca Bogów nie potrafił nad sobą zapanować, jak ktokolwiek inny miałby to zrobić?

Czując się jak największy na świecie tchórz, odwrócił się plecami do miasta, swoich gości i swojej żony, której nie mógł kochać, bo nie znał już miłości, i przejechał krótką drogę do fortu Misrach.

„Jutro”, powiedział sobie. Jutro stawi czoła Szlochowi i dręczącym go koszmarom. Musiał jednak znaleźć odwagę, aby zakończyć to, co zaczął przed piętnastoma laty, i uwolnić ludzi od ostatniego już piętna ich długiego cierpienia.

Nawet jeśli nie potrafił uwolnić samego siebie.

– Mówiłam ci, że prędzej pomrzemy, niż zabraknie nam koszul – powiedziała Ruby.

Nie przemawiała już przez nią kokieteryjna buta. Mogła sobie niefrasobliwie gadać o śmierci, kiedy ta była zaledwie abstrakcyjną myślą, ale teraz dziewczyna straciła rezon.

– Nikt nie umrze – stwierdził Feral. – Nic się nie zmieniło.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Nic, tylko Zabójca Bogów powrócił – zauważyła kąśliwie Ruby.

– Z mędrkami z zewnątrz – dodała Jaskółka.

– I zamiarem zniszczenia nas – podkreśliła Minya.

– Nie zniszczenia nas – zaprzeczył Feral. – Przecież nie wiedzą, że tu jesteśmy.

– A myślisz, że co zrobią, jak nas znajdą? – zapytała Minya. – Wyrażą uprzejme zdziwienie i przeproszą za najście?

– Nie dojdzie do tego – odpowiedział. – Jak mieliby się choćby do nas zbliżyć? Przecież nie potrafią latać. Jesteśmy tutaj bezpieczni.

Feral starał się zbagatelizować zagrożenie, ale Sarai widziała po nim, że również jest zaniepokojony. Tamci przybywali z daleka. Co ich piątka mogła wiedzieć o ich świecie i tym, co tam ludzie potrafią? Nic a nic.

Stali na ogrodowym tarasie znajdującym się na piersi ogromnego serafina, rozciągającym się od ramienia do ramienia i wychodzącym na miasto; widzieli krajobraz aż do Guzka. Bezsilnie patrzyli na procesję drobnych punkcików zmierzających w dół doliny i znikających w mieście. Sarai stała pomiędzy śliwami, jej dłonie, oparte na balustradzie, drżały. Za krawędzią nie było nic poza pustką, tylko przepaść i odległe dachy kamienic. Czowała się niepewnie, stojąc tak blisko. Każdej nocy zlatywała tam dzięki ćmom, ale to co innego. One miały skrzydła. Ona nie. Zrobiła ostrożny krok do tyłu i kurczowo złapała się mocnej gałęzi. Ruby za to wychylała się bez ustanku.

– Jak myślisz, gdzie teraz są? – zapytała. Zerwała śliwkę i rzuciła nią najmocniej, jak potrafiła. Jaskółka wciągnęła ze świstem powietrze. Patrzyli, jak owoc zatacza w powietrzu łuk.

– Ruby! Co robisz? – skarciła ją Jaskółka.

– Może któregoś trafię.

– Ale Reguła...

– Reguła – powtórzyła Ruby, przewracając oczyma. – A czy śliwki same nie spadają z drzewek? O, patrzcie, śliwka! – Wykonała ruch, jakby podnosiła coś z ziemi i oglądała znalezisko, po czym uniosła głowę i spojrzała na niebo. – Ktoś na pewno tam mieszka! Chodźmy, zabijmy ich!

– Nie sądzę, żeby śliwka przetrwała taki upadek – zauważył Feral.

Ruby rzuciła mu spojrzenie ciskające takie gromy, jakich od dawna tam nie uświadczono, po czym wybuchła nagłym śmiechem. Złapała się za brzuch i aż się zgięła.



– Nie sędzę, żeby śliwka przetrwała taki upadek – przedrzeźniała go i śmiała się coraz głośniejsze. – A ja?

Przełożyła nogę przez balustradę. Sarai zadrżała.

– Myślicie, że przeżyję upadek? Złamałabym Regulę jak nikt.

Jaskółce zabrakło tchu.

– Wystarczy tego – powiedziała ostro Sarai, odciągając Ruby. – Nie bądź głupia. – Czowała, jak panika pulsuje jej pod skórą; próbowała się uspokoić. – Feral ma rację. Za wcześnie na niepokoje.

– Nigdy nie jest za wcześnie na niepokoje – powiedziała Minya, która na tle pozostałych wyglądała na zupełnie niezaniepokojoną; wydawała się raczej podekscytowana. – Niepokój motywuje do podjęcia odpowiednich przygotowań.

– Jakich? – zapytała Jaskółka nieco drżącym głosem. Rozejrzała się po ogrodzie, przyjrzała się smukłym łukom krużganka, pod którymi znajdował się nie tylko stół jadalniany, ale i duch. Ari-Eil nadal stał sztywno tam, gdzie zostawiła go Minya. Lekki podmuch zaszeleścił draperią pnączy, które oddzielały ogród od krużganka. – Nie mamy gdzie się schować – powiedziała. – Gdybyśmy mogli zamykać drzwi...

Drzwi znajdujące się w cytadeli nie przypominały ręcznie rzeźbionych, mocnych drewnianych skrzydeł, które Sarai знаła z miasta. Nie otwierały się ani nie zamykały. Nie miały zasuwki ani zamków. Te uchylone nie były nawet elementami wyposażenia, ale raczej szczelinami w mesartjum, a te zatrzasknięte na głucho gładkimi częściami ściany, bo kiedy cytadela jeszcze żyła, metal bezszwowo stapiał się i roztopiał.

– Gdybyśmy mogli je zamykać – przypominała jej Minya – moglibyśmy również kontrolować mesartjum. A jeśli moglibyśmy kontrolować mesartjum, moglibyśmy też dużo więcej.

Powiedziała to wszystkim jadowitym głosem. Minya, jako córka Skathisa, pielęgnowała ropiejące gdzieś w niej zgorzknienie, że nie odziedziczyła jego mocy; mocy, która pozwoliłaby im się uwolnić. To najrzadszy dar, Korako uważnie przyglądała się dzieciom, szukając choćby najdrobniejszych jego oznak. Podczas lat spędzonych w żłobku przez Dużą Ellen zmanifestował się tylko raz i wtedy Korako z miejsca zabrała ze sobą dziecko.

Mesartjum nie było zwyczajnym metalem, lecz niemożliwym do przebicia tworzywem o niespotykanej twardości. Nie dało się go ani przeciąć, ani przebić. Nikomu nie udało się go skruszyć, jedynie zarysować. Nie topił się. Najgorętsze ognie kuźnicze i najsilniejsi kowale nie potrafili go nawet wgnieść. Płomienie Ruby nie wywierały nań żadnego efektu. Lecz poddane woli Skathisa mesartjum marszczyło się i zmieniało kształt, tworząc nowe konfiguracje z płynnością ręki. Twarde i chłodne topiło się dzięki sile jego myśli, a istoty, które stworzył i od których wziął się jego przydomek – „bóg bestii” zamiast „boga metalu” – były ze wszech miar żywe. Powołał do życia cztery potwory z mesartjum, po jednym na każdy metalowy blok wyznaczający granice miasta. Swym faworytem uczynił Rasalasa i choć mieszkańcy Szlochu wiedzieli, że bestie to tylko metal ożywiony myślami Skathisa, i tak drżeli przed nimi ze strachu. Lęk przed Skathisem również działał niczym żywa istota i Sarai rozumiała dlaczego. Tysiące tysięcy razy widywała go w ich snach i nawet jej trudno było uwierzyć, że jest nieożywiony.

Cytadela unosząca się nad miastem także wydawała się niegdyś żywa. Kto na nią wtedy spojrzał, zapewne ujrzał przypatrujące mu się badawczo ogromne, tajemnicze oczy.

Takim darem dysponował Skathis. A skoro żadne z nich go nie posiadało, drzwi miały na zawsze pozostać jedynie powidokiem. Gdyby tylko mogli przywrócić cytadelę do życia i przenieść ją gdziekolwiek by tylko chcieli... Choć Sarai nie wyobrażała sobie, że gdziekolwiek na świecie mogliby chcieć ich przyjąć.

– Ale nie możemy, prawda? – powiedziała Jaskółka. – I nie potrafimy walczyć...

– Ty nie potrafisz – rzuciła lekceważąco Minya, jakby dar Jaskółki, dzięki któremu mieli przez te wszystkie lata co jeść, nie miał żadnej wartości, bo nie opierał się na przemocy. – A ty – zwróciła się do chłopaka równie szyderczym tonem – przydasz się, jak będzie trzeba ich przegonić piorunem.

Przez całe lata naciskała go, żeby nauczył się przyzywać błyskawice i ciskać nimi, najczęściej z marnym rezultatem. Nie potrafił kontrolować przywoływanych przez siebie zjawisk, lecz stanowiło to wynik niedoskonałości jego daru, a nie osobistej niefrasobliwości, niemniej Minya nie szczędziła mu cierpkich ocen. Dziewczynka spojrzała teraz na Sarai, a pogardę w jej oczach zastąpiło coś bojowego, złośliwego, jakiś jad, frustracja. Sarai знаła ten wzrok. Wytrzymała ukłucia tym żądłem, odkąd przestała ślepo robić to, co kazała jej Minya.

– Pozostaje nam Ognik – dodała, podchodząc do Ruby i patrząc bez pogardy, ale z wyrachowaniem.

– Co ze mną? – zapytała Ruby nieufnie.

Minya skupiła na niej całą swoją uwagę.

– Zdołasz wykorzystać swój dar do czegoś więcej niż podgrzania wody i spalania białizny?

Ruby zbladła, jej twarz z niebieskiej zrobiła się jasnoblękitna.

– Mówisz o... paleniu ludzi?

Minyi wyrwał się chichot.

– Jako jedyna z naszej piątki jesteś w gruncie rzeczy bronią i nigdy nie rozważałaś...

– Nie jestem bronią – przerwała jej Ruby.

Pryśła wesołość Minyi.

– Kiedy przychodzi do obrony cytadeli i naszego życia... Tak, jesteś – rzekła chłodno.

Czasem można dojrzeć czyjąś duszę w pojedynczym grymasie i to właśnie zobaczyła wtedy Sarai u Ruby: znajdującą się u jej rdzenia tęsknotę. Jeszcze wczoraj sądziła, że dar ognia uwypukla jej naturę, lecz nie w sposób, jaki wymarzyła sobie Minya. Ruby była gorączkowa i zmienna, lecz to pożądanie, a nie brutalność. Chciała całować, nie zabijać. Miała piętnaście lat i pragnęła życia, a w tej jednej jedynej chwili, jak ujrzała Sarai, jej nadzieje zostały zarówno obnażone, jak i zniszczone. Dostrzegła w nich echo swoich pragnień. Aby być kimś innym. Nie tym... czymś.

– Daj spokój – powiedział Feral. – Jak przyjdzie co do czego, jakie mamy szanse? Zabójca Bogów powyrzynał Mesarthimów, a ci byli nieporównywalnie potężniejsi od nas.

– Miał przewagę zaskoczenia – wysyczała Minya, obnażając zęby. – Miał przewagę zdrady. A teraz my mamy przewagę nad nimi.

Jaskółce wyrwał się szloch. Do tej pory udawało jej się nad sobą panować, ale nie wytrzymała dłużej. Minya robiła to jak najbardziej umyślnie.

„Co z tobą nie tak?”, chciała dopytać Sarai, lecz była pewna, że nie doczeka się satysfakcjonującej odpowiedzi. Dlatego, zbierając tyle pewności siebie, ile tylko zdołała, wydusiła:

– Jeszcze przecież niczego nie wiemy. Feral ma rację. Jest za wcześnie na zmartwienia. Spróbuję się dzisiaj dowiedzieć jak najwięcej i jutro się okaże, czy będzie sens odbywać tę rozmowę, czy nie. A póki co czas na kolację.

– Nie jestem głodna – powiedziała Ruby.

Sarai też nie miała ochoty na jedzenie, ale uznała, że najlepiej będzie zachowywać się zupełnie normalnie, może wówczas poczują się normalnie. Przynajmniej choć trochę. Trudno jednak zachowywać się tak jak zwykle, kiedy zza stołu przygląda ci się duch.

– Minyo... – powiedziała Sarai, choć uprzejmość sprawiała jej ból. – Czy mogłabyś odesłać Ari-Eila, żebyśmy mogli zjeść spokojnie?

Nie poprosiła, aby dziewczynka go uwolniła, bo rozumiała już, że tego nie zrobi, gdyż ten martwy mężczyzna stał się narzędziem do torturowania Sarai.

– Oczywiście, skoro tak ładnie prosisz – odparła Minya, nasączając grzeczny ton odrobiną drwiny.

Nie dała żadnego widocznego sygnału, ale nieruchomy do tej pory duch obrócił się i ruszył ku drzwiom wewnętrznym. Minya najwyraźniej skończyła swoją zabawę, bo nie kazała mu ani powłóczyć nogami, ani nie pozwoliła na żadne zmagania; mężczyzna wręcz odplynął.

– Dziękuję – powiedziała Sarai i ruszyli do stołu.

Na kolację nie podano tym razem zupy z kimrilu, ale Sarai nie podejrzewała, że Ruby zgłaszałyby z tego powodu jakiegokolwiek obiekcje. Zrobiła się nietypowo milcząca i Sarai z łatwością potrafiła sobie wyobrazić tonację jej myśli. Ona sama była wystarczająco ponura, choć nie borykała się z myślą o paleniu ludzi żywcem. Feral powiedział prawdę. Nie mieli szans wygrać żadnej potyczki. Jeśli zostaną wykryci, nie będą mogli kontynuować swojego nędznego żywota.

Po kolacji nie spacerowała już pod arkadami, lecz poprosiła Ruby o przygotowanie kąpieli.

Wszystkie komnaty wyposażono w głębokie baseny z mesartjum, lecz wodociągi już nie działały i dlatego kąpali się w mosiężnej wannie w pokoju deszczowym. Rzeczone pomieszczenie znajdowało się przy kuchniach i zostało wyznaczone jako miejsce, gdzie Feral miał przyzywać chmury. Ustawili tam beczułki, a przez podłogę biegła rynienka, która zbierała deszczówkę i odprowadzała wodę do ogrodów. Kem, duch-lokaj, powiedział, że mieścił się tu kiedyś pokój rzeźniczy, a owym kanalikiem leciała krew, zaś na hakach przykręconych do sufitu wieszano mięso. Po jusze nie został już jednak żaden ślad, tam jak nie było ani jednej plamy w żłobku czy na korytarzach. Jeden z pierwszych rozkazów, jakie Minya wydała duchom po Rzezi, stanowiło wyczyszczenie dosłownie każdego centymetra.

Sarai przelała do wanny wodę z wiadra. Ruby zapłonęła. Zapaliła tylko dłonie, a po chwili trzymała w nich ogniste kule. Przyłożyła ręce do miedzianych ścianek wanny, które znakomicie przewodziły ciepło, i nad wodą pojawiły się obłoczki pary. Ruby wyszła. Sarai zanurzyła się, moczyła przez chwilę, po czym umyła włosy mydłem zrobionym przez Dużą Ellen z zerwanych w ogrodzie ziół i dopuściła do siebie myśl, że przygotowuje się do czegoś, jakby cytadelę miało opuścić jej ciało, a nie tylko zmysły. Była nieco podenerwowana, jak przed poznaniem kogoś nowego.

„Poznaniem, ha”.

Lada chwila wyjdzie na przeszpiegi i nawiedzi umysły tych ludzi. Jakie to ma znaczenie, czy miała czyste włosy, czy nie? I tak jej nie zobaczą, nie będą nawet świadomi jej obecności. Nigdy nie byli. Tam, w Szłochu, to ona była duchem, i to niewiązanym, niewidzialnym, bezcielesnym i nienamacalnym niczym szept.

Po powrocie do garderoby założyła na siebie koszulę nocną. Przejrzała się w lustrze i dotarło do niej, że straciła umiejętność patrzenia na siebie własnymi oczami. Ujrzała tylko to, co zapewne zobaczyliby ludzie – nie dziewczynę, nie kobietę, nikogo pomiędzy. Nie dojrzeliby jej samotności, strachu czy odwagi, a co dopiero człowieczeństwa.

Zobaczyliby plugawość. Nieszczęście. Boski pomiot.

Coś ją tknęło. Nagły przyptyw nieposłuszeństwa. Omiotła garderobę wzrokiem. Spojrzała na okropne suknie, na kapelusze, na wachlarze i buteleczki matczynych farb do twarzy oraz makabryczne przybory bogini rozpacz. A kiedy zjawiała się Mała Ellen, która przyniosła jej herbatę, stanęła jak wryta i niemal upuściła tacę.

– Och, Sarai, przestraszyłaś mnie.

– To tylko ja – odparła, choć nie do końca czuła się sobą.

Nigdy nie pragnęła być taka jak jej matka, lecz dzisiaj chciałaby mieć odrobinę tej boskiej zaciekłości, dlatego namalowała sobie czarny pas na oczach, od skroni do skroni, i roztrzepała swoje cynamonowe włosy. Odwróciła się w stronę tarasu – wyciągniętej prawej ręki ogromnego metalowego serafina – po czym ruszyła powitać noc oraz nowo przybyłych.

Sarai wykrzyczała swoje ómy nad Szloch. Zlatując coraz niżej, trzepotały skrzydełkami. Zwykle rozdzielały się nad miastem i każda leciała w swoją stronę, lecz nie tej nocy. Musiała się skupić wyłącznie na nowo przybyłych. Mieszkańcy Szlochu nie mieli dzisiaj z jej powodu szlochać.

Duch Ari-Eila powiedział im – albo został do tego zmuszony przez Minyę – że *faranji* planowano umieścić w budynku cechu kupieckiego, którego spora część miała zostać przystosowana dla ich wygody. Sarai nigdy tam nie wchodziła. Nie szukała tam śpiących, bo nikt tam nie mieszkał. Odnalazła prawe skrzydło dopiero po paru minutach. Centralną część okazałej budowli wieńczyła złota kopuła, ściany wykonano z miejscowego miodowego kamienia. Wszystko zostało tu zaprojektowane w tradycyjnym stylu. W Szlochu nie obawiano się ornamentacji. Przez stulecia rzeźbiarze ozdabiali kamienne powierzchnie wzorami, stworzeniami, serafinami. Otwarte pawilony połączono zadaszonymi deptakami z budynkami znajdującymi się na zewnątrz i zakończonymi mniejszymi kopułami. Wybudowano fontanny, kiedyś znajdowały się tam również ogrody pełne owoców oraz kwiecica, ale wszystko powiędło przez przekłętą cień. Niegdyś całe miasto było ogrodem. Ale to już tylko wspomnienie.

„Czarownica Orchidea – pomyślała Sarai – mogłaby uczynić tam wiele dobra. Gdyby jej od razu nie zamordowano”.

Ómy sprawdziły drzwi tarasowe, lecz większość była zamknięta i zbyt dokładnie wykonana, aby znaleźć wystarczająco duże szpary. Poleciały więc kominami. Pokoje urządzono z przepychem, jak należało zrobić dla pierwszej zagranicznej delegacji, którą powitano za Guzkiem. Przez całe stulecia miasto słynęło ze swojego rzemiosła i sypialnie te można było z powodzeniem potraktować jako pokoje pokazowe: na mozaikowych podłogach ze złota i lysu rozłożono najprzedniejsze dywany, na łóżka rzucono haftowane kapy, na ścianach wymalowano freski, a belki fantazyjnie wyrzeźbiono. Na półkach i ścianach umieszczono piękne przedmioty, co jeden to piękniejszy, a każdy wykonany z mistrzowską precyzją. Ale Sarai nie przyszła podziwiać sztuki. Zlokalizowała jedenaście zajętych pokoi, spało w nich łącznie trzynaście osób, z których jedna nie była *faranji*, lecz wojowniczką przytuloną przez młodą dziewczynę o chudych ramionach i bardzo krótkich, miękkich włosach. Czyli obcych przyjechało dwanaścioro. Większość to spoceni, starzy mężczyźni. Wypatrzyła już tylko jedną kobietę: starszą i bynajmniej nie szczupłą. Spała obok krępego mężczyzny.

To jedyne pary i jedyne kobiety, reszta gości to mężczyźni. Ponad połowa z nich pochrapywała. Mniej niż połowa śmierdziała. Łatwo dało się powiedzieć, którzy skorzystali z napełnionych dla nich wanien, bo tu i ówdzie woda przypominała brązową breję; brud kumulował się na ich ciałach przez całe tygodnie. Sarai brzydziła się, by ómy przysiadły na tych, którzy jeszcze nie dokonali ablucji. Choć przebywała daleko od budynku cechu, zmarszczyła noc, jakby sama poczuła skumulowany smród niemytego męskiego ciała.

Podzieliwszy ́my pomiędy pokoje, mogła przestudiować kaękiego śpiącego z różnych punktów obserwacyjnych i odnotować wszystkie szczegóły. Dwaj mężczyźni byli do siebie tak podobni, że się zmieszała i przez chwilę podejrzewała dwie różne grupy ciem o przekazywanie jej tych samych informacji. Ale nie: to bliźniacy. Jeden wydawał się chorowity. Miał niezdrowy wygląd i wąskie usta, drugi za to przypominał wyliniałego jaszczura, martwa skóra odchodziła mu z twarzy całymi zawijasami. Na kostkach dłoni miał blizny po poparzeniach przypominające plamy roztopionego wosku i zalatywał padliną. Na młode kobiety zdecydowanie przyjemniej się patrzyło – gładka skóra, słodki zapach. Tzara miała przy pępku tatuaę *elilith*, ozdabiano nim skórę kaędej dziewczyny ze Szlochu, która stawała się kobietą. Ten Tzary przedstawiał węęa połykającego własny ogon, co symbolizowało cykl destrukcji i odrodzenia. Znak ten zdobył popularność od pokonania bogów. Starsza para nosiła identyczne złote obręczki na pokrytych odciskami, spracowanych palcach, a za paznokciami mężczyzny, jak u Jaskółki, nagromadziły się czarne półksiężyce od pracy w ziemi, którą zresztą ze sobą przynieśli. Na blacie eleganckiego stołu rozłożono kilkanaście woreczków z nasionami i Sarai zastanawiała się, jaką rolę mogły pełnić rośliny w planie podbicia cytadeli przez Zabójcę Bogów. Jednemu ze śpiących poświęciła szczególną uwagę, choć uczyniła to cokolwiek nieświadomie, instynktownie. Jej skupienie przenosiło się z ́my na ́mę według potrzeb, tutaj jednak stało się inaczej. Nieznajomy nie wydawał się ważniejszy od pozostałych, po prostu piękniejszy.

Złoty.

Jego włosy miały kolor, jakiego nigdy nie widziała. Jej własne, czerwono-brązowe, były dość nietypowe jak na Szloch, gdzie wszyscy mogli pochwalić się czarnymi puklami. Jego przybrały kolor słońca. Nosił je odpowiednio długo przycięte i lekko zakręcone, że aż chciało się wyciągnąć dłoń i owinać je sobie wokół palca. Nie licząc dziewczyny przytulonej do Tzary, był jedynym młodym *faranji*, choć i tak starszym od Sarai. Miał wygląd księcia, szerokie ramiona. Zasnął oparty o poduszki z książką rozłożoną na nagiej piersi. Przez swoje ́my Sarai zobaczyła, że na okładce widnieje łyżka pełna gwiazd i różnych stworzeń, lecz wołała skupić swoją uwagę na jego twarzy, która pod kaędym względem stanowiła dzieło sztuki, jak zgromadzone w sypialni skarby. Jej rysy odznaczały się wyjątkową elegancją, kaędy kąt i kontur zostały perfekcyjnie wyrzeźbione, chłopak wydawał się niemal nierzeczywisty. Tego *faranji* można by wystawić w muzeum.

Upomniała się, że nie przybyła tutaj, żeby podziwiać urodę tego *faranji*, lecz odkryć, kim jest i jakie zagrożenie ze sobą przyniósł. To samo tyczyło się pozostałych, którzy wyglądali skromniej i nie rozpraszała jej aż tak. Wszyscy byli jednako zwyczajnymi śpiącymi ludźmi, kruchymi, z ich otwartymi buziami i długimi, bladymi paluchami wystającymi spod kołder. Poza kilkoma wyjątkami wydali jej się śmieszni. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że któreś z nich mogłoby pozbawić ją życia.

Dość.

Nie nauczy się niczego o gościach Zabójcy Bogów, gapiąc się na nich. Czas zajrzeć do środka. W jedenastu pokojach, gdzie spało trzynaścioro ludzi – dziesięciu mężczyzn i trzy kobiety, jedna tutejsza – ́my przycupnięte na ścianach i słupkach łózek poderwały

się do lotu i przebyły krótki dystans dzielący je od śniących. Żaden człowiek nie poczuł na skórze lekkich jak piórko odnóży skrzydlatych stworzeń, które osiadły na ich skroniach i kościach policzkowych, a co dopiero przedarcia się Muzy Koszmarów do ich umysłów.

Niewidzialna, bezcielesna, nienamacalna Sarai prześlizgnęła się do ich snów, a to, co tam zobaczyła, co tam odkryła w ciągu kolejnych paru godzin, przekonało ją, że obcy nie byli ani trochę śmieszni. I każdy jeden w istocie mógłby pozbawić ją życia.

\*\*\*

Azareen mieszkała w pokojach nad piekarnią w Opadzie, dzielnicy, którą nazwano tak z powodu spadających tam z boskich drzewek śliwek. Weszła po schodach znajdujących się na tyłach budynku, prowadzących z oficyny, gdzie stały wypełnione śmieciami kubły z piekarni i przylegającej do niej tawerny. Śmierdziało, ale przeważał tam zapach charakterystyczny dla tej części miasta: fermentacji. Śliwki spadające jakby drzewa były zaklęte, nie usychały.

Azareen nie znosiła śliwek.

Wojowniczką włożyła klucz do zamka, popchnęła drzwi i weszła do środka. Wszystko pokrywał dwuletni kurz. Koce zapleśniałe, szafki puste. Jej matka albo siostry zadbałyby, aby zastała świeżą pościel i posiłek, lecz ich obecność wymusiłaby rozmowę, na którą nie miała najmniejszej ochoty, dlatego mieszkała tutaj sama, choć mogła zamieszkać z każdą z nich, albo nawet wyjść za męża i założyć rodzinę, zanim będzie za późno.

„Już mam męża”, powtarzała im. Co mogły na to odpowiedzieć? Przecież taka była prawda, choć jej ślubny zwolnił ją z przysięgi, którą złożyła przed osiemnastoma laty, jeszcze jako dziewczynka. Miała szesnaście lat, a Eril-Fane ledwie siedemnaście. Ależ był piękny. Dla obojga było jeszcze za wcześnie na ślub, ale to ich nie powstrzymało. Jako że żyli w cieniu Mesarthimów, każdy dzień wydawał im się wzięty na kredyt, nie mogli dłużej na siebie czekać.

Ach, wspomnienia. Wyłaniają się z całego tego bałaganu szybko i gwałtownie, aby przeszyć jej serce pragnieniem i tęsknotą. Nie wyobrażała sobie wtedy, jak zdoła przetrwać bez niego choćby jedną noc. I nareszcie nie musiała już dłużej się o to bać.

Ich noc poślubna. Młodzi i gładcy, jacy gorliwi, rozpaleni i niestrudzeni. Pięć nocy. Tyle dostali: pięć nocy przed osiemnastoma laty. Tak wyglądało ich małżeństwo. A potem...

Coś się stało.

Azareen rzuciła swoje rzeczy na podłogę i rozejrzała się wokół. Sypialnia była nieduża, cicha i duszna; znaczna odmiana po Elmuthaleth. Miała tu również salonik i małą kuchnię, a także niewielką łazienkę. Po upewnieniu się, że *faranji* rozgościli się w siedzibie cechu, zaszła do swojej siostry i tam zjadła kolację. Przydałaby się jej kąpiel, ale zdecydowała, że zaczeka do rana, i udała się od razu do łóżka. Tego samego, w którym osiemnaście lat temu spędziła pięć gorączkowych i nieprzespanych nocy z przystojnym, młodym mężem. Zanim wykradli go bogowie.

Wówczas zapadła cisza.

Azareen niemal czuła ciężar cienia rzucanego na nią przez cytadelę, tego, co sobą reprezentowała, i wszystkiego, co się tam wydarzyło. Oraz tego, co się przez nią nie

wydarzyło.

Nie przebrała się, zzuła tylko buty i sięgnęła do plecaka, do niewielkiej kieszonki, gdzie zaszyła najcenniejszą rzecz, jaką posiadała, obrączkę ze zmatowionego srebra. Założyła ją na palec, jak każdej nocy. Podłożyła dłonie pod policzek i czekała, aż przyjdzie po nią sen.

\*\*\*

Kawałek dalej, gdzie ulicę wyłożono lazurytem jak w bajkach starego mnicha, które opowiadało się dzieciom, w domu mniej okazałym niż siedziba cechu kupieckiego i znacznie przytulniejszym od pokoi nad piekarnią, Lazlo również kładł się do spania, choć słońce miało się zbudzić już za godzinę. Nie miał zamiaru przesiedzieć całej nocy, ale cóż mógł poradzić?

Nareszcie znalazł się w miejscu, gdzie zawsze chciał być.

– Istnieje tylko jeden sposób, aby uczcić zakończenie takiej podróży – usłyszał od gospodyni, kiedy powitała go na progu budynku cechu i zaprowadziła do siebie. – Jedzenie, kąpiel i spanie, ale niekoniecznie w narzuconej przeze mnie kolejności.

Przedstawiła się jako Suheyla. Miała bielutkie włosy, przycięte jak u mężczyzny, a jej twarz była modelowym przykładem tego, że można być piękną, nie będąc taką. Emanowała od niej dobroć i ta sama żywotność, którą wykazywał Eril-Fane, lecz bez towarzyszącego mu cienia, który robił się coraz dłuższy, im bliżej Szlochu się znajdowali. Otaczała ją aura powagi, ale przy tym nic ponurego ani mrocznego. Miała tak samo głęboko osadzone, radosne oczy jak jej syn, tyle że ich kąciki zdobiły głębsze rozgałęzienia zmarszczek. Była niska i energiczna, ubierała się w jaskrawe tuniki ozdobione pomponikami i przepasane szerokim, wzorzystym pasem. Dyski wykonane ze złotej blachy połączono na jej skroniach za pomocą biegnących przez czoło łańcuszków.

– Czuj się jak u siebie, młody człowieku – powiedziała doń z tak rozdzierającą szczerością, że Lazlo faktycznie poczuł się, jakby nareszcie dotarł do domu.

Dom. Nie miał pojęcia o domach, podobnie jak i o matkach. Aż do dziś nie postawił nogi w żadnym domu. A jeśli chodziło o kolejność tego, co chce robić, to również była dla niego nowość. Zwykle brał cokolwiek mu dano i jeszcze się cieszył. Kiedy człowiek wyrobi w sobie podobne zachowanie, podzielenie się z kimś tym, co się lubi bądź nie, wydaje się próżniacze.

– Chyba każda kolejność będzie odpowiednia – odparł, opierając się pokusie, aby nie zadać pytania.

– Chyba! Jak dla mnie możesz zjeść w wannie, jeśli sobie tego życzysz. Zasłużyłeś.

Lazlo nigdy nie brał kąpeli, którą zapamiętałby jako przyjemną, bo mycie się w klasztorze ograniczało się do wylewania na siebie wiader lodowatej wody ze studni, od czego drżał na całym ciele z zimna. W bibliotece brał tylko szybkie, letnie prysznice. Czując jednak w głębi, że brud przylegający do jego ciała to nieprzebaczalne nadużycie czyjejs uprzejmości, zdecydował się na kąpiel i wtedy odkrył, jako dwudziestolatek, przyjemność zanurzenia się w gorącej wodzie.

Kto by pomyślał?

Nie poprosił jednak o podanie jedzenia do wanny – ani nawet o dłuższe niż to konieczne do umycia się posiedzenie w wodzie – bo nie mógł się doczekać dalszej



rozmowy z Suheylą. Już po spacerze z budynku cechu do jej domu i pobieżnej rozmowie dopisał ją do swojej stosunkowo krótkiej listy ulubionych ludzi, na której znajdowali się Eril-Fane, Calixte, Ruza i stary mistrz Hyrokkin. A kiedy zobaczył, ile jedzenia przygotowała jego gospodyni, dała o sobie znać jego głęboko zakorzeniona abnegacja. Na stole pojawił się pieczony drób, drożdżówki lśniąca od miodu, kawałki mięsa w pachnącym sosie i zawijane skorupiaki na wykałaczkach. Poczęstowano go sałatką z nasionami i drugą z zielonymi warzywami, podano misę zastawioną owocami, mniejsze miseczki z solą i parę innych z różnymi pastami do maczania kromek odkrawanych z bochna tak ogromnego, że nie zmieściłby się na blacie, dlatego zawieszono go na specjalnie przymocowanym haku; wystarczyło jedynie sięgnąć i tak po prostu oderwać sobie kawałek. Nie zabrakło słodkości i papryk, i herbaty, i wina, i... Tego wszystkiego było dla niego za dużo.

– Przepraszam, że sprawiłem taki kłopot – powiedział, na co odpowiedziało mu ostre spojrzenie.

– Goście nie są kłopotem – odparła Suheyla – ale błogosławieństwem. Nie mam już komu gotować i to prawdziwy kłopot. Ale wychudzony młodzieniec prosto z Elmuthaleth, którego przydałoby się trochę podtuczyć? Sama przyjemność.

Cóż mógł powiedzieć poza wydukaniem podziękowań i napełnieniem sobie talerza?

Nigdy nie jadł niczego pyszniejszego. Nigdy też nie czuł się tak napchany ani nie siedział tak długo przy stole, ani tyle nie rozmawiał przy posiłku, ani nie czuł się tak komfortowo z kimś, kogo dopiero co poznał. Dlatego jego pierwszy kontakt ze światem, w którym istnieją domy i matki, okazał się niemalże idealny i choć podczas przechadzki przez miasto swoich marzeń myślał, że już nigdy nie poczuje zmęczenia, teraz zrobił się praktycznie wyczerpany, co nie umknęło uwadze Suheyli.

– Kładź się już – powiedziała. – Zbyt długo cię trzymałam.

Lazlo poszedł po swoją torbę podróżną, którą zostawił pod drzwiami.

– Ja zaniosę – zaproponował, kiedy staruszka pochyliła się, żeby ją podnieść.

– Nonsens – odparła i wyciągnęła rękę.

Lazlo spostrzegł wtedy, że kobieta nie miała prawej dłoni, a jedynie zaokrąglony, gładki kikut na wysokości nadgarstka, co nie przeszkodziło jej ani trochę w podniesieniu torby za pasek i przerwaniu jej sobie przez ramię. Wydało mu się dziwne, że nie zauważył tego wcześniej.

Staruszka wskazała mu jedne z pomalowanych na zielono drzwi wychodzących na dziedziniec.

– Ten pokój zajmował mój syn – powiedziała, gestem zapraszając go do wejścia.

– Ale... czy nie będzie miał nic przeciwko?

– Nie sądzę – powiedziała z nutką smutku w głosie. – Powiedz mi... Dobrze tam sypiał? – zapytała, wykonując przy tym mętny gest ku zachodowi, gdzie jak podejrzewał Lazlo, leżała reszta świata.

– Nie jestem pewien – odpowiedział, zaskoczony. – Chyba tak.

Jakże nieprzekonująco musiało to zabrzmieć w uszach zaniepokojonej matki. „Chyba tak”. Ale skąd Lazlo mógłby to wiedzieć? Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że

Eril-Fane może mieć jakiegokolwiek słabości. Zrozumiał, że do tej pory patrzył na Zabójcę Bogów jak na bohatera, nie człowieka, i że nawet herosi, kimkolwiek są, to tylko ludzie, jak każdy mają ludzkie problemy.

– To dobrze – odpowiedziała Suheyla. – Może mu się poprawiło, skoro przebywał daleko stąd.

– Co poprawiło? – zapytał Lazlo, przypominając sobie, jak Eril-Fane odwrócił wzrok, mówiąc, że nie sypiał dobrze w Szłochu.

– Koszmary – zbyła go Suheyla, kładąc dłoń na policzku Lazla. – Dobrze cię gościć, młody człowieku. Śpij dobrze.

\*\*\*

Ćmy wylały się z kominów budynku cechu kupieckiego. Do świtu pozostała jeszcze godzina, ale niektóre partie miasta zaczęły się budzić. Piekarze już pracowali, wózki toczyły się leniwie ku placowi targowemu, załadowane zbiorami z leżących w dolinie farm. Sarai nie zamierzała zabawić tak długo w snach obcych, lecz znalazła się w tak niezwykłym świecie, pełnym niezrozumiałych dla siebie wizji, że ledwie poczuła upływ czasu. Ujrzała niewysłowiony ogrom oceanu. Zobaczyła lewiatany wielkie jak pałace, przywiązane do pontonów, żeby nie mogły zanurzyć się wedle uznania. Jarzące się niczym pogrzebane pod ziemią promienie słońca kopalnie gław. Wieże przypominające kły. Mężczyzn z wilkami na smyczach patrolujących jaskrawe niebieskie pola. Obrazy te przemawiały do niej spoza znanego jej świata, a pośród nich znajdowały się porzucane – najdziwniejsze z dziwnych, tak trudne do oddzielenia od dzikiej kapryśności sennych marzeń jak płatki śniegu na koronce – poszukiwane przez nią odpowiedzi.

Kim byli ci nieznajomi i jakie zagrożenie stanowili?

Po pierwsze to mężczyźni i kobiety kierujący się ideami, napędzani inteligencją oraz rzadkimi umiejętnościami. Niektórzy mieli rodziny, inni nie. Niektórzy byli ludźmi miłymi, inni nie. Nie mogła poznać ich wszystkich podczas jednej tylko nocy, ledwie wyrobiła sobie pewne zestawy skojarzeń, na razie to musiało wystarczyć.

Po drugie... Sarai dumiała nad eksplozjami, nad urządzeniami, nad niemożliwie wysokimi wieżami, które ujrzała, nad dziewczynami wspinającymi się na owe wieże, nad magnesami, nad piłami, nad mostami, nad buteleczkami pełnymi cudownych chemicznych mikstur, nad... nad...

Nad latającymi maszynami.

„Przecież nie potrafią latać”, powiedział Feral i najwyraźniej się mylił.

Kiedy Sarai spojrzała na owo urządzenie, które przyśniło się starszej z dwóch kobiet, od razu przekreśliła je jako fantazję. Sny często traktują o lataniu. Nie czuła niepokoju. Ale kiedy zobaczyła tę samą maszynę w snach jej męża, nie mogła tego zbagatelizować. Ustrojstwo było zgrabne i stosunkowo proste w budowie, lecz zbyt charakterystyczne, aby pojawić się w snach dwóch różnych osób bez względu na to, czy leżą obok siebie, czy nie. Sny nie przenoszą się ze śpiącego na śpiącego.

Odkryła coś jeszcze, co kazało jej uwierzyć. Mieszkała w niebie. Znała świat z góry, widziała go tak, jak nie oglądał go żaden człowiek. Zwykle rzeczony sny o lataniu nie odpowiadały rzeczywistości – odbicia słońca na chmurach, pływanie na opadającym

wietrze, spoglądanie na świat z wysoka. Lecz ludzie o spracowanych dłoniach znali prawdę. Miała co do tego pewność.

Byli tam.

Ile pozostało im czasu, zanim latające maszyny wzbiją się w powietrze i zanoszą obcych na ogrodowy taras, na płaską dłoń serafina, tu, gdzie stała teraz Sarai?

„Jutro się okaże, czy będzie sens odbywać tę rozmowę, czy nie”, powiedziała, kiedy Minya uparła się, aby niepokoić ich wszystkich po kolei gadkami o rychłej wojnie. Cóż, jednak będą musieli odbyć tę rozmowę, i to szybko. Nie przyjdzie im z tego nic dobrego. Sarai zrobiło się niedobrze.

Przerwała nieustający chód od jednego krańca tarasu do drugiego. Miała otwarte oczy, lecz wszystko jej się rozmazywało. Była sama, ale wiedziała, że pozostali na nią czekają. O ile w ogóle zdołali zasnąć, teraz i tak z pewnością czekali już na spotkanie z nią i powrót ciem, aż opowie im, co zobaczyła tej nocy. Może nawet stali po drugiej stronie zasłony? Miała nadzieję, że nawet jeśli, to jeszcze chwilę tam postoją, bo nie była na nich gotowa. Rozważała przywołanie ciem. Już zaczęło się rozwidniać na wschodnim horyzoncie, émy rozpuszczą się w pierwszych promieniach słońca, ale została jeszcze jedna rzecz, którą musiała zrobić. Odkładała ją przez całą noc.

Musiała złożyć wizytę Zabójcy Bogów.

Sarai patrzyła przez to okno wiele razy. Częściej niż przez jakiegokolwiek inne w całym Szlochu. To okno jej ojca, rzadko kiedy pomijała jego dom podczas swoich nocnych wizyt. Znęcała się nad nim i nad sobą, usiłując sobie wyobrazić, jakim dzieckiem musiała być, skoro ojciec, zamiast ją kochać, chciał zabić.

Okno było otwarte. Cmy mogły wlecieć do środka bez przeszkód, lecz Sarai ociągała się, kazała im ledwie przysiąc na parapecie, żeby mogła zajrzeć. Niewiele dało się powiedzieć o tym niewielkim pokoiku: stały tam tylko komoda na ubrania, regał i łóżko, na którym położono wypchane pierzem materace przykryte ręcznie zdobionymi pledami. Do środka wpadało wystarczająco dużo światła, by ujrzała odcinającą się na tle czerni sylwetkę. Szczupłe ramiona. Spał na boku, z plecami zwróconymi w stronę okna.

Serca Sarai straciły rytm, zadrżały. Była podenerwowana, może nawet wytrącona z równowagi, jak przed zbliżającym się spotkaniem po latach, choć tylko ona o nim wiedziała. Minęły dwa lata od jego wyjazdu. Kiedy zniknął ze Szlochu, odczuła ulgę, bo Minya przestała ją codziennie nagabywać. Każdego dnia, dosłownie każdego, dziewczynka wypytywała ją, o czym śnił jej ojciec i jakie koszmary mu zafundowała. Bez różnicy, jakiej odpowiedzi udzieliła, żadna Minyi nie zadowalała, bo liczyła, że Muza Koszmarów ześle na ojca taki senny kataklizm, że potrzaska mu umysł na kawałki i popchnie ku mrokowi tak gęstemu, że utknie w nim na zawsze. Chciała, żeby oszalał.

Zabójca Bogów zawsze stanowił dla nich zagrożenie, i to największe z możliwych. Był bijącym sercem Szlochu, wyzwolicielem swojego ludu, bohaterem. Nikogo nie kochano bardziej, nie słuchano z taką atencją. Nikt nie był tak niebezpieczny.

Po powstaniu i zrzućeniu kajdan ludzie nie próżnowali. Musieli przecież otrząsnąć się z dwustu lat tyranii. Stworzyć od zera rząd, razem z prawami i systemem sprawiedliwości. Musieli odbudować fortyfikacje, naprawić inne sfery życia, choćby przemysł, pomyśleć o ożywieniu handlu. Armia, świątynie, rzemiosło, szkoły – wszystko należało pobudować od nowa. Potrzebowali na to wielu lat, a przez cały ten czas nad ich głowami unosiła się, kompletnie poza ich zasięgiem, cytadela. Mieszkańcy Szlochu nie mieli wyjścia, musieli reperować to, co mogli, i pogodzić się z tym, czego nie mogli się pozbyć. Znaczyło to, że nigdy już nie poczują słońca na twarzy, nie nauczą dzieci gwiazdnych konstelacji ani nie zerwą owocu ze swojego drzewka. Sporo mówiło się o przeniesieniu miasta poza cień, o rozpoczęciu wszystkiego od nowa, gdzie indziej. Wybrano już nawet odpowiednie miejsce w dole rzeki, ale mieli za sobą zbyt bogatą historię, aby ją tak po prostu porzucić. Ziemię tę wywalczyli dla nich aniołowie. Nawet pogrążona w cieniu pozostawała dla nich święta. Nie mieli jak pozbyć się cytadeli, lecz nie zamierzali jej też wiecznie tolerować. Kiedyś musieli unieść głowy. Zabójca się nie podda.

„Jeśli ty go nie wykończysz – mawiała Minya – to on wykończy nas”.

Dlatego też Sarai zgodziła się być bronią. Jej serca nadal broczyły krwią, pamięć o Rzezi była jeszcze świeża, dlatego zrobiła, co mogła, aby wydobyć z siebie to, co

najgorsze. Przez wiele nocy sadzała na ciele Eril-Fane'a swoje ćmy i uwalniała wszystkie horrory, jakie miała w zanadrzu. Całe ich zastępy, potworne armie. Leżał sztywny jak deska. Słyszała, jak zgrzyta zębami, zaciskając szczękę. Nikt nie zamykał oczu tak mocno jak on. Jakby powieki miały mu pęknąć. Ale nie udało jej się go złamać, nawet nie zapłakał. Eril-Fane'a dręczyły jego własne, osobiste koszmary, nie mogła zaszkodzić mu bardziej. Strach okazał się jego najmniejszym problemem. Sarai jeszcze wtedy tego nie rozumiała. Gnębił go wstyd. Rozdzierała rozpacz. Nie mogła zesłać na niego mroku zdolnego konkurować z tym, który już poznał. Przeżył trzy lata z Isagol Groźną – przetrwał zbyt wiele, aby same koszmary doprowadziły go do szaleństwa.

Dziwne. Każdej nocy Sarai rozdziałała umysł na sto części, jej ćmy niosły fragmenty świadomości dziewczyny po całym mieście, a kiedy do niej powracały, znowu stawała się całością. Nie było to trudne, ale coś się z czasem zmieniało, bo im dłużej nękała swojego ojca, tym mocniej zaznaczał się ten podział jej osobowości i coraz trudniej przychodziło jej połączenie się. Dla Minyi istniała tylko jedna jedyna Rzeź. Lecz w rzeczywistości było ich więcej. Zdarzały się inaczej. Wykradzione dziewczynki, stracone lata i złamani ludzie. Zawsze stali za tym dzicy, bezlitośni bogowie.

Isagol sięgająca człowiekowi w głąb duszy i grająca na uczuciach jak na harfie.

Letha drenująca umysły, wyciągająca je z głowy i połykająca wspomnienia.

Skathis u drzwi, przychodzący po twą córkę.

Skathis u drzwi, przynoszący ją do domu.

Właściwe wykorzystanie nienawiści, według Sarai, to wyrugowanie współczucia, zatrzaśnięcie w sobie pewnych drzwi i zapomnienie, że kiedykolwiek istniały. Odczuwało się nienawiść, widziało się cierpienie – powodowało się je – i nie czuło się przy tym absolutnie nic, może poza plugawym usprawiedliwieniem tego, co się ujrzało lub robiło.

Ale któregoś razu... tutaj, w tej sypialni, Sarai pomyślała, że straciła tę umiejętność. Nienawiść ją zawiodła, jakby zgubiła podczas bitwy tarczę. A kiedy już się jej wyzbyła, całe nagromadzone cierpienie niemal się z niej wylało. Nie mogła już dłużej tego znieść. To wówczas koszmary Sarai zwróciły się przeciwko niej i zaczęła potrzebować śpiocha.

Biorąc głęboki oddech, dziewczyna poderwała ćmę z parapetu i posłała naprzód, niczym pojedynczy kawałek ciemności ciśnięty w zszarzały mrok. Skupiła całą swoją uwagę na tym samotnym żołnierzu, unosiła się centymetry nad ramieniem Zabójcy Bogów.

Tyle że...

Nie potrafiła stwierdzić, który zmysł zadrżał, zszokowany odnotowaną różnicą, lecz od razu zrozumiała, co zostało jej przekazane: to nie Zabójca.

Nie zgadzała się sylwetka. Zapach też. Kimkolwiek był ten człowiek, był szczuplejszy niż Eril-Fane; materac ugiął się pod nim ledwie zauważalnie. Przyzwyczaiała oczy do bladego, szczątkowego światła i zobaczyła rozrzucone na poduszce ciemne włosy, ale to tyle podobieństw.

Kim był ten człowiek śpiący w łóżku Zabójcy Bogów? Gdzie się podział Eril-Fane?

Ogarnęła ją ciekawość. Zrobiła coś, czego nigdy nawet nie rozważała, kiedy panował spokój. Czyli kiedy jeszcze zagłada nie zbliżała się tak szybko.

Na szafce nocnej stała gława, na którą narzucono czarną dzierganą zasłonkę. Sarai pokierowała ǳmami tak, żeby złapały materiał malutkimi odnóżami i uniosły go odrobinę, tylko na tyle, by rzucić trochę światła na łóżko. Jeśli ktoś spojrzełby teraz na te skoordynowane ruchy, zapewne od razu nabrałby podejrzeń, że to nie zwyczajne stworzenia. Lecz Sarai nie przejmowała się teraz podobnymi sprawami, miała poważniejsze. Kiedy już ǳmom udało się unieść zasłonkę z czarnego materiału, przyjrzała się twarzy podświetlonej srebrzystym blaskiem gławy. Zobaczyła młodego mężczyznę o zakrzywionym nosie. Brwi miał czarne i gęste, oczy głęboko osadzone. Szczupłe policzki i wystające kości, na szczęce nieładne rozcięcie, jakby od ostrza siekiery. Bez finezji, bez elegancji. A nos? Jak nic niejednokrotnie bywał przedmiotem brutalnego traktowania, przez co nadawał temu człowiekowi aurę kogoś, kto sporo przeszedł. Włosy miał grube i ciemne, a tam, gdzie padało na nie światło gławy, mieniły się nie chłodnym błękitem, a ciepłą czerwienią. Nie miał na ciele koszuli, okrył się jedynie pledem, na spoczywającym na piersi ramieniu dostrzegła zarys rodzących się mięśni. Wykąpał się, ogolił zapewne po raz pierwszy od całych tygodni, bo jego policzki i podbródek były bledsze niż reszta twarzy i gładkie. Rzecz jasna na tyle gładkie, na ile mogą być po paru ruchach naostrzoną brzytwą. Sarai po latach obserwacji śpiących lic – bo na pewno nie Ferala, któremu dopiero zaczynał kiełkować męski zarost – mogła powiedzieć, kto może wytrzymać bez golenia nawet i parę dni, a i tak nikt by tego po nim nie poznał. Nie ten człowiek. Nie szykował się dopiero, jak jej przyjaciel, do przekroczenia granicy dzielącej go od dorosłości, lecz już dawno ją przebył. To bez wątpienia mężczyzna.

Nie grzeszył urodą. Z pewnością nie dało się go nazwać dziełem sztuki. Miał w sobie coś prymitywnego, lecz Sarai spędziła na oględzinach tego osobliwego chłopaka więcej czasu niż przy pozostałych, nie licząc złotego chłopca. Obaj byli młodymi mężczyznami, a jej daleko było do niewiniątka, choć nigdy nie manifestowała swoich potrzeb otwarcie – jak Ruby – ale nie oderwała się od życia na tyle, aby fizyczna bliskość kogoś takiego jak ten śniący nie wywierała na niej żadnego efektu. Po prostu dusiła to w sobie, tak jak i wiele innych rzeczy.

Spojrzeła na zamknięte powieki śpiącego, na jego drzące rzęsy, i zastanawiała się, jakiego koloru ma oczy. Poczowała ukłucie osamotnienia. Jej przeznaczeniem było widzieć, lecz nie być zauważoną, przemykać ukradkiem po umysłach innych i zostawiać po sobie tylko strach.

Spojrzeła na niebo. Lepiej się pośpieszyć. Nie miała czasu na dłuższe oględziny, musiało jej wystarczyć to, na co tylko rzuciła okiem, lecz nawet drobinka informacji mogła się okazać użyteczna.

Obcy w domu Eril-Fane'a.

Co to oznaczało?

Posłała ǳmę na jego skroń i szybko zanurzyła się w inny świat.

Każdy umysł jest osobnym światem. Zwykle okupują one szerokie połacie zwyczajności, ale inne są wyrazistsze: przyjemne, nawet piękne, czasem dziwaczne i budzące niewytłumaczalną grozę. Sarai nie pamiętała nawet, jak wyglądał jej własny, jeszcze z okresu, zanim stał się siedliskiem prawdziwie przerażających wizji, miejscem, którego sama się bała, gdzie nie chciała zostać sama po zmroku, przed którym musiała się chronić za pomocą mikstury przytępiającej jej sny szarą nicością. Koszmary Zabójcy Bogów również przesycaly horror. Tymczasem sny Suheyli otulały ją niczym mięciutki szal zziębnięte dziecko. Sarai bywała w tysiącach głów – dziesiątkach tysięcy – i grzebała niewidzialnymi palcami w tyłu marzeniach, że nie potrafiła ich zliczyć.

Lecz nigdy nie wiedziała czegoś takiego.

Mrugnęła i rozejrzała się. Ujrzała ulicę wyłożoną lazurytem, rzeźbione fasady stojących po obu stronach kamienic. Wznosiły się tam też kopuły ze złota, a w oddali majaczył Guzek. Sarai bywała już w zupełnie obcych dla niej krainach, a ta, mimo że znajoma, wydawała się jednocześnie nieznaną. Obróciła się powoli i syciła zaciekawione oczy miastem, na które spoglądała każdej nocy, a za dziwaczne uznała to, że nie poznawała tego, co ją otaczało. To z całą pewnością Szloch, lecz nie taki, jaki znała. Lazuryt lśnił jaśniejszym błękitem, rzeźbienia wydawały się inne. Kopuły – zamiast ledwie tuzina zobaczyła ich setki – nie miały prawidłowego kształtu. Nie wykonano ich, jak w rzeczywistości, z wygładzonych złotych liści, lecz przypominających rybią łuskę płytek z tego samego, ale ciemniejszego i błyszczącego kruszcu, od którego słońce nie tyle się odbijało, co igrało z nim. Tańczyło.

Słońce.

Słońce nad Szlochem.

Nie górowała nad nim cytadela, kotwice zniknęły. Żadnego mesartjum, ani śladu czyhającej za rogiem posepności, żadnego zgorzknienia. Doświadczała wersji Szlochu istniejącej tylko w umyśle śniącego. Nie miała pojęcia, czy zrodziła się ona na gruncie marzeń, czy opowieści snutej przez ocierającego się już o demencję mnicha, czy została podebrana z każdego możliwego źródła, jakie wpadło Lazlo w ręce. Chłopak wiedział wszystko, co obcy mógłby wiedzieć o Szlochu, i taki obraz zbudował na podstawie kawałków, do których miał dostęp. Sarai znalazła się w jego wyobrażeniu miasta i nigdy nie widziała nic piękniejszego. Obrazy te tańczyły w jej zmysłach jak wysnione słońce na kopułach. Wszystkie kolory stały się głębsze, bogatsze niż prawdziwe i pojawiło się ich tak wiele, jakby ten, co utkał świat, złożył do koszyka ścinki wszystkich nici, jakich użył. Stoiska handlowe osłonięto markizami, a rzędy pojemniczków z przyprawami przypominały ustawione obok siebie różki. Brąz i róż, szkarłat i sjena. Staruszkowie wydmuchiwali kolorowe obłoczki dymu przez długie, malowane flety, wypełniając powietrze bezgłośnie muzyką. Szafran i cynober, amarant i koral. Z każdej kopuły wyrastała podobna szpilce iglica, a do wszystkich uczepiono przypominające jaskółcze ogony chorągwie i połączono zwisającymi wstęgami, pomiędzy którymi biegały śmiejące

się dzieci w opończach z kolorowych ptasich piór. Morwa i cytryny, seledyn i czekolada. Cienie rozrabiały razem z malcami tak, jak nie mogłyby w prawdziwym, związanym z ciemnością Szlochu. Wyimaginowani mieszkańcy mieli na sobie proste, acz uszyte ze smakiem ubrania, kobiety z kolei nosiły długie, opadające im na plecy włosy, których kosmyki podtrzymywały rozśpiewane, mieniające się kolorami ptaki. Mleczce i kasztanowce, pomarańcze i nawłocie. Za murami rosły pnącza, zapewne rosły tam za dawnych lat, przed cieniem. Zakwitwały owoce, soczyste i lśniące. Zachód słońca i oset, grynszpan i fiolet. Powietrze przesycone ich słodkim, miodowym zapachem i czymś jeszcze, czymś, co przeniosło Sarai prosto do lat dzieciennych.

Kiedy była jeszcze mała, zanim kuchenne spiżarnie zostały wyczyszczone z nieodnawialnych dóbr jak cukier czy mąka, Duża Ellen co roku piekła im tort urodzinowy, jeden dla wszystkich, żeby cukru i mąki starczyło na tak wiele lat, jak to możliwe. Ostatni Sarai zjadła, kiedy miała osiem lat. Cała piątka rozsmakowywała się, jedząc swój kawałek, uczyniła zabawę z męcząco powolnego przeżuwania, wiedząc, że to ostatni tort, jaki kiedykolwiek zjedzą.

A tutaj, w tym osobliwym i uroczym Szlochu, ciasta stygły na parapetach, ich polewy lśniły od skryzalizowanego cukru i płatków kwiatów, przechodnie przystawali, aby uraczyć się kawałeczkiem tego czy tamtego, gospodarze podawali im przez otwarte okna kubki z napitkiem, by mogli przepłukać czymś gardło po kolejnych kęsach.

Sarai chłonęła to wszystko, aż zakręciło się jej w głowie. Już po raz drugi tego dnia została zaskoczona dysonansem pomiędzy twarzą a umysłem. Złoty *faranji* miał piękną twarz, lecz nie sny. Te kłębiły się zatłoczone i duszne niczym trumny. Ledwie dało się oddychać i ruszać.

A teraz to. Grubo ciosane oblicze, na którym odrysował się życiowy trud, okazało się bramą ku cudom.

Ujrzała paradyjących bez nadzoru spektralnych, idących obok siebie niczym pary na spacerze, i inne stworzenia, z których niektóre rozpoznawała, inne widziała po raz pierwszy. Ravid o długich jak jej ramię kłach, przystrojony koralikami i tasiemkami, stanął na tylnych łapach, aby polizać ciasto długim, szorstkim językiem. Dystyngowane centaury z narzuconymi na grzbiety damskimi siodłami. Samiec obrócił głowę i centaury pocałowały się namiętnie, aż Sarai zapiekły policzki. Panowała w tym umyśle tak magiczna atmosfera, że wydawała się tu nie na miejscu. Byli tam też malutcy ludzie o nóżkach jak kurczaki, chodzili do tyłu, a ich ślady wskazywały przeciwny kierunek do tego, w którym faktycznie się skierowali; maciupkie starowinki ścigały się na ujeżdżanych kotach; chłopcy o kozich rogach podzwaniali dzwonkami i trzepotali skrzydełkami cienkimi jak pajęczce nici; wszystko wyglądało coraz piękniej, gdziekolwiek by nie spojrzała. Przebywała w tym śnie dopiero niecałą minutę – zaledwie dwa okrążenia dłoni ogromnego serafina – a już miała na twarzy uśmiech.

Uśmiech.

Ten stanowił u niej niezwykłą rzadkość, zważywszy na to, czym się zajmowała, ale kiedy nadchodziła noc taka jak ta, niemożliwe było nie uśmiechnąć się na podobne odkrycia. Zawstydzona, zasłoniła usta dłonią i poszła dalej. Czyli ten *faranji* potrafi śnić? I co z tego? Nic, co zobaczyła, jej się nie przyda. Kim był ten marzyciel? Co tutaj robił?



Uodparniając się na cuda, rozejrzała się wokół i zobaczyła przed sobą mężczyznę o długich, ciemnych włosach.

Jego.

To nic niezwykłego. Ludzie najczęściej pojawiają się w swoich snach. Oddalał się od niej i Sarai czym prędzej dogoniła go samą myślą. Ba, zanim jeszcze sobie to wyobraziła, już stała za jego plecami. Sen może i był wyjątkowy, ale to nadal sen, więc jak zawsze mogła dowolnie go kontrolować. Jeśliby chciała, odarłaby go z koloru. Albo zalała krwią. Rozbiła kopuły. Kazała dzieciakom odzianym w kolorowe pióra paść trupem. Mogła łagodnemu ravidowi ozdobionemu koralikami i tasiemkami nakazać pogryźć i przeżuć przemile kobiety o długich czarnych włosach. Mogła uczynić tę sielankę koszmarem. Taki miała dar.

Złowrogi, prawdziwie złowrogi dar.

Ale tego nie zrobiła. Nie po to tutaj przyszła, to po pierwsze, ale nawet jeśli, nie mogłaby się zmusić do zepsucia tego snu. Nie chodziło tylko o kolory, o baśniowe stworzenia, o magię. Ani nawet o ciasta. Lecz o... słodycz, bezpieczeństwo. Sarai chciałyby, żeby...

Żeby to była prawda. Żeby mogła tak żyć. Żeby ravidy chodziły ludziom przy nodze, a skoro ci dzielili się z nimi ciastami, to może z boskimi pomiotami również by mogli.

Prawda. Co za głupia myśl. Przecież to umysł obcego człowieka. Prawdziwa była czekająca na nią czwórka, umierająca z ciekawości. Prawdziwe było to, że musiała im opowiedzieć, co zobaczyła, prawdziwy był blask budzącego się na horyzoncie świtu. Czas wracać.

Sarai przywołała swoje ćmy.

Te, co przysiadły na dzierganej narzutce gławy, delikatnie położyły materiał na miejsce i wypuściły go z odnóży, a czerń połknęła blask światła, zatapiając śniącego w ciemności. Ćmy podleciały do okna i przysiadły tam, została tylko jedna na skroni chłopaka. Sarai była już gotowa odlecieć, ale zwlekała. Odwiedziła tak wiele miejsc naraz: chodziła bosa po dłoni serafina, unosiła się przy oknie sypialni Zabójcy Bogów, siedziała, lekka jak płatek kwiatu, na czole śpiącego.

Wewnątrz jego snu stała tuż za nim. Naszła ją niekontrolowana potrzeba, żeby zobaczyć jego twarz, tutaj, gdzie zmaterializowały się jego marzenia, gdzie miał otwarte oczy.

Chłopak wyciągnął rękę i zerwał owoc z jednego z pnączy. Ręka Sarai zadrżała. Również miała ochotę na owoc. Zabrałaby pięć, po jednym dla każdego z nich. Pomyślała o dziewczynce, która potrafiła wyciągać rzeczy ze snu, chciałyby móc powrócić do cytadeli z całym koszem. Z ciastem balansującym na głowie. Na grzbiecie oswojonego ravida z lukrem na wąsach. Jakby podarki i kaprysy mogły ulżyć im w bólu wywołanym jej wieściami.

Dzieci zaczęły łązić po treliazu, przystawały tylko na moment, żeby zrzucić śniącemu owoce. Ten łapał żółte kulki i krzyczał:

– Dziękuję!

Tembr jego głosu wywoływał na ciele Sarai dreszcze, był głęboki, niski i surowy,

jak dym drzewny i ząbkowane ostrze, jak buciory skrzypiące na śniegu. Lecz mimo tej chropowatej szorstkości pobrzmiewała w nim również ledwie słyszalna nieśmiałość.

– Kiedy byłem mały, myślałem, że drzewka owocowe tylko czekają na kogoś, kto odciąży ich gałęzie – powiedział do siedzącego nieopodal staruszka. – Ale potem się dowiedziałem, że to jedynie fantazja wymyślona przez głodne dzieci.

Poniewczasie dotarło do Sarai, że przemawiał w języku Szlochu. Przez całą noc, kiedy spacerowała przez sny nieznajomych, nie usłyszała ani jednego słowa, które by rozumiała, ale ten śniący mówił bez cienia akcentu. Zaszła go od boku, żeby nareszcie na niego spojrzeć. Podeszła bliżej, przyglądając się mu – z profilu – bezwstydnie, jakby oglądała posąg. Albo, nie przymierzając, jak duch studiujący żyjącego. Jeszcze niedawno tak samo uważnie badała złotego *faranji*, stojąc tuż obok niego, kiedy ten pracował zawzięcie w laboratorium, pośród ryczących płomieni i potrzaskanego szkła. Wszystko sprawiało tam wrażenie ostrego i poszarpanego, nagrzanego i niewątpliwie niebezpiecznego. Nie miało znaczenia, że był piękny. Chciała stamtąd uciec.

Tutaj nic jej nie groziło, nie miała ochoty wyjść z tego snu. Przeciwnie, chciała się zanurzyć jeszcze głębiej. Dekada niewidzialności wyrugowała z niej potrzebę pośpiechu, którą kiedyś mogło wywołać ordynarne gapienie się na kogoś. Zobaczyła, że chłopak miał szare oczy, a śmiech majaczący na jego twarzy odznaczał się tą samą nieśmiałością co jego głos. Owszem, miał krzywy nos. Owszem, grubo ociosano mu kości policzkowe aż do szczęki. Lecz ku jej zaskoczeniu, twarz miał rozbudzoną i żywotną, nie znać było na niej prymitywnego zezwierzęcenia, którego początkowo się obawiała. Nic podobnego.

Był słodki jak zapach jego snu.

Odwrócił się do niej. Sarai tak przywykła do swojego niebycia, że nawet ją to nie zaskoczyło. Pomyślała, że to tym lepsza okazja, żeby mu się przyjrzeć. Widywała już tyle zamkniętych oczu, drżących od snu powiek, trzepoczących powiek, że jego spojrzenie ją zahipnotyzowało. Znaleźli się tak blisko siebie. Mogła zobaczyć, jak cieszy się słońcem, przyjrzeć się układowi tęczówek. Nie były kompletnie szare, mieniły się różnymi odcieniami, błękitem i perłowym blaskiem, wyglądały jak odbicie światła płasające na wodzie, z delikatnymi złotymi obwódkami okalającymi jego źrenice niczym aureole. I... tak samo uważnie, jak ona na niego, on patrzył na... Nie, nie na nią. Mógł jedynie patrzeć przez nią. Wyglądał jak urzeczony. Jego oczy wyrażały bezgraniczny zachwyty.

„Wiedźmowe światło”, pomyślała i poczuła dotkliwe uczucie zazdrości, że ten ktoś, kto stał za nią, albo to coś, co się tam znajdowało, tak go oczarowało. Przez chwilę niemal udało jej się sobie wmówić, że to ona, że to na nią patrzył tym zaabsorbowanym wzrokiem.

Ale to tylko udawanie. Krótkotrwała ułuda. Była niczym zjawą, która staje pomiędzy kochankami, żeby móc choć przez chwilę poczuć, jak to jest być żywą. Trwało to zaledwie kilka sekund, góra trzy. Stała pośrodku tego niesamowitego snu i patrzyła na ruchy jego oczu. Wydawały się wodzić po rysach jej twarzy, po czarnym pasku namalowanym na jej twarzy. Utkwił wzrok w ziemi, ale tylko na moment, bo znowu spojrzął na jej zwiewną koszulę nocną i nieskromnie odzianą niebieską skórę. Spłonął się i po owych trzech sekundach przestała już udawać, również się zaczerwieniła. Cofnęła się o krok, a nieznajomy powiódł za nią wzrokiem. Nikt za nią nie stał. Obok też nikogo nie

było, wszyscy zniknęli. Cały sen skurczył się do bańki wokół nich i nie mogło być wątpliwości ani co do tego, że wiedźmowe światła zostały przeznaczone dla niej, ani do kogo się zwracał, kiedy wyszeptał z wyraźnym, acz delikatnym podnieceniem:

– Kim jesteś?

Uderzyło ją nagłe zrozumienie. Zobaczył ją. Zobaczył.

Stojąca na tarasie cytadeli Sarai odskoczyła, zerwała łączącą ją z ćmą nić świadomości i wyszła ze snu. Skupienie, jakie przeznaczyła samotnemu owadowi, powróciło do jej ciała z całą gwałtownością. Potknęła się i dysząc, upadła na kolana.

To niemożliwe. Była przecież zjawą. Nie mógł jej zobaczyć.

A jednak bez wątpienia zobaczył.

\*\*\*

Lazlo zerwał się z łóżka. Usiadł akurat w porę, żeby zobaczyć dziewięćdziesiąt dziewięć kawałeczków ciemności podrywających się do lotu z sypialnianego parapetu, szaleńczo wirujących przy oknie, skąd zostały nagle jakby wessane przez nieznaną siłę i zniknęły mu z oczu.

Mrugnął. Było cicho i spokojnie. Ciemno. Równie dobrze mogło mu się to przywidzieć i pewnie udałoby mu się przekonać o tym samego siebie, gdyby setna ćma nie spadła mu z czoła na kolana, martwa. Podniósł ją delikatnie i położył sobie na dłoni. Wydała mu się krucha, a jej skrzydełka otulał pluszowy mech w kolorze zmierzchającego słońca.

Jeszcze na poły zaplątany w resztki snu Lazlo nadal miał przed sobą duże, błękitne oczy tej pięknej, niebieskiej dziewczyny. Dopadła go frustracja, że się obudził i tak bezpardonowo ją utracił. Czy jeśli z powrotem zaśnie, znowu ją odnajdzie? Położył martwą ćmę na szafce nocnej i osunął się na poduszkę. I choć odnalazł upragniony sen, dziewczyna z niego zniknęła. Słońce zdążyło się już podnieść, zalać ponurą cytadelę bezbarwnym światłem i rozpuścić leżącą na stoliku ćmę.

Kiedy Lazlo obudził się ponownie kilka godzin później, zapomniał o jednej i drugiej.

Sarai upadła na kolana. Nie potrafiła odepchnąć od siebie spojrzenia klarownych i pełnych życia oczu śniącego – patrzył na nią! – kiedy Feral, Ruby i Jaskółka przybiegli z korytarza, gdzie stali, czekali i obserwowali.

– Sarai! Nic ci nie jest?

– Co to było? Co się stało?

– Sarai!

Minya stała za nimi, ale nie podbiegła. Trzymała się z tyłu i patrzyła ze szczerą ciekawością, jak podnoszą Muzę Koszmarów za łokcie.

Sarai ujrzała ich zaniepokojenie i spróbowała zapanować nad swoim, przeganiając sprzed oczu obraz śniącego, przynajmniej na razie. Zobaczył ją. Co to mogło oznaczać? Jej towarzysze zasypywali ją pytaniami, na które nie miała odpowiedzi, bo ómy jeszcze do niej nie powrócili. Przecinały niebo, ścigając się ze wschodzącym słońcem. Jeśli nie zdążą na czas, pozostanie niema, aż znowu zapadnie zmrok i kolejna setka zbudzi się wewnątrz niej. Nie miała pojęcia, czemu tak to działało, i nie mogła nic z tym zrobić. Złapała się za gardło, żeby tamci zrozumieli, co się wydarzyło, i machnęła ręką, dając im do zrozumienia, aby sobie poszli, nie patrzyli na to, co miało się stać za moment. Nie zносиła, kiedy patrzyli na jej ómy. Jednak przyjaciele ledwie się cofnęli, a na ich twarzach zagościł zarówno lęk, jak i zrozumienie. Jedyne, co jej pozostało, kiedy ómy powróciły niczym spieniona fala i przeleciały przez krawędź tarasu, to odwrócić się od nich i ukryć twarz, kiedy otworzyła szeroko usta i wpuściła je do środka.

Dziewięćdziesiąt dziewięć.

Przestraszona zerwała połączenie i zostawiła ómę na skroni śniącego. Serca podskoczyły jej do gardła. Sięgnęła do głębin umysłu, szukając przerwanej nici, jakby mogła wskrzesić ómę i przywołać ją do domu, lecz utraciła ją bezpowrotnie. Nie dość, że widział ją człowiek, to jeszcze zostawiła po sobie ómę niczym kartkę powitalną. Czyżby zawałiła?

Jakim cudem ją zobaczył?

Z przyzwyczajenia znowu zaczęła krążyć po tarasie. Przyjaciele przykucnęli w pobliżu, nie mogąc się doczekać wyjaśnień. Minya nadal stała bez słowa. Sarai dotarła do końca gigantycznej łapy, obróciła się i zatrzymała. Nie zamontowano tu żadnych balustrad, które zabezpieczyłyby przed wypadnięciem, było tam jedynie delikatne zakrzywienie dłoni, metalowa ręka nachylała się nieco ku górze i formowała płytką misę, tak że nie dało się po prostu wejść za krawędź. Nawet kiedy Sarai była wyjątkowo rozproszona, zawsze trzymała się stałej trasy i nie wychodziła za środkową część dłoni.

Panika towarzyszących jej przyjaciół sprowadziła ją na ziemię.

– Powiedz nam, Sarai – odezwał się Feral, starając się opanować głos i pokazać, że jest spokojny.

Ruby stała po jego jednej stronie, Jaskółka po drugiej.

Sarai syciła się widokiem ich twarzy. Przez minione lata nie miała czasu, aby po

prostu z nimi pobyc. Oni funkcjonowali za dnia, ona nocami, jedli ze soba tylko jeden posilek. Nie da sie tak zyc. Jednak... innego zycia nie mieli.

– Maja latajace maszyny – powiedziala slabym szeptem.

Patrzyla, czujac dojmujaca samotnosc, jak na ich twarzach rozgascza sie zrozumienie i przegania ostatni skrawek nadziei, nie pozostawiajac po sobie nic prócz rozpaczy.

Nareszcie zachowala sie jak córka swojej matki.

Jaskólka zakryla usta dlonia.

– Czyli tak to wyglada – powiedziala Ruby.

Nawet sie nie dopytywali. Przez noc ich panike wyparla pewnośc rychlej klęski.

Jedynie Minyi pozostala odwaga.

– Tylko na siebie popatrzcie – wycedzila. – Przysięgam, jeszcze chwila i padniecie na kolana, zeby dac sobie poderznac gardla.

Sarai odwrócila sie do niej i zobaczyla, ze dziewczyna promienieje. Poczula obrzydzenie.

– Jak mozesz sie z tego cieszyc?

– Bo to byla kwestia czasu – odpowiedziala. – Lepiej miec to juz za soba.

– Za soba? Co? Zycie?

Minya sie zasepila.

– Tylko jesli umrzesz, zanim zaczniesz sie broniec. Nie powstrzymam cie, jesli tak bardzo chcesz oddac zycie, lecz ja nie mam zamiaru tak latwo zrezygnowac.

Zapadla cisza. Dotarlo do Sarai, a moze i do pozostalej trojki, ze wczoraj, kiedy Minya podkreslala ich bezuzytecznosc w boju, nawet nie napomknęla, jaka role sama moze odegrac. Teraz, zderzona z rozpacza, upajala sie swoja gorliwoscia. Zapałem. Bylo to tak niewlasciwe, ze Sarai nie mogla tego zniesc ani chwili dluzej.

– Co jest z toba nie tak? – wypalila. – Co cie tak cieszy?

– Juz myslalam, ze nigdy nie zapytasz – odparla Minya z usmiechem tak szerokim, ze ujrzeli wszystkie jej malutkie ząbki. – Chodźcie za mna. Chcę wam cos pokazac.

\*\*\*

Rodziny dom Zabójcy Bogów byl skromnym przykladem tradycyjnego *yeldez*, czyli domu z podwórkiem. Zewnetrzną kamienną fasadę ozdobiono rytami przedstawiającymi jaszczury i granaty. Grube drzwi pomalowane na zielono prowadzily bezposrednio na niewielki otwarty dziedziniec, który stanowil centralną część domu i główne pomieszczenie dzienne, gdzie sie zarówno gotowalo, jak i jadlo czy po prostu rozmawialo. Lagodny klimat Szlochu pozwalal, aby zycie toczylo sie niemal calkowicie na zewnatrz. Dawniej niebo sluzyl im za sufit, nie cytadela. Jedynie sypialnie, lazienki i pokoje zimowe zostaly zamkniete. Okalaly one podwórko podkowa i do wszystkich dal sie wejsc owymi zielonymi drzwiami. Kuchnie stanowila zadaszona nisza, a pergola otaczajaca teren jadalniany niegdyś byla zielona od pnaczy zywego, rzucajacego cień baldachimu. Nie brakowalo tu tez drzew i ziolowego ogródka. Ale wszystko uschlo. Przetrawaly tylko zabiedzone krzewy i doniczki z zasadzonymi leśnymi kwiatami, które mogly sie rozwijac i bez slonca, ale te nie rownaly sie z barwnym obrazem, jaki Lazlo tak dlugo nosil w wyobraźni.

Kiedy wyszedł rano ze swojej sypialni, zobaczył Suheylę wyciągającą ze studni rybackie sieci, co nie wydało mu się aż tak dziwne, jak może powinno. Właściwie nie była to studnia, a szyb łączący się z płynącą pod miastem rzeką. Uzumark nie była bowiem pojedynczym, ogromnym podziemnym kanałem, ale skomplikowaną siecią arterii wodnych przecinających macierzyste skały. Kiedy budowano miasto, dawni genialni inżynierowie zaadaptowali je jako część naturalnych wodociągów. Niektóre strumienie dostarczały wodę pitną, inne z kolei odprowadzały nieczystości. Te większe oświetlono gławami i puszczono po nich pociągłe, wąskie łodzie, którymi dało się przepłynąć ze wschodu na zachód. Nie istniał szybszy sposób pokonania długiego owalu miasta. Krążyły plotki o przysypanym ogromnym jeziorze, głębszym niż wszystkie inne, gdzie został uwięziony prehistoryczny svygator, który przez swój ogromny rozmiar nie mógł się stamtąd wydostać, więc od tamtej pory pływa tam niczym samotna złota rybka w okrągłym akwarium, żywiąc się węgorzami z chłodnych źródeł. Nazywali go *kalisma*, co znaczyło „bóg węgorzy”, bo i zapewne wydawał się bóstwem samym węgorzom.

– Dzień dobry – powiedział Lazlo, wychodząc na podwórko.

– Och, już wstałeś – odparła radośnie Suheyla.

Otworzyła kosz i wysypała do niego niewielkie ryby mieniące się zielenią i złotem.

– Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

– Aż nazbyt dobrze – odpowiedział. – Już późno. Nie lubię się wylegiwać.

Przepraszam.

– Bzdura. Jeśli kiedyś powinno się pospać do woli, to po przebyciu Elmuthaleth. Zresztą mój syn jeszcze się nie pojawił, więc nic cię nie ominęło.

Lazlo zauważył kątem oka, że na niskim, kamiennym stole czekało już naszykowane śniadanie, a obfitością niemal dorównywało wczorajszej uczcie, co w zasadzie nie powinno go zdziwić, bo staruszka od przeszło dwóch lat nie miała okazji niczego ugotować dla Eril-Fane’a.

– Może pomóc? – zapytał.

– Nałożysz pokrywę na studnię?

Zrobił, o co go poprosiła, po czym poszedł za nią do paleniska. Obserwował, jak Suheyla skrobała ryby zwinnymi ruchami noża, maczała je w oliwie, posypywała przyprawami i kładła na kratce. Nie wyobrażał sobie, jak zwinna musiała być, gdy miała dwie ręce zamiast jednej.

Staruszka zauważyła, że się jej przygląda. A raczej jak odwraca się czym prędzej, kiedy łapała go na podglądaniu. Uniosła swój gładki kikut i powiedziała:

– Nie mam nic przeciwko. Rzuć sobie okiem.

Splonął się, zawstydzony.

– Przepraszam.

– Muszę ustanowić jakiś system kar za przeprosiny – powiedziała. – Nie chciałam tego mówić zeszłej nocy, ale dzisiaj mamy nowy dzień. Dziesięć sztuk srebra za każde przeprosiny.

Lazlo zaśmiał się i ugryzł w język, żeby przypadkiem nie przeprosić za przeprosiny.

– Tak mnie nauczono – wyjaśnił. – Nic nie poradzę.

– Przyjmuję wyzwanie próby zmiany twoich przyzwyczajęń. Od tej pory możesz przepraszać tylko wtedy, jeśli nadepniesz komuś na odcisk podczas tańca.

– Tylko wtedy? Nawet nie tańczę.

– Co proszę? Nad tym też popracujemy.

Obróciła rybę na drugą stronę. Dym pachniał przyprawami.

– Całe życie spędziłem z mężczyznami starszymi od siebie – powiedział Lazlo. – Jeśli chcesz mnie przystosować do roli członka społeczności, to masz pełne ręce roboty...

Słowa te wysnęły mu się tak prędko, że nie zdążył ich nawet przemyśleć. Twarz mu zapłonęła i tylko uniesiony w ostrzegawczym geście palec Suheyli powstrzymał go od wydukania przeprosin.

– Ani słowa – powiedziała niby surowym głosem, ale oczy lśniły jej figlarnie. – Nie obawiaj się tak o urażenie mnie, młodzieńcze. Mam grubą skórę. A jeśli chodzi o to... – Uniosła kikut. – Niekiedy wydaje mi się, że wyświadczyli mi przysługę. Dziesięć palców to aż za dużo, na co komu one. I tyle paznokci do obcinania!

Jej uśmiech okazał się zaraźliwy i Lazlo również się wyszczerzył.

– Nigdy o tym nie pomyślałem. Maiałeńskie mity mówią o sześcioramiennej bogini. Pomyśl o niej.

– Bidulka. Pewnie ma kapłanki, które dbają o jej dłonie.

– Bez wątpienia.

Suheyła nabiła upieczoną rybę na widelec i przeniosła na talerz, który podała chłopakowi. Gestem wskazała mu stół. Lazlo postawił naczynie na blacie. To, co powiedziała, utkwilo mu w głowie.

„Niekiedy wydaje mi się, że wyświadczyli mi przysługę”.

Kim byli oni?

– Wybacz mi, ale...

– Dziesięć sztuk srebra.

– Słucham?

– Znowu mnie przepraszasz. Ostrzegałam cię.

– Nie przepraszałem. – Zaśmiał się. – To figura retoryczna. Początek wypowiedzi.

Nie są to żadne przeprosiny.

– Dobrze – zgodziła się Suheyła. – Ale następnym razem bez takich. Po prostu pytaj.

– Zgoda – powiedział Lazlo. – Lecz... zresztą nieważne. To nie moja sprawa.

– Pytaj.

– Powiedziałaś, że wyświadczyli ci przysługę. Zastanawiałem się kto taki.

– Ach. Bogowie, oczywiście.

Mimo unoszącej się nad nimi cytadeli, Lazlo nie miał odpowiedniego kontekstu, aby wyobrazić sobie, jak mogło wyglądać życie pod boskimi rządami.

– Znaczący... Odcięli ci dłoń?

– Tak sądzę – odparła. – Bo oczywiście nie pamiętam. Może kazali mi to sobie zrobić samej. Jestem pewna tylko tego, że zanim mnie zabrali, miałam dwie ręce, a potem już tylko jedną.

Mówiła o tym spokojnym tonem, jakby prowadziła zwyczajną konwersację.

– Zabrali... – powtórzył Lazlo. – Tam?

Suheyla zmarszczyła brwi, jakby dziwiła ją jego niewiedza.

– O niczym ci nie opowiedział?

Domyślił się, że chodzi o Eril-Fane'a.

– Póki nie stanęliśmy wczoraj na Guzku, nie miałem nawet pojęcia, czemu tu idziemy.

Prychnęła zaskoczona.

– Ależ musicie być ufni, żeby przebyć taką drogę ku nieznanemu.

– Nic by mnie nie powstrzymało – zwierzył się Lazlo. – Całe życie zgłębiałem tajemnicę Szlochu.

– Poważnie? Nie miałam pojęcia, że świat o nas pamięta.

Lazlo się skrzywił.

– Bo nie pamięta. Tylko ja.

– Cóż, potrzeba do tego nie lada charakteru. I co myślisz teraz, kiedy już tutaj jesteś? – Oderwawszy się od krojenia owoców, wykonała zamaszysty gest nożem. – Jesteś usatysfakcjonowany wyjaśnieniem tej swojej tajemnicy?

– Wyjaśnieniem? – powtórzył, wybuchając bezradnym śmiechem. Spojrzał na cytadelę. – Mam jakieś sto pytań więcej niż wczoraj.

Suheyla podążyła za jego spojrzeniem, ale kiedy tylko nieco uniosła głowę, prędko opuściła ją z powrotem i zadrżała. Tak jak Tizerkane'owie na Guzku, nie mogła znieść tego widoku.

– Należało się tego spodziewać, skoro mój syn cię nie przygotował. – Odłożyła nóż i przesypała pokrojone owoce do miski, którą podała gościowi. – Nie potrafi o tym rozmawiać. – Lazlo odwrócił się, żeby zanieść miskę na stół, kiedy dodała cicho: – Zabrali go na dłużej niż pozostałych.

Obrócił się z powrotem. Nie miał o tym pojęcia. Próbował zebrać myśli, żeby sformułować pytanie, lecz zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Suheyla, wycierając deskę do krojenia, znowu się odezwała, ponownie szeptem.

– Zwykle brali dziewczyny – powiedziała. – Wychowywać córkę w Szlochu... Być tutaj czyjąś córką... to... bardzo ciężka próba. Za każdym razem, kiedy drżała ziemia, miało się tę niezachwianą pewnością, że nadchodzi Skathis i niebawem stanie na twoim progu.

Skathis. Ruza wspomniał to imię.

– Ale czasem porywali też synów.

Nasypała herbatę do zaparzaczk.

– Zabierali dzieci?

– Dla rodzica dziecko zawsze pozostanie dzieckiem, ale mówiąc ściślej... Przynajmniej czekał, aż będą... dojrzałe.

Lazlo przełknął kumulujące się nudności. Słowa te działały jak widok zakrwawionego noża. Nie trzeba być świadkiem samego ciosu, żeby się domyślić, co oznaczał.

– Bałam się o Azareen bardziej niż o Eril-Fane'a. Dla niej to była zaledwie kwestia czasu. Oczywiście oboje zdawali sobie z tego sprawę. Dlatego pobrali się tak młodo.



Chciała... Chciała mu się oddać, zanim będzie musiała oddać się im. Byli razem pięć dni. Lecz po tym czasie to nie ją zabrali, ale jego. To znaczy ją też zabrali, tyle że później.

To niebywałe. Wszystko. Azareen. Eril-Fane. Rutynowy charakter tych okropieństw. A jednak Lazla nękało coś innego...

– Są małżeństwem? – zapytał.

– Och. – Spojrzała na niego ze smutkiem. – Nie wiedziałeś? Żaden sekret się przy mnie nie uchowa.

– Czemu miałby to być sekret?

– Nie jest to żadna ogromna tajemnica – odpowiedziała z namysłem. – Tylko że... To już nie jest małżeństwo. Nie po... – Skinęła głową na cytadelę, nie chcąc na nią patrzeć.

Lazlo nie zadawał już kolejnych pytań. Wszystko, co do tej pory myślał o związku Eril-Fane'a i Azareen, nabrało mroczniejszego odcienia. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nie podejrzewał, że tak wygląda tajemnica Szlochu.

– Zabierali nas, abyśmy służyły – mówiła dalej Suheyla, a liczba mnoga przypomniawszy mu, że ona również należała do grona porwanych. – Tak to nazywał Skathis. Przychodził do drzwi, czasem stawał w oknie. – Zadrżała jej ręka, zacisnęła dłoń na kikucie. – Nie sprowadzili ze sobą żadnej służby, dlatego nas potrzebowali. Nakrywałyśmy do stołu, uwijałyśmy się przy garach. Byłyśmy zarówno pokojowymi, jak i ogrodnikami czy praczkami. – Litania ta nie pozostawiała wątpliwości, że prace te nie stanowiły reguły, a wyjątek. Owa służba polegała na czymś zupełnie innym. – Rzecz jasna nie miałyśmy o tym pojęcia. Kiedy nas przyprowadzano z powrotem, zwykle, ale nie zawsze, po roku, niczego nie pamiętałyśmy. Traciłyśmy cały rok życia. – Puściła kikut i położyła dłoń na brzuchu. – Jakby nie minął nawet dzień. Letha, rozumiesz, zjadała nasze wspomnienia. – Nareszcie spojrzała na Lazla. – Bogini zapomnienia.

Teraz nabrało sensu – okropnego sensu – dlatego Suheyla nie wiedziała, co się stało z jej dłonią.

– A Eril-Fane? – zapytał Lazlo, przygotowując się na niełatwą do przyjęcia odpowiedź.

Suheyla spojrzała na dzbanek z herbatą, który napełniała parującą wodą z czajnika.

– Jak się okazało, nieświadomość to błogosławieństwo. On pamięta wszystko. Dlatego że ich wymordował i nie został nikt, kto mógłby odebrać mu pamięć.

Lazlo pojął, co staruszka chciała mu przekazać, co powiedziała, nawet tego nie mówiąc, lecz nie wydawało mu się to możliwe. Nie Eril-Fane, który był uosobieniem siły.

Wyzwolicielem, nie niewolnikiem.

– Trzy lata – mówiła dalej Suheyla. – Tak długo Isagol, bogini rozpacz, trzymała go przy sobie. – Lazlo ledwie widział na oczy. Staruszka jakby zapadła się w drzemiacą w jej wnętrzu pustkę, ale ciągnęła dalej, ledwie słyszalnym szeptem. – Gdyby go wtedy nie zabrali, nadal wszyscy byłibyśmy ich sługami.

Przez króciutką, ulotną chwilę Lazlo czuł, że przez kobietę przechodzi drżąca fala dojmującego smutku, bo nie potrafiła zapewnić swojemu dziecku bezpieczeństwa. Był to szczerzy, głęboki żal, a pod jego warstwą kryło się coś sięgającego jeszcze głębiej, coś prawdziwie osobliwego. Z jednej strony cieszyła się, że zrobił to, co zrobił, bo dzięki

niemu byli bezpieczni. Gdyby udało jej się go ochronić, nie uratowałby swojego ludu. Była to mieszanka ulgi, smutku i winy. Nie dało się czegoś takiego przetrwać.

– Przepraszam, tak mi przykro – powiedział Lazlo, a słowa te płynęły z głębi jego serc.

Suheyła powróciła z odległego miejsca, gdzie się przed chwilą zagubiła.

– Ha! – Prychnęła, a jej spojrzenie na powrót wyostrzyło się i poweselało. – Dziesięć sztuk srebra.

Trzymała wyciągniętą przed siebie dłoń tak długo, aż położył na niej monetę.

Minya poprowadziła ich z powrotem do środka. Przeszli przez komnaty Sarai i wyszli na korytarz. Wszystkie pokoje mieszkalne mieściły się w prawym skrzydle cytadeli. Sypialnia Sarai znajdowała się na samym krańcu ramienia serafina, pozostałe leżały w tej samej linii, nie licząc komnaty Minyi. Cały prawy bark służył niegdyś Skathisowi za pałac. Kiedy minęli tę część cytadeli, a potem i wyjście na krużganek, Sarai i Feral wymienili się zaskoczonymi spojrzeniami.

Drzwi prowadzące na górę albo na dół, ku głowie lub torsowi, były pozamykane, zostały takie po śmierci Skathisa. Trudno nawet poznać, gdzie się znajdowały. Przez złowieszcze ramię – jak nazywali tę część budowli – dało się przejść, lecz rzadko się tam zapuszczali, nie mogąc znieść widoku pustych kojców, choć krew dawno już wyczyszczono. Nie było tam absolutnie nic poza niewielkimi, przypominającymi cele pokojami wyposażonymi jedynie w łóżka. Sarai wiedziała, kto tam spał. Widziała je w snach, ale tylko te z nich, które zajmowały je jako ostatnie – jak Azareen – bo ich wspomnienia ocalały przed Lethą. Sarai nie widziała powodu, dla którego Minya mogła ich tam zabierać.

– Dokąd idziemy? – zapytał Feral.

Minya nie odpowiedziała, lecz sami poznali odpowiedź, kiedy po chwili nie skręciła ku złowieszczemu ramieniu, ale skierowała się do innego miejsca, gdzie nigdy nie chodzili, choć z zupełnie innych przyczyn.

– Serce – powiedziała Ruby.

– Ale... – wydukała Jaskółka i nagle zrozumiała.

Sarai mogła z łatwością odgadnąć, co chciała powiedzieć i co ją powstrzymało, bo zrozumiała to dokładnie w tej samej chwili. „Ale się nie zmieścimy”. Tak miały brzmieć jej słowa. Oni się nie zmieszczą, ale Minya jak najbardziej. To rozumiały. Sarai pojęła, gdzie dziewczynka spędzała czas, gdy tracili ją z oczu. Jeśli faktycznie chcieliby poznać prawdę, już dawno by się tego domyślili, lecz wygodniej im było machnąć ręką, bo czuli ulgę, kiedy nie przebywała z nimi. Dlatego jej nie szukali.

Skręcili za róg i podeszli do drzwi. Trudno było ten otwór nazwać drzwiami. Nie miał nawet trzydziestu centymetrów szerokości i przypominał wysoki przesmyk w ścianie z metalu tam, gdzie nie zdołał się domknąć, kiedy zmarł Skathis. Wysoki na dobre sześć metrów, co mniej więcej odpowiadało wzrostowi boga. Było jasne, że nie są to zwyczajne drzwi, choć trudno stwierdzić, na jaką szerokość mogły się niegdyś otwierać.

Minya ledwie dała radę się przecisnąć. Musiała wsunąć ramię, potem głowę, twarzą naprzód. Przez chwilę wydawało się, że zaklinuje się uszami, lecz parła i jakoś udało jej się spłaszczyć je na tyle, że przeszły. Następnie poruszała głową na lewo i prawo, przesuwając nią po bokach umownej metalowej framugi, po czym wypuściła powietrze z piersi, aby łatwiej przejść. Nie zmieściłaby się, gdyby była choć odrobinę większa.

– Minya, przecież wiesz, że nie przejdziemy – zawołała Jaskółka, kiedy dziewczynka zniknęła w korytarzu po drugiej stronie.

– Zaczekajcie – odkrzyknęła Minya.

Spojrzeni po sobie.

– Co może chcieć nam pokazać? – Sarai nic z tego nie rozumiała.

– Może znalazła coś w sercu? – zadumał się Feral.

– Jeśli coś by tam było, znaleźlibyśmy to lata temu.

Dawniej wszyscy mieścili się przez otwór.

– Ile już minęło? – zapytał Feral, przejeżdżając dłonią po gładkiej krawędzi otworu.

– Dłużej dla ciebie niż dla nas – powiedziała Jaskółka.

– Bo masz duży łeb – rzuciła Ruby, popychając go lekko.

Feral pierwszy urósł. Potem Sarai. Dziewczyny jakiś rok później. Minya, rzecz jasna, nigdy. Gdy jeszcze byli mali, serce traktowali jak najlepsze miejsce do zabawy, po części dlatego, że ów wąski przesmyk roztaczał aurę tajemniczości, a po części, bo było tam dziwnie. Znajdowała się tam ogromna, odbijająca echo, idealnie sferyczna komnata z gładkiego, zaokrąglonego metalu i z biegnącym po obwodzie wąskim chodnikiem. Miała około dziesięciu metrów średnicy, a na samym jej środku zawieszono mniejszą kulę o średnicy jakichś sześciu. Ona również była nieskazitelnie gładka i tak jak cała cytadela, unosiła się nad ziemią bez pomocy sznura czy łańcucha, jakby podtrzymywała ją jedynie niewidzialna siła. Komnata mieściła się prawie dokładnie tam, gdzie w prawdziwym ciele znajdowałoby się serce, dlatego tak ją nazywali, ale nie mieli pojęcia, jaką funkcję pełniła ani czym była. Nawet Duża Ellen. Stanowiła wielką metalową kulę unoszącą się na środku jeszcze większej metalowej komnaty.

Aha, i były jeszcze stwory przycupnięte na ścianach. Dwa. Sarai poznała też inne: potwory od kotwic, Rasalasa i pozostałe. Patrzyła na nie wielokrotnie oczyma swoich ciem, kiedy bestie trwały nieruchome jak teraz lub kiedy poruszały się jak kiedyś w snach mieszkańców Szlochu. Miała w swoim arsenale nieskończenie wiele wizji Skathisa ujeżdżającego Rasalasa, który porywał młode dziewczyny i mężczyzn nie starszych niż ona. Sięgała umyślnie po ten koszmar, bo to najgorsze zbiorowe wspomnienie Szlochu, drżała na myśl, jak niefrasobliwie je sprowadzała, nie mając jako dziecko pojęcia, co to oznacza. Bestie kotwic były duże, lecz te, które przysiadły niczym posągi na ścianach serca cytadeli, wyrzeźbiono jeszcze większe.

Przypominały pszczoły, tułowia i odwłoki połączone miały wąskimi taliami, skrzydła jak ostrza, a żądła dłuższe od dziecięcego ramienia. Sarai i jej towarzysze wspinali się na nie, kiedy byli dziećmi, i ujeżdżali je, udając, że są prawdziwe. Nie miała żadnego potwierdzenia w postaci czyjejś wizji, czy faktycznie kiedyś, za rządów bogów, naprawdę żyły. Była niemal pewna, że stwory te nigdy nie opuściły cytadeli. Sądząc po ich rozmiarach, wątpliwe, aby kiedykolwiek wyleciały z tej komnaty.

– Idzie – powiedziała Ruby. Zaglądała przez przesmyk na ciemny korytarz.

Dziewczyna odsunęła się, żeby ją przepuścić, lecz postać, która pojawiła się po chwili tuż obok nich, nie była Minyą. Nie musiała przystawać, aby precyzyjnie cieleśną masę z kości i krwi na drugą stronę, tylko wylała się z wnętrza komnaty z łatwością charakterystyczną dla ducha. Bo była duchem.

Ari-Eil. Przeleciał tuż obok nich, nie odwracając nawet głowy. Za nim tuż nad posadzką sunął drugi duch. Sarai mrugnęła. Tego też знаła, lecz nie potrafiła tak od razu

go rozpoznać. Mignął zbyt szybko, żeby miała szansę poszperać w pamięci. Z otworu wylatywał następny.

I jeszcze jeden.

I kolejny.

...ile jeszcze?

Duchy wylewały się z serca cytadeli, jeden po drugim, przechodząc obok zdumionej czwórki, jakby nawet nie zauważały swoich gospodarzy, i płynęły dalej przez długi, pozbawiony drzwi korytarz prowadzący na krużganek, ogrodowy taras i do ich sypialni. Sarai przycisnęła się plecami do ściany i próbowała zrozumieć, co może oznaczać ta parada twarzy, które wydawały jej się znajome, choć nie widywała ich ostatnio.

Przyglądała się kolejnym fantomowym postaciom. Byli pośród nich mężczyźni, kobiety i dzieci, lecz przeważnie starcy. Zaczęła kojarzyć ich imiona. Thann, kapłanka Thakry. Mazli, zmarła przy połogu z bliźniakami, które również nie przeżyły. Guldan, mistrzyni tatuazu, starsza kobieta, której *elilith* chwalono jak miasto długie i szerokie, wszystkie dziewczyny ze Szlochu chciały, żeby się nimi zajęła. Sarai nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy odeszła, lecz z pewnością jeszcze przed jej pierwszym krwawieniem, bo zareagowała na śmierć staruszki wręcz niemądrze. Rozczarowała się bowiem, że Guldan nie będzie mogła wytatuować jej *elilith*, kiedy przyjdzie odpowiedni czas. Tak jakby miało kiedykolwiek do tego dojść. Ile mogła mieć wtedy lat? Dwanaście? Trzydzieści? Pod zamkniętymi powiekami Sarai kwitły wizje: że skóra na jej brzuchu jest brązowa, nie niebieska, a stara kobieta dekoruje ją pięknymi zawijasami. Kiedy dogoniła to wspomnienie, oblała się gorącym rumieńcem wstydu. Zapomniała, tylko na krótką chwilę, kim jest. Jakby człowiek miał ją dotknąć z innego powodu niż chęć zadania śmierci. Od tamtego dnia minęły przynajmniej cztery lata. Cztery lata. Jak Guldan się tutaj znalazła? Ona i pozostali. Było ich tak wielu. Patrzyli przed siebie z minami wyrażającymi obojętność, lecz Sarai dostrzegła w oczach paru z nich rozpaczliwe błaganie. Niby poruszali się z bezcielesną łatwością, ale jednocześnie jakby kierował nimi jakiś wojskowy przymus. Maszerowali niczym karni żołnierze.

Sarai nagle pojęła, jak należy interpretować tę sytuację. Odruchowo zasłoniła usta dłońmi, jakby chciała stłumić krzyk. Ile to musiało trwać? I jakim cudem? Łzy napłynęły jej do oczu. Tak wielu. Tak przeraźliwie wielu.

„Wszyscy”, pomyślała.

Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko, które zmarło w Szlochu od... od kiedy? I znalazło się wystarczająco blisko cytadeli, aby ich bezcielesna podróż została przerwana przez Minyę. Minęło już dziesięć lat od czasu, gdy Jaskółka i Ruby urosły na tyle, że nie dawały rady przejść do serca. Czy to wtedy ich towarzyszka założyła tę swoją... kolekcję?

– Och, Minyo – udało się wydusić przerażonej Sarai.

Jej umysł poszukiwał innego możliwego wyjaśnienia, lecz żadne nie istniało. Tylko jedno: przez całe lata bez ich wiedzy Minya wyłapywała duchy i zatrzymywała je. Magazynowała. Serce cytadeli, ogromna sferyczna komnata, gdzie tylko Minya nadal mogła wejść, przez cały ten czas służyło za swoisty skarbiec. Szafę. Komórkę. Skrytkę.

Dla armii umarłych.

Nareszcie z przesmyku wychynęła i Minya. Przeciskała się powoli przez otwór, aby stanąć pewnie przed Sarai i Feralem, przed Jaskółką i Ruby, którzy, oszołomieni, nie byli w stanie wycedzić z siebie choćby jednego słowa. Procesja duchów zniknęła tuż za rogiem.

– Och, Minyo – powtórzyła Sarai – coś ty narobiła?

– Co przez to rozumiesz? Nie pojmujesz? Jesteśmy bezpieczni. Niech tylko Zabójca Bogów się tu zjawi, on i jego nowi przyjaciele. Nauczę ich wtedy, co to znaczy rzeź.

Sarai poczuła, jak z twarzy odpływa jej cała krew. Uważa, że jeszcze się nie domyślili?

– Akurat ty powinnaś już mieć dość jakichkolwiek rzezi.

Minya wieczna, Minya niewzruszona.

Nareszcie spojrzała Sarai w oczy.

– Mylisz się – odparła. – Będę miała dość, kiedy już odpłacę im pięknym za nadobne.

Przez ciało Sarai przeszedł wstrząs. Jej umysł nareszcie nie wytrzymał i wszystkie kryjące się tam horrory wypelzły na zewnątrz. Czy to jakiś koszmar? Może na jawie. Ale nie, to rzeczywistość. Minya zamierzała zmusić zbierane przez dekadę trupy do wymordowania krwi z ich krwi. Poczowała nudności, myliła się, nie pokazując przez cały ten czas swojej empatii do ludzi, ukrywając, że rozumie, co przeszli. Z początku się tego wstydziała, bała się, że to z jej strony słabość. Nie potrafiła nienawidzić ich tak mocno, jak zapewne powinna. Wyobrażała sobie słowa, jakie mogłaby powiedzieć, na przykład: „Nie są przecież potworami”, na co zapewne Minya odpowiedziałyby: „Powiedz to innym dzieciom”.

Inne dzieci. Zawsze to powtarzała.

Nic nie mogło przebić Rzezi. Wyklócanie się o jakiegokolwiek odkupienie dla tych ludzi zostałyby uznane za zdradę. Ale teraz Sarai pomyślała, że mogła jednak spróbować. Przez swoje tchórzostwo pozwoliła pozostałym trwać przy prostocie przekonania, że mieli wroga. Że byli wrogami. Że świat to jedna wielka rzeź. Albo się cierpiało, albo zadawało cierpienie. Gdyby opowiedziała im, co ujrzała we wspomnieniach Szłochu, co czuła i co usłyszała – przeszywający płacz ojców, którzy nie mogli obronić swoich córek; przerażenie dziewcząt, które powracały z wyczyszczonym umysłem i pogwałconymi ciałami – może ujrzeliby w nich również i ofiary.

– Musi istnieć jakieś inne rozwiązanie – powiedziała.

– A nawet jeśli? – odparła chłodno Minya. – Co, jeśli faktycznie istniało jakieś wyjście, ale byłaś zbyt żalosna, aby je wypróbować?

Sarai najeżyła się, słysząc tę obrazę, ale i nieco skarłała. Zbyt żalosna na co? Nie chciała wiedzieć, lecz musiała zapytać.

– O czym ty mówisz?

Minya przyglądała się jej przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Tak, jestem tego pewna. Żal. Pozwoliłabyś nam umrzeć.

– O co ci chodzi, Minyo? – naciskała Sarai.

– Tylko ty z nas mogłaś odwiedzać miasto – wyjaśniła dziewczynka. Była naprawdę pięknym dzieckiem, lecz z trudnością dało się to dostrzec, nie tylko dlatego, że chodziła niezadbana, ale przede wszystkim przez chłodną pustkę bijącą z jej oczu. Czy zawsze taka była? Sarai pamiętała przecież, jak się razem śmiały, choć dawno temu, kiedy wszyscy zachowywali się jak dzieci, i doszła do tego, że nie, że nie zawsze taka była. Kiedy przemieniła się w to... coś? – Nie zdołałaś doprowadzić Zabójcy do obłądu – dokończyła podjętą przed momentem myśl.

– Jest zbyt silny – zaprotestowała Sarai; nawet teraz nie mogła się zmusić, żeby przyznać przed samą sobą, że prawdopodobnie człowiek ten nie zasłużył sobie na szaleństwo.

– O tak, istotnie, jest silny – przyznała Minya – lecz śmiem powiedzieć, że nawet i wielki Zabójca Bogów nie dałby rady oddychać, gdyby sto ciem wleciało mu do gardła. „Gdyby sto ciem wleciało mu...”

Sarai patrzyła na nią tępo. Minya zaśmiała się, delektując się jej szokiem.

Czy zrozumiała, co zostało do niej powiedziane? Oczywiście, że tak. Tylko nie obchodziło ją to. Bo ćmy... nie były kawałkiem szmaty na knebel. Ani wytresowanymi owadami. Były nieodłączną częścią Sarai, jej świadomości rozciągniętą na długich, niewidzialnych nitkach. Czego one doświadczały, doświadczała i ona, czy to rozgrzane czoło śniącego, czy czerwone ścianki gardła dławiącego się człowieka.

– A rano – ciągnęła Minya – kiedy leżałby martwy na łóżku, ćmy przemieniłyby go w dym i nikt by się nie dowiedział, co go zabiło.

Tryumfowała. Jak dziecko, które obmyśliło szczywany plan.

– Pewnie dałabyś radę zabić tylko jedną osobę na raz. Może dwie. Nie mam pojęcia, ilu ciem potrzeba, żeby kogoś udusić. – Wzruszyła ramionami. – Ale jakby bez wyjaśnienia padło paru *faranji*, pozostali straciliby serce. – Uśmiechnęła się, przekrzywiając głowę. – Nie mam racji? Nie jesteś zbyt żałosna? Czy może potrafisz pokonać na kilka minut swoje obrzydzenie i nas uratować?

Sarai otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Kilka minut? Jakże trywialnie to zabrzmiało.

– Nie chodzi o obrzydzenie – odparła; brońcie bogowie, żeby od zabijania dzielił ją mocny żołądek – ale o przyzwoitość, Minyo. O miłosierdzie.

– Przyzwoitość. – Splunęła. – Miłosierdzie.

Ton, jakim to powiedziała, sugerował, że w cytadeli Mesarthimów podobne słowa nie miały racji bytu. Oczy jej pociemniały, źrenice niemal pochłonęły tęczówki i Sarai poczuła, że nadchodzi odpowiedź, z którą nie sposób było polemizować: „Powiedz to innym dzieciom”.

Lecz nie te słowa usłyszała Sarai.

– Niedobrze mi przez ciebie, Sarai. Jesteś słaba – wycedziła Minya, a potem wysyczała chrapliwie coś, czego nigdy, przez całe piętnaście lat, nie słyszeli. – Powinnam była uratować inne dziecko.

Obróciła się na pięcie i odeszła oburzona za swoją okropną, rozdzierającą serce armią.

Sarai czuła się, jakby wymierzono jej policzek. Ruby, Jaskółka i Feral dopadli do

niej.

– Ja się cieszę, że to ciebie wyniosła – powiedziała Jaskółka, gładząc jej ramiona i włosy.

– Ja też – zawtórowała jej Ruby.

Ale Sarai oczyma wyobraźni widziała cały żłobek boskich pomiotów – spokrewnionych z nią małych dziewczynek i chłopców o niebieskiej skórze i tajemnych mocach – oraz biegających pośród nich ludzi z kuchennymi nożami. Minya ukryła tę czwórkę. Sarai zawsze wiedziała, że niewiele brakowało, a uratowany zostałby ktoś inny, od ostrza topora dzielił ją włos, że przeżyła zamiast jakiegoś innego dziecka. Niegdyś przetrwanie było celem samym w sobie. Ale teraz... wydawało się jej ledwie wygodnym wytłumaczeniem codzienności. Bo na co im to życie?



Lazlo nie został w domu Suheyli na śniadanie. Pomyślał, że po dwóch latach rozłąki matka z synem zasługują na odrobinę czasu dla siebie. Zaczekał tylko, aby powitać Eril-Fane'a. Miał nadzieję, że jego oczy nie zdradzą nowo nabytej wiedzy. Nie było to jednak łatwe, bo czuł się, jakby chciał ją z siebie wykrzyczeć. Patrzył na bohatera zupełnie inaczej niż przedtem, choć poznał jedynie drobny wycinek z tego, co mu się przytrafiło.

Osiadł Lixxę, a potem jechał przez Szloch, coraz bardziej się gubiąc.

– Chyba wypoczęłaś – powiedział do Calixte. Siedziała nad pełnym talerzem w jadalni budynku cechu, który udało mu się po dłuższej chwili odnaleźć.

– A ty nie – odparła. – Zapomniałeś o śnie?

– Jak śmiesz – odpowiedział łagodnie, zajmując miejsce obok niej. – Sugerujesz, że nie wyglądam na świeżutkiego jak szczypiorek?

– Nie jestem aż tak niewychowana, żeby zarzucać komukolwiek niechlujstwo. – Odgryzła kawałek drożdżówki i mówiła dalej z pełnymi ustami: – Jednakże zdecydowałaś się pielęgnować niebieskawe wory pod oczami. O ile ktoś ci nie nabił symetrycznych lim, to chyba raczej się nie wyspałeś. Poza tym, sądząc po ekstatycznym podnieceniu, jakie manifestowałaś wczoraj, nie spodziewam się, abyś mógł spokojnie usiąść, a co dopiero spać.

– Po pierwsze: kto chciałby mnie bić? Po drugie: ekstatyczne podniecenie? Zgrabnie powiedziane.

– Po pierwsze: Thyon Nero chciałby. Po drugie: dziękuję.

– Ach, on – prychnął Lazlo.

Można by pomyśleć, że to żart, lecz wrogość, jaką żywił do niego złoty chrześniak, była namacalna i wyczuwali ją również inni, choć nie mieli pojęcia, na czym się opierała.

– Ale chyba nikt poza nim.

Calixte westchnęła.

– Naiwniak z ciebie, Strange. Nawet jeśli faktycznie nikt z nich dotąd nie chciał nabić ci guza, to teraz chętnie przyłożyliby ci za tę pękatą portmonetkę. Szczególnie Drave. Trzeba było słyszeć jego narzekania. Za dużo postawił, głupek. Myślał, że to loteria, że im więcej razy będzie zgadywał, tym większe zyska szanse na wygraną. A ty rzuciłeś jedną teorię, do tego nedorzeczną, i wygrałeś. Aż się dziwię, że jeszcze ci nie nakopał.

– Niech mnie Thakra ma wybawi – powiedział Lazlo, beztrąsko przyzywając lokalne bóstwo.

Zgodnie z legendą – a zarazem świętą księgą – Thakra dowodziła sześcioma serafinami. Jej świątynia znajdowała się naprzeciwko budynku cechu, po drugiej stronie szerokiego bulwaru.

– Od pięciuset sztuk srebra? – zapytała Calixte. – Chętnie ci pomogę.

– Dzięki, chyba dam sobie radę – odparł Lazlo, choć zupełnie nie miał pojęcia, co

zrobić z takimi pieniędzmi. – Niech mnie wybawi od zgorzkniałych eksplozjastów i urażonych alchemików.

– Ja to zrobię. Nie martw się. To moja wina i biorę za ciebie pełną odpowiedzialność.

Lazlo wybuchnął śmiechem. Calixte była chuda jak hreshtek i ani trochę tak groźna, ale nie miał jej za bezbronną, bynajmniej. Lekcje rzucania włócznią udzielone jej przez Ruzę nie poszły na marne.

– Dziękuję. Jeśli zostanę zaatakowany, będę się darł jak histeryk, abyś przyszła mi na ratunek.

– Poślę Tzarę – powiedziała Calixte. – Cudownie walczy. – Po czym dodała z tajemniczym uśmiechem: – Cudownie robi też inne rzeczy.

Calixte miała rację, że Lazlo był cokolwiek naiwny, lecz nawet jemu nie umknęło, że dziewczyny są kochankami. Zrozumiał jej uśmiech i ciepły ton. Spłonął się, oczywiście ku jej radości.

– Strange, aleś poczerwieniał.

– A jakżeby inaczej – przyznał. – Jestem niewiniątkiem. Czerwienię się na widok damskich ramion.

Kiedy tylko to powiedział, powróciło do niego coś na kształt wspomnienia. Kobiece obojczyki i ta jakże wspaniała przestrzeń między nimi. Ale gdzie je widział...? Calixte niezwłocznie opuściła bluzkę i pokazała mu kawałek pleców. Lazlo roześmiał się i tajemnicza myśl uleciała.

– Dobrze, żeś się ogolił – powiedziała, machając palcami przy podbródku – bo już zdążyłam zapomnieć, jak wyglądasz pod tą szczecinę.

Lazlo się skrzywił.

– Swędziało mnie.

– Ale o czym ty mówisz? Masz świetną twarz – przekonywała, przyglądając mu się. – Może nie piękną, lecz twarze można docenić na różne sposoby.

Strange dotknął ostrego kąta swojego nosa.

– Twarz jak twarz.

Nie miał zamiaru prawić sobie komplementów.

– Lazlo – zawołał z drugiego końca jadalni Eril-Fane. – Zbierz wszystkich, dobrze?

Chłopak pokiwał głową i wstał.

– Uznajmy, że jesteś zebrana – poinformował Calixte i poszedł szukać reszty.

– Krzycz, jeśli będzie trzeba cię ratować – zawołała za nim.

– Jasne.

Nadszedł czas przedyskutowania problemu Szloch. Lazlo zdążył już się co nieco dowiedzieć od Ruzy i Suheyli, lecz pozostali mieli usłyszeć o pewnych sprawach po raz pierwszy.

– Sprowadziliśmy was tutaj z nadzieją – powiedział Eril-Fane do zebranych w pięknym salonie budynku cechu kupieckiego – że znajdziecie sposób, aby uwolnić nas od tego czegoś na niebie.

Spoglądał po kolei po twarzach zebranych i Lazlo przypomniał sobie o tamtym dniu w Wielkiej Bibliotece, kiedy padło na niego spojrzenie Zabójcy Bogów, a jego

marzenie nabrało kształtu: już nie chciał jedynie ujrzeć Niewidocznego Miasta, ale pomóc je uratować.

– Niegdyś byliśmy miastem wiedzy – mówił dalej. – Nasi przodkowie nigdy nie musieli prosić nikogo z zewnątrz o pomoc. – Wypowiedział to z ledwie wyczuwalnym wstydem. – Lecz czasy te minęły. Mesarthimowie byli... niezwykli. Nie mam pojęcia, czy istotnie boscy, ale udało im się przekuć nasz zachwyt w cześć i tym samym zgromadzili wokół siebie prawdziwych wyznawców. Ich celem nie była jednak pielęgnacja owego zaufania. Nie przyszli przedstawić siebie jako alternatywę i pozostawić nam wybór czy zdobyć nasze serca. Przybyli rządzić twardą ręką. Złamali nas. Zanim choćby się nam pokazali, spuścili swoje kotwice. Mielicie zapewne okazję się im przyjrzeć. Rzecz jasna nie zrzucili ich, bo wówczas fala uderzeniowa zburzyłaby wszystkie budynki i zawałiła podziemne kanały wodne, blokując Uzumark, płynącą pod naszymi stopami, a ta z kolei zalałaby całą dolinę. Nie chcieli nas zniszczyć, pozabijać, ale nami rządzić i nas zniewolić. Postawili owe kotwice z rozmysłem, miażdżąc wszystko, co akurat się pod nimi znajdowało. Padło na nasz uniwersytet, bibliotekę, garnizon Tizerkane'ów i królewski pałac.

Eril-Fane wspominał już o bibliotece. Lazlo sporo o niej myślał, zastanawiał się, jakież to cenne pisma zostały bezpowrotnie utracone. Może nawet jakieś historie z czasów *ijji* i serafinów?

– Poszło im przerażająco gładko. Zaledwie kilka minut zajęło pozbawienie nas armii, mędrców i rodziny królewskiej. Kto zdołał uciec, tego znaleźli w ciągu paru dni. Mesarthimowie wiedzieli o wszystkim. Nie sposób było utrzymać przed nimi niczego w tajemnicy. I tyle wystarczyło. Nie potrzebowali żołnierzy, skoro mieli magię, aby nas... – Zamilkł na chwilę i zacisnął zęby. – Kontrolować. Utraciliśmy to, czego się nauczyliśmy, utraciliśmy nasze dowództwo i o wiele więcej. Łańcuch wiedzy przekazywany przez stulecia, bibliotekę, która zawstydziłaby tę w wielkiej Zosmie. – Rzucił Lazlo słaby uśmiech. – Wystarczyła chwila. I koniec. A w kolejnych latach wszelkie poszukiwanie wiedzy było surowo karane. I to spowodowało nas do was – oświadczył delegatom. – Ufam, że dokonaliśmy słusznego wyboru.

Nareszcie przekrój ich specjalizacji zaczął nabierać sensu. Mouzaive, filozof przyrody, miał rozwikłać zagadkę unoszącej się cytadeli. Jak ją zawieszono? Soulzeren i Ozwin zbudują jedwabne sanie, na których będzie można się tam dostać. Inżynierowie rozpracują strukturę budowli. Belabra wykona obliczenia. Bliźniacy Felling i Thyon zajmą się z kolei analizą samego tajemniczego metalu. Mesartjum. Eril-Fane wyjaśnił im jego właściwości – jest odporny na wszystko, na temperaturę i na narzędzia. Ma się rozumieć wszystko prócz Skathisa, który potrafił go kontrolować myślami.

– Skathis miał władzę nad mesartjum – mówił – a ona dawała mu moc nad wszystkim innym.

Magiczny metal kuty telepatycznie przez boga, odporny na działanie sił zewnętrznych. Lazlo przyglądał się reakcjom pozostałych delegatów i rozumiał ich niedowierzanie. Wydawałoby się, że tutaj łatwiej dawało się wiarę niewiarygodnemu. Spodziewał się, że ten odruchowy sceptycyzm zostanie przepędzony przez sam widok unoszącej się nad miastem ogromnej cytadeli.

– Z pewnością da się go przeciąć – zapewnił jeden z Fellingingów. – Potrzeba tylko odpowiedniego narzędzia i sposobności.

– Albo stopić, jeśli się wytworzy odpowiedni gorąc – dodał drugi z pewnością siebie ocierającą się o arogancję. – Nasze piece da się nagrzać do temperatury dwukrotnie wyższej niż ta, którą mogą uzyskać wasi kowale.

Thyon nie wysunął żadnej propozycji, jego milczenie wyrażało jeszcze większą arogancję niż przechwałki Fellingingów. Jaśniejszy stał się też powód sprowadzenia go tutaj, bo azot nie był jedyną substancją konieczną do otrzymania złota. Alchemik potrzebował do tego procesu również alkahestu, czyli uniwersalnego rozpuszczalnika, czynnika zdolnego przeżreć każdy materiał na świecie: szkło, kamień, metal, nawet diament. Czy mesartjum również mu się podda? Jeśli tak, Thyon zostanie kolejnym wybawicielem Szlochu.

„Cóż za cudowny rozdział jego legendy – pomyślał Lazlo z pewną goryczą. – Thyon Nero, wybawiciel od cienia”.

– Omówimy to jeszcze raz – zaproponował Eril-Fane, mierząc się z niedowierzaniem swoich gości – po tym, jak pokażę wam mesartjum. Równie dobrze możemy od tego zacząć.

Najbliżej znajdowała się północna kotwica, mogli dotrzeć do niej pieszo. Przeszli nasłonecznioną ulicą zwaną Aleją, choć nie była to żadna aleja, a jedyne miejsce, do którego dochodziły promienie słońca. Leżała tam, gdzie skrzydła serafina prawie się ze sobą stykały. Pas jasności ciągnął się szeroko niczym bulwar. Przechodząc z jednej strony na drugą, wydawało się, jakby człowiek wychodził z nocy w dzień i z powrotem po zaledwie paru krokach. Aleja biegła przez pół miasta i stała się pożądaną lokalizacją, choć znacząca część stojących tam nieruchomości była raczej skromna. Chodziło tylko o światło. Ten słoneczny pas pozwalał sobie wyobrazić, jak kiedyś wyglądał Szloch, co zasadniczo pokrywało się z oczekiwaniami Lazla. Pozostałe części miasta wyglądały na tym tle na martwe.

– Skrzydła nie zawsze były tak rozłożone – powiedział mu Eril-Fane. – Podarunek śmierci. Skathis chciał skraść nam niebo, jakbyśmy już nie mieli go mało – tłumaczył. Uniósł głowę i spojrzął na cytadelę, lecz tylko na moment.

Tego dnia skradziono nie tylko niebo. Lazlo nareszcie poznał odpowiedź na pytanie nurtujące go od małego.

– Jakaż moc może odebrać nazwę?

– Letha – odparł Eril-Fane. Chłopak znał już imię bogini zapomnienia, władczyni pamięci. – Pożarła ją na chwilę przed śmiercią i zmarła razem z nią.

– Nie mogliście nadać miastu innej nazwy? – zapytał Lazlo.

– Myślisz, że nie próbowaliśmy? Klątwa jest potężniejsza. Każda nazwa została zapomniana, jak i ta pierwsza. Tylko Szloch się utrzymał.

Skradziona nazwa, skradzione niebo. Skradzione dzieci, skradzione lata.

„Kim innym byli Mesarthimowie, jeśli nie złodziejami – pomyślał Lazlo. – I to na ogromną skalę”.

Kotwica górowała nad przylegającymi do niej ulicami, gigantyczny kształt wyłaniał się zza sylwetek nachodzących na siebie domów. Jej ogrom sprawiał, że

wszystko inne wydawało się niewielkie, jak pomniejszone budynki postawione dla dzieci. Na samym szczycie znajdowała się statua, której detali Lazlo nie potrafił rozróżnić, lecz niewątpliwie była to bestia z rogami i skrzydłami. Zauważył, że Eril-Fane również na nią patrzy, wzdryga się i odwraca wzrok.

Podeszli do złowieszczo wyglądającego muru z niebieskiego metalu. Ich odbicia dziarsko wyszły im na spotkanie. Im bardziej się zbliżali, tym bardziej sama objętość, faktura nieznanego metalu, jego połysk i kolor, niedająca się zdefiniować obcość dusiły kłębiące się w ich piersiach słowa. Każdy wyciągnął rękę ku metalowi, żeby to śmieiej, to ostrożniej dotknąć jego powierzchni.

Fellingeringowie zabrali ze sobą skrzynie z narzędziami i od razu wzięli się do roboty. Thyon oddalił się od reszty, żeby zbadać metal po swojemu, z drepczącym za nim Drave'em, który niósł mu usłużnie torbę z przyborami.

– Śliskie – powiedziała Calixte, przejeżdżając palcami po ścianie. – Jakby mokre, a jednak suche.

– Nie dasz rady po tym wejść – stwierdził Ebliz Tod, również dotknąwszy ściany.

– A może jakiś zakładzik? – odparła z wyzywającym błyskiem w oku.

– Sto sztuk srebra?

– Srebro? Nuda – zachnęła się dziewczyna.

– Chcecie wiedzieć, jak rozwiązujemy różnice zdań w Thanagoście? – zapytała Soulzeren. – Za pomocą trującej ruletki. Polewamy parę kolejek, a do jednego kieliszka dodajemy losowo jad serpaise'a. Odkrywasz, że przegrałeś, kiedy zacznasz się dusić.

– Jesteś szalona – przyznała z podziwem Calixte. Poparzyła na Toda. – Chyba jednak Eril-Fane chciałby zachować go przy życiu.

– Chyba? – oburzył się Tod. – To ty jesteś nam tutaj zbędna.

– Ale z ciebie przykry człek – powiedziała dziewczyna. – Powiem ci, jak zrobimy. Jeśli wygram ten zakład, zbudujesz dla mnie wieżę.

Tod się roześmiał.

– Buduję dla królów, nie dla dzieci.

– Raczej dla królewskich trupów – odparła. – A jeśliś taki pewien, że nie dam rady, to czym ryzykujesz? Toć przecież nie chcę drugiej Iglicy Chmur. Może być malutka. Niepotrzebny mi też grobowiec. Jeśli zasługuję na wieczny szacunek, nie zamierzam umierać.

– No to powodzenia – odparł Tod. – A jeśli ja wygram?

– Hm – mruknęła, stukając się palcem w policzek. – Co powiesz na szmaragd?

Popatrzył na nią bez emocji.

– Przecież żadnego nie masz.

– Ech, pewnie masz rację – wyszczerzyła się. – Bo niby skąd?

– Pokaż.

– Jak przegram, pokażę. Ale jeśli wygram, będziesz się musiał dalej głowić, czy faktycznie go miałam, czy nie.

Tod rozmyślał przez chwilę, minę miał kwaśną. Kalkulował na chłodno.

– Ale bez liny – postawił warunek.

– Bez liny – zgodziła się Calixte.

Mężczyzna dotknął metalu raz jeszcze, oceniając jego przyczepność. Najwyraźniej upewnił się, że dziewczyna nie da rady, bo w końcu przystał na zaproponowane mu warunki. Wieża za szmaragd. Uczciwie.

Lazlo podszedł do miejsca, gdzie mur był, jak się wydawało, całkowicie gładki, i przesunął palcami po jego powierzchni. Calixte miała rację: był nie tylko śliski, ale i bez chropowatości, ponadto twardy i chłodny, co akurat go nie zdziwiło, skoro padał nań ciągły cień. Jego opuszki nie natrafiły na żaden opór. Potarł palce o siebie i ruszył dalej wzdłuż kotwicy.

Mesartjum, Mesarthimowie, magiczny metal, bogowie władający magią. Skąd przybyli? Z tego samego miejsca co serafiny?

„Nadeszły z niebios”, mówił mit. Albo historia, jeśli to wszystko prawda. A dokładniej? Co znajdowało się za niebem? Czy przybyli z najeżonej gwiazdami czerni zwanej wszechświatem?

Lazlo pomyślał, że tajemnice Szlochu nie były tak naprawdę tajemnicami Szlochu, dotyczyły czegoś znacznie większego, może nawet całego świata.

Dotarłszy do końca kotwicy, wyrzał za róg, zobaczył wąską uliczkę, teraz zburzoną. Zapuścił się w nią i, stąpając po gruzie, nadal wodził dłonią po mesartjum. Spojrzał na opuszki swoich palców i dostrzegł, że są umazane czymś szarawym. Wytarł je o koszulę, ale brud nie zszedł. Naprzeciwko metalowej ściany znajdował się rząd zrujnowanych domostw, które stały, tak jak stały jeszcze przed opadnięciem kotwic, tyle że brakowało im jednej albo i dwóch ścian, niczym w otwieranych domkach dla lalek. Tylko zagrzybionych. Lazlo mógł zajrzeć do starych bawialni czy kuchni i wyobrazić sobie ludzi, którzy żyli tam aż do dnia, kiedy ich świat się odmienił. Zaczął się zastanawiać, co znajdowało się za kotwicą. Biblioteka? Pałac? Garnizon? Pogruchotane kości królów, wojowników albo mędrców? Czy mogły ocaleć jakieś księgi albo zwoje?

Dostrzegł przed sobą kolorową plamę. Znajdowała się na stojącym smętnie kamiennym murku przylegającym do ściany z mesartjum, lecz uliczka była zbyt wąska, żeby mógł spojrzeć z tej odległości pod odpowiednim kątem. Kiedy udało mu się precyzyjnie nieco bliżej, dojrzał, że to malunek na murze, a kiedy znalazł się tuż przy nim, zobaczył, co zostało tam namalowane. Przyglądał się malowidłu. Patrzył i patrzył. Zwykle zaskoczenie uderza jak obuchem, gwałtownie i niespodziewanie, ale w tym wypadku zaczęło się na niego, pełzając powoli, jakby stopniowo rozpoznawał, co ma przed oczyma, i przypomniał sobie o tym, co zdążył już zapomnieć.

Malowidło mogło przedstawiać tylko jedno – Mesarthimów. Była ich szóstka: trzy kobiety po jednej stronie, trzech mężczyzn po drugiej. Wszyscy byli umarli bądź umierający, poprzebijani, z rozprutymi brzuchami albo połamanymi kośćmi. Pomiędzy nimi stał niczym wykuty z mitu człowiek, którego nie sposób nie rozpoznać, choć miał sześć rąk, a w każdej trzymał broń – Zabójca Bogów. Nie była to dobra robota. Ktokolwiek namalował tę scenę, nie był wyszkolonym artystą, lecz surowa intensywność pracy nadawała jej moc. Przedstawiała zwycięstwo – brutalne, krwawe. Tryumf.

Lazla nie zszokowała przerysowana przemoc, tryskająca jucha i spore ilości farby, jakie wykorzystano, żeby tę scenę zilustrować. Nie czerwień bowiem przeważała w malunku, a błękit.

Do tej pory nikt nie raczył choćby napomknąć podczas dyskusji o tym, że, o ile mural odzwierciedlał rzeczywistość, Mesarthimowie byli niebiescy jak ich metal.

Jak dziewczyna ze snu Lazla.

Jak mógł o niej zapomnieć? Zupełnie jakby schowała się za szczelną zasłoną jego myśli, która rozsunała się, gdy ujrzał malowidło. Zobaczył ją znowu: dziewczynę o skórze koloru nieba, stała tuż obok niego, przyglądając mu się, jak on temu muralowi. Potrafił nawet odtworzyć w pamięci jej obojczyki. Poczul lekkie łaskotanie, kiedy powrócił do tego obrazu, kiedy ujrzał więcej szczegółów kobiecej anatomii niż przez całe swoje życie. Poczzerwieniały mu policzki.

Co o nim mówiło to, że śnił o dziewczynie w bieliźnie?

Nie była przecież rzeczywista, a jednak ją widział. Tutaj, na muralu.

Uproszczone i siermiężne malowidło nie oddawało jej uroku, lecz nie mógł się mylić, podobieństwo było uderzające, od jej włosów – koloru głębokiej, ciemniej czerwieni miodu z dzikich kwiatów – do czarnej kreski wymalowanej wzdłuż oczu, wyglądającej jak maska. Tyle że dziewczyna z jego snu nie miała na sobie sukni. I... poderżniętego, broczącego krwią gardła.

Cofnął się o krok. Zemdlilo go, niemal jakby zobaczył prawdziwe zwłoki, a nie przerysowany malunek zamordowanej dziewczyny, którą ujrzał we śnie.

– Wszystko gra?

Lazlo spojrzął za siebie. U wylotu alejki stał Eril-Fane. Miał dwie ręce, nie sześć. I dwa miecze zamiast całego arsenału halabard i pik, ale malowidło to dodało kolejny wymiar do jego wyobrażenia o nim. Zabójca Bogów pozabijał bogów, owszem, lecz Lazlo nigdy nie rozmyślał długo nad tym, jak mogło to wyglądać, a jeśli już, to miał przed oczami mętny obraz, na którym ofiary były istotami potwornymi. Nie o dużych oczach i bosych stopach jak dziewczyna ze snu.

– Tak wyglądali? – zapytał.

Eril-Fane podszedł bliżej, żeby zobaczyć, o czym mowa. Kiedy zrozumiał, co ma przed sobą, zaczął stopniowo zwalniać. Skinął jedynie głową, nie odrywając wzroku od malowidła.

– Byli niebiescy – powiedział Lazlo.

Mężczyzna ponownie przytaknął.

Strange wpatrywał się w boginię z namalowanym na twarzy czarnym pasem i oczyma wyobraźni nakładał na ten siermiężny obraz gładkie rysy dziewczyny, którą ujrzał nocą.

– Kim ona jest?

Eril-Fane potrzebował chwili, żeby odpowiedzieć, a kiedy już zaczął mówić, jego głos był chropawy i niemal zbyt cichy, aby Lazlo mógł usłyszeć, co mówi.

– Isagol. Bogini rozpaczy.

Czyli to ona, potwór, który zniewolił go na trzy lata w cytadeli. Mężczyzna wypowiedział jej imię z tak ściśniętym gardłem, że trudno było określić miotające nim uczucia. Z pewnością pobrzmiwała w jego głosie nienawiść, lecz również smutek oraz wstyd. Lazlo chciał jeszcze na niego spojrzeć, lecz mężczyzna już się oddalał. Patrzył więc, jak Eril-Fane odchodzi, i zanim sam udał się do wylotu uliczki, po raz ostatni rzucił

okiem na niepokojący mural. Przyjrzał się zamaszystym pociągnięciom pędzla i czerwonym plamom, a ta nowa tajemnica nie jawiła się jak rozświetlona ścieżka prowadząca przez jego niespokojny umysł ku rozwiązaniu, przypominała raczej krwawe odciski stóp wiodące prosto w mrok.

Zastanawiał się, jak to możliwe, że śnił o zamordowanej bogini, skoro nie miał najmniejszego pojęcia, jak wyglądała?



Sarai poszła z serca cytadeli prosto do swojej sypialni. Żołnierze Minyi byli wszędzie, dzierżyli noże i inne przybory kuchenne: tasaki czy szpikulce do lodu. Pozabierali nawet haki na mięso z pokoju deszczowego. Gdzieś znajdował się prawdziwy arsenał, tyle że za którymiś zamkniętymi drzwiami z mesartjum. Tak czy inaczej, Minya najwyraźniej uważała, że do rzezi nadadzą się noże. To przecież za ich pomocą ludzie wyrznęli cały żłobek.

Nie było sposobu, żeby uciec przed tą armią. Sarai cierpiała szczególnie, bo jej komnata wychodziła na obłany słońcem taras, srebrzysto-niebieską dłoń serafina. Duchy stłoczyły się tutaj licznie, bo tu łatwiej wylądować niż pomiędzy ogrodowymi drzwiami a pnączami. Kiedy przybędzie Zabójca, pojawi się tutaj i Sarai pierwsza zginie z jego ręki.

Czy powinna być więc wdzięczna Minyi za tę ochronę?

„Nie pojmujesz? – zapytała, prezentując im swoją armię. – Jesteśmy bezpieczni”.

A jednak Sarai nigdy nie czuła się bardziej zagrożona. Jej sypialnia została zajęta przez pochwycone duchy. Obawiała się dodatkowo, że to, co czeka na nią we śnie, jest jeszcze gorsze. U stóp łóżka stała taca. Jak co rano przyniesiono jej śpiocha i śliwki, tyle że zwykle o tej porze już spała, pogrążona w podarowanym przez Lethę zapomnieniu. Czy dzisiaj śpioch zadziała? Tak jak obiecała Duża Ellen, dostała mocniejszą dawkę. Czy wczoraj miała po prostu pecha i dlatego lekarstwo nie zadziałało?

„Proszę”, pomyślała, rozpaczliwie pragnąc jedynie szarego aksamitu nicości. Buzowały w niej przerażające obrazy, wyobrażała sobie, że słyszy ogłuszający, bezradny ryk dobywający się od strony fantomowej masy. Również chciała krzyczeć.

Nie czuła się bezpiecznie, o nie. Przycisnęła do piersi poduszkę. Umysł podsunął jej pewien niespodziewany wyjątek od koszmarów: piękny sen *faranji*. Tam była bezpieczna.

Myśl ta zainicjowała w niej nagłe uderzenie... paniki? Podniecenia? Cokolwiek to było, myśl o tym chłopaku powinna budzić raczej niepokój. Owszem, sen przywoływał uroczy widok, ale on... zobaczył ją.

Ten wyraz jego twarzy! Zachwyt, wiedźmowe światła. Jej serca poderwały się, kiedy o tym pomyślała, dłonie zrosił pot. To niemała rzecz, istnieć w niebycie przez większość życia i nagle zostać zauważoną. Kto to w ogóle jest? Ze snów pozostałych *faranji* potrafiła wyciągnąć jakieś wskazówki odnośnie do tego, czemu Eril-Fane ich sprowadził, lecz nie od niego.

Wycieńczona i wystraszona Sarai wypila swojego śpiocha do dna i położyła się na łóżku.

„Proszę – pomyślała żarliwie, jakby modliła się do gorzkiego napitku. – Proszę, zadziałaj. Odpędź moje koszmary”.

\*\*\*

Jaskółka nie podnosiła wzroku.

Póki siedziała w swoim ogrodzie, wpatrując się w liście i kwiaty, w łodygi

i nasiona, mogła udawać, że to zwyczajny dzień, a duchy nie trzymały straży pod arkadami krużganka. Zajęta była przygotowaniem prezentu urodzinowego dla Ruby, która niebawem miała skończyć szesnaście lat... O ile dożyją tego dnia.

Obserwując armię Minyi, Jaskółka uznała, że mają całkiem spore szanse, ale nie chciała na nią patrzeć. Jednocześnie odstręczała ją oraz dawała poczucie bezpieczeństwa, dlatego nuciła sobie coś pod nosem ze spuszczoną głową, próbując zapomnieć, że duchy są tuż obok niej.

Kolejne urodziny bez tortu. Nie mogli też liczyć na prawdziwe prezenty. Zwykle przerabiała jakieś paskudne suknie na coś znośnego, jak szal. Któregoś roku Jaskółka zrobiła lalkę z prawdziwymi rubinami w oczach. Jej sypialnia należała kiedyś do Korako, dlatego mogła korzystać z jej garderoby i szlachetnych kamieni. Ruby zajmowała pokoje Lethy. Boginie te nie były ich matkami, ale dziewczynki miały wspólnego ojca – Ikiroka, boga hucznych zabaw, który okazjonalnie zajmował się również wykonywaniem egzekucji. Były zatem przyrodnimi siostrami i jedynymi z całej piątki osobami złączonymi więzami krwi. Feral był synem Vantha, boga burz – którego dar w mniejszym czy większym stopniu odziedziczył – a Minya córką Skathisa. Sarai jako jedyna przynależała do Mesarthimów po matce. Duża Ellen mówiła, że porody zdarzały się u bogiń niezwykle rzadko. Kobieta oczywiście mogła nosić na raz tylko jedno dziecko, czasem dwa. Mężczyzna z łatwością umieszczał swoje nasienie w wielu kobietach. Zdecydowana większość dzieci zabitych w żłobku została jednak powita przez ludzkie matki zapłodnione przez trójkę bogów. Co znaczyło, że matka Jaskółki mieszka gdzieś w Szłochu.

Kiedy jeszcze była mała, nie mogła tego ani zrozumieć, ani w to uwierzyć, że rodzicielka może jej nie chcieć.

– Przecież mogę pomagać w ogrodzie – żaliła się Dużej Ellen. – Naprawdę mogłabym się przydać!

– Tak, słonko, wiem, ale potrzebujemy cię tutaj. Jak dalibyśmy sobie radę bez ciebie? – pytała opiekunka.

Ellen starała się być dla niej wyrozumiała i delikatna, lecz Minya nie miała podobnych skrupułów.

– Jak cię znajdą w swoim ogrodzie, rozbiją ci łeb łopata, a potem wyrzucą na śmietnik. Jesteś boskim pomiotem, Jaskółko. Nie zechcą cię.

– Przecież jestem też człowiekiem – upierała się. – Jak mogli zapomnieć, że jesteśmy ich dziećmi?

– Nie rozumiesz? Nienawidzą nas właśnie dlatego, że jesteśmy ich dziećmi.

Jeszcze wtedy Jaskółka rzeczywiście tego nie rozumiała, ale z czasem zdołała się nauczyć – dzięki oschłym i niewiarygodnym zapewnieniom Minyi oraz łagodnym, otwierającym oczy wyjaśnieniom Dużej Ellen – jak działa... mechanika płodzenia dzieci, a ta wiedza zmieniła dosłownie wszystko. Poznała charakter swojego poczęcia i choć wiedza ta wydawała się mętna i niepełna, przerażała ją niczym ciężar niechcianego ciała na sobie, przez co poczuła, jak do gardła podchodzi jej żółć.

Stało się dla niej oczywiste, czemu matka jej nie chce. Po takim poczęciu...

Zastanawiała się, jak wiele duchów z armii Minyi zostało w ten sposób

wykorzystanych przez bogów, wszak mnóstwo było kobietami, spora część starymi. Ile z nich porodziło wmuszone im półkrwi bękarty, których albo nie pamiętały, albo nie chciały pamiętać?

Jaskółka nie spuszczała wzroku ze swoich dłoni, skupiła się na prezencie, nuąc sobie łagodnie pod nosem. Usiłowała nie myśleć o tym, czy dożyją urodzin Ruby ani jakie życie ich czeka, jeśli im się ta sztuka powiedzie. Nie interesowało ją nic poza pracującymi palcami i kojącym uczuciem wypływającej z ich opuszek energii, pozwalającej kwiatom kwitnąć. Robiła z nich tort. Nie dało się go oczywiście zjeść, lecz przynajmniej był piękny i przypominał Jaskółce o dawnych czasach, kiedy nadal mieli cukier i niewinność, jeszcze zanim zrozumiała, jakież okropieństwo ją zrodziło.

Tort przyozdobiła czerwonymi kwiatami imbiru imitującymi małe świece, wsadziła ich równo szesnaście. Podaruje go Ruby przy kolacji. Jej siostra będzie mogła sama je zapalić, pomyśleć życzenie i zdmuchnąć.

\*\*\*

Feral siedział u siebie i przeglądał swoją książkę. Przewracał metalowe stronicie i wodził palcem po ostrych krawędziach kanciastych symboli. Gdyby musiał, potrafiłby odtworzyć całą tę księgę z pamięci, tak dobrze ją znał. Na niewiele mu się to zdało, bo i tak nic z niej nie rozumiał. Czasem, kiedy wpatrywał się w nią wystarczająco długo, a jego wzrok tracił ostrość, miał wrażenie, że udaje mu się przejrzeć przez metal i wyczuć jego uśpiony, pulsujący potencjał. Księga była jak wiatrowskaz czekający na podmuch, który nim obróci. Czekający i pragnący jego nadejścia.

Księga chciała zostać przeczytana. Lecz jaki podmuch mógł poruszyć te symbole, nie miał pojęcia. Wiedział jedynie – a raczej tak podejrzewał – że kiedy nareszcie uda mu się odczytać tajemny alfabet, odkryje sekrety cytadeli. Będzie mógł ochronić dziewczyny, a nie tylko... No cóż, ratować je przed odwodnieniem. Nie było to oczywiście byle co i dawno by pomarli, gdyby nie jego dar, dlatego nie marnował już czasu na uzalanie się, że nie ma mocy Skathisa. Na to najgłośniejsz narzekała Minya, która nie potrafiła wyzbyć się związanej z tym gorczy, lecz i on padał niekiedy ofiarą owych tęsknych myśli. Gdyby potrafili kontrolować mesartjum, byłiby nie tylko bezpieczni, ale i wolni, poza tym stanowiliby siłę, z którą należałoby się liczyć.

Ale nie potrafili i nie było sensu tracić czasu na pobożne życzenia.

Jeśli jednak udałoby mu się odkryć klucz do tej księgi... Wtedy na pewno coś by się zmieniło.

– Co robisz? – Od korytarza dobiegł go głos Ruby.

Uniósł wzrok i skrzywił się, widząc, że dziewczyna zdążyła już wetknąć głowę do środka.

– Zasłona – przypomniał jej i wrócił do książki.

Ruby nie respektowała niczyjej prywatności. Wparowała do środka, na swoich niebieskich, dużych, bosych stopach o wysokim podbiciu. Paznokcie pomalowała czerwonym lakierem, a na jej twarzy gościło zacięcie, które powinno dać mu do zrozumienia, że dziewczyna coś knuje, lecz nie zwrócił na to uwagi, tylko poczuł się odrobinę spięty.

Ruby skrzywiła się z niezadowoleniem, patrząc na jego pochyloną głowę, tak jak

on się skrzywił, gdy zobaczył ją na progu. Niezbyt obiecujący początek wizyty.

„Głupia książka – pomyślała. – Głupi chłopak”.

Ale i jedyny, jakiego miała pod ręką. O wargach cieplejszych niż te widmowe. I jak sądziła, cały był cieplejszy. Poza tym, co niezwykle istotne, nie bał się jej, a to czyniło całą zabawę atrakcyjniejszą, bo miała dość gramolenia się na zeszywniałego ducha i mówienia mu co parę sekund, co ma robić.

„Połóż łapę tutaj. A teraz tam”.

Nuda.

– Czego chcesz, Ruby? – zapytał Feral.

Podeszła do niego.

– Chodzi o eksperyment – zaczęła. – Żeby był wartościowy, należy go powtórzyć.

– Co? Jaki eksperyment? – zapytał Feral, odwracając się do niej.

Zmarszczył brwi – na poły zmieszany, a na poły poirytowany.

– Całowanie – wyjaśniła.

Obiecała mu co prawda, że nie powtórzy już podobnego eksperymentu, ale cóż, skoro zmierzali ku zagładzie, przemyślała sprawę dokładniej.

On jednak miał inne zdanie.

– Nie – odparł szorstko i odwrócił głowę.

– Możliwe, że się myliłam – rzuciła wspaniałomyślnie. – Zdecydowałam się dać ci drugą szansę.

– Dziękuję za twą hojność, ale nie – sarknął.

Ruby położyła dłoń na książce i odepchnęła ją.

– Wysłuchaj mnie.

Przysiadła na skraju stołu. Koszula nocna zawinęła jej się do połowy uda, jej skóra była niemal tak gładka jak mesartjum. Lecz o niebo delikatniejsza. Oparła stopy o jego krzesło.

– Najpewniej umrzemy – powiedziała rzeczowym tonem. – A nawet jeśli nie, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Żywi. Mamy ciała. Mamy usta. – Zamilkła na moment, po czym dodała figlarnie, oblizując powoli zęby: – I języki.

Feral czuł, jak rumieniec pełźnie mu po karku.

– Ruby... – zaczął pełnym niechęci tonem.

– Nie ma tutaj co robić – przerwała mu. – Nie ma co czytać. – Machnęła ręką na jego metalową książkę. – Jedzenie jest nudne. Nie mamy muzyki. Wymyśliliśmy osiem tysięcy różnych gier i ze wszystkich wyrosliśmy, z niektórych nawet dosłownie. Czemu nie pobawić się w coś dla dorosłych? – wydyszała chrapliwie. – Nie jesteśmy dziećmi, mamy usta. To nie wystarczy?

Głos, który odezwał się w głowie Ferala, podpowiedział mu, że jednak nie. Nie chciał znowu smakować śliny Ruby. Nie miał nawet ochoty spędzić z nią ani chwili dłużej. Może głos ten podpowiadał mu nawet, że jeśli już miałby spędzić chwilę... z którąś z dziewcząt, nie byłaby to ona. Żartował sobie kiedyś do Sarai, że ożeni się z nimi wszystkimi, udając, iż wcześniej nawet nie przeszło mu to przez myśl, lecz tak naprawdę rozmyślał o tym. Bo jak mógłby ignorować tę sytuację? Był jedynym chłopakiem uwięzionym z dziewczynami, które może i były dla niego jak siostry, ale przecież tak

naprawdę nie łączyły ich więzy krwi... Nie mógł odmówić im urody. Gdyby miał wybierać, w pierwszej kolejności zbliżyłby się do Sarai, potem do Jaskółki. A do Ruby na końcu. Ten uparty, racjonalny głos dochodził z daleka, nie było tu ani Sarai, ani Jaskółki. Rozmawiała z nim Ruby. I pięknie pachniała.

Poza tym, jak sama mówiła, prawdopodobnie wkrótce umrą.

Rąbek jej koszuli nocnej wydał mu się fascynujący. Czerwony jedwab i niebieskie ciało śpiewały w duecie, kolory wydawały się wibrować. A to, jak założyła nogę na nogę... Teraz ledwie się ze sobą stykały. Czuł, jak wsuwa mu stopę pod kolano. Musiał przyznać, że jej argumenty były... kuszące.

Ruby nachyliła się ku niemu, tylko odrobinę. Nie myślał już o Sarai czy Jaskółce. Odchylił się odrobinę.

– Przecież mówiłaś, że okropnie całuję – przypomniał jej, równie zachrypniętym głosem.

– A ty, że mało cię nie utopiłam – odparła, przysuwając się ociupinkę.

– Bo się trochę śliniłaś – przyznał, może niepotrzebnie.

– Ty za to byłeś zmysłowy jak śnięta ryba – odparowała, nagle pochmurna.

Oboje czuli, że albo teraz, albo wcale.

„Moje kochania, moje zmije”, mówiła na nich Duża Ellen i miała rację, bo byli i ukochanymi, i zmijami. Może Minya była tylko zmiją, a Jaskółka tylko kochaniem, ale reszta z nich... Składali się z ciała, ducha, młodości, magii, pragnienia i, a jakże, śliny, wszystkie te składniki buzowały w nich niczym gaz w butelce. Rzeź za nimi, rzeź przed nimi, wokół duchy.

Nagle do tego wszystkiego dołączyły gwałtowne oderwanie się od rzeczywistości, możliwość ucieczki, podniecenie nowością. To, jak Ruby przekładała nogę na nogę, można nazwać tylko czystą poezją, a kiedy jest się tak blisko siebie, nie tyle obserwuje się ruchy drugiej osoby, co odczuwa kompresję powietrza między tobą a nią. Ślizg ciała, niemal szybowanie. Ruby obróciła się, jej jedwabna koszulka przypominała serpentynę, kiedy dziewczyna zsunęła się Feralowi na kolana. Odnalazła ustami jego usta. Pocałunek nie był zbyt delikatny, z językiem. Do gry przyłączyły się ich ręce, wydawało się, że mają ich tuziny, nie po dwie. Doszły też słowa, Ruby i Feral jeszcze nie zdążyli się nauczyć, że rozmowa nie idzie w parze z całowaniem. Rozgryzienie tego zajęło im tylko chwilę.

– Chyba dam ci kolejną szansę – przyznał pozbawiony tchu Feral.

– To ja daję ci kolejną szansę – poprawiła go Ruby.

Kiedy dziewczyna odsunęła się od niego, między ich ustami rozciągnęła się nitka śliny.

– Skąd mogę wiedzieć, że mnie nie spalisz? – zapytał Feral, kładąc jej dłoń na biodrze.

– Och. – Próbowała go zbyć. – Może do tego dojść jedynie, jeśli całkowicie się zatracę. – Ich języki zderzały się, obijały. – Musiałbyś być naprawdę dobry. – Szczęknięty dźwięcznie zęby, uderzyły o siebie nosy. – A o to się akurat ani trochę nie boję.

Feral prawie poczuł się obrażony, lecz nie miał czasu na dąsy, bo działy się teraz rzeczy znacznie przyjemniejsze. Uczył się, jak panować nad językiem, a może raczej jak nie marnować go na kłótnie, tylko zaangażować w coś o wiele bardziej

satysfakcjonującego. Można by pomyśleć, że usta i języki prędko wyczerpią swoje możliwości, lecz tak się nie stało.

– Połóż tutaj dłoń – wydyszała polecenie Ruby, a on posłuchał. – A teraz tutaj.

Tym razem zignorował jej rozkaz, co ją ucieszyło. Z radością odnotowała, że Feral ma całe mnóstwo pomysłów na to, co zrobić z dłońmi. I żaden z nich nie był nudny.

\*\*\*

Serce cytadeli opustoszało. Nie został tam żaden duch. Po raz pierwszy od dekady Minya miała całą komnatę dla siebie. Usiadła na biegnącym wzdłuż obwodu sferycznego pomieszczenia chodniku i wystawiła nogi za krawędź; swoje chudziutkie, krótkie giczoły. Nie machała nimi ani nie pozwoliła im się majtać. Nie było w tej pozie nic niewinnego, nic dziecięcego. Ledwie dało się poznać, że są żywe, bujały się niemal niezauważalnie. Zesztywniała. Miała otwarte oczy, twarz całkiem pustą. Siedziała wyprostowana jak struna, zacisnęła brudne piąstki tak mocno, że mało kości nie przebiły jej skóry. Poruszała lekko ustami. Powtarzała coś szeptem, raz po raz. Powróciła pamięcią do dnia sprzed piętnastu lat, kiedy umknęła do tej komnaty.

Do dnia, kiedy została przebita na wylot jak ćma długą, lśniąca szpilą.

Do dnia, kiedy zgarnęła dwoje niemowląt i trzymała je na jednej tylko ręce. Nie podobało im się to, a ramię mało jej nie odpadło, lecz drugiej dłoni Minyi uczepiły się dwa kolejne bobasy, chwytając palce dziewczynki swoimi śliskimi i wilgotnymi od potu rączkami.

Niemowlęta na ręce, maleństwa drepzące obok niej.

Przyprowadziła je tu, przecisnęła przez przesmyk pozostawiony przez prawie zamknięte drzwi i pobiegła po kolejne dzieci. Lecz nie znalazła już nikogo. Usłyszała dochodzące ze żłobka krzyki, kiedy była w połowie drogi. Niekiedy czuła się, jakby na zawsze została skazana na przeżywanie tej chwili, kiedy mrozące krew w żyłach dźwięki kazały jej się zatrzymać.

Była wtedy najstarszym dzieckiem ze żłobka. Kiska, która potrafiła czytać myśli, została zabrana przez Korako i nigdy nie powróciła. Przed nią przebywał tam jeszcze Werran; jego krzyki zasiewały panikę w umysłach tych, którzy je słyszeli. Minya też знаła już swój dar, i to od miesięcy, lecz nie dawała tego po sobie poznać, bo kiedy dowiadywali się o tym rodzice, zabierano dzieci ze żłobka. Dlatego ukrywała tajemnicę przed boginią tajemnic. Tak znalazła się w żłobku tego dnia, kiedy ludzie się zbuntowali i pozabijali swoich panów. Nie miałyby im tego za złe – nie miłowała wszak bogów – gdyby tylko na nich poprzestali.

Nadal stała w tamtym korytarzu, słysząc krzyki i ich okropny, krwawy kres. Zostanie tam na zawsze, a jej ręce i ramiona będą ciągle zbyt małe, tak jak owego dnia. Jeden dzień wystarczył, aby się zmieniła. Nie okazała już później słabości, strachu ani delikatności, nigdy nie pozwoliła, żeby cokolwiek ją tak zmroziło. Nie miała jeszcze pojęcia, do czego była zdolna. Nie zdołała przetestować swojego daru. Bo gdyby to zrobiła, Korako by się o nim dowiedziała i jej go odebrała. Wówczas nie znała jeszcze pełni swojej mocy.

Przecież mogła ich wszystkich uratować.

Tego dnia cytadelę opanowałyby śmierć. Przyzwałaby duchy, nawet te po bogach.

A wtedy...

A wtedy...

Miałaby bogów na swoich usługach, w tym Skathisa. Gdyby tylko wiedziała wtedy, co robić. Mogła zebrać armię i powalić Zabójcę Bogów wraz z całą resztą, zanim dotarliby do żłobka.

Uratowała jednak tylko czworo. I dlatego pozostanie w tym korytarzu, słysząc krzyki przecinane kolejnymi cięciami noża.

I nie robi już nic.

Nadal poruszała ustami, szepcząc ciągle te same słowa, raz po raz:

– Nie dałam rady unieść więcej. Nie dałam rady.

Nie było żadnego echa, żadnego pogłosu. Komnata wydawała się pochłaniać dźwięki. Połykała jej głos, jej słowa, jej niekończące się, niewymagane przez nikogo przeprosiny.

Ale nie mogła pochłonąć wspomnień. Od nich nigdy się nie uwolni.

– Nie dałam rady unieść więcej. Nie dałam rady...

Sarai przebudziła się, dławiąc się setką wilgotnych ciem pełznących jej po gardle. Czowała je jak prawdziwe. Naprawdę wierzyła, że to jej ćmy, że musi je jakoś przełknąć. Zatykały ją, zapychały i łomotały szaleńczo skrzydełkami. Czowała smak soli i sadzy – soli z łez śniących, sadzy z miejskich kominów – i nawet kiedy już udało jej się złapać oddech i zrozumiała, że to koszmar, nadal nie mogła się go pozbyć.

„Dziękuję ci, Minyo, za kolejny horror”.

Nie była to, bynajmniej, pierwsza rzecz, jaka ją przeraziła. Modlitwa do śpiocha pozostała bez odpowiedzi. Zdołała przespać ledwie godzinę i to z przerwami, trudno mówić o jakimkolwiek wypoczynku. Pół tuzina razy wyśniła swoją śmierć, jakby jej umysł kompilował listę możliwych scenariuszy. Swoiste menu tragedii do wyboru.

Trucizna.

Utonięcie.

Upadek.

Cios nożem.

Pobicie.

Została nawet spalona żywcem przez lud Szlochu.

A pomiędzy jedną a drugą śmiercią była... właściwie kim? Dziewczynką błądzącą po ciemnym lesie, która słyszy trzask łamanej gałązki. Przestrzeń między koszmarami wydawała się niczym cisza zapadająca po owym trzasku, kiedy przychodzi świadomość, że ktokolwiek był jego przyczyną, nadal tam jest i łypie z mroku. Nie ma mowy o gęstej, szarej nicości. Mgła śpiocha rozproszyła się, zostały z niej białawe smużki.

Wszystko, czego się bała, wydostało się na wolność.

Leżała na plecach, z pościelą skopaną w nogach łóżka, i gapiła się w sufit. Kończyny jej zwiotczały, a umysł przysechł. Dlaczego śpioch tak nagle przestał działać? Serca pompujące krew i ducha wybijały naznaczone paniką tempo.

Co miała teraz począć?

Pragnienie i pełny pęcherz poganiały ją do zerwania się z łóżka, lecz nie śpieszyło jej się do opuszczenia sypialni, bo wiedziała, co ujrzy zaraz za rogiem, a nawet wcześniej, jak tylko podniesie głowę.

Duchy z nożami.

Jak tamte staruchy, które zaczęły się wtedy przy łóżku, biadoląc, że nie mogą jej zabić.

Zdołała jednak się podnieść. Włożyła suknię, z nadzieją, że zachowa resztki godności, i wyszła z sypialnianej alkowy. Czekwały tam, ustawione od drzwi wychodzących na korytarz aż do tarasu. Naliczyła ośmioro, ale nie miała pojęcia, ile czeka na dłoni. Nie bacząc na ich pogardliwe spojrzenia, wyszła z komnaty. Minya, jak się wydawało, kierowała swoją armią żelazną ręką, duchy nie potrafiły nawet skrzywić się ze strachu czy obrzydzenia, lecz ich oczy nadal szczerze wyrażały, co dyktowały myśli. Niesamowite, jak dużo można wyrazić samym spojrzeniem. Nie tylko strach



i obrzydzenie. Sarai dostrzegła tam przede wszystkim błaganie.

„Pomóż nam”.

„Uwolnij nas”.

Chciała powiedzieć, że nie ma jak im pomóc, lecz ucisk w gardle nie pozwalał Sarai wydusić z siebie ani słowa. Nie chodziło jednak o ćmy, ale rozdzierający ją konflikt: gdyby je uwolniła, duchy od razu pozbawiłyby ją życia. Nie powinna im pomagać. Co było z nią nie tak?

Odwróciła wzrok i przemknęła czym prędzej przez komnatę, czując się, jakby nadal pozostawała uwięziona w koszmarze.

„A kto pomoże mnie?”, zastanawiała się.

Nie spotkała w krużganku nikogo poza Minyą. A właściwie Minyą i jej fantomowym oddziałem, który ustawił się pod arkadami, miażdżąc pnącza Jaskółki martwymi stopami. Ari-Eil stróżował za krzesłem Minyi, wyglądając niemal jak przystojny kamerdyner. Niemal, bo jego pani pozwoliła mu na zamanifestowanie swojej niechęci, co skwapliwie wykorzystał: z jego twarzy wylewał się jad. Sarai aż zbladła, jak go zobaczyła.

– Dzień dobry – przywitała się Minya. Jej dziecięcy głosik nasączony był mściwym tonem, kiedy pytała nieszczerze: – Dobrze spałaś?

– Jak dziecko – odparła pogodnie Sarai. Budziła się co chwilę z płaczem, ale tego już nie miała zamiaru wyjaśniać.

– Nie nękały cię koszmary? – badała Minya.

Sarai zacisnęła szczękę. Nie chciała obnażać się ze słabościami, nie teraz.

– Przecież wiesz, że nie śnię – powiedziała, żałując, że nie jest to prawda.

– Poważnie? – zdziwiła się Minya, sceptycznie unosząc brwi.

Sarai zaczęła się zastanawiać, czemu nagle o to wypytuje. Przecież o swoim koszmarze opowiedziała jedynie Dużej Ellen. A jednak była pewna, że Minya się dowiedziała. Poznała to po oczach dziewczynki: chłodnych, bezlitosnych i badawczych. Sarai pojęła, że Minya nie tylko wiedziała, skąd biorą się koszmary, lecz była ich powodem. Śpioch. Duża Ellen go ważyła. Duża Ellen była duchem, czyli podlegała Minyi. Sarai zrobiło się słabo. Nie chodziło jedynie o to, że Minya grzebała przy śpiochu, ale że bezczelnie kontrolowała Dużą Ellen, która opiekowała się nimi jak matka. To okropne.

Przełknęła ślinę. Minya przyglądała się jej uważnie, jakby chciała, żeby jej młodsza towarzyszka niedoli odgadła prawdę: musiała sobie zasłużyć na swoją szarą mgielkę.

Sarai poczuła ulgę, kiedy nadeszła Jaskółka. Wysiliła jako tako wiarygodny uśmiech i udawała – a przynajmniej miała nadzieję, że jej to wychodzi – że nic jej nie jest, podczas gdy dusza syczała jej ze złości. Nie posiadała się ze zdumienia, że Minya jest zdolna posunąć się do czegoś takiego.

Jaskółka pocałowała ją w policzek. Jej uśmiech był jednocześnie trwożliwy i śmiały. Po chwili przyszli również Feral i Ruby. Kłócili się o coś, dzięki temu było łatwiej udawać, że wszystko jest jak zawsze.

Podano kolację. Udało się złapać gołębia i Duża Ellen zrobiła potrawkę. Potrawka z gołębia. Jakoś źle jej to brzmiało, jak dżem z motyla i steki ze spektralnego. Niektóre

stworzenia były po prostu zbyt urocze, aby je zjadać. Chyba nikt z obecnych nie podzielał zdania Sarai. Feral i Ruby zajadali, aż im się uszy trzęsły, i nie zastanawiali się nad pochodzeniem mięsa. Minya nigdy nie jadła dużo, lecz to akurat nie miało wiele wspólnego z jej wrażliwością. Nie dokończyła swojej porcji. Wyłowiła niewielką kostkę i zaczęła dłubać nią sobie w białych ząbkach. Tylko Jaskółka czuła niechęć podobną do tej Sarai. Obie jadły, bo ich ciała tego potrzebowały, i nie miało znaczenia, że brak im apetytu. Żyli na głodowych racjach, ciągle chodzili głodni.

Jak tylko Kem posprzątał ich miski, Jaskółka dzwignęła się z krzesła.

– Zaraz przyjdę – powiedziała. – Niech nikt nie wychodzi.

Spojrzeli po sobie. Ruby uniosła brwi. Jaskółka wyszła szybkim krokiem z ogrodu i po chwili wróciła, niosąc...

– Tort! – wykrzyknęła Ruby, zrywając się z krzesła – Jakim cudem...

Był to cudowny prezent, zachwyceni nie mogli się na niego napatrzeć: trzy polane lukrem warstwy, przełożone białym kremem, z powtykanymi kwiatami wyglądającymi jak puchowy śnieg.

– Nie podniecajcie się tak – przestrzegła ich Jaskółka. – To nie do jedzenia.

I wtedy dostrzegli, że lukier to płatki orchidei przyozdobione pąkami anadne, a cały tort zrobiony jest z roślin, nawet szesnaście małych świeczek to jedynie kwiaty imbiru.

Ruby się skrzywiła.

– Czyli do czego?

– Żebyś mogła pomyśleć życzenie – powiedziała Jaskółka. – To tort urodzinowy. – Postawiła go przed nią na stole. – Z wyprzedzeniem, bo... Na wszelki wypadek.

Zrozumieli, o czym mówiła. Na wszelki wypadek, jakby nie miało już być żadnych urodzin.

– Trochę to ponure.

– No dalej, pomyśl życzenie.

Ruby zastanawiała się przez chwilę, po czym zapaliła kwiaty imbiru opuszkami palców, choć i tak wyglądały jak małe płomienie, i zgasła je dmuchnięciem, wszystkie naraz.

– Czego sobie pożyczyłaś? – zapytała Sarai.

– Żeby tort był prawdziwy, oczywiście – odparła Ruby. – Spełniło się?

Zatopila w nim palce, lecz, rzecz jasna, nie kryło się tam żadne ciasto, jedynie kwiaty. Udawała, że zjada cały urodzinowy tort, nie dzieląc się z nikim ani jednym kawałkiem.

Zapadła noc. Sarai wstała i ruszyła do swojej komnaty.

– Sarai – zawołała za nią Minya, lecz dziewczyna nawet się nie odwróciła.

Pogodziła się z tym, co ją czeka. Minya się nie podda. Nigdy nie ustąpi. Jakimś sposobem, samą siłą woli, dziewczynka zatrzymała się w czasie. Nie tylko ciałem, lecz i umysłem. Jej gniew i ciągły pęd ku zemście nie zelżały przez wszystkie te lata ani trochę. Nie dało się przewyciężyć takiego uporu. Ciągle dzwięczały jej w głowie słowa Minyi: „Może potrafisz pokonać na kilka minut swoje obrzydzenie i nas uratować?”. Sarai nawet nie zwolniła kroku. „Uratować”. Sama myśl wydawała się wiercić niespokojnie na dnie jej żołądka, lecz nie jak ćmy, jak węże. Miała nadzieję zostawić podobne wątpliwości na

krużganku, lecz kiedy mijała widmowe szeregi strzegące korytarza prowadzącego do jej komnaty, duchy otworzyły usta i zaczęły kompulsywnie i bezgłośnie szeptać: „Uratować naszą czwórkę, uratować”, podczas gdy ich oczy mówiły: „Ratuj nas, ocal nas”. I nagle wypowiedziały to na głos, prosiły ją o łaskę. Ale i to „Ratuj nas, ocal nas” było dziełem Minyi, która znęcała się nad słabościami Sarai. Wykpiwała jej miłosierdzie.

Na progu jej pokoju stało dziecko. Bahar, dziewięcioletnia dziewczynka, która przed trzema laty wpadła do Uzumark i utonęła. Nadal miała na sobie przemoczone ubranie. To okropne, nawet jak na Minyę, trzymać dziecko jako zabawkę. Duszek stał Sarai na drodze.

– Jeśli go nie zabijesz, Sarai – dziewczynka cedziła żałośnie słowa Minyi – ja to zrobię.

Sarai zasłoniła uszy dłońmi i przycisnęła się obok Bahar, lecz nawet kiedy schroniła się za zasłonę swojej alkowy, gdzie duchy nie mogły jej zobaczyć, nadal słyszała ich szepty: „Ratuj nas, ocal nas”. Pomyślała, że niebawem zwariuje. Wykrzyczała swoje śmy i skuliła się w kącie, zaciskając mocno powieki, żałując jak nigdy, że nie może polecieć z nimi. Gdyby mogła, przelałaby na nie całą swoją duszę i pozostawiła pustą skorupę ciała – nawet jakby miała już nigdy do niego nie powrócić – nie zastanawiałaby się ani chwili, tylko uwolniłaby od błagalnych podszeptów martwych mężczyzn, kobiet i dzieci ze Szlochu.

Żywi mieszkańcy miasta byli bezpieczni, dzisiaj nie będą nękały ich koszmary. Sarai udała się znowu do *faranji* śpiących w budynku cechu, do Tizerkane’ów w koszarach i do Azareen śpiącej samotnie w pokoiku w Opadzie. Nie wiedziała, co zrobi, jeśli znajdzie Eril-Fane’a. Węże, które wiły się w jej żołądku, powoli torowały sobie drogę do serc. Zagościła w niej gęsta ciemność, męczące poczucie zdrady, tyle wiedziała. Wszystko wydawało jej się tak zagmatwane, że nie potrafiła powiedzieć, czy pozostawienie go przy życiu będzie litością, czy aktem tchórzostwa.

Nigdzie go nie znalazła. Przyjęła to z niewysłowioną ulgą, która jednak szybko z niej uleciała i została zastąpiona przez coś innego: niepokojącą świadomość, że w jego łóżku znowu leży nieznajomy. Sarai przysiadła na poduszce, tuż obok jego pogrążonej we śnie twarzy, i przez dłuższy czas przyglądała mu się z mieszką strachu i tęsknoty. Ckniło się jej za pięknem jego snu, ale bała się, że on znowu ją zobaczy, lecz tym razem spojrzy na nią nie z zachwytem, a obrzydzeniem.

Zdecydowała się na kompromis. Usiadła mu na skroni i prześlizgnęła się do jego umysłu. Ponownie znalazła się na ulicach Szlochu, pogodnego i rozświetlonego przez słońce, który nie zasłużył na swą przeklętą nazwę, lecz kiedy ujrzała go w oddali, nie poszła za chłopakiem. Znalazła sobie cichy kącik i skuliła się tak jak w swojej sypialni. Oddychając pełnym słodczy powietrzem, patrzyła na poubierane w kolorowe pióra dzieci i cieszyła się spokojem. Chociaż przez krótką chwilę.

Pierwsze dni w Szlochu upłynęły Lazlo na aktywności i zachwytach. Miał przecież do odkrycia całe miasto, a było to zadanie i słodkie, i gorzkie. Szloch zdecydowanie nie wyglądał tak, jak sobie go wyobrażał w dzieciństwie. Oczywiście, że nie. Jeśli nawet dawniej tak właśnie się prezentował, to przeszedł zbyt wiele, aby takowym pozostać. Próżno było tam szukać porozwieszanych tu i ówdzie wstęg czy dzieci przystrojonych w pióra. Na tyle, na ile zdołał się dowiedzieć, nigdy ich tu nie było. Kobiety nie nosiły włosów tak długich, że spływały im po plecach niczym kobierce i sięgały aż do ziemi, z prostej zresztą przyczyny: ulice Szlochu były równie brudne jak każdego innego miasta. Nikt nie wystawiał ciast na parapety, lecz tego akurat Lazlo się nie spodziewał. Został za to śmieci i robactwo. Niby to drobiazgi, ale skutecznie potrafiły zniechęcić marzyciela do idealizowania obiektu tak długotrwałej fascynacji. Zwiędłe ogrody przypominały miasta zdziesiątkowane przez epidemię, a żebracy leżeli na ulicach, jakby zmogła ich śmierć, kładli sobie monety na zamkniętych oczach. I wszędzie walały się gruzy zrujnowanych budowli. Jednak z drugiej strony Lazla zachwycały bogate kolory i urzekające dźwięki, mimo wszystko miasto tętniło życiem: byli tam i wyciągnięci prosto ze snu mężczyźni z ptakami w klatkach, i ci dmuchający barwnym pyłem, i dzieci z harfami przy butach, grające na swych instrumentach przy każdym kroku. Było tam światło i była też ciemność. Świątynie ku czci serafinów zawstydzają swoją okazałością kościoły w Zosmie, Syrizie i Maialenie razem wzięte. Lazlo miał okazję uczestniczyć w nabożeństwie i być świadkiem ekstatycznego tańca kapłanek Thakry, co stało się dlań przeżyciem głęboko mistycznym; nie doświadczył do tej pory niczego podobnego. Ale byli tam również księża-rzeźnicy, wróżący ze zwierzęcych wnętrzności, i czarnowidze na szczudłach, wykrzykujący zza kościanych masek sentencje o nadciągającym końcu. Uliczki zastawione kolorowymi straganami rozchodziły się promieniście od starego amfiteatru, a nad wszystkim górowała miejska panorama wycięta z miodowego kamienia i pozłacanych kopuł.

Tego popołudnia Lazlo zjadł obiad z paroma Tizerkane'ami. Ruza nauczył go powiedzenia: „Mój język nie zniesie już innego smaku”, co, jak zapewniał, było największym komplementem, jaki mógł usłyszeć kucharz, lecz wesołość goszcząca w oczach pozostałych wojowników pozwalała mu sądzić, że ma ono bardziej... lubieżne znaczenie. Na targu Lazlo kupił sobie miejscowe ciuchy, koszulę i kurtkę, nawet nie spoglądając na szarości. Kurtka miała kolor leśnej zieleni i musiał spinać jej rękawy pomiędzy ramieniem a bicipsem, żeby nie odstawały. Robili je z każdego możliwego materiału. Eril-Fane nosił złotą. Lazlo wybrał bardziej ekonomiczną i niedocenianą skórę. Nabył też skarpety i zaczął powoli rozumieć, jaki komfort niosą ze sobą pieniądze. Od razu zgarnął cztery pary – co wydało mu się rozpustne – i nie dość, że żadna nie była szara, to jeszcze na dodatek każda miała inny kolor, jedna w paski, a inna różowa. A skoro już mowa o różu, spróbował krwawego lizaka z małego sklepiku pod mostem. Był tak samo prawdziwy, jak i paskudny. Po zwalczeniu nudności powiedział słabym głosem do

sprzedawczyni, że jego język nie zniesie już innego smaku, i patrzył, jak dziewczyna wybałusza z zaskoczenia oczy, a potem się czerwieni, co potwierdziło jego przypuszczenia odnośnie do nieprzyzwoitego charakteru tego komplementu.

– Dzięki wielkie – powiedział Ruzie, kiedy wyszli. – Jej mąż pewnie wyzwie mnie na bitkę.

– Zapewne – zgodził się Ruza – ale wszyscy powinni chociaż raz tego spróbować.

– Akurat w moim przypadku to faktycznie będzie raz.

– Bo umrzesz – niepotrzebnie wyjaśnił Ruza. – I nie będziesz mógł znowu się bić.

– Tak – mruknął Lazlo. – O to mi właśnie chodziło.

Ruza poklepał go po ramieniu.

– Nie pękaj, jeszcze zrobimy z ciebie niezłego wojownika. A tak na marginesie... – Chłopak rzucił okiem na zieloną, brokatową portmonetkę należącą niegdyś do babci Calixte. – Może kupiłbyś sobie jakiś portfel, skoro już tutaj jesteśmy, hmm?

– Co, nie podoba ci się moja portmonetka? – zapytał Lazlo, unosząc krzykliwe akcesorium.

– Ano niezbyt.

– Jest wygodna – odparł Lazlo. – Patrz, mogę ją nosić na przykład tak.

Zawiesił ją sobie na nadgarstku za troczki i zaczął machać nią jak dziecko. Ruza tylko pokręcił głową i wymamrotał pod nosem:

– *Faranji.*

Tego dnia mieli przede wszystkim na głowie nie zakupy, a robotę do wykonania.

Przez pierwsze dni Lazlo pilnował, aby delegaci mieli wszystko, czego potrzebują do pracy, a jako że większość nie wykazała najmniejszej inicjatywy, żeby nauczyć się podczas podróży chociaż najprostszych reguł języka swoich gospodarzy, jak jedenen mąż potrzebowali tłumaczy. Ponadto trzeba im było dostarczyć materiały, a niektórym nawet i asystenta. Niektórzy Tizerkane'owie liznęli mowy wspólnej, lecz i oni mieli swoje obowiązki. Calixte mówiła po niewidocznemu niemal płynnie, ale nie miała zamiaru marnować czasu na pomaganie „starym prostakom”. Dlatego to na Lazlo spoczął ciężar pośrednictwa. Z delegatami szło raz łatwiej, raz trudniej. Belabra, matematyk, zażyczył sobie gabinet o wysokich ścianach, na których mógłby zapisywać swoje wzory, a potem je dowolnie zmywać. Kether, artysta i projektant katapult oraz maszyn obłężniczych, potrzebował z kolei jedynie stołu kreślarskiego, który chciał postawić w swojej kwaterze w budynku cechu.

Lazlo nie sądził, aby inżynierowie potrzebowali czegoś więcej, lecz Ebliz Tod najwyraźniej uznał za sprawę honoru, że ważniejsi goście powinni mieć wygórowane wymagania i tym samym otrzymywać więcej. Dlatego też podyktował skomplikowane i mocno skonkretyzowane polecenia, nad których spełnieniem miał czuwać Lazlo z pomocą paru miejscowych skrzykniętych przez Suheylę. Ostatecznie warsztat Toda wyposażony przez lud Szlochu znacznie przewyższał jego gabinet w Syrizie, choć i tak przez większość czasu siedział przy ustawionym w kącie stole.

Calixte nie zażyczyła sobie niczego, choć Lazlo wiedział, że eksperymentuje, z pomocą Tzary, z różnymi żywicami, z których chciała otrzymać lepłą pastę pomocną przy wspinaczce. Jeszcze nie było jasne, czy w ogóle zostanie o to przez Eril-

Fane'a poproszona, bo podejrzewała, że zaprosił ją do udziału w tej eskapadzie raczej po to, aby wyciągnąć ją z aresztu, a nie z powodu nagłego zapotrzebowania na jej usługi, lecz tak czy inaczej była zdeterminowana, żeby wygrać zakład z Todem.

– Szczęście dopisało? – zapytał Lazlo, kiedy spotkał ją po przeprowadzonym na kotwicy teście.

– Szczęście nic do tego nie ma – odparła dziewczyna. – Wszystko zasadza się na sile i pomysłowości. – Mrugnęła do niego, wyginając ramiona niczym pajęczne odnóża. – I kleju.

Kiedy opuściła ręce, Lazlo zauważył, że nie ma na dłoniach szarych przebarwień. Sam po kontakcie z kotwicą nie mógł domyć brudu, nawet kiedy szorował się mydłem. Z czasem plamy zbladły, a potem zupełnie zniknęły. Uznał, że mesartjum reagowało ze skórą, tak jak parę innych metali, chociażby miedź. Ale nie z ciałem Calixte. Dotykała kotwicy, a nie został na jej palcach żaden osad.

Fellingowie, Mouzaive od pól magnetycznych i Thyon Nero potrzebowali przestrzeni laboratoryjnej do wyładowania przywiezionego ze sobą z zachodu sprzętu. Bliźniacy i filozof nie mieli problemu z tym, by zająć przerobione stajnie tuż przy budynku cechu, lecz alchemik nie zgodził się na podobne rozwiązanie i kazał szukać innego miejsca. Lazlo robił za tłumacza, ale z początku nie potrafił powiedzieć, czego dokładnie Thyon szuka, bo niektóre pomieszczenia uznawał za zbyt duże, a inne za zbyt małe, po czym zdecydował się na wysoko sklepione poddasze krematorium, jeszcze przestronniejsze niż inne, choć określił je jako ogromne. Nie było tam okien, tylko pojedyncze, ciężkie drzwi. Kiedy zażądał nie mniej niż trzech zamków, Lazlo pojął, o co mu chodziło: szukał miejsca odosobnienia, gdzie będzie miał absolutną prywatność. Najwyraźniej zamierzał zachować dla siebie sekret azothu, mimo że trafił do miasta, skąd tajemnica ta przed setkami lat wyszła. Jego przyboczny, Drave, potrzebował magazynu, gdzie mógłby trzymać swoje prochy i chemikalia, więc Lazlo zapewnił mu budynek za miastem, w razie niefortunnego wypadku. Mieścił się on na tyle daleko, że Drave musiałby długo dojeżdżać do swojej pracowni, czyli nie widywaliby go zbyt często, co było kolejnym plusem owej lokalizacji.

– Jest to cholerna niedogodność – zrzędził eksplozjasta, choć po tym, jak już zwieziono jego materiały, przestał tam jeździć. Potem oświadczył tylko: – Jeśli będzie trzeba coś wysadzić, dajcie znać. – I spędzał dni na łażeniu po mieście i szukaniu przyjemności, płosząc kobiety swoimi lubieżnymi spojrzeniami, które rozdawał na lewo i prawo.

Ozwin, rolnik-botanik, zażyczył sobie szklarni i kawałka ziemi, gdzie mógłby hodować swoje rośliny. Również musiał wynieść się z miasta, poza cień rzucany przez cytadelę; jego nasiona i sadzonki potrzebowały bowiem słońca. „Rośliny, które marzyły o zostaniu ptakami”, tak definiował swoją pracę. Słowa te pochodziły z mitu o serafinach i były częścią opisu świata, który cudowne stworzenia zastały po zstąpieniu z niebios: „I odnalazły żyzną glebę i słodkie morza, i rośliny, które marzyły o zostaniu ptakami, pnące się ku chmurom na liściach przypominających skrzydła”. Lazlo znał ten fragment od lat i zakładał, że to wszystko fantazja, ale pobyt w Thanagoście wyprowadził go z błędu. Roślina ta nazywała się ulola i miała dwie nietypowe cechy. Pierwsza to jej suche

badyle, na których lubiły za dnia przesiadywać serpaise'y; stąd wziął się ich nieformalny pseudonim: węzowe cienie. A druga to to, że kwiaty uloli potrafiły latać. Albo raczej, dla ścisłości, unosić się. Były to przypominające sakiewki pąki wielkości dziecięcej główki, a kiedy wędły, wyzwalaly lżejszy od powietrza gaz, który niósł je ku niebu, i kiedy tylko zawiało, wypadały z nich ziarna, rosły nowe rośliny i cykl się powtarzał. Miały tę osobliwą właściwość, że latały nad nieurodzajnymi i niebezpiecznymi ziemiami – unoszące się na niebie różowe balony zwykły opadać na niezagospodarowane nieużytki, gdzie żyły dzikie zwierzęta – i pewnie nigdy by się to nie zmieniło, gdyby botanik z uniwersytetu Isquith imieniem Ozwin nie pokonał strachu i nie wybrał się na niezbadane ostępy po próbki. Pokochał te ziemie i, co ważniejsze, koczującą tam, parającą się mechaniką Soulzeren, którą wielbili watażkowie za ekstrawaganckie projekty machin wojennych. Była to nieprawdopodobna historia miłosna, składająca się nawet z pojedynku (brała w nim udział Soulzeren). Tylko ich połączone umysły mogły skonstruować coś takiego jak jedwabne sanie: lekkie, zgrabne i napędzane gazem uloli. Małżonkowie produkowali je samodzielnie, korzystając z pawilonu w budynku cechu. Kwestia tego, kiedy będą mogli polecieć saniami, została poruszona piątego popołudnia, podczas spotkania rady miejskiej, na którym zjawili się również Lazlo i Eril-Fane. Rozmowa nie poszła jednak tak, jak się spodziewano.

– Nasi goście wytrwale pracują nad rozwikłaniem problemu cytadeli – oświadczył Eril-Fane pięciorgu Zeyyadinom, co można przełożyć jako „pierwsze głosy”; rada ustanowiona po upadku bogów składała się z dwóch kobiet i trzech mężczyzn. – Jak tylko będą gotowi, niezwłocznie przedstawią nam swoje propozycje, jak...

– Jak ją... przesunąć? – dokończyła za niego zaniepokojona Maldagha.

– Nie wyobrażam sobie, jak mogliby tego dokonać – odezwał się drżącym głosem przygarbiony starzec o długich, białych włosach.

– Gdybym ja potrafił – odparł Eril-Fane, uśmiechając się ledwie zauważalnie – sam bym tego dokonał i oszczędził sobie długiej podróży. Nasi szacowni goście są posiadaczami najświatlejszych umysłów w tej części świata i...

– Czymże są ich umiejętności wobec magii bogów? – przerwał mu starzec.

– Są naszą jedyną nadzieją – powiedział Eril-Fane. – Nie dokonamy tego z dnia na dzień, nie mamy mocy Skathisa, lecz co więcej jesteśmy w stanie zrobić? Może zajmie nam to lata. Może zdołamy jedynie zbudować wieżę wystarczająco wysoką, aby przejść z niej na cytadelę i demontować ją kawałek po kawałku, aż rozbierzemy ją całą. Może jeszcze wnuki naszych wnuków będą ciąć mesartjum, aż ta potworność zniknie. Lecz nawet jeśli to jedyny sposób i nie dożyjemy, aby zobaczyć, jak cytadela znika, przyjdzie taki dzień, kiedy ostatni kawałek zostanie zdjęty z nieba, a słońce uwolnione.

Były to mocne słowa, choć wypowiedział je lekko i wydawało się, że rozbudził nadzieję zgromadzonych. Maldagha zapytała niepewnie:

– Rozebrać, powiadasz, ale czy udało im się przeciąć metal?

– Nie, jeszcze nie – przyznał Eril-Fane.

Pewność siebie, jaką emanowali Fellingeringowie, została podkopana. Tak jak i pozostałym, im również nie udało się nawet zarysować mesartjum. Porzucili arogancką pozę, zastąpiła ją determinacja.

– Ale dopiero co zaczęli, mamy też alchemika. Nikt nie dokonał tyle co on.

W kwestii rzezonego specjalisty trudno powiedzieć, czy odniósł jakiś sukces ze swoim alkahestem, bo wszystkie sekrety trzymał pod kluczem, tak jak swój tajemny składnik. Drzwi do krematoryjnego poddasza były zawsze zakluczone, otwierał je jedynie, kiedy donoszono mu posiłki. Przyniesiono mu tam nawet pryczę, aby mógł spać w laboratorium, co jednak nie znaczyło, że nigdy stamtąd nie wychodził. Tzara, która trzymała straż, widywała go ciemną nocą, kiedy chadzał samotnie do północnej kotwicy. Lazlo podejrzewał, że chciał eksperymentować z mesartjum bez choćby jednego świadka. Kiedy Tzara powiedziała mu o tym, poszedł zbadać powierzchnię kotwicy, chcąc się przekonać, czy Thyon coś wymyślił, lecz nie znalazł żadnego śladu mogącego wskazywać, że mu się udało. Rzec jasna ściana była długa i mógł coś pominąć, ale nie sądził, by tak się stało. Cały mur pozostał tak samo gładki i nienaturalnie perfekcyjny jak za pierwszym razem, kiedy go zobaczył.

Spotkania rady nie zwołano po to, aby przekazać Zeyyadinom dobre nowiny. Eril-Fane miał ogłosić coś zupełnie innego.

– Jutro – powiedział; głos jakby zawisnął w powietrzu – wypróbujemy jedwabne sianie.

Jego słowa odniosły natychmiastowy skutek... i odwrotny do przewidywanego. W każdym mieście na świecie statki powietrzne – prawdziwe, działające, latające – byłyby źródłem zachwyty, ale ci mężczyźni i te kobiety pobladli. Z pięciu twarzy jak na zawołanie odpłynął kolor, a rozgościł się na nich grymas sygnalizujący przestrach. Starzec zaczął kręcić głową. Maldagha zacisnęła mocno usta, chcąc powstrzymać ich gwałtowne drżenie i, gestem, który Lazlo z bólem serc odszyfrował, położyła sobie dłoń na brzuchu. Suheyla miała ten sam odruch i chyba wiedział, co on oznacza. Cała piątka starała się zachować spokój, lecz zdradzały ich miny. Lazlo nie widział nikogo tak złęknionego od dnia, kiedy mieszkających w zakonie chłopców za karę zamknięto w krypcie.

Nigdy nie był świadkiem dziecięcego przerażenia u dorosłych.

– Przeprowadzimy jedynie test – mówił dalej Eril-Fane. – Musimy ustalić, czy jesteśmy zdolni pokonać drogę z miasta do cytadeli i z powrotem. Bo... – przełknął ślinę, nie śmiał spojrzeć na nikogo, kiedy dopowiadał resztę – muszę ją zobaczyć na własne oczy.

– Ty? – zapytał jeden z mężczyzn. – Masz zamiar się tam udać?

Pytanie to wydawało się dziwne. Nigdy nie przyszło Lazlo do głowy, że mógłby zostać.

– Liczyłem na to, że ty również tam polecisz, Shajanie. Byłeś świadkiem końca – odpowiedział Eril-Fane ponurym głosem.

„Końca? Dnia, kiedy poginęli bogowie?“, myśli Lazla pomknęły ku muralowi w alejce, na którym heros tego miasta miał sześcioro ramion, wszystkie uniesione w tryumfalnym geście.

– Od lat cytadela stoi martwa – ciągnął – i niektórzy z nas wiedzą lepiej niż inni, w jakim stanie... ją zostawiliśmy.

Zebrani odwrócili głowy, nie chcąc na siebie patrzeć. Dość osobliwe. Lazlo



pomyślał, że podobnie odmawiali choćby jednego spojrzenia na cytadelę. Przyszło mu do głowy, że zwłoki nadal tam zalegają, porzucone, gdzie bogowie wydali z siebie ostatnie tchnienie, lecz nawet jeśli, to nie rozumiał, czemu ta myśl miałaby wywoływać lęk i przyprawiać o drżenie ciała.

– Nie mógłbym – wydyszał Shajan, wpatrzony we własne, roztrzęsione dłonie. – Nie możesz tego ode mnie wymagać. Sam widzisz, jaki dzisiaj jestem.

Lazło odniósł wrażenie, że cała ta sytuacja jest nieco rozdmuchana. Dorosły mężczyzna nagle zamienia się w kłębek nerwów na myśl o wejściu do pustego budynku – nawet tak złowieszczego jak cytadela – bo można tam natrafić na szkielety? Chłopak zdziwił się jeszcze bardziej.

– Nadal możemy się przecież gdzieś przenieść – wybełkotała Maldagha, poruszona nie mniej od Shajana. – Nie musisz tam lecieć. Nie musimy robić tego wszystkiego. – Dało się wyczuć w jej głosie desperację. – Zbudujemy miasto na Enet-Sarra, jak rozmawialiśmy. Zrobiliśmy konieczny rekonesans i wystarczyłoby nam tylko dać sygnał, a zaczęlibyśmy od nowa.

Eril-Fane pokręcił głową.

– Gdybyśmy tak zrobili, znaczyłoby to, że to oni odnieśli zwycięstwo, nawet po śmierci. A tak nie jest. To nasze miasto, wzniosły je nasze matki i nasi ojcowie, na ziemi pobłogosławionej przez samą Thakrę. Nie porzucimy jej. To nasze niebo i odzyskamy je.

Równie dobrze mógłby te słowa wykrzyczeć przed bitwą. Mały chłopiec bawiący się niegdyś w sadzie w Tizerkane'a delektowałby się ich smakiem na języku. Lecz Eril-Fane nie krzychał. Jego głos dochodził jakby z oddali, niczym ostatnie echo przed zapadnięciem ciszy.

– Co to było? – zapytał Lazło, kiedy wyszli.

– Strach – odparł mężczyzna.

– Ale... przed czym? – Nie mógł pojąć. – Cytadela jest pusta, co im się może stać? Eril-Fane odetchnął ciężko.

– Bałeś się ciemności jako dziecko?

Lazła przeszedł dreszcz. Przypomniał sobie klasztor i noce spędzone z martwymi mnichami.

– Tak – powiedział krótko.

– A przecież tak naprawdę nie może cię zranić, prawda?

– Tak.

– Cóż, tutaj wszyscy jesteśmy dziećmi w mroku.

Pod koniec każdego dnia wypełnionego obowiązkami i zachwykami Lazlo szedł na noc do domu Suheyli. Kiedy przechodził przez Aleję, ten pojedynczy pas światła, zobaczył idącego do budynku cechu chłopca na posyłki, który dźwigał tacę zastawioną pustymi naczyniami. Domyślił się, że młodzieniec zdążył już odwiedzić leżące naprzeciwko krematorium. Przyniósł Thyonowi kolację i odebrał brudne talerze i miski. Lazlo przywitał się i zadumał nad tym, jak radzi sobie alchemik. Nie widział go już od paru dni, od czasu, kiedy tamten zatrzasnął na głucho drzwi do swojej pracowni i nie powiadamiał nikogo o postępach mimo prośby Erii-Fane'a. Po chwili wahania Lazlo zmienił kurs i udał się do krematorium. Po drodze mijając kotwicę, powiódł palcami po całej jej długości, usiłując wyobrazić sobie, że metal wygina się i zmienia, jak podobno robił na życzenie mrocznego boga Skathisa. Kiedy zapukał do ciężkich, zabezpieczonych trzema zamkami drzwi Thyona, ten niemal od razu otworzył, co mogło jedynie oznaczać, że spodziewał się chłopaka z kolejną tacą. A w każdym razie jakiegoś innego gościa, bo kiedy zobaczył Lazla, bez słowa zaczął zamykać drzwi.

– Czekaj – powiedział Lazlo, blokując je stopą; miał szczęście, że założył buty, bo gdyby nadal nosił swoje bibliotekarskie kapcie, Thyon zmiażdżyłby mu palce. – Przychodzę z nadania Erii-Fane'a – dodał, poirytowany.

– Nie mam nic do zameldowania – odparł Thyon. – Możesz mu to przekazać.

Lazlo nie zabrał stopy. Drzwi były uchylone na zaledwie dziesięć centymetrów. Niedużo, lecz gława ustawiona w przedpokoju rzucała na tyle mocne światło, że widział Thyona – a raczej jego niewielki wycinek – całkiem wyraźnie. Zmarszczył brwi.

– Nero, dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – wydusił z siebie złoty chrześniak. – Czy mógłbyś zabrać stopę?

– Nie mógłbym – odparł Lazlo, autentycznie zaniepokojony. – Niech no na ciebie spojrzę, wyglądasz jak śmierć.

W Thyonie dokonała się drastyczna transformacja i to w zaledwie parę dni. Miał ziemistą cerę, a białka jego oczu zaszyły żółcią. Cofnął się za drzwi.

– Zabierz stopę – powiedział, siląc się na spokój; nawet jego głos brzmiał, jakby pobladł – albo wypróbuję na niej ostatnią partię alkahestu.

Niezbyt radosna perspektywa. Lazlo zastanawiał się, jak prędko substancja przeżarłaby skórę buta.

– Nie wątpię, że byś to zrobił – powiedział równie spokojnie co Thyon. – Ale stawiam, że nie masz nic podobnego pod ręką. Musiałbyś odejść od drzwi, a wtedy zdążyłbym je otworzyć i dobrze ci się przyjrzeć. Daj spokój, Nero. Jesteś chory.

– Nie jestem chory.

– Coś ci dolega.

– Nie twoja sprawa, Strange.

– Nie mam pojęcia, czy moja, czy nie moja, ale zostałeś tu sprowadzony z pewnego powodu i być może jesteś ostatnią nadzieją Szłochu, dlatego przekonaj mnie, żeś zdrowy,

albo idę prosto do Eril-Fane'a.

Alchemik westchnął z nieskrywaną irytacją i nareszcie odsunął się od drzwi. Lazlo popchnął je stopą i od razu stało się jasne, że się nie mylił. Thyon istotnie wyglądał okropnie, choć należało przyznać, że nawet w takim stanie prezentował się ociupinkę lepiej, niż większość ludzi kiedykolwiek miała nadzieję wyglądać. Ale jakby się postarzał. Nie chodziło nawet o to, że pobladł. Skóra wokół jego oczu zwiotczała, otaczały je ciemne obwódki.

– Bogowie... Nero – powiedział Lazlo, wchodząc do środka – co ci się stało?

– Przepracowanie – odparł alchemik z ponurym uśmiechem.

– To śmieszne. Nikt nie wygląda na tak wyczerpanego po paru dniach wyętej pracy.

Spojrzenie Lazla padło na roboczy stół Thyona. Była to nieco prostsza, prymitywniejsza wersja tego z Chryzopezjum, zastawiono go przyrządami ze szkła i miedzi, książki zalegały na blacie całymi stosami. Czuć było dym, siarka drażniła nozdrza, a na samym środku stołu leżała długa strzykawka, jak wszystko inne wykonana ze szkła i miedzi. Igła spoczywała na pogniecionej białej szmatce upstrzonej plamkami czerwieni. Lazlo przyjrzał się jej i odwrócił się do Thyona, który nadal patrzył na niego umęczonymi oczyma. Co przed chwilą powiedział? Że nie da się wyglądać aż tak źle po paru dniach wyętej pracy? A co, jeśli powodzenie postawionego przed nimi zadania zależało od stałego dostępu do ducha, którego jedynym źródłem było ciało?

– Ty idioto – wysyczał Lazlo przez zaciśnięte zęby. Thyon spojrzał na niego ze szczerym niedowierzaniem. Nikt przecież nie nazywał złotego chrześniaka idiotą, nawet kiedy, jak w tym przypadku, okazywał się nim. – Ile tego wzięłeś? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Lazlo pokręcił głową. Zaczynał tracić cierpliwość.

– Możesz sobie łąć, ile chcesz, ale zapominasz, że znam twój sekret. Jeśli jesteś tak cholernie zdeterminowany, aby go zachować, Nero, to jestem jedyną osobą na świecie, która może ci pomóc.

Thyon zaśmiał się, jakby usłyszał dobry żart.

– A czemu niby miałbyś mi pomagać?

Nie powiedział jednak tego tym samym tonem co kiedyś, gdy byli młodszy, wtedy nie sądził, że Lazlo ma wiedzę, by mu pomóc. Teraz wątpił jedynie w jego chęć.

– Z tego samego powodu, dla którego pomogłem ci dawniej.

– Czyli jakiego, Strange? – naciskał Nero.

Lazlo przyglądał mu się przez chwilę. Odpowiedź nie mogła być prostsza, a jednak nie sądził, aby Thyon zdołał mu uwierzyć.

– Bo tego potrzebowałeś – powiedział.

Zapadło milczenie. Zaoferowanie komuś pomocnej dłoni tylko dlatego, że jej potrzebuje, mogło się wydawać radykalnym posunięciem. Ale tak trzeba. Czy aby na pewno? Nawet jeśli było się potem za to nienawidzonym, karany, okłamywanym, okradanym i wyszydzanym? Lazlo miał nadzieję, że to nie Thyon okaże się wybawicielem Szłochu, że to nie on przegoni ciemność. Lecz jeszcze bardziej liczyło się dla niego ocalenie miasta, nawet jeśli miałby to zrobić właśnie ten człowiek.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał cicho. – Nie możesz odsysać swojego ducha. Prawdopodobnie się nie zabijesz – dało się bez ducha żyć, lecz cóż to za życie? – ale stracisz urodę. A to akurat, jak mniemam, okazałoby się dla ciebie jeszcze gorsze.

Thyon zmarszczył brwi, zmrużył oczy, jakby dumał nad tym, czy Lazlo sobie z niego kpi. Jasne, że tak, lecz przypominało to raczej jego przekomarzanki z Rużą albo żarciki z Calixte. Dlatego Thyon zdecydował, że jednak się nie obrazi. A może po prostu był na to zbyt zmęczony.

– Co proponujesz? – zapytał ostrożnie.

Lazlo odetchnął i przestawił się na tryb szukania rozwiązań. Thyon potrzebował ducha do produkcji azothu. Alchemik musiał mieć w Zosmie jakiś system, ale Strange nie umiał sobie wyobrazić, co by to mogło być. Jak zapewnić sobie stałe dostawy czegoś takiego jak duch bez wzbudzania niczyich podejrzeń? Najwyraźniej tutaj, bez wychodzenia i proszenia o pomoc – co równało się ujawnieniu tajnego składnika – miał do dyspozycji tylko swoje ciało i zbytnio je nadwyreżył. Lazlo wyklócał się z nim przez krótką chwilę, czy to nie odpowiednia pora, aby wyjawić tajemnicę, lecz Thyon nie chciał nawet o tym słyszeć. Ostatecznie sfrustrowany jego uporem zrzucił kurtkę i podwinął rękaw koszuli.

– Pobierz trochę ode mnie. Póki czegoś nie wymyślimy.

Mimo wszystko Thyon pozostał podejrzliwy, jakby Lazlo miał za moment wyjawić jakąś ukrytą motywację, i kiedy wyciągnął rękę, alchemik wydawał się skonsternowany. O ileż łatwiej byłoby mu uwierzyć, że chodzi o jakiś niecny plan, że obracają się trybiki zemsty, że Lazlo coś knuje. Lecz ten faktycznie zaoferował mu swoje żyły. Życiodajny płyn. Jakież to mógłby być plan?

Lazlo skrzywił się raz, kiedy Thyon wbił igłę, i drugi, kiedy okazało się, że to niewłaściwa żyła i zamiast ducha utoczył mu krwi. Alchemikowi flebotomia była obca, ale nawet nie przeprosił, Lazlo zaś nie narzekał. Szybko otrzymali fiolkę przejrzystego płynu, którą Thyon odstawił na stół i opatrzył etykietką, na której napisał, cokolwiek pogardliwie, „Duch bibliotekarza”.

Thyon jak nie przeprosił, tak i nie podziękował. Powiedział tylko, puszczając rękę Lazla:

– Umyj czasem łapy, Strange.

Lazlo się uśmiechnął, bo owo chroniczne niezadowolenie oznaczało powrót na znajome terytorium. Spojrzał na swoją dłoń. Faktycznie wyglądała na brudną.

Przypominał sobie, że przecież po drodze dotykał kotwicy.

– To mesartjum – powiedział. – Zauważyłeś, że reaguje ze skórą? – dodał z zaciekawieniem.

– Z niczym nie reaguje.

– Ale czy zauważyłeś, że zostaje na skórze? – nalegał Lazlo, odwijając rękaw.

Thyon uniósł czyste dłonie i to musiało wystarczyć za odpowiedź. Lazlo wzruszył ramionami i założył kurtkę. Odpowiedź Thyona nie wróżyła jednak zbyt dobrze całemu przedsięwzięciu. Zanim bibliotekarz wyszedł, przystanął jeszcze na progu.

– Eril-Fane będzie wypytywał. Znalazłeś coś? Czy alkahest ma jakikolwiek wpływ na mesartjum?

Musiał zapytać, choć nie spodziewał się po alchemiku odpowiedzi. Thyon złapał za klamkę i był gotowy zatrzaskać drzwi, lecz zawahał się na pół sekundy, jakby uznał, że Lazlo zasłużył sobie na tę rzuconą z niechęcią pojedynczą sylabę:

– Nie.

Sarai czuła się, jakby zanikała. Wyparowywała ze zmęczenia. Ulatywała jak dym z komina lub dusza z ciała. Kawalek po kawalku, od skóry w głąb, fizycznie czuła, że znika, a raczej zmienia swój stan skupienia – z namacalnych krwi i ciała w zagubioną, rozproszoną mgiełkę. Ile to dni już jej tak minęło? Ile dni ciągnęła swój żywot od koszmaru do koszmaru? Mogłaby przysiąc, że całe tuziny, choć tak po prawdzie minęło dopiero pięć czy sześć.

„Tak wygląda teraz moje życie”, pomyślała smutno, zerkając na swoje odbicie w wypolerowanym mesartjum w garderobie. Opuszką palca dotknęła skóry twarzy, miała odcień fioletu, niemal jak śliwki na drzewach, a jej oczy wydawały się aż nazbyt duże, jakby wzorem Małej Ellen je sobie wyobraziła. „Gdybym była duchem – dumiała Sarai, patrząc na siebie jak na obcą osobę – co bym w sobie zmieniała?”. Odpowiedź wydawała się aż nazbyt oczywista, aż nazbyt żalosna. Pociągnęła palcem wokół pępka, gdzie, gdyby była człowiekiem, znajdowałby się tatuaż *elilith*. Czemu ją tak fascynowały? Owszem, były piękne, ale nie tylko o to chodziło. Może intrygował ją rytuał: utworzony z kobiet krąg zebrany, aby celebrować sam fakt istnienia, bycia kobietą, co już samo w sobie jest magiczne? A może chodziło o przyszłość, jaką zwiastowały: małżeństwo, macierzyństwo, rodzinę, ciągłość. Oznaczały bycie kimś. Życie. Nadzieję na przyszłość. Wszystko to, o czym Sarai nie śmiała nawet marzyć. Albo... wszystko to, o czym marzyć nie powinna. Tak jak koszmary marzenia potrafiły być złowieszcze i nie lubiły, kiedy trzymało je się w zamknięciu. Jeśli miałyby *elilith*, nie zdecydowałyby się na węża pożerającego własny ogon, jak Tzara i inne młodsze kobiety, które osiągnęły dojrzałość już po wyzwoleniu. Miała serdecznie dość stworów mieszkających wewnątrz jej ciała – ciał, węży i innych okropności – i nie chciała ich nosić na skórze. Azareen, śmiała i opanowana, nosiła jeden z najpiękniejszych tatuauży, jakie Sarai kiedykolwiek widziała, oczywiście wykonany przez Guldan, którą Minya zaciągnęła do swej przeklętej armii. Przedstawiał on delikatny wzór kwitnącej jabłoni, symbol płodności. Sarai wiedziała jednak, że Azareen nienawidziła na niego patrzeć, nie znosiła tatuaużu, jak i wszystkiego, co sobą wykpiwał.

*Elilith* tatuowano na brzuchach, zwykle płaskich lub leciutko zaokrąglonych. A kiedy wypełniał się on obietnicą wydania na świat nowego życia, skóra rozciągała się, a rysunki wraz z nią. I potem nigdy nie wyglądały już tak samo. Dało się dojrzeć na nich wyblaknięcia, tam gdzie skóra się naciągnęła i na powrót skurczyła. Dziewczyny, które wykradał Skathis, miały gładkie *elilith*, kiedy je zabierał, ale nie, gdy je zwracał. Po tym, jak Letha pochłaniała ich pamięć, nie potrafiły sobie przypomnieć niczego, co spotkało je w cytadeli. Jedynie rozmazany tusz na brzuchach implikował, co się wydarzyło. Najgorzej miały jednak te dziewczyny, które znajdowały się w cytadeli w dzień, kiedy Eril-Fane zabił bogów. Musiały pójść do miasta z boskimi pomiotami w brzuchach i pamięcią o tym, co je spotkało. Azareen była pośród nich. Przybyła do cytadeli jako czyjaś żona – niedługo przedtem ścisnęła dłonie innych kobiet, kiedy tatuowano jej skórę

przy pępku. Dziecię nosiła do tej pory tylko raz, po tym, jak zapłodniono ją boskim nasieniem. Pamiętała każdą chwilę – od gwałtu, który rozpoczął jej męczarnię, aż do rozdzierającego bólu, który ją zakończył. Nigdy nawet nie spojrzała na dziecko. Zamknęła oczy i zaciskała powieki, póki go nie zabrali. Słyszała jednak słabowity płacz. Słyszy go do dziś.

Sarai również. Nie spała, nie śniła, lecz lęki nie odpuszczały. Pokręciła głową, jakby mogła się w ten sposób ich pozbyć, ale i bogowie, i ludzie uczynili tyle okropieństw, że nie dało się ich, ot tak, wymazać.

Sięgnęła po czystą koszulę nocną. Wybrała bladozieloną, choć nawet tego nie odnotowała. Po prostu wyciągnęła na oślep rękę i ściągnęła pierwszą lepszą. Założyła ją na nagie ciało, narzuciła na to suknię, zacisnęła pas i spojrzała raz jeszcze w swoje odbicie: duże, złężnione, zdradzające opowieść o koszmarach i nieprzespanych nocach. Jedno spojrzenie na nią i Minya z pewnością się uśmiechnie. „Dobrze spałaś?”, zapyta. Teraz zawsze pytała. A Sarai znowu odpowie jej „Jak dziecko” i będzie udawała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie dało się jednak przegonić opuchlizny spod oczu. Przez chwilę rozważała, czy nie powinna zamalować ich czarną farbą matki, ale uznała, że to zbyt czasochłonne i nie warte zachodu.

Wyszła z garderoby. Trzymające straż duchy przypatrywały się jej, kiedy przechodziła. Nadal szeptały słowa Minyi, lecz zdążyła się już na to znieczulić. Próbowwała ignorować nawet Bahar, przemoczoną do suchej nitki dziewięciolatkę, która szła za nią korytarzem, mamrocząc „Ocal nas” i zostawiając po każdym kroku mokre odciski stóp. Naprawdę się starała, lecz nie potrafiła uodpornić się na Bahar.

– Dobrze spałaś? – zapytała Minya, jak tylko Sarai weszła do krużganka. Dziewczyna rzuciła jej błady uśmiech.

– A niby czemu miałabym spać źle? – odparła dla odmiany.

– Ty mi powiedz, Sarai. Przez upór?

Sarai doskonale rozumiała, o co chodzi: musiała jedynie poprosić Minyę o śpiocha, a niebawem by go otrzymała. Zaraz po tym, jak spełniłaby życzenie dziewczynki. Otwarcie konflikt między nimi nie istniał – nie wypowiedziano na głos, że Minya dopuszczała się sabotażu – ale dało się to odczytać z każdego spojrzenia.

Przecież uratowałyby ich kilka minut obrzydzenia.

Jeśli Sarai zabije Eril-Fane’a, znowu będzie spała spokojnie. Jaki to problem? Przecież jej ojciec nie poświęciłby ani chwili spokojnego snu, żeby uratować córkę. Lecz dla Sarai nie miało znaczenia, co by zrobił bądź czego by nie zrobił. Nie miała zamiaru nikogo zabijać. Była uparta, nawet bardzo, i nie przehandlowałaby swojej przyzwoitości czy miłosierdzia za sen. Nie będzie błagać Minyi o śpiocha. Cokolwiek się zdarzy, nie ugnie się już nigdy więcej przed jej wolą.

Poza tym nadal nie odnalazła ojca. O to również chodziło. Choć Minya jej nie wierzyła. Rozglądała się za nim. Była pewna, że wrócił do Szlochu po części dlatego, że Azareen nie przyjechałaby bez niego, a po części, że przenikał przez sny pozostałych *faranji* niczym migocząca nić łącząca ich wszystkich. Ale kiedy i gdzie sypiał, nie potrafiła ustalić.

– Ja jestem uparta? – Zaśmiała się Sarai, unosząc powieki. – Spójrz na siebie.

Minya nie zaprzeczyła.

– Pytanie brzmi: która z nas jest bardziej – wypowiedziała, jakby rzucała wyzwanie.

– Chyba będziemy miały okazję się przekonać – rzuciła Sarai.

Podano kolację i zeszli się pozostali. Jaskółka i Ruby przyszły z ogrodu. Feral, ziewając, od strony swojej sypialni.

– Drzemka? – zapytała go Sarai.

Ostatnio wszystko się sypało. Feral za dnia przynajmniej miał próbować nie spuszczać dziewczyn z oka, upewnić się, że żadna nie zrobi czegoś głupiego i nie złamie Reguły. Choć zapewne nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Chłopak wzruszył w odpowiedzi ramionami.

– Coś się wydarzyło?

Chodziło mu o wczorajszą noc. To jego rutynowe pytanie. Sarai przypominało się o dawnych czasach, kiedy opowiadała im jeszcze o swoich wizytach w mieście, a wszyscy pytali ją o coś innego: Jaskółka czekała na pocztówki z szarego życia, Ruby na pikantne szczegóły, Minya na krzyki. Tylko Feral nie dopytywał o nic szczególnego, zaczął dopiero niedawno. Chciał się dowiedzieć wszystkiego o *faranji* i ich pracowniach, o diagramach na stołach kreślarskich i chemikaliach w probówkach, o snach w ich głowach. Sarai opowiadała mu o tym, co zapamiętała, i razem próbowali ustalić, jakież niebezpieczeństwo może im grozić. Feral utrzymywał co prawda, że chodzi tylko i wyłącznie o opracowanie strategii obronnej, lecz ujrzała w jego oczach głód i pragnienie – pożądliwie słuchał o księgach i dokumentach, o przyrządach i bulgoczących zlewkach, o ścianach pokrytych nabazgranymi nań cyframi i symbolami, których Sarai nie potrafiła jednak rozszyfrować. Jej opowieści były dla niego niczym witryna sklepu ze słodyczami, życie, za którym tęsknił, dlatego starała się opowiadać jak najciekawiej. Przynajmniej tyle mogła mu dać.

Ale tego wieczoru nie miała do przekazania nic dobrego.

– Latające maszyny – powiedziała. Obserwowała, jak dzień po dniu składali je do kupy w jednym z pomieszczeń budynku cechu, aż nareszcie nabrały kształtu znanego jej ze snów pary inżynierów. Jej łęki dopadły ją z wielką siłą. – Wydaje się, że są gotowi.

Ruby i Jaskółka gwałtownie wciągnęły do płuc powietrze.

– Kiedy wylecą? – zapytała chłodno Minya.

– Nie wiem. Niebawem.

– Mam taką nadzieję. Zaczynam się nudzić. Na cóż mi armia, której nie mogę rzucić do boju?

Sarai nie dała się złapać na tę przynętę. Dobrze przemyślała, co i jak powiedzieć.

– Nie musi do tego dojść – zwróciła się do Ferala. – Kobieta boi się o pogodę. Odczytałam to z jej snów. Nie polecą w chmury. Maszyny nie są chyba zbyt wytrzymałe. – Próbowała nadać swojemu głosowi pozór spokoju, brzmieć racjonalnie, ani defensywnie, ani bojowo. Po prostu wychodziła z rozsądnym rozwiązaniem mającym na celu uniknięcie rozlewu krwi. – Gdybyś przywołał burzę, nie zdołaliby się nawet do nas zbliżyć.

Feral rozmyślał nad jej słowami, zerkając na Minyę, która siedziała z łokciami



opartymi na blacie stołu, podtrzymując głowę jedną dłonią, a drugą skubiąc kimrilowe ciasteczka.

– Och, Sarai – powiedziała. – Cóż za pomysł.

– Dobry – zauważyła Jaskółka. – Po co mamy walczyć, skoro możemy tego uniknąć?

– Uniknąć? – syknęła Minya. – Myślisz, że gdyby byli świadomi naszej obecności, martwiliby się takimi rzeczami? – Odwróciła się do stojącego za krzesłem Ari-Eila. – Co? – zapytała. – Jak myślisz?

Bez względu na to, czy Minya pozwoliła mu odpowiedzieć, czy odpowiedziała za niego, Sarai nie miała żadnych wątpliwości, że powiedział czystą prawdę:

– Wybiją was wszystkich – wycodził.

Minya rzuciła Jaskółce tryumfalne spojrzenie krzyczące „A nie mówiłam?”.

– Nie wierzę, że w ogóle o tym rozmawiamy – powiedziała. – Kiedy zbliża się wróg, nie zwołuje się chmur, ale łapie za noże.

Sarai odwróciła głowę do Ferala, unikał jej spojrzenia. Nie trzeba już było zresztą niczego dodawać. Nie miała najmniejszej ochoty wracać do swojej malutkiej alkowy, która, jak jej się wydawało, została wypchana koszmarami zgromadzonymi przez ostatnie dni, więc wyszła do ogrodu z Jaskółką i Ruby. Wszędzie pałętały się duchy, lecz pnącza i kłęby kwiatów tworzyły zakamarki na tyle przestronne, że niemal dało się w nich ukryć. Jaskółka zanurzyła dłoń w ziemi, skoncentrowała się i po chwili wyrosły z niej pędy liriopie wystarczająco wysokie, aby zasłonić dziewczęta przed światem.

– Co zrobimy? – zapytała cicho Jaskółka.

– A co możemy zrobić? – odparła zrezygnowana Ruby.

– Mogłabyś przytulić do siebie Minę, objąć ją naprawdę mocno – rzekła Jaskółka z niespotykaną u niej ostrością. – Jak wtedy powiedziała? Że możesz zrobić ze swoim darem coś więcej niż podgrzewać wodę do kąpieli i palić ciuchy?

Minęła chwila, zanim Ruby i Sarai zrozumiały, o czym mówi. I obie oniemiały.

– Jaskółko! – wykrzyknęła Ruby. – Sugerujesz, że mogłabym... – przerwała, spojrzała na duchy i dokończyła zdanie szeptem – spalić Minę?

– Jasne, że nie – odparła Jaskółka, choć dokładnie o to jej chodziło. – Przecież nie jestem taka jak ona, prawda? Nie pragnę niczyjej śmierci. Poza tym – dodała, jakby zdążyła już rozważyć całą tę sprawę – gdyby Minya zginęła, odeszłyby obie Ellen i pozostałe duchy.

– I musiałybyśmy wszystko robić same – burknęła Ruby.

Jaskółka wymierzyła jej kuksańca w ramię.

– Tym się martwisz?

– Nie – zaprzeczyła Ruby. – Jasne, że by mi ich brakowało. No ale kto by nam gotował?

Jaskółka pokręciła głową i potarła policzki.

– Nie jestem nawet pewna, czy Minya się myli – powiedziała. – Może faktycznie to jedyna droga. Ale czemu się z tego cieszyć? Przecież to okropne.

– Bo ona jest okropna – odparła Ruby. – Lecz robi to dla nas. Chciałabyś stanąć przeciwko niej?

Ruby ostatnimi czasy była czymś tak zajęta, że nawet nie zauważała zmiany, jaka zaszła w Sarai, a co dopiero przyczyny takiego stanu rzeczy. Jaskółka była z natury bardziej empatyczna. Popatrzyła na Sarai, przyjrzała się jej wymizerowanej twarzy i opuchniętym oczom.

– Nie – powiedziała spokojnie. – Nie chciałabym.

– Czyli pozwolimy jej na wszystko? – zapytała Sarai. – Nie widzicie, do czego to prowadzi? Przez nią staniemy się jak nasi rodzice.

Ruby zmarszczyła brwi.

– Do tego nie dojdzie.

– Nie? – odparowała Sarai. – A ilu ludzi musimy zabić, zanim do tego dojdzie? Czy istnieje określona liczba? Pięć? Pięćdziesiąt? Kiedy już się zacznie, nie ma przeprosić. Zabij, skrzywdź jedną osobę, a nie będzie nadziei na normalne życie. Nigdy. Rozumiecie to, prawda?

Sarai wiedziała, że Ruby nie chce nikogo skrzywdzić, ale dziewczyna rozgarnęła kolce liriopie i odsłoniła oblegające skraj ogrodu duchy.

– A jaki mamy wybór, Sarai?

Gwiazdy jedna po drugiej wykwiwały na niebie. Ruby utrzymywała, że jest zmęczona i musi już iść do łóżka, choć nie wyglądała na wyjątkowo znużoną. Jaskółka znalazła pióro należące niechybnie do Zjawy, i zatknęła je Sarai za ucho. Zwykle zajmowała się jej włosami, delikatnie czesząc je dłońmi i nadając połysku za pomocą swego daru. Sarai czuła, jak rosną, czuła, że jaśnieją, jakby Jaskółka nasączała je światłem. Wydłużały się o centymetry, gęstniały. Zaplotła jej koronę z warkoczy, spod której spływały długie, pozawijane pukle, i przeplatała pnączami, płatkami orchidei, gałązkami paproci i owym białym piórem. A kiedy Sarai ujrzała swoje odbicie tuż przed wykrzyczeniem ciem, wyglądała nie jak bogini rozpaczy, lecz bóstwo z dzikiego lasu.

Szloch spał. Śniący śnili. Unosił się nad nimi wielki owal księżyc, a rozłożyste skrzydła cytadeli przecinały niebo na pół: jasność na górze, ciemność u dołu. Na wyciągniętej dłoni gigantycznego serafina trzymały straż duchy uzbrojone w kuchenne tasaki, niektóre trzymały też haki na mięso z przypiętymi doń łańcuchami. Księżyc lśnił na krawędziach ostrzy i odbijał się od zagiętych, zakończonych ostro kawałków metalu, odbijał się od szeroko otwartych z przerażenia oczu widmowych żołnierzy. Stali tam, skąpani w światłości, podczas gdy całe miasto u ich stóp tonęło w mroku.

Sarai posłała swoje ćmy do budynku cechu, gdzie większość delegatów smacznie spała, i do domów członków rady miasta, a niektóre do Tizerkane'ów. Przy Tzarze spoczywała jej obca kochanka, obie nie spały... dlatego Sarai prędko przepędziła stamtąd ćmę. Za to szykująca się do nocnego wypoczynku Azareen była zupełnie sama. Sarai przyglądała się, jak wojowniczką rozplata włosy, nakłada pierścionek i kładzie się do łóżka. Nie chciała jednak towarzyszyć jej snom. Wydawały jej się one bowiem zbyt... trudne. Sarai nie mogła przestać myśleć, że odegrała jakąś rolę w wykradnięciu Azareen życia, na które ta zasłużyła, jakby Muza zajęła miejsce dziecięcia, jakie kochająca się para powinna mieć. Może to nie jej dzieło, lecz nie potrafiła rozgrzeszyć się z winy.

Odwiedziła też złotego *faranji*. Wyglądał na chorego, jeszcze nie spał, nadal pracował pochylony nad stołem. Zajrzała również do tego pokrzywdzonego przez słońce, którego poraniona skóra goiła się dzięki cieniowi rzucanemu przez cytadelę, choć nie prezentował się przez to bardziej zachęcająco. On również nie miał zamiaru kłaść się do łóżka, łąził po mieście chwiejnym krokiem, pociągając czasem z butelki. Cóż, i tak nie lubiła zaglądać do jego umysłu. Wszystkie kobiety z jego snów były posiniaczone, a nigdy nie wytrzymała tam wystarczająco długo, aby się dowiedzieć, co im się przytrafiło. Przestała go odwiedzać już od drugiej nocy.

Każda ćma, każdy trzepot skrzydeł nosiły przytłaczający ciężar widmowej armii, zemsty i perspektywy kolejnej Rzezi. Jako że trwała okupacja jej tarasu, Sarai nie wyszła na zewnątrz, robiła pięciokrotnie krótsze kółka niż na dłoni. Brakowało jej światła księżyc, a wiatru. Chciałaby poczuć nieskończoność przestrzeni nad głową i wokół siebie, a nie tkwić w tej metalowej klatce. Przypomniała sobie, że Jaskółka porównała śnienie do ogrodu, mówiła, że można dzięki niemu choć na chwilę opuścić więzienie, naprawdę poczuć niebo. O ile zgadzała się, że cytadela to pułapka, była im także i azylem. A przynajmniej jeszcze przed tygodniem, kiedy miała śpiocha. Ale teraz... była piekielnie zmęczona.

Lazlo też padał z nóg. Miał za sobą długi i ciężki dzień, przekazanie ducha również nie przysłużyło się jego ciału. Zjadł z Suheylą kolację – nie oszczędził kucharzowi pochwał, ale nie powiedział nic na temat smaku na języku – i wziął następną kąpiel, tyle że tym razem moczył się tak długo, aż woda zdążyła wystygnąć, a i tak nie udało mu się zmyć szarości z dłoni. Jako że był kompletnie wyczerpany, jego myśli przelatywały niczym kolibry od jednej sprawy do drugiej, zawsze jednak zahaczając o strach; strach

przed cytadelą i tym, co się w niej wydarzyło. Przeszłość musiała ich prześladować, Eril-Fane'a nie mniej niż pozostałych. Do myśli Lazla co rusz powracały dwie twarze: ta z muralu, należąca do martwej bogini, i ta ze snu, obie niebieskie, o czerwonobrazowych włosach i z czarnym pasem wymalowanym na wysokości oczu. Podziwiał błękit, czerń i cynamon, zastanawiając się, jak mógł tę dziewczynę wyśnić, skoro nie wiedział, jak wygląda.

I czemu, jeśli faktycznie ujrzał jakiś powidok Isagol Groźnej, wydała mu się ona tak... niegroźna?

Wyszedł z wanny i osuszył się ręcznikiem. Założył na siebie świeżo wyprane lniane bryczesy, ale był zbyt zmęczony, aby zawiązać troczek. Poszedł prosto do sypialni, położył się na łóżku, nie trudząc się nawet ściągnięciem pledu, po czym zasnął już przy drugim oddechu.

Tak zastała go Sarai: leżącego na brzuchu z głową zasłoniętą ramionami. Długi, gładki trójkąt jego pleców wznosił się i opadał przy głębokich, równych oddechach, podczas gdy jej cma unosiła się nad nim, szukając odpowiedniego miejsca, żeby przysiąść. Ułożył się tak, że nie mogła się usadowić na jego skroni. Przez chwilę miała jeszcze do dyspozycji nierówną kość policzkową, lecz zaraz zasłonił się szczelniej i zniknęła nawet ta przestarzałość. Pozostawały plecy.

Zasnął, zapomniawszy zasłonić głowę. Padające pod niewielkim kątem światło rzucało nieduże cienie, napotykać wybrzuszenia mięśni, a większe pod zagłębieniami łopatek i wzdłuż linii kręgosłupa. Dla cmy był to niemalże księżycowy krajobraz. Sarai zleciała lekko w ciemną dolinę pomiędzy ramionami i jak tylko dotknęła skóry, wślizgnęła się w jego sny. Jak zwykle poruszała się w nich ostrożnie. Od pierwszego razu minęło już kilka nocy i zawsze przemykała chyłkiem niczym złodziej. Choć przecież nic nie kradła. Nawet snów. Nawet ich nie zmieniała. Za bardzo jej się podobały, na tyle, na ile podobać się może bierna obserwacja czyichś marzeń. To jak przysłuchiwać się sonacie dobiegającej zza ogrodowego muru. Kiedy jest się noc po nocy uwodzonym przez piękną muzykę, człowiek robi się ciekawy muzyka. Oczywiście znała śniącego, przecież przez cały ten czas, oprócz dzisiaj, siedziała mu na brwi, co nie było pozbawione pewnej osobliwej intymności. Zdążyła doskonale zapamiętać jego rzęsy, nauczyć się męskiego zapachu, mieszanki drzewa sandałowego i świeżego piżma. Przywykła już nawet do jego zakrzywionego, łobuzerskiego nosa. W snach nie zbliżała się do niego. Bo co, jeśli znowu ją zobaczy? A jeśli to jednak niemożliwe? Chciała się przekonać, lecz za bardzo się bała. Ale tej nocy coś się odmieniło. Zmęczyła się już ukrywaniem. Musiała sprawdzić, czy nadal ją widzi, może nawet spróbowałaby się dowiedzieć dlaczego. Przygotowała się na taką ewentualność, jak i na każdą inną. A przynajmniej myślała, że jest gotowa na wszystko.

Choć tak naprawdę nic nie mogło jej przygotować na sen, w którym zobaczy siebie.

\*\*\*

Znowu znalazła się na ulicach magicznego miasta, niby Szlochu, a jednak nie do końca Szlochu. Była noc, tym razem cytadela unosiła się wysoko nad ulicami, lecz nie blokowała księżyca, jakby śniący wyobrażał sobie jednocześnie miasto z cytadelą i bez niej. Nadal jednak wszystko lśniło nieprawdopodobnymi kolorami, nie brakowało

skrzydełek jak z jedwabnych niteczek, owoców i stworzeń wyjętych z baśni. Znowu spotkała centaury i jego panią. Szli obok siebie, a Sarai poczuła ukłucie nerwowości, kiedy zobaczyła, że się całują. Lubiła z nimi rozmawiać i słuchać ich opowieści.

Sarai zauważyła, że wszyscy, każda osoba i stworzenie, jakie ujrzała, tylko czekają, aby roztoczyć przed nią fantastyczne wizje. Chciała zaczepić kogo tylko się dało. Ale głównie ciekawił ją sam śniący. Zobaczyła go przed sobą. Dosiadał spektralnego. I wtedy wydarzyło się coś kompletnie surrealistycznego: obok niego, na zwierzęciu o ciele ravidy i głowie oraz skrzydłach białego orła, którego nazywali Zjawą, jechała... Sarai.

A jednak ona – prawdziwa Sarai – nadal stała tam, gdzie zjawiała się we śnie, na skrzyżowaniu ulic.

Lecz przecież widziała ich wyraźnie.

Widziała siebie.

Jechała na mitycznym stworzeniu we śnie *faranji*.

Nie mogła oderwać wzroku od tej sceny. Otworzyła usta i na powrót je zamknęła. Jak? Spojrzała raz jeszcze. Zmusiła się, żeby podejść bliżej i się przyjrzeć, ale uważała, aby nie zostać zauważoną.

Druga Sarai, na tyle, na ile mogła stwierdzić z tej odległości, wyglądała zupełnie jak ona pierwszej nocy: rozwichrzone włosy, czarna maska Isagol. Przy każdej innej okazji pomyślałaby zapewne, że ma przed sobą swoją matkę, bo podobieństwo między nimi było uderzające i ludzie faktycznie śnili o Isagol, a o Sarai nigdy. Lecz nie była to bogini rozpaczy. Jej matka wyróżniała się tym, że roztaczała wokół siebie aurę majestatu i okrucieństwa. Nie uśmiechała się radośnie, jak ta niebieska osóbką, którą miała przed sobą. Ta niebieska osóbką miała twarz Sarai, nie nosiła na sobie sukni ze skrzydełek żuka i nie przytroczyła do pasa sztyletu, ale założyła obszytą koronką białą koszulę nocną, tę samą, którą miała na sobie tamtej nocy.

Była częścią snu.

*Faranji* śnił o Sarai. Śnił o niej i... nie był to koszmar.

Tymczasem w cytadeli dziewczyna spowolniła kroku. Ćma przycupnięta pomiędzy łopatkami śniącego zadrzała. Sarai poczuła w gardle ból, jakby szloch, lecz niezrodzony ze smutku. Raz jeszcze spojrzała na siebie – na zapamiętany przez śniącego portret Sarai – i nie dostrzegła plugawości, nieszczęścia, boskiego pomiotu, ale dumną, uśmiechniętą dziewczynę o pięknej niebieskiej skórze. Taką właśnie ujrzał ją ten chłopak, taki obraz utrwaliły jego myśli. Choć on także był pewien, że ma przed sobą Isagol.

– Wybacz, że pytam – powiedział – lecz czemu rozpacz? Nie mogłaś być boginią czegoś innego?

– Nie powtarzaj tego nikomu – odparła Isagol – ale byłam boginią księżycy – wyszeptała, po czym dodała, jakby wyjawiała najpilniej strzeżoną tajemnicę: – A potem go utraciłam.

– Utraciłaś księżyc? – zapytał śniący i spojrzał na niebo, gdzie srebrny owal prezentował się w całej swej okazałości.

– Nie ten – odpowiedziała dziewczyna. – Inny.

– Był jakiś inny?

– O tak. Zawsze jest zapasowy, w razie czego.

– Nie miałem o tym pojęcia. Ale jak można... stracić księżyc?

– To nie moja wina – wyjaśniła. – Został ukradziony.

Głos dziewczyny nie należał ani do Sarai, ani do Isagol, powstał w wyobraźni, dlatego jego dziwność całkowicie ją zaskoczyła. Patrzyła na swoją twarz, na swoje ciało, a słyszała obcy głos wypowiadający cudaczne słowa, które nie miały z nią nic wspólnego. Jakby patrzyła w lustro i widziała po jego drugiej stronie zupełnie inne życie.

– Możemy kupić nowy księżyc, jeśli chcesz – zaproponował śniący.

– To można je gdzieś dostać?

I udali się oboje na zakupy.

Sytuacja ta przypominała scenę wyjętą z jakiejś fantastycznej opowieści, albo... ze snu. Sarai szła za nimi i z niekłamaną fascynacją obserwowała, jak zmierzają do małego sklepu pod mostem, zostawiają swoje wierzchowce przed drzwiami. Podeszła pod wielodzielne okno, pogłaskała opierzoną głowę gryfa i poczuła ukłucie absurdałnej zazdrości. Żałowała, że to nie ona dosiadała tego zwierzęcia i nie przerzucała teraz tacek z drogimi kamieniami, szukając odpowiedniego. Zobaczyła półksiężycy i kwadry, wypukłe oraz pełne, nie były to zawieszki, ale prawdziwe księżycy, choć miniaturowe, lśniące i z kraterami, jakby podświetlone promieniami odległej gwiazdy. Sarai/Isagol, czyli jak zaczęła o niej myśleć Sarai, naśladowczyni, nie potrafiła się zdecydować, więc wzięła wszystkie. Śniący zapłacił za nie pieniędzmi wygrzebanymi ze śmiesznej, zielonej, brokatowej portmonetki i po chwili księżycy lśniły na nadgarstku dziewczyny niczym przyozdobiona nimi bransoletka. Para wyszła ze sklepu i z powrotem dosiadła baśniowych stworzeń. Isagol uniosła rękę, a księżycowe zawieszki zadzwoniły niczym dzwoneczki.

– Pozwolą ci znowu być boginią księżycy? – zapytał śniący.

Sarai zastanawiała się z irytacją, o co chodziło z tym księżycem? Isagol to nie łagodne bóstwo.

– Gdzieżby – odparł sobowtór. – Jestem martwa.

– Tak, wiem. Przykro mi.

– Nie powinno. Byłam okropna.

– Nie wydajesz się okropna – odparł śniący i Sarai musiała przygryźć wargę, żeby się nie wtrącić.

Chciała wykrzyknąć: „To nie Isagol, to ja!”, ale przecież to nie ona. Może i ten fantazmat nosił jej twarz, lecz był jedynie strzępkiem wspomnień tańczącym na druciku, a wszystko, co mówiło lustrzane odbicie Sarai, stanowiło jedynie manifestację myśli śniącego. Tylko on widział boginię rozpaczliwie z księżycami zawieszonymi u nadgarstka i „niewydającą się okropną boginkę”.

Sarai mogłaby mu pokazać, czym są prawdziwe okropieństwa. Nadal była przecież Muzą Koszmarów i miała w swoim arsenale takie wizje Isagol, że zbudziłby się z wrzaskiem. Lecz to ostatnie, czego chciała, dlatego zrobiła coś innego. Rozwiązała jego fantazję jak ćmę na słońcu i zajęła jej miejsce.

Lazlo mrugnął. Przed momentem Isagol miała czarny pas namalowany na oczach, a teraz zniknął. Przed momentem włosy opadały jej na ramiona niczym szal, a teraz zlewały się kaskadą po plecach jak topiący się brąz. Nosiła koronę z warkoczy i pnączy oraz czegoś, co wziął za motyle, lecz prędko się zorientował, że to orchidee. Zatknęła sobie też pojedyncze białe pióro, które zawadiacko wystawało z tej kompozycji. Nie miała na sobie koszuli nocnej, ale suknię z wiśniowego jedwabiu ozdobioną pąkami bieli i szafranu. Pojawił się nowy zapach, rozmarynu i nektaru, dostrzegł też inne, subtelniejsze szczegóły: skóra dziewczyny miała nieco inny odcień, jakby dopasował się do blasku jej oczu. Jakby wyostrzyły się jej rysy albo opadł powłóczysty całun. Wydawała mu się prawdziwsza niż przed chwilą. No i już się nie uśmiechała.

– Kim jesteś? – zapytała.

Głos też miała inny. Akord zamiast nuty. Bogatszy, pełniejszy... mroczniejszy, jego brzmienie przepędziło słodką niedorzeczność sytuacji. Nie miała na nadgarstku księżyców. Na niebie też próżno było jakiegoś szukać. Świat wydawał się bardziej ponury. Lazlo uniósł głowę i zobaczył, że krawędzie cytadeli otaczał jedynie blady nimb światła.

– Lazlo Strange – odparł, nagle poważniejąc. – Do usług.

– Lazlo Strange – powtórzyła, a sylaby te wydawały się brzmieć egzotycznie na jej języku.

Dziewczyna patrzyła na niego przeszywająco. Nie mrugnęła ani razu. Niebieskie oczy miała bledsze niż skórę i wydawało się, że go sonduje.

– Ale kim jesteś?

Było to zarazem najprostsze, jak i najtrudniejsze z pytań i Lazlo szczerze nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Tak po prawdzie sam nie miał pewności co do tego, kim jest. Na pewno Strange'em, nieznanym, ale to miano niczego jej nie powie, poza tym nie sądził, aby chodziło jej o jego pochodzenie. Czyli kim właściwie był?

Po pojawieniu się dziewczyny zmieniło się otoczenie. Zniknął sklepik z księżycami, a z nim cały Szloch. Nie widział już cytadeli i rzucanego przez nią cienia. Lazlo i bogini nadal dosiadali mitycznych stworzeń, ale przenieśli się do Pawilonu Myśli, wysokiego na dwanaście metrów, pełnego zastawionych książkami półek. Grzbiety niektórych tomiszczy połyskiwały blaskiem drogich kamieni, inne złotem. Stojący na drabinach bibliotekarze wyglądali jak szare zjawy, odziani w szkarłat uczeni garbili się nad stołami. Taki obrazek ujrzał Lazlo przed siedmioma laty, kiedy takiego pechowca jak on spotkała odrobina szczęścia, bo otrzymał szansę na nowe życie.

Czyli tak brzmiała jego odpowiedź, a przynajmniej pierwsza, jaka przyszła mu do głowy. Oto, co nosił głęboko w sobie, nawet po sześciu miesiącach od wyjazdu.

– Jestem bibliotekarzem – odparł. – Raczej byłem, do niedawna. W Wielkiej Bibliotece w Zosmie.

Sarai rozejrzała się, sycąc się widokiem. Z miejsca zapomniała, o co miała zamiar

go wypytać.

„Gdyby tylko Feral to zobaczył...”

– Książki – powiedziała, zdumiona. – Nie miałam pojęcia, że jest ich na świecie aż tyle.

Lazla rozczulił jej zachwyty. Nazywają ją Isagol Groźną, ale nikt, kto okazuje taki szacunek książkom, nie może być zepsuty do szpiku kości.

– Czułem to samo, kiedy zobaczyłem ten pokój po raz pierwszy.

– Co w nich jest? – zapytała.

– To dział filozofii.

– Dział? – Odwróciła się do niego. – To są inne takie pomieszczenia?

Lazlo uśmiechnął się szeroko.

– Do tego liczne.

– I wszystkie pełne książek?

Pokiwał głową, dumny, jakby sam je napisał i oprawił.

– Chciałabyś zobaczyć moje ulubione?

– Tak – odpowiedziała.

Lazlo popędził Lixxę naprzód. Bogini dotrzymywała mu kroku. Jechali obok siebie niczym majestatyczne statuy z fantastycznej opowieści, przecinając środek Pawilonu Myśli. Skrzydła gryfa ocierały się o ramiona uczonych. Rogi Lixxy niemal zahaczyły o drabinę. Lazlo, wybitny marzyciel – czy to na jawie, czy we śnie – zachowywał się teraz jak wszyscy inni. Nie był świadomy, że śni. Przyjął reguły tego świata, ignorując logikę rzeczywistości, porzucił ją niczym bagaż na przystani. Sen rządził się swoimi prawami, lecz były one płynne, liczne i złożone. Sekretne schody prowadzące do zakurzonej piwnicy okazały się zbyt wąskie, aby mogły się na nich zmieścić stworzenia takie jak te, na których jechali, a jednak z łatwością zeszli na dół. Dawno odkurzył te księgi, z miłością i troską, lecz teraz zalegał na nich kurz tak gruby, jak pierwszego dnia jego pobytu: miękki kobierzec świadczący o minionych latach, skrywający najciekawsze tajemnice.

– Przynajmniej od pokolenia nikt poza mną ich nie czytał – powiedział.

Dziewczyna zdjęła jedną z książek i zdmuchnęła z okładki kurz, który osiadał niczym płatki śniegu na przewracanych przez nią stronach. Słowa zapisano w dziwnym alfabetcie, nie potrafiła ich odczytać.

– O czym ona jest? – zapytała, podając ją towarzyszowi.

– To jedna z moich ulubionych – odparł. – Epos o mahalath, magicznej mgle, która zjawia się co pięćdziesiąt lat i spowija wioskę na trzy dni i trzy noce. Każde żywe stworzenie, jakiego dotknie, zmienia się raz na lepsze, raz na gorsze. Ludzie wiedzą, kiedy nadejdzie, i większość ucieka, w ukryciu przeczekuje, aż się rozwieje. Ale zawsze parę osób zostaje, by zaryzykować.

– I co się z nimi dzieje?

– Niektórzy zmieniają się w potwory – powiedział – a inni w bogów.

– Czyli stąd się biorą bogowie – odparła gorzko.

– To akurat powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie, moja pani.

„Niezupełnie”, pomyślała Sarai, bo tak jak i ludzie nie miała pojęcia, skąd



pochodzą Mesarthimowie. A to jedynie sen. Zdążyła się przyzwyczaić, że nocne marzenia kierują się swoją logiką, i nie zaskakiwały jej żadne zjawiska, lecz nie była tym na tyle znużona, aby nie docenić ich piękna. Zaczął padać prawdziwy śnieg. Lśnił na podłodze jak rozsypany cukier. Ześlizgnęła się z grzbietu gryfa, poczuła pod bosymi stopami chłód. I to jej nie zaskoczyło. Nadal nie mogła jednak zrozumieć, nawet teraz, jak udaje jej się prowadzić rozmowę z nieznajomym. Kierowała już tyloma snami i napotykała prawdziwie chimeryczne wizje, lecz nigdy nie mogła niczego dotknąć. A tutaj rozmawiała, gawędziła nawet. Jak prawdziwa osoba.

– A ta? – zapytała, biorąc do ręki kolejną książkę.

Lazlo wziął ją od niej i zerknął na grzbiet.

– Podania ludowe z Vaire. To małe królestwo na południe od Zosmy. – Przekartkował tomiszcze i uśmiechnął się. – To by ci się spodobało. Traktuje o młodzieńcu, który zakochuje się w księżycu i próbuje go ukraść. Być może to jest twój winowajca.

– Udaje mu się?

– Nie. Musi się pogodzić z niemożliwym.

Sarai zmarszczyła nos.

– Chcesz przez to powiedzieć, że się poddaje?

– Cóż, mowa o księżycu.

Młody człowiek z opowieści miał na imię Sathaz. Tak oczarowało go odbicie księżycyca w głębokim stawie nieopodal jego domu w lesie, że wgapiał się w nie jak zahipnotyzowany, lecz kiedy wyciągał rękę, by go dotknąć, księżyc rozpadał się na tysiąc kawałków, a Sathaz wpadał do wody.

– A jednak komuś udało się go tobie skraść – powiedział Lazlo, spoglądając na jej nadgarstek, gdzie nie było już bransolety z księżycami.

– Może to on – odparła – a twoja opowieść nie mówi całej prawdy.

– Może – zgodził się Lazlo. – Sathaz zaszył się z księżycem w jakiejś jaskini i są razem szczęśliwi.

– I mają tysiące dzieci, stąd wzięły się głowy. Związek człowieka i księżycyca. – Sarai usłyszała samą siebie i zastanawiała się, co jest z nią nie tak.

Jeszcze przed momentem irytował ją cały ten nonsens o księżycach, o których bełkotał tamten fantazmat, a teraz sama gadała podobne bzdury.

„To przez Lazla. To jego umysł. Reguły są tutaj inne. Prawda również”, pomyślała. Było tam... przyjemniej.

Chłopak uśmiechnął się szeroko i na ten widok Sarai poczuła motylki w brzuchu.

– A ta? – zapytała, obracając się szybko i pokazując wielką księgę na wyższej półce.

– O, dzień dobry – powiedział Lazlo, sięgając po opasłe tomiszcze oprawione w bładozielony aksamit z wyszytą srebrną nicią aplikacją. – Oto ten drań, który złamał mi nos.

Podał Sarai księgę. Była tak ciężka, że mało brakowało, a upuściłaby ją na śnieg.

– Książka? – zapytała.

– Pierwszy dzień mojego terminu – powiedział żałośnie. – Krew lała się obficie.

Nie będę cię jednak obrzydzał i nie wskażę, gdzie na grzbiecie została plama.

– Zbiór baśni złamał ci nos – powtórzyła, nie mogąc się nie uśmiechnąć na myśl, jak błędne okazało się jej pierwsze wrażenie. – Myślałam, że to efekt jakiejś bójkii.

– Raczej zasadzki. Stałem na palcach, chciałem ją złapać i – dotknął nosa – dopadła mnie.

– Miałaś szczęście, że nie urwała ci głowy – powiedziała Sarai, oddając mu książkę.

– Niemale. Dość mi się dostało za złamany nos. Pewnie za urwaną głowę dopiekliby mi bardziej.

Sarai wyrwał się cichy śmiech.

– I tak wtedy nikt nie mógłby zmyć ci głowy.

– Obym nigdy się tego nie dowiedział – odpowiedział ponuro.

Dziewczyna przyjrzała mu się jak za pierwszym razem, kiedy go odwiedziła. Wówczas miała go za jakiegoś zawadiakę i uznała za mało przystojnego. Teraz jednak nie miało to nic do rzeczy, bo jawił się jej oszałamiający, miał profil niczym zdobywca na monecie z brązu. A to nawet lepiej.

Lazlo spłonił się, czując na sobie jej wzrok. Nie podejrzewał, że ktoś może mieć dobre zdanie na temat jego wyglądu, bo sam miał całkiem odmienne. Z kolei jemu Sarai wydała się czarująca. Miała pełne policzki, ostro zarysowany, malutki podbródek, a jej usta kuśły bogatym odcieniem dojrzałej śliwki, tyle że dolna warga na środku lekko się wgłębiała; wargi wyglądały na miękkie niczym morele. Kąciki jej uniesionych w uśmiechu ust przypominały krańce półksiężyca, a brwi wydawały się jaśniejsze na tle niebieskiej skóry, miały, tak jak włosy, kolor cynamonu. Lazlo co rusz zapominał, że bogini została zamordowana, a potem to sobie przypominał i za każdym razem robiło mu się przykro; jak mogła nie żyć i tu być? Logika marzeń sennych nie kłopotowała się jednak podobnymi zagwozdkami.

– Dobry boże, Strange – rozległ się czyjś głos i Lazlo zobaczył, że schodzi do nich nie kto inny jak mistrz Hyrrokkin, pchając biblioteczny wózek. – Chodzę i cię szukam!

Dobrze było go zobaczyć. Lazlo objął staruszkę, lecz fala emocji, jaka go uderzyła, nie została ciepło przyjęta, doprowadziła raczej starego bibliotekarza do szewskiej pasji.

– Co w ciebie wstąpiło? – oburzył się, wygładzając szaty. – Wnioskuje, że w Szłochu wszyscy tak chodzą i ściskacie się jak zapaśnicy z niedźwiedziami, co?

– Dokładnie tak – odparł Lazlo. – Tyle że bez niedźwiedzi. I bez zapasów.

Mistrz Hyrrokkin zauważył towarzyszkę Lazla i ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

– A to kto? – zapytał, głos wzniosł mu się co najmniej o oktawę.

– Mistrzu Hyrrokkinie, to Isagol. Isagol, to mistrz Hyrrokkin.

– Czemu jest niebieska? – zapytał staruszek teatralnym szeptem.

– To bogini rozpaczy – odparł Lazlo, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– Nie, to nie ona – odpowiedział po chwili mistrz Hyrrokkin. – Pomieszało ci się. Spójrz na nią.

Lazlo spojrział, lecz po to, aby posłać Sarai przepaszające wzruszenie ramion, a nie potwierdzić przypuszczenie bibliotekarza. Przecież wiedział, kim jest. Zobaczył ją na

muralu i Eril-Fane to potwierdził. Choć nie była oczywiście do siebie tak podobna bez czarnego pasa na oczach.

– Zrobiłeś, jak radziłem? – zapytał mistrz Hyrrokkin. – Dałeś jej kwiaty?

Lazlo pamiętał słowa staruszka. „Nazrywaj po drodze kwiatków i daj któreś”. I coś jeszcze: „Serdeczne oczy i szerokie biodra”. Zaczerwienił się. Stojąca przed nim dziewczyna była bowiem bardzo szczupła, a po bogini rozpaczy nie spodziewał się serdecznych oczu. Choć je miała.

– Nie dałem – odparł, czując się cokolwiek niezręcznie, chciał przepędzić z głowy wszystkie myśli odnoszące się do tego tematu. Znał lubieżne zagrywki starego, więc czekał zniecierpliwiony, aż sobie pójdzie, zanim powie lub zrobi coś nieodpowiedniego. – Bo to nie tak...

Isagol zaskoczyła go jednak, bo podniosła dłoń i pokazała bransoletę, która znowu się na niej pojawiła.

– Dał mi jednak księżyc – powiedziała.

Nie było tam wszystkich zawieszek, a tylko jedna: biało-złoty półksiężyc, jasny i błyszczący, jakby faktycznie zerwano go z nieba.

– Dobra robota, chłopcze – ucieszył się mistrz Hyrrokkin i dodał, znowu teatralnym szeptem: – Nie zaszkodziłoby jej trochę ciała, że tak powiem, ale tam, gdzie trzeba, ma się czym pochwalić. Chyba nie chciałbyś poobijać się o gnaty, kiedy będziecie...

– Proszę, mistrzu Hyrrokkinie – przerwał mu pośpiesznie Lazlo. Twarz go piekła. Bibliotekarz się zaśmiał.

– Na cóż mi być starym, skoro nie można wprawiać w zakłopotanie młodych. No nic, dam wam spokój. Miłego dnia, pani. Przyjemnością było cię poznać. – Ucałował jej dłoń, odwrócił się i szturchnął Lazla łokciem, rzucając na odchodne głośnym szeptem: – Cóż za zachwycający odcień niebieskiego.

– Mój mentor – wyjaśnił bogini Lazlo. – Ma nie najlepsze maniery, ale złote serce.

– I tak się na tym nie znam – odparła Sarai, która nie dopatrzyła się w zachowaniu staruszka niczego nieodpowiedniego, i upomniała się, że to tylko kolejna projekcja umysłu chłopaka.

„Pomieszało ci się – powiedział bibliotekarz. – Spójrz na nią”.

Czy to znaczyło, że Lazlo ją przejrzał i odgadł, że nie jest Isagol? Ucieszyła ją ta myśl i zrugła się za to, że jej w ogóle na tym zależy. Odwróciła się z powrotem do półek i przejechała palcem po grzbietach poustawianych na nich książek.

– Czy wszystkie te książki traktują o magii? – zapytała.

Zastanawiała się, czy Lazlo to ekspert od magii i czy dlatego Eril-Fane go ze sobą zabrał.

– To głównie mity i podania – odparł. – Nic, co byłoby przedmiotem zainteresowania uczonych, bo przecież to, co przyjemne, nie może być zbyt istotne. Odkładali je tutaj i zapominali o nich. Pieśni, zaklęcia, przesady. Serafyny, omeny, demony, wróżki. – Wskazał na jedną z półek. – Te są o Szlochu.

– Szloch nie jest istotny? – zdziwiła się. – Mieszkańcy miasta mogliby się z tobą nie zgodzić.

– Uwierz mi, to nie moje zdanie. Gdybym był uczonym, to bym się o to spierał, ale

rozumiesz, nie jestem nikim ważnym.

– Nie? A czemu?

Lazlo spojrział na stopy, niechętny, by tłumaczyć swoją małość.

– Jestem znajdą – powiedział, podnosząc głowę. – Nie mam ani rodziny, ani imienia.

– Ale przecież przedstawiłeś mi się.

– Moje imię mówi światu, że nie posiadam własnego imienia. Jest jak tabliczka zawieszona u szyi, na której napisano „Nikt”.

– Czy imiona są aż tak ważne? – zapytała Sarai.

– Wydaje mi się, że mieszkańcy Szloch mogliby tak powiedzieć.

Sarai nie znalazła odpowiedzi na te słowa.

– Nigdy jej nie odzyskają, prawda? – zapytał nagle Lazlo. – Prawdziwej nazwy miasta? Pamiętasz ją?

Nie pamiętała. Chyba nawet jej nie znała.

– Kiedy Letha wyrwie kawałek pamięci – powiedziała – nie zamyka go w szufladzie jak zabranej dziecku zabawki, ale go pożera. Niknie na zawsze. To był jej dar: wykorzystanie wspomnień.

– A jaki jest twój dar? – zapytał Lazlo.

Sarai zamarła. Sama myśl, że musiałaby wyjaśnić mu zastosowanie swojej mocy, przyprawiała ją o rumieniec wstydu. Wyobraziła sobie, jak mówi: „Ćmy wylatują mi z ust i mogę dzięki nim pałętać się po ludzkich umysłach, tak jak teraz pałętam się po twoim”. Ale rzecz jasna, chłopak nie zapytał o jej dar. Na chwilę zapomniała, kim była. Lub nie była. Lazlo nie miał przecież pojęcia, że stoi przed nim Sarai, uważał ją za absurdalny, łagodny fantazmat jej matki.

– Nie była żadną boginią księżycy – powiedziała. – To bzdury.

– Ona? – zapytał zmieszany Lazlo.

– Ja – poprawiła się Sarai, czując, że słowa więzną jej w gardle.

Czuła głębokie rozgoryczenie, że wydarza się rzecz niesamowita i niewytłumaczalna, bo nareszcie zobaczył ją człowiek, rozmawiał z nią bez nienawiści, raczej z fascynacją, nawet zachwytem, a ona musi się kryć za pretensjonalnym obrazkiem. Gdyby naprawdę była Isagol, pokazałaby mu swój dar. Jak rozbrykany kociak bawiący się kłębkami włóczki poplątałaby wszystkie jego uczucia i emocje, tak że straciłby umiejętność rozróżnienia miłości od nienawiści, radości od smutku. Sarai nie chciała jednak odgrywać takiej roli, dlatego odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Czemu nie masz rodziny?

– Przez wojnę. Byłem wtedy mały. Wsadzono mnie na wóz z innymi sierotami. Tyle wiem.

– Czyli możesz być każdym – powiedziała. – Nawet księciem.

– Może w baśniach. – Uśmiechnął się. – Książęta się nie gubią. A co z tobą?

Bogowie mają rodziny?

Sarai pomyślała o Ruby i Jaskółce, Feralu i Minyi, Dużej i Małej Ellen i pozostałych. Choć nie łączyły ich więzy krwi, byli rodziną. Potem przypomniała sobie ojca i jej serca stwardniały. Jednak śniący sam podsunął jej odpowiedź, pozwalając Sarai

powiedzieć, co zapewne chciał usłyszeć:

– Stworzyła nas mgła, zapomniałeś? Przychodzi co pięćdziesiąt lat.

– Mahalath. Oczywiście. Czyli podjęłaś ryzyko.

– A ty byś tego nie zrobił? – zapytała. – Gdyby nadeszła mgła, zostałbyś i dał się przemienić, nie znając rezultatu?

– Tak – odpowiedział od razu.

– Nawet się nie zastanawiałeś. Porzuciłbyś swoją prawdziwą naturę ot tak?

Lazlo się roześmiał.

– Nie masz pojęcia, jak długo nad tym dumalem. Przez siedem lat żyłem w tych książkach. Moje ciało wykonywało biblioteczne obowiązki, ale umysł tkwił gdzie indziej. Wiesz, jak mnie nazywali? Strange marzyciel. Przez większość czasu nawet nie byłem świadomy tego, gdzie jestem – zdziwił się, że mówi tak otwarcie do samej bogini rozpaczy, lecz jej oczy lśniły ciekawością, odbijały się w nich jego prawdziwe uczucia, dlatego nareszcie się odprężył; rozpacz stanowiła ostatnią rzecz, o której by pomyślał, patrząc na nią. – Spacerowałem po bibliotece, rozmyślając, jakie skrzydła bym kupił, gdyby rzemieślnicy przybyli do miasta, czy polowałbym na smoki, czy raczej je ujeżdżał, czy czekałbym na nadejście mgły... Ale najwięcej czasu poświęcałem zastanawianiu się, jak, do diaska, dostać się do Niewidocznego Miasta.

– Niewidocznego Miasta? – zdumiała się Sarai.

– Szlochu – odparł. – Nienawidziłem tej nazwy, wymyśliłem swoją.

Sarai uśmiechnęła się wbrew sobie. Pragnęła wypytywać go dalej o różne rzeczy, o to, w której książce pojawiają się skrzydłoroby, czy smoki to złośliwe stworzenia czy dobrotliwe, lecz kiedy napomknął o Szlochu, ponownie pogrążyła się w melancholii. Rozproszyła się nie tylko pogoda ducha, ale i biblioteka. Znowu znaleźli się na ulicach miasta, lecz tym razem nie był to jego wymarzony Szloch, lecz ten jej, bliższy prawdzie, choć nie do końca odpowiadający rzeczywistości. Nadal piękny, ale także budzący grozę. Drzwi i okna zamknięto na głucho, a na parapetach nie stygły żadne ciasta. Miasto wydawało się opuszczone – ogrody uschły i zwiędły, czuło się unoszący się nad ulicami charakterystyczny strach, jakby przygarbieni ludzie czym prędzej poumykali do domów z bojaźni przed niebem.

Chciała zapytać tego człowieka – którego nazwano marzycielem, jeszcze zanim ona sama tak o nim pomyślała – o tyle spraw. „Czemu mnie widzisz?”, „Co byś zrobił, wiedząc, że jestem prawdziwa?”, „Jakie skrzydła byś kupił od rzemieślnika?”, „Czy możemy wrócić do biblioteki i zostać tam na chwilę?”. Lecz nie mogła zadać żadnego z tych pytań.

– Czemu tu jesteś? – powiedziała.

Lazlo wydawał się zaskoczony tą nagłą zmianą nastroju.

– Bo marzyłem o tym od dziecka.

– Ale czemu Zabójca Bogów cię tu sprowadził? Jaką odgrywasz rolę? Pozostali są naukowcami i budowniczymi. Do czego mu bibliotekarz?

– Och, nie jestem tak naprawdę jednym z nich – rzekł Lazlo. – To znaczy, nie należę do delegacji, musiałem błagać, aby mnie zabrano. Jestem jego sekretarzem.

– Sekretarzem Eril-Fane’a.

– Tak.

– Czyli musisz znać jego plany. – Przyspieszył jej puls. Jedna z jej ciem unosiła się pod sufitem pawilonu, gdzie stały jedwabne sanie. – Kiedy przyleci do cytadeli? – wymusnęła jej się.

Nie było to poprawne pytanie. Sarai zrozumiała to, jak tylko je zadała. Może chodziło o jej bezpośredniość, może o nachalność, a może o to, że powiedziała „przyleci” zamiast „przybędzie”, ale coś się zmieniło w jego spojrzeniu, jakby patrzył na nią innym wzrokiem.

Tak właśnie robił. Sny mają swój rytm, swoją głębię i płycizny, a Lazlo najwyraźniej osiągnął stan wzmożonej przejrzystości. Do tej pory nieobecna logika świata rzeczywistego przedostała się przez materię snu niczym promienie słońca przez powierzchnię morza i chłopak zaczynał pojmować, że nic z tego nie dzieje się naprawdę. Przecież nigdy nie jechał na Lixxie przez Pawilon Myśli. Było to coś ulotnego, nierzeczywistego. To wszystko jedynie sen.

Wszystko poza nią.

Nie wydawała się ani ulotna, ani nierzeczywista. Jej obecność miała pewien ciężar, głębię i przejrzystość jak nic innego, nawet Lixxa, a przecież niewiele było rzeczy, które Lazlo ostatnimi czasy poznał lepiej niż grzbiet swojej spektralnej. Po sześciu miesiącach ciągłej jazdy stała się dla niego niczym przedłużenie jego osoby. Ale nawet Lixxa wydawała mu się nienamacalna i zanim zdążył się zorientować, ona również się rozplynęła. Gryf także. Został tylko on i bogini, on i jej przeszywające spojrzenie, zapach nektaru i... uczucie powagi.

Nie chodziło bynajmniej o coś ponurego – choć może również – lecz o wytężoną koncentrację o mocy przyciągnięcia do siebie dwóch osób. Lazlo miał wrażenie, że stojąca obok niego dziewczyna stała się centrum jego niewielkiej, surrealistycznej galaktyki, jakby to ona śniła jego, a nie on ją.

Nie miał pojęcia, co go do tego popchnęło, bo podobne zachowanie do niego nie pasowało, ale wyciągnął rękę i złapał – delikatnie – jej dłoń. Uścisnął. Była drobna, gładka, prawdziwa.

Na górze, w cytadeli, materialna Sarai westchnęła. Poczwała ciepło jego skóry, przemknął przez nią gwałtowny ogień, jakby faktycznie się połączyli, albo raczej zderzyli po przeciągającym się błędzeniu po labiryncie i nareszcie skręcili za róg, gdzie na siebie wpadli. Zniknęło przesładujące ją uczucie zagubienia i samotności. Wiedziała, że powinna wyrwać dłoń, ale nie mogła.

– Musisz mi powiedzieć – poprosiła.

Czuła, że sen się splyca, że ten okręt dobija już do brzegu. Niedługo Lazlo się obudzi.

– Kiedy odlecą latające maszyny?

Lazlo wiedział, że to sen i że to nie sen. Obie te myśli rozpoczęły szaleńczą gonitwę po głowie. Jej dłoń wydawała się bijącym sercem owiniętym na jego rękę.

– Latające maszyny – powtórzyła. – Kiedy?

– Jutro – odparł, nie zastanawiając się.

Słowo to niczym kosa przecięło podtrzymujące ją sznurki. Lazlo miał wrażenie,

jakby teraz to on utrzymywał opadłą z sił dziewczynę.

– Co się dzieje? – zapytał. – Nic ci nie jest?

Sarai odsunęła się od niego i wyrwała dłoń z uścisku.

– Posłuchaj mnie – powiedziała ze srogą miną; na jej oczy niczym ślad po cięciu powróciła czarna opaska, oczy rozbłyły jasnym blaskiem. – Nie mogą tam lecieć – wycedziła głosem nieustępliwym niczym mesartjum. Pędy i orchidee zniknęły z jej warkoczy, teraz ściekały z nich obfite strumienie krwi, skapywały z brwi i zbierały się w oczodołach, wypełniając je czerwienią, aż przypominały szkliste tafle, krew leciała na usta i do ust, rozmazując się, kiedy mówiła. – Rozumiesz? – zapytała szorstko. – Jeśli to zrobią, wszyscy zginą.

„Wszyscy zginą”.

Lazlo przebudził się gwałtownie, zaskoczony, że jest sam w niewielkiej sypialence. Ciągłe dudniły mu w głowie usłyszane słowa, a przerażająca wizja bogini odcisnęła się na jego umyśle: krew zbierająca się w jej oczach i skapująca prosto do wydatnych ust. Była tak prawdziwa, że nie mógł uwierzyć, że to tylko sen. Lecz cóż innego? Jego myśli zalewały nowe obrazy, jakich nie uświadczyl od czasu przybycia do Szłochu. Sny stanowiły jego sposób na przyswojenie sobie tego wszystkiego, a teraz miał trudności z powiązaniem dziewczyny ze snu z murałem. Żywiołowa i pełna smutku zderzona z... krwawą i nieopłakiwaną. Zawsze miał barwne sny, lecz to było coś zupełnie nowego. Nadal czuł kształt i wagę jej dłoni, ciepło i miękkość. Próbował odepchnąć od siebie wspomnienie snu, aby móc rozpocząć nowy dzień, ale nie mógł się pozbyć widoku jej twarzy i upiornego echa przerażającej zapowiedzi: „Wszyscy zginą”.

Szczególnie że Eril-Fane zaprosił go do lotu na cytadelę.

– Ja? – zdziwił się, oniemiały.

Stali w pawilonie, tuż obok jedwabnych sań. Ozwin przygotowywał jedną z dwóch maszyn. Aby oszczędzić gaz z uloli, mieli wysłać tego dnia pojedyncze sanie, a po dotarciu na miejsce na powrót uruchomić niedziałające wyciągi i uniezależnić kolejne wyprawy do cytadeli od latania. Tak niegdyś dostarczano dobra z miasta na górę. Kosz był na tyle pojemny, że mieścił jedną czy dwie osoby, o czym przekonali się po wyzwoleniu, kiedy uwolnieni po kolei korzystali z wyciągu, aby zjechać na ziemię. Jako że nastąpiły gorączkowe chwile, ludzie byli jednakowo zszokowani, jak i rozradowani upadkiem bogów, zapomniano odpowiednio zabezpieczyć liny, które wyślizgnęły się z bloczków i spadły na ziemię, odcinając dostęp do cytadeli. Aż do tej pory. Dziś naprawią system.

Soulzeren powiedziała, że zdoła zabrać ze sobą trzy osoby. Eril-Fane i Azareen byli pierwszymi wybranymi. Ostatnie miejsce zaproponowano Lazlo.

– Jesteś pewien? – zapytał Eril-Fane’a. – A może któryś z Tizerkane’ów...?

– Jak zapewne sam zaobserwowałaś – odparł mężczyzna – to dla nas trudny temat. – „Jesteśmy dziećmi w mroku”, przypomniał sobie Lazlo. – Wszyscy zgodziliby się polecieć, gdybym o to poprosił, lecz ucieszono się, że nie prosiłem. Ty też nie musisz, jeśli nie chcesz. – W jego oku zagościł chytry błysk. – Zawsze mogę zapytać Thyona Nero.

– Takie argumenty są nie na miejscu – powiedział Lazlo. – Poza tym nie ma go tu. Eril-Fane rozejrzał się wokół.

– Faktycznie, nie ma. – Thyon był jedynym delegatem, który się nie pojawił. – Posłać po niego?

– Nie – powiedział Lazlo. – Oczywiście, że chcę lecieć.

Choć, tak po prawdzie, nie był już tego taki pewien po swym makabrycznym śnie. Zerkając na cytadelę, powtarzał sobie, że to nic takiego. Słońcu udało się przemycić kilka



promieni pod skrajem skrzydeł i rzucić postrzępione światło wzdłuż krawędzi ogromnych metalowych piór.

„Wszyscy zginą”.

– Jesteś pewien, że nikogo tam nie ma? – wypalił Lazlo; nie udało mu się ukryć napięcia.

– Jestem pewien – odparł Eril-Fane z ponurą miną, ale po chwili złagodniał. – Jeśli się boisz, wiedz, że jesteś w dobrych rękach. Ale to nic złego, jeśli wolisz zostać.

– Nie, nic mi nie jest – upierał się Lazlo.

Niecałą godzinę później stał już na pokładzie jedwabnych sań. Mimo niepokoju, który go nie opuścił, potrafił cieszyć się kolejnym cudem, jakiego miał być udziałem. On, Strange marzyciel, uniesie się zaraz w powietrze. Miał polecieć pierwszym na świecie funkcjonalnym statkiem powietrznym z dwoma Tizerkane’ami u boku i inżynierką z pustkowi, która niegdyś konstruowała maszyny obłąknicze dla watażków, do unoszącej się nad wyśnionym przez niego miastem cytadeli z obcego niebieskiego metalu. Prócz *faranji* zebrali się również mieszkańcy, wśród nich Suheyla, a wszystkich bez wyjątku charakteryzował ten sam przestach, jaki dzień wcześniej Lazlo ujrzał na twarzy Zeyyadinów. Nikt nie podniósł głowy. Ich lęk wydał mu się złowieszczy jak nigdy, dlatego tym bardziej się ucieszył, kiedy odezwała się do niego Calixte, odrywając go od ponurych rozważań.

– Przynieś mi jakąś pamiątkę – szepnęła. – Jesteś mi to winny. – Mrugnęła do niego.

– Nie będę przetrząsał dla ciebie cytadeli – rzekł sztywno i dodał lekkim tonem: – Jaką?

Wyobraził sobie szczątki, które spodziewał się tam znaleźć, łącznie z Isagol. Wzdrygnął się. Ile lat musiało minąć, żeby został z niej tylko szkielet? Na pewno mniej niż piętnaście. Ale nie miał zamiaru odłamywać dla Calixte małych palców. Poza tym Eril-Fane powiedział, że Lazlo i Soulzeren mają poczekać na zewnątrz, podczas gdy on i Azareen dokonają szczegółowych oględzin i upewnią się, że jest bezpiecznie.

– Byłeś przecież pewien, że nikogo tam nie ma – wytknął Lazlo.

– Powiedziałem, że nikogo żywego – odparł i to miała być jego pocieszająca odpowiedź.

Usiedli na swoich miejscach. Soulzeren założyła gogle, przez co wyglądała jak ważka. Ozwin pocałował ją i zluzował liny cumownicze, na których trzymały się duże jedwabne poduchy. Musiał odwiązać wszystkie naraz, aby unieśli się równomiernie, a nie, mówiąc słowami Ozwina, „zbaczali z kursu jak pijany wielbłąd”. Do szelek, jakie rozdała pasażerom Soulzeren, przyczepiono liny zabezpieczające; tylko Eril-Fane nie mógł ich na siebie założyć przez swoje szerokie bary.

– W takim razie trzymaj się pasa – powiedziała skrzywiona Soulzeren.

Spojrzała, mrużąc oczy, na spód szerokich metalowych skrzydeł, podeszwy ogromnego anioła i dostrzegalne wokół sylwetki serafina niebo.

– Nie wieje. Powinno być dobrze.

Odliczyli od dziesięciu w dół i odbili się od ziemi.

I ot tak... polecili.

\*\*\*

Pięcioro towarzyszy z cytadeli zebrało się na tarasie Sarai, obserwując wytrwale miasto. Kiedy patrzyło się na nie dostatecznie długo, zlewało się w abstrakcyjny bohomas: amfiteatralny owal uformowany przez zewnętrzne mury, których konstrukcję przełamywały cztery ciężkie monolity kotwic. Ulice wydawały się poplątane. Kusiły, aby wodzić wzdłuż nich oczami, wynajdywać ścieżki pomiędzy tym a tamtym placem. I tak czyniły boskie pomioty, wszystkie poza Minyą, która nigdy nie pragnęła zobaczyć tego miejsca z bliska.

– Może nie przylecą – powiedział z nadzieją Feral.

Odkąd Sarai powiedziała mu o lekkiej konstrukcji jedwabnych sań, rozmyślał nad tym, co robi, kiedy, o ile w ogóle, przyjdzie co do czego. Czy sprzeciwi się Minyi, czy rozczaruje Sarai? Który kurs był bezpieczniejszy? Nawet teraz nie miał co do tego pewności. Gdyby nie przylecieli, nie musiałby wybierać. Dokonywanie wyboru nie stanowiło jego silnej strony.

– Tam. – Jaskółka wskazała coś drżącą dłonią.

Nadal ścisnęła kwiaty, które wcześniej wplatała we włosy Sarai; czerwony imbir, taki jak na torcie urodzinowym Ruby, tyle że nie pałki-świeczki, lecz otwarte, zakwitłe pąki, piękne niczym sztuczne ognie i, miała nadzieję, również o mocy spełniania życzeń. Dlatego wszystkie trzy powtykały je sobie obficie we włosy. Jaskółka uczesała Ruby, a Ruby ją.

Serca Sarai mało nie wyrwały jej się z piersi, wydawały się uderzać jedno o drugie. Wychyliła się do przodu, wyjrzała za krawędź balkonu, i oparłszy się o anielską dłoń, powiodła spojrzeniem za linią palca Jaskółki wskazującego na dachy.

„Nie, nie, nie”, powiedziała do siebie w myślach, ale jednak zobaczyła to, czego się obawiała: błysk czerwieni unoszący się nad pawilonem cechu.

Nadchodzili. Wyruszyli z miasta, zostawiając za sobą dachy, wieżyczki i kopuły. Odległy kształt pojazdu stale się zwiększał, stawał się coraz wyraźniejszy i niebawem Sarai mogła rozpoznać poszczególne osoby. Jej serca łomotały jeszcze mocniej.

Ojciec. Oczywiście, musiał być jednym z nich. Łatwo dało się go poznać nawet z daleka, bo był wielki. Sarai przełknęła ciężko ślinę. Nigdy nie widziała ojca na własne oczy. Poczula, jak wzbiera w niej nie tyle gniew, nie tyle nienawiść, co tęsknota. Za byciem czymś dzieckiem. Ścisnęło ją w gardle i przygryzła wargę. Po chwili pojazd zbliżył się wystarczająco, by ujrzała pozostałych. Poznała Azareen i jej obecność również nie zdziwiła Sarai, bo czego innego niż wierności można się spodziewać po kobiecie, która kochała Eril-Fane’a tak długo. Sterowała starsza *faranji*, a ostatnim pasażerem był...

Ostatnim pasażerem był Lazlo.

Patrzył na cytadelę. Nadal był zbyt daleko, aby mogła rozpoznać twarz człowieka, ale wiedziała, że to on.

Czemu jej nie posłuchał? Czyżby nie uwierzył?

Cóż, niedługo będzie musiał. Oblały ją fale zimna i gorąca, poganiane rozpaczą. Armia Minyi czekała tuż za otwartymi drzwiami jej komnaty, gotowa naskoczyć na tych ludzi z bronią, jak tylko wylądują. Duchy zadżgają i porąbią ich nożami, tasakami

i hakami do mięsa. Nikt z tej czwórki nie miał szans. Minya stała zwarta i gotowa, jak na małego generała przystało.

– No dobrze – powiedziała, paraliżując Sarai, Ferala, Ruby i Jaskółkę swoim chłodnym, jasnym spojrzeniem. – Kryć się – zaordynowała; wszyscy poza Sarai wypełnili polecenie.

– Minyo... – zaczęła dziewczyna.

– Już – syknęła Minya.

Sarai nie miała pojęcia, co począć. Zbliźali się. Rozpęta się rzeź. Otumaniona, poszła za przyjaciółmi, żałując, że to nie koszmar, z którego mogłaby się obudzić.

\*\*\*

Nie było to nic gwałtownego. Powolne wznoszenie się nie przypominało ptasiego lotu. Unosili się niczym przerośnięty pąk uloli, tyle że mieli nieco więcej kontroli nad kursem niż wiatrosiewne kwiaty. Nie licząc poduch z gazem, które pozszywano specjalnie przygotowanym w tym celu czerwonym jedwabiem. Do podwozia podczepiono jeszcze jeden pęcherz, który wypełniało się powietrzem lub spuszczało jego nadmiar za pomocą przypominających miechy pedałów. Nie służyły one jednak do wznoszenia się, ale nadania pojazdowi prędkości. Zawory oddawcze pozwalały Soulzeren na kontrolowanie ciągu i kierowanie swojego wehikułu w pożądanym kierunku – do przodu, do tyłu, na boki. Sanie wyposażono ponadto w maszt i żagiel, które przydawały się przy sprzyjających wiatrach. Lazlo widział próbne loty przeprowadzone w Thanagoście i wiedział, że widok przecinającego niebo statku powietrznego na pełnych żaglach był zaiste magiczny.

Spojrzał w dół i zobaczył ludzi na ulicach i na tarasach, robili się coraz mniejsi i mniejsi, aż sanie wzniosły się na tyle wysoko nad miastem, że Szloch wydawał się szkicem na mapie. Dotarli do najniższej położonej części cytadeli, do stóp, ale na tym nie poprzestali. Unieśli się ponad kolana i gładkie uda aż do torsu, który wydawał się obleczony w szaty z babiego lata, choć całą cytadelę zbudowano z twardego mesartjum, lecz tak wyrzeźbionego, że dało się dojrzeć wystające kości biodrowe jak przez powłóczysty materiał.

Skathis niewątpliwie musiał być artystą.

Aby rzucić jak największy cień, skrzydła zostały rozłożone w ogromny okrąg, z piórami barkowymi stykającymi się za plecami anioła, drugorzędowymi tworzącymi centrum pierścienia i długimi, pierwszorzędowymi idącymi wokół i stykającymi się równolegle z wyciągniętymi ramionami serafina. Jedwabne sanie przeleciały przez otwór pomiędzy nimi i wyleciały na poziomie piersi. Kiedy Lazlo, mrużąc oczy, spojrzał na podbródek, wychwycił wyraźnie odcinający się od metalu kolor. Zieleń. Kępy zieleni pod obojczykami, rozciągające się od jednego ramienia do drugiego.

„Drzewa, z których spadały śliwki na dzielnicę zwaną Opadem”, domyślił się Lazlo i zaczął się zastanawiać, jak przetrwały tyle czasu przy tak małych ilościach deszczu.

\*\*\*

– Feral – błagała Sarai. – Proszę.

Chłopak zacisnął zęby. Nawet na nią nie spojrzał. Jeśli poprosiłaby go, żeby czegoś nie robił, z pewnością przyszedłoby mu to łatwiej niż zrobienie czegoś. Spojrzał na Minyę.

– To nie musi się wydarzyć – ciągnęła Sarai. – Jeśli wezwiesz chmury, zmusisz ich do odwrotu.

– Zamknij już buzię – powiedziała Minya, głos miała jak lód.

Nie posiadała się ze złości, że nie potrafi zmusić żywych do uległości tak łatwo jak umarłych.

– Minyo – prosiła Sarai – póki nikt nie zginął, jest jeszcze nadzieja na znalezienie innego sposobu.

– Póki nikt nie zginął? – powtórzyła Minya i parsknęła śmiechem. – Powiedziałabym, że nadzieję to mogliśmy mieć piętnaście lat temu. Teraz już na to za późno.

Sarai przymknęła na moment oczy.

– Chodzi mi o teraz. Teraz jeszcze nikt nie zginął.

– Jeśli nie dzisiaj, to jutro albo jeszcze innego dnia. Kiedyś trzeba dopełnić nieprzyjemnego obowiązku, należy uporać się z nim jak najszybciej. Odkładanie nic nie da.

– Może da – odparła Sarai.

– Jak?

– Nie wiem!

– Nie krzycz – syknęła Minya. – Rozumiesz, że warunkiem koniecznym dla powodzenia zasadzki jest zaskoczenie przeciwnika?

Sarai ponownie spojrzała na jej twarz, hardą, nieznoszącą sprzeciwu, i znowu dojrzała tam Skathisa, jego rysy wydawały się coraz wyraźniejsze. Zastanawiała się, czy gdyby Minya posiadała ojcowską moc, postąpiłaby tak samo jak on i zniewoliła całe miasto, tłumacząc to potrzebą surowej sprawiedliwości. Jak to małe, skrzywdzone... dziecko tak długo nimi rządziło? Wydało jej się to niedorzeczne. Może od samego początku dało się inaczej? Co, gdyby Sarai nigdy nie zaszczuła nikogo koszmarami, tylko rozwiewała lęki i gasiła niepokoje zamiast je wzniecać? Czy zdołałaby zdusić całą tę nienawiść w zarodku? Nie. Nawet ona w to nie wierzyła. Pielęgnowano ją przez dwieście lat. Czego mogłaby dokonać w piętnaście? Nigdy się nie dowie. Nie dano jej bowiem szansy, a teraz było za późno na cokolwiek. Tamci ludzie umrą.

I co potem?

Co się wydarzy, kiedy sanie i ich pasażerowie nie powrócą? Czy zostaną wysłane kolejne, aby następni mogli zginąć?

A co dalej?

Kto wie, ile czasu by im to kupiło, ile jeszcze miesięcy lub lat tej surowej egzystencji musieliby znieść, zanim uderzono by w nich śmieiej? Zanim przybyłoby więcej sań? Tizerkane'owie skakaliby z ich pokładów niczym piraci przy abordażu. Albo zanim jacyś mądrzy przyjezdni znaleźliby nareszcie sposób na strącenie cytadeli z nieba. Załóżmy jednak, że ludzie będą mieli dość ponoszonych strat i porzucą Szloch, zostawiając po sobie wymarłe miasto. Sarai wyobraziła sobie puste kręte uliczki, opuszczone łóżka ze skotłowaną pościelą i przez moment jakby zatoneła w nicości. Ujrzała swe śmy unoszące się w ciszy, a wraz z nimi koniec jej świata.

Jedno było pewne, cokolwiek się stanie, od tej chwili ich piątka będzie niczym

duchy udające, że ich życie jeszcze nie przeminęło.

Sarai chciała wszystko to powiedzieć na głos, lecz poplątały jej się myśli. Zbyt długo trzymała język za zębami. Było za późno. Kątem oka dojrzała błysk czerwieni za otwartymi drzwiami i wiedziała, że to jedwabne sanie, choć pierwsze, co przyszło jej do głowy, to krew.

Wszyscy zginą.

Minya czekała z drapieżną, niecierpliwą miną. Jej brudna rączka uniosła się, aby dać sygnał i...

– Nie! – wykrzyknęła Sarai, odpychając dziewczynkę.

Rzuciła się biegiem przed siebie. Przeciskała się przez duchy, które były równie materialne co żywe istoty, lecz żaden nie emanował ciepłem. Nadziała się na nóż ściskany mocno przez jednego z nich. Ostrze przejechało po jej ramieniu, kiedy parła naprzód. Poczowała tylko ukłucie gorąca. A kiedy duch chwycił ją za nadgarstek, ręka Sarai wyslizgnęła mu się z dłoni przez spływającą po niej obficie krew. Dziewczyna wyrwała się i wybiegła za drzwi.

Jedwabne sanie przygotowywały się do manewru lądowania, pojazd był już zwrócony w stronę tarasu. Pasażerów kompletnie zaskoczył jej widok. Pilotująca pojazd kobieta skoncentrowała się na dźwigniach, lecz pozostała trójka gapiała się prosto na nią. Dłonie Eril-Fane'a i Azareen momentalnie powędrowały na rękojeści ich hreshteków.

– Ty... – Lazlo nie posiadał się ze zdumienia.

Zapłakana Sarai wykrzyknęła tylko:

– Uciekajcie!

Drzewa powinny być już dawno martwe. Tam, gdzie przed laty zagościł na zawsze spokój, pojawił się ruch. Czyjaś sylwetka wykwitła w drzwiach opuszczonej niegdyś cytadeli.

Tam, gdzie nie miało prawa być nic poza pustką i smrodem śmierci... stała ona.

Pierwszym uczuciem Lazla była niepewność co do tego, czy aby na pewno nie śpi. Bogini rozpaczy z całą pewnością nie żyła, musiał spać. Wiedział, że przynajmniej połowa tych rozmyślań jest nieprawdziwa. Czuł, jak Eril-Fane nagle sztywnieje, a jego mocarna dłoń zaciska się na rękojęści hreshteka; obnażył go jednak tylko do połowy.

Azareen się nie zawahała. Ostrze wyszło z pochwy z zabójczym świstem.

Lazlo widział to kątem oka. Nie mógł się bowiem odwrócić. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Miała we włosach czerwone kwiaty. Z jej szeroko otwartych oczu biła desperacja. Głos nieznanego jakby wykrawał w powietrzu tunel, był szorstki i cierpki, jak pordzewiały łańcuch szorujący o przewłokę. Szarpała się z kimś. Chwyciły ją czyjeś dłonie. Ale czyje? Złapała się ścian, lecz mesartjum okazało się zbyt gładkie, nie było żadnej framugi, niczego, co mogłoby dać jej punkt zaczepienia, tymczasem ze środka wystrzeliwały kolejne dłonie, łapały ją za ramiona, ręce i włosy. Nie miała się czego przytrzymać.

Lazlo chciał wyskoczyć jej na pomoc. Spotkały się ich spojrzenia. Dziewczyna miała wzrok niczym uderzenie pioruna. Nadal wokół krążyło echo jej przeszywającego krzyku – „Uciekajcie!” – aż zniknęła, na powrót wciągnięta do cytadeli. A wtedy zaczęli wychodzić inni.

Soulzeren, słysząc ostrzeżenie, instynktownie wycofała sanie i delikatnie odbiła do tyłu. Nie mogła zresztą zrobić tego szybciej, bo żaden mocniejszy wiatr nie dał w żagle i nie była w stanie rozwinąć większej prędkości. Lazlo znieruchomiał, doświadczając poczucia całkowitej bezużyteczności w obliczu nadciągającego wroga, który uderzył na nich falą, wylał się z cytadeli z nadzwyczajną płynnością ruchów, leciał ku nim, jakby go wystrzelono. Nie miał przy sobie miecza, dlatego mógł tylko stać i bezsilnie patrzeć. Eril-Fane i Azareen stanęli przed nim i Soulzeren, zasłaniając ich swoimi ciałami i chroniąc przed tym nieprawdopodobnym natarciem. Było ich zbyt wielu, wykazywali niebywałą zręczność. Zdawali się wypływać z cytadeli jak pszczoły z ula. Lazlo nie potrafił pojąć, co ma przed oczyma, wiedział tylko, że nadchodzą. I to szybko.

Już tu byli.

Stał uderzyła o stal. Dźwięk – chrzęst! – przeszył jego serca. Nie potrafił znieść tego, że stoi tam z pustymi rękoma, bezużyteczny, pośród stalowej burzy. Nie mieli dodatkowej broni. Nie znalazł pod ręką nic poza owiniętym szmatami kijem, którego Soulzeren używała do odpychania przeszkód podczas schodzenia do lądowania. Chwycił go i stawiał czoła nadciągającemu tłumowi.

Napastnicy mieli noże, nie miecze, tylko zwyczajne, kuchenne noże, a jako że nie

mogli atakować z daleka, musieli wejść w strefę rażenia wojowników. Gdyby byli zwyczajnymi żołnierzami, może daliby radę się przed nimi bronić potężnymi klingami, które powalałyby dwóch albo i trzech naraz. Lecz nie dało się nie zauważyć, że nie byli zwyczajni. To zbieranina mężczyzn i kobiet w różnym wieku, niektórzy o siwych włosach, niektórzy ledwie co odrośli od ziemi.

Eril-Fane i Azareen parowali ciosy, kuchenne noże spadały z brzękiem na metalowy taras, nad którym nadal się unosili. Nagle wojowniczką wciągnęła ze świstem powietrze na widok jednej ze staruszek i Lazlo zauważył, że jej dzierżąca miecz ręka opadła bezwiednie.

– Babcia? – zapytała oszołomiona.

Patrzyła przerażona, nawet nie mrugnawszy, jak tamta unosi tłuczek do mięsa, jakim zwykle ubija się kotlety, i zamachuje się na głowę Azareen. Ciało Lazla zareagowało szybciej niż głowa. Uniósł kij w ostatniej chwili, blokując cios. Tłuczek uderzył o drzewce, a kij o czaszkę Azareen, temu nie mógł zapobiec. Siła ciosu – niesamowita jak na staruszkę – okazała się zbyt duża. Na szczęście drewno było owinięte materiałem i tylko dzięki temu kość nie rozłupała się na dwoje. Życie powróciło do ręki trzymającej miecz. Wojowniczką odtrąciła kij, pokręciła głową, jakby chcąc odzyskać przejrzystość myśli, i Lazlo zobaczył, jak... klinga przecina ramię staruszki, przenika przez nie, i... nic się nie dzieje. Materia, z której zbudowana była kończyzna, powróciła do stanu poprzedniego, zrosła się zaraz po przejściu przez nią ostrza. Nie spadła nawet pojedyncza kropla krwi.

I wtedy wszystko stało się jasne. Ich przeciwnicy nie byli śmiertelni, nic nie mogło ich zranić.

Uzmysłowili sobie to równocześnie akurat w chwili, kiedy sanie oderwały się od tarasu i poszybowały ponownie ku otwartemu niebu, zwiększając dystans od metalowej dłoni i czyhającej na nich armii umarłych. Odczuli ulgę, mieli chwilę na złapanie upragnionego oddechu.

Lecz było to złudne. Napastnicy nie zaprzestali ataku. Odbijali się od tarasu, niepomiernie dzielącej ich odległości. Skakali prosto przed siebie, ale... nie spadali.

Lazlo i jego towarzysze nie mieli jak uciec. Zjawy uderzyły o sanie. Duchy sływały z gigantycznej, metalowej dłoni anioła, dzierżąc noże i haki do mięsa. Tizerkane'owie odpierali je cios po ciosie. Lazlo stał pomiędzy wojownikami a Soulzerem, nadal ściskając kij. Jednemu napastnikowi udało się przemknąć bokiem – mężczyźnie z wąsem – i chłopak przeciął go zamaszystym uderzeniem, ale człowiek ten zrósł się jak w jakimś koszmarze.

„Musimy celować w broń”, zrozumiał wtedy Lazlo, przypomniawszy sobie tłuczek. Wymierzył jeszcze jeden cios, tym razem chcąc wytrącić nóż z dłoni widmowego napastnika. Udało się. Broń spadła na pokład sań.

Niezwykła armia była kompletnie niewyszkolona, lecz czy miało to znaczenie? Ich liczba wydawała się nieskończona i nie mogli umrzeć. Na cóż komu umiejętności bojowe?

Wąsaty duch, już rozbrojony, rzucił się na Soulzerem, lecz Lazlo zdążył stanąć między nimi. Zjawy chwyciła kij, ale chłopak go nie puszczał. Mocowali się. Patrząc nad

jego ramionami, Lazlo zobaczył pozostałych – rój obojętnych twarzy i wgapionych w nich, umęczonych oczu. Nie dał rady wyrwać duchowi swojego kija, jego przeciwnik dysponował nadludzką siłą i nie odczuwał zmęczenia. Bibliotekarz mógł jedynie patrzeć bezsilnie, kiedy następny napastnik – młoda kobieta o opętanym wzroku – prześlizgnął się obok wojowników z metalowym hakiem. Uniosła go, aby zadać cios. Jej dłoń opadła, a hak wbił się w poduchę na sterburcie, przebijając ją. Saniami zachybotало. Soulzeren krzyczała. Gaz syczał przez dziurę. Pojazd zaczął się obracać.

To był ten moment, kiedy Lazlowi przyszło do głowy, że – zgodnie z ostrzeżeniem pochodzącym, co wydawało się niemożliwe, ze snu – umrze, lecz nagle duch stracił... materialność. Jeszcze przed chwilą patrzył na jego zacisnięte na kiju długie palce, aż nagle przeniknęły przez niego. To samo przytrafiło się młodej kobiecie. Metalowy hak wypadł jej z dłoni, choć nadal zaciskała palce, i spadł na pokład sań. I wtedy stała się rzecz bodaj najbardziej osobliwa. Na jej twarzy zagościła rozanielona, czysta ulga, zaczęła znikać. Lazlo patrzył, jak staje się coraz bardziej przeźroczysta. Zamknęła oczy, uśmiechnęła się i wyparowała. Mężczyzna z wąsem był następny. Zrzucił maskę obojętności, którą zastąpił grymas obnażający deliryczną radość, po czym on również zniknął. Duchy rozpląwały się, jakby przekroczyły jakąś niewidzialną granicę i zrzuciły swoje kajdany.

Nie wszystkie miały jednak tyle szczęścia, większość została na powrót wessana do środka cytadeli niczym latawce na sznurkach ściągnięte na metalową dłoń. Mogły tylko patrzeć, jak sanie, obracając się powoli, płyną z wiatrem coraz dalej i dalej poza ich zasięg.

Nie było czasu na rozmyślanie. Tracili gaz na sterburcie. Pojazd zaczynał się przechylać.

– Lazlo – szczerknęła na niego Soulzeren, przesuwając gogle na czoło – przechodź na przeciwną burtę, musimy wyrównać ciężar. I nie ruszaj się stamtąd.

Zrobił, co mu kazano, balansując po przekrzywiającym się pokładzie, podczas gdy Soulzeren zalepiała dziurę wyszarpaną hakiem. Broń spoczywała na deskach sań, śmiercionośna, lecz nieruchoma. Nóż również leżał tam, gdzie upadł. Azareen i Eril-Fane łapali oddech, nadal dzierżąc swoje hreshteki, ich ramiona wznosiły się ciężko i opadały. Gorączkowo sprawdzali, czy żadne nie ucierpiało. Oboje krwawili z cięć na rękach, ale to tyle. O dziwo nikt nie odniósł poważnych ran.

– Uratowałeś mi życie, *faranji* – powiedziała Azareen, biorąc głęboki oddech.

Lazlo niemal wymknęło się „Nie ma za co”, lecz przecież nie usłyszał od niej podziękowań, zdusił te słowa, skinął tylko głową, mając nadzieję, że wyszedł mu zgrabny ukłon, choć może trochę obcesowy. Wątpił, by się udało. Drżały mu ręce. Cały się telepał.

Sanie przestały się obracać, lecz nadal nimi zarzucało. Stracili zbyt dużo gazu, aby liczyć na łagodne zejście. Soulzeren podniosła żagiel i obróciła dziób, skierowawszy się na łąki rozciągające się tuż za murami miasta.

Dobrze. Będą mieli chwilę na złapanie oddechu, zanim dotrą do nich pozostali. Sama myśl o czekających na nich uczonych, o pytaniach, jakie niewątpliwie zadadzą, wytrąciła Lazla z euforii wywołanej tym, że udało mu się przeżyć, i przywołała do rzeczywistości. Pytania. Pytania wymagające odpowiedzi. Jak one brzmiały? Spojrzał na Eril-Fane’a.



– Co się stało? – zapytał.

Zabójca Bogów stał przez chwilę, trzymając się barierki, podpierał się ciężko, ze spojrzeniem utkwionym w dal. Lazlo nie widział jego twarzy, lecz potrafił sporo odczytać z jego ramion, wyglądały, jakby uginały się pod ogromnym ciężarem. Tak istotnie było. Lazlo pomyślał o dziewczynie z tarasu, o dziewczynie ze snu, i zadał jeszcze jedno pytanie:

– Czy to była Isagol?

– Nie – zaprzeczył ostro Eril-Fane. – Isagol nie żyje.

„Czyli... kim ona jest?” Lazlo zapytałby go może jeszcze i o to, lecz napotkał wyraźnie ostrzegawcze spojrzenie Azareen. Kobieta również była mocno wstrząśnięta. Przez pozostałą część podróży trwali w ciszy. Lądowanie okazało się łagodne niczym szept, sanie sunęły przez wysokie trawy, aż Soulzeren opuściła żagiel i nareszcie się zatrzymali. Lazlo pomógł jej go zabezpieczyć, po czym na powrót zeskoczyli na powierzchnię tego świata. Stali poza cieniem rzucanym przez cytadelę, słońce kładło na nich swe gorące promienie. Niżej, za wzgórzem, biegła wyraźna granica światła i mroku. Zaraz przy linii, za którą rozpoczynała się ciemność, Lazlo zauważył białego ptaka, krążącego i szybującego nad ziemią.

„Zawsze tam był – pomyślał. – Cały czas obserwował”.

– Nie każą na siebie długo czekać – stwierdziła Soulzeren; ściągnęła gogle i otarła czoło przedramieniem. – Ozwin nie będzie się ociągał.

Zabójca Bogów pokiwał głową. Jeszcze przez chwilę stał w milczeniu, aż wziął się w garść, podniósł upuszczone przez duchy nóż i hak, cisnął je za burtę jedwabnych sań. Odetchnął ciężko.

– Nie mogę kazać wam kłamać – powiedział powoli – ale muszę o to prosić. Zachowajcie to dla siebie. Póki nie wymyślę, co możemy z tym wszystkim zrobić.

Z czym? Z duchami? Z dziewczyną? Z wywróceniem do góry nogami tego, co mieszkańcy Szlochu wiedzieli o cytadeli, o której myśl przeszywała ich chłodnym, paraliżującym strachem? Jakież nowe lęki rozbudzi to, co tam zobaczyli? Lazlo aż się wzdrygnął na samą myśl.

– Nie możemy... nie możemy przecież machnąć ręką na to, co się stało – powiedziała Azareen.

– Nie – odparł przygnębiony Eril-Fane. – Lecz jeśli o wszystkim opowiemy, wybuchnie panika. A jeśli spróbujemy zaatakować... – Przełknął ślinę. – Azareen, widziałaś to?

– Oczywiście, że widziałam – wyszeptała chłodno.

Objęła się ramionami. Lazlo pomyślał, że to Eril-Fane powinien ją przytulić. Nawet on to dostrzegał. Ale mężczyzna uwiązał we własnym szoku i smutku, nie myśląc o podobnych gestach.

– Kim oni byli? – zapytała Soulzeren. – Kim?

Powoli, niczym dygająca tancerka, którą zawiodły kolana, Azareen padła w wysoką trawę.

– To nasi zmarli – powiedziała, klęcząc. – Zwrócili się przeciwko nam. – Oczy miała szkliste i jasne.

– Wiedziałeś o tym? – Lazlo zwrócił się do Eril-Fane’a. – Kiedy wzbijaliśmy się w powietrze, zapytałem, czy na pewno nikogo tam nie ma, odparłeś, że nikogo żywego...

Mężczyzna zamknął oczy i potarł powieki.

– Nie miałem na myśli... duchów – rzekł. Ostatnie słowo ledwie przeszło mu przez gardło. – Ale ciała. – Schował twarz w dłonie i Lazlo zyskał pewność, że kryje jeszcze niejeden sekret.

– Ta dziewczyna... – ciągnął niepewnie Lazlo – nie była ani jednym, ani drugim.

Eril-Fane opuścił ręce.

– Nie – wyszeptał zbolalym tonem z ledwie słyszalną, ale wyraźną nutą, która mogła zdradzać... nadzieję na odkupienie? – Ona żyła.

## CZEŚĆ IV

sathaz (sah·thahz) *rzeczownik*

Pragnienie posiadania czegoś, co nigdy nie może być twoje.

*Archaizm; z Opowieści o Sathazie, który zakochał się w księżycu.*

Cóż Sarai uczyniła?

Starcie dobiegło końca. Cała piątka, stojąc przy barierkach okalających krawędź tarasu, patrzyła, jak jedwabne sanie osiadają na odległej, zielonej łące. Minya odwróciła się do Sarai i choć nawet się nie odezwała – nie mogła wydusić z siebie choćby słowa – jej milczenie było gorsze niż wrzaski. Dziewczynka trzęsła się z jadowitej złości, a przedłużająca się cisza zmusiła Sarai do spojrzenia na Minyę. Ujrzała nie tylko wściekłość, ale i dzikie niedowierzanie.

– Ten człowiek nas pozabijał, Sarai – wysyczała, kiedy nareszcie odzyskała głos. – Może ty zdążyłaś już o tym zapomnieć, ale ja nie.

– Przecież żyjemy. – Nie była pewna, czy Minya faktycznie zdaje sobie z tego sprawę. Może widziała już tylko duchy i nie rozróżniała, kto jest kim. – Minyo, my nadal żyjemy – jęknęła.

– Bo nas przed nim uratowałam! – pisnęła. Jej pierś wznosiła się i opadała; była niezwykle chudziutka pod tym swoim obszarpanym odzieniem. – Po to, abyś ty mogła uratować go przede mną. Czy tak mi dziękujesz za ocalenie?

– Nie! – wybuchła Sarai. – Dziękowałam ci tym, że robiłam wszystko, co mi kazałaś! Dziękowałam ci, będąc twoim upiorem, co noc, przez lata, bez względu na to, jak mnie traktowałaś. Ale to nigdy nie wystarczało. I nigdy nie wystarczy!

Minya nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Jesteś na mnie zła, bo kazałam ci nas bronić? Przepraszam, jeśli było to dla ciebie zbyt ciężkie, bo może powinniśmy się wstrzymać i nigdy nie kazać ci korzystać z twojego okropnego daru.

– Nie to mam na myśli, wszystko przekręcasz. – Sarai też cała się trzęsła. – Może istnieje inny sposób, ale ty już dokonałaś wyboru i postawiłaś na koszmary. Byłam zbyt młoda, aby to rozumieć, a ty wykorzystałaś mnie jak swojego ducha – mówiła bez wytchnienia Sarai, dławiąc się swoimi słowami, zaskoczona, że wyrzuciła z siebie to, co tłamsiła w sobie od dawna.

Spojrzała na Ferala, który także patrzył na nią, ogłupiały, z szeroko otwartymi ustami.

– Czyli dlatego mnie zdradziłaś, tak? Zdradziłaś nas wszystkich. Może i ten jeden raz dokonałam za ciebie wyboru, Sarai, ale dzisiaj zdecydowałaś samodzielnie. – Minya dyszała niczym dzikie zwierzę; jej ramiona wydawały się kruche niczym ptasie skrzydełka. – I wybrałaś ich! – wykrzyczała.

Twarz Minyi poczerwieniała, łzy pociekły jej z oczu. Sarai nigdy wcześniej nie widziała, jak płacze, ani razu. Lecz nawet i owe łzy wydawały się zajadłe, pełne złości. Nie przypominały tych delikatnych, smutnych kropelek, które niekiedy rosły policzki Ruby czy Jaskółki. Minya wypłakiwała wściekle, grube, przypominające deszcz krople.

Wszyscy zamarli. Jaskółka, Ruby, Feral.

Spoglądali to na Sarai, to na Minyę, wstrzymywali oddech. Wreszcie Minya

obróciła się do nich i palcem wskazała drzwi, krzycząc:

– Cała trójka, wynocha stąd!

Ociąłali się chwilę, rozdarci, lecz niezbyt długo. Mimo wszystko bali się Minyi, jej lodowatej hysterii i gorączkowego rozczarowania, poza tym przywykli jej słuchać. Gdyby jednak Sarai przedstawiła im jakieś inne możliwości, gdyby dumnie wypięła pierś i stanęła murem za tym, co zrobiła, mogłaby ich do siebie przekonać. Lecz tego nie zrobiła. Była chodzącym niezdecydowaniem. Zdradzały ją wybałuszone oczy, drżące usta i to, jak przyciskała zakrwawioną rękę do swojego boku.

Ruby przyłgnęła do Ferala i odwróciła się, kiedy chłopak skierował się do wyjścia. Jaskółka odeszła ostatnia. Rzuciła z progu przestraszone spojrzenie i wypowiedziała bezgłośnie „Przepraszam”. Sarai odprowadziła ją wzrokiem. Minya stała jeszcze chwilę w bezruchu, patrząc na Mużę, jakby stała się obcą osobą. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos stracił poprzednią piskliwość, złość wyparowała. Brzmiał płasko i staro.

– Cokolwiek się teraz wydarzy, Sarai, będzie to twoja wina.

Obróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając ją samą z duchami. Zabrała ze sobą cały gniew.

Co się pojawia, kiedy znika złość i nienawiść?

Duchy stały nieruchomo – oczywiście te, którym nie udało się uciec, które Minya zawróciła, odbierając im szansę na odzyskanie wolności, parę umknęło wystarczająco daleko, aby nie mogła już ich do siebie przyciągnąć – nie mogły odwrócić głów w jej stronę, ale wodziły za nią umęczonymi spojrzeniami.

Sarai wydawało się, że widzi w nich przebaczenie i wdzięczność.

Za jej litość.

Litość.

Czy istotnie była to litość, czy raczej zdrada? Zbawienie czy potępienie? Może wszystko to migotało jej przed oczyma niczym dwie strony podrzuconej, obracającej się wokół własnej osi monety – litość, zdrada, zbawienie, potępienie. Co wypadnie? Jak się to skończy? Reszka i ludzie przeżyją. Orzeł i boski pomiot umrze. Od dnia ich narodzin rezultat był jednak znany.

Do serc Sarai wkradł się chłód. Armia Minyi ją odstręczała, lecz co by się dzisiaj zdarzyło, gdyby nie ona? Gdyby Eril-Fane, spodziewając się znaleźć szkielety, zobaczył ich?

Pozostała sama z ponurą konstatacją, że jej ojciec ponownie zrobiłby to samo co przed piętnastoma laty. Jego twarz utkwiała Sarai w myślach: wydawała się udręczona powrotem do miejsca, gdzie zaznał niegdyś cierpienia. A potem się zdumiał. Następnie przeraził. Zobaczył bowiem ją. Była świadkiem tej chwili, kiedy wszystko pojał. Poszło błyskawicznie: po ukłuciu szoku, kiedy pomyślał, że ma przed sobą Isagol, natychmiast zrozumiał, że Sarai nią nie jest.

I wtedy do niego dotarło, kim istotnie była.

Przerażenie. Odczytała je z jego twarzy. Ni mniej, ni więcej. Wierzyła, że zniesie już każdy ból, jaki może jej zadać, lecz się myliła. Po raz pierwszy w życiu ujrzała go na własne oczy, nie przefiltrowanego przez zmysły ciem, nie obraz przywołany przez jej podświadomość albo podsunięty przez sny Suheyli czy Azareen, ale swojego ojca we

własnej osobie, człowieka, którego krew płynęła w jej żyłach, a jego strach otworzył kolejne pokłady wstydu, jaki w sobie pielęgnowała.

Plugawość, nieszczęście. Boski pomiot.

A co zobaczyła na twarzy śniącego? Szok? Zaskoczenie? Trudno powiedzieć, za szybko to wszystko przebiegło. Duchy chwyciły ją i prędko wciągnęły z powrotem do środka. Bolało ją ramię. Spojrzała na swoją ranę. Strużka ciemnej, zakrzepłej krwi biegła od jej przedramienia do dłoni, nadal sącząc się leniwie z długiego rozcięcia. Tam, gdzie trzymały ją duchy, zdążyły też wykwitnąć sińce. Przez pulsujący ból miała wrażenie, że nadal ją ściskają. Zapragnęła mieć obok siebie Dużą Ellen, zatęskniła za jej delikatnością i współczuciem; chciałyby, żeby oczyściła i opatrzyła jej ranę. Próbowwała wyjść, lecz duchy jej na to nie pozwalały. Z początku Sarai nie rozumiała, co się dzieje. Zdążyła się już przyzwyczaić do ich obecności, lawirowała między nimi i przeciskała się, kiedy stali obok siebie, lecz nigdy jej w niczym nie przeszkadzali. A teraz, jak tylko zbliżyła się do drzwi, podlecieli do niej i zablokowali wyjście. Zatrzymała się, zaskoczona. Ich twarze pozostały tak samo obojętne jak zawsze. Nie było po co się trudzić próbami przekonania umarłych, żeby się odsunęli, bo nie mieli władzy nad swymi widmowymi ciałami, lecz i tak nie mogła się powstrzymać, aby nie powiedzieć na głos tego, co pomyślała:

– Czyli co, nie wolno mi stąd wyjść?

Oczywiście nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Mieli swoje rozkazy i nie mogli ot tak sobie ich nie wykonać, co znaczyło, że Sarai została uwięziona.

Przez cały dzień nikt do niej nie przyszedł. Odizolowano ją, została ofiarą ostracyzmu. Poczula zmęczenie. Przemyśla ranę ostatkiem wody z dzbanka i zabandażowała ramię kawałkiem materiału oderwanym od koszuli nocnej. Nie wychodziła ze swojego sypialnianego kąta, jakby chciała się tam ukryć przed swoimi fantomowymi strażnikami. Za każdym razem, kiedy sobie przypominała, co miało miejsce zaledwie przed paroma godzinami, o chaosie poranka i konsekwencjach podjętej przez nią decyzji, czuła gorącą falę zalewającej ją paniki.

„Cokolwiek się teraz wydarzy, Sarai, będzie to twoja wina”.

Nie chciała podejmować podobnie ważkiej decyzji. Jej serca podpowiadały, że nigdy, przenigdy nie powinna tego robić, przedkładać ludzi nad swój gatunek. Ale przecież tego nie zrobiła. Nie była zdrajczynią. Ani morderczynią. Krążyła po sypialence, jakby całe jej życie ograniczyło się do tego ślepego zaułka, gdzie ją zamknięto, aby z niej szydzić.

Uwięziona, uwięziona, uwięziona.

Być może zawsze była tu przetrzymywana, lecz nie aż tak dosłownie. Ściany jakby zaciskały się wokół niej. Chciała wiedzieć, co się dzieje w Szlochu, jaką reakcję wywołały wieści o ich istnieniu. Eril-Fane musiał już im o wszystkim powiedzieć. Pewnie będą szykowali broń i omawiali strategię. Może powrócą do cytadeli liczniejsi? Czy to możliwe? Ile jedwabnych sań mieli? Sarai zauważyła tylko dwoje, lecz wyglądały na łatwe do skonstruowania. Podejrzewała, że kwestią czasu będzie skrzyknięcie przez nich sił inwazyjnych. Czy Minya naprawdę myślała, że zdoła ich odeprzeć? Sarai wyobraziła sobie, że prowadzą takie życie jak do tej pory, tyle że obłąceni, i jak na szpilkach wyczekują kolejnego ataku o każdej porze dnia i nocy. Zmagaliby się z wojownikami

i spychali trupy z tarasu, a one spadałyby na ulice miasta jak śliwki. Feral deszczem zmywałby czerwone kałuże, po czym siadaliby razem do kolacji, podczas gdy Minya szykowałaby już kolejnych umarłych, którzy musieliby jej pokornie i żarliwie służyć.

Zadrzała. Czuła się bezradna. Dzień był jeszcze jasny i sunął po niebie powoli, jakby nie chciał się skończyć. Doskwierała jej straszliwa tęsknota za śpiochem, choć nie czekała na nią błoga szarość, nawet gdyby wypłała go całe litry. Czuła się zmęczona, zużyta, przetarta jak podeszwy starych kapci. Nie odważyła się jednak zamknąć oczu. Bała się tego, co czekało na nią za progiem świadomości, bardziej niż wyczerpania. Nie czuła się dobrze. Duchy tam, horrory tu, nie miała gdzie uciec. Lśniące, niebieskie ściany zaciskały się. Załkała, czekając na zapadnięcie nocy, aż nareszcie doczekała się upragnionego mroku. Cichy krzyk nigdy nie był tak wyzwalający. Wypuściła z siebie wszystkie ćmy, co do jednej, i poczuła się, jakby jej jestestwo rozproszyło się na kawałeczki, czemu towarzyszyło ledwie słyszalne trzepotanie skrzydełek. Jej świadomość przeniosła się na owady. Sarai wyleciała z okna i popędziła przed siebie, jakby niebo wysssało ją z cytadeli; rozległe, bezkresne niebo. Gwiazdy przyzywały ją niczym boje sygnalizacyjne płonące na czarnej powierzchni oceanu, na którym Sarai rozproszyła się po stokroć, unoszona przez bez troskie powietrze.

Uciec, uciec.

Oddalała się od koszmaru, od niedostatku, od odwróconych spojrzeń jej krewnych. Oddalała się od ślepego zaułka korytarza, gdzie zamknięto jej życie, gdzie kpiono sobie z niej. Oddalała się od siebie samej. Dzikie pożądanie zmuszało ją do nieustannego lotu. Jak najdalej od Szłochu – sto ciem, sto stron świata – nie stawać ani na chwilę aż do świtu, kiedy słońce przemieni je w dym, a ją wybawi od nieszczęścia.

„Zabij się, dziewczyno – powiedziała starucha. – Zlituj się nad nami”.

Litość.

Litość.

Czy litością byłoby skończyć ze sobą? Sarai wiedziała, że te złowrogie słowa nie zostały wypowiedziane przez ducha starej kobieciny, ale przez nią samą, kryła je bowiem głęboko w sobie z powodu poczucia winy pielęgowanego przez cztery tysiące koszmarnych nocy. Wiedziała, że jako jedyna z całego miasta i jako jedyna z całej metalowej cytadeli, metalowego anioła spoglądającego z nieba, znała cierpienie, jakiego zaznali tak samo ludzie, jak i boskie pomioty. Dotarło do niej, że okazana przez nią litość jest cenna, bo niespotykana. Udało jej się zapobiec rzezi, przynajmniej na razie. Przyszłość była ślepa, lecz tak po prawdzie nie sądziła, aby okazała się ona lepsza bez niej. Opanowała dziki, chaotyczny lot. Nie ciągnęła już do gwiazdnych boi sygnalizacyjnych, lecz prosto do Szłochu, aby się przekonać, co zdziałała jej litość.

Bogini była prawdziwa. I żywa.

Lazlo śnił o niej, jeszcze zanim się dowiedział, że Mesarthimowie mieli niebieską skórę. Po tym, jak już zobaczył ją żywą i okazało się, że jej urocza twarzyczka jest dokładnie taka sama, jaką zapamiętał ze snu, wiedział, że to nie przypadek.

To musiała być magia.

Kiedy dotarły do nich wozy mające przewieźć jedwabne sanie i ich załogę, cała czwórka opowiedziała zgodną historyjkę o awarii mechanicznej. Nikt tego nie zakwestionował. Opowiedzieli o tym tak spokojnie, że dzień dalej potoczył się jak zwykle, choć Lazlo czuł, że nic już nigdy nie będzie zwykle. Przemyślał wszystko tak dokładnie, jak tylko zdołał – biorąc pod uwagę, że chodziło o uniknięcie śmierci z rąk rozwścieczonych duchów – i kiedy już otrząsnął się ze strachu i uporał z konsternacją, poczuł nawet odrobinę satysfakcji. Bo dziewczyna z jego snu nie okazała się jedynie wytworem wyobraźni, nie była boginią rozpaczony i do tego żyła. Przez cały dzień zerkał na cytadelę jakby innymi oczyma, wiedząc, że ona tam jest. Jak to możliwe? Jak cokolwiek, co przeszli, mogło być możliwe? Kim była i jak trafiła do jego głowy?

Położył się spać niespokojny, mając nadzieję, że i tej nocy powróci. Przygotował się, nie to co wczoraj; nie leżał już rozwalony na łóżku, twarzą do poduszki, bez koszulki i nieświadomy tego, co się działo, nie kłopotując się nawet zawiązaniem sznurka przy bryczesach. Dzisiaj usiłował podejść do snu jak do uroczystego wydarzenia. Założył koszulę, zawiązał troczki i spiął włosy. Spojrzał nawet na swoje odbicie, ale zrobiło mu się wstyd, że tak przesadnie zadbał o swój wygląd, jakby jakimś sposobem mogła go zobaczyć. Nie miał pojęcia, jak działała ta magia. Ona była tam, na górze, a on tu, na dole, lecz nie potrafił odpędzić od siebie wrażenia, że oczekuje gościa, bo to dlań zupełnie nowe doświadczenie. Postępował, cóż, prowokacyjnie. Położył się do łóżka i czekał, aż bogini złoży mu wizytę...

Splonął się. Oczywiście to nie tak. Gapił się na sufit, zdrętwiały mu członki i poczuł, jakby odgrywał rolę śniącego w jakimś przedstawieniu. To tak nie działa. Musiał zasnąć, aby śnić, co nie przychodziło mu łatwo, zważywszy na to, co przydarzyło mu się tego szalonego dnia. Jego myśli toczyły między sobą wyścig. Czuł jakiegoś rodzaju euforię powodowaną faktem, że umknął śmierci. Ponadto denerwował się, bo może w ogóle do niego nie przyjdzie. Telepały nim nerwy, podniecenie, nieśmiałość i głęboka, niedająca mu zasnąć nadzieja. Przypomniawszy sobie – a raczej rozkoszował się tą myślą – jak złapał ją ostatniej nocy za rękę i trzymał, delektując się prawdziwością tej chwili i istnienia jej osoby, realnością połączenia, jakie rozblęskło między nimi, kiedy zdał sobie z tego sprawę. Bo gdyby to nie był sen, pewnie nigdy nie odważyłby się na coś tak śmiałego. Z drugiej strony nie potrafił przekonać samego siebie, że to do końca sen. Z pewnością to, o czym myślał, nie wydarzyło się na tej płaszczyźnie rzeczywistości. Jego dłoń nie dotknęła jej dłoni. Ale jego umysł dotknął jej umysłu, co wydawało się głębszym poziomem rzeczywistości, czymś dalece bardziej intymnym. Dziewczyna wciągnęła ze świstem



powietrze, kiedy ją dotknął, ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

„Dla niej to również było coś prawdziwego”, pomyślał. Przypomniawszy sobie jej złotoczerwone rzęsy i krystalicznie czyste, błękitne oczy, to, jak na niego spojrziała, kompletnie odrętwiała, ten pierwszy raz, kilka nocy temu, i znowu, zaledwie wczoraj. Nikt nigdy tak na niego nie patrzył. Przez to spojrzenie ciągnęło go, aby ponownie przejrzeć się w lustrze – bo a nuż jego twarz nagle wyprzystojniała, a on tego nie spostrzegł. Impuls ten był tak próżny i tak nie pasował do jego osobowości, że aż nakrył oczy ramieniem i roześmiał się z siebie.

Niedługo jednak zamilkł. Przypomniawszy sobie bowiem lejącą się krew i dane im przez nią ostrzeżenie – „Wszyscy zginą” – to, jak kurczowo złapała się metalowych ścian cytadeli i zaparła się, rozpaczliwie usiłując ostrzec ich jeszcze raz.

Nie żyliby, gdyby nie ona.

„Uciekajcie!”, krzyczała, gdy chwytaly ją widmowe ręce, ciągnąc do tyłu. Jakaż była śmiała i zdeterminowana. Czy aby nic się jej nie stało? Czy nie została ranna? Co działo się w cytadeli? Jak wyglądało jej życie? Tyle chciałby o niej wiedzieć. Wszystko. Chciałby wiedzieć wszystko i pomóc jej. W Zosmie, kiedy Eril-Fane stanął przed uczonymi i opowiadał tajemniczo, opłótkami, o problemie Szlochu, Lazlo pałał tak samo głębokim pożądaniem: chciał pomóc, jakby ktoś taki jak on miał szansę rozwiązania podobnego kłopotu.

Dotarło do niego, kiedy tak leżał, zasłaniając oczy ramieniem, że dziewczyna trwała uwikłana w problemy Szlochu w sposób, którego jeszcze nie pojmował. Ale jedno rozumiał: nie była bezpieczna ani wolna, a to, co nękało miasto, stało się jeszcze bardziej skomplikowane.

Komu sprzeciwiła się tym krzykiem? Jaką cenę mogła za to zapłacić? Zamartwianie się o nią jeszcze bardziej pogorszyło mu humor i rozbudziło, zaczął się niepokoić, że sen nigdy nie nadejdzie. Obawiał się, że się z nią minie, jakby jego umysł był drzwiami, do których miałyby zapukać i nikogo nie zastać.

„Zaczekaj – pomyślał. – Proszę, zaczekaj na mnie”.

Nareszcie udało mu się uspokoić myślą o tym, co żartobliwie określił jako troski gospodarza domu. Nigdy nie podejmował gości i nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Jak ją przyjąć, jeśli się zjawi. I gdzie. Jeśli spisano jakieś reguły goszczenia bogiń w snach, nie odnalazł takiej książki w całej Wielkiej Bibliotece. Nie chodziło o żadne tam bawialnie i tace na herbatę – choć mogłyby się przydać – ale o to, że rzeczywistość ograniczała dostępne możliwości. Sny to jednak coś zupełnie innego. Nazywał się Strange, marzyciel, i była to jego kraina, która nie miała żadnych granic.

\*\*\*

Sarai patrzyła na marzyciela, kiedy zasłonił sobie oczy ramieniem. Słyszała, jak się śmieje. Nie mogła nie zauważyć jego niecodziennego bezruchu i czekała niecierpliwie, aż jego członki zwiotczeją i zaśnie. Cma przysiadła na zaciemnionym skrzydle okiennym. Czekala tam przez jakiś czas, już po tym, jak położył się do łóżka, i starała się ocenić, czy już naprawdę zasnął. Nadal leżał z rękami na twarzy, a skoro nie mogła zobaczyć jego oczu, nie potrafiła powiedzieć, czy udaje. Przemknęło jej przez myśl, że się na nią zasadził, lecz nie potrafiła powiązać brutalności tego, czego była świadkiem o poranku,

z błogą ciszą nocy.

Nie zastała spodziewanej paniki ani gorączkowych przygotowań. Uszkodzone sanie zaciągnięto z powrotem do pawilonu, gdzie leżały smętnie ze sflaczałą poduchą. Pilotująca je inżynierka zdążyła już zasnąć z głową na ramieniu męża i mimo że chaos wkraść się w jej myśli – w jego też, choć w mniejszym stopniu – pozostałych przyjezdnych nic nie nękało. Zebrawszy żniwo pierwszych tej nocy snów, Sarai potwierdziła, że Soulzeren powiedziała o starciu w cytadeli jedynie mężowi.

Zeyyadinowie o niczym nie wiedzieli. Nie panikowali. Na tyle, na ile Sarai mogła powiedzieć, nie byli świadomi, co zaszło – zagrożenia czyhającego nad ich głowami.

Czyżby Eril-Fane zachował prawdę o starciu w tajemnicy? Czemu miałby to robić? Żałowała, że nie może go o to zapytać.

Kiedy jedna z jej ciem siedziała na skrzydle okiennym i obserwowała zasypiającego Lazlo Strange'a, inna patrzyła na Eril-Fane'a, który zasnąć nie mógł.

Znalazła go. Nawet nie rozglądała się specjalnie, myśląc, że jej ojca tutaj nie ma, tak jak nie było go przez wszystkie te noce, kiedy odwiedzała Azareen; ta zawsze spała samotnie.

Teraz też. Leżała skulona na łóżku, zakrywając twarz dłońmi, ale jeszcze nie zasnęła. Eril-Fane również nie spał, siedział w niewielkim pokoju zaraz za drzwiami. Poprzestawiał krzesła, aby móc rozłożyć na podłodze śpiwór. Nie położył się jednak, lecz siedział oparty o ścianę, z twarzą ukrytą w dłoniach. Dwa pokoje, między nimi zamknięte drzwi. Dwoje wojowników bojących się wyjrzeć na świat. Sarai nie potrafiła odepchnąć od siebie myśli, że wszystko byłoby dobrze, gdyby ich dłonie po prostu... zamieniły się miejscami. Gdyby Azareen pocieszyła Eril-Fane'a, a on ją. Ależ byli udręczeni, jacyż cisi i uparci, aby cierpieć samotnie. Z perspektywy Sarai wyglądali niczym dwie kałuże wypełnione cierpieniem, rozlane tak blisko siebie, że niemal się ze sobą łączyły, jak te dwa pokoje przedzielone zamkniętymi drzwiami. Czemu nie otworzą szeroko i drzwi, i ramion, aby objąć się i znaleźć pocieszenie? Czy nie rozumieli, że dziwaczna chemia ludzkich emocji, jego ból i jej ból, przemieszane ze sobą, mogą... się zniwelować?

Przynajmniej na jakiś czas.

Sarai chciałyby móc nimi gardzić za to, że są tacy durni, lecz wiedziała zbyt dużo, aby z nich szydzić. Przez całe lata przyglądała się, jak miłość Azareen do Eril-Fane'a jest wystawiana na próbę niczym rozkwitające pąki wyczarowanych przez Jaskółkę orchidei smagane sprowadzoną przez Ferala ulewą. Ale czemu? Bo wielki Zabójca Bogów był niezdolny do miłości.

Bo Isagol go takim uczyniła.

I jak Sarai powoli pojmowała – przez całe lata opierała się, aby to zrozumieć, aż nareszcie nie mogła już dłużej zaprzeczać – bo sam siebie takim uczynił. Zmusił się do zrobienia tego, co konieczne, dla odzyskania przez jego lud wolności, zmusił się do wymordowania wszystkich dzieci.

Uśmiercił wtedy także swoją duszę.

Kiedy to do niej dotarło, zrzuciła klapki z oczu. Jej ojciec uratował swoich i poświęcił siebie. Choć wyglądał na silnego, pod skórą był jak ruiny, a może raczej stos pogrzebowy, jak Guzek, tyle że zamiast poroztapianych kości *ijji* poskładano go ze

szkieletów niemowląt i dzieci, łącznie z, jak zawsze wierzył, jego własnym: nią, Sarai. Dlatego czuł wyrzuty sumienia, które dławily go niczym chwasty, jak całe kolonie robactwa, zatykając i kalając go. Cuchnął ignił, aż nic tak szlachetnego jak miłość lub – bogowie drodzy! – przebaczenie nie mogło znaleźć sobie u niego miejsca.

Odmówiono mu nawet ulgi łez. Sarai przekonała się o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Zabójca Bogów nie był zdolny do płaczu. Nazwa miasta stała się dla niego szyderstwem. Przez wszystkie te lata nie potrafił wycisnąć z siebie choćby łkania. Kiedy Sarai była młoda i okrutna, próbowała go do tego zmusić, lecz nigdy jej się nie udało.

Biedna Azareen. Gdy leżała tam bez swojej zbroi, wyglądała jak wycięte z piersi serce, spoczywające na blacie stołu i opatrzone karteczką z napisem „Smutek”.

A Eril-Fane, wybawiciel Szlochu, który przez trzy lata robił za zabawkę bogini rozpaczy? Nie mogła wymyślić dla niego niczego innego poza „Wstydem”.

I tak „Smutek i „Wstyd” cierpieli, leżąc blisko siebie, ale przedzieleni zamkniętymi drzwiami, sam na sam ze swoim cierpieniem, miał się nim podzielić. Sarai przyglądała się im, czekając, aż jej ojciec zaśnie i będzie mogła posłać do niego cmentę – o ile się odważy – by zobaczyć, co kryje jego serce. Nie potrafiła zapomnieć, co wyrażała twarz mężczyzny, kiedy ją zobaczył, i co zapewne teraz chował za mocnymi dłońmi. Nie rozumiała też, dlaczego trzymał to w tajemnicy przed innymi. Wiedział, że Sarai żyje, ale co zamierzał z tą wiedzą zrobić?

\*\*\*

Czworo tych, którzy dotarli do cytadeli, przeżyło, aby opowiedzieć, co ich spotkało. Żadne z nich jednak tego nie zrobiło. Sarai przyjrzała się im wszystkim, śpiącym i nieśpiącym. Odwiedziła też wiele innych miejsc, lecz swoją uwagę podzieliła głównie pomiędzy ojca a marzyciela.

Kiedy była już pewna, że Lazlo poddał się snom – i nareszcie przesunął rękę tak, że mogła zobaczyć jego twarz – kazała cmentę poderwać się z okiennej ramy i usiąść na nim. Nie mogła się jednak zmusić, aby go dotknąć, przez dłuższą chwilę unosiła się nad śniącym. Tym razem miało być inaczej, tego była pewna. Wysoko na górze krążyła po swojej sypialence, podenerwowana, jakby faktycznie dreptała obok niego, gotowa podskoczyć, jeśli się tylko ruszył.

Dzięki zmysłom cmentę czuła zapach drzewa sandałowego i czystego piżma. Jego oddech był głęboki i równy. Mogła zobaczyć, że śni. Gałki jego oczu poruszały się pod zamkniętymi powiekami, a rzęsy – gęste i lśniące jak sierść kota – trzepotały lekko. Nie mogła już dłużej czekać. Poddała się. Ze zniecierpliwienia i obawy. Pokonała nieduży dystans dzielący ją od jego czoła, przysiadła na ciepłej skórze i przeniknęła do jego świata.

Czekał na nią.

Był tam, stał wyprostowany i czekał, jakby wypatrywał jej przyjścia.

Sarai zabrakło tchu.

„Nie – pomyślała. – Nie, jakby mnie wypatrywał, ale jakby miał nadzieję, że się zjawię”.

Cmentę wystraszyła się i przerwała kontakt. Był zbyt blisko. Nie przygotowała się. Lecz to króciutkie spojrzenie, ta migawka wystarczyła, żeby zauważyć, jak jego niepokój

zastępuje ulga.

Ulga. Na jej widok.

Dopiero wtedy, kiedy ponownie unosiła się nad pogrążonym we śnie ciałem marzyciela, a serca tkwiące w jej oddalonym o spory kawał ciele zaczęły wybijać dziki rytm, Sarai zrozumiała, że przygotowała się na najgorsze, że tej nocy nareszcie poczuje do niej słuszne obrzydzenie, lecz nie dostrzegła niczego podobnego. Zebrała się na odwagę i wróciła na jego skroń.

Nadal tam stał i znowu była świadkiem, jak obawa ustępuje miejsca uldze.

– Przepraszam – powiedział swoim pachnących drzewnym dymem głosem.

Stał teraz nieco dalej. Nie chodziło o to, że się poruszył, raczej zmieniło się jej pojmowanie przestrzeni, jakby nie chciał przytłoczyć Sarai swoją obecnością. Zauważyła, że nie stali ani na ulicach Szlochu, ani między regałami biblioteki, ale na brzegu rzeki. Nie była to jednak gwałtowna Uzumark, tylko łagodniejszy potok. Nie dostrzegła też ni Szlochu, ni Guzka, ni cytadeli, jedynie połączenie bladego nieba, a pod nim szeroki pas gładkiej, zielonej wody, gdzie brodziły ptaki o długich, zakrzywionych szyjach. Na brzegach stały rzędy prostych, zbudowanych z nieociosanego kamienia domów o pomalowanych na niebiesko okiennicach, które przechylały się ku rzece, jakby chciały złapać własne odbicia.

– Wystraszyłem cię – powiedział Lazlo. – Zostań, proszę.

Sarai rozbawiła sama myśl, że mogłaby się go przeleknąć. Ona, Muza Koszmarów, gnębicielka Szlochu... strwożona przez sen uroczego bibliotekarza.

– Jedynie mnie zaskoczyłeś – odparła, pewna siebie. – Nie przywykłam do powitań.

Nie wyjaśniła, że nie przywykła do bycia widzianą, że to wszystko było dla niej nowe. Jej serca biły unisono, wpadając i wypadając z rytmu jak dziecko uczące się tanecznych kroków.

– Bałem się, że się z tobą minę – powiedział Lazlo. – Miałem nadzieję, że się zjawisz.

Znowu ujrzała w jego oczach migoczące wiedźmowe światła, lśniące niczym słońce na wodzie. Jeśli ktoś tak na kogoś patrzy, to tej osobie zwykle robi się dziwnie, szczególnie komuś, kto przywykł do wywoływania obrzydzenia. Zupełnie jakby Sarai osiągnęła wyższy, niepokojący stopień samoświadomości, bo nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak wiele ruchomych członków posiada, a teraz nagle zrozumiała, że ich koordynacja wymaga pewnej gracji. Panowanie nad własnym ciałem wydawało się proste dopóki, dopóty się o nim nie myślało. Ale jak tylko człowiek zaczyna się nad tym zastanawiać, wszystko się psuje. Jakim cudem udało jej się przeżyć całe życie, nie zastanawiając się nad istnieniem ramion, nad niezgrabnością ich konstrukcji, nad tym, że zwisają niczym połcie mięsa w witrynie sklepu masarskiego? Skrzyżowała je na piersi, jak się jej wydawało nieporadnie, jak amatorka dopiero ucząca się obsługi swoich kończyn i wybierająca najprostszy do wykonania ruch.

– Czemu? – zapytała. – Czego ode mnie chcesz?

– N-niczego nie chcę – odparł prędko.

Rzecz jasna nie było to uczciwe pytanie, bo przecież to ona wlaźła z buciorami do

jego snu, a nie odwrotnie. I to on miał prawo zapytać, czego Sarai tu chciała. Ale powiedział coś innego:

– Znaczący chcę się upewnić, że nic ci nie jest. Co się tam stało? Jesteś ranna?

Sarai mrugnęła. Ranna? Po tym, co zobaczył i co przeżył, pytał, czy nic jej nie jest?

– Nie – odparła szorstko z powodu guli, jaka niewytłumaczalnie zatkała jej gardło.

Krążąca po swojej malutkiej sypialni dziewczyna złapała się za opatrzone ramię. Żaden z mieszkańców cytadeli nawet nie zapytał, czy nic się jej nie stało.

– Powinieneś był mnie posłuchać. Próbowалаm cię ostrzec.

– Tak, ale myślałem, że jesteś snem. A najwyraźniej nie jesteś. – Zamilkł na moment, niepewien wyciągniętej konkluzji. – Mam rację, prawda? Choć oczywiście nawet jakbyś nie była, to pewnie nie powiedziałaś mi o tym, czyli i tak bym się nie dowiedział.

– Nie jestem snem – odparła nie bez goryczy Sarai. – Jestem koszmarem.

Lazlo wydał z siebie rozbawione, choć nieprzekonujące parsknięcie.

– Raczej nie moim – powiedział, poczerwieniawszy nieco. – Cieszę się, że istniejesz – dodał i splonął się jeszcze bardziej.

Stali przez chwilę naprzeciwko siebie, nie mogąc się zebrać, aby spojrzeć sobie w oczy. Oboje spuścili wzrok i jedno gapiło się na wysypany kamykami kawałek brzegu rzeki między stopami drugiego. Lazlo zauważył, że dziewczyna chodziła boso. Palcami rozgrzebywała kamyczki i miękkie błoto. Myślał o niej cały dzień i choć nie miał za bardzo nad czym dumać, nie mógł nie zauważyć, że jej widok zdumiał Eril-Fane'a i Azareen, stąd wyciągnął wniosek, że spędziła w cytadeli całe swoje życie. Czy kiedykolwiek postawiła stopę na powierzchni ziemi? Pielęgnując tę myśl, spojrział raz jeszcze na jej bosc, niebieskie palce rozgrzebujące piasek i poczuł żal.

Lecz kiedy powiódł spojrzeniem wyżej, na jej niebieskie kostki i kształtne łydki, uderzył go jej czar, jej powab, przez co znowu się zaczerwienił. Odwrócił wzrok. Pomyślał, że po tym wszystkim, co przeszli, zważywszy na okoliczności, żałownie będzie zaoferować coś na ząb, lecz nie miał za bardzo pomysłu na kolejny ruch, dlatego ciągnął dalej:

– A może... miałybyś ochotę na herbatę?

„Herbatę?”

Sarai zauważyła stojący na brzegu stół, a raczej nie na brzegu, tylko na płyciźnie, jego nogi ukryły się pośród pienistych krawędzi fal nachodzących na ląd. Na blacie rozłożono lniany obrus, ustawiono na nim naczynia z pokrywkami, dzbanek herbaty i filiżanki. Z dzióbka czajniczka uciekały smużki pary i Sarai poczuła unoszący się z niego zapach, bogaty i kwiatowy, przebijający przez ziemisty aromat rzeki. Za herbatę uznawano w cytadeli jedynie zioła takie jak mięta czy melisa. Miała co prawda odległe wspomnienie smaku prawdziwego naparu, ale zostało ono pogrzebane pod wyraźniejszymi smakami cukru i tortu urodzinowego. Czasem fantazjowała nie tylko o samym napoju, lecz i o rytuale jego przygotowywania, nakrywania do stołu i przesiadywania przy nim, co, patrząc z boku, wydało jej się fundamentem kultury. Picie herbaty i prowadzeniu ożywionej rozmowy, jak zawsze miała nadzieję, towarzyszyło ciasto. Zerknęła na niepasujący do reszty otoczenia stół, a potem znowu na Lazla, który

przygryzł dolną wargę zębami i obserwował swego gościa wyczekująco. Sarai zauważyła dzięki ćmie, że w rzeczywistości również wykonał ten gest. Wyczuwała jego nerwowość, co ją rozbrajało. Zrozumiała, że ewidentnie chciał sprawić jej radość.

– To dla mnie? – zapytała cicho.

– Przepraszam, jeśli coś źle odebrałem – powiedział, speszony. – Nigdy nie miałem gości i nie jestem pewien, od czego zacząć.

– Gości – powtórzyła słabo Sarai.

Cóż za słowo. Kiedy przenikała do czyjś snu, zawsze była obcym, intruzem. Nigdy jej nie zaproszono. To dla niej zupełnie nowe uczucie, do tego ekstrawagancko przyjemne.

– A ja nigdy nie byłam gościem – przyznała się. – I nie znam się na tym tak samo jak ty.

– Ulżyło mi – powiedział Lazlo. – Czyli sami możemy ze sobą ustalić, co i jak robimy.

Wysunął dla niej krzesło. Usiadła. Żadne z nich nigdy nie uczestniczyło w tej prostej czynności, czy to na lądzie, czy na wodzie, dlatego dopiero teraz uderzyła ich myśl, ile błędów można przy niej popełnić. Wystarczyło tylko popchnąć krzesło zbyt szybko lub zbyt wolno albo zbyt gwałtownie usiąść i nieszczęście gotowe, może nawet nieplanowany chrzest pośladekmi do wody. Ale udało im się zachować jak należy. Lazlo zajął miejsce naprzeciwko i zasiedli przy stole niczym dwoje zwyczajnych ludzi, zerkających na siebie nieśmiało przez unoszącą się nad dzbankiem herbaty parę.

A byli we śnie.

W zaginionym mieście.

W cieniu anioła.

U progu nieszczęścia.

Lecz wszystko to – miasto, anioł, nieszczęście – wydawało się im niemożliwie odległe, jakby istniało w innym świecie. Łabędzie przepływały obok nich niczym majestatyczne okręty, a osada wyglądała jak namalowana pastelami z okazjonalnymi plamami błękitu. Niebo miało kolor rumieńca na brzoskwini, owady poświstywały po swojemu w wysokich trawach łąk.

Lazlo sięgnął po dzbanek i uznał, że chyba prosi swoje dłonie o zbyt wiele, bo nie było mowy, aby drżącymi rękoma nalał herbatę do filigranowych filiżanek, które wymyślił, dlatego zażyczył sobie, aby same się wypełniły. Czajniczek posłuchał uprzejmie i uniósł się, jakby stał przy nich niewidzialny kelner. Tylko jedna kropla spadła na obrus, rozlewając się po lnę i barwiąc tkaninę brązem, ale wystarczyła za ledwie myśl i prędko zniknęła.

„Gdyby mieć taką moc w prawdziwym świecie...”, pomyślał i wydało mu się zabawne, że przyszło mu to do głowy podczas tak banalnej czynności jak czyszczenie obrusu, a nie na przykład wyobrażania sobie całej osady, rzeki z brodzącymi ptakami, odległych wzgórz i niespodzianki, jaką kryją. Zdarzało mu się już śnić obrazowo, lecz nigdy aż tak intensywnie i jaskrawo. Odkąd przybył do Szlochu, jego sny stały się niespotykane żywe. Zastanawiał się, czy tę przejrzystość zawdzięcza tej dziewczynie? A może jego umysł osiągnął wyższy poziom skupienia i koncentracji?

Podnieśli filiżanki. Obojgu ulżyło, że mogą coś zrobić z dłońmi. Sarai pierwsza zmoczyła usta, lecz nie potrafiła powiedzieć, czy smak – dymu i kwiecica – był jej wspomnieniem, czy Lazlo tak ukształtował jej zmysły we śnie. Czy to tak działa?

– Nie poznałem twojego imienia – powiedział.

Sarai nigdy, w całym swoim życiu, nie została zapytana o imię ani nikomu się nie przedstawiała, bo też i nikogo nie spotkała. Wszystkich, których знаła, znała od zawsze, może poza wyłapywanymi duchami, którym nie zależało zbyt na wymianie uprzejmości.

– Sarai – powiedziała.

– Sarai – powtórzył, jakby smakował jej imię.

Sarai.

„Smakuje – pomyślał, lecz się z tym nie zdradził – jak herbata, wytrawnie i niezbyt słodko”. Lazlo spojrział na nią dogłębnie. Nigdy, za żadne skarby, nie zrobiłby tego naprawdę, nie popatrzyłby na młodą kobietę z taką bezpośredniością i intensywnością, lecz tutaj wydało mu się to odpowiednie i na miejscu, jakby spotkali się z niewypowiedzianą chęcią bliższego poznania się.

– Opowiedz mi o sobie? – zapytał.

Sarai trzymała filiżankę oburącz i raczyła się gorącą parą, podczas gdy jej stopy łagodnie obmywały zimne wody rzeki.

– Co powiedział ci Eril-Fane? – wyrzekła ostrożnie.

Oczami innej z ciem obserwowała swojego ojca, który nie siedział już pod ścianą, lecz podszedł do otwartego okna dziennego pokoju Azareen i wyglądał na zewnątrz, patrzył na cytadelę. Czy wyobrażał sobie ją? A jeśli tak, to o czym myślał? Jeśli by spał, sama by się tego dowiedziała. A tak nie potrafiła niczego odczytać z jego twarzy, która jawiła się jak pośmiertna maska: ponura i bez życia, z ciemnymi otworami zamiast oczu.

– Powiedział jedynie, że nie jesteś Isagol – rzekł Lazlo. – Jesteś... jej córką? – zapytał po chwili.

Sarai podniosła wzrok.

– A tak powiedział?

Lazlo pokręcił głową.

– Odgadłem – przyznał. – Po twoich włosach. – Odgadł coś jeszcze. Ociągając się, dodał: – Suheyla powiedziała mi, że Eril-Fane był kochankiem Isagol.

Sarai milczała, lecz sam brak odpowiedzi – i wypisana na jej twarzy dumna próba niepokazania po sobie boleści wywołanej tymi słowami – wystarczył za potwierdzenie.

– Czy on o tobie wie? – zapytał Lazlo, nachylając się. – Gdyby wiedział, że ma dziecko...

– Wiedział – ucięła gwałtownie Sarai. Kilometr dalej mężczyzna, o którym rozmawiali, rozcierał oczy, wycieńczony, lecz nieśpieszno mu było je zamknąć. – A teraz wie, że żyję. Mówił coś na temat tego, co zamierza zrobić?

Lazlo pokręcił głową.

– Niewiele mówił. Poprosił tylko, abyśmy nie zdradzili nikomu, co się wydarzyło na górze. Ani słowa o tobie ani o czymkolwiek, co tam zobaczyliśmy.

Tego Sarai zdążyła się już domyślić. Chciała jednak wiedzieć czemu i co dalej, lecz

Lazlo nie potrafił jej tego powiedzieć, a Eril-Fane nadal nie spał. Za to Azareen nareszcie odpłynęła, więc Sarai czym prędzej posłała swojego strażnika o miękkich skrzydłach na delikatne zagłębienie jej umazanego zaschniętymi już łzami policzka. Nie znalazła tam jednak żadnych odpowiedzi. Zobaczyła tylko powtórkę z pełnego okrucieństwa poranka. Usłyszała własny, niosący się dudniącym echem, głośny okrzyk „Uciekajcie!” i poczuła, jak ogarnia ją groza. Ujrzała tasaki i haki do mięsa oraz twarz swojej babki – nie, babki Azareen – wykrzywioną w nienaturalny, nienawistny grymas. Mara co chwilę powracała kobiecie przed oczy, bez przerwy, z jedną zasadniczą różnicą. Utkane ze snu ramiona wojowniczkki były ciężkie niczym kotwice, nie miała sił ich unieść ani bronić się przed nadciągającymi z nad anielskiej dłoni duchami. Była zbyt powolna. Panował szaleńczy chaos i panika, a niezniszczalni przeciwnicy nadciągali falangami. Rezultat tego starcia nie pokrywał się z tym, co faktycznie wydarzyło się tego ranka. Nie mieli tyle szczęścia.

Azareen wyśniła ich śmierć. Tak jak przepowiedziała Sarai.

Siedząca nad brzegiem rzeki Muza zamilkła. Jej myśli powędrowały gdzie indziej. Lazlo, zauważając, że błękitny odcień jej twarzy poszarzał, zapytał:

– Dobrze się czujesz?

Skinęła głową. Zbyt prędko.

„Patrzyłam, jak umierasz”. Nie powiedziała tego jednak, choć nie potrafiła odepchnąć od siebie obrazu jego śmierci. Uspokoiło ją ciepło jego czoła pod odnóżami łyżki i obecność Lazla po drugiej stronie stołu. Prawdziwy Lazlo i Lazlo ze snu żyli dzięki niej. A kiedy zobaczyła, czemu udało jej się zapobiec, nie czuła już żadnego wstydu, który starała się u niej wywołać swoją tyradą Minya.

Sprawnie przejęła kontrolę nad koszmarem Azareen. Ujęła ciężaru broni wojowniczkki i spowolniła atak fantomowej armii, dając jedwabnym saniom czas na odwrót. Na koniec rozproszyła wszystkie duchy, zaczynając od babki Azareen, pozwalając jej i innym się wyzwolić.

Martwi byli wolni, a żywi bezpieczni – tak zakończył się ten sen.

Sarai dopiła herbatę. Dzbanek ponownie napełnił filiżankę. Podziękowała mu, jakby był stworzeniem, nie rzeczą, i spojrzała na nakryte naczynia.

– A może powiesz – zaczęła, chwytając spojrzenie Lazla – co tam się kryje?



Lazla trudno uznać za smakosza ciast, dlatego to jedna z rzeczy, jakie wymyślili razem podczas „co tylko chcesz”. Była to swego rodzaju gra. Jedno z nich mówiło, co chciałoby znaleźć pod przykrywką, a drugie unosiło ją delikatnie dramatycznym gestem. Tym sposobem odkryli, że mogą wymyślać rozmaite, pięknie prezentujące się słodkości, lecz kiedy chodziło o ich smak, nie było już tak różowo. Nie chodziło o to, że ciasta im nie smakowały, nie dało się im bowiem odmówić słodczy, akurat ta sztuczka przychodziła im z łatwością. Jednak poza mdłym smakiem cukru wyśnionym przez biedne sieroty przyciskające niegdyś nosy do witryn cukierni (przynajmniej metaforycznie) słodkości wydawały się nijakie.

– Są do siebie podobne – biadoliła Sarai, kosztując widelczykiem niewielki kawałek swojego ostatniego wypieku.

Ciasto stanowiło istny cud sztuki cukierniczej: trzy wysokie warstwy polane różowym lukrem, przyozdobione cukrowymi płatkami; wyobraziła je sobie zbyt duże, aby zmieściło się pod naczyniem.

– Magiczny trik – powiedział Lazlo, kiedy ciasto wydawało się rosnać równolegle z unoszeniem przykrywki.

– Wszystko tutaj jest magiczną sztuczką – odparła Sarai.

Przepisom tym przydałoby się jednak mniej magii, a więcej smaku. Wyobraźnia, jak zdążył zauważyć Lazlo, ograniczona jest tym, co znamy. Jego ignorancja w kwestii ciast wyszła na jaw.

– Chociaż to jedno powinno być dobre – powiedział, podejmując ostatnią próbę. – Upiekła je dla mnie Suheyla i chyba dość dobrze zapamiętałem jego smak.

Faktycznie było lepsze: polane miodem ciasto drożdżowe z bladozielonymi orzechami i galaretką różaną. Nie wyglądało tak znakomicie jak prawdziwe, ale przynajmniej wyróżniało się smakiem. I choć mógłby wyczyścić im palce, tylko o tym myśląc, byłoby to marnotrawstwo wyobrazonego miodu – oboje zdecydowali się je oblizać.

– Chyba nie powinniśmy próbować organizacji wyśnionego bankietu – powiedział Lazlo, kiedy kolejna próba wymyślenia pysznego ciasta spełzła na niczym.

– Ale jeśli się na to zdecydujemy, przygotuję zupę z kimrilu – powiedziała Sarai.

– Kimrilu? – zdziwił się Lazlo. – Cóż to takiego?

– Cudowne warzywo – odparła. – Praktycznie nie posiada smaku, przez to nie kusi do nadmiernego folgowania sobie, ale potrafi utrzymać człowieka przy życiu.

Zapadła krótka chwila ciszy, kiedy Lazlo zastanawiał się nad prozą życia w cytadeli. Nie chciał porzucać tej uroczej pogawędki, która pozwalała jego gościowi oderwać się myślami od codzienności, lecz nie mógł też siedzieć z wyobrażoną Sarai i nie zastanawiać się, jak żyje ta prawdziwa, na którą jedynie zdążył rzucić okiem, i to w okropnych okolicznościach.

– Czy dzięki niemu przeżyłaś? – zapytał.

– Tak – odparła. – Można powiedzieć, że to podstawa naszej diety. Ogrody nas nie rozpieszczały.

– Ale mieliście też owoce – powiedział Lazlo.

– Owszem. Śliwki, dzięki ogrodnikowi. – Uśmiechnęła się.

Kiedy rozchodziło się o jedzenie, mieszkańcy cytadeli zwykli chwalić ogrodnika, tak jak inni mogliby chwalić boga. A jeszcze więcej zawdzięczali Zjawie, bo dostali od niego bulwy kimrilu, które odmieniły ich życie. Oto bóstwa z cytadeli martwych bogów: nieznany ludzki ogrodnik i mało towarzyskie ptaszędło. I tak nic z tego nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby nie dary Jaskółki i Ferala, którzy mogli dbać o te ich niewielkie skarby, poić i karmić. Sarai pomyślała sobie, jak niesamowicie wyglądała cytadela z dołu, a jednak ich życie było takie monotonne.

Nie umknęła mu liczba mnoga, jaką się posłużyła.

– Nas? – zapytał jakby nigdy nic.

„Jesteś tam sama? Czy istnieją jeszcze inni tacy jak ty?”

Sarai uniknęła odpowiedzi, odwracając się ku rzece. Zobaczyła wyskakującą z wody rybę i tęczowe promienie słońca błyszczące na jej łuskach. Zanurzyła się z powrotem i zniknęła im z oczu. Sarai zastanawiała się, czy to cokolwiek zmieni, jeśli Lazlo i Eril-Fane dowiedzą się, że za murami cytadeli kryją się inne boskie pomioty. Reguła została złamana. Dano „dowód życia”. Czy miało znaczenie, ile ich przeżyło? Chyba tak, poza tym zdradą byłoby ich wydać. Dlatego odparła:

– Duchy.

– Jedzą śliwki?

Skoro już miała kłamać, stwierdziła, że nie będzie się hamować:

– Łapczywie.

Lazlo nie drażył. Chciał się dowiedzieć, czemu były uzbrojone w kuchenne noże i tłuczki do mięsa, po co atakowały swoich krewnych, lecz zaczął od łatwiejszego pytania:

– Jak się tam znalazły?

– Chyba wszyscy muszą po śmierci gdzieś trafić – powiedziała wymijająco Sarai.

Lazlo się z nią zgadzał, lecz odparł:

– Choć niektórzy mają nad tym jaką taką kontrolę.

Nie mówił o duchach. Przekrzywił głowę i spojrzał uważnie na Sarai. Dziewczyna czuła, że Lazlo próbuje sformułować kolejne pytania. Nie miała pojęcia, co powie, lecz była pewna, że wszystko sprowadzać się będzie do sedna: „Czemu tam jesteście?”, „Czemu was uwięziono?”, „Czemu tak żyjecie?”, „Czemu... wszystko?”. I choć chciałyby mu odpowiedzieć, ją też męczyły rozmaite pytania, czuła się, jakby buzowały gdzieś głęboko w niej niczym ćmy o zmroku, lecz potrafiły być znacznie niebezpieczniejsze niż jej latający wysłannicy. Bo powiązały się z nadzieją. Brzmiały bowiem: „Czy możesz mi pomóc?”, „Czy możesz mnie uratować?”, „Czy możesz nas uratować?”.

Kiedy zeszła do Szlochu poznać gości Zabójcy Bogów, nie umiała jeszcze choćby wyobrazić sobie kogoś takiego jak on. Przyjaciela? Sojusznika? Marzyciela, którego umysł potrafił zrodzić najpiękniejsze wizje świata, jakby wyrastały z zasadzonych nasion.

Gdyby tylko dało się je przesadzić do rzeczywistości... Lecz to niemożliwe. Niemożliwe. Kto poznał lepiej trującą glebę Szlochu od niej, skoro sama zatruchiwała ją przez dziesięć długich lat?

Dlatego nie wypowiedziała cisnącego się jej na usta pytania, powiedziała coś innego:

– A skoro już mowa o tym, gdzie chcielibyśmy pójść... Co to za miejsce?

Lazlo nie naciskał. Miał cierpliwość do tajemnic. Choć przez wszystkie te lata sekrety Szlochu nie charakteryzowały się podobną pilnością. Stawką ich rozwikłania nie były życie i śmierć. Już raz niemal pożegnał się z żywotem. Musiał jednak zyskać jej zaufanie. Nie miał pojęcia, jak to zrobić, dlatego ponownie uciekł się do opowieści.

– Ach. Cieszę się, że pytasz. Tak wyglądała osada Zeltzin. A przynajmniej ja tak sobie wyobrażam osadę Zeltzin. To nie jest zwyczajne miejsce, lecz piękne i nadzwyczajne. Czymś się wyróżnia.

Oczy mu zaślnęły. Sarai była zaintrygowana. Rozejrzała się, ciekawa, co to może być.

Kiedy próbował zasnąć, pierwszą myślą Lazla było zaprojektowanie jakiegoś eleganckiego saloniku, gdzie mógłby przyjąć gościa, co wydawało mu się odpowiednie, choć nudne. Ale z jakiegoś powodu przypomniał sobie wtedy słowa Calixte: „Coś pięknego i z potworami. Najlepsze historie są dokładnie takie”. Nie mógł odmówić jej racji.

– Zgadniesz? – zapytał.

Dziewczyna pokręciła głową. Jej oczy również zaślnęły.

– Czyli równie dobrze mogę ci powiedzieć – mówił dalej Lazlo, rozbawiony. – Przez wejście do kopalni można się przedostać do podziemnego świata.

– Do podziemnego świata? – powtórzyła Sarai, wychylając się w pokazanym przez niego kierunku.

– Tak, lecz nie o to chodzi.

– A o co? – Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

– Mógłbym ci również zdradzić, że rodzą się tu dzieci o ostrych zębach. Jeszcze zanim opuszczą kołyski, już żują ptasie kosteczki.

– Okropne. – Skrzywiła się.

– Ale chodzi o coś jeszcze innego.

– Powiedźże już – poprosiła, coraz bardziej zniecierpliwiona.

Lazlo pokręcił głową. Uśmiechał się. Dobrze się bawił.

– Cicho tu, prawda? – zapytał, drażniąc się z nią. – Ciekawe, gdzie się wszyscy podzieli?

Faktycznie panowała cisza. Owady przestały brzęczeć. Słyszeć było jedynie szum rzeki. Za osadą wielkie połacie łąki rozlewały się ku wzgórzom, które wyglądały, jakby pokrywała je ciemna sierść; wydawało się, jakby wstrzymywały oddech. Sarai wyczuwała osobliwy bezruch, sama zeszywniała. I wtedy... wzgórza odetchnęły, a ona z nimi.

– Och – wydyszała. – Czy to...

– Mahalath – przytaknął Lazlo.

Pojawiająca się co pięćdziesiąt lat mgła, która czyniła ludzi bogami albo

potworami. Nadchodziła. Jej białe języki wylażyły spomiędzy knykcii porośniętych szczytami wzgórz, poruszała się niczym żywa istota obdarzona charakterystycznym intelektem łowcy. Równocześnie lekka i gęsta, była też elastyczna i sprężysta jak serpentyna. Nie przypominała mgły, bo nie osiadała na łąkach i nie spływała ze wzgórz, cięższa od powietrza. Tu i ówdzie lepkie, wijące się białe smużki unosiły się i opadały niczym fala przyływu niosąca spienione bałwany, wsysane z powrotem przez przybój. Sunęła tryumfalnie i niestrudzenie po łąkach, kierując się prosto do osady.

– Bawiłaś się kiedyś w udawanie? – zapytał Lazlo.

Sarai roześmiała się.

– Nie tak. – Była jednocześnie wystraszona i podniecona.

– Uciekamy? Czy zostajemy?

Stół zniknął, krzesła i naczynia też. Nie zauważywszy tej przemiany, stali oboje zanurzeni po kolana w wodzie, patrząc, jak mahalath połyka stojące na obrzeżach domki. Sarai musiała się upomnieć, że to przecież nieprawdziwe, wyśnione. To tylko zabawa. Ale jak brzmiały jej zasady?

– Przemieni nas? – zapytała. – Czy sami się przemienimy?

– Nie mam pojęcia – odparł Lazlo, dla którego to również było coś nowego. – Chyba możemy wybrać, czym się staniemy, albo pozwolić snowi zdecydować, o ile ma to jakikolwiek sens.

Miało. Mogli wymusić kontrolę lub zdać się na swoją podświadomość. Tak czy inaczej, to nie mgła ich odmieni, lecz zrobią to sami. Bóg czy potwór, potwór czy bóg.

Sarai przyszła do głowy niepokojąca myśl.

– A co, jeśli już jest się potworem? – zapytała szeptem.

Lazlo spojrzał na nią i wiedźmowe światła w jego oczach powiedziały Sarai, że to nieprawda.

– Wszystko się może zdarzyć – odparł. – O to chodzi.

Mgła przelewała się dalej. Pochłaniała dryfujące łabędzie, jednego po drugim.

– Zostajemy czy idziemy? – naciskał Lazlo.

Sarai odwróciła się do mahalath. Pozwoli mgłę przyjsć. A kiedy dotknęły ją pierwsze białe smużki i objęły niczym ramiona, złapała Lazla za dłoń i mocno uściśnęła.

Młody mężczyzna i młoda kobieta zostali odmienieni przez mgłę ze snu.

Zanim jednak się to zdarzyło, przestali być czymkolwiek, zniknęli niczym eteryczny biały ptak – Zjawa – który przecinał tkankę nieba. Ulotniło się poczucie fizycznej rzeczywistości świata. Poza jedną rzeczą. Ich splecione dłonie nadal pozostały tak materialne jak kości i ścięgna. Zniknął za to cały świat, zniknęły rzeczne brzegi i sama rzeka, pod ich stopami nie było nic. Nie było nawet stóp. Ich jedyny punkt kontaktu stanowiły owe dłonie i nawet jak rozplątali palce, Lazlo i Sarai nadal mocno się trzymali. A kiedy mgła przeszła dalej i przemienione łabędzie obwieszczały skromnej, zielonej rzece swoją wspaniałość, odwrócili się do siebie, znowu chwycili się za ręce i nie mogli przestać patrzeć. Oczy mieli duże i lśniące, niezmienione. Jego nadal szare, jej wciąż niebieskie. Dalej rzęsy miała koloru czerwonego miodu, jego błyszczały niczym futro kota. Włosy również pozostały takie same – u niego ciemne, u niej cynamonowe – a nos chłopaka trwał niezmiennie wykrzywiony przez oprawione w aksamit tomiszcze baśni, tak jak jej usta wciąż były śliwkowe.

Pozostali prawie tacy sami... z jednym wyjątkiem.

Skóra Sarai zrobiła się brązowa, a Lazla niebieska.

Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę, po czym spojrzeli na splecione dłonie, na odwrócone kolory na ich palcach, następnie szukali swoich odbić na powierzchni rzeki, która nie była wcześniej na tyle przejrzysta, aby być lustrzaną, lecz zażyczyli sobie tego i taką się stała. Przeglądali się tak, trwając obok siebie, ręka w rękę. Nie stali się ani potworami, ani bogami. Byli niezmienieni poza tą jedną cechą – kolorem skóry – co w prawdziwym świecie odmieniłoby wszystko.

Sarai spojrzała na głęboki, ziemisty odcień swoich ramion. Wiedziała, choć jej brzuch zakrywała suknia, że jest tam, zaraz przy pępku, *elilith*, jak u ludzkiej kobiety. Zastanawiała się, jaki wzór otrzymała, chciałaby chociaż zerknąć. Dłoń, którą trzymał Lazlo, delikatnie wycofała. Nie istniał już pretekst, aby dłużej ją ścisnąć, choć było to przyjemne, póki trwało.

Spojrzała na niebo. Niebieski.

– Wybrałeś? – zapytała.

Lazlo zaprzeczył.

– Pozostawiłem wybór mahalath.

– I mgła uczyniła to...

Zastanawiała się czemu. Jej przemianę łatwiej dało się wyjaśnić, uzewnętrzniło się jej człowieczeństwo i tęsknota za wolnością, chęć wyrwania się z zamkniętej metalowej klatki i zrzucenia z siebie plugawej powłoki. Ale czemu on stał się tym, czym się stał? Pomyślała, że przemawia przez niego nie pragnienie, a strach, i tak wyobrażał sobie bycie potworem.

– Ciekawe, jaki dar otrzymałeś – powiedziała.

– Dar? Masz na myśli magię? Myślisz, że coś potrafię?

– Wszystkie boskie pomioty mają dary.

– Boskie pomioty?

– Tak nas nazywają.

„Nas”. Kolejny raz zaimek zbiorowy. Oboje zwrócili na niego uwagę – ona, co powiedziała; on, co usłyszał – ale Lazlo tym razem puścił to mimo uszu.

– Pomiot – powiedział, krzywiąc się. – Brzydko. Pasuje raczej do potomstwa demona.

– Bo, jak mniemam, takie było zamierzenie.

– Cóż, jeśli mogę coś powiedzieć, to jesteś niezwykle nieprzerazającym demonem.

– Dziękuję – odparła Sarai z figlarną skromnością, kładąc rękę na piersi. – To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek na swój temat usłyszałam.

– Chodzi mi po głowie przynajmniej setka miłszych i powstrzymuje mnie tylko zażenowanie.

Zupełnie jakby sama myśl o zbłaźnieniu się wywołała u niej wstyd. Sarai zobaczyła w odbiciu, jak jej brązowe policzki nabiegają szkarłatem zamiast lawendą. Lazlo zaobserwował to samo u siebie.

– No dobrze, dary – powiedział, biorąc się w garść, choć Sarai nie miałyby nic przeciwko trochę dłuższej pogadance o tej setce miłszych rzeczy. – Twoim jest... ingerowanie w sny?

Przytaknęła. Nie było powodu, aby wyjaśniała mu mechanikę działania tego procesu.

Przypomniały jej się wypowiedziane niegdyś przez Ruby słowa: „Kto chciałby się całować z dziewczyną, która je ćmy?”, i sama myśl o całowaniu rozbełtała trzepoczącą sensację na dnie jej brzucha. Może gdyby faktycznie w żołądku Sarai załęgły się ćmy, podobnie obijałyby się o ścianki, łaskotały ją swoimi delikatnymi skrzydełkami.

– Skąd mam wiedzieć, jaki to dar? – zapytał Lazlo. – Jak go rozpoznać?

– Zawsze jest inaczej – odparła. – Czasem objawia się spontanicznie i trudno go nie zauważyć, a czasem trzeba go trochę zachęcić. Kiedy żyli Mesarthimowie, Korako, bogini tajemnic, wydobywała dary. A przynajmniej tak mi mówiono. Musiałam ją znać, lecz tego nie pamiętam.

Niewypowiedziane pytanie, „Kto ci o tym opowiedział”, było niemalże namacalne, choć Lazlo zadał je tylko ledwie zauważalnym ruchem brwi, dlatego Sarai, niezachęcana, odpowiedziała.

– Duchy mi mówiły – powiedziała.

I była to prawda.

– Korako – powtórzył Lazlo.

Powrócił myślami do muralu, lecz tak bardzo skupił się na Isagol, że pozostali bogowie byli tylko niebieską plamą. Suheyła napomknęła o Lecie, ale o trzeciej bogini już nie.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Bo nie mogłeś. Była boginią tajemnic i siebie także ukrywała. Nikt nigdy się nie dowiedział, jakim dysponowała darem.

– Następny sekret. – Lazlo westchnął.

Szli brzegiem rzeki, rozmawiając o bogach i darach. Sarai rozgarniała wodę stopą i patrzyła na latające kropelki rzucające efemeryczne tęcze. Pokazywali sobie łabędzie, na pozór takie same jak poprzednio, lecz jednak inne: jeden miał kły i wydawał się ulepiony z agatów i mchu, inny połyskiwał jak zanurzony w złocie, a ich towarzysz przemienił się w svygatora, zanurzył się i zniknął pod powierzchnią mętnej, zielonej rzeki. Sarai wyjawiała, że o najlepszych darach usłyszała od Dużej Ellen, opowiadała też o dziewczynce, która potrafiła nakazać roślinom wzrastać, i chłopaku sprowadzającym deszcz. Nadal nie wiedzieli, jaki jest dar Lazla, o ile mahalath w ogóle go jakimś obdarzyła.

– A co z tobą? – zapytał, przystając, aby zerwać kwiat, który wyrósł na jego życzenie.

Był to egzotyczny pąk, jaki widział niegdyś w sklepowej witrynie, i pewnie zrobiłoby mu się nieswojo, gdyby wiedział, że nosi nazwę męczennicy. Podał go Sarai.

– Stając się człowiekiem, musiałabyś zrezygnować ze swojego daru, prawda?

Nie miał pojęcia, jakim był dla niej przekleństwem ani jaką krzywdę wyrządził jej i Szlochowi.

– Chyba tak – odpowiedziała, wachając kwiat pachnący deszczem.

– Nie mogłabyś wtedy być tutaj ze mną.

Nie mylił się. Gdyby stała się człowiekiem, nie mogłaby przeniknąć do jego snu. Ale... znalazłaby się wtedy obok niego, tak naprawdę obok. Poczła rozlewające się po ciele ciepło, lecz nie był to ani wstyd, ani skrępowanie, raczej tęsknota. Pragnienie, którego źródłem są nie serca, ale ciała. Jej skóra chciała być dotykana. Jej członki chciały poczuć na sobie czyjąś dłoń. Jej palce chciały spleść się z innymi palcami. Pragnienie to brało się z trzewi, z miejsca ozdobionego *elilith*. Dotknęła tatuażu i zadrżała. Tymczasem prawdziwe ciało Sarai również przeszedł dreszcz.

– Byłabym gotowa na podobne poświęcenie – powiedziała.

Lazlo nie potrafił pojąć, jak bogini mogłaby zrezygnować ze swojej magii. Nie chodziło też tylko o to. Pomyślał, że byłaby piękna w każdym kolorze, lecz już mu brakowało jej cudnego błękitu.

– Gdyby przyszło co do czego – zaczął – nie zdecydowałabyś się jednak na to, prawda?

Czyżby? Czemu jej podświadomość – jej wewnętrzna mahalath – wybrała tę transformację?

– Jeśli dzięki temu mogłabym mieć życie? Oczywiście, że bym się zdecydowała.

Lazlo się zmieszał.

– Przecież żyjesz – poczuł nagłe ukłucie strachu. – Bo żyjesz, prawda? Nie jesteś duchem jak tamci...

– Nie, nie jestem duchem – odparła Sarai, co przyjął z ogromną ulgą. – Lecz jestem boskim pomiotem i musisz dopuścić do siebie różnicę pomiędzy byciem żywym a życiem.

Lazlo był owej różnicy świadomy, a przynajmniej tak sądził. Pomyślał, że można porównać los pomiotu z losem znajdy z opactwa zemonkańskiego: życie bez życia. A jako że udało mu się od tego brzemienia wyzwolić, nawet spełnić swoje marzenie, czuł się

uprawniony, aby uważać się za specjalistę. Brakowało mu jednak istotnego elementu układanki. Niezwykle, niezmiernie ważnego. Dlatego też powiedział ze szczerą, pełną troski empatią:

– Musi być ci tam, na górze, ciężko. Ale skoro wiemy, że tam jesteś, możemy cię wydostać.

– Wydostać? Niby gdzie pójdę, do Szlochu? – zapytała z pełnym niedowierzania rozbawieniem, a gdy mówiła, z każdym słowem jej skóra powracała do prawdziwego koloru, niebieskiego odcienia.

„Tyle, jeśli chodzi o bycie człowiekiem”, pomyślała. Żadne udawanie nie mogło przewyciężyć brutalnej prawdy. Powtórna przemiana Sarai położyła kres fantazji i Lazlo również powrócił do poprzedniego stanu. Niemal zrobiło jej się przykro. Kiedy przed momentem wyglądał jak ona, Sarai prawie uwierzyła, że coś ich łączy, jeszcze chwila i zastanawiałyby się tęsknie, czy marzyciel faktycznie mógłby jej pomóc, czy byłby w stanie ją ocalić. Lecz nie. Nie mógł nic zrobić.

– Rozumiesz jednak – powiedziała może aż nazbyt ostro – że zabiliby mnie na miejscu?

– Kto?

– Oni wszyscy.

– Nie. – Pokręcił głową, nie dając temu wiary. – To dobrzy ludzie. Owszem, byliby zaskoczeni, lecz nie mogliby cię nienawidzić, bo twoi rodzice byli tym, kim byli.

Sarai przestała krążyć po sypialence.

– Uważasz, że dobrzy ludzie nie potrafią nienawidzić? – zapytała. – Myślisz, że dobrzy ludzie nie mogą zabić? – Zaczęła dyszeć i spostrzegła, że zgmiotła podarowany jej przez Lazla kwiat; wyrzuciła płatki do wody. – Dobrzy ludzie robią te same rzeczy co ci źli, Lazlo. Tylko że wtedy nazywają to sprawiedliwością. – Zamilkła na moment, po czym dodała niskim głosem: – A kiedy mordują trzydzieścioro dzieci leżących w kołyskach, mówią, że to konieczne.

Lazlo wbił w nią wzrok. Nie mógł w to uwierzyć.

– Pamiętasz zaskoczenie na twarzy Eril-Fane'a? – ciągnęła. – Zdziwił się nie dlatego, że nie miał o mnie pojęcia. – Odetchnęła. – Po prostu myślał, że piętnaście lat temu mnie zabił.

Sarai załamał się głos. Przełknęła ciężko ślinę. Nagle poczuła się, jakby cała jej głowa wypełniła się łzami, i uznała, że jeśli nie pozwoli im płynąć, wybuchnie jej czaszka.

– Razem z innymi pomiotami, Lazlo – wydukała, szlochając.

Lecz tego już nie słyszał, wyszeptala te słowa do gołych ścian sypialni, z dala od snu. Łzy płynęły jej po policzkach niczym letnia monsunowa ulewa po gładkich ścianach cytadeli, której strugi zalewały korytarze przez otwarte drzwi – nie mogli wtedy nic zrobić, jak tego zatrzymać, musieli biernie czekać, aż strumienie wody przemkną po śliskich podłogach. Eril-Fane wiedział, że jedno z dzieci w żłobku zrodziło się z jego nasienia, lecz nie miał pojęcia które. Oczywiście był przy tym, jak brzuch Isagol pęczniał z jego potomstwem, ale po połogu już nigdy o nim nie słyszał. Pytał, a jakże. Ona go jednak ignorowała. Wykonała swój obowiązek, reszta należała do piastunek. Nie interesowała się nawet, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Sarai nic dla niej nie znaczyła.



A kiedy poszedł do żłobka zroszony boską krwią i ujrzał kwilące niebieskie niemowlęta, obawiał się jednego: że spojrzy na któreś z dzieci i pozna je, pomyśli „To moje”. Pewnie gdyby zobaczył swoją córkę, jej cynamonowe jak u Isagol włosy, nie miałyby żadnych wątpliwości, kim jest, lecz nie znalazł tam Sarai. Choć tego nie wiedział. Uznał, że miała ciemne włosy, po ojcu, takie same jak pozostałe dzieci. Potem zlały mu się w jedno: plamę błękitu, krwi i krzyku.

Wszystkie niewinne. Wszystkie wyklęte. Wszystkie martwe.

Oczy Lazla były suche, lecz szeroko otwarte. Nie mrugał. Dzieci. Jego umysł odrzucał to, co usłyszał, choć przecież wszystkie części układanki wskakiwały na swoje miejsce. Lęk i wstyd Eril-Fane’a. Spotkanie z Zeyyadinami i... I to, jak Maldagha kładła dłoń na brzuchu. Suheyla zresztą też. To typowo matczynej gest. Jakiż był głupi, że niewłaściwie to rozszyfrował, ale z drugiej strony, jak miałyby właściwie, skoro wychował się pośród starszych mężczyzn? Nagle wszystko to, co nie miało do tej pory sensu, ujrzał w innym świetle, jakby promienie słońca padły pod nieco innym kątem i zamiast odbijać się od szyby i oślepiać patrzącego, oświetlały ciemne kąty.

Sarai mówiła prawdę.

Co o nim myślał? Że to wielki człowiek. I dobry.

Z jego ręki padli nie tylko bogowie, ale i ich dzieci. Lazlo już rozumiał, czemu bał się cytadeli.

„Niektórzy z nas wiedzą lepiej niż inni, w jakim stanie... ją zostawiliśmy”, powiedział. Nie chodziło o szkielety bogów, lecz dzieci. Lazlo zgiał się w pół, zrobiło mu się niedobrze. Przycisnął dłoń do czoła. Zniknęła osada i przemienione łabędzie. Nie było już rzeki. Fantazja się rozwiązała, a Lazlo i Sarai znaleźli się w niewielkim pokoiku, w sypialni Zabójcy Bogów, lecz na łóżku nie spoczywało rozciągnięte ciało śpiącego chłopaka. To kolejna senna scenografia. W rzeczywistości nie stał obok niej, ale spał z ęną siedzącą mu na skroni. Tu towarzyszyła mu Muza Koszmarów.

„Muza Koszmarów”, pomyślała Sarai. Nie uwolni się od tego miana. Koniec końców sprowadziła przecież na śniącego koszmar, choć przyszła do niego, szukając azylu.

– Nie – wyszeptał Lazlo przez sen.

Zacisnął mocno i powieki, i pięści. Jego oddech przyśpieszył, puls też. Symptomy snienia koszmaru. Och, jak dobrze Sarai zdążyła je poznać. A przecież tylko powiedziała prawdę. Nawet mu jej nie pokazała. Nie epatowała obrazami lśniących ostrz, tryskającej krwi i malutkich, niebieskich ciałek. Nic by jej nie zmusiło, aby narzucić to ropiejące wspomnienie tak pięknemu umysłowi.

– Przepraszam – powiedziała.

Prawdziwa Sarai zapłakała prawdziwymi łzami. Nigdy nie uwolni się od tego koszmaru. Jej umysł zawsze będzie przypominał rozkopaną mogiłę.

– Czemu mnie przepraszasz? – zapytał Lazlo. Powiedział to uroczym, łagodnym głosem, lecz jakby uleciała z niego wyrazistość. Kojarzył się z tęnym nożem albo zaśniedziałą monetą. – Kto jak kto, ale ty nie masz za co przepraszać. Miał być bohaterem – mówił dalej. – Pozwolił mi w to uwierzyć. Lecz jaki bohater byłby zdolny zrobić... coś takiego?

Rzeczony bohater leżał wyciągnięty na podłodze jednego z domów w Opadzie, sztywno i nieruchomo, jakby spał, lecz oczy miał otwarte, spoglądał w ciemność. Sarai znowu pomyślała, że pod tą męską powłoką kryje się wrak człowieka. Był jak przeklęta świątynia, imponująca skorupa miejsca kultu, która z zewnątrz nadal potrafiła zachwycić, lecz do środka nie miał dostępu nikt poza duchami przeszłości błakającymi się pomiędzy zimnymi ścianami.

– Jaki bohater mógłby tak postąpić? – zapytał ponownie Lazlo.

Istotnie, jaki? Sarai nigdy nie próbowała nawet na moment stanąć po jego stronie. Było to dla niej nie do pomyślenia, jakby od przebaczenia oddzielały ją stopy zwłok. Tak czy inaczej, nie mając pomysłu, co odpowiedzieć, odezwała się cicho:

– Przez trzy długie lata Isagol... kazała mu się kochać. Nie... zainspirowała go do miłości. Nie zabiegała o nią. Sięgnęła prosto do jego umysłu... do jego serc lub duszy... i poruszyła odpowiednią strunę, aby pokochał ją bez względu na to, co rzeczywiście do niej czuł. To perfidna rzecz. – Zadrżała na samą myśl, że wyszła na świat z ciała kogoś takiego. – Nie odebrała mu jednak owych sprzecznych emocji, choć mogła. Nie odebrała mu nienawiści do siebie. Zostawiła ją, aby trwała przy miłości, uznała to za zabawne. Nie była to... niechęć i pożądanie czy jakieś inne, trywialne formy miłości i nienawiści. Rozumiesz, chodziło o czystą nienawiść. – Wypowiedziała to słowo z taką zapalczliwością, jakby chciała wyrazić to, co czuła nie tylko ona, ale i Eril-Fane oraz pozostałe ofiary podłości Mesarthimów. – Nienawiść wykorzystywanych i torturowanych, którzy są dziećmi wykorzystywanych i torturowanych i których dzieci będą wykorzystywane i torturowane. A prócz tego była jeszcze miłość. – W to słowo również włożyła tyle uczucia, ile tylko mogła, bo chodziło o miłość, która rozkwita w duszy jak wiosna i dojrzewa niczym lato, o miłość rzadko spotykaną w rzeczywistości; jakby jakiś mistrz alchemii wydestylował ją i oczyścił ze wszystkich zanieczyszczeń, z każdego najdrobniejszego rozczarowania, z każdej małosłownej myśli, a potem stworzył z niej idealny eliksir, o słodkim, bogatym i upajającym smaku. – Kochał ją naprawdę mocno – szepnęła. – Ale to wszystko było kłamstwem. Pogwałceniem uczuć. Nie miało to jednak znaczenia, bo kiedy Isagol narzucała ci coś, nie miałeś wyjścia. Nienawidził jej i kochał ją. A potem zabił. – Sarai usiadła na krawędzi łóżka Lazla i powiodła spojrzeniem po tak dobrze znanych ścianach; sypialnie mogą się stać więzieniami wspomnień, a w tej nadal żywe były wszystkie lata, kiedy przychodziła pod to okno, pałając podyktowaną poczuciem sprawiedliwości złością; Lazlo umościł się obok niej. – Nienawiść zwyciężyła – powiedziała. – Isagol trzymała go tak długo dla zabawy. Przez trzy lata Eril-Fane toczył ze sobą wojnę. Mógł jednak zwyciężyć tylko wtedy, jeśli jego nienawiść przewyciężyłaby tę paskudną, fałszywą i idealną miłość. I tak się też stało. – Zaciśnęła zęby, spojrzała z ukosa na Lazla; to nie ona powinna opowiadać tę historię, lecz uznała, że musi się o tym dowiedzieć. – Po tym, jak Skathis sprowadził do cytadeli Azareen.

Lazlo usłyszał ułamek tej historii. „Ją też zabrali, tyle że później”, powiedziała Suheyla. Sarai jednak знаła więcej szczegółów. Widziała przecież, jak Azareen każdej nocy zakłada zmatowiałą obrączkę, a zaraz o świcie ją zdejmuję. Nie była to pierwsza opowieść o miłości przerwana przez bogów, lecz jedyna, która przyczyniła się do ich

końca. Eril-Fane przebywał w cytadeli od przeszło dwóch lat, kiedy Skathis przyprowadził Azareen, prawdopodobnie pierwszą dziewczynę ze Szlochu, która się cieszyła, że leci na grzbiecie Rasalasa ku swojej zgubie i zniewoleniu. Chciała się dowiedzieć, czy jej mąż żyje. Żył. A Azareen odkryła, jak to jest być równocześnie szczęśliwą i zdruzgotaną. Zanim ujrzała jego twarz, usłyszała śmiech – tak, śmiech Eril-Fane’a, tak żywy, jakim go zapamiętała – i wyrwała się strażnikowi, aby do niego pobiec. Poślizgnęła się na gładkiej metalowej podłodze, kiedy zobaczyła, z jaką miłością spogląda na Isagol Groźną. Z miejsca rozpoznała, co to za uczucie, bo na nią również tak patrzył. Nie udawał, z jego oczu spozierała szczerłość. Po dwóch latach zastanawiania się, co się z nim dzieje, Azareen nareszcie się dowiedziała. Czekano na nią nie tylko nieszczęście służenia boskiemu celowi, ale i katusze przyglądania się kwitnącej miłości jej męża do bogini rozpaczy. Eril-Fane musiał z kolei bezwolnie patrzeć, jak prowadzą jego małżonkę złowieszczym korytarzem – za każdymi drzwiami malutkich pomieszczeń mieściły się jedynie łóżka – i wtedy wyliczenia Isagol zawiodły. Miłość nie mogła się równać z tym, co w nim zapłonęło, kiedy usłyszał pierwsze krzyki Azareen.

– Zwyciężyła w nim nienawiść – powiedziała Sarai. – Przeobraził się w kogoś, kim musiał się stać, aby uratować swoją żonę i swój lud. Tyle krwi na rękach, tyle nienawiści w sercach. Bogowie stali się przyczyną własnego upadku. – Zamilkła na moment, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa więcej, i wyczuła, że tam, gdzie od lat zalegała nienawiść, ziele tylko pustka; pozostał jedynie dojmujący smutek. – Kiedy wszystkich wymordowano, a niewolników wyzwolono – było jej coraz ciężiej mówić – pozostał jeszcze żłobek, gdzie czyhała nieprzewidywalna i okropna magia. – Teraz łzy leciały już po policzkach nie tylko prawdziwej, ale i wyśnionej Sarai; Lazlo złapał jej dłonie i nakrył swoimi. – Takiego okrucieństwa się nie wybacza – powiedziała głosem zachrypniętym z emocji. – Niektóre rzeczy są zbyt okropne, aby móc je przebaczyć. Lecz myślę... że potrafię się domyślić, co czuli tamtego dnia, z czym się wtedy zmagali. Cóż mieli począć z dziećmi, które niechybnie wyrosłyby na kolejne pokolenie ich ciemnychycieli?

Lazlo nie mógł się otrząsnąć z szoku wywołanego tym, co usłyszał. Pomyślał, że dzieciństwo oraz dorastanie jednak były dla niego łaskawe.

– Ale... jeśli by je przyjęto, wychowano z miłością – powiedział – nie wyrosłyby na ciemnychycieli.

Brzmiało to tak prosto, tak niewinnie. Lecz co ci ludzie mogli wiedzieć o mocy Mesarthimów poza tym, że potrafiła ich nękać, przerażać i kontrolować? Jak mogliby chociaż wyobrazić sobie Jaskółkę albo Ferala, skoro znali jedynie takich jak Skathis czy Isagol? Czy ktokolwiek potrafiłby spojrzeć w przeszłość i naprawdę się spodziewać, że będą dla nich litościwi nawet po piętnastu latach spędzonych pośród ludzi, a nie nękających ciało i ducha bogów?

Sarai zrobiło się niedobrze od własnej empatii. Obiecała sobie, że nigdy im nie wybaczy, ale wydawało się, że już to zrobiła, dlatego odczuła przyprowadzającą o mdłości konsternację. Bo czym innym było nie odczuwać nienawiści, a czym innym przebaczyć.

– Czasem czuję to co on, jednocześnie miłość i nienawiść. Nie jest łatwo żyć, kiedy całe twoje istnienie zasadza się na paradoksie – odpowiedziała.

– Co masz na myśli? Jaki paradoks? Bycie człowiekiem i boskim... – Nie potrafił

zdobyć się na nazwanie jej pomiotem, choć sama tak o sobie mówiła. – Człowiekiem i Mesarthimem?

– To też, ale myślałam o czymś innym. O przekleństwie wiedzy. Było łatwo, kiedy mieliśmy się za jedynych pokrzywdzonych. – „My”, znowu zbiorczy zaimek; spuściła wzrok i spojrzała na ich nadal złączone dłonie, jej schowane pod jego, lecz tym razem nie uciekła od wyjaśnień. – Jest nas pięcioro – przyznała. – Dla reszty istnieje tylko jedna prawda: Rzeź. Ale dzięki mojemu darowi, lub przekleństwu, dowiedziałam się, jak to wyglądało z perspektywy ludzi, przed tym, co się wydarzyło, i po tym. Poznałam ich myśli, dowiedziałam się, czemu to zrobili i jak bardzo ich to odmieniło. Za każdym razem, kiedy widywałam wspomnienie o dzieciach... – Jej słowa pochłonął szloch. – Wiedziałam, że to było również i moim przeznaczeniem. Ogarniała mnie złość. Lecz z czasem nauczyłam się złościć także w imieniu tych młodych kobiet i mężczyzn, których porwano z domów i kazano im się podporządkować boskim celom, czułam ich rozpacz, wywołany przez nas ból i poczucie winy... za to, co im zrobiłam.

Załkała. Lazło objął ją i przytulił, jakby najbardziej naturalną rzeczą na świecie było pocieszyć zmartwioną boginię i zaciągnąć się zapachem kwiecia w jej włosach, może nawet leciutko pogłaskać jej skroń krawędzią kciuka. I choć część jego umysłu miała świadomość, że to tylko sen, prędko przysłoniły ją inne, silniejsze i atrakcyjniejsze myśli. Doświadczał chwili, jakby wydarzała się naprawdę – wszystkie te uczucia, wszystkie te emocje. Faktura jej skóry, zapach włosów, ciepło oddechu, które wyczuwał przez lnianą koszulę, a nawet wilgoć przesiąkających przez nią łez. Lecz jeszcze silniejsza i bardziej intensywna była głęboka, intymna czułość między nimi, namacalna powaga, jakby powierzono mu coś nieskończenie bezcennego, jakby złożył niewypowiedzianą przysięgę, za porękę dając swoje życie. Potem uzna ten moment za przełomowy, bo przeniósł się jego ośrodek ciężkości; z jednolitej części – stojącego samotnie filaru – stał się połówką czegoś, co się rozpadnie, jeśli druga strona zostanie zabrana. Niegdyś gnębiły go pewne lęki. Pierwszy: że nigdy nie znajdzie dowodu na istnienie magii. Drugi: że nigdy się nie dowie, co się wydarzyło w Szlochu. Tych się pozbył, bo odpowiedzi pojawiały się co chwilę. A trzeci? To, że na zawsze pozostanie sam?

Jeszcze tego nie pojął – a przynajmniej nie świadomie – ale nie był już sam. Pojawiły się jednak inne obawy, które nieodmiennie towarzyszą miłowaniu kogoś, kogo się najpewniej straci.

– Sarai – jej imię, Sarai, było jak kaligrafia miodem – co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał szeptem. – Co takiego im zrobiłaś?

Nie ruszając się z miejsca, nadal tuląc się do jego ramienia, opierając czoło o zuchwę Lazła, Sarai powiedziała mu o wszystkim. Zdradziła, kim była, co zrobiła, a nawet... choć głos miała cienki jak karta papieru... jak to robiła, mówiła o ćmach i całej reszcie. A kiedy skończyła i siedziała wciąż w jego ramionach, spięta na całym ciele, czekała, co powie. Nie potrafiła jak ludzie zapomnieć, że to tylko sen. Znajdowała się równocześnie wewnątrz i na zewnątrz. Nie potrafiła się przemóc, aby spojrzeć na niego, kiedy mówiła mu o tym wszystkim, lecz jej ćma uważnie obserwowała twarz Lazła i czekała na jakikolwiek grymas, który mógłby zdradzać obrzydzenie.

Nic takiego się na niej nie objawiło.

Lazlo nie myślał o ćmach, choć przypomniał sobie o tej, która spadła, martwa, z jego skroni po pierwszej przespanej w Szlochu nocy. Nie potrafił jednak przestać myśleć o tym, co pociągały za sobą owe koszmary, bo wyjaśniały niemal wszystko. Dlatego przez cały czas wydawało mu się, że miasto wziął w kleszcze strach – tak przecież było. Sarai go podsycala. Rozgrzebywała, jak rozgrzebuje się żar pogrzebaczem, upewniając się, że szybko nie wygaśnie.

Gdyby chodziło o księgę ze starymi baśniami o boginiach, Sarai byłaby czarnym charakterem, który nęka niewinnych ze swojej wysokiej wieży. Lud Szlochu niczym nie zawinił – przynajmniej spora jego część – a i tak nie dawała im spokoju, lecz... jaki miała wybór? Odziedziczyła opowieść zasłaną trupami i podbitą wrogością, próbowała jakoś się w niej odnaleźć. Lazlo, czując, jak Sarai tężeje w jego ramionach, próbował sprecyzować targające nim emocje. Żadnym z nich nie było obrzydzenie. Pozostał kompletnie nią urzeczony, stał twardo po jej stronie. Kiedy bowiem chodziło o Sarai, nawet koszmary brzmiały dla niego niczym magia.

– Muza Koszmarów – powiedział. – Brzmi jak poezja.

Poezja? Sarai nie wyłapała drwiny w jego głosie, lecz musiałyby spojrzeć na jego twarz, aby być tego pewną, a oznaczało to wyswobodzenie się z jego objęć. Niechętnie to zrobiła. Nie dostrzegła kpiny, ale... wiedźmowe światła, jasne wiedźmowe światła, chciała się w nich pławić już zawsze. Zapytała go pełnym niezdecydowania szeptem:

– Nadal myślisz, że jestem... niezwykle nieprzerazającym demonem?

– Nie – odparł z uśmiechem. – Myślę, że jesteś baśnią. Myślę, że jesteś magiczna, odważna i wyjątkowa. I... – ciągnął nieśmiało; tylko we śnie mógł się zdobyć na podobną śmiałość, powiedzieć to, co powiedział – mam nadzieję, że pozwolisz mi być częścią swojej opowieści.

Poezja? Baśń? Naprawdę tak ją postrzegał? Wytracona z równowagi, Sarai wstała z łóżka i podeszła do okna. Czuła znajome, szaleńcze trzepotanie mięciutkich skrzydełek już nie tylko tam, pod brzuchem, ale i w piersi, gdzie były dwa serca. Szumiało jej w głowie.

„Tak – chciałaby powiedzieć z nieśmiałą lubością – bądź, proszę, częścią mojej opowieści”.

Lecz tego nie zrobiła. Wyjrzała w noc, na unoszącą się na niebie cytadelę, i zapytała:

– A czy będzie jakakolwiek opowieść? Jakim cudem?

Lazlo podszedł do niej i stanął przy oknie.

– Znajdziemy jakiś sposób. Jutro porozmawiam z Eril-Fane’em. Musi przecież chcieć odpokutować to, co wtedy zrobił. Nie mogę uwierzyć, że chciałby cię skrzywdzić. Przecież nie powiedział nikomu, co się stało. Nie widziałaś, jak potem wyglądał, jaki był...

– Załamany? – podsunęła Sarai. – Ależ widziałam. Patrzę na niego. Leży na podłodze u Azareen.

– Aha – bąknął Lazlo.

Musiał spróbować jakoś to pojąć, ale trudno było mu zrozumieć, jak Sarai może patrzeć jednocześnie tyloma parami oczu. Eril-Fane na podłodze w domu Azareen... Do tej myśli również musiał przywyknąć. Czy to znaczy, że kiedyś mieszkali razem? Suheyła powiedziała, że cokolwiek między nimi kiedyś zaszło, nie żyli jak małżeństwo. Wydawało mu się, że nadal mieszka tutaj.

– Powinien przyjść do siebie – powiedział. – Mogę spać na ziemi. To przecież jego sypialnia.

– To nie jest miejsce dla niego – odparła, patrząc niewidzącym wzrokiem za okno; zacisnęła zęby tak mocno, że Lazlo zobaczył pracujące mięśnie. – Wyśnił tu niejeden koszmar. Spora część wyszła od niego, ale... ja również przyłożyłam do nich rękę.

Lazlo pokręcił ze zdziwieniem głową.

– Myślałem, że to niedorzeczne, chować się przed koszmarami. Ale teraz rozumiem.

– Tak naprawdę chował się przede mną, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

Sarai ogarnęło nagłe zmęczenie. Odetchnęła ciężko, zamknęła oczy i oparła się o okienną ramę. Miała lekką głowę, ale ciążyły jej kończyny. Co zrobi, kiedy wszędzie słońce i nie będzie mogła tu zostać, ukryć się bezpiecznie za zasłoną tego snu?

Otworzyła oczy i przyjrzała się towarzyszowi.

Jej cma również mu się przyglądała, tyle że prawdziwemu, śpiącemu. Patrzyła na malującą się na jego twarzy ulgę i długie, rozrzucone luźno kończyny, również wypoczywające. Czego by nie oddała za tak spokojny sen, nie mówiąc już o stopniu kontroli nad swoimi marzeniami. Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała. – Mahalath, herbata, cała reszta. Jak rzeźbisz tak dokładnie swoje sny?

– Nie potrafię powiedzieć – odparł. – To dla mnie coś nowego. Znaczy bywało tak, że miałem wyraziste sny, ale nigdy nic takiego, nic tak świadomego. Dopiero odkąd się pojawiłaś.

– Naprawdę? – zdziwiła się Sarai – Jestem ciekawa dlaczego.

– A tak nie jest z innymi śniącymi?

Sarai roześmiała się cicho.

– Lazlo – zaczęła – z innymi śniącymi nie ma nic. Zaczniemy od tego, że mnie nie widzą.

– Co to znaczy, że cię nie widzą?

– Dokładnie to, co słyszałeś. Dlatego pierwszej nocy podeszłam do ciebie i się tak bezwstydnie gapiłam. – Zażenowana, zmarszczyła nos. – Nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłbyś mnie zobaczyć. Innym śniącym mogłabym krzyczeć prosto w nos i niczego by nie usłyszeli. Uwierz, że próbowałam. Mogę robić wszystko poza istnieniem.

– Ale... czemu? Twój dar ma dziwne ograniczenia.

– Dziwne, bo i sam jest dziwny. Duża Ellen, nasza opiekunka, duch, przez wszystkie te lata spędzone w żłobku nie widziała podobnego.

Zmarszczka pomiędzy brwiami Lazla – nowa, obdarzyło go nią słońce Elmuthaleth – pogłębiła się. Kiedy Sarai mówiła o żłobku, o dzieciach i o darach – całych latach – do głowy przychodziły mu liczne pytania. Kolejne sekrety Szłochu. Ile jeszcze ich było? Czy kiedyś się skończą? Na tę chwilę miał jednak do rozwikłania pilniejszą, osobistą tajemnicę.

– Czemu więc ja ciebie widzę, skoro inni nie mogą?

Sarai wzruszyła ramionami, równie zakłopotana.

– Mówiłeś, że nazywali cię marzycielem. Może śnienie idzie ci lepiej niż innym.

– Och, to na pewno – zgodził się, na poły kpiąc sobie z samego siebie, lecz mile polechtany.

Rozkoszował się tą myślą. Kiedy Sarai pojawiła się na brzegu rzeki i z plaśnięciem zanurzyła palce stóp w mokrym piasku, cała ta noc stała się wyjątkowa, a on sam jakby... tętnił życiem. A teraz, gdy się dowiedział, że nigdy czegoś takiego nie doświadczyła, stała się jeszcze bardziej nadzwyczajna. Jeśli jednak miałby być ze sobą szczery, Sarai nie wyglądała na podekscytowaną tym faktem, a raczej na... wyczerpaną.

– Jesteś wybudzona? – zapytał, starając się pojąć, jak to działa. – To znaczy w cytadeli.

Przytaknęła. Nadal znajdowała się w alkowie, po której niestrudzenie krążyła niczym, jak sama przed chwilą pomyślała, ravid zamknięty w ciasnej klatce, kroki stawiając tylko dzięki cichym podszeptom resztek świadomości. Zrobiło jej się żal swojego ciała, zostało porzucone nie tylko przez bliskich, ale i przez nią samą. Zostało tam puste i samotne, podczas gdy ona znajdowała się na dole i wypłakiwała na piersi obcego człowieka.

Nie, nie obcego. Jedyne, który ją zobaczył.

– Czyli kiedy obudzę się i ja – mówił dalej – i miasto, ty pójdziesz spać?

Sarai poczuła ukłucie strachu na samą myśl o zaśnięciu.

– Tak to zwykle wygląda – powiedziała. – Ale normalność już odeszła.

Oddechnęła głęboko. Opowiedziała mu o śpiochu, o tym, że przestał na nią działać, że jak tylko odsłoniła swoją świadomość, skrywane przez nią lęki wpłynęły do jej umysłu przez frontowe drzwi, jakby nagle otwarto im szeroko klatki. Podczas gdy u zwykłych ludzi za pręty klatek szarpały nieliczne strachy, ona... poznała je wszystkie.

– Sama to sobie uczyniłam – przyznała. – Kiedy zaczęłam, byłam młoda, a nikt nie powiedział mi, jakie będą tego konsekwencje. Oczywiście teraz wydaje mi się to oczywiste.

– Nie możesz po prostu ich wygnąć? – zapytał. – Albo przemienić?

Zaprzeczyła.

– Kiedy znajduję się w czyimś śnie, mam nad nim kontrolę, lecz kiedy sama śnię, jestem tak samo bezbronna jak wszyscy – rzuciła mu spojrzenie – poza tobą. Ty nie jesteś jak wszyscy.

– Sarai – zaczął, zauważając, jak osłabiona dziewczyna opiera się o okienną ramę, podtrzymał ją ramieniem – kiedy ostatnio spałaś?

Nie pamiętała.

– Cztery dni temu? Nie jestem pewna. – Zdobyła się na uśmiech, dostrzegłszy jego zaniepokojenie. – Trochę spałam pomiędzy jednym a drugim koszmarem.

– To szaleństwo. Przecież możesz umrzeć z braku snu.

Roześmiała się bez wesołości.

– Nie miałam o tym pojęcia. Wiesz może, ile to zajmie? Żebym mogła zaplanować sobie dni.

Miał to być ponury żart, lecz nie zdołała ukryć pobrzmiwającej w głosie desperacji.

– Nie – wydukał Lazlo, czując kompletną bezsilność.

Cóż za nieprawdopodobna sytuacja. Sarai znajdowała się gdzieś tam, daleko, na górze, on z kolei na dole, a jednak przebywali razem. Stała wewnątrz jego snu, dzieląc go z nim. Lazlo zastanawiał się, czy gdyby miał jej dar, mógłby przeniknąć do umysłu Sarai i pomóc jej przetrzymać koszmary. Z czym by się musiał zmagać? Jakim horrorom stawiała czoło? Odganiała ravidy czy raz po raz musiała patrzeć na Rzeź? Cokolwiek to było, męczyła go myśl, że musi radzić sobie z tym sama.

Coś przyszło mu do głowy. Myśl ta opadła na niego niczym leciutka ćma.

– Sarai – zapytał, dumając nad czymś – co się stanie, jeśli zaśniesz teraz?

Dziewczyna wybałuszyła oczy.

– Znaczący... tutaj? – zdziwiła się, spojrzawszy na łóżko.

– Nie – zaprzeczył czym prędzej, aż go twarz zapiekła; jego plan wydał mu się oczywisty, chciał zapewnić jej azyl, być nim. – Chodzi mi o to, że jakbyś zostawiła swoją ćmę na mojej skroni, ale zasnęła tam, na górze, może... mogłabyś zostać tutaj? Ze mną?

Sarai nie odpowiadała i bał się, że swoją propozycją posunął się za daleko. Czyż nie proponował jej... wspólnego spędzenia nocy?

– Chodzi o to – dodał pośpiesznie – że jeśli boisz się swoich snów, jesteś mile widziana w moich.



Po ramionach Sarai przeszedł lekki, podniecający dreszczyk. Milczała nie dlatego, że poczuła się oburzona czy zde gustowana, przeciwnie. Przytłaczało ją to, bo była mile widziana. Ktoś ją chciał. Nie miał pojęcia o tych nocach, kiedy odwiedzała go bez zaproszenia i mościła sobie kącik w rogu jego umysłu, aby zachwyty i radość z tego, na co patrzyła, pomogły jej przewyciężyć... wszystko inne. I choć żartowała sobie o umieraniu z braku snu, tak naprawdę potrzebowała wypoczynku. Bała się.

Sama myśl o tym, że mogłaby tu zostać, być bezpieczna, z nim... podziałała na nią jak otwarte na oścież okno, przez które wpada do środka światło i powietrze. Ale również i strach. Lęk przed nadzieją, bo z miejsca zrozumiała, co proponuje. Tak bardzo chciała, aby jego plan zadziałał, lecz czy kiedykolwiek otrzymała to, czego pragnęła?

– Nigdy nie próbowałam – powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał naturalnie.

Bała się, że jeśli plan spali na panewce, straci ostatni, pielęgnowany przez siebie skrawek nadziei.

– Zaśniecie może zerwać nić – dodała. – Ćma odleci.

– Nie chcesz spróbować? – zapytał z nadzieją Lazlo, starając się zamaskować entuzjazm.

– Do świtu nie zostało nam zbyt wiele czasu.

– Niewiele – zgodził się. – Ale jednak.

Sarai przyszło do głowy coś jeszcze. Usilnie szukała jakichś luk, choć lękała się ich znalezienia.

– A jeśli zadziała i przyjdą za mną moje strachy?

Lazlo wzruszył ramionami.

– Przegonimy je albo zamienimy w świetliki i zamkniemy do słoika. – Nie bał się. Był pewien, że kiedy są razem, dadzą radę wszystkiemu. – Co powiesz?

Przez chwilę Sarai nie ufała swojemu głosowi. Oboje próbowali udawać, że to nic takiego, ale podskórnie czuli nadchodzący nieubłagany moment, który określi to, co między nimi zaistniało, coś głęboko intymnego. Ani przez chwilę nie wątpiła jednak w intencje Lazla. Miała spać w jego śnie, choć nie mogła być pewna, czy będzie świadoma, że to sen. Możliwe, że straci nad nim kontrolę...

– Jeśli to zadziała – wyszeptała – będę bezsilna...

Głos jej się załamał, lecz domyślił się, co chciała powiedzieć.

– Ufasz mi? – zapytał.

Co za pytanie. Czowała się tu bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Poza tym, czy naprawdę istniało jakieś prawdziwe ryzyko? To przecież tylko sen, choć może stać się czymś więcej.

Spojrzała na Lazla, przygryzła wargę i podjęła decyzję.

– Zgoda – powiedziała.

Na pozbawionym okien poddaszu wyposażonego na szybko laboratorium alchemicznego nieduży niebieskawy płomień liznął zakrzywione szkło zawieszzonego nad stołem naczynia. Znajdujący się w nim płyn po podgrzaniu zmieniał stan skupienia i uchodził z flaszki jako para do kolumny destylacyjnej, stamtąd do kondensatora, po czym skapywał po kropelce do kolby odbieralnika. Złoty chrześniak uniósł ją do światła głowy, chcąc się przyjrzeć otrzymanemu płynowi.

Przejrzystemu płynowi. Równie dobrze mógłby uchodzić za wodę, lecz nią nie był.

Azoth – to substancja cenniejsza niż złoto, które się z niego otrzymywało, bo posiadał mnogie, różnorodne zastosowania, a dało się go uzyskać tylko z jednego źródła: z niego samego, Thyona Nero. Przynajmniej póki tajemnica o jego pochodzeniu pozostanie pilnie strzeżonym sekretem.

Na blacie leżała pusta fiolka opatrzona napisem „Duch bibliotekarza”, na widok której Thyon poczuł ukłucie... niesmaku? Pracował bowiem z esencją bezimiennej znajdy z gminu, mającej niewybaczalny zwyczaj pomagania mu z niewyjaśnionych przyczyn, pozując przy tym na szczerą prostaczkę o czystych zamiarach, jakby to było coś kompletnie zwyczajnego.

Chyba to faktycznie niesmak. Thyon odsunął od siebie pustą fiolkę i zrobił na swoim stole roboczym miejsce na przeprowadzenie kolejnej procedury.

A może to dyskomfort? Cały świat widział go bowiem takim, jakim chciał, aby go widziano: siłą nie do powstrzymania, samowystarczalną, która opanowała nieznaną tajemnicę wszechświata.

Cały świat poza Strange'em, ma się rozumieć, on znał go takim, jakim był naprawdę. Zacisnął zęby i pomyślał, że gdyby tylko Lazlo miał wystarczająco wiele godności, aby... przestać istnieć... może wtedy poczuliby do niego wdzięczność. Ale nie, kiedy pałętał się obok niego, zawsze tuż obok, zupełnie nieszkodliwy i śmiejący się razem z wojownikami, wykonujący chętnie wszystkie polecenia i robiący to, co musiało zostać zrobione. Codziennie pomagał nawet towarzyszącemu karawanie kucharzowi w czyszczeniu piaskiem wielkiego gara po zupie. Co próbował w ten sposób udowodnić?

Thyon pokręcił głową. Znał odpowiedź, lecz nie potrafił jej zrozumieć. Lazlo nie próbował niczego udowodnić. Nie miał żadnej strategii. Nikogo nie zamierzał oszukiwać. Strange to Strange, zaoferował mu swojego ducha bez żadnego haczyka. Thyon był jednocześnie wdzięczny, jak i pełen urazy, może nawet bardziej żałował, że bibliotekarz mu pomógł, niż mu z tego powodu ulżyło. Odciągnął już zbyt dużo swojego ducha, a to niebezpieczna gra. Nie pozostał głuchy na przytyk Lazla dotyczący jego wyglądu, ale to nie jego jedyne zmartwienie. Znał już paru martwych duchem. Z reguły nie wytrzymywali długo, zwykle sami odbierali sobie życie lub wyparowywało z nich, nie chcieli jeść, z dnia na dzień gaśli. Zdawało się, że cała wola życia zawierała się w tym tajemniczym płynie, który Strange oddał mu, nie wahając się ani przez moment.

Dzięki darowanej mu chwili wytchnienia Thyon mógł się zregenerować i podjąć

kolejną próbę z alkahestem, korzystając teraz z azothu Strange'a. Zwykle procedurze tej towarzyszyła gorączkowa żarliwość, podniecenie związane z perspektywą stworzenia czegoś, czego nikt inny stworzyć nie potrafił, ze zmianą samej struktury praw przyrody. Alkahest był nazywany, słusznie zresztą, uniwersalnym rozpuszczalnikiem i nigdy jeszcze go nie zawiódł. Bez wytchnienia przeprowadzał z nim liczne próby w Chryzopezjum, udało mu się rozpuścić każdą substancję, nawet diament.

Lecz nie mesartjum. Przeraziła go nienaturalność przeklętego metalu, czuł już związane z haniebną porażką upokorzenie. Nauka była jednak jego religią, poddawał się dyktatowi nieustającego eksperymentowania, nie zrażały go nawet porażki. Dlatego przygotował kolejną partię alkahestu i zaniósł do północnej kotwicy, aby go przetestować. Oczywiście nie był jeszcze przemieszany, bo wtedy przeżarłby się przez flaszkę. Ostatni składnik doda tuż przed próbą.

A kiedy nic się nie wydarzy – bo się nie wydarzy – doda do rozpuszczalnika związek neutralizujący i dezaktywuje go, żeby alkahest nie spłynął po niezniszczalnym metalu i nie zaczął się przeżerać przez ulicę. Potem utnie sobie drzemkę. Marzył o niej przez całą drogę przez Szloch – „Sen urodzie sprzyja, Strange, ty draniu” – na który od dawna nie padło światło księżyca, podzwaniając przewieszoną przez ramię torbę z utensyliami. Miał zamiar przeanalizować przebieg ostatniego eksperymentu, odnotować kolejną porażkę i położyć się spać.

Ani przez chwilę, ani przez sekundę, Thyon Nero nie wierzył, że może mu się powieść.

Sarai zwołała resztę ciem jeszcze przed świtem, pozostawiając tylko tę jedną na skroni Lazla. Przez moment wahała się jeszcze, czy przywołać ćmę strzegącą jej ojca.

Pilnującą. Nie strzegącą. Nie to robiła.

Nareszcie go odnalazła, ale nie mogła nawet zajrzeć mu do głowy.

Musiała jednak przyznać przed sobą, że odczuła pewną ulgę, kiedy się poddała i kazała ćmie oderwać się od ściany, wylecieć przez okno, z powrotem ku niebu. Bała się, co mogłaby znaleźć w jego snach, skoro wiedział, że żyje. Czy to możliwe, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, nadal żywiła nikłą nadzieję, iż jej ojciec ucieszył się z tego, co zobaczył?

Pozbyła się złudzeń. Przysporzyła mu tylko utrapień, lecz nie miała dziś ochoty na szukanie dowodu na potwierdzenie tego przypuszczenia. Zostawiła go samego z myślami – jakie by one nie były.

Powrotna podróż na taras wydawała się długa dla niewielkich, trzepoczących farfocli, jakimi jawiły jej się teraz ćmy. Chyba nigdy Sarai nie była tak niecierpliwa, jak podczas tych paru minut, kiedy wyleciały ponad dachy i pędziły do niej przez nocne niebo. Kiedy nareszcie przybyły, wpadły do środka przez tarasowe drzwi, ujrzała trzymające straż duchy i przypomniała sobie, z niejakim zaskoczeniem, że została tu uwięziona. Nie zapomniano o niej, bynajmniej, lecz nie rozmyślała o tym teraz.

Skupiła się bowiem na nim. Nadal była w jego sypialni, z nim, jednocześnie czekając na swoje ćmy z lekko otwartymi ustami. Odwróciła się od niego we śnie, choć wiedziała, że i tak nie może zobaczyć jej prawdziwych ust i znikających wewnątrz niej ciem. Ich skrzydełka ocierały się o wargi Sarai, miękkie niczym pocałunek ducha, i jedyne, o czym potrafiła myśleć, to że widok ten niechybnie by to obrzydził.

„Kto chciałby się całować z dziewczyną, która je ćmy?”

„Przecież ich nie jem”, tłumaczyła się przed sobą.

„Twoje usta miały smak soli i sadzy”.

„Przestań myśleć o całowaniu”.

I wtedy doświadczyła czegoś niezwykłego: leżała otoczona ciemnością na łóżku – prawdziwe ciało na prawdziwym łóżku – ze świadomością, że cytadela i miasto śpią, z nadal rozciągniętą nitką świadomości biegnącą aż do Szlochu. Od lat nie kładła się przed wschodem słońca. Po zapadnięciu zmroku patrzyła, jak Lazlo leżał sztywno, powstrzymując sen samą gorliwą chęcią zaśnięcia, tak jak teraz ona. Znowu niepotrzebnie skupiła się na swoich kończynach, co wywołało u niej zwątpienie, czy aby na pewno dobrze je układała, kiedy o nich nie myślała. Odruchowo przyjęła swoją naturalną pozycję do spania – skulona, na boku, z dłońmi włożonymi pod policzek.

Zmęczone ciało i jeszcze bardziej wycieńczony umysł, jak się wydawało, oddalały się jedno od drugiego niczym nieprzywiązane do palika łódki, kołysząc się zgodnie z ruchem fal. Jej serca biły zbyt szybko, aby zdołała zasnąć. Nie ze strachu, lecz ze zdenerwowania, że nic z tego nie wyjdzie, a także z... ekscytacji – dzikiej i delikatnej jak

trzepot skrzydełek ciem – choć niejako wbrew sobie.

Stojąc w wysnionym pokoju, przy oknie, obok Lazła, rozmawiała z nim jakby trochę inaczej, nieco nieśmiało, a doniosłość tej chwili bynajmniej nie zelżała. Sarai pomyślała o pełnych zazdrości lamentach Ruby na temat tego, że mogła żyć. Nigdy, aż do teraz, jej nie rozumiała.

Ale czy to faktycznie życie, czy raczej sen?

Próbowała przywołać się do porządku, lecz słowa miały niewielkie znaczenie, kiedy włókna uszytego ręcznie dywanika leżącego pod wyimaginowanymi stopami Sarai zdawały się wyraźniejsze niż gładki jedwab poduszki pod jej prawdziwym policzkiem. Samo towarzystwo tego śniącego skutecznie ją rozbudzało, chyba po raz pierwszy nie mogła zasnąć, choć próbowała. Była niespokojna, czuła podniecenie jego obecnością. Jej umysł nie potrafił się wyciszyć.

– Zastanawiam się, czy łatwiej byłoby zasnąć – zaczęła dumać – gdybym milczała.

– Zapewne – odparł. – Chcesz się położyć? – Zawstydził tą propozycją samego siebie; ona również się splonila – Nie krępuj się – dodał. – Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie, dziękuję – powiedziała Sarai.

Ogarnęło ją dziwaczne uczucie, jakby naśladowała samą siebie. Położyła się na łóżku identycznie jak na górze. Leżała tuż przy krawędzi. Nie było to duże łóżko. Nie sądziła, aby zdecydował się ułożyć obok niej, ale zostawiła dla niego miejsce, jeśli jednak zmieniliby zdanie.

Lazło stał przy oknie. Wykonał ruch, jakby chciał schować ręce do kieszeni, ale zorientował się, że jego bryczesy ich nie mają. Wyglądał cokolwiek osobliwie. Przypomnił sobie, że to sen, i nagle kieszenie się zmaterializowały. Sarai złożyła dłonie pod policzkiem. Łóżko Lazła było nieporównywalnie wygodniejsze niż to jej. Cały pokój wydawał się przytulniejszy. Podobały jej się ściany z kamienia i drewniane belki ociosane ludzkimi dłońmi i narzędziami, a nie umysłem Skathisa. Sypialnia nie była duża, może nawet ciasna, ale miła. Cała cytadela nie miała miejsca, które można by określić mianem przytulnego, nie nazwałaby tak bowiem nawet i jej alkowy za garderobą. Uderzyła ją z całą mocą myśl, że to łóżko należało kiedyś do jej ojca, tak jak tamto, na którym leżała na górze, zanim przejęła je ona. Ileż razy imaginowała, że wypoczywa tam, planując mordy i rewoltę? Usiłowała wyobrazić go sobie jako chłopca obawiającego się, że go wykradną i zabiorą do cytadeli. Zastanawiała się, czy marzył o zostaniu bohaterem, a jeśli tak, to czy miał podejrzenia, jak będzie wyglądał jego los? Nigdy nie wyśniłby jednak zrujnowanej świątyni, do której dostęp mają jedynie duchy.

A wtedy, nagle... choć niezupełnie gwałtownie, Sarai zorientowała się, że nastąpiła pewna zmiana, i po chwili pojęła jaka: nie znajdowała się już w wielu miejscach, lecz w jednym. Jej świadomość nie była podzielona pomiędzy prawdziwe, leżące w cytadeli ciało a ćmę nadal przycupniętą na skroni Lazła. Istniała tylko tu i teraz, przez co czuła się jeszcze prawdziwsza. Westchnęła.

Usiadła i w jednej chwili wszystko zrozumiała. Była tu. Zadziało. Nie zerwała nici łączącej ją z ćmą i nareszcie zasnęła. „Och, błogi wypoczynku”. Zamiast zanurzyć się w czyhających na nią koszmarach, ciągle spięta podświadomość Sarai spoczęła, bezpieczna, u Lazła.

Zaśmiała się – trochę z niedowierzania, trochę z nerwowości, a nieco także z zadowolenia. No, może nawet nie nieco, ale bardzo. Spała we śnie Lazła.

Chłopak obserwował ją wyczekująco. Widok ten – niebieskie nogi, odsłonięte do kolan, ledwie okryte zmiętymi kocami, włosy rozrzucone na jego poduszce – stanowił boleśnie słodką wizję. Skupił myśli na swoich dłoniach i nie chodziło o niezręczność wynikającą z tego, że nie miał pojęcia, co z nimi zrobić, lecz ze świadomości, co chciałby nimi robić. Ręce aż go świerzbiły, czuł potrzebę dotknięcia jej. Jego kończyny całkowicie się rozbudziły.

– I co? – zapytał, podenerwowany. – Zadziało?

Przytaknęła i zanim zdołała się spostrzec, na jej twarzy wykwitł szeroki, na poły zdumiony uśmiech. Lazło nie mógł się powstrzymać i również wyszczerzył zęby. Cóż to za niewiarygodna noc. Ile to już godzin minęło, odkąd zamknął oczy z nadzieją, że go odwiedzi. A teraz... nie mógł do końca pojąć, że była... że to się stało. Potrafił myśleć tylko o niej. Nosił obraz bogini, tak jak inni trzymają w złożonych dłoniach motyle. Chronił go, aby móc uwolnić, gdy będzie już bezpiecznie. Uwolnić. Czy to możliwe? Czy można ją w ogóle uwolnić?

Tak.

Tak. Jakimś cudem.

– Zatem teraz – powiedział, czując, że roztaczają się przed nimi możliwości nieskończone jak ocean – skoro już tu jesteś, co robimy?

Dobre pytanie. Kiedy ma się tyle dróg do wyboru, ciężko po prostu którąś obrać.

– Możemy pójść gdziekolwiek – powiedziała.

– Morze? Popłyniemy na lewiatanie, a potem go uwolnimy. Pola Thanagostu? Watażkowie z wilkami na smyczach, paki uloli unoszące się jak flotylle żywych bąbli. Albo Iglica Chmur. Może wejdziemy na jej szczyt i wykradniemy szmaragdy z oczu sarkofagu, jak Calixte. Chciałabyś zostać złodziejką drogocennych kamieni, moja droga?

Oczy Sarai zaśniły.

– Brzmi dobrze – odparła; wszystko brzmiało cudownie. – Ale mówisz o prawdziwych rzeczach i miejscach, a wiesz, na co mam ochotę?

Siadła na łóżku na kolanach, wyprostowała się i położyła dłonie na udach. Jej uśmiech był wyjątkowy. Nadal nosiła na nadgarstku księżyc. Lazło stał w bezruchu oszołomiony, patrząc na nią.

– Tak? – zapytał.

„Na wszystko”, pomyślał.

– Chciałabym, aby do miasta przybyły skrzydłoroby.

– Skrzydłoroby – powtórzył za nią i od razu usłyszał zgrzyt przekładni oraz brzęk zamka sprężynowego, jakby otworzyły się na oścież drzwi tajemnego skarbcza pełnego zachwyty.

– Tak jak ty któregoś dnia – zaczęła Sarai, dziewczęca w swojej skromnej pozie i dziecięcej ekscytacji – chciałabym kupić i przetestować skrzydła, a potem może siądziemy na smokach i sprawdzimy, co da nam więcej przyjemności.

Lazło musiał się roześmiać. Przepelniała go radość. Chyba nigdy tak się nie śmiał jak po otwarciu sekretnego miejsca w swoim umyśle, gdzie czekały takie pokłady radości,

odłożone na później.

– Opisałeś mój idealny dzień – powiedział i wyciągnął dłoń, którą Sarai chwyciła.

Podniosła się i ześlizgnęła z łóżka, lecz kiedy tylko dotknęła stopami podłogi, gruchnęło głośno i całą ulicą aż zatrzęsło, pokojem także. Z sufitu odpadły kawałki gipsu, a z twarzy Sarai odpłynęła dotychczasowa ekscytacja.

– O bogowie – powiedziała chrapliwym szeptem. – A jednak.

– Co się dzieje?

– Strachy. Moje koszmary. Przybyły.

– Pokaż mi je – powiedział Lazlo, nadal nie odczuwając strachu.

Jak mówił, jeśli pojawi się na horyzoncie coś strasznego, dadzą sobie z tym radę.

Ale Sarai energicznie potrząsnęła głową.

– Nie. Tylko nie to. Zatrzaśnij okiennice. Szybko!

– Co to jest? – zapytał.

Podszedł do okna, lecz nie po to, aby je zamknąć, lecz by wyrzeć na zewnątrz.

Zanim jednak zdołał to zrobić, zatrzasnęły mu się przed nosem, skrzypiąc i trzeszcząc. Zasunął się zamek.

Lazlo odwrócił się do Sarai z uniesionymi ze zdziwienia brwiami.

– Czyli chyba nie jesteś aż tak bezsilna.

Dziewczyna spojrzała na niego zdezorientowana. Lazlo wskazał na okiennice.

– Ty to zrobiłaś, nie ja.

– Ja? – zdumiała się.

Przytaknęła.

Sarai wyprostowała się bardziej, lecz nie miała czasu nawet na zebranie odwagi, bo na zewnątrz rozległo się kolejne łupnięcie, tym razem jednak cichsze, któremu towarzyszyły łagodniejsze wstrząsy, po czym powtarzało się rytmicznie.

Łup. Łup. Łup.

Sarai odskoczyła od okna.

– Nadchodzi – powiedziała, drżąc.

Lazlo podszedł do niej. Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie ścisnął.

– Nic ci nie grozi – uspokajał ją. – Pamiętaj, Sarai, to tylko sen.

Ona jednak nie dopatrzyła się w tych słowach prawdy. Czuła nacisk, nieuchronność, lęk, czysty jak destylat strachu i silny jak emocje wymuszane przez Isagol. Serca Sarai oszalały, biły dziko, umęczone. Jak mogła to robić, jak mogła zsyłać tak okropne koszmary, raz po raz, na całkowicie bezbronny lud Szłochu? Jakim potworem się stała?

To jej najpotężniejsza broń, bo niczego nie bali się bardziej. A teraz strach prześladował ją.

Łup. Łup. Łup.

Głośne, niestrudzone kroki.

– Kto to? – zapytał Lazlo z dłońmi nadal na ramionach Sarai.

Jej panika, jak odkrył, wydawała się zaraźliwa. Jakby przechodziła z jej skóry na jego i pełzła po rękach, falami. Drżąca fala strachu.

– Kto się do nas zbliża?

– Ćśś – syknęła, wybałuszając oczy, tak że białka prawie zalały tęczówki. Kiedy wyszeptała kolejne słowa, były podobne raczej bezgłośnemu oddechowi. – Bo cię usłyszy.

Łup.



Sarai zamarała. Nie wydawało się możliwe, aby mogła otworzyć oczy jeszcze szerzej, a jednak tak się stało i przez tę krótką chwilę ciszy, kiedy kroki na moment ustały – podobna pauza niegdyś na dwieście lat zasiała przerażenie pod strzechami Szlochu – panika Sarai przewyciężyła rozsądek Lazla i oboje trzęśli się ze strachu, żyli w nim. Okiennice bez ostrzeżenia wypadły z zawiasów w deszczu drzazg i potłuczonego szkła. Zaraz za ścianą, tuż obok nich, kroczyło monstrum, a jego kroki potrafiły zatrząść samym szkieletem Szlochu.

Nie była to żywa istota, choć kołysała się na boki niczym ravid i lśniła jak świeżo odlana rtęć. Składała się z mesartjum, miała gładkie, wypiętrzone wzgórki mięśni, ukształtowane tak, aby mogła chodzić i skakać. Boki jak u dzikiego kota, szyja i bary mocne niczym byczy garb, skrzydła ostre i złowrogie, przywodzące na myśl te serafina, choć nie były aż tak duże. A głowa... na jej głowę składały się czyste koszmary.

Padlina.

Oczywiście to nadal metal, lecz jak na reliefie na ścianach komnat Sarai – śpiewające ptaki i lilie tak realistyczne, że zawstydzilyby rzeźbiarzy ze Szlochu – wyglądał jak żywy, a może raczej jak wierna imitacja śmierci. Padlina, zgnilizna, czaszka z odłóżką od niej skórą, spod której wystawały obnażone do korzeni zębiska wykrzywione w koszmarnym grymasie. Ogromne czarne oczodoły nie kryły ślepi, lecz okropne, wszechwidzące światło. Rogi grube jak łapska i nienaturalnie powykrzywiane. Potwór orał ziemię pazurami i rzucał łbem, a z metalowej gardzieli dobywał się paskudny ryk. Rasalas, bestia północnej kotwicy. Lecz to nie on był prawdziwą bestią, ale siedzący na jego grzbiecie Skathis, bóg bestii, pan metalu, złodziej synów i cór, ciemieżca Szlochu.

Lazlo za punkt odniesienia miał tylko marnie namalowany mural, ale wiedział, że stoi przed obliczem boga, który skradł nie tylko dzieci tego ludu – choć było to coś szczególnie cieszącego jego czarne serce – ale i niebo znad miasta, a potem i miasto ze świata. Jakaż niezmierna, złowroga moc była konieczna do takiego postępku; zaprawdę Skathis musiał być istotą boską.

Można się spodziewać, że będzie miał posturę mogącą się równać z mocną sylwetką Zabójcy Bogów, że okaże się mrocznym rewersem światłości tamtego, że obaj byli jak mierzący się ze sobą na szachownicy pośepni królowie.

Ale nie. Przy Zabójcy wydawał się mikry. Nie emanował żadnym ponurym majestatem, nie jawił się jako piekielna magnificencja. Jego oblicze zdawało się wręcz zwyczajne, sylwetka przeciętna. Nie był mitycznym bogiem-demonem. Poza kolorem skóry – nadzwyczajnie niebieskim – nie wyróżniał się absolutnie niczym, tyle że na jego twarzy odmalowało się okrucieństwo. Nie był ani przystojny, ani odrażający, rzucał się w oczy jedynie złośliwy zamiar płonący w jego szarych oczach oraz jadowity, przebiegły, gadzi uśmiech. Ale dosiadał Rasalasa, co rekompensowało brak boskiej wielkości, jako że bestia stanowiła przedłużenie jego psyche, każdy drapieźny, pewny krok i każdy ruch łba dyktowały jego myśli. Nawet każdy donośny ryk, jaki wychodził z metalowej gardzieli, mógłby równie dobrze wydobywać się z jego krtani. Skathis miał włosy koloru płowego brązu. Nosił koronę z mesartjum wystylizowaną na wieniec węży pożerających wzajemnie swoje ogony. Pełzały przy jego skroniach falistymi ruchami, wytrwale połykając jeden drugiego. Miał na sobie aksamitny płaszcz przyprószony diamentowym

pyłem z długimi, łopoczącymi połami przypominającymi ostrza noży. Jego buty, uszyte z białej skóry spektralnego, ozdobiono klamrą z lysu. Oskórowanie spektralnego to istne świętokradztwo. Równie dobrze buty te mogły zostać wykonane z ludzkiej skóry.

Lecz żaden z tych okropnych detali nie odpowiadał za moc czystego strachu, jaki przeszedł przez pokój, przez sen, przez ich oboje, Lazla i Sarai, którzy zdążyli utracić świadomość tego, że padli ofiarą sztormu ich podświadomości. Dojmujący lęk, jak Lazlo się przekonywał na każdym kroku od dnia swojego przybycia do Szłochu, brał się ze zbiorowego przerażenia pielęgnowanego przez pełne dwieście lat. Ilu młodych mężczyzn i ile młodych kobiet przez ten czas porwano i zwrócono z wymazaną każdą chwilą, jaka przyszła po dniu, kiedy stanął na ich progu lub zapukał do okna lubieżny bóg. Lazlo pomyślał o Suheyli, Azareen i Eril-Fanie, o wszystkich innych, których zabrano bez względu na to, co robiły ich rodziny, aby ich zatrzymać.

Znowu przyszło mu do głowy nękające go pytanie: czemu? Wszystkie te wykradzione dziewczęta i porwani chłopcy, odebrana im pamięć i cała reszta. Żłobek, dzieci. Po co?

Z jednej strony powód wydawał się oczywisty i stary jak świat. Jeśli kiedykolwiek istniał zdobywca, który nie domagał się od podbitego ludu podobnej dziesięciny, pozostał on nieznany historii. Młodzi zawsze byli ofiarami wojny, jako żywy towar albo siła robocza. Nikt nie mógł się czuć bezpieczny. Tyrani zwykle brali, co chcieli, i nie zapowiadało się, że kiedykolwiek się to zmieni. Król Syrify do dziś miał harem.

Ale ten przypadek był inny. Coś się kryło za porwaniami, przebiegały zbyt systematycznie. Męczyło to Lazla, nawet teraz, lecz krótko, bo opanował go obezwładniający strach. Jeszcze przed paroma minutami myślał nonszalancko, że zdoła wyłapać strachy Sarai niczym świetliki i pozamykać je do słoika. Zobaczył jednak ich przytłaczający ogrom.

– Strange’u marzycielu – powiedział Skathis, wyciągając do niego rękę gestem nieznoszącym sprzeciwu – pójdziesz ze mną.

– Nie! – krzyknęła Sarai, łapiąc Lazla za ramię i przyciskając do siebie.

Skathis wyszczerzył się w uśmiechu.

– Chodź. Przecież wiesz, że nie ma bezpiecznych miejsc ani wybawienia. Jest tylko bezsilność.

„Tylko bezsilność. Tylko bezsilność”.

Sarai zalała falą skumulowanych emocji odczuwanych przez wszystkich pozostawionych, przez każdego członka rodziny i narzeczonego, młodzieńczą miłość i najlepszego przyjaciela, którzy nie mogli zrobić nic, tylko bezsilnie patrzeć, jak zabierano ich bliskich.

Rasalas stanął na tylnych łapach, a jego ogromne, zakończone pazurami łapy opadły na okienny parapet, który rozpadł się na kawałki. Sarai i Lazlo cofnęli się niezdarnie, przycisnęli się do siebie.

– Nie dostaniesz go! – wykrztusiła Sarai.

– Nie bój się, dziecko – odparł Skathis, przeszywając ją zimnym spojrzeniem. – Zabieram go dla ciebie.

Sarai pokręciła zdecydowanie głową, nie akceptując tego, że podobna rzecz

mogłaby zostać zrobiona w jej imieniu – Isagol zabrała Eril-Fane’a, a Skathis mógł porwać dla niej Lazła. Ale wtedy... uderzyła ją pewna myśl, paradoks tej sytuacji: Lazlo zostaje porwany po to, aby sprowadzić go przed jej oblicze, i Sarai rozbiła się na dwie osoby, na jedną w cytadeli i jedną w tej sypialni, obnażyła granicę pomiędzy snem a rzeczywistością, która zatraciła się we śnie. Póki będzie świadoma tego, po której stronie się znajduje, nie będzie już dłużej bezsilna.

Cały strach spłynął z niej jak kurz podczas ulewy.

„Jesteś Muzą Koszmarów – pomyślała Sarai. – Jesteś ich panią, nie naczyniem”.

Wyciągnęła przed siebie dłoń, lecz nie po to, aby skupić się na precyzyjnym ataku, lecz – jak przy mahalath – pozwalając zdecydować siedzącemu w niej głosowi.

A ten uznał najwyraźniej, że Skathis przecież nie żyje.

Na oczach Sarai i Lazła bogiem jakby szarpnęło, wybałuszył z przestraczem oczy, a z jego piersi gwałtownie wystrzeliło ostrze hreshdeka. Miał czerwoną krew, czerwoną jak farba na muralu, na którym, jak zorientował się Lazlo, Skathisa przedstawiono identycznie: przeszytego mieczem od tyłu, z klingą wbity pomiędzy serca. Z jego ust wydobyła się szkarłatna bańka. Życie uleciało z niego szybko. Bardzo szybko. Nie było to wierne odtworzenie chwili jego śmierci, lecz ulotne wspomnienie tego, że nie żyje. „Jesteś martwy i martwym pozostań, daj nam spokój”. Straszliwy Rasalas zmarł – całe mesartjum umarło razem z jego panem – a siedzący na jego grzbiecie przywódca Mesarthimów zapadł się w sobie, zwiądnął, usechł, jakby uszło z niego powietrze, aż nie zostało nic poza odsączonym z krwi i ducha truchłem o niebieskiej skórze. Rozległ się przesywający zgrzyt, błysnęło białe światło, znikąd pojawił się widmowy ptak, Zjawa, a potem nagle zniknął. Zapadła cisza, nie licząc przyśpieszonego oddechu obu śniących. Koszmar dobiegł końca, Lazlo i Sarai przyłgnęli do siebie i spojrzeli na wykrzywione, zmarłe oblicze Rasalasa. Jego ogromne łapska spoczywały na parapecie, pazury tkwiły wbite w kamień. Lazlo wyciągnął drżącą dłoń i zasunął zasłonę. Drugim ramieniem nadal obejmował Sarai. Dziewczyna trzymała się go kurczowo, oburącz, jakby lada chwila miała naskoczyć na Skathisa i złapać się z nim za bary. Ale już sobie z nim poradziła. Samodzielnie unicestwiła boga bestii. Lazlo był pewien, że nie miał z tym absolutnie nic wspólnego.

– Dziękuję – powiedział, odwracając się do niej.

Stali naprawdę blisko siebie, ciało przy ciele, Sarai przyciskała się do jego ramienia. Kiedy Lazlo się obrócił i stanęli twarzą w twarz, on nieco pochylony, ona z lekko uniesioną głową, przestrzeń pomiędzy nimi zmalała do rozmiaru obłoczka pary wydobywającego się z imbryka gorącej herbaty, który jeszcze niedawno stał nad brzegiem rzeki na stoliku.

Dla obojga było to coś nowego – bliskość łącząca oddechy i ciepło. Cieszyli się tą euforią wywołaną przenikaniem się ciał, jakby stopiły się razem w emocjonalnym tyglu. O takiej intymności marzyli, lecz zawsze – jak teraz się przekonali – bezskutecznie. Rzeczywistość przewyższała bowiem fantazję. Miękkie skrzydełka trzepotały dziko. Sarai nie potrafiła sklecić choćby jednej koherentnej myśli. Chciała tylko dalej się topić. Ale coś w dalszym ciągu było nie tak. Nadal nie mogła się pozbyć powidoku lśniących zębisk Rasalasa i poczucia winy, że to wszystko przez nią.

– Nie dziękuj mi – powiedziała, puszczać ramię Lazla, spuszczać wzrok i zrywając tym samym łączącą ich więź spojrzeń. – To ja ich tutaj sprowadziłam. Powinieneś mnie wyrzucić. Nie trzeba było zapraszać mnie do swojego snu, Lazlo. Tylko wszystko zepsuję.

– Niczego nie zepsułaś – odpowiedział. Jego pachnący dymem drzewnym głos nigdy nie był słodszy. – Może mówię to przez sen, lecz to najlepsza noc w moim życiu.

Spojrzał rozmarzony na jej oczy, na cyrkonowe brwi, na idealną krzywiznę niebieskiego policzka i pełne usta z dołeczkiem, słodkie niczym plasterki dojrzałego owocu. Na powrót złapał jej spojrzenie.

– Sarai – kontynuował, brzmiąc, jak mogłyby brzmieć pomruki ravidy wypowiadające jej imię – musisz to zrozumieć, chcę ciebie w mojej głowie.

Pragnął trzymać ją w ramionach. Pragnął jej w swoim życiu. Nie mógł pozwolić, żeby tkwiła uwięziona na niebie, bojąc się rychłej śmierci z ludzkiej ręki, przytłoczona beznadzieją i nękania koszmarami za każdym razem, kiedy zamknie oczy. Chciał zabrać Sarai nad prawdziwy brzeg rzeki i pozwolić jej rozgrzebać piasek palcami. Chciał przytulić się do niej między regałami prawdziwej biblioteki, poczuć zapach książek, otwierać je i czytać fragmenty. Chciał kupić im obojgu skrzydła u rzemieślnika, aby mogli odlecieć daleko stąd z zapasem krwawych słodyczy i niewielkim kuferekiem ze skarbami, żeby żyć wiecznie. Kiedy tylko karawana wyłoniła się zza Guzka, przekonał się, że kraina nieznanego jest znacznie większa, niż się spodziewał. Chciał odkrywać jej granice, ale z nią i tylko z nią.

Lecz teraz... Jedyne, czego chciał teraz, to pocałunek.

Przyglądał się jej oczom, szukając w nich przyzwolenia, i prędko je odnalazł. Sarai udzieliła go niezwłocznie. Błysnęło jak muśnięcie światła emanujące równocześnie od nich obojga i nie była to jedynie zwyczajna, bierna zgoda, lecz aktywna chęć, pożądanie. Oddychała płytko. Przycisnęła się do niego jeszcze mocniej, aż nie dzieliła ich już żadna, najmniejsza nawet przestrzeń. Okazało się, że istniały granice owego przenikania się, ale kiedy je odnaleźli, sprzeciwili się im. Jego pierś przylgnęła do jej piersi, przyjemnie miękkiej. Dłonie Lazla spoczęły na jej biodrach. Sarai zarzuciła mu ramiona na szyję. Ściany sypialni zaśniły niczym promienie słońca na wzburzonych falach. Niezliczone malutkie gwiazdy niknęły pod naporem własnego światła i ani Sarai, ani Lazlo nie byli świadomi, które z nich jest tego powodem. Być może to sprawka ich obojga, ta jasność bijąca od beztrudnych diamentowych punkcików, płonących gorączkowo. Pod naskórkiem snu oboje zdawali sobie sprawę, że nadchodzi świt, a ich objęcia tego nie przetrwają.

Dlatego Sarai stanęła na palcach, wymazując ostatnią maciupką przestrzeń między ich zarumienionymi twarzami barwy czerwonego miodu. Usta, miękkie i spragnione, odnalazły się akurat w porę, żeby zdążyć się musnąć, dotknąć, otworzyć na słodycz, zanim pierwsze promienie poranka przesiąknęły przez okno i upomniały się o siedzącą na skroni Lazla ćmę, laskocząc jej skrzydełko i płosząc, aż rozplynęła się w kłębie dymu w kolorze indygo.

Sarai zniknęła z ramion Lazla, a Lazlo zniknął z ramion Sarai.

Dzielony przez nich sen został nagle przerwany, wypluł ich oboje. Sarai obudziła się w swoim łóżku w cytadeli, a Lazlo w sypialni w mieście, kiedy nad jego twarzą rozpląwał się przypominający ćmę obłoczek dymu. Usiedli w tym samym momencie i dla obojga ta nagła nieobecność była niczym skrajne przeciwieństwo obecności, jaką jeszcze przed momentem czuli. Nie chodziło o czysto fizyczny aspekt, żar ciała przy ciele – choć o to też – lecz coś znacznie głębszego. Towarzyszyła im frustracja, że zostali wybudzeni z tak słodkiego snu, pustka po znalezieniu idealnego miejsca, tego jedyne i prawdziwego, po podniecającym doświadczeniu życia, jakim powinno ono być. Zostali wyrwani ze swojego kawałka świata i ponownie ciśnięci do bałaganu, gdzie mogli znaleźć jedynie samotność. Ich miejsce było przy sobie, co może brzmieć cokolwiek ironicznie, zważywszy, że nie mogli być jednocześnie obok siebie i dotychczas zbliżyli się jedno do drugiego tylko na moment, kiedy krzyknęła do niego z tarasu, zanim chwyciły ją duchy i zaciągnęły z powrotem do środka cytadeli.

I choć znali prawdę – że nie byli tak naprawdę przez całą noc w tym samym miejscu, lecz na zupełnie innych płaszczyznach egzystencji, on na ziemi, ona w niebie – Sarai nie zaakceptowałyby myśli, że faktycznie nie spędzili tego czasu razem. Padła z powrotem na łóżko, a jej palce powędrowały ciekawie do ust i obrysowały je tam, gdzie przed momentem czuła jeszcze jego usta.

Może nie rzeczywiście, ale prawdziwie. Nie całowali się naprawdę, ale jednak prawdziwie. Bo wszystko, co wydarzyło się tej nocy, było prawdziwe w sposób dalece wykraczający poza ich ciała.

Co nie znaczy, że ich ciała tego nie chciały.

Ta tęsknota.

Lazlo padł na poduszki, potarł oczy pięściami i wysyczał z siebie powietrze przez zaciśnięte zęby. Niebywałym okrucieństwem było móc skosztować jedynie kropli nektaru jej ust, ograniczyć się do krótkiego muśnięcia aksamitu warg. Czuł się, jakby płonął. Musiał przekonać samego siebie, że nie da rady samodzielnie uruchomić jedwabnych sań i polecieć prosto do cytadeli. Byłby jak księżę szturmujący wieżę, na której szczycie uwięziono dziewicę, tak rozszalały z namiętności, że zapomniał miecza, więc został zabity przez smoka, jeszcze zanim się do niej zbliżył.

Tyle że w tym przypadku rolę smoka odgrywał batalion zjaw niewrażliwych na ciosy miecza, poza tym i tak nie miał żadnej broni. Mógłby pomachać co najwyżej kijkiem – orężem prawdziwego herosa.

Tego problemu – miał na myśli nie przerwany pocałunek, ale przeklęty impas panujący pomiędzy cytadelą a miastem – nie dało się rozwiązać rozlewem krwi. Zbyt dużo już jej przelano. Nie miał jeszcze pojęcia, jak rozwikłać ten problem, lecz co do jednego zyskał pewność: stawka była większa, niż sądzono. A teraz cała sprawa stała się dla niego osobista.

Od dnia, kiedy Zabójca Bogów wjechał przez bramy Zosmy do miasta i wystosował swoje nietypowe zaproszenie, przez proces rekrutacji odpowiednio wykwalifikowanych ludzi i ich niekończące się spekulacje odnośnie do celu tej wyprawy, aż do chwili, kiedy nareszcie oczom delegacji objawił się Szloch, Lazlo czuł się wolny od oczekiwań. Oczywiście chciał pomóc, i to bardzo. Śnił o tym na jawie, lecz nikt tak naprawdę nie wymagał od niego żadnych rozwiązań, a i on sam specjalnie ich nie szukał. Ogarniał go raczej żal.

„Cóż mogę zrobić?”, powtarzał sobie niczym refren. Nie był przecież alchemikiem ani budowniczym, nie znał się na metalach i magnesach. Lecz teraz natura problemu się zmieniła. Nie chodziło już o metale i magnesy, ale duchy i bóstwa, magię i zemstę. Mimo że nie określiliby się ekspertem w żadnej z tych dziedzin, mógł dać z siebie więcej niż pozostali, poczynając od otwartego umysłu.

I serc.

Sarai nadal była tam, a jej życiu groziło niebezpieczeństwo. Dlatego kiedy słońce obwieściło poranek Drugiego Szabatu Dwunastego Księżyca, Lazlo nie zadał sobie pytania „Co mogę zrobić?”, ale „Co zamierzam zrobić?”. Była to szlachetna myśl, ale gdyby przeznaczenie udzieliło mu wtedy swojej zaskakującej odpowiedzi, nigdy nie dałby jej wiary.

\*\*\*

Eril-Fane i Azareen przyszli na śniadanie razem. Lazlo patrzył na nich przez pryzmat tego, czego dowiedział się nocą, i serca bolały go, kiedy o nich myślał. Suheyla postawiła na stole parujące bułeczki, ugotowane jaja i gorącą herbatę. Cała czwórka usiadła przy stole na poduchach rozłożonych przy niskim kamiennym stole na podwórku. Suheyla o niczym nie wiedziała, ale przeczuwała, że coś się zmieniło, że coś musiało się wydarzyć.

– Co znaleźliście na górze? – zapytała wreszcie. – Domyślam się, że kłamaliście z tą poduszką.

– Niezupełnie – odparł Lazlo. – Mieliśmy wyciek. – Upił herbaty. – Zahaczyliśmy o hak do mięsa.

Suheyli mało nie wypadła filiżanka, która brzęknęła o spodek.

– Hak? – powtórzyła, otwierając szeroko oczy i zaraz je mrużąc. – Jak można się nadziać na hak w powietrzu?

Pytanie skierowała do Lazla, jako że chłopak wydawał się bardziej chętny do rozmowy od tamtych dwojga. On jednak odwrócił się do Eril-Fane’a i Azareen. To ich obowiązek, nie jego.

Zaczęli od duchów. Potrafili nazwać całkiem sporą część z nich, począwszy od babki Azareen. Lazlo zdał sobie sprawę, że było ich więcej, niż podejrzewał. Wujowie, sąsiedzi, znajomi. Suheyla łkała po cichu. Pojawił się pośród nich nawet zmarły przed paroma dniami kuzyn, Ari-Eil. Siedzący przy stole zbledli, przerażeni tym, co to wszystko oznaczało. Mieszkańcy Szlochu, jak się okazało, jeden po drugim, po śmierci stawali się niewolnikami.

– Albo zostaliśmy przekłęci, a cytadela to nasze piekło – powiedziała, trzęsąc się, Suheyla – albo istnieje jakieś inne wyjaśnienie. – Utkwiła spojrzenie w synu, nie

spuszczała z niego wzroku.

Nie należała do kobiet, które uwierzyłyby w podobne wyjaśnienie, dlatego przygotowała się na prawdę.

Eril-Fane odchrząknął i zaczął mówić, co przychodziło mu z ogromnym trudem:

– Jest... tam... dziewczyna.

Suheyła zbladła.

– Dziewczyna? – Przełknęła ciężko ślinę. – Pomiot?

– Dziewczyna – ciągnął Eril-Fane; musiał ponownie odchrząknąć – o czerwonych włosach.

Cztery proste słowa – „dziewczyna o czerwonych włosach” – były jak fala przebijająca tamę i jeśli cisza mogłaby zapaść hałaśliwie, to w tym momencie gruchnęłaby z ogłuszającym łoskotem. Zalała podwórko z siłą oceanu. Azareen wydawała się wyrzeźbiona z kamienia. Suheyła chwyciła się krawędzi stołu, jakby miała upaść. Lazlo wyciągnął dłoń, żeby ją przytrzymać.

– Żywa? – wysapała kobieta, nie odrywając oczu od syna.

Lazlo czuł, jak sprzeczne emocje odbijają się w niej rykoszetem, a na twardym gruncie szczerego lęku odzywa się nieśmiała nadzieja. Jej wnuczka żyje. Jej wnuczka jest boskim pomiotem. Ale żyje.

– Odpowiedz – poprosiła, rozpaczliwie chcąc usłyszeć coś jeszcze.

– Nie mam już nic do powiedzenia – odparł Eril-Fane. – Zobaczyłem ją tylko.

– Zaatakowała cię? – zapytała Suheyła.

Mężczyzna pokręcił głową, jakby zmieszany. Odpowiedziała jej Azareen.

– Ostrzegła nas – odparła, marszcząc brwi; jej oczy zdradzały grozę. – Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiła, ale gdyby nie ona, już byśmy nie żyli.

Zapadła niewygodna cisza. Towarzysze spoglądali po sobie, niepewni, co o tym myśleć. Klębiły się niewypowiedziane pytania, aż po chwili odezwał się Lazlo:

– Ma na imię Sarai.

Oczy pozostałej trójki zwróciły się ku niemu. Milczał jednak, jakby niepomny rozgorączkowanych emocji, które wywołał. Tamte cztery słowa – „dziewczyna o czerwonych włosach” – wywołały u niego odmienną reakcję. Poczł ciepło, radość, pożądanie. Jego głos to komunikował, był niczym echo pomrukiwania ravida, takim przemawiał do niej.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytała Azareen, która pierwsza się otrząsnęła ze zdziwienia. Mówiła jednak tonem sceptycznym i podejrzliwym.

– Powiedziała mi – odparł Lazlo. – Może przeniknąć do snu. To jej dar. Przyszła do mnie.

Zaczęli się zastanawiać nad tym, co usłyszeli.

– Skąd wiesz, że to prawda? – zapytał Eril-Fane.

– Nigdy nie miałem podobnego snu – odpowiedział Lazlo; jak mógł jednak opisać słowami to, co przeżył z Sarai? – Domyślam się, jak to brzmi, ale śniłem o niej, jeszcze zanim ją zobaczyłem, zanim ujrzałem mural i dowiedziałem się, że Mesarthimowie byli niebiescy. Dlatego zapytałem cię wtedy o to. Myślałem, że widzę Isagol, bo nie słyszałem o... – Zawahał się; wstydziła się ich i dlatego trzymali to w tajemnicy, a boskie pomioty

były nazwą równie okropną co Szloch. – O dzieciach – dokończył. – Lecz teraz wiem więcej. Wiem... wiem wszystko.

Eril-Fane popatrzył na niego, lecz było to niewidzące, puste spojrzenie kogoś, kto myśli o przeszłości.

– Czyli wiesz, co zrobiłem?

Lazlo przytaknął. Co widział, patrząc teraz na Eril-Fane'a? Bohatera? Rzeźnika? Czy jedno wykluczało drugie? A może rzeźnik zwyciężał herosa? Czy mogli istnieć obok siebie niczym dwa przeciwieństwa, jak miłość i nienawiść, które dźwigał przez trzy długie lata?

– Musiałem – rzekł Zabójca Bogów. – Nie mogliśmy pozwolić im żyć. Nie, kiedy mieli swoją magię stawiającą ich ponad nami. Nie, skoro mogli dojrzeć i znowu nas podbić. Ryzyko było zbyt duże.

Jego słowa dźwięczały, jakby często je powtarzał. Błagalne oczy Eril-Fane'a wyrażały prośbę o zrozumienie, ale Lazlo nie rozumiał. Odkąd Sarai powiedziała mu, co ten człowiek uczynił, uważał, że musi za to odpokutować. A on miał czelność usprawiedliwiać urządzoną przez siebie rzeź.

– Były niewinne – powiedział Lazlo.

Zabójca Bogów skarłał.

– Wiem. Myślisz, że tego chciałem? Nie miałem wyjścia. Nie było dla nich miejsca na tym świecie.

– A teraz jest? – zapytał Lazlo.

Zrobiło mu się chłodno. To nie rozmowa, której się spodziewał. Powinni byli opracowywać jakiś plan, a po jego pytaniu zapadła jedynie... cisza. Niewypowiedziana odpowiedź niewątpliwie sugerowała, że nadal nie ma tu dla nich miejsca.

– To twoja córka – powiedział Lazlo – a nie jakiś potwór. Boi się. Jest dobra.

Eril-Fane zapadł się bardziej. Kobiety zwarły szeregi. Azareen rzuciła *faranji* spojrzenie, a Suheyla wyciągnęła dłoń i złapała syna za rękę.

– Co z naszymi uwięzionymi martwymi? – zapytała. – To ma być dobroć?

– To nie ona – odparł Lazlo, nie chcąc negować zagrożenia, lecz zwrócić uwagę na to, że Sarai nie miała z tym nic wspólnego. – Ale inni.

Eril-Fane skrzywił się.

– Inni?

„Jakże głęboko sięgały splątane korzenie nienawiści”, pomyślał Lazlo, dojrzwawszy, że nawet po piętnastu latach podgryzania przez poczucie winy i pogardę dla samego siebie, które pożerały go od środka niczym choroba, Zabójca Bogów nie potrafił się zdecydować, czy wolałby odczynić to, co zrobił, czy jednak za bardzo się bał. Jeśli zaś chodziło o Lazla, chłopak nie był pewien, co z tym wszystkim począć. Poczul, jak na żołądku zaciska mu się pięść, bał się zaufać Eril-Fane'owi.

– Przetrwawało paru innych – tylko tyle był w stanie powiedzieć.

Jego słowa wyrażały tak wiele: siłę, wytrwałość, szczęście, a także sugestię, że udało im się przeżyć niesprawiedliwość i okrucieństwo. Uosabiał je nikt inny jak siedzący obok niego Eril-Fane. Udało im się wymknąć, a myśl ta zaległa głębokim cieniem na jego duszy.



– Sarai nas uratowała – wyszeptał Lazlo – a teraz my musimy uratować ją. I pozostałych. Jednak to ty jesteś Eril-Fane’em, obowiązek ten spoczywa na tobie. Ludzie pójdą tylko za tobą.

– Nie jest to takie proste, Lazlo – powiedziała Suheyla. – Nie pojmiesz nienawiści. Jest jak choroba.

Zaczynał jednak rozumieć. Jak ujęła to Sarai?

„Nienawiść wykorzystywanych i torturowanych, którzy są dziećmi wykorzystywanych i torturowanych i których dzieci będą wykorzystywane i torturowane”.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Co zamierzacie zrobić? – Przygotował się do zadania kolejnego pytania, odetchnął i wydusił z siebie: – Zabić ich?

– Nie – powiedział Eril-Fane. – Nie.

Choć była to odpowiedź na zadane mu pytanie, wycisnął ją z siebie, jakby chciał odpędzić nadciągający koszmar. Sama myśl wydała się niczym brutalna napaść, nie mógł jej znieść. Pochylił głowę i schował twarz w dłoniach. Azareen odsunęła się i przyglądała się mężowi, jej ciemne, pełne bólu oczy przepelniała bolesć, jakby zostały z niej odlane. Suheyla patrzyła na nich ze łzami, położyła swoją zdrową dłoń na ramieniu syna.

– Polecę drugimi saniami – powiedział Eril-Fane, podnosząc głowę. Kiedy napotkał spojrzenie matki, kobieta zauważyła, że jego oczy są suche. – Spotkam się z nimi.

Azareen i Suheyla momentalnie wyraziły swoje obiekcje.

– I złożysz się w ofierze? – Nie dowierzała Azareen. – I co to niby da?

– Wydawało mi się, że ledwie uszliście z życiem – podkreśliła szeptem Suheyla.

Eril-Fane spojrzał na Lazla. Od Zabójcy biła bezradność, wyglądał, jakby pytał chłopaka, co ma zrobić.

– Pomówię dziś z Sarai – oświadczył Lazlo. – Zapytam, czy przekona innych do zawieszenia broni.

– Skąd pewność, że przyjdzie?

Lazlo splonął się i zaniepokoił, że wszystkie emocje ma wypisane na twarzy.

– Tak powiedziała – skłamał.

Nie mieli jednak czasu na inny plan, a Sarai nie musiała przecież nic takiego mówić. Nie mógł się doczekać nocy i był pewien, że dziewczyna czuła to samo. Następnym razem nie będzie czekał aż do nastania świtu, aby ją do siebie przytulić. Odchrząknął.

– Jeśli powie, że jest bezpiecznie, polecimy jutro.

– My? – podłapał Eril-Fane. – Nie, ty nie. Nikt poza mną nie będzie ryzykował.

Azareen rzuciła mu ostre spojrzenie, a Lazlo w jej ponurych oczach dojrzał cierpienie człowieka kochającego kogoś, kto nie ma w sercu miłości nawet do samego siebie.

– Lecę z tobą – odparł Lazlo; nie nerwowo, lecz jakby to była jedyna rozsądna możliwość.

Wyobrażał sobie, jak wysiada z sań na dłoń serafina, a Sarai staje obok niego, prawdziwa, z krwi i kości. Musiał tam być. Jakikolwiek grymas wywołały na jego twarzy

owe rozmyślania, Eril-Fane nie próbował już go zniechęcać. Azareen również nie miała zamiaru zostać na ziemi. Lecz po pierwsze to pięcioro z cytadeli musiało wyrazić na to zgodę, a to nie mogło się stać aż do jutra.

Tymczasem musieli się jednak uporać z dzisiaj.

Lazlo miał się rano udać do budynku cechu i poprosić na osobności Soulzeren i Ozwina o opóźnienie wylotu drugich sań i wymyślenie jakiejś wymówki, która pozwoli na odroczenie wyprawy. Wszyscy spodziewali się, że po wczorajszej porażce będą chcieli czym prędzej podjąć kolejną próbę, czego, rzecz jasna, zrobić nie mogli, przynajmniej jeszcze nie, a jednocześnie musieli utrzymać wszystko w tajemnicy przed mieszkańcami. Eril-Fane uznał, że lepiej nie mówić o niczym również i Tizerkane'om, obawiał się, że zasieje ziarno strachu i trudniej będzie ukryć prawdę, lecz Azareen obstawała przy swoim, upierała się, że muszą być gotowi na wszystko.

– Dadzą sobie radę – powiedziała, dodając szeptem: – Nie powiemy im, póki co, całej prawdy.

Myślała, jak mniemał Lazlo, o Sarai i tym, czyim była dzieckiem.

– Czegoś jednak nie rozumiem – powiedział, szykując się do wyjścia; to jego zdaniem niewyjaśniona kwestia leżąca u podstawy tajemnicy, jaką owiano boskie pomioty. – Sarai powiedziała, że tego dnia było ich w żłobku trzydzieścioro.

Eril-Fane spuścił głowę. Zacisnął szczękę, aż mu zadrżały mięśnie na szyi. Lazlo czuł pewien dyskomfort, przepytując go na temat tego krwawego dnia – i nie miał pewności, czy naprawdę chciał usłyszeć odpowiedź – lecz to zbyt istotne, aby przestać dążyć.

– Chodzi o to, że... To dużo, ale nie mogły to być wszystkie.

Lazlo wyobrażał sobie żłobek jako pomieszczenie zastawione identycznymi kojcami. Jako że nie był w cytadeli i nie wiedział, że wszystko wykonano z mesartjum, założył, że zrobiono je z drewna i zostały jak pootwierane skrzynki na wzór tych, które znał z klasztoru. Myśl ta męczyła go niczym bolący ząb. Sam został położony do prymitywnego kojca przez mnicha, a obok leżały niezliczone sieroty. Wsadzono ich tam wtedy wiele – mnóstwo Strange'ów – i... raczej nic się nie zmieniło.

– Co się stało z pozostałymi? – zapytał, spoglądając to na Eril-Fane'a, to na Azareen, a potem na Suheylę, która jak podejrzewał, sama tam urodziła. – Z tymi, które dorosły? Skoro Mesarthimowie robili to bez przerwy...

Zadrzał, myśląc o tej tchórzliwej peryfrazie, użył bowiem nic nieznaczącego słowa, bo bał się obrzydliwej prawdy. Hodowla. Dokładnie to robili.

Czyż nie?

Lecz... po co?

– Dwa stulecia – naciskał. – Musiały tam się narodzić tysiące dzieci.

Cała trójka patrzyła na niego pustym wzrokiem. Lazlo widział, że zrozumieli, co chciał powiedzieć, i mogli mu teraz przerwać, lecz tego nie zrobili. Dlatego zapytał wprost:

– Co stało się z resztą?

Odpowiedziała Suheyla, pozbawionym życia głosem:

– Nie mamy pojęcia. Nie wiemy, co bogowie z nimi zrobili.



Thyonowi Nero nie udało się uciąć sobie drzemki.

„Może się nie zabijesz, ale stracisz urodę”, powiedział mu Lazlo. Thyon przypomniał sobie jego przytyk – lekko drwiącą wypowiedź – kiedy odciągał kolejną strzykawkę ducha ze swoich nadwyrężonych żył. Nie mógł się powstrzymać. Musiał otrzymać kolejną porcję azothu, zwłaszcza po... niewytłumaczalnych... rezultatach poprzedniej próby.

Umył starannie wszystkie szklane naczynia i przyrządy. Mógł zażyczyć sobie asystenta, który zająłby się pomniejszych zadaniami, lecz był zbyt łasy na to, aby zachować swoje sekrety tylko dla siebie. Nie pozwalał nikomu przekroczyć progu laboratorium. Zresztą nawet jakby oddelegowano kogoś do pracy dla niego, sam by wszystko pomył. Tylko tak mógł mieć pewność, że nic nie zanieczyści procedury i żaden nieznaną czynnik nie będzie miał wpływu na rezultat.

Zawsze odrzucał mistyczną stronę alchemii i skupiał się na czystej nauce, co stanowiło fundament jego sukcesu. Empiryczna rzeczywistość. Możliwe do zweryfikowania i powtórzenia rezultaty, materialność prawdy, którą można zamknąć w dłoniach. Nawet kiedy czytał *Cuda na śniadanie*, szukał wskazówek. Pragnął wiedzy, śladu po niej, strząsał ją jak kurz z kilimu bajek.

A kiedy czytywał je ponownie, nadal traktował to jak badania.

Czasem brał się za lekturę do poduszki – to przyzwyczajenie, które pielęgnował jak tajemnicę azothu – i niewykluczone, że towarzyszyła mu wtedy zaduma natury bardziej mistycznej niż rzeczywistej, ale to przecież tylko baśnie, mógł pozwolić myślom pofolgować.

Potem nie pamiętał, do jakich doszedł konkluzji.

Nadszedł ranek. Nie miał okien, aby to potwierdzić, lecz jego zegarek wytrwale tykał, odmierzając czas. Słońce już się przebudziło, a Thyon Nero nie czytał baśni, ale destylował azoth, tak jak robił to już setki razy. Dlaczego akurat teraz zarzucono na niego ten lśniący welon zadumy?

Zrzucił go. Cokolwiek wpłynęło na wyniki eksperymentu, nie miało nic wspólnego z mistyką, nie chodziło też o osobliwe właściwości mesartjum czy ducha.

Istniało naukowe wyjaśnienie wszystkiego.

Nawet boskości.

Choć jedno przebywało w cytadeli, a drugie w mieście, Sarai i Lazlo czuli wzajemne przyciąganie, jakby ich serca przywiązano do siebie sznureczkami. Drugi sznur biegł za to od ust do ust od czasu tego ledwie rozpoczętego pocałunku. Trzeci z kolei od dolnej części brzucha dziewczyny do jego łędźwi, gdzie rozgorzały nowe dla nich namiętności. Ich szarpnięcia były delikatne, choć wytrwałe i deliryczne. Gdyby tylko mogli chwycić wszystkie te sznureczki, poplątać ze sobą i ściągnąć jedno do drugiego coraz bliżej i bliżej, aż spotkałyby się w połowie drogi.

Musieli jakoś przetrwać cały dzień, aby znowu nadszedł sen.

Wybudzona podczas swojego pierwszego pocałunku, nadal przesycona magią tej niezwyklej nocy, Sarai czuła się nadzwyczaj lekko, nowa nadzieja napełniła ją pogodą ducha. Świat wydawał jej się piękniejszy i mniej okrutny – przyszłość także – bo znajdował się w niej Lazlo. Leżała na ciepłym łóżku i wodziła palcami po swoim uśmiechu, jakby doświadczała go po raz pierwszy. Jakby obcowała z nieznaną osobą, nie tą, która potykała się o duchy, lecz poezją. Baśnią.

Zaraz po śnieniu wszystko wydawało się możliwe. Nawet wolność.

Nawet miłość.

Ale ciężko trzymać się tych uczuć, kiedy napiera rzeczywistość.

Po pierwsze nadal była więźniem, a armia Minyi zabraniała jej opuścić komnatę. Kiedy próbowała przebić się przez duchy, te chwyciły ją za ramiona – za sińce, jakie zrobiły jej poprzedniego dnia – i zaciągnęły z powrotem do środka. Mała Ellen przestała przychodzić z poranną tacą i ani Feyzi, ani Awyss nie pojawiły się z dzbankiem świeżej wody, jak miały w zwyczaju. Sarai zużyła pozostałą jej resztkę poprzedniego dnia, aby oczyścić ranę na ramieniu. Obudziła się spragniona – z pewnością nie przysłużył się jej płacz z poprzedniego dnia – a nie miała przy sobie niczego do picia.

Na domiar złego chciało jej się jeść. Czy Minya zamierzała ją zagłodzić?

Nie dostała nic, aż po południu przyszła do niej Duża Ellen z naładowanymi do fartucha śliwkami.

– Och, dzięki bogom – powiedziała Sarai.

Ale kiedy spojrzała na Ellen, zaniepokoiła się. Nadal była to ta sama twarz, babcina i okrągła, z rumianymi, radosnymi policzkami, lecz Sarai nie dostrzegła żadnej radości, duch patrzył na nią spojrzeniem pustym, jak żołnierze Minyi. A kiedy opiekunka się odezwała, ton jej głosu nie przypominał tego, który Sarai pamiętała.

– Nawet zdrajcy lubią jeść – powiedziała Duża Ellen, puszczając krawędź fartucha i wysypując śliwki na podłogę.

– Co...? – zdziwiła się Sarai, odskakując.

Owoce potoczyły się po ziemi. Kiedy duch się obracał, zobaczyła, że Ellen próbuje patrzeć na nią jak najdłużej, spostrzegła w jej oczach nie tylko ból, ale i przeprosiny.

Drżały jej ręce, kiedy zbierała śliwki. Kilka zjadła, klęcząc na podłodze. Miała

suche usta i gardło, sok wydawał jej się nektarem, choć jego smak wypaczyła sytuacja sprzed chwili i przerażenie wywołane wykorzystaniem Dużej Ellen przez Minyę. Sarai zjadła pięć śliwek, pełzała po podłodze, aż wybierała resztę. Napchała sobie nimi kieszenie sukni. Miała ochotę zjeść więcej, ale nie wiedziała, kiedy otrzyma kolejną rację żywnościową.

Jeszcze wczoraj, kiedy siedziała tutaj sama, czuła rozpacz. Dzisiaj desperacja ją opuściła. Ogarnęła ją za to złość. Na Minyę, oczywiście, lecz nie tylko. Duchy nie miały wolnej woli, ale Feral, Ruby i Jaskółka? Gdzie oni się podziali? Gdyby to któreś z nich zostało ukarane, Sarai nie przeszłaby nad tym do porządku dziennego. Sprzeciwiłaby się temu, nawet gdyby oznaczało to kłótnię z Minyą.

Czy naprawdę myślała, że Sarai ich zdradziła? Że wybrała ludzi nad boskie pomioty, a nie życie nad śmierć dla nich wszystkich? Czy to tak trudno zrozumieć?

Pod wpływem śpiocha dni Sarai wydawały się szarymi, bezsennymi plamami dzielącymi jedną noc od drugiej. Ten dzień był inny. Dłużył się w nieskończoność.

Patrzyła na kwadraty słońca rzucane na ziemię z jej okna. Powinny przesuwać się po podłodze zgodnie z jego ruchem, lecz te jakby utknęły w miejscu. Przekładnie niebios się zatarły, już na zawsze pozostanie dzień.

Czy noc nigdy nie nadejdzie?

Lazlo i niekończąca się noc. Na tę myśl Sarai poczuła łaskotanie w brzuchu. Nie mogła się doczekać wyzwolenia, jakie niesie księżycowa część doby; o ile kiedykolwiek nadejdzie. Z pewnością podczas snu czas minie szybciej, o ile odważy się teraz zasnąć.

Potrzebowała wypoczynku. Zasnęła we śnie Lazla tylko na momencik, jej zmęczenie nie zelżało ani trochę. Przez minione dni, kiedy nawiedzały ją koszmary, odczuwała ich obecność, nawet kiedy nie spała. Teraz też przeszywał ją strach. Ale już jej nie paraliżował, co uznała za cudowne.

Rozważyła dostępne możliwości. Mogła krążyć po sypialni, zgorzkniała i zniecierpliwiona, dając się męczyć swojej frustracji i zmęczeniu, podczas gdy słońce drobiło sobie kroczyki na niebie.

Albo mogła podejść do drzwi, stanąć przy strażnikach i drzeć się, aż przyjdzie Minya.

A potem co?

Mogła też zasnąć, wojować z koszmarami – może nawet zwyciężyć – i przyspieszyć nieco czas.

Tak naprawdę nie był to żaden wybór. Sarai z wyczerpania nie odczuwała strachu, dlatego położyła się na łóżku, wsunęła dłonie pod policzek i zasnęła.

\*\*\*

Lazlo spojrzął na cytadelę i zaczął się zastanawiać po raz setny tego dnia, co robiła Sarai. Spała? A jeśli tak, to czy sama odganiała koszmary? Patrzył na metalowego anioła i rozmyślał, jak przekazać jej całą swoją siłę.

Znowu przypomniał sobie pocałunek.

Może był krótki, lecz pocałunkiem – na dodatek pierwszym – można określić chwilę, kiedy stykają się usta dwojga ludzi, kiedy zamyka się oczy i daje się wypełnić tą osobą siebie, kiedy odczuwa się przyciąganie i potrzebę, kiedy czuje się, jakby... jakby...

znalazło się książkę wewnątrz innej książki. Mały cenny tomik ukryty między okładkami zwyczajnej pozycji, jak... zaklęcia wypisane na skrzydłach ważki odkryte w książce kucharskiej, pomiędzy przepisami na dania z kapusty i kukurydzy.

„Tak wygląda pocałunek – pomyślał – bez względu na jego długość”. To krótka, ale magiczna opowieść, cudowna odskocznia od zwyczajności.

Lazlo był gotowy na kolejny odskok od codzienności.

– Która godzina? – zapytał Ruzę, nie odrywając oczu od nieba.

Krawędzie cytadeli wydawały się na jego tle nieprzyzwoicie jasne i błękitne. Nigdy jeszcze nie odczuwał złości na niebo. Nawet kiedy przyszło im przez całe przekłete dni iść przez Elmuthaleth pod prażącym słońcem, czas wydawał się biec szybciej niż dzisiaj.

– Czy ja ci wyglądam na zegar? – zapytał wojownik. – Mam okrągłą twarz? A na niej cyfry?

– Jakby twoja twarz była cyferblatem – rozważał Lazlo – nie musiałbym pytać, która godzina, bo wystarczyłoby na ciebie spojrzeć.

– Prawda – przyznał Ruza.

To zwyczajny dzień, tylko ciągnął się dziesięć razy dłużej. Soulzeren i Ozwin zrobili, jak ich poprosił, i wymyślili wiarygodny powód na odłożenie w czasie drugiego startu sań. Nikt nie kwestionował ich decyzji. Mieszkańcom ulżyło, a *faranji* i tak byli zajęci swoimi sprawami.

Nie tylko Thyon Nero się przemęczał, choć jedynie on odciągał ze swoich żył esencję ducha. Wszyscy skoncentrowali się na danym im zadaniu, ciężko pracowali i rywalizowali ze sobą. A raczej wszyscy poza Drave'em, który nie miał nic do roboty, lecz, co należało przyznać, nie ze swojej winy. Zawsze chętnie by coś wysadził, lecz wydawało się jasne, dla niego również, że on i jego prochy to ostatnia deska ratunku. Kiedy reszta zawiedzie, uciekną się do eksplozji.

Nie do końca mu to odpowiadało.

– Jak mam wygrać nagrodę, skoro nie mogę nic zrobić? – żalił się tego popołudnia do Lazla, kiedy napatoczył się na niego pod posterunkiem Tizerkane'ów, gdzie ten rozmawiał akurat z Ruzą, Tzarą i paroma innymi wojownikami.

Lazlo mu jednak nie współczuł. Drave'a wynagradzano za poświęcenie swego czasu tak samo jak innych. A jeśli chodziło o jego mniejsze szanse wygrania obiecane honorarium, zupełnie o to nie dbał.

– Nie mam pojęcia – odparł Lazlo. – Może wymyśl jakieś rozwiązanie niewymagające destrukcji.

Drave się obruszył.

– Niewymagające destrukcji? Równie dobrze można by prosić ciebie, abyś nie zachowywał się jak mazepa – burknął.

Lazlo zmarszczył brwi.

– Mazepa?

– Zajrzyj do słownika – syknął Drave.

Lazlo odwrócił się do Ruzy.

– Jestem mazepą? – zapytał tonem młodej dziewczyny zastanawiającej się, czy sukienka dobrze na niej leży.

– Nie mam nawet pojęcia, co to takiego.

– Chyba jakiś grzyb – odparł Lazlo, choć znał znaczenie tego słowa i był zdziwiony, że Drave także.

– A to tak, grzyb z ciebie – odparł Ruza.

– To znaczy beksa – podpowiedział Drave.

– Aha – mruknął Lazlo do Ruzy. – Myślisz, że jestem tchórzem?

Ruza zastanowił się chwilę.

– Bardziej jednak grzybem – oświadczył wojownik. – Chyba za pierwszym razem byłeś bliżej – dodał, zwracając się do Drave’a.

– Nie powiedziałem, że jest grzybem.

– To ja już nic nie rozumiem.

– Przyjmę to jako komplement – powiedział Lazlo, wyprowadzając Drave’a z równowagi; jasne, nie było to zbyt dojrzałe, ale zabawne. – Grzyby są interesujące. Wiedzieliście, że nie są roślinami?

Ruza ciągnął temat, udając niedowierzanie:

– Nie miałem pojęcia. Powiesz coś więcej?

– Oczywiście. Grzyby różnią się od roślin tak samo jak zwierzęta.

– Ale ja nie mówiłem nic o grzybach – wycedził przez zaciśnięte zęby Drave.

– Och, przepraszam. Chyba coś chciałeś, Drave?

Eksplozjasta miał dość. Machnął z rezygnacją dłonią i oddalił się.

– Biedny, znudzony człowiek – powiedziała Tzara bez żalu. – Nie ma co sobie wysadzić.

– Mogliśmy dać mu zniszczyć chociaż małą dzielnicę – dodał Ruza. – Co z nas za gospodarze?

Lazlo poczuł się jednak... nieswojo. Znudzony eksplozjasta to jedno. Znudzony i obrażony eksplozjasta to drugie. Lecz ich rozmowa zoczyła na inne tory i chłopak przestał o nim myśleć.

– Chyba wymyśliłem, czym go zająć – powiedział Shimzen, stojący z nimi wojownik. – Można posłać go na górę w jedwabnych saniach, żeby przemielił tych niebieskich na potrawkę.

Lazlo go usłyszał, ale słowa te wypowiedziane zostały tak naturalnie i lekko, że potrzebował chwili, aby je przetworzyć. Mógł się jedynie skrzywić.

Potrawka.

– Tylko jeśli nie będę musiał tego sprzątać – odpowiedział równie lekko Ruza.

Zostali wcześniej powiadomieni o... sytuacji w cytadeli. Ich błaga miała zapewne zamaskować głębokie zaniepokojenie, co nie znaczyło, że nie mówili szczerze. Tzara pokręciła głową i Lazlo uznał, że skarci mężczyźni za ich obcesowość, lecz po chwili się odezwała:

– I gdzie cała zabawa? Nawet nie moglibyście zobaczyć, jak umierają.

Powietrze uszło mu z płuc, jakby uderzono go pięścią w żołądek. Wojownicy obrócili się, spojrzeli na niego badawczo, cokolwiek zaskoczeni:

– Co z tobą? – zapytał Ruza, widząc wyraz jego twarzy. – Wyglądasz, jakby ktoś zaserwował ci na kolację niebieską potrawkę. – Zaśmiał się, zadowolony z żartu, ale



Shimzen pacnął go w ramię.

Lazlo poczuł, jak napinają mu się mięśnie i zaczyna go piec twarz. Wyobraził sobie przestraszoną i uwięzioną Sarai.

– Jak możecie tak mówić? – zapytał. – Przecież ich nawet nie znacie.

– Nie znamy? – Ruza uniósł brwi. – Potworów się nie poznaje, tylko zabija.

Tzara musiała wyczuć złość Lazla, jego oszołomienie.

– Zaufaj mi, Strange – powiedziała. – Gdybyś coś o nich wiedział, sam byś to zrobił.

– Gdybyś ty wiedziała cokolwiek o mnie – odparł – nie oczekiwałabyś, że kogoś zabiję.

Tizerkane'owie spojrzeli na niego, skołowani i zirytowani, bo psuł im zabawę.

– Masz ich za ludzi – powiedział Ruza. – To twój problem. Pomyśl, że są jak trawce...

– Ich też nie zabijaliśmy.

– Prawda. – Skrzywił się. – Zły przykład. Ale jeśli byśmy to zrobili, patrzyłbyś na mnie tak samo krzywo jak teraz?

– Nie wiem. To nie są trawce.

– Nie – zgodził się Ruza. – Są o wiele niebezpieczniejsi.

To akurat się zgadzało, lecz nie w tym rzecz. Byli bowiem ludźmi, nie godziło się żartować z przerabiania ich na potrawkę.

Szczególnie Sarai.

„Uważasz, że dobrzy ludzie nie potrafią nienawidzić? – zapytała go ostatniej nocy Sarai. – Myślisz, że dobrzy ludzie nie mogą zabić?”

Jakiż naiwny był, łudząc się, że chodzi o zrozumienie pewnych spraw. Powtarzał sobie, że gdyby tylko ją poznali, nie chcieliby jej skrzywdzić. Teraz nie wydawało mu się to takie proste. Bo pewnie nigdy jej nie poznają, nie pozwolą sobie na to. Suheyła próbowała mu to powiedzieć: nienawiść jest jak choroba. Teraz już wiedział, co chciała mu przez to powiedzieć. Czy istniało na nią lekarstwo?

Czy lud Szlochu zaakceptuje nieznanym z cytadeli?

A jeśli nie, to czy tak jak pustynnym trawcom, dadzą im po prostu żyć?

– Pomiedzy kotwicami a cytadelą biegnie pole magnetyczne – powiedział Mouzaive, filozof przyrody, do Kethera, projektanta maszyn obłączniczych, kiedy siedli naprzeciwko siebie w budynku cechu – ale niepodobne żadnemu innemu, jakie do tej pory widziałem.

Drave, który ze złości mało nie wyszedł z siebie, kiedy podano mu na talerzu grzyby, jadł przy stole obok, ale jego ponura mina nie wskazywała na to, aby przysłuchiwał się tej rozmowie.

Mouzaive wynalazł narzędzie zwane kryptochronometrem, które napędzane proteinami uzyskanymi z ptasich gałek ocznych, służyło do wykrywania obecności pól magnetycznych. Dla Drave'a była to jedna wielka bzdura, ale co on mógł na ten temat wiedzieć?

– Magnetyczne kotwice – dumął Kether, zastanawiając się, jak mógłby wykorzystać tę technikę przy swoich projektach. – Czyli jeśli udałoby ci się je wyłączyć, cytadela by... odleciała?

– Tak bym powiedział.

– Jak w ogóle coś tak dużego może się unosić?

– Póki co chyba nie potrafimy tego pojąć – powiedział Mouzaive. – Na pewno to nie gaz uloli.

Kether, który chętnie poznałby i tę technikę, rzekł z zadumą:

– Jeśli coś jest pewne, to tylko to, że nic nie jest pewne.

Drave przewrócił oczami.

– Ale co wytwarza te pola? – burknął. – Jakaś maszyna ukryta w kotwicach?

Mouzaive wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć? Na tyle, na ile się orientuję, równie dobrze może to być magiczna księżycowa perła. Jeśli dostaniemy się do środka tej przeklętej statuy, to się dowiemy.

Następnie dyskutowali o postępach bliźniąt i Thyonie Nero, spekulując, komu pierwszemu uda się przebić przez metal. Drave nie odezwał się już ani słowem. Przeżuwał. Zjadł nawet wszystkie grzyby, a słowa „przebić przez metal” dźwięczały mu w uszach jak dzwony. Miał siedzieć na tyłku, kiedy Fellingeringowie i Nero walczyli o nagrodę? Ten drugi nawet jej nie potrzebował, bo mógł sobie wyprodukować tyle złota, ile chciał i kiedy chciał. Niech go szlag, jeśli parę mazep zmusi go do wywieszenia na swojej baszcie białej flagi.

Prędzej wysadzi tę pioruńską basztę.

Jaskółka chciała odwiedzić Sarai, lecz duchy blokowały korytarz i nie chciały jej przepuścić. Mała dziewczynka, Bahar, ociekając wodą i emanując cierpieniem, oświadczyła ponuro: „Sarai nie może się teraz z tobą pobawić”, przez co przeszedł ją po plecach dreszcz. Poszła do kuchni z nadzieją, że dowie się od Ellen, jak jej przyjaciółka się czuje, lecz obie opiekunki były ciche i smutne, co również ją przeraziło. Nigdy się tak nie zachowywały.

Minya musiała coś im zrobić, lecz nigdy wcześniej ich nie kontrolowała. Czemu akurat teraz?

Nigdzie nie mogła jej znaleźć, Ruby i Ferala również. Czasem każdy potrzebował chwili dla siebie – Jaskółka powtarzała to sobie przez całe popołudnie. Ona jednak tęskniła za rodziną. Nie mogła ścierpieć, że nie wolno jej iść do Sarai, i wściekała się, że nigdzie nie ma Minyi, z którą chciała porozmawiać. Udała się do serca cytadeli i zawołała ją przez wąski otwór niegdyś będący drzwiami. Była pewna, że Minya się tam schowała, lecz nie doczekała się odpowiedzi.

Tego dnia nawet ogród nie potrafił dać jej ulgi. Magia, jaką władała, nagle wydała się Jaskółce bez znaczenia, jakby wyschła płynąca w niej rzeka. Wyobrażała sobie, jak rzewnie płacze, a Feral trzyma ją w objęciach i pociesza, głaszcząc po głowie i mrużąc miłe słowa. Ona podniosłaby głowę i spojrzała na niego, a on spuściłby wzrok i... Nie przypominałoby to pocałunku, jaki wymienił z Ruby, nie rozległoby się żadne mlaszczące plaśnięcie i nie zebrałaby się nad ich głowami burzowa chmura. Byłoby słodko. Po prostu słodko.

„Mogłoby tak być – pomyślała. – Szczególnie teraz, kiedy wszyscy jesteśmy kłębkami nerwów. Bo czemu nie?” Łzy umiała łatwo wywołać, bo wstrzymywała je już od paru dni. A Feral na pewno siedział u siebie. Jaskółka poszła szybko korytarzem, minęła swoją sypialnię i komnaty Ruby, gdzie zza zasłon nie dochodził najmniejszy nawet szmer.

Zrobiło jej się potem bardzo głupio, bo tłumaczyła sobie tę ciszę u przyjaciółki domysłami, że może Ruby potrzebowała chwili dla siebie, przecież nigdy nie potrzebowała. Zaduma wydawała się jej bezcelowa, jeśli obok nie miała kogoś, z kim mogła się podzielić swoimi myślami.

Podeszła pod drzwi Ferala. Za jego zasłonką nie było cicho.

\*\*\*

„Skąd mogę wiedzieć, że mnie nie spalisz?”, zapytał kilka dni wcześniej Feral.

„Może do tego dojść jedynie, jeśli całkowicie się zatracę – odparła Ruby. – Musiałbyś być naprawdę dobry. A o to się akurat ani trochę nie boję”.

Wtedy odebrał te słowa jak siarczasty policzek i nie zapomniał o nich. Miał jednak pewną zagwozdkę. Jak kazać jej to odszczekać i się przy tym nie sparzyć?

Nadeszły mroczne czasy i podobne wyzwanie pozwalało mu choć na moment

oderwać myśli od duchów i nadciągającej zagłady. Miał zamiar sprawić, że Ruby zapomni o świecie i zostanie z niego jedynie kupka popiołu. Feral nie żałował sił. A nauka była słodka. Nastawił się całkowicie na sprawianie Ruby przyjemności, po części dlatego, że mogło go to zabić, a po części, bo... mu się to podobało. Lubił, kiedy było jej dobrze, uwielbiał, jak ciało dziewczyny wiotczało pod jego dotykiem, jak ze zdziwieniem wsysała powietrze małymi łykami albo zerkąła na niego spod rzęs, jak opadały jej powieki pod ciężarem hedonistycznego zadowolenia.

A wszystko to było niezwykle satysfakcjonujące, choć zbledło w chwili, kiedy nareszcie Ruby wydała z siebie dźwięk niczym westchnienie gołębi i skrzypiec i... podpała mu łóżko.

Zapach dymu. Fala gorąca. Rozchyliła usta, jej oczy zapłonęły niczym węgielki. Feral odsunął się od niej, przyzywając chmurę, zdążył już przerobić w myślach rozmaite plany awaryjne. Powietrze wypełniło się parą. Jedwabna pościel, którą Ruby mocno ścisnęła, zajęła się ogniem i chwilę później zalała ich ściana deszczu, przerywając anielskie westchnięcie i gasząc płomienie, zanim zdążył wybuchnąć prawdziwy pożar. Ruby pisnęła i zerwała się z łóżka. Nadal padało, kiedy Feral stanął obok, suchy i zadowolony z siebie. Trzeba jednak przyznać, że przegonił ciemny obłok od razu, jak tylko zgasty ostatnie płomyki, poza tym deszcz nie był nawet chłodny. Przywołał bowiem chmurę tropikalną. Uważał to za przemiły gest, lecz Ruby straciła ochotę na amory.

– Ale... z ciebie... prostak! – krzyknęła, strząsając z siebie krople.

Jej niebieskie piersi lśniły, po plecach spływały skapujące z włosów strumienie wody.

– Prostak? – zdziwił się Feral. – A grzeczniej byłoby dać się bez gadania spalić?

– Tak – odparła poważnie.

Feral rozejrzał się po sypialni.

– Patrz – wytknął – przypaliłaś mi pościel.

Istotnie. Tam, gdzie Ruby ścisnęła prześcieradło, wykwitły rozmoknięte dziury o czarnych krawędziach.

– I może mam jeszcze przeprosić? – zapytała Ruby.

Feral jednak pokręcił głową, szczerząc się. Nie miał zamiaru jej karcić. Przeciwnie, napuszył się.

– Zatraciłaś się – powiedział. – A wiesz, co to znaczy, co nie? Że jestem naprawdę dobry.

Ruby zmrużyła oczy. Nadal zaplątana w jego pościel, zapłonęła niczym pochodnia. Razem z nią zajęło się całe łóżko. Feral jęknął, widząc, jak jego kołdra, poduszki i materac – wszystko, co nie zostało wykonane z mesartjum – pożerały płomienie, aż został jedynie nagrzwany metal i dymiąca naga dziewczyna z uniesionymi brwiami, jakby chciała powiedzieć: „I co powiesz teraz na swoją przypaloną pościel?”. Nie wyglądała jednak na rozzłoszczoną, w kąciku ust majaczył jej uśmiech.

– Może i się czegoś nauczyłaś – przyznała.

Feral poczuł się jak po wygranej w kwel, tylko lepiej. Wybuchnął śmiechem. Znał Ruby całe życie i przez połowę tego czasu go irytowała, a teraz był szczerze zadziwiony, jaki kurs mogą obrać relacje pomiędzy dwojgiem ludzi i jakie uczucia rozwijają się

w człowieku, kiedy myślami ucieka przed końcem świata. Podeszedł do niej.

– Zniszczyłaś mi łóżko – powiedział jowialnie. – Teraz będę musiał spać z tobą.

– Czyżby? Nie boisz się, że cię podpalę?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Będę musiał być mniej niesamowity. Lepiej się zabezpieczyć.

– Spróbuj, a cię wykopię.

– Ależ dylemat. – Siadł na gołej ramie. – Być mniej niesamowitym, ale przeżyć, lub być niesamowitym i dać się przypiec.

Mesartjum nie trzymało ciepła zbyt długo, już prawie powróciło do dawnego stanu, ale skóra Ruby pozostawała nagrzana, ciepła niczym pogodny letni dzień albo naprawdę namiętny pocałunek.

Feral nachylił się do niej z zamiarem skosztowania jej ust i zamarł.

Kątem oka wyłapał bowiem jakiś ruch. Zasłonka. Odsunięto ją.

Na progu stała zdębiała Jaskółka.

Tego dnia sny Sarai nie obyły się bez koszmarnych wizji, lecz dla odmiany nie była pozbawiona możliwości obrony.

„Przeganimy je – powiedział Lazlo – albo zamienimy w świetliki i zamkniemy do słoika”.

Spróbowała i zadziałało. Szła przez ciemne leśne ostępy, mając na sobie napierśnik, jaki noszą Tizerkane'owie, a pod pachą trzymała słoć wypełniony świetlikami, które jeszcze niedawno były ravidami, Rasalasem i jej matką. Podniosła go wysoko, aby oświetlał jej drogę. Światło padło także na jej uśmiech, dziarski i tryumfalny.

Nie natknęła się jednak na Lazla – nie do końca – może jej podświadomość wołała zaczekać na zbliżające się, prawdziwe spotkanie, przypomniała sobie jedynie smak stanowczo zbyt krótkiego pocałunku, jego topniejącej słodczy i od razu potem się przebudziła. Tym razem nie zerwała się jednak z łóżka, tylko leżała dalej leniwie, otulona snem i wypoczęta. Zwykle oczekiwała ją jedynie samotność, lecz nie tym razem. Kiedy otworzyła oczy, przeraziła się.

U stóp łóżka stała Minya.

Dopiero teraz Sarai się zerwała.

– Minya! Od kiedy nie respektujemy zasłony?

– Ach, zasłona – powiedziała Minya pogardliwie. – A czemu się tak o nią martwisz, Sarai, jakbyś miała coś do ukrycia, co? – zapytała chytrze. – Bo Ruby i Feral mają, ale, no cóż, zasłonki nie zduszą tego... – Zaczęła wydawać z siebie przesadzone, mlaszczące odgłosy i Sarai przypomniało się, jak chichrali się i wzdychali, kiedy opowiadała im, co ludzie robią w łózkach.

To było tak dawno.

Ale Ruby i Feral? Cóż, nie mogła powiedzieć, że ją to zdziwiło. Podczas gdy ona siłowała się ze swoim nieszczęściem, życie w cytadeli toczyło się dalej.

„Biedna Jaskółka”, pomyślała.

– Niczego nie ukrywam – skłamała.

Minya oczywiście nie uwierzyła.

– Nie? To czemu tak wyglądasz?

– Jak?

Minya przyglądała się uważnie, lustrując ją spojrzeniem z góry na dół. Sarai poczuła się naga. A raczej obnażona. Dziewczynka odezwała się nareszcie tonem, jakby diagnozowała chorobę.

– Radośnie.

Radośnie. Cóż za pomysł.

– Tak wygląda radość? – zapytała Sarai, nawet nie próbując zaprzeczać. – Już zdążyłam zapomnieć.

– Czemu miałabyś być szczęśliwa?

– Miałam przyjemny sen – odparła Sarai. – Tyle.

Minya zmarszczyła nos. Sarai nie powinna mieć przyjemnych snów.

– Jak to możliwe?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Zamknęłam oczy, położyłam się i...

Minya zeszywniała ze złości. Przy każdym słowie pluła i syczała, choć podobne zachowania zwykle zarezerwowane były dla rojeń o zemście.

– Nie masz wstydu? Leżysz tu sobie jak lubieżna rozpustnica i miewasz przyjemne sny, kiedy nasze życia się rozpadają?

Sarai miała niemało wstydu. Minya równie dobrze mogłaby zapytać, czy nie ma krwi albo ducha, bo akurat wstyd płynął jej żyłami równie obficie. Lecz... akurat nie teraz.

„Myślę, że jesteś baśnią. Myślę, że jesteś magiczna, odważna i wyjątkowa”.

– Koniec ze wstydem, Minyo – odparła. – Koniec ze śpiochem, koniec z koszmarami i koniec z zemstą. Szloch już dość wycierpiał, my także. Musimy znaleźć inny sposób.

– Nie bądź durna. Nie ma innego sposobu.

„Mnóstwo rzeczy może się zdarzyć”, mówiła do Ruby jeszcze kilka dni temu, choć sama nie dawała temu wiary. Ale teraz była o tym przekonana. Coś już się wydarzyło. Coś niewiarygodnego. Lecz kiedy chodziło o cytadelę, nie mogło dojść do niczego, póki Minya na to nie pozwoliła.

Sarai musiała ją przekonać. Latami dusiła swoją empatię i bała się z nią afiszować ze względu na Minyę, ale teraz zbyt dużo od niej zależało. Nie tylko jej miłość, ale życie ich wszystkich. Nabrała powietrza do płuc.

– Minyo – zaczęła Sarai – posłuchaj mnie. Proszę. Rozumiem, jesteś na mnie zła, ale spróbuj chociaż otworzyć umysł.

– Po co? Żebyś mogła nakłaskać tam bzdur? Nie wybaczę twoim ludziom, jeśli na to liczysz.

„Twoim ludziom. Teraz to moi ludzie”, pomyślała Sarai. Nie tylko Eril-Fane i Lazlo, ale wszyscy. Bo jej dar zmusił ją – i pozwolił – do poznania całego Szlochu.

– Proszę, Min... – powiedziała; głos jej drżał, jakby zaraz miał wzbić się w powietrze, co sama chętnie by teraz zrobiła. – Eril-Fane nie powiedział nikomu o tym, co się wczoraj wydarzyło. Nie powiedział im ani o mnie, ani o duchach.

– Czyli go odwiedziłaś – syknęła z satysfakcją Minya. – Kiedyś nie potrafiłaś łączyć, Sarai, zawsze potrafiłam poznać, czy mówisz prawdę. Ale idzie ci coraz lepiej.

– Nie kłamię – odparła Sarai. – Naprawdę nie mogłam go znaleźć.

– I jak się ma nasz bohater?

– Nigdy nie miał się dobrze, Minyo. Nie od czasu Isagol.

– Przestań – zaprotestowała Minya, kładąc rękę na piersi. – Łamiesz mi serca.

– Jakie serca? – zapytała Sarai. – Te, które zmatowiłaś nieszczęściem umarłych, abyś mogła trwać przy swojej nienawiści?

– Zmatowiłam nieszczęściem? Dobrze, Sarai. Naprawdę poetyckie.

Sarai zacisnęła powieki. Rozmowa z Minyą przypominała wystawianie się na ciągłe ciosy.

– Chodzi o to, że nikomu nie powiedział. A co, jeśli żałuje swojego postępu i chce

to naprawić?

– Jeśli może przywrócić im życie, jestem skłonna to rozważyć.

– Przecież wiesz, że nie może! Ale to, że przeszłość zboczona jest krwią, nie musi skazywać nas na taką samą przyszłość. Nie możemy z nim porozmawiać? Jeśli obiecamy bezpieczną przeprawę...

– Bezpieczną przeprawę! Tak o niego dbasz? Czy Szloch obieca nam bezpieczną przeprawę? A może nas już nie potrzebujesz? Może nie jesteśmy dla ciebie odpowiednią rodziną? Może tęsknisz za człowiekiem, który wymordował nasz gatunek?

Sarai przełknęła ślinę. Oczywiście, że ich potrzebowała. Oczywiście, że byli jej prawdziwą rodziną i pozostaną nią. A jeśli chodziło o całą resztę, chciała od razu zaprzeczyć, bo nawet ją zbulwersowało takie postawienie sprawy przez Minyę.

– To niedorzeczne – powiedziała. – Nie chodzi o niego, ale o nas i naszą przyszłość.

– Naprawdę myślisz, że mógłby cię pokochać? – zapytała dziewczynka. – Naprawdę uważasz, że jakikolwiek człowiek mógłby znieść twój widok?

Jeszcze przed tygodniem Sarai odpowiedziałaby przecząco albo nic by nie odpowiedziała, tylko dała się przytłoczyć wstydomi, który ją tłamsił i przez który więdła niczym niepodlewany kwiat. Lecz od tamtej pory wiele się zmieniło, dlatego powiedziała:

– Tak – odparła cicho, ale stanowczo. – Wiem, że człowiek może znieść mój widok, Minyo, bo jest ktoś, kto mnie widzi. – Powiedziała to. Nie było odwrotu. Rumieniec wyskoczył jej na twarzy i dekolcie. – I całkiem mu się podoba to, co zobaczył.

Minya patrzyła na nią bez słowa. Sarai nigdy nie widziała jej tak zszokowanej. Na moment nawet opuściła ją złość. Ale prędko powróciła.

– Kto to? – syknęła z zawiścią.

Sarai poczuła obawę związaną z ujawnieniem przez siebie sekretu, lecz i tak nie mogła już dłużej pielęgnować tej tajemnicy, nie, jeśli faktycznie miała ziścić się przyszłość, na którą liczyła.

– Jeden z *faranji* – odparła, usiłując brzmieć pewnie, aby Lazlo wypadł w oczach Minyi lepiej, bo zasługiwał, aby mówić o nim z dumą. – Nigdy nie widziałas takich snów, Min. Piękna, jakie dostrzega w świecie, jakie dostrzega we mnie. On może coś odmienić, czuję to.

Czy naprawdę sądziła, że ją przekona? Myślała, że Minya jej posłucha?

– Czyli o to chodzi – burknęła dziewczynka. – Mężczyzna robi do ciebie maślane oczy, a ty odwracasz się od nas i bawisz w dom w Szlochu. Taka jesteś spragniona miłości? Spodziewałam się tego po Ruby, ale nie po tobie.

Ach, ten radosny, zdradliwy głosik.

– Od nikogo się nie odwracam – powiedziała Sarai. – Po prostu ludzie nie muszą nas nienawidzić i jeśli tylko z nimi pomówimy, mamy szansę żyć, a nie tylko wegetować. Minyo, mogę przekazać Eril-Fane'owi wiadomość. Mógłby jutro do nas przylecieć i byśmy...

– Oczywiście – przerwała jej Minya. – Zaproś i jego, i swojego kochanka. Przeprowadź wszystkich *faranji*, czemu nie? Jakże wygodnie będzie pozbyć się ich naraz. Bardzo byś mi pomogła. Dziękuję.



– Pozbyć się ich – powtórzyła tępo Sarai.

– Czy nie wyraziłam się jasno? Każdy człowiek, który postawi tutaj stopę, umrze.

Po policzkach Sarai spływały łzy bezradności. Umysł Minyi, tak jak jej ciało, nie zmieniał się ani trochę. Cokolwiek spowodowało jej nienaturalny zastój, przez który od piętnastu lat trwała jako mała dziewczynka, powodowało zamknięcie się na jakąkolwiek perswazję. Miała zamiar doprowadzić do kolejnej Rzezi, wyrzucić tę swoją zemstę i pociągnąć za sobą, kogo się da.

„Mogłabyś przytulić do siebie Minyę, objąć ją naprawdę mocno”, powiedziała w ogrodzie Jaskółka do Ruby. Nie mówiła tego poważnie, a jadowita myśl – szokująca i niepojęta, bo to nieprawdopodobne, aby mogli sobie nawzajem wyrządzić krzywdę – przyprowadziła Sarai o mdłości. I teraz też zrobiło jej się niedobrze, kiedy patrzyła w płonące oczy dziewczynki, której zawdzięczała życie, i zadawała sobie pytanie, czy... czy może stać z boku i pozwolić jej rozpocząć wojnę?

Chciało jej się krzyczeć.

Chciała wykrzyczeć swoje ćmy.

– Wyraziłaś się dość jasno – wycodziła.

Ćmy trzepotały szaleńczo. Chciały się wydostać. Ona chciała się wydostać. Słońce już zaszło i choć nie zapadł jeszcze zmrok, zrobiło się ciemniej. Miała przed sobą małą tyrankę, dziedziczkę może i nie daru, lecz okrucieństwa samego Skathisa. Zacisnęła pięści. Zacisnęła zęby. Narastał w niej krzyk, tak samo bolesny jak ten pierwszy, sprzed lat, który wstrzymywała tygodniami ku swej zgubie.

„Złe byłoby dobre – powiedziała jej kiedyś Minya. – Potrzeba nam czegoś złego”.

I tak narodziła się Muza Koszmarów. Kilka słów wystarczyło, aby określić los Sarai.

– No dalej – powiedziała Minya; również zacisnęła pięści, rzucała dzikie spojrzenia, szalała ze złości i rozzalenia. – Przecież tego chcesz. Zejdź do nich. Twój kochaś na ciebie czeka. Leć do niego, Sarai. – Obnażyła swoje małe białe ząbki. – Przekaż, że nie mogę się doczekać, aż go poznam.

Sarai się trzęsła. Zesztywniały jej ręce. Nachyliła się do Minyi, otworzyła usta i krzyknęła, ale żaden dźwięk nie opuścił jej ust. Tylko ćmy. I wszystkie poleciały na Minyę, prosto na nią. Burza ciemności, szaleńczy trzepot skrzydełek, złość. Wypluła je na nią. Oblała nimi. Dotknęły jej twarzy i Minya zaczęła wrzeszczeć, próbując zejść im z drogi, lecz owady leciały za nią. Nie mogła przed nimi uciec. Uderzały skrzydełkami o jej twarz i włosy, strumień ciem rozdwajał się przed jej twarzą niczym rzeka o kamień, po czym wyleciały z sypialenki, nad głowami trzymających straż umarłych, prosto ku nocy.

Sarai nie ruszyła się z miejsca. Nadal krzyczała bezgłośnie – odjęło jej głos – ale jej usta układały słowa „Wynoś się! Wynoś!”. Skulona Minya wyprostowała się, rzuciła dziewczynie jadowite spojrzenie, obróciła się i uciekła. Sarai opadła na łóżko, sapiąc ciężko i dusząc ciche szlochy, a jej ćmy leciały niżej i niżej. Nie podzieliły się, bo i ona nie rozdzieliła swoich myśli, skupiła się tylko na nim, dlatego skierowały się prosto do niego, do domu i okna, które tak dobrze знаła, do pokoju, gdzie miała nadzieję zastać śpiącego chłopaka.

Ale było jeszcze za wcześnie. Łóżko stało puste, buty zniknęły, dlategośmy, trzepocząc nerwowo skrzydełkami, nie miały innego wyjścia jak przysiąc gdzieś i poczekać.

Zbyt urocze,  
aby nie pożreć

Lazlo nie chciał rozmawiać z nikim innym poza Sarai. Jak podejrzewał, nie dawał rady zdzierżyć gadania o „boskich pomiotach”, bez względu na intencje mówiącego. Rozważał nawet wejście do sypialni po murze i przez okno, żeby uniknąć Suheyli, lecz nie mógł tego zrobić, dlatego wszedł zielonymi drzwiami. Spotkał ją na dziedzińcu. Kolacja już na nich czekała.

– Nie martw się – powiedziała wprost. – To tylko przekąska. Pewnie nie możesz się doczekać snu.

Tak było. I dlatego z chęcią pominąłby posiłek, lecz mimo to się zatrzymał. Sarai była przecież jej wnuczką, do tego jedyną. Tego ranka zezłościł się, że ona i Eril-Fane nie przyjęli z radością przyniesionych przez niego wieści o jej istnieniu, lecz w świetle reakcji Tizerkane’ów ich odpowiedź można i tak uznać za stonowaną. Próbował zrozumieć, co to może oznaczać dla Suheyli.

Rozstawiła miski z zupą i zawiesiła na dużym haku bochen świeżego chleba upieczony z ziarnami i płatkami kwiecica tworzącymi nakładające się na siebie okręgi. Może i faktycznie była to zaledwie przekąska, lecz niewątpliwie spędziła na jej przygotowywaniu całe godziny. Zwykle wydawała się odprężona i rozmowna, ale nie tego dnia. Lazlo ujrzał na twarzy staruszki nieśmiałą i podszytą wstydem ciekawość. Kilkakrotnie chciała się odezwać, lecz najwyraźniej się rozmyślała.

– Któregoś dnia – zaczął za nią – powiedziałaś, że mogę pytać o wszystko. Teraz moja kolej. Nie krępuj się. Pytaj, o co tylko chcesz.

Kobieta odezwała się bojaźliwie.

– Czy... bardzo nas nienawidzi? – zapytała.

– Nie – odparł. – Nie czuje do was nienawiści.

Był tego pewien. Mówiła o paradoksie będącym fundamentem jej istnienia i przekleństwie poznania swojego przeciwnika tak dobrze, że przestaje się go nienawidzić.

– Może kiedyś tak było, ale to minęło – dodał.

Chciał powiedzieć, że Sarai ich rozumiała, lecz przebaczyć mogła im jedynie ona sama.

Jadł pośpiesznie. Suheyła zaparzyła mu herbatę. Z początku odmówił, gotowy jak najszybciej pójść spać, lecz powiedziała mu, że dzięki niej łatwiej zaśnie.

– Och. Byłoby cudownie.

Wychylił całą filiżankę jednym haustem, podziękował, ścisnął jej dłoń i poszedł do siebie. Otworzył drzwi i... stanął jak wryty na progu.

Ćmy.

Ćmy siedziały na drewnianym wezglowiu łóżka, na poduszkach i na ścianie za meblem, a kiedy uchylił drzwi, poderwały się jak liście na wietrze.

„Sarai”, pomyślał.

Nie miał pojęcia, jak ma interpretować fakt, że było ich aż tak wiele. Przytłaczały

go, lecz nie czuł strachu – lub, brońcie bogowie, obrzydzenia – ale podziw, może lekkie ukłucie niepokoju.

Niewykluczone, że przyniósł go ze sobą ze strażnicy, że wywołały go obcesowe, żadne krwi słowa jego przyjaciół, a może to ćmy przywlokły go ze sobą na porośniętych meszkiem skrzydełkach zmierzchu. Odczytał jednak coś pewnego z tego tajfunu ciem: czekała na niego Sarai.

Zamknął drzwi. Zamierzał się wykąpać, ogolić, umyć zęby, uczesać i przebrać. Zarumienił się na myśl o ściągnięciu koszuli, choć przecież już widziała go śpiącego z obnażonym torsem. Zdecydował się szybko umyć zęby i zzuć buty, po czym położył się na łóżku.

Nad jego głową ćmy obsiadły belkę stropową niczym czarne pąki gałąź.

Kiedy się ułożył, zorientował się, że odruchowo zostawił miejsce dla Sarai – po stronie, którą wybrała we śnie – choć potrzebowała jedynie odsłoniętego kawałka jego czoła, aby ćmy mogły tam przysiąść. Przy innej okazji może by się roześmiał, ale nie tej nocy. Odczuwał jedynie nieobecność Sarai na świecie, który jej nie chciał. Nie przesunął się jednak, zamknął oczy i myślał o obecności tych wszystkich ciem, obecności Sarai. Nie mógł się doczekać, aż zaśnie i pozwoli jej do siebie przyjść, aż będzie obok niej. Dzisiaj jego snu nie przeganiała euforia. Powoli tonął, aż...

\*\*\*

Ćma. Skroń.

Próg snu.

Sarai znalazła się na amfiteatralnym targowisku. Tęskniła za kolorami i słodyczą wysnionego Szlochu, lecz nie ujrzała tu ani jednego, ani drugiego. Otaczała ją pustka. Słyszała jedynie wiatr ciskający jej śmieci pod nogi i poczuła zapadającą się w niej otchłań strachu. Gdzie się podziały kolory? Chciała znowu ujrzeć łopoczące jedwabne tasiemki, usłyszeć płynącą zewsząd muzykę i śmiech dzieci nad dachami. Lecz nie zauważyła nigdzie ani jednego dziecka, a stragany stały puste. Niektóre wyglądały nawet na spalone, nie słyszała absolutnie nic.

Jakby miasto przestało oddychać.

Sarai również wstrzymała oddech. Czy to ona stworzyła to miejsce będące odzwierciedleniem jej rozpacz, czy to dzieło Lazla? To drugie wydawało się niemożliwe. Dusza Sarai potrzebowała wysnionego Szlochu, a ona sama potrzebowała jego.

Wreszcie się zjawił. Jego długie włosy powiewały na wietrze. Miał ponurą minę, z twarzy odpłynęła mu tamta niewymuszona radość, lecz liczyło się to, że – Sarai odetchnęła – w jego oczach nadal lśniły wiedźmowe światła. W jej zresztą też. Czowała, jakby z niej wypływały i leciały ku niemu, chcąc i mogąc go dotknąć. Postawiła krok naprzód, podążając za nimi. Lazlo zrobił to samo. Stanęli naprzeciwko siebie, na wyciągnięcie ręki. Trzy nitki, które ich łączyły, przyciągnęły ich do siebie jeszcze bliżej – serca, usta, lędźwie. Blisko, lecz nadal się nie dotykali. Przestrzeń pomiędzy nimi była martwa, jakby ich oboje poprzedzała beznadzieja, a każde miało nadzieję, że to drugie ją przegoni. Mimo że mieli sobie tak dużo do powiedzenia, mimo że kotłowało się w nich tyle rozpaczliwych emocji, żadne z nich nie chciało zdradzić pierwsze, co je gnębi. Oboje chcieliby raczej, żeby wszystko, co złe, rozplynęło się, przynajmniej tu i teraz miało być

tylko dla nich.

– Cóż – zaczęła Sarai. – To był długi dzień.

Niespodziewanie Lazlo się roześmiał.

– Najdłuższy z możliwych – zgodził się i spytał: – Dałaś radę zasnąć?

– Owszem – odparła, uśmiechając się lekko. – Zamieniłam wszystkie swoje koszmary w świetliki i złapałam do słoja.

– To dobrze. – Lazlo odetchnął. – Martwiłem się. – Poczerwieniał. – Niewykluczone, że pomyślałem o tobie kilka razy.

– Tylko kilka? – drażniła się, również zawstydzona.

– Może więcej – przyznał; złapał ją za rękę, była równie ciepła, jak i jego.

Otoczająca ich beznadzieja jakby nieco się rozproszyła.

– Ja też o tobie myślałam – powiedziała Sarai, splatając swoje palce z jego. Brąz i błękit, błękit i brąz. Fascynował ją ten widok. – I chyba powinnam ci powiedzieć, że o tobie śniłam – dodała szeptem.

– Tak? Mam nadzieję, że byłem grzeczny.

– Niezbyt – odpowiedziała wstydliwie. – Nie bardziej niż tego ranka, kiedy przerwał nam świt.

Chodziło jej o pocałunek. Zrozumiał.

– Słońce. Nadal mu nie wybaczyłem.

Przestrzeń pomiędzy nimi mogła tylko maleć. Głos Lazla był dla niej jak muzyka – najpiękniejsza i pachnąca dymem – kiedy objął ją i powiedział:

– Chciałbym zamknąć je w słoju razem ze świetlikami.

– Księżyc na bransolecie i słońce w słoiku. Naprawdę mamy ochotę narobić na niebie niezłego bałaganu, co?

Głos Lazla wydawał się brać z głębi gardła. Brzmiał szorstko. Był wygłodniały.

– Niebo sobie bez nich poradzi – odparł i pocałował ją.

Jak udało im się przeżyć cały dzień na tym skromnym muśnięciu z wczorajszej nocy? Gdyby mieli pojęcie o prawdziwych pocałunkach, nie daliby rady. Zbliżyć się do siebie i ledwie dotknąć, ledwie posmakować i dać się rozdzielić tuż przed... tuż przed tym. Ale nie mieli bladego pojęcia.

Aż do teraz.

W tej chwili dowiedzieli się, co to znaczy. Sarai nachyliła się do Lazla, spotkały się ich wyczekujące spojrzenia. Jego oczy wodziły wolniej. Chciał ją oglądać jak najdłużej, szkoda mu było każdej sekundy. Jej niebieskość rzuciła na niego urok. Grzbiet nosa miała delikatnie skropiony niemal niewidoczną, piegowatą mgiełką. Ich ruchy stały się powolne niczym lejący się miód. Usta Sarai rozchyłały się zmysłowo, dolna warga wydała się mu zroszonym owocem, kiedy odlepiła się od górnej – dla niego – i była to najbardziej kusicielska poza, jaką kiedykolwiek widział. Przeszedł przez niego ogień pożądania, również pochylił się z tą miodową powolnością, odpychając od siebie całą beznadzieję, aby pochłonąć słodycz tej rozkosznej wargi i objąć ją swoimi ustami.

Parząca, topniejąca miękkość.

Kiedy Lazlo zapragnął odkrywać z Sarai nieznane krainy, myślał raczej o niezgłębionych tajemnicach, jak pochodzenie i natura boskich istot. Ale teraz

zamieniłby to wszystko za poznanie niewielkiego sekreciku, ale najlepszego, jaki Szloch miał do zaoferowania. Pocałunku.

Dokładnie tego pocałunku.

Usta. Cud ust, które można musnąć albo się do nich docisnąć, które rozchyłały się lub zamykały i – rozchylając się i zamykając – chwytaly wargi drugiej osoby w najslodszy mozliwym uścisku. Niezbyt mocnym. Bez gryzienia. Tak, zęby to tajemnica do odkrycia. Podobnie czubek języka. Beznadzieja miała niewielkie szanse, mierząc się z odkryciem czubka języka. A skrajnie podniecająca i niemalże niepojęta – tak bardzo, że dostał zawrotów głowy – okazała się myśl, że stoi dopiero na progu krainy nieznanego, drzwi lekko się uchylily, zobaczył do tej pory jedynie cieniutki strumyczek światła zdradzający kryjącą się za nimi oślepiającą jasność.

Czuł się jednocześnie lekki i ociężały. Płonął, unosił się nad ziemią. Nigdy by nie podejrzewał, że może coś takiego poczuć. Oczywiście dziewczyny nie były mu obojętne i miewał myśli, jakie pojawiają się w głowach młodych mężczyzn (a przynajmniej tych lepiej urodzonych; lepszych mężczyzn z lepszymi myślami), nieobca mu była także... biologia. Lecz nigdy nie miał ciągot do czegoś, co jak teraz wyczuwał, znajdowało się za tymi kuszącymi go drzwiami. A znajdowało się tam uczucie prawdziwie obfite i bogate, głębokie, jaśniejące, bliskie, tajemnicze, deliryczne i... święte. Była to przyszłość z dziewczyną, którą trzymał teraz w ramionach. Strach, jaki go ogarnął, kiedy szedł ze strażnicy do domu, opuścił go, zastąpiony przez pewność, że owa przyszłość niechybnie nadejdzie.

Nietrudno przecież mieć nadzieję. Przynajmniej tutaj.

Lazlo przytulił ją mocniej, objął w pasie i zatracił się w cudowności tej dziewczyny, w trwającej chwili. Oddychał jej zapachem i smakiem, drżał, kiedy palce Sarai powędrowały po jego ramionach do karku i przeczesały mu włosy, budząc kolejne obszary podniecenia. Płomienie przyjemności pełzały ku dołowi, po ramionach, i ku górze, aż do czaszki, pukając do drzwi, za którymi kryły się upragnione przezeń sekrety. A kiedy nareszcie Lazlo przerwał pocałunek, przytulił się twarzą do jej twarzy, swoim czołem do jej czoła, swoją twardą kością policzkową do jej miękkiej.

– Sarai – wydyszał prosto na twarz dziewczyny, czuł się jak szklanka wypełniona szczęściem; jego usta ułożyły się w uśmiech – mój język nie zniesie już innego smaku – szepnął, nareszcie rozumiejąc, co znaczą te słowa.

Sarai odsunęła się delikatnie, ale tylko trochę, aby mogli na siebie patrzeć. Jej zachwyt znajdował swoje odbicie na jego twarzy, spojrzenie szeptało chrapliwe, zdumione, rozbudzone westchnienie.

Pierwszy dotarł do nich śmiech – dziecięcy śmiech – a potem ujrzeli kolory. Oderwali od siebie oczy, aby móc się rozejrzeć, i nie patrzyli już na miasto wstrzymujące oddech. Przypominające jaskółcze ogony chorągwie łopotały nad kopułami, niebo stało się mozaiką z latawców. Stragany nie były już puste, lecz budziły się do życia, jakby miały powitać poranek. Handlarze w długich fartuchach wystawiali swoje towary. Stadka wspaniałych motyli przepływały po niebie niczym ławice ryb, a na wyższych poziomach amfiteatru wyrosły mieniące się owocami treliaże.

– Tak lepiej – mruknęła Sarai.

Łzy schły na jej prawdziwych policzkach. Nie zaciskała już pięści, przestał ją boleć brzuch.

– Owszem, lepiej – zgodził się Lazlo. – Myślisz, że to nasza zasługa?

– Jestem tego pewna.

– Brawo dla nas – powiedział, po czym dodał z przesadzoną nonszalancją. – Jestem ciekawy, co by się stało, gdybyśmy dalej się całowali.

Sarai wzruszyła ramionami i odpowiedziała, również markując obojętny ton:

– Cóż, chyba możemy to sprawdzić.

Choć oboje byli boleśnie świadomi, że muszą porozmawiać o tym, co się wydarzyło za dnia, o przyszłości, o nienawiści, o rozpacz i o beznadziei... nie mieli na to ochoty. Część ich umysłu odpowiadająca za transformacje mahalath napełniała wyśniony Szloch kolorami ich pochwyconej i trzymanej kurczowo radości. Wszystko inne mogło poczekać.

– Lazlo – wyszeptała Sarai – czy nadal chcesz mnie w swojej głowie? – zadała pytanie, na które już poznała odpowiedź.

– Sarai, nadal chcę cię... – przytulił ją do siebie jeszcze mocniej – w mojej głowie.

– To dobrze – odparła, przygryzając wargę, a widok jej równych, białych zębów ugniatających niesforne, delikatne usta zasiał w wyobraźni Lazla ziarno, z którego wykiełkowała myśl o potencjale, jaki może w nich drzemać. – Bo idę spać. Już się położyłam.

Nie chciała zabrzmieć uwodzicielsko, lecz jako że ogarnęła ją nagła nieśmiałość, jej głos zniżył się do szeptu i wydawał się pomrukiem.

Przełknął ciężko ślinę.

– Musisz się położyć i tutaj? – Chodziło mu o sen, tak jak ostatnim razem.

– Nie sądzę. Skoro wiemy, że ten sposób działa, powinno mi pójść łatwo.

Dotknęła jego nosa czubkiem swojego.

„Wyrzeźbiony przez baśnie”, pomyślała, co czyniło go atrakcyjniejszym niż wszystkie proste nosy na całym świecie.

– Ale mam do ciebie pewną prośbę – dodała.

– Jaką? – zapytał Lazlo. – Proś, o co zechcesz.

– Pocałuj mnie raz jeszcze.

Posłuchał.

\*\*\*

Tymczasem na górze, w cytadeli, ciało Sarai pogrążyło się we śnie i kiedy tylko zasnęła, przestała być dziewczyną leżącą na łóżku i cimą przycupniętą na skroni Lazla, a stała się tylko – z poczuciem tryumfu – kobietą w jego ramionach.

Całowanie, jak się okazało, było jedną z tych rzeczy, które z każdym kolejnym razem robią się coraz lepsze i bardziej... interesujące, im więcej pewności siebie. Och, wszystkie te sposoby, na które ich usta mogły się poznawać, jakże ich języki droczyły się i drażniły. Jak potrafiły lizać.

„Niektóre rzeczy – pomyślała Sarai – są zbyt urocze, aby je pożreć. A inne, aby ich nie pożreć”.

Nauczyli się również, że nie tylko usta można całować, i było to dla nich

objawieniem. Rzecz jasna nadal ich do tego potrzebowali, lecz mogły nieco zboczyć z trasy i zahaczyć o mięciutkie miejsce pod szczęką lub ciepły, delikatny punkcik zaraz pod uchem. Albo o samo ucho. Kto by pomyślał? Lub szyję. Całą szyję! Odkryli też niezwykle kaprys fizjologii. Sarai zorientowała się bowiem, że może całować szyję Lazla, kiedy on całuje ją. Niezwykłe. Niebywałą satysfakcję przynosiło Sarai jego drzenie, kiedy natrafiła wargami na szczególnie przyjemne miejsce. Prawie taką, jak kiedy to on natykał się na podobne miejsce na jej ciele. Jak nie ustami, to zębami. Na tę myśl nawet jej śpiące ciało zareagowało dreszczem.

– Nie miałam pojęcia, że szyja się sprawdzi – wyszeptała Sarai pomiędzy kolejnymi pocałunkami.

– Ja też nie – wydychał Lazlo bez tchu.

– Albo uszy.

– Właśnie. Kto by to odgadł?

Oboje zamarli na targowisku wyśnionego Szlochu. Na samym początku pocałunku – o ile dałoby się to nazwać pocałunkiem – z pęknięcia w bruku wyrosło rzucające cień drzewo, wysokie i smukłe, przekrzywione pod odpowiednim kątem, aby mogli się o nie oprzeć, kiedy zawroty głowy nie pozwolą im już zachować równowagi. Bo byli pewni, że dalej niż opieranie się o siebie to nie zajdzie. Nawet mimo tego, że czerpali przyjemność z badania swoich szyj, niewinność zrodzona z niedoświadczenia łączyła się z... uprzejmością. Dłonie mieli gorące, lecz trzymali je przy sobie, a ich ciała, choć tuliły się do siebie, pozostały niewinne.

Co ciało może w ogóle wiedzieć o niewinności? Tylko tyle, na ile pozwoli mu umysł, a ich ciała przedstawiły całkiem przekonujące argumenty, że gotowe są na więcej. Wszystko było dla nich nowe i podniosłe. Całe tygodnie mogło im zająć dopracowanie szyj. Zagubione wśród sennego bezczasu palce Sarai wsunęły się nieostrożnie pod koszulę Lazla i zaczęły swoje harce na odsłoniętej skórze talii. Czują, jak drży, i rozumiała – on zresztą też – ile jeszcze pozostało im do odkrycia. Połaskotała go umyślnie i pocałunek przeszedł w atak śmiechu. Odpowiedział tym samym, ich dłonie nabrały śmiałości, a chichot wypełnił targowisko.

Zatracili się we śnie, zapominając o rzeczywistości, o sypialniach, łózkach, śmach i skroniach. I dlatego, przez ten zmysłowy i ponętny świat objęć, prawdziwy Lazlo – śpiący w Szlochu – przewrócił się na drugi bok, zgniótł śmę i przerwał sen.



Thyon Nero podszedł do kotwicy z torbą przewieszoną przez ramię. Ostatniej nocy pokonał tę samą drogę z tą samą torbą. Był wówczas wyczerpany, marzył o drzemce. Pewnie powinien być teraz jeszcze bardziej wykończony, a jednak nie odczuwał zmęczenia.

Miał nieregularny puls. Duch, uszczuplony przez zbyt częste szabry, jakich regularnie dopuszczał się alchemik, pędził żyłami zbyt szybko, jakby ze świstem i nieregularnym podzwaniem symbolizującym niedowierzenie rozbijające się o twarde dowody, co prowadziło do przyprawiającej o mdłości niewiary.

Natknął się bowiem na coś, czego jego umysł nie chciał zaakceptować.

Zmagał się ze sobą. Alchemia i magia. Mistyka i materia. Demony i anioły, bogowie i ludzie. Czym był świat? Czym był kosmos? Czy tam, przecinając czerń, pomiędzy gwiazdami prowadziły drogi pokonywane przez niepoznane istoty? Na co się natknął, przemierzywszy kawał świata?

Dotknął powierzchni kotwicy. Blok metalu był szeroki i doskonale widoczny dla każdego przechodnia – choć nocą, o tak późnej porze, raczej na nikogo się nie natknie – a obok biegła alejka z murałem przedstawiającym przekłete, krwawe bóstwa. To tam przeprowadzał swoje testy, aby nikt go nie zauważył. Gdyby mógł zabrać kawałek mesartjum i eksperymentować na nim za drzwiami laboratorium, zrezygnowałby z tych wycieczek po zmroku i nie ryzykował, że ktoś go nakryje. Lecz nie istniały żadne fragmenty czy odpryski tego metalu, a powód był prozaiczny: nie dało się go przeciąć. Nikt nie miał nawet odłamka. Dysponował jedynie tym ogromnym blokiem i trzema identycznymi, rozstawionymi na południowym, wschodnim i zachodnim skraju miasta.

Poszedł do swojego zwyczajowego miejsca w alejce i odgarnął usypaną przez siebie kupkę gruzu. To tam, u podstawy niezniszczalnej kotwicy, gdzie gładkie mesartjum od dwóch stuleci tkwiło na zmiążdżonym ogromnym ciężarem kamieniu, znajdowało się rozwiązanie problemu Szlochu.

Thyon Nero je odnalazł.

Czemu nie posłał od razu po Eril-Fane'a i nie rozkoszował się zazdrością pozostałych delegatów oraz wdzięcznością ludu Szlochu? Cóż, musiał najpierw potwierdzić wyniki. Rygor przede wszystkim. To mógł być łut szczęścia.

Ale nie był. Tyle wiedział. Nie rozumiał, jak to się dzieje, i nie wierzył w to, ale wiedział.

„Będą o mnie opowiadać historie”, powiedział Strange'owi jeszcze w Zosmie, dlatego przecież uparł się, aby wziąć udział w tej wyprawie. Lecz nie to było aż tak ważne. Przede wszystkim chciał uciec od królowej, od ojca, od Chryzopezjum i ciasnego pudła, jakim stało się jego życie. Ale bez względu na to, jakie miał wtedy powody, znalazł się tu i teraz i rozwijała się przed nim opowieść. Legenda nabierała kształtu.

Zrzucił torbę z ramienia i otworzył ją. Zabrał ze sobą więcej fiolek i flaszek niż ostatniej nocy oraz niewielką głowę, aby móc sobie przyświecić. Tym razem musiał

przeprowadzić parę prób. Ze starym alkahestem i z nowym. Z przyzwyczajenia i dla uspokojenia myśli robił notatki, jakby zapisywane przez niego starannie linijki mogły nadać tej zagadce choćby odrobinę sensu.

Na powierzchni metalowego bloku pojawiło się wyraźne wgłębienie; na wysokości kolan, szerokie u dołu na trzydzieści centymetrów i wystarczająco głębokie, aby włożyć tam rękę. Przypominało wyrąbaną toporem dziurę, tyle że krawędzie nie były poszarpane, lecz gładkie, jakby stopione.

Kolejne eksperymenty potwierdziły to, co Thyon już wiedział; nie to, co rozumiał lub w co wierzył, ale co wiedział. Tak jak człowiek upadający na twarz wie, że uderzy o ziemię.

Pokonał mesartjum.

Rodziła się legenda. Ale nie jego.

Spakował torbę i na powrót zasłonił dziurę kamieniami. Stał u wylotu alejki z szalejącym pulsem i poszarpanym duchem, zastanawiając się, co to wszystko znaczy. Szloch nie udzielił mu jednak odpowiedzi. Noc milczała. Oddalił się powolnym krokiem.

\*\*\*

Stojący po drugiej stronie ulicy Drave obserwował każdy jego ruch, a kiedy alchemik odszedł, wychynął z cieni, podszedł do wejścia do alejki. Po czym zniknął w mroku.

– Nie nie nie nie nie – mamrotał Lazlo, siadając na łóżku.

Leżąca na jego poduszce ćma przypominała strzępek umazanego sadzą aksamitu.

Dźgnął ją palcem, ale się nie poruszyła. Była martwa. Zabił cząstkę Sarai. Z całej siły uderzyła go refleksja na temat osobliwej natury łączącej ich relacji, ćma to jedyny łącznik pomiędzy nimi. Jeszcze przed momentem dzielili ze sobą chwilę, a utracili ją, bo przewrócił się na drugi bok i zgniótł owada. Zgarnął biedną istotę na dłoń i położył delikatnie na stoliku nocnym. O świcie zniknie i odrodzi się na nowo zaraz po zapadnięciu zmroku, więc tak naprawdę niczego nie uśmiercił... poza swoją gorliwością.

Zabawne, naprawdę. Absurdalne. Irytujące. I zabawne.

Padł z powrotem na poduszkę i spojrzał na siedzące na belce ćmy. Owady wydawały się niespokojne i domyślał się, że Sarai obserwuje go teraz ich oczami. Pomachał do nich ze smutnym uśmiechem.

Śpiąca Sarai zaśmiała się bezgłośnie. Wyraz jego twarzy był bezcenny, Lazlo cały zeszytniał ze zdenerwowania.

„Idź spać – rozkazała mu siłą woli. – Ale już”.

Tak zrobił. Wydawało mu się, że minęło dziesięć godzin – choć trwało to raczej dziesięć minut – aż Sarai zmaterializowała się przed nim z rękoma na biodrach.

– Zabójca ciem – skarciła go.

– Przepraszam – odparł. – Naprawdę lubiłem tę ćmę. Była moją ulubienicą.

– Nie tak głośno, bo ta się obrazi i odleci.

– Chciałem powiedzieć, że to ona jest moją ulubienicą – poprawił się. – Obiecuję jej nie rozgnieść.

– Lepiej tego nie rób.

Oboje uśmiechali się jak głupcy. Przepelniało ich szczęście, którego kolory wypełniały wyśniony Szloch. Gdyby tylko ten prawdziwy dało się tak łatwo naprawić.

– Może to i lepiej – zadumał się Lazlo.

– Hm?

– No tak. Inaczej nie mógłbym przestać cię całować. Pewnie nadal bym to robił.

– Okropne – powiedziała i zrobiła drapieżny krok naprzód, wyciągając dłoń, aby przesunąć palcem po jego piersi.

– Paskudne – zgodził się.

Uniosła głowę, gotowa kontynuować, co przerwali. Lazlo chciał się w niej zatopić, wdychać nektar i rozmaryn, którymi pachniała, skubać jej szyję zębami, aby znowu wykrzywiła usta niczym kotka. Poczul dreszcz podniecenia wywołany faktem, że potrafi ją rozbawić, lecz kierowała nim szlachetna intencja, aby dać z siebie wszystko od razu, teraz, na wszystkie możliwe sposoby.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział, zanim zdołała go pocałować i rozproszyć jego dobre intencje.

– Niespodziankę? – zapytała, sceptyczna. Doświadczenie podpowiadało jej, że

niespodzianki to nic dobrego.

– Spodoba ci się. Obiecuję.

Złapał ją za dłoń i zacisnął palce Sarai na swoim ramieniu. Szli przez targowisko wyśnionego Szlochu, gdzie pośród zwyczajnych rzeczy można było wypatrzeć te cudowne, jak wiedźmowy miód, który ponoć obdarzał jedzącego pięknym, śpiewnym głosem. Skosztowali go i faktycznie tak się stało, ale cud ten utrzymał się jedynie krótką chwilę. Znaleźli tam również żuki, które ogryzały szlachetne kamienie dokładniej, niż mógłby je obrobić jubiler, oraz trąby ciszy potrafiące zagłuszyć grzmot swoim milczącym dźwiękiem. Stały tam też lustra odbijające aurę patrzącego, do których dołączono karteczki objaśniające, co znaczyły poszczególne kolory. Aury Sarai i Lazla miały pasujące do siebie odcienie fukcji, które były wypadkową różu pożądania i czerwieni miłości, a kiedy odczytali objaśnienie, twarz chłopaka oblała się podobnym kolorem, podczas gdy policzki Sarai nabiegły fioletem.

Spotkali również po drodze znajomego centaura i jego panią; ona trzymała parasolkę, on zwyczajną siatkę ze sznurka, jakie nosi się na zakupy. Wyglądali jak pierwsza lepsza para, która wyszła na spacer po warzywa na kolację.

Zobaczyli też odbicie księżyca na tafli wody – nieważne, że to przecież dzień – nie był na sprzedaż, ale za darmo dla każdego, kto tylko zdoła go złapać. Mieli pod ręką cukrowe kwiaty i kości *ijji*, złote błyskotki i rzeźby z lysu. Była też cwana staruszka z beczułką pełną jaj trawca.

– Można je zagrzebać w trawniku nielubianego sąsiada – zarechotała.

Lazlo się wzdrygnął. Opowiedział Sarai o tym, którego widział na pustyni.

Zatrzymali się na sorbet podawany w kieliszkach. Powiedziała mu wtedy o burzach przywoływanych przez Ferała i jak jedli śnieg z łyżkami dżemu.

Rozmawiali, spacerując. Sarai opowiadała mu też o Czarownicy Orchidei i Ogniku, które traktowała jak młodsze siostry. On mówił o klasztorze, o sadzie, o swojej zabawie w wojownika. Przystanął przy straganie, który nie wydał się dziewczynie wyjątkowo okazały, lecz jako że Lazlo ewidentnie się rozpromienił, spojrzała raz jeszcze.

– Ryby? – zapytała. – Ale to chyba nie ta niespodzianka, prawda?

– Nie – odparł. – Po prostu uwielbiam ryby. A wiesz czemu?

– Bo są smaczne? – zaryzykowała. – Zgaduję. Nigdy ich nie jadłam.

– Latające ryby pewnie trudno złapać.

– Nie inaczej – odparła Sarai.

– Owszem, potrafią być smaczne, ale sporo zawdzięczam zepsutej rybie.

– Zepsutej, znaczy... zgniłej?

– Niezupełnie. Tylko nieświeżej. Trudno to zauważyć, ale można się po niej pochorować.

Sarai się spieszyła.

– Rozumiem.

– Raczej nie – odparł, szczerząc się, Lazlo.

– Masz rację, nie rozumiem ani trochę.

– Gdyby nie nieświeża ryba – powiedział, jakby zdradzał jej sekret – byłbym mnichem.

Mimo że rozpoczął tę rozmowę od żartobliwego tonu, kiedy zmierzał do konkretów, nie miał już ochoty na dowcipy. Udało mu się bowiem uciec przed tym losem psim swędem, kiedy przed laty został wysłany do biblioteki. Czuł się jak wtedy, gdy jedwabne sanie przekroczyły jakąś niewidzialną granicę i duchy zaczęły się rozpływać.

– Byłbym mnichem – powtórzył z narastającym strachem; położył ręce na ramionach Sarai i powiedział z niezachwianą pewnością siebie: – Cieszę się, że nim nie jestem.

Dziewczyna nadal nie miała pojęcia, o czym mówi, lecz wyczuwała wagę tego wyznania.

– W takim razie i ja się cieszę – odparła, nie wiedząc, czy się roześmiać, czy może jego obecny status, kogoś, kto uniknął habitu, godny jest celebracji pocałunkiem; uznała, że jednak to drugie. A był to dobry pocałunek, choć nie na tyle intensywny, aby wymagać przywołania drzewa, o które można by się oprzeć. Sarai otworzyła oczy, była rozmarzona i skołowana, jak zdanie do połowy tylko przetłumaczone na piękny, nowy język. Zobaczyła, że stragan rybny zniknął i na jego miejscu pojawił się czarny namiot ze złotymi symbolami.

„Czemu nie polecisz?”, odczytała.

Nie mogła znaleźć żadnego powodu na nie. Bo czemu miałyby nie polecieć?

Odwróciła się do Lazla, podekscytowana. Oto jego niespodzianka.

– Skrzydłoroby! – wykrzyknęła, ucałowawszy go.

Ramię w ramię weszli do namiotu. Jak to bywa w snach, znaleźli się nie pośród ścian z czarnego materiału, ale na jasnym, szerokim dziedzińcu, pod otwartym niebem. Po każdej ze stron pobudowano balkony, wszędzie stały manekiny ubrane w dziwaczne stroje – płaszcze z piór i suknie wykonane z dymu, mgły i szkła. Każdy miał również gogle, takie jak Souzieren, tylko bardziej wymyślne, z lśniąco złotymi soczewkami i dziwnymi przekładniami. Jedne wyposażono nawet w ssawki jak u motyla, zawinięte niczym pastorały. Do tego, oczywiście, każdemu manekinowi założono na plecy cudownie prezentujące się skrzydła. One również, jak ssawki, przypominały motyle. Niektóre mieniły się kolorami zachodzącego słońca i zakończone były jak ogon jaskółki z półokrągłymi ząbkami. Inne łączyły opalizujący cud chromowej zieleni i indygo z brązowymi plamkami przypominającymi kocie oczy. Nie zabrakło także skrzydeł émy o bladej barwie księżycy, a nie nocnego mroku jak te Sarai. Zobaczyli też skrzydła ptasie, nietoperzowe, a nawet jak u latającej ryby. Sarai zatrzymała się przy parze pokrytej miękkim pomarańczowym futrem.

– A to co? – zapytała, głaszcząc je.

– Lisie skrzydła – odpowiedział, jakby to jej coś tłumaczyło.

– Lisie. Oczywiście. – Uniosła podbródek i oświadczyła uroczyście: – Biorę te, proszę pana.

– Znakomity wybór – odparł Lazlo. – Przymierz je, zobaczymy, czy pasują.

Szelki były identyczne jak te w jedwabnych saniach. Lazlo zapiął je i wybrał parę dla siebie.

– Smocze skrzydła – powiedział i wsunął się w nie jak w koszulę.

„Czemu nie polecisz?”, głosił napis na namiocie.

Nie było powodu, aby tego nie zrobić. Prawdziwy świat stawiał pewne przeszkody – fizyka, anatomia i tak dalej – ale tu nic ich nie krępowało.

Dlatego polecili.

Sarai miewała już sny o lataniu, ale ten okazał się nieporównywalnie lepszy. Od małego pielęgnowała w sobie to marzenie, jeszcze zanim ujawnił się jej dar i spłoszył nikłą nadzieję. Latanie oznaczało wolność. I było niesamowicie przyjemne, cudowne, niedorzeczne, ale przyjemne. Jeszcze przed momentem lecieli ku słońcu, lecz teraz niebo lśniło gwiazdami. Lecieli na tyle nisko, że mogli zebrać owoce z gałęzi drzewa, ale na tyle wysoko, aby zagarnąć księżyc na bransoletę.

Wszystko było niesamowite.

Lazlo chwycił Sarai za rękę. Przypomnił sobie pierwszy raz, kiedy to zrobił, i poczuł to samo niedające się z niczym pomylić zaskoczenie rzeczywistością.

– Polećmy tam – zaproponował. – Na kotwicę.

– Nie, nie na kotwicę – sprzeciwiła się; blok metalu majaczył pod nimi, wystając nad panoramą miasta. – Rasalas tam jest.

– Dlatego powinniśmy go odwiedzić.

– Ale czemu?

– Bo zrozumiał swoje zachowanie – wyjaśnił Lazlo. – Miał już dość bycia rozkładającym się monstrem i wyblągał u mnie usta i oczy.

Sarai parsknęła śmiechem.

– Czyżby?

– Przysięgam – odparł Lazlo, krzyżując środkowy palec i wskazujący.

Polecili ku kotwicy.

Sarai wylądowała przed bestią i popatrzyła na jej oblicze. Potwór rzeczywiście miał usta i oczy, ale nadal potrafiła rozpoznać w nim monstrem Skathisa, choć ledwo. Był to Rasalas przepuszczony przez umysł Lazla, dlatego co szkaradne, stało się piękne. Zniknęła rozkładająca się padlina i zęby jak noże. Zniknęły strzępy skóry odpadające od kości – skóra z mesartjum, kości z mesartjum – czaszkę pokrywało dodatkowo futro, przez co oblicze Rasalasa zyskało delikatny rys spektralnego przemieszanego z potęgą ravida. Jego rogi stały się dostojniejszą wersją tego, co wyrastało poprzednio z łba, miały żłobki formujące niewielkie spiralki, a wypełniające poprzednio puste oczodoły ślepią były wielkie i błyszczące. Potężny garb na barkach stwora jakby się skurczył, sylwetka złagodniała. Skathis może i był artystą, lecz złowrogim. Za to sztuka Strange'a marzyciela stanowiła swoiste antidotum na jad krwiożerczego boga.

– Co myślisz? – zapytał Lazlo.

– Jest prawie uroczy – zdumiała się Sarai. – Nie pasowałby teraz do koszmaru.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Dobra robota, kowalu snów.

– Kowal snów. Dobrze brzmi. Ty też niejedno potrafisz. Powinniśmy postawić stragan na targu.

– Czemu go nie wyśnimy? – powiedziała Sarai, malując w powietrzu logo.

Litery załśniły złotem i zbladły. Wyobraziła sobie baśniowe życie z tym marzycielem. Oboje czarowałiby pod dachem namiotu w pasy, a kiedy nie byłoby

klientów, całowałiby się ukradkiem. Odwróciła się do niego, potrząsnęła lisimi skrzydłami, które nagle rozbłysły, i objęła go w pasie.

– Czy mówiłam ci, że kiedy zobaczyłam cię we śnie, wiedziałam, że jest w tobie coś wyjątkowego?

– Nie, chyba nie mówiłaś – powiedział Lazlo, odnajdując miejsce dla swoich ramion pomiędzy skrzydłami i rozwiewanymi przez wiatr włosami. – Nie krępuj się.

– Jeszcze zanim na mnie spojrzales. Znaczy zanim mnie zobaczyłeś. Jesteś pierwszą osobą, której się to udało. Domyśliłam się, że coś się zmieniło, ale już sam Szloch widziany twoimi oczyma był jakiś inny, magiczny. Żałowałam, że nie jest prawdziwy, chciałabym móc przechadzać się jego ulicami razem z Jaskółką, Ruby, Feralem i Minyą, mieszkać w miejscu, które sobie wyśniłeś.

– Chodzi o ciasto, prawda? Przynęta na boginie.

– Nie zaszkodziłoby – przyznała ze śmiechem.

Lazlo spoważniał.

– Chciałbym uczynić to wszystko rzeczywistością.

Sarai przestała się śmiać.

– Wiem.

Nie napadła ich znowu tamta bezradność, ale oboje rozmyślali nad jej powodami.

– Miałem zły dzień – odezwał się wreszcie Lazlo.

– Ja też.

Zwierzyli się sobie, co ich spotkało, choć bibliotekarz nie uznał za konieczne powtórzyć jej dokładnie, co mówili wojownicy.

– Pomyślałem, że zabieram się za coś niemożliwego – powiedział, przejeżdżając delikatnie palcem po policzku Sarai – ale już nie raz miałem do czynienia z czymś, co wydawało mi się niemożliwe, i jak do tej pory jakoś sobie radziłem. Poza tym Eril-Fane ma dość zabijania. Chce przylecieć do cytadeli. Poznać cię – dodał.

– Naprawdę? – przemawiająca przez nią krucha nadzieja rozdzierała serce Lazla.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Jak mógłby nie chcieć? – Na te słowa do oczu Sarai napłynęły łzy. – Obiecałem, że pomówię z tobą, byś przekonała pozostałych do zawieszenia broni. Ja też bym przyleciał. Chcę cię poznać.

Dostrzegł w oczach Sarai tęsknotę, która jednak szybko wyparowała. Spojrzała na niego chłodno.

– Już próbowałam.

– I odmówili?

– Jedno z nich odmówiło. To, które posiada decydujący głos.

Nadszedł czas, aby opowiedzieć o Minyi. Sarai mówiła mu już o Ruby, Jaskółce i Feralu, a nawet o Dużej i Małej Ellen, bo oni doskonale pasowali do panujących w wyśnionym Szlochu szczęśliwości i słodyczy. Ale nie Minya. Sama myśl o niej zatrzuwała te chwile.

Sarai przytoczyła, jak Minya uratowała kilkoro z nich z Rzezi, której była świadkiem, i opowiedziała o osobliwym fakcie niestarzenia się dziewczynki. A potem o jej darze.

– Armia umarłych. To jej dzieło. Kiedy ktoś umiera, jego dusza ulatuje ku niebu, ku... Nie mam pojęcia, po prostu ku niebu. Nie ma żadnej formy, nie może sobą pokierować. Duszy nie sposób zobaczyć ani usłyszeć. Ale Minya to potrafi. Wyląpuje je i uzależnia od siebie. Nadaje im formę i zniewala.

Lazlo zadrżał na samą myśl. Była to bowiem moc panowania nad śmiercią, dar równie mroczny i ponury jak te, które posiadli Mesarthimowie. Rzuciło to cień na jego optymizm.

– Zabije każdego, kto się tam zjawi – mówiła dalej Sarai. – Nie możesz pozwolić, aby Eril-Fane przyleciał do cytadeli. Ty też nie próbuj. Proszę, nie miej żadnych wątpliwości odnośnie do tego, co może zrobić, co robi i co chce zrobić.

– Czyli co zamierzamy? – zapytał, zrezygnowany.

Rzecz jasna nie znali odpowiedzi, a przynajmniej jeszcze nie. Sarai spojrzała na górującą nad nimi cytadelę, która podświetlona przez podwieszono nisko gwiazdy, wyglądała jak ogromna klatka.

– Nie chcę jeszcze tam wracać – powiedziała.

Lazlo przytulił ją mocniej.

– Jeszcze nie ma poranka – odparł.

Machnął ręką i cytadela zniknęła, ot tak, po prostu. Machnął raz jeszcze, a zniknęła również kotwica, a oni znowu unosili się ku górze, lecieli. Miasto lśniło daleko w dole, rozjaśnione gławami i złotymi kopułami. Niebo błyszczało wokół nich – światło gwiazd i bezkres. Minęło zbyt wiele czasu od ich ostatniego pocałunku. Lazlo pomyślał, że wszystko należy do nich, nawet nieskończoność, i obrócił świat do góry nogami. Tylko dlatego, że mógł.

Sarai nie spodziewała się tego. Dzięki skrzydłom nadal unosiła się nad ziemią, lecz jako że ta zamieniła się miejscami z niebem, dziewczyna opadła, tak jak zaplanował Lazlo, prosto w jego objęcia. Wyrwało się jej westchnienie, ale zaraz umilkła, bo przycisnęła ją do siebie, oplótł swoimi skrzydłami i spadali razem, lecz nie na ziemię, tylko ku niebiańskiej głębi.

Spadali do gwiazd pośród powietrza i eteru. Oddychali swoimi oddechami. Nigdy jeszcze nie byli tak blisko siebie. Fizyka snu samodzielnie decydowała o ich prędkości, nie musieli już uczyć się latać, po prostu spadali. Zresztą oboje już upadli. Choć nigdy nie przestaną spadać.

Wszechświat był nieskończony, a miłość posługiwała się swoją logiką. Ich ciała przycisnęły się do siebie i idealnie dopasowały. Serca, usta, lędźwie – jakby wszystkie sznureczki zawiązały się na ciasne supełki. Dłoń Lazla rozpostarła się na plecach Sarai. Tulił ją do siebie mocno. Palce dziewczyny przedzierały się przez jego długie, ciemne włosy. Usta mieli miękkie i powolne. Na ziemi wymieniali pocałunki pośpiesznie i niedbale, ten wydawał się inny, pełen szacunku. Był jak obietnica, towarzyszył mu płomień, jaki pozostawia po sobie przecinająca niebo kometa.

To nie Lazlo zdecydował o nagłym lądowaniu. Sarai również była kowalem snów i sama dokonała tego wyboru. Wręczył jej bransoletę z księżycem i gwiazdy, słońce w słoju stojące na półce obok tego ze świetlikami. Dał jej skrzydła. Lecz Sarai nie chciała wtedy nieba. Pragnęła prawdziwego świata i jego popsutych rzeczy, ręcznie



wyrzeźbionych belek i zmiętoszonej pościeli, uroczego tatuażu na pępku, jaki nosiła dziewczyna z nadzieją na przyszłość. Chciała się dowiedzieć, do czego jeszcze może służyć ciało, co jeszcze mogą czuć serca. Chciała móc zasypiać w ramionach Lazła. Chciałyby też w nich nie spać.

Chciała. Chciała.

Chciała budzić się, trzymając jego dłoń.

Sarai marzyła, a sen spełniał jej zachcianki.

Sypialnia Lazła zastąpiła wszechświat. Zamiast gwiazd pojawiły się glawy. Zamiast poduchy nieskończoności ujrzała pod sobą miękką kupkę obszytych materiałem piór. Umościła się na niej, a on położył się obok, oboje odprężeni i swobodni – bo postępowali słusznie – jak współgrająca z muzyką choreografia. Zniknęła jej suknia. Miała teraz na sobie nocną koszulę koloru kwiatowego rózu, ramiączka cieniutkie niczym babie lato muskały lazur jej skóry. Lazło podparł się na łokciu i patrzył na nią z podziwem. Oglądał linię jej szyi, skołowany odkrywaniem nowej topografii. Ujrzał też obojczyki, które widział pierwszej nocy. Nachylił się i pocałował ciepłe wgłębienie pomiędzy nimi. Opuszkami palców wodził po ramieniu Sarai, zatrzymując się jedynie przy jedwabnym ramiączku, które nieśpiesznie miętosił. Nie spuszczać z niej wzroku, zsunął je. Dziewczyna wyprężyła się i przysunęła bliżej, odchylając głowę, aby obnażyć gardło. Lazło przycisnął do niego swoje usta i całował ją coraz niżej, zsuwał się ku nagim ramionom.

Skóra Sarai była rozgrzana...

Jego usta również...

A to dopiero początek.

\*\*\*

Nie to zobaczył Thyon Nero, kiedy zakradł się pod okno Lazła. Nie ujrzał kochającej się pary i pięknej niebieskiej damy. Tylko samego Lazła, śniącego i jakby rozpromienionego. Biła od niego... radość. Tak jak, uznał Nero, światło od glawy.

Czy... czy na jego czole siedzi ćma? I...

Wykrzywił z obrzydzenia usta. Na ścianie nad łóżkiem i na belkach stropowych zobaczył trzepoczące skrzydełka. Ćmy. Roilo się od nich. Uklęknął i podniósł kilka kamyczków, które zważył na dłoni, a potem ostrożnie wycelował, zamachnął się i rzucił.

Lazlo zerwał się z łóżka, mrugając szaleńczo. Ćma siedząca na jego czole odleciała, spłoszona, tak jak i pozostałe, które poderwały się do sufitu i łomotały skrzydełkami o belki. Ale chłopak nawet o nich nie myślał. O niczym nie myślał. Sen zaciągnął go tak głęboko, że znalazł się poniżej poziomu świadomości, zanurzył w czystym uczuciu. Cóż to za uczucie! Jakby wszystkie emocje zostały wydestylowane do esencji, po raz pierwszy w życiu ukazały mu się w swoim niewysłowionym pięknie i nieżnośnej kruchości. Całkowicie zatopił się we śnie i nie odróżniał już tego, co wymarzone, od tego, co prawdziwe, póki, rzecz jasna, nagle się nie wybudził.

Jeszcze przed momentem obejmował Sarai, ustami wyczuwał ciepło gładkiej skóry na jej ramieniu i nagle wszystko się rozmyło.

Dwukrotnie już przerwano i wykradziono mu sen. Za pierwszym razem rozumiał, co się stało, ale nie teraz. Miał wrażenie, jakby Sarai – jej ciało, oddech, serca, nadzieja – rozplynęła się w jego objęciach. Próbował ją utrzymać, ale to jak tulenie do siebie dymu lub cienia, albo – co próbował zrobić Sathaz z ludowej baśni – odbicia księżyca. Lazlo sympatyzował z bezradnością chłopaka z owej opowieści. Nawet jak usiadł z powrotem na łóżku w pokoju, w którym tak naprawdę Sarai nigdy nie przebywała, powietrze jakby nadal lepiło się do jej krągłości, czuć było kobiecy zapach i ciepło, lecz jej miejsce pozostało puste, wydawało się porzucone, zapomniane. Niepełne.

Poprzednimi razami ogarniała go frustracja, lecz teraz ta strata rozdarła coś głęboko w jego duszy.

– Nie – wydyszał, wynurzając się w rzeczywistości, jakby go wypluto, czuł się jak ktoś wyrzucony na brzeg przez morską falę.

Sen wycofał się i zostawił go samego. Siadł na łóżku, opuszczony i skazany na bezlitosną nieustępliwość rzeczywistości, której prawdziwość wydawała się jego duszy ponura jak nicłość Elmuthaleth. Odetchnął, drżąc na całym ciele, jego ramiona godziły się z utratą ulotnej słodyczy ciała Sarai. Rozwiał się również jej zapach. Nie śnił już, został sam. Najgorzej, że nie śnił.

Usłyszał coś – ciche, niedowierzające prychnięcie – i obrócił się. Okiennice były otwarte, więc okno powinno być jedynie kwadratowym otworem wyciętym z ciemności i pustym na tle nocnego nieba.

Zobaczył tam jednak ludzką sylwetkę: głowę i ramiona oblane lśniącem złotem.

– Proszę, proszę – cedził Thyon Nero – to musiał być naprawdę dobry sen.

Lazlo zobaczył gapiącego się na niego złotego chrześniaka. Musiał go obserwować, patrzeć, jak śni.

Jak śni ten konkretny sen.

Ogarnęła go złość, kompletnie nieadekwatna do chwili, jakby Thyon zaglądał nie tylko do jego sypialni, ale też do samego snu, i był świadkiem jego idealnego zbliżenia z Sarai.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłem, cokolwiek robiłeś – mówił dalej Thyon. –

Choć powinieneś mi chyba podziękować. – Wyrzucił przez ramię resztę kamyczków, które odbiły się dźwięcznie od bruku. – Bo wszystko oblaży ci ćmy. – Owady nadal siedziały na belkach. – Miałeś jedną na twarzy.

Lazlo zrozumiał, że złoty chrześniak nie tyle go szpiegował, co przyszedł obudzić. Jego snu nie przerwał pierwszy promień słońca czy zgniecioną przez niego przypadkiem ćma, ale Thyon Nero rzucający kamyczkami. Złość Lazla przeobraziła się w tej jednej chwili w szal – emocję prostszą i intensywniejszą. Wyskoczył z łóżka tak szybko, jak otrząsnął się ze snu.

– Co ty tutaj robisz? – ryknął, patrząc w otwarte okno.

Zaskoczony Thyon odskoczył do tyłu, mało się nie potykając. Spojrzał na Lazla nieufnie, z przymrużonymi oczyma. Nigdy nie widział go rozgniewanym, a co dopiero tak rozzłoszczonym, i wydał mu się jakimś cudem większy, obcy, jakby przynależał do innego, niebezpieczniejszego gatunku Strange'ów, sierot bez nazwiska, niż ten, z którym miał przez te wszystkie lata styczność. Co nie powinno go dziwić, zważywszy na to, co przeszli.

– Dobre pytanie – powiedział, zrazu odwracając kota ogonem. – Co ja tutaj robię, Strange? Może byś mnie tak, z łaski swojej, oświecił?

Mówił głosem pustym jak jego oczy, równie bezbarwnym co zapadnięte policzki. Utrata ducha go wymęczyła, był wymizerowany, skórę miał bladą. Wyglądał jeszcze gorzej niż wczoraj.

Lazla zaskoczyła skala własnego gniewu, który zaczął już topnieć. Nie miał zbyt dużego doświadczenia ze złością – nie pasowała do niego – i wiedział, że to nie Thyon był jej bezpośrednim powodem, ale bezsilność, bo nie potrafił uratować Sarai. Przez chwilę, przez krótką chwilę czuł dojmujący ból wywołany jej stratą, choć to nieprawda. Nie stracił jej. Ćmy nadal czekały na belkach u stropu, a noc się jeszcze nie skończyła. Jak tylko znowu zaśnie, ona powróci. Tylko, rzecz jasna, musiał się pozbyć alchemika.

– Ja mam oświecić ciebie? – zapytał, skonfundowany. – O czym ty mówisz, Nero? Thyon pokręcił lekceważąco głową.

– Zawsze dobrze ci szła ta poza, ten twój nieszczęsny wyraz twarzy i niewinne oczy – powiedział gorzko. – Niemal mnie wczoraj przekonałeś, że mi pomogłeś, bo tego potrzebowałem. – Brzmiało to, jakby mówiącemu wydawało się to skrajnie absurdalne. – Jakiś człowiek podszedł do drugiego i zaproponował mu ducha ze swych żył. Nie mogłem jednak pojąć, jakie motywy tobą kierowały, i niemal ci uwierzyłem.

Lazlo zmrużył oczy.

– Bo powinieneś. A co niby mogło mną kierować?

– Tego chciałbym się dowiedzieć. Bo zwodzisz mnie od lat, Strange, od dnia, kiedy przyszedłeś do Chryzopezjum. Ale czemu? Co ty kombinujesz? – Wyglądał nie tylko na schorowanego, ale i szalonego; pot lśnił mu na czole. – Kim ty naprawdę jesteś?

Lazlo nie rozumiał pytania. Thyon znał go, odkąd skończył trzynaście lat, i doskonale wiedział, kim jest, oczywiście na tyle, na ile to możliwe. Był Strange'em, nieznanym, co wyjaśniało niemalże wszystko.

– O co ci chodzi, Nero?

Dwaj młodzi mężczyźni stali po przeciwnych stronach otwartego okna, patrząc na

siebie znad parapetu, jak niegdyś spoglądali na siebie oddzieleni biurkiem Zapytań, tyle że teraz to Lazlo był tym, który nie musiał się niczego obawiać.

Sarai spoglądała na niego przez swoje śmy, bo obudziła się wtedy, kiedy obudził się Lazlo. Opadła na poduszki i zacisnęła mocno powieki, chcąc odciąć się od metalowych ścian i przytłaczającego ją sufitu. Czyż nie powiedziała, że nie ma ochoty jeszcze tutaj wracać? Chciało jej się płakać z frustracji. Jej krew i duch kursowały szybciej, nadal czuła na ramieniu ciepło prawdziwego oddechu Lazla. Różowe ramiączko koszuli nocnej miała zsunięte, jak we śnie. Dotknęła go delikatnie palcami, nie otwierając oczu, przywołując wspomnienie uczucia, jakie budził w niej dotyk ust i dłoni Lazla, jakimi wymyślnymi drogami kroczyły, ożywiając kolejne partie jej ciała. Czego chciał ten *faranji*, że przyszedł do niego nocą?

Rozmawiali ze sobą w ojczystym języku, który był dla niej tak samo niezrozumiały jak bicie bębna czy ptasi trel. Nie miała pojęcia, o czym mówią, ale dostrzegła, że są spięci i patrzą na siebie nieufnie. Zaniepokoiła się. Lazlo nerwowo odgarnął włosy. Minęła milcząca chwila i ten drugi sięgnął do kieszeni szybkim jak błyskawica ruchem. Sarai zobaczyła błysk metalu.

Lazlo również. Nóż. Wyciągnięty ku niemu.

Odskoczył, ale blokowało go łóżko, o które się uderzył, i z rozpędu usiadł. Wyobraził sobie markotnego Rużę, rozpaczającego, że nigdy nie zrobi z niego wojownika.

Thyon rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

– Nie chcę cię zabić – powiedział.

Lazlo zobaczył, że na jego wyciągniętej dłoni nie leży nóż, lecz długi kawałek metalu.

Serca zabiły mu mocniej. Nie jakiś tam zwyczajny metal, ale mesartjum.

I wtedy zrozumiał. Zerwał się na równe nogi i na moment zapomniał o swojej złości i tajemniczych insynuacjach Thyona, bo znaczenie owego osiągnięcia było bezprecedensowe.

– Udało ci się – powiedział, uśmiechając się. – Alkahest zadziałał. Nero, udało ci się!

Pogardliwy grymas spłynął z twarzy Thyona, który poczuł się niepewnie. Zdołał przekonać samego siebie, że to wszystko zostało z góry ukartowane, że to jakaś sztuczka albo zdradziecki plan, którego architektem jest nie kto inny jak Strange, lecz nagle stracił pewność. Reakcja Lazla okazała się bowiem szczerą, nawet on zauważył, że nie udawał zachwyty. Thyon pokręcił głową, nie przecząco, ale jakby chciał się pozbyć jakiejś myśli. Była to ta sama niewiara, której doświadczył już przy kotwicy, niedowierzenie zderzone z namacalnym dowodem. Lazlo niczego nie ukrywał, rozwiązanie tej tajemnicy stanowiło zagadkę i dla niego.

– Mogę? – zapytał Strange, choć nie miał zamiaru czekać na odpowiedź.

Metal go przyciągał. Położył przyniesiony przez Thyona kawałek mesartjum na dłoni. Drżący blask gławy na jego aksamitnej, niebieskiej powierzchni hipnotyzował, metaliczny chłód niemal parzył jego rozgrzaną snem skórę.

– Powiedziałeś Eril-Fane'owi? – zapytał Lazlo.

Nie doczekał się jednak odpowiedzi, więc uniósł wzrok. Pogarda i podejrzliwość zniknęły z twarzy alchemika, nie wyrażała już absolutnie nic. Lazlo nie wiedział dokładnie, jakie znaczenie ma ten przełom dla rozwiązania problemu Szlochu, który okazał się bardziej skomplikowany, niż Thyon mógłby podejrzewać, ale to bez wątpienia odkrycie najwyższej wagi.

– Czemu się nie chełpisz, Nero? – zapytał; nie było w jego głosie żadnej urazy, kiedy dodał: – To kolejny niezły rozdział twojej legendy, tego możesz być pewien.

– Zamknij się, Strange – odparł Thyon, choć nie było już w tych słowach jadu, którym dotychczas pluł. – I lepiej mnie posłuchaj, bo to istotne. – Co rusz zaciskał szczękę; spojrzenie miał ostre jak szpony. – Nasz świat jest niebywale spójny, składają się na niego pewne identyczne elementy, które tworzą każdą rzecz. Absolutnie każdą. Listek i zuczka, język i ząb, żelazo i wodę, miód i złoto. A azoth to... – zastanawiał się chwilę, jak to wytłumaczyć – tajny język, którym posługuje się materia. Rozumiesz? Klucz otwierający wszystkie drzwi. – Zamilkł, dając tym słowom wybrzmieć.

– I ty je otworzyłeś – powiedział Lazlo, usiłując odgadnąć, dokąd Nero zmierza.

– Owszem. Rzecz jasna nie wszystkie, jeszcze nie. Na to potrzeba czasu, to dzieło życia. Mojego życia, Strange. Nie jestem jakimś tam złotnikiem, którego interesuje wypychanie królewskiej portmonetki. Rozwikłuję tajemnice świata, jeden sekret za drugim, i do tej pory nie znalazłem zamka, do którego, jakby to powiedzieć, mój klucz by nie pasował. Świat to mój dom, a ja jestem jego gospodarzem. Azoth to mój klucz. – Znowu zamilkł, tym razem znacząco, a Lazlo, chcąc przerwać ciszę, burknął ostrożnie:

– Nie ma za co?

O cokolwiek jednak chodziło Thyonowi, najwyraźniej nie była to chęć podziękowania bibliotekarzowi za rolę, jaką odegrał w procesie odlewania owego klucza. Poza tym, że zmrużył oczy, Nero nie dał po sobie poznać, czy w ogóle go usłyszał.

– A mesartjum – zrobił pauzę, aby położyć nacisk na kolejne słowa – nie jest z tego świata.

Powiedział to tak, jakby miała to być rewelacja, ale Lazlo tylko uniósł brwi. Tyle przecież wiedział już od dawna. Może nie do końca tak dobrze jak Thyon, bo nie sprawdził i nie dowiódł tego empirycznie, poprzez eksperymenty, lecz był tego pewien od pierwszego spojrzenia na cytadelę.

– Nero – powiedział – myślałem, że to raczej oczywiste.

– I dlatego nie powinno dziwić, że nie rozumie tajnego języka. Że klucz nie pasuje. Azoth z naszego świata nie reaguje z mesartjum – powiedział bez cienia wątpliwości.

Lazlo zmarszczył brwi.

– Ale przecież podziałało – zdziwił się, unosząc kawałek metalu.

– Niezupełnie. – Thyon przewiercał go wzrokiem. – Azoth otrzymany z mojego ciała nie wywołał absolutnie żadnego efektu. Dlatego zapytam raz jeszcze Lazlo Strange'u... kim jesteś?

Jaskółka oparła się o tarasową balustradę. Na dole rozciągało się miasto przecięte alejką słonecznego – teraz księżycowego – światła prześlizgującego się sennie pomiędzy skrzydłami serafina, wyglądało to jak ścieżka. Szczególnie nocą, kiedy Szloch zasłaniała ciemność ułatwiająca zapomnieć o skali. Jeśli pozwolić oczom stracić ostrość, alejka przypominała bulwar ze światła, po którym można by przejść aż do Guzka i jeszcze dalej. Bo czemu nie?

Delikatne podmuchy wiatru targały gałęziami śliwy, szeleściły liśćmi i mierzwiły dziewczynie włosy. Zerwała owoc. Idealnie pasował do jej dłoni. Trzymała go przez chwilę, spoglądając na miasto. Ruby rzuciła kiedyś śliwkę w dół. Bezmyślna Ruby. Jaskółka zastanawiała się, jak by to było móc stać się tak dziką jak jej siostra i brać, co – i kogo – by się chciało? Zaśmiała się bezgłośnie, nigdy się nie dowie.

Kiedy szła korytarzem ku komnatom Ferała, śniła na jawie o pocałunku – jednym, słodkim pocałunku – a natknęła się na...

Cóż, poczuła się jak dziecko. Na dodatek pojawił się ucisk w piersi, jakby ktoś nadepnął jej na serca. Zrobiło jej się głupio. Podczas gdy ona marzyła o pocałunku, oni robili... coś innego. Wykraczało to dalece poza wszystko, co poznała. Sarai zwykła im opowiadać, co ludzie robili, będąc ze sobą sam na sam, ale wydało jej się to skandaliczne i odległe. Nigdy nawet sobie nie wyobrażała, że sama mogłaby w czymś takim uczestniczyć, i nie podejrzewała o to także swojej siostry, mimo jej obsesji na punkcie całowania. Szczególnie z Ferałem. Zamknęła oczy i zasłoniła twarz dłońmi. Nagle poczuła się niemądra, zdradzona i... opuszczona.

Zważyła w dłoni śliwkę i przez chwilę wydawało jej się, że owoc ten reprezentuje wszystko to, czym ona sama nie jest, a może odwrotnie – była tak samo słodka, jak i mdła.

Ruby to ogień – ogień i życzenia, kwiat imbiru – a ona to... owoc? Nie, gorzej. Kimril, pożywny i nijaki. Zamachnęła się i rzuciła śliwkę najdalej, jak potrafiła, czego od razu pożałowała.

„Może któregoś trafię”, powiedziała wtedy Ruby, ale ona nie chciała nikogo trafić. No, może poza Ruby albo Ferałem.

Jakby przywołana jej myślami, w ogrodzie zjawiała się Ruby. Jaskółka zerwała kolejny owoc. Nie miała zamiaru nim rzucić, ale wolała mieć śliwkę przy sobie na wszelki wypadek.

– Czemu nie śpisz? – zapytała.

– Jestem głodna – odpowiedziała Ruby.

Na głodne dzieci nie czekała w cytadeli żadna spiżarnia, którą można by przetrząsnąć, mieli tylko śliwkę, o której owoce dbała Jaskółka.

– Nic dziwnego – skomentowała dziewczyna, ściskając owoc. – Byłaś ostatnio... aktywna.

Ruby wzruszyła ramionami, niezrażona. Miała jak zawsze rozwichrzone włosy – może nawet bardziej po ostatnich wybrykach. Narzuciła na siebie tylko cieniutki szlafrok,

którego pasek powiewał za nią niczym jedwabne kocie ogonki. Ruby przechyliła się za balustradę, zerwała owoc i zjadła go. Sok ściekał jej po palcach. Wylizała je do czysta i zerknęła na Guzek.

– Zakochałaś się? – zapytała.

– Co? – obruszyła się Jaskółka. – Nie.

Mogłaby milczeć, bo Ruby i tak kompletnie ją zignorowała.

– Nie miałam pojęcia. Mogłaś mi powiedzieć.

– I zepsuć ci zabawę?

– Męczennica – odparła łagodnie Ruby. – To naturalna rzecz, a on jest jedynym, z którym można to zrobić. Jedynym żywym chłopcem.

– Romantyczne.

– Cóż, jeśli poszukujesz czegoś romantycznego, to nie oczekuj tego od naszego Ferala.

– Niczego od niego nie oczekuję – zirytowała się Jaskółka. – Nie chcę go już.

– Czemu nie? Bo ja się z nim zadaję? Nie próbuj mi nawet powiedzieć, że to tak, jak kiedyś oblizywałyśmy łyżeczki, żeby zająć sobie ulubione miejsce przy stole.

Jaskółka podrzuciła śliwkę i zaraz ją złapała.

– Trochę tak jest.

– Dobrze. Łyżeczki nadawały się do zabawy po umyciu. Tak samo chłopcy.

– Ruby, poważnie...

– No co? – szczerknęła.

Jaskółka nie potrafiła powiedzieć, czy Ruby żartuje, czy naprawdę nie dostrzegała różnicy pomiędzy oblizanymi łyżeczkami a pocałowanymi chłopcami.

– Nie chodzi o oblizywanie. To jasne, którą z nas chce Feral.

– Nie, nie jasne. Padło na mnie, bo byłam pod ręką. Jakbyś ty do niego poszła, wziąłby ciebie.

Jaskółka zmarszczyła brwi, nachmurzona.

– Jeśli to prawda, to tym bardziej go nie chcę. Pragnę kogoś, kto pragnie tylko mnie.

Ruby nie mogła odmówić tym słowom prawdy i, ku jej zaskoczeniu, dotknęły ją. Ona też wolałaby mieć kogoś, kto pragnąłby tylko jej. Zbudziła się w niej nieracjonalna niechęć do Ferala. Tuż przed tym, zanim zobaczyli stojącą na progu Jaskółkę, powiedział: „Teraz będę musiał spać z tobą”. Kiedy sobie o tym przypomniała, zapiekły ją policzki. Nie było to zbyt romantyczne stwierdzenie. „Muszę” sugerowało, że nie ma innego wyjścia, ale przecież to nieprawda. Mieli dodatkową pościel, wystarczyło jedynie poprosić o nią pokojówkę. Ale jeśli wolał przenieść się do niej, to nie miała nic przeciwko. Do tej pory to ona zawsze chodziła do niego. Słowa Ferala brzmiały jak... obietnica. Czy zamierzał jej dotrzymać? Czy ona tego chciała?

Sięgnęła po wykręcony wiatrem kosmyk włosów Jaskółki i chwyciła go lepkiemi od śliwkowego soku palcami, po czym delikatnie szarpnęła. Ogarnęła ją tęsknota i smutek, coś na kształt żalu.

– Chciałam zobaczyć, jak to jest – powiedziała – bo to może być moja ostatnia szansa. Nie chciałam ci go odbierać.

– Nie odebrałaś. Przecież go nie związałaś i nie zmusiałaś, prawda? – upewniła się

Jaskółka.

– Nie do końca. Co prawda nie krzyczał o pomoc...

Jaskółka rzuciła śliwką. Stały blisko siebie i Ruby oberwała w obojczyk.

– Au! – krzyknęła, jakby faktycznie ją zabolalo. Potarła uderzone miejsce i spojrzała na Jaskółkę. – To tyle? Wyładowałaś złość?

– Tak – odpowiedziała Jaskółka, otrzepując ręce. – To była złość na jedną śliwkę.

– Biedny Feral, warty tylko jednej śliwki. Zapadnie się w sobie, kiedy mu powiemy.

– Nie musimy mu nic mówić.

– Ależ musimy – upierała się Ruby. – Pewnie myśli sobie, że obie jesteśmy w nim zakochane, nie możemy pozwolić, aby tak zostało. – Oparła się o barierkę. – Patrz, Sarai.

Jaskółka spojrzała do góry. Z ogrodu miały widok na taras i stojącą na nim dziewczynę. Była jednak daleko i mogły odróżnić jedynie jej sylwetkę. Chodziła w kółko. Pomachały, ale bez odpowiedzi.

– Nie widzi nas – powiedziała Jaskółka, opuszczając dłoń. – I tak naprawdę jej tam nie ma.

Ruby wiedziała, o czym mowa.

– Tak. Jest w mieście.

Dziewczyna westchnęła z żalem i podparła podbródek dłonią, spoglądając w dół, gdzie ludzie żyli i tańczyli, kochali i plotkowali. I nie jedli kimrilu, jeśli nie mieli na niego ochoty.

– Ileż bym oddała, aby choć raz je zobaczyć.



Sarai nie wychodziła na taras od ataku na jedwabne sanie. Od tamtej pory trzymała się swojej sypialenki, starając się zachować resztki prywatności, choć otaczali ją widmowi strażnicy. Nie mogła już dłużej tego znieść. Potrzebowała świeżego powietrza, chciała się poruszać. Zawsze była niespokojna, kiedy jej ćmy buszowały po mieście, a teraz na dodatek była jeszcze zmieszana.

O co chodziło?

Krażyła po tarasie. Otaczały ją duchy, ale ledwie je zauważała. Nadal nie miała pojęcia, o czym rozmawiają Lazlo i *faranji*, choć miało to związek z mesartjum. Lazlo zrobił się spięty, tego mogła być pewna. Oddał kawałek metalu tamtemu mężczyźnie, który – nareszcie – wyszedł.

Sarai spodziewała się, że Lazlo pójdzie spać. Powróci do niej. Ale zamiast tego wzięł buty. Ogarnęło ją niezadowolenie. Nie myślała już o krętych wzorach kreślonych jego dłońmi czy żarze jego ust na swoich ramionach, wszystko to wyparowało z niej, zastąpione ukłuciem niepokoju. Gdzie szedł o tej porze? Był ewidentnie poruszony, jakby nagle znalazł się miliony kilometrów od niej. Narzucił kamizelę na luźną koszulę nocną. Impuls, aby do niego sięgnąć, był niezwykle mocny, lecz nie mogła tego zrobić. Jej usta chciały zadać pytania, których nie miała jak sformułować. Ćma latała tuż przy jego głowie, kreśląc w powietrzu bazgroły. Lazlo zobaczył ją, mrugnął i jakby powrócił do rzeczywistości.

– Przepraszam – powiedział, niepewny, czy go słyszy, i wystawił dłoń.

Sarai zawahała się, zanim na niej przysiadła. Minęła dłuższa chwila, od kiedy próbowała nawiązać kontakt z wybudzoną osobą, i nie wiedziała, czego się spodziewać. Nie sądziła jednak, aby prześlizgnęła się jakoś na płaszczyznę snu, gdzie mogłaby go zobaczyć i porozmawiać.

Nieświadomy umysł to otwarta przestrzeń, bez ścian i barier, na dobre i na złe. Myśli i uczucia mogły się tam dowolnie błąkać, jak postacie wychodzące z książki, aby zasmakować innych opowieści. Kręciły się tam i strachy, i marzenia. Tajemnice wywracały się na drugą stronę niczym kieszenie, a stare wspomnienia spotykały się z nowymi. Tańczyły i zostawiały po sobie zapachy jak perfumy przechodzące z kochanka na kochanka. Tak tworzyły się znaczenia. Umysł buduje sam siebie niczym sirrah gniazdo, z tego, co ma pod ręką: jedwabnych nici, ukradzionych włosów i piór martwych ptaków. Jedyne zasady to brak zasad. W tej przestrzeni Sarai chodziła, gdzie chciała, i robiła, co chciała. Nie dało się zamknąć przed nią żadnych drzwi.

Ale świadomy umysł to zupełnie inna historia. Nie było żadnego zwiedzania ani łączenia i dzielenia. Tajemnice stapiały się z ciemnością, a wszystkie wejścia pozamykano. Nie miała wstępu do strzeżonego świata. Gdy Lazlo nie spał, mogła jedynie stanąć na progu jego umysłu. Ona o tym wiedziała, ale on nie. Kiedy ćma dotknęła jego dłoni, spodziewał się, że ujrzy Sarai w swoich myślach, lecz tak się nie stało. Wymówił jej imię, najpierw na głos, a potem w myślach, pewniej.

– Sarai?

„Sarai?”

Bez odpowiedzi. Czuł jedynie, że jest blisko, tuż za zamkniętymi drzwiami, których nie potrafił otworzyć. Zrozumiał, że musi zasnąć, aby móc z nią porozmawiać, co było teraz niemożliwe, bo w jego umyśle buzowało zadane mu przez Thyona pytanie:

„Kim jesteś?”

Wyobrażał sobie, że wszyscy inni ludzie mają wewnątrz siebie – dokładnie w samym środku – takie miejsce, gdzie kryje się na nie odpowiedź, ale u niego ziała tam pustka.

„Chyba mówisz o czymś, o czym wiesz więcej niż ja – powiedział przed chwilą do Thyona, czując się cokolwiek niekomfortowo. – Co sugerujesz?”

„Sugeruję – odparł złoty chrześniak – że nie jesteś żadnym osieroconym wieśniakiem z Zosmy”.

Zatem kim?

Zatem czym?

Thyon powiedział, że azoth z tego świata nie reaguje z mesartjum. Duch wydestylowany z ciała alchemika nie wywarł nań żadnego efektu. A jednak udało mu się odłupać kawałek kotwicy, co stanowiło niezbity dowód, że jakoś da się na mesartjum wpłynąć. Thyon utrzymywał, że przyczyną jest Lazlo.

Próbował sobie wmówić, że Nero z niego kpi, że to żart, a za rogiem czeka chichrający się jak uczeń Drave. Ale czemu miałby taki żart służyć? Po co się tak trudzić, aby przekonać go o jego wyjątkowości? Nie wierzył, że Thyonowi chciałoby się kłopotać czymś podobnym, szczególnie teraz, kiedy obsesyjnie zafiksował się na postawionym przed nim wyzwaniu.

O Thyonie Nero dało się powiedzieć wiele rzeczy, lecz nie to, że był skory do psot i figli. A może po prostu Lazlo chciał, żeby to okazało się prawdą? Chciał, aby odkryto w nim coś wyjątkowego?

Nie wiedział, co ma myśleć. Mesartjum stanowiło jądro tajemnicy Szlochu, dlatego miał zamiar udać się prosto do kotwicy, jakby przyciągały go tam niewidzialne pola magnetyczne Mouzaive’a.

Wyszedł z domu z cimą Sarai nadal przycupniętą na jego ręce. Nie wiedziałby, co jej powiedzieć, nawet jeśli by go słyszała. Był skołowany różnymi myślami i wspomnieniami, a wszystkie obracały się wokół największego sekretu – niego samego.

„Czyli możesz być każdym”, powiedziała Sarai, dowiedziawszy się o wozie wyładowanym sierotami nieznanymi swoich imion.

Rozmyślał o klasztorze, o mnichach, o rzędach kołysek, o zawodzących dzieciach i o własnym milczeniu.

„To nienaturalne”, mawiał o nim brat Argos. Słowo to rozbrzmiało echem w myślach Lazla, bo może mnich nie miał na myśli jedynie owej ciszy, jaka go otaczała.

„Byłem pewny, że nie przeżyjesz – opowiadał mu potem brat. – Miałeś skórę szarą jak deszcz”.

Chłodny dreszcz rozszedł się po ciele Lazla od czubka głowy, po karku i przez kręgosłup.

„Ale jadłeś i piłeś, a kolor powrócił ci na twarz”.

Jego nogi przemierzające milczące ulice śpiącego miasta same zwalniały, aż przystanął. Uniósł dłoń, która jeszcze przed momentem trzymała kawałek mesartjum. Skrzydełka ćmy unosiły się i opadały, lecz nie patrzył na nią, a na przebarwienie na skórze, na brudną szarość, jaka pojawiła się dokładnie w miejscu, którego dotykał metal. Wiedział, że zniknie, chyba że znowu będzie miał kontakt z mesartjum. A lata temu miał szarą skórę, która dopiero z czasem nabrała koloru.

Pod czaszką łomotały mu serca.

Co, jeśli nie był wtedy chory? Co, jeśli był jeszcze bardziej obcy, niż miałby wskazywać na to nadany mu status Strange'a? Znowu wstrząsnęły nim dreszcze. Myślał, że to po prostu metal reaguje z ludzką skórą, ale jako jedyny zauważył u siebie podobny efekt.

A teraz, według Thyona, mesartjum znowu reagowało tylko z nim.

Co to oznaczało? Co miał o tym myśleć? Zaczął iść, tym razem szybciej, żałując, że nie ma przy sobie Sarai. Chciałby, żeby trzymała go teraz za rękę, a musiał się zadowolić siedzącą na jego dłoni ćmą. Po doświadczonym przezeń cudzie latania, które przychodziło mu z łatwością, w tak bardzo prawdziwie wyglądającym śnie czuł się ociążały, mozolnie stawiał kolejne kroki, sunął jak uwięziony na powierzchni tego świata. Oto przekleństwo śnienia: człek musiał kiedyś powrócić do rzeczywistości, gdzie nie było skrzydeł na plecach i słodkich ramion bogini.

Cóż, może faktycznie nigdy nie będzie nosił skrzydeł, lecz przytuli Sarai. Nie jej wyobrażenie, nie jej ćmę, lecz ją samą z krwi i kości, z ciała i ducha. Obiecał sobie, że w ten czy inny sposób ten akurat fragment jego snu się kiedyś spełni.

\*\*\*

Kiedy Lazlo przyśpieszył kroku, przyśpieszyła i Sarai. Jej białe stopy sunęły gładko po chłodnym metalu anielskiej dłoni, jakby próbowała dotrzymać mu tempa. Robiła to nieświadomie, jak powiedziały Ruby i Jaskółka, przecież tak naprawdę jej tam nie było, ale zachowała na tyle świadomości, że zawracała, kiedy trzeba, i nie wyszła za skraj wyciągniętej ręki serafina, nie spadła.

Ale przede wszystkim towarzyszyła zagubionemu kochankowi. Przycupnęła na jego nadgarstku i docisnęła się do zamkniętych drzwi jego świadomości. Czuła jego przyśpieszony puls, fale dreszczy przemykające mu po ciele. Doświadczała równocześnie emocji, które emanowały z Lazla, a był to podszyty podziwem lęk, jaki mógł wywołać kontakt z czymś prawdziwie podniosłym, czysty i mocny, lecz nie potrafiła ustalić jego przyczyny. To, co odczuwał chłopak, docierało do niej niewielkimi porcjami, jak muzyka dochodząca zza ściany, a jego myśli pozostawały przed nią ukryte.

Pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć ciem podzieliło się na grupki i poleciało nad miasto, szukając innych źródeł poruszenia, lecz niczego nie znalazły. Szloch pozostał cichy. Milczący strażnicy nadal stali na swoich posterunkach, a złoty chrześniak poszedł prosto do swojego laboratorium, gdzie zamknął się na cztery spusty. Eril-Fane i Azareen spali – ona w łóżku, on na podłodze; znowu oddzielały ich drzwi – a jedwabne sianie stały tam, gdzie je pozostawiono.

Sarai próbowała sobie wmówić, że nie ma się czym martwić, ale kiedy usłyszała

swoje własne myśli, wybuchła bezgłośnym śmiechem. Nie ma się czym martwić? Ano nie ma. Bo co by mogło pójść nie tak?

Groziło im jedynie wykrycie przez ludzi, rzeź i śmierć.

Z takimi obawami dorastała, przywykła do nich, spowszedniały jej. Ale teraz miała do czynienia z nowymi lękami, bo pojawiła się nadzieja, pożądanie i... miłość, a tych uczuć nie знаła i bynajmniej nie były nudne. Jeszcze przed paroma dniami Sarai ledwie potrafiła znaleźć powody usprawiedliwiające dalszą egzystencję, a teraz oba jej serca argumentowały za, wypełniły się budzącą grozę pilnością żywota. Przez Lazła. Przez świat, jaki stworzyły ich stykające się umysły. I przez przekonanie, że wbrew wszystkiemu urzeczywistnią tę wizję. O ile inni im na to pozwolą.

A tak się nie stanie.

Dzisiaj i ona, i Lazło poszukiwali azylu w sobie nawzajem, miejsca, gdzie chcieli się schować i odeprzeć nienawiść, wobec której byli bezsilni. Nie znaleźli żadnego rozwiązania, a widoki na przyszłość nie były różowe, ale raczyli się tym, co mieli – a mieli siebie, przynajmniej w snach – i próbowali zapomnieć o całej reszcie.

Tylko że nie dało się zapomnieć.

Sarai zauważyła siedzącego na kotwicy Rasalasa. Zwykle go unikała, lecz tym razem posłała parę ciem bliżej potwora, który w niedawnym śnie wydawał jej się piękny. Mógł nawet posłużyć za symbol nadziei, bo skoro on potrafił się zmienić, to wszystko mogło. Lecz tutaj stał taki, jaki stał zawsze, i robił jedynie za symbol zezwierżenia i brutalności.

Nie mogła ścierpieć tego widoku. Jej ćmy rozproszyły się i odleciały, a wtedy postyszała przykuwający uwagę dźwięk. Z dołu, z cienia rzucanego przez kotwicę doszły ją odgłosy kroków, a potem coś jeszcze. Ponure skrzypienie, powolne i monotonne. Przeląła swoje skupienie na tych kilkanaście ciem i posłała je niżej, aby zbadać sytuację. Skoncentrowały się na dźwiękach i poleciały prosto do alejki biegnącej tuż przy podstawie kotwicy.

Sarai znała to miejsce, choć niezbyt dobrze. Cała dzielnica była opuszczona. Nikt tu nie mieszkał, odkąd przylatywała do Szłochu, dlatego nie miała powodu, by kiedykolwiek posyłać tutaj swoje owady. Zupełnie zapomniała o znajdującym się tam muralu i widok ten ją poruszył: sześcioro martwych bogów, niedbale maźniętych niebieską farbą i ociekających czerwienią, pośrodku stał jej ojciec: bohater, wyzwoliciel, rzeźnik.

Skrzypienie zrobiło się teraz głośniejsze i Sarai zauważyła męską sylwetkę. Nie widziała jego twarzy, ale wyczuwała ostry zapach siarki i potu.

„Co on tam robi?“, zastanawiała się z obrzydzeniem.

Kiedy go zobaczyła, potwierdziły się jej przypuszczenia. To ten z odłóżką skórą z twarzy, którego sny głęboko ją zaniepokoiły. Nie miała z nim kontaktu od drugiej nocy, odstręczały ją jego nieczyste myśli i brak higieny, dlatego z odrazą mijała jego sypialnię. Spędziła w umyśle tego mężczyzny mniej czasu niż w głowach jego towarzyszy, dlatego miała tylko mgliste pojęcie, czym się zajmuje, a jeszcze mniej wiedziała o zamiarach śmierdziela.

Być może popełniła błąd.

Szedł powolnym krokiem, targając coś przypominającego kołowrót. Szpulę, na którą nawinął długi drut, ciągnął go za sobą. Stąd to rytmiczne skrzypienie: przerdzewiałe ustrojstwo jęczało przy każdym obrocie. Sarai przyglądała mu się, zaciekawiona, kiedy wyszedł z alejki i rozejrzał się ukradkowo. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, sięgnął do kieszeni, chwilę pogrzebał i zapalił zapalniczkę. Błysnął wysoki, niebieski płomień, po czym zmalął do niewielkiego pomarańczowego języczka nie większego od opuszki palca.

Mężczyzna pochylił się, dotknął zapalniczką drucika, który okazał się, oczywiście, lontem.

I uciekł.

Thyon rzucił kawałek mesartjum na stół i opadł na stołek. Odetchnął ciężko i podparł głowę dłonią. Emanował frustracją i skrajnym zmęczeniem. Spojrzał na fragment obcego metalu. Chciał poznać odpowiedzi, a nie uzyskał żadnej, tajemnica nadal go prześladowała.

– Czym jesteś? – zapytał, jakby mesartjum mogło powiedzieć mu coś, czego nie powiedział mu Strange. – Skąd pochodzisz? – mówił niskim, oskarżycielskim tonem.

„Czemu się nie chelpisz? – przypomniał sobie słowa Lazla. – Udało ci się”.

Co mu się udało? A raczej czemu? Fiolka opatrzona napisem „Duch bibliotekarza” stała tuż przy kawałku metalu. Thyon gapił się na parę ostatnich kropel esencji ducha Lazla spoczywających na dnie naczynia i odłamek mesartjum, który udało mu się dzięki niej odkroić. Może to dlatego, że był wyczerpany utratą ducha, może był po prostu zmęczony i dreptał już na granicy jawy i snu, bo zawsze na wszystko spoglądał z naukowym sceptycyzmem, lecz teraz jego spojrzenie zostało przefiltrowane przez lśniący welon zadumy, towarzyszył mu ten sam zachwyt co podczas lektury tajemnej książki z cudami. I kiedy zauważył coś dziwnego, rozważył wszystkie możliwości, łącznie z tymi, które nie powinny być w ogóle możliwe.

Sięgnął po metal i przyjrzał mu się uważniej. Wyżarte przez alkahest krawędzie były nierówne, lecz jedna z nich pozostała tak gładka, jak powierzchnia kotwicy. Była taka. Miał co do tego pewność.

Ale coś się zmieniło. Bez wątpienia widniały na niej niemal niezauważalne ślady... palców.

Tam, gdzie mesartjum dotknął Lazlo Strange.

Sarai doświadczała nie tylko pokonujących bariery jej świadomości fal emocji Lazła, ale i nagłych rozbłysków swoich. Była to eksplozja paniki, bez konkretnej myśli, bez obrazu, jedynie gwałtowny atak, który uderzył ją jak cios.

Mężczyzna zatrzymał się dwie ulice od kotwicy i jego smród zalał zmysły Sarai: intensywny odór siarki. Rozgrzany, zepsuty, zły. Fetor Drave'a był jak przecucie, bo on sam wychynął spomiędzy kamienic dopiero po chwili, skręcając truchtem za róg. Wybałuszył oczy, kiedy zobaczył Lazła, lecz nie zwolnił. Biegł przed siebie, jakby goniły go ravidy. Wszystko to zalało ją w jednej chwili: panika, smród, widok eksplozjasty.

Lazło mrugnął.

A świat zbiełał.

Świetlista plama. Noc stała się dniem. Była jaśniejsza niż dzień. Ciemność została rozproszona i nawet gwiazdy wydawały się blade na tle wybielonych do kości niebios. Cienie odeszły. Czas jakby stanął i zadrżał w trwożliwej ciszy, oślepiającej, nijakiej i odrętwiałej.

I wtedy gruchnęło.

Rzuciło nim, ale Lazło nawet tego nie zarejestrował. Zanotował jedynie błysk. Świat pomalowano na białą i dano mu z powrotem szernieć. Wszystko zniknęło.

Nie dla Sarai. Dziewczyna była bezpieczna, fala uderzeniowa nie sięgnęła cytadeli i jej prawdziwego ciała. Lecz znajdujące się nieopodal kotwicy ćmy spłonęły. Na sekundę przed przeniesieniem świadomości na innych wysłanników wydawało się Sarai, jakby ogień strawił jej oczy i zostawił jedynie postrzępione dziury otoczone siateczką iskier.

Straciła część ciem. Miała jednak nadal osiemdziesiąt innych latających nad miastem, choć siła eksplozji odrzuciła część z nich i poniosła daleko. Nie umiała zapanować nad zmysłami, bo ćmami rzucało, obracały się bez końca, nie było ani góry, ani dołu. Na tarasie padła, skołowana, na kolana. Umierały kolejne ćmy, pozostawiając po sobie liczne dziury, pozostałe wymknęły się jej spod kontroli, ciśnięte podmuchem. Minęła chwila, zanim zdołała przywołać swoją świadomość do źródła, do ciała, a przynajmniej jej większą część. To wystarczyło, aby opanować zawroty głowy towarzyszące bezsilnemu składaniu do kupy fragmentów ciemności. Umysł Sarai był tak samo ociężały jak żołądek, zrobiło jej się niedobrze, miała mdłości i nie potrafiła nad nimi zapanować. Straciła Lazła. Ćma została zdmuchnięta z jego nadgarstka i spłonęła. Miała podstawy podejrzewać, że jego spotkał ten sam los.

„Nie”.

Eksplozja. Tyle rozumiała. Ryk wybuchu był dziwnie zdławiony. Doczołgała się do skraju tarasu i wyjrzała zza krawędzi, przyciskając pierś do metalu. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała, gdy spojrzała na Szloch. Chaosu korespondującego z jej rozproszonymi przez wiatr zmysłami? Ale jedyne, co zobaczyła, to delikatnie zakwitły pęk ognia wyrastający z dzielnicy wyludnionej z powodu opadnięcia kotwicy i pierzaste liście dymu bijące w zwolnionym tempie. Jakby wybuchł fajerwerk.

Ruby i Jaskółka, wyglądające przez balustradę w ogrodzie, pomyślały o tym samym.

To było... piękne.

„Może nie było tak źle”, pomyślała Sarai, modliła się, sięgając do pozostałych jej ciał. Wiele zostało zgniecionych albo okaleczonych, lecz kilkadziesiąt nadal potrafiło latać. Wzbiła je w powietrze, kazała lecieć ku kotwicy, gdzie straciła z nim kontakt. Widok z poziomu ulicy nie miał nic wspólnego ze spokojnym obrazkiem, jaki dziewczyny oglądały z góry. To, co zobaczyła Sarai, ani trochę nie przypominało krajobrazu, który oglądała jeszcze przed momentem. Nad wszystkim wisiała mgielka kurzu i dymu, podświetlona trupio bladym blaskiem ognia bijącym od miejsca eksplozji. Stąd nie przypominało to fajerwerku, ale pożogę. Sarai przeczesywała teren tuzinami oczu. Nic nie miało sensu. Była niemal pewna, że dokładnie w tym miejscu straciła Lazla, ale topografia terenu się zmieniła. Kamienne bloki stały tam, gdzie jeszcze przed chwilą było zupełnie pusto; rzuciła je tu siła wybuchu.

Pod jednym z nich dostrzegła przygniecione ciało.

„Nie”, krzyknęła dusza Sarai.

Czasem tylko tyle można z siebie wydobyć. Niekończące się echo jednego z najkrótszych słów.

„Nie nie nie nie nie” aż do wieczności.

Kamienie stanowiły całe części muru, nie byle jakie odłamki. Sarai poznała fragmenty muralu i zobaczyła spoglądającą na pogorzelnisko namalowaną twarz Isagol, której ziejąca rana na podciętym gardle przypominała uśmiech. Sarai wyczyściła umysł. Zostało tam tylko zduszone „Nie”.

Usłyszała jęk. Wszystkie ćmy poleciały prosto do przygnieczonego ciała i od razu od niego odskoczyły.

Nie był to bowiem Lazlo, a Drave. Leżał twarzą do ziemi, trafiony kamiennym blokiem podczas ucieczki przed chaosem, który spowodował. Miał zmiażdżone nogi i miednicę. Szarpał ziemię rękoma, jakby próbował się wydostać. Zaszklily mu się oczy, bąbelki krwi zbierały się przy nozdrzach. Sarai nie miała zamiaru się przyglądać, jak umiera. Jej umysł skurczył się do pojedynczego „Nie”, które naznaczyła jednak nadzieja. Ćmy rozdzieliły się i przecinały chmury gęstego dymu, aż znalazły inne ciało, rozciągnięte płasko na ziemi, nieruchome.

Tym razem ujrzała Lazla. Leżał na plecach z zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami, był blady, a biel jego twarzy przecinały jedynie strużki ciekącej mu z nosa i oczu krwi. Szloch zebrał się Sarai w gardle, jej ćmy przyśpieszyły, by dostać się do niego jak najszybciej i zobaczyć, czy jego duch nadal płynie, czy jego skóra nadal jest ciepła. Posadziła pojedynczego owada na ustach Lazla, inne na czole. Kiedy tylko ćmy go dotknęły, przeskoczyła do umysłu chłopaka, znalazła się z dala od kurzu, dymu i pomalowanej ogniem nocy, w miejscu... którego nigdy nie widziała.

Sad. Ale wszystkie drzewa były ogołoczone z liści i szerniały.

– Lazlo – zawołała i z jej ust dobył się obłoczek pary.

Chmurka odpłynęła od niej i rozproszyła się. Wszystko jakby zamarło. Zrobiła krok naprzód, a pod jej bosymi stopami zachrząścił szron. Zrobiło się bardzo zimno. Zawołała



Lazla ponownie i patrzyła, jak raz jeszcze formuje się i ulatuje charakterystyczna mgiełka. Nie doczekała się odpowiedzi. Chyba była tam sama. Strach zadomowił się na dnie jej żołądka. Znajdowała się w jego umyśle, co znaczyło, że jeszcze żył – ćma siedząca na jego ustach wyczuwała zresztą delikatny powiew oddechu – ale gdzie się podział? Gdzie ona się znalazła? Co to za miejsce? Krążyła między drzewami, rozgarniając cieniutkie gałązki rękoma i przyśpieszając kroku, coraz bardziej podenerwowana. Bo co mogło znaczyć to, że go tutaj nie było?

– Lazlo! – zawołała. – Lazlo!

Wyszła na polanę i nareszcie go zobaczyła. Na klęczkach rozgrzebywał ziemię gołymi rękoma.

– Lazlo!

Podniósł głowę. Wydawał się otumaniony, lecz oczy mu zabłysnęły, kiedy ją zobaczył.

– Sarai? Co ty tutaj robisz?

– Szukam cię – odparła Sarai; podbiegła do niego i objęła, ucałowała twarz, syciła się jego zapachem. – Lepiej mi powiedz, co ty tutaj robisz. – Złapała go za brudne ręce i ścisnęła.

Dłonie miał upačkane czarnym błotem, paznokcie połamane i popękane od zmarzniętej ziemi.

– Szukam czegoś.

– Czego?

– Mojego imienia – odparł niepewnie. – Prawdy.

Sarai dotknęła delikatnie jego skroni, przelękając zatykający ją strach. Skoro siła eksplozji odrzuciła go tak daleko, musiał uderzyć się w czaszkę naprawdę mocno.

A co, jeśli został ranny? Albo... uszkodzony? Położyła mu dłonie na głowie, rozpaczając, że nie ma jej teraz przy nim, że nie może oprzeć go o swoje uda i głaskać jego twarzy, być przy nim, gdy nareszcie się obudzi. Bo była pewna, że się obudzi. Że nic mu nie będzie. To oczywiste.

– I... myślisz, że tu jest? – zapytała, niepewna, co powiedzieć.

– Coś na pewno – odparł i... miał rację.

Owo coś było ubrudzone ziemią, ale kiedy Lazlo wyciągnął znalezisko, czarne grudki momentalnie się odlepiły i załśniło perłową bielą. Przypominało... pióro? Lecz nie zwyczajne pióro, bo jego krawędzie wydawały się topnieć, jakby zaraz miało zniknąć.

– Zjawa – zdziwiła się Sarai.

– Biały ptak – powiedział Lazlo.

Nie spuszczał oka z pióra, obracał je w dłoni. Na skraju jego pamięci migotały porozbijane obrazy białych piór i skrzydeł wyłobionych na tyle gwiazd. Lazlo zmarszczył brwi. Pochwycenie tych wspomnień było jak próba złapania odbicia księżyca. Jak tylko wyciągnął rękę, odkształcały się i znikwały.

Sarai z kolei zastanawiała się, co tam robiło pióro Zjawy, zakopane głęboko w podświadomości Lazla. Lecz był to sen – jak nic narzucony uderzeniem w głowę – i pewnie nic nie znaczył.

– Lazlo – powiedziała, oblizując usta; rozgrzany strach ścisnął jej gardło i pierś –

czy pamiętasz, co się stało? Wiesz, gdzie jesteś?

Chłopak się rozejrzył.

– To przyklasztorny sad. Bawiłem się tutaj kiedyś.

– Nie – odparła. – Mówisz o śnie. Pytam, czy wiesz, gdzie naprawdę jesteś.

Lazlo zmarszczył czoło.

– Sz... szedłem – odpowiedział – do północnej kotwicy.

Sarai pokiwała głową. Pogłaskała go po twarzy, dziwiąc się, że tyle dla niej znaczył, choć spędzili ze sobą tak niewiele czasu – ten krzywy nos, ociosane byle jak policzki, rzęsy kota i rozmarzone oczy. Chciała z nim zostać, to jedyne, czego pragnęła, nawet tutaj, w tym ponurym miejscu. Pół minuty i przemieni ją w raj, oszronione kwiaty zakwitną na nagich, czarnych drzewach, wyrosnie nieduży domek z pękatym piecykiem i rzuconą przy nim na ziemię wełnianą kapą, na której mogliby się kochać. Ostatnią rzeczą – ale naprawdę ostatnią – jakiej chciała, było wypchnąć go za drzwi, przez które sama nie mogła przejść. Lecz ucałowała jego usta, potem powieki i wyszeptła to, co konieczne.

– Lazlo, ukochany, musisz się już obudzić.

I tak też się stało.

\*\*\*

Zamiast spokoju sadu i pieszczot Sarai Lazlo po obudzeniu zastał...

Ciszę, która nie była ciszą, lecz wywróconym na nice dźwiękiem. Głowa mu od niego nabrzmiała i mało nie pękła, lecz nie potrafił wychwycić najmniejszego nawet szmeru. Stracił słuch, dławił się gęstym powietrzem. Pył. Dym. Skąd...? Czemu leżał na ziemi?

Próbował się podnieść. Bezskutecznie.

Leżał dalej, bez ruchu, mrugając, aż zaczął rozróżniać wyraźniejsze kształty na tle mgły. Nad sobą ujrzał fragment nieba. Nie, nie nieba. Cytadeli. Zarys skrzydeł serafina.

Zarys skrzydeł. Tak. Udało mu się złapać i przytrzymać wspomnienie – białe skrzydła przysłaniające gwiazdy – choć tylko na krótką chwilę, czemu towarzyszyło uczucie nieważkości będące antytezą tego, czego doświadczał teraz, leżąc na wznak na ulicy, w cieniu cytadeli.

Sarai. Tam była Sarai. Jej słowa nadal dźwięczały mu w głowie, jej ręce nadal spoczywały na jego twarzy. Przed chwilą siedziała obok...

Nie, to tylko sen. Sama tak powiedziała. Szedł do kotwicy, kiedy... Pamiętał biegnącego Drave'a i białe światło. Powoli zaczynał rozumieć. Eksplozja. Eksplozja. To robota Drave'a. Ale co zrobił?

Dzwonienie wyparło panującą pod jego czaszką ciszę. Narastało. Potrząsnął głową, starając się je przegonić, ćmy odleciały z jego policzków i czoła, fruwały tuż obok niczym żywa korona, lecz dzwonienie stawało się coraz głośniejsze. Nie do wytrzymania. Udało mu się przewrócić na bok, podeprzeć łokciami i kolanami. Dźwignął się. Zmrużył oczy, piekły go od rozgrzanego, brudnego powietrza, i rozejrzył się. Dym rozchodził się niczym mahalath, ogień płonął nad postrzępionymi dachami kamienic, które wyglądały jak połamane zębiska. Lazlo czuł na twarzy żar płomieni, lecz nadal nie słyszał trzasku ognia, jedynie dzwonienie.

Podniósł się. Świat obracał się wokół niego. Upadł i znowu wstał, tym razem wolniej.

Pył i dym wędrowały nad powierzchnią rzeki, pośród wysepek gruzu – kawałków dachów i ścian, a nawet nad postawionym na sztorc żelaznym piecykiem, który wyglądał, jakby dopiero co przywieziono go na wozie. Lazlo zadrżał, myśląc o swoim szczęściu, że nie został niczym trafiony. Przyszło mu to do głowy, kiedy zobaczył Drave'a; jego z kolei dopadł pech.

Słaniając się na nogach, klęknął obok mężczyzny. Jako pierwsze ujrzał spoglądające z muralu oczy Isagol. Eksplozjasta patrzył na niego spojrzeniem przysypanym pyłem, niewidzącym.

Martwym.

Lazlo szedł dalej, choć chyba jedynie głupiec prze ku ogniu, a nie od ognia. Musiał zobaczyć, co zrobił Drave, lecz to nie jedyny powód. Kiedy nastąpił wybuch, szedł do kotwicy. Nie potrafił sobie przypomnieć po co, lecz cokolwiek to było, potrzeba go nie opuściła i ciągnął dalej ku niej.

„Mojego imienia – powiedział Sarai, zapytany, czego szukał. – Prawdy”.

Jakiej prawdy? Wszystko się zamazało, zarówno w myślach, jak i rzeczywistości. Jak głupiec parł ku ogniu, ale miał dobre towarzystwo. Nie słyszał, że nadchodzą, zobaczył ich, kiedy mijali go biegiem: z koszar wybiegli Tizerkane'owie, srożsi niż zwykle. Któryś zatrzymał się obok niego. Ruza. Dobrze było zobaczyć jego twarz. Poruszał ustami, ale Lazlo nie usłyszał ani słowa. Pokręcił głową i dotknął uszu, aby Ruza zrozumiał, co się dzieje. Poczuł na palcach mokrą lepkość. Spojrzał na nie i ujrzał czerwień.

Nie był to dobry znak.

Ruza również to zobaczył i chwycił Lazla za ramię. Bibliotekarz nigdy nie widział swojego przyjaciela tak poważnego, chciał zażartować, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Odtrącił dłoń wojownika i przywołał go gestem.

– Chodź – powiedział, choć swojego głosu również nie usłyszał.

Razem wyszli za róg, by sprawdzić, jakie szkody spowodowała eksplozja.

Ciężki, szary dym unosił się ku niebu. Rozchodził się gryzący smród saletry, powietrze zrobiło się gęste i ziarniste. Zniknęły ruiny otaczające kotwicę od wschodniej strony. Po niszczących budynkach zostało jedynie płonące gruzowisko. Była to isticie apokaliptyczna scena, a zarazem... spokojna. Nikt nie biegał i nie krzyczał. Na szczęście dzielnica była opustoszała, nie musieli nikogo ewakuować ani nikogo i niczego ratować. Nad tym bałaganem górowała kotwica. Potworna siła eksplozji nawet jej nie zadrasnęła. Lazlo dostrzegł sylwetkę Rasalasa, rozmytą przez zasłonę rozproszonego światła bijącego od ognia. Bestia wyglądała na nietykalną, jakby już zawsze miała tam siedzieć i łytać swoim morderczym spojrzeniem na miasto.

– Nic ci nie jest? – dopytywał się Ruza.

Lazlo skinął głową i zorientował się, że zaczyna słyszeć. Słowa dochodziły do niego zniekształcone, jakby spod wody, nadal dzwoniło mu w uszach, ale rozumiał Rużę.

– Nic mi nie jest – odparł, zbyt roztrzęsiony, żeby czuć ulgę.

Opuszczała go jednak panika i dezorientacja. Zobaczył Eril-Fane'a wydającego rozkazy. Podjechał wóz strażacki. Płomienie przygasaly, zdążyły pożreć stare drewno i wszystko mieli już pod kontrolą. Chyba nikt nie ucierpiał, poza Drave'em, ale za nim nikt nie zapłacze.

– Mogło być o wiele gorzej – powiedział Lazlo, czując, jakby im się upiekło.

I wtedy, w odpowiedzi, ziemia wydała głęboki, przeszywający trzask i powaliła go na kolana.

Drave wsunął ładunek wybuchowy w wyłom, jaki Thyonowi udało się wytopić za pomocą alkahestu. Traktował metal jak kamień, bo znał jedynie kopalnie i zbocza gór. Kotwica była dla niego niewielkim wzniesieniem, dlatego pomyślał, że tym sposobem dokopie się do środka konstrukcji i obnaży jej mechanizmy szybciej niż Nero, tym samym odnosząc zwycięstwo.

Ale mesartjum nie było kamieniem, a kotwica górą.

Metal ponownie okazał się niezniszczalny, dlatego spora część siły eksplozji, napotykać opór w górnej części, musiała szukać ujścia... niżej.

Przez uporczywe dzwonienie przekradł się jeszcze jeden dźwięk, a może raczej... drżenie? Ryk, huk. Lazlo czuł to w kościach.

– Trzęsienie ziemi! – zawołał.

Ziemia pod jego stopami może i służyła miastu za swoistą podłogę, lecz była również stropem dla niezbadanego, rozłożystego systemu korytarzy, którymi płynęła rzeka Uzumark i gdzie w zasklepionych jamach pływały mityczne stwory. Nikt nie wiedział, jak głęboko sięgały tunele, lecz teraz kolejne warstwy podziemi waliły się jedna po drugiej. Skala macierzysta została uszkodzona przez wybuch i trzasnęła, nie dała rady dłużej utrzymać ciężaru kotwicy. Siateczka pęknięć rozwidlała się od podstawy mesartjum jak na gipsie.

Lazlo nie mógł utrzymać się na nogach. Nigdy nie doświadczył trzęsienia ziemia.

Zupełnie jakby stał na membranie bębna, na którym ogromne łapska wygrywają chaotycznie rytm. Zataczał się po każdym wstrząsie i patrzył z chorobliwym zadziwieniem, jak pęknięcia poszerzają się do rozmiaru ogromnych rozpadlin, wystarczająco dużych, aby pochłonąć człowieka. Lapisowe kamienie brukowe odkształciły się dziwnie, na brzegach zapadły się i zniknęły, a z rozpadlin powstały przepaści.

– Strange! – zawołał Ruza, ciągnąc go do siebie.

Lazlo pozwolił mu na to, ale nie odrywał wzroku od kataklizmu.

Myśl, co będzie dalej, uderzyła go nagle jak młotem. Jego zdumienie przerodziło się w strach. Nie spuszczał oczu z telepiącej się kotwicy. Słyszał przerażający zgrzyt kamienia o metal, kiedy ziemia ustępowała pod ciężarem mesartjum. Monolit przechylił się i zaczął się zatapiać, przedzierając się przez kolejne warstwy ziemi, przecinając je, jakby wykonano je z papieru.

Dźwięk ten rozdzierał duszę. Apokalipsa nie była już dłużej cicha.

Kotwica poszła pod ziemię niczym tonący okręt.

Nad ich głowami, z przyprawiającym o mdłości szarpnięciem, drgnęła cytadela Mesarthimów.

Feral spał w łóżku Ruby.

Ruby i Jaskółka wyglądały za ogrodową balustradę, obserwowały pożar w mieście.

Minya siedziała w sercu cytadeli na skraju chodnika, machając nogami.

Sarai klęczała na swoim tarasie i wyglądała za krawędź dłoni.

Nigdy za ich życia cytadelą nie targnęła największa nawet wichura. A teraz, bez ostrzeżenia, nagle się przechyliła. Horyzont przekrzywił się jak obrazek na ścianie. Zrobiło im się niedobrze, podłoga uciekła im spod nóg. Stracili grunt. Jakby się unosili. Na długą sekundę, może dwie, zawisli nad ziemią. Aż przypomniała sobie o nich grawitacja i cisnęła nimi o posadzkę.

Feral zbudził się, wypadając z łóżka. Pierwsze, o czym pomyślał, to Ruby. Zdezorientowany, sądził, że go wypchnęła. Po chwili jego myśli otrzeźwiały – czyżby się sturlał? Zmartwił się, czy wszystko w porządku z Ruby. Uderzył o ścianę głową, ale jakoś udało mu się pozbierać i podnieść z ziemi.

– Ruby! – zawołał.

Bez odpowiedzi. Był sam w pokoju. Cała komnata wydawała się... przechylona?

Minya spadła z chodnika, lecz zdołała chwycić się jego krawędzi i zawisnąć. Bujała się tak jakieś piętnaście metrów nad podłogą okrągłego pomieszczenia. Ari-Eil stał obok, lecz nie zareagował na przechył, nie dotyczyły go prawa grawitacji, nie potrzebował nawet oddychać. Jego czyny nie były jego czynami, ale nadal miał swoje myśli, i kiedy ruszył chwycić Minyę za nadgarstki, zaskoczyło go własne rozdarcie. Nienawidził tej dziewczynki, życzył jej śmierci. Konflikt ten nie miał bezpośrednio nic wspólnego z nią. Tyle że to ona dzieliła go od nicości. Kiedy umrze, on zniknie.

Ari-Eil zrozumiał, wciągając Minyę z powrotem na chodnik, że jeszcze nie chce zniknąć.

W ogrodzie i na tarasie trzy dziewczyny o maźniętych śliwkami ustach i z kwiatami we włosach – Ruby, Jaskółka i Sarai – uniosły się leciutkie jak piórka i nie było tu duchów, aby je złapać, ani ścian, o które mogłyby uderzyć.

To znaczy duchy były, lecz krępowały je surowe rozkazy Minyi, niepozwalające na dokonanie wyboru, którego być może by dokonały, a być może nie: czy złapać boskie pomioty, czy pozwolić im wypaść prosto ku niebu? Bahar by pomogła, ale nie dała rady się ruszyć. Mogła tylko patrzeć.

Palce chwytające metal i gałęzie śliwy.

I powietrze.

Jedna z dziewczyn – nigdy nie traciła gracji, nawet teraz – ześlizgnęła się z tarasu.

Spadła.

Od Szlochu dzieliła ją długa droga, ale tylko pierwsze chwile były okropne.

I jeszcze ta ostatnia.

Lazlo patrzył z uniesioną głową i lękiem na niewyobrażalny widok. Cytadela wychyliła się ze swojej osi i przez kłęby dymu oraz chmury pyłu zobaczył, jak coś z niej wypada. Malutkie, dalekie coś. Ledwie pyłek, może jakiś ptak.

„Sarai”, pomyślał, lecz rychło odegnał od siebie podobną możliwość. Wszystko było takie nierzeczywiste, podszyte nieprawdopodobieństwem. Coś istotnie wypadło z cytadeli, lecz to nie mogła być przecież ona, tak jak ogromny serafin nie miał prawa się przechylić.

A jednak. Zupełnie jakby nachylał się nad miastem, aby móc mu się lepiej przyjrzeć. Delegaci debatowali na temat przeznaczenia kotwic, podejrzewając, że nie pozwalają cytadeli unieść się wyżej i odlecieć. Lecz teraz poznano prawdę. Bloki mesartjum utrzymywały ją w pionie. Budowla przekrzywiała się powoli, ale nadal przytrzymały ją pola magnetyczne od wschodu, zachodu i południa. Straciła jednak równowagę, jak stół, któremu odcięto jedną nogę; mogła się przekrzywić tylko do pewnego momentu, aż się przewróci.

Cytadela zawali się na miasto. Uderzenie będzie potężne. Nikt nie przeżyje. Lazlo widział to gołym okiem. Szloch przestanie istnieć, a oni wszyscy razem z miastem. On, Sarai, marzenia, nadzieja.

Miłość.

To nie mogła być prawda. To nie mogło się tak skończyć.

Nigdy nie czuł się tak bezsilny.

Katastrofa na niebie wydawała się odległa, powolna, niemal błoga. Lecz to, co działo się na ziemi, stanowiło skrajne przeciwieństwo owego spokoju. Cała ulica zniknęła. Zapadająca się kotwica torowała sobie drogę przez skorupy i osady, pęknięcia poszerzały się do rozpadlin i łączyły, tworząc przepaści, ciskając kawały ziemi i kamienie prosto w ciemność, gdzie spieniony Uzumark podejmował pierwsze próby wydostania się z tuneli. Huk, grzmot. Tylko tyle słyszał Lazlo i tylko tyle czuł. Dźwięki go przenikały. Mimo tego wszystkiego nie potrafił oderwać oczu od kotwicy.

Impuls doprowadził go aż tutaj, teraz przejęło kontrolę coś silniejszego. Instynkt albo obłąd, sam nie potrafił powiedzieć, ale nie zastanawiał się nad tym. Nie miał miejsca na podobne myśli, bo głowa mu spuchła z przerażenia i wypełniła się hukami, tylko jedna rzecz przebijała się przez cały ten raban – potrzeba jak najszybszego dotarcia do kotwicy.

Przyciągało go lśnienie niebieskiej powierzchni. Bez zastanowienia szedł przed siebie. Serca podeszły mu do gardła. Jeszcze niedawno szeroka aleja przeistaczała się w dziurę o postrzępionych brzegach, którą wypełniała bulgocząca czarna woda. Ruza złapał go za ramię. Krzyczał coś. Lazlo przez hałas nie dosłyszał, ale z łatwością odczytał słowa z ruchu warg.

– Wracaj! – krzyczał Ruza. – Życie ci niemiłe?

Lazlo nie chciał umierać. Pragnienie pozostania przy życiu nigdy nie było w nim tak wielkie. Jakby usłyszał piękną pieśń, dzięki której zrozumiał nie tylko istotę sztuki,

ale i życia. Szarpała go za trzewia i podnosiła na duchu, wrywała serca i oddawała większe. Nie chciał umierać, a jeszcze bardziej chciał żyć.

Wszyscy wokół upadali na ziemię, nawet Eril-Fane, jakby leżąc mieli być bezpieczniejsi. Nigdzie jednak nie było bezpiecznie, nie, kiedy cytadela miała lada chwila runąć. Lazlo nie mógł po prostu uciec i patrzeć z boku na tragedię. Musiał coś zrobić. Całe jego ciało krzyczało, żeby działał, i zarówno instynkt, jak i obłąd podpowiadały mu, co dalej:

„Idź do kotwicy”.

Wyrwał się Ruzie i odwrócił się do bloku mesartjum, choć nadal się wahał.

„Mój chłopcze – usłyszał w myślach słowa starego mistrza Hyrrokkina, łagodne i szczerze – jak miałbyś mu pomóc?”

Odezwał się też mistrz Ellemire, już mniej łagodnie, lecz także szczerze: „On raczej nie rekrutuje bibliotekarzy”.

Dołączył do nich, jak zawsze, głos Thyona Nero:

„Oświeć mnie, Strange. Jakim cudem i na jakim świecie mógłbyś mi pomóc?”.

Na jakim świecie?

W świecie snu, gdzie mógł robić wszystko, nawet latać. Nawet kształtować mesartjum. Nawet trzymać Sarai w objęciach.

Wziął głęboki oddech. Prędzej umrze, starając się unieść świat na swoich barkach, niż ucieknie. Bo lepiej biec przed siebie niż stać. I tak też postąpił. Pozostali słuchali zdrowego rozsądku albo rozkazów i uciekali ku, jak się przynajmniej w danej chwili wydawało, bezpiecznym miejscom, tuż przed nadejściem ostatecznego kataklizmu. Ale nie Lazlo Strange. On udawał, że to sen, tak było prościej. Pochylił głowę i biegł, sunął niczym taran.

Nad samobójczym krajobrazem zapadającej się ulicy, wokół wzburzonej piany wyplutej przez umykający Uzumark, nad okopconym brukiem i dymiącymi ruinami biegł ku niebieskiemu metalowi, który wydawał się go usilnie do siebie wzywać.

Zobaczył go Eril-Fane.

– Strange! – krzyknął.

Zabójca Bogów patrzył to na cytadelę, to na kotwicę, jego przerażenie się pogłębiało, fatum rozgrzebywało duszę paluchami: córka, która przetrwała tyle lat, miała teraz umrzeć. Zatrzymał się, jego wojownicy również. Odprowadzali Lazla wzrokiem. To szaleństwo, owszem, ale było w tym jego biegu coś pięknego. Zrozumieli, teraz już wszyscy, jak bliski ich sercom stał się młody przybysz. I choć wiedzieli, że zmierza ku nim śmierć, żaden nie chciał patrzeć, jak Lazlo umiera pierwszy. Przyglądali się, jak przedziera się przez osypujące się sterty gruzu, traci grunt pod nogami i ześlizguje się z powrotem na ziemię, ale podejmuje kolejną próbę, brnie wytrwale, aż dociera do celu: niemożliwej do pokonania ściany metalu, znikającej teraz pod ssącą ziemią.

Choć blok mesartjum szybko się zapadał, nadal miał imponujące rozmiary. Dlatego absurdem wydawało się to, co zrobił Lazlo. Wyciągnął ręce nad głowę i napał na kotwicę z całej siły, jakby potrafił samodzielnie ją utrzymać. Tak rzeźbiło się figury bogów, w takiej pozycji serafin ze świątyni Thakry podtrzymywał niebiosa. Mogło się wydać niedorzecznością, że Lazlo podejmuje podobną próbę, lecz nikt nie śmiał oderwać od



niego wzroku. Dlatego wszyscy dobrze widzieli, co się stało – zupełnie jakby doświadczyli zbiorowej halucynacji – choć tego nie rozumieli. Tylko Thyon Nero wiedział, co tak naprawdę ma przed oczyma. Przybiegł zdyszany. Biegł ze swojego laboratorium, ściskając kawałek mesartjum, rozpaczliwie rozglądając się za Strange'em, któremu miał powiedzieć... co takiego? Że odcisnął swoje palce na metalu i że mogło to coś oznaczać?

Cóż, nie musiał, bo ciało Lazla samo podpowiedziało mu, co robić.

Chłopak poddał mu się, tak jak poddał się mahalath. Przejęła nad nim kontrolę głęboka część jego umysłu. Docisnął dłonie do mesartjum, zadrżały zgodnie z rytmem jego serc. Metal był chłodny, ale... żywy. Nawet mimo panującego wokół zamieszania i hałasu, nawet mimo ziemi osuwającej mu się spod nóg Lazlo wyczuwał zmianę. Coś na kształt szumu, buczenie przypominające drżenie ust, ale na całym ciele, jakby stał się boleśnie świadomy swojej struktury, obrysu kończyn i płaszczyzn twarzy, a jego skóra ożyła dzięki subtelnym wibracjom. Drgania były silniejsze tam, gdzie jego ręce stykały się z metalem. Cokolwiek się w nim budziło, budziło się także w metalu. Albo to Lazlo absorbował mesartjum, albo ono jego. Metal stawał się nim, a on metalem. Było to zupełnie nowe uczucie, intymniejsze niż dotyk. Rozchodziło się od rąk, rozprzestrzeniało; puls krwi, ducha i... mocy. Thyon Nero miał rację. Lazlo Strange nie był osieroconym wieśniakiem z Zosmy.

Lazla opanowało uniesienie, a z nim rozwijały się nowe zmysły, zawładnęły nim i nęciły go, szukały i znajdowały. Odkrył w sobie przecinające się pola energii – tej samej niezgłębionej siły, która utrzymywała cytadelę w powietrzu – i odczuwał je wszystkie naraz: cztery kotwice i ogromny ciężar, który na nich spoczywał. Jedna z nich przechyliła się jednak i cały ten pieczołowicie wyrysowany schemat został przerwany, część zatarta. Naruszono równowagę. Lazlo poczuł to tak wyraźnie, jakby ciało serafina było jego ciałem, powoli spadającym ku ziemi. Dzięki temu pojął, co powinien natychmiast zrobić.

Skrzydła. Musiał je tylko złożyć.

„Tylko!”

Rozłożył skrzydła, których cień padał na całe miasto. Miał je złożyć jak dama wachlarz.

Okazało się jednak, że to faktycznie jest takie proste. Dysponował bowiem zupełnie nowym językiem, którym mówił przez skórę. Ku zaskoczeniu samego Lazla, dobrze go znał. Pomyślał o czymś, a mesartjum go słuchało. Na niebie nad Szlochem anioł złożył swoje skrzydła i na miasto spłynęło blokowane przez piętnaście lat światło księżyca, blask gwiazd, które po tak długim okresie ciemności wydawały się mieszkańcom jasne niczym słońce. Światłość przebijała się przez kłęby dymu i pyłu, kiedy nowy ośrodek ciężkości budowli dostosowywał się do trzech pozostałych kotwic.

Lazlo wszystko to czuł. Buczenie, które zagnieździło mu się gdzieś wewnątrz, otworzyło przed nim nieznanym wymiar percepcji, nadało mesartjum nowy sens, a on stał się jego panem. Balansowanie cytadelą było tak proste, jak złapanie równowagi na nierównym gruncie. Bez wysiłku wyprostował ogromnego serafina, niczym człowiek powstający z ukłonu.

Przez cały ten czas pozostawał maksymalnie skupiony, nie miał absolutnie żadnej

świadomości, co się działo wokół. Gdzieś głęboko w sobie czuł przechodzącą przez niego energię, podążał tam, gdzie go prowadziła. Nie tylko anioł się zmienił. Kotwice również. Wszyscy, którzy obserwowali tę scenę, patrzyli, jak ich pozornie niezniszczalna powierzchnia topi się i spływa ku podziemiom, zatyka pęknięcia w skale i wyrównuje ulice, rozkładając swój ciężar równo na uszkodzonych fundamentach.

Pozostał jeszcze Rasalas.

Lazlo nie był świadomy, że to robi. Działała mahalath jego duszy, przerabiała potwora tak, jak on robił to podczas śnienia. Jego sylwetka przekształcała się ze złowrogiej i pokrzywionej w zgrabną i sprężystą. Rogi monstrum zmniejszyły się, wydłużyły, po czym zawinęły na końcach i skręciły niczym tusz wylany do wody. Kotwice roztopiały się i wylewały, bestia siedziała na kurczącym się bloku mesartjum, zbliżając się do poziomu ulicy. A zanim kotwice nareszcie stanęły, zanim wszystko ustało – trzęsienie ziemi i dmuchanie pyłu – i anioł zajmujący nową pozycję znieruchomiał, zebrani ujrzeli, jak Lazlo Strange rzuca się naprzód z pochyloną ku kotwicy głową, wyciąga ręce i zatapia dłonie po nadgarstki w płynnym metalu, mając nad sobą przerobioną przez siebie, przycupniętą bestię. Stał przed nim potwór Skathisa, lecz wyrzeźbiony nie z koszmaru, ale z serca. Scena ta była... cudowna. Złożył się na nią bowiem samobójczy bieg Lazla ku metalowemu blokowi, pewność nadchodzącej śmierci i nadzieja tłąca się niczym szalony ogień wśród mroku, kiedy wznosił ręce, aby unieść na swych barkach świat. Jeśli istniała sprawiedliwość, owa scena musiała zostać wyrzeźbiona w demonoszkle i jako posąg postawiona w tymże miejscu, aby upamiętnić wyzwolenie Szlochu.

Drugie wyzwolenie Szlochu i jego nowego bohatera.

Niewielu ma szczęście zobaczyć czyn godny miana legendarnego. Bo jak to się dzieje, że wydarzenia z dnia, nocy – albo życia – przerabia się na opowieść? Istnieje w nich pewna przestrzeń, którą dopiero wypełnią zachwyty i lęk przekute na słowa. Pustka ta spadła na ulice Szlochu. Ciemnej nocy Drugiego Szabatu Dwunastego Księżyca przy roztopionej północnej kotwicy zapadła niezmacona niczym cisza.

Lazlo skończył. Równowaga energii została przywrócona. Miasto i cytadela były bezpieczne, wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Lazla przesyciło uczucie spełnienia. Tym był. Tym był. Może i nie znał swojego prawdziwego imienia, lecz miejsce wewnątrz jego duszy nie pozostawało już dłużej puste. Uniósł głowę. Na twarzy miał krew, włosy przyprószył mu szary popiół z walących się kamienic. Może dlatego, że nie widział, jak to wszystko się rozegrało, tylko odczuł, a może dlatego, że było to takie... proste, nie pojął skali, nie zrozumiał wagi tej chwili. Nie wiedział, że pustka wypełnia się legendą. Jego legendą. Nie czuł się bohaterem, ale nie czuł się też potworem.

Lecz wśród nich, tam, gdzie legenda obrastała słowami, znajdował się potwór.

Lazlo otworzył oczy, pojmując, że nadal istnieje świat poza jego umysłem, ale świat ten dźwięczał echem pustki. Usłyszał za sobą kroki, ostrożne i liczne. Zupełnie jakby ludzie ci nieśli ze sobą ciszę niczym opończę. Nie było ani okrzyków radości, ani westchnień ulgi. Ledwie dało się wyłapać pojedyncze oddechy. Dotarło do niego, że jego dłonie nadal tkwiły w metalu. Wyciągnął je czym prędzej, z łatwością, jakby wyjmował je z wody. I... nie mógł oderwać od nich oczu.

Pewnie nie powinno go dziwić to, co zobaczył, ale jednak zdziwiło. Poczuł się, jakby śnił, bo tylko we śnie jego dłonie tak wyglądały. Nie miały już bowiem brązowej barwy spieczonej słońcem skóry ani nie odstraszały chorowitą szarością wygłodzonych dziecięcych buziek.

Miały jasny, lazurowy kolor.

Były niebieskie jak chaber albo jak skrzydła ważki, jak wiosenne – nie, letnie – niebo.

Niebieskie jak tyrania, jak zniewolenie, jak mordy, które niechybnie się rozpoczną. Jeszcze nigdy kolor nie miał tak głębokich znaczeń.

Lazlo odwrócił się do zebranych, do Eril-Fane'a, Azareen, Ruzy, Tzary, pozostałych Tizerkane'ów, do Calixte i Thyona Nero. Wszyscy gapili się na niego, na jego twarz tak samo niebieską jak dłonie, i borykali się – wszyscy poza alchemikiem – z obezwładniającym dysonansem poznawczym.

Młody mężczyzna, którego znaleźli w bibliotece dalekiego kraju, którego zaprosili do swoich serc i swoich domów, którego cenili bardziej niż jakiegokolwiek znanego im obcokrajowca, był też, co nie wydawało się przecież możliwe, boskim pomiotem.

Stali nieruchomo, bez słowa, zamarli, na ich twarzach odmalowały się szok i niedowierzanie – stanowiło to istne odbicie tego, co Lazlo sam o sobie myślał: bohater, potwór. Boski pomiot.

Ujrzał na ich obliczach podjęte przez nich próby pogodzenia tego, co do tej pory o nim wiedzieli, z tym, co przed chwilą ujrzeli, zadumę nad znaczeniem tego wszystkiego. Ich wdzięczność przeplotła się z nieufnością i poczuciem zdrady.

Można by w tych okolicznościach – bo przecież uratował im życie – spodziewać się z ich strony akceptacji, może nawet uniesienia, jakiego doświadczył Lazlo, lecz korzenie podszytej strachem nienawiści sięgały zbyt głęboko. Stopniowo i konsekwentnie na twarzach zebranych grymas niepewności zastępowało obrzydzenie. A on nie potrafił im wyjaśnić, co zaszło. Sam nie potrafił poukładać swoich myśli przypominających błotnisty wir rozmaitych barw i emocji.

Lazlo spojrzał na Eril-Fane'a, który w szczególności nie potrafił się otrząsnąć.

– Nie wiedziałem – powiedział mu. – Przysięgam.

– Ale jak? – wydyszał mężczyzna. – Jak to możliwe, że jesteś... tym?

Co mógł mu powiedzieć? Sam chciałby poznać odpowiedź. Jakim cudem dziecko Mesarthimów znalazło się w Zosmie, na wyładowanym sierotami wozie? Jediną wskazówką, jaką dysponował, było zakopane białe pióro, odległe wspomnienie skrzydeł na niebie, poczucie nieważkości.

– Nie mam pojęcia.

Niewykluczone, że odpowiedź kryła się w cytadeli. Odchylił głowę, spojrzał na budowlę i opanowała go euforia. Nie mógł się doczekać, aż powie Sarai. Aż jej pokaże. Nie musiał nawet czekać na zapadnięcie zmroku, mógł tam polecieć teraz, od razu. Była tam przecież, prawdziwa i ciepła, czekały tam jej ciało i oddech, i śmiech, i zęby, i bosa stopy, gładkie niebieskie łydki, cynamonowe włosy. Nie mógł się doczekać, aż się jej pokaże. Mahalath miała rację, choć nie udało jej się odgadnąć posiadanego przezeń daru.

Jego dar. Zaśmiał się głośno. Niektórzy Tizerkane'owie skrzywili się na ten dźwięk.

– Nie rozumiecie, co to oznacza? – zapytał.

Głos miał donośny i pełen zachwytu, wszyscy przecież doskonale go znali, to głos ich bazarza, zarówno szorstki, jak i gładki, głos przyjaciela, który powtarzał po nich każdą głupawą frazę, jaką go karmili podczas lekcji języka. Znali go, czy był niebieski, czy nie. Chciał odepchnąć na bok szpetotę kilkusetletniej nienawiści i pętającego duszę strachu, pragnął rozpocząć nową erę. Po raz pierwszy wydawało się to możliwe.

– Mogę przesunąć cytadelę – powiedział.

Mógł też uwolnić miasto od cienia, uwolnić Sarai. Bo czegoż nie potrafił na tym świecie, kiedy był jednocześnie bohaterem i potworem? Znowu się roześmiał.

– Nie rozumiecie? – zapytał, tracąc cierpliwość z powodu ich podejrzliwości i drobiazgowości oraz nieoczekiwanego braku chęci uczczenia tego dnia. – Problem

został rozwiązany.

Lecz nikt się nie cieszył. Nie spodziewał się co prawda wybuchu radości, lecz mogliby chociaż się ucieszyć, że żyją. A byli raczej przytłoczeni, spoglądali na Eril-Fane'a, chcąc się przekonać, co robi. Mężczyzna postawił krok naprzód, stąpnął ciężko. Może i nie bez powodu zwali go Zabójcą Bogów, lecz Lazlo ani trochę się go nie bał. Spoglądał mu prosto w oczy i widział człowieka prawego, dobrego i ludzkiego, który robił w życiu rzeczy zarówno niezwykle, jak i okropne, który, choć został złamany, pozbiierał się i zdobył na najśmielszy czyn: żył dalej, mimo że mógł podążyć łatwiejszymi ścieżkami.

Eril-Fane patrzył na Lazla, przyzwyczajając się do nowej skóry na znajomej twarzy. Czas można było odmierzać uderzeniami serca, aż nareszcie mężczyzna wyciągnął swą potężną dłoń.

– Uratowałeś nasze miasto i nasze życie, Lazlo Strange'u. Mamy u ciebie ogromny dług.

Lazlo uścisnął jego prawicę.

– Nie jesteście mi nic winni – odparł. – Tylko tego pragnąłem i...

Przerwał, bo wtedy, w tej ciszy, jaka zapadła po tym, kiedy już osiadła ziemia i ustało trzaskanie płomieni, dobiegły ich krzyki, a przerażony jeździec przywiózł nowiny.

Z nieba spadła dziewczyna. Była niebieska.

I martwa.

\*\*\*

Dźwięki i powietrze zostały skradzione, podobnie radość, myśl i cel. Lazla ogarnęło przeciwieństwo niedawnej radości: rozpacz, a raczej nicość, bo rozpacz wymagałaby akceptacji, a z tym, co się stało, nie mógł się pogodzić. Otaczała go pustka, nie mógł nawet złapać oddechu.

– Gdzie? – wykrztusił z siebie.

Opad. Opad. Tam, gdzie spadają dojrzałe śliwki z boskiego sadu i zawsze unosił się słodkawy zapach rozkładu.

Lazlo przypomniał sobie, że widział, jak z cytadeli coś wypadło, i go zemdliło. Czyżby to była ona? Nie. Nie. Mówił sobie, że to niemożliwe, nadal musiał w to wierzyć. Przecież wiedziałby, gdyby Sarai...

Nie mógł nawet o tym myśleć. Czułby jej strach, tak jak doświadczył go tuż przed wybuchem, gdy popychał go naprzód nagły, niewyjaśniony impuls i poczuł siarkowy smród Drave'a, jakby to było przeczucie. A mogło pochodzić tylko od niej, za pośrednictwem émy.

Jej émy.

Coś przebiło się przez nicość, a tym czymś okazał się lęk.

Gdzie się podziały émy Sarai? Czemu ich tu nie było? Przecież latały wokół niego, kiedy leżał nieprzytomny na ziemi.

„Lazlo, ukochany, musisz się już obudzić”, powiedziała.

„Ukochany”.

„Ukochany”.

Były z nim, kiedy biegł ulicą ku ogniu. Kiedy odeszły? Dokąd? I dlaczego?

Zadawał pytania, lecz zamknął drzwi przed odpowiedziami. Dziewczyna była martwa i miała niebieską skórę, ale to nie mogła być Sarai. Na górze mieszkały przecież cztery. To plugawa myśl, życzyć śmierci innej, lecz nadzieja go nie opuszczała. Stał na tyle blisko roztopionych pozostałości kotwicy, że wystarczyło mu wyciągnąć rękę, aby jej dotknąć, co też uczynił, od razu czerpiąc z jej mocy. Rasalas – przeistoczony Rasalas – uniósł swój masywny, rogaty łeb.

Bestia jakby budziła się ze snu, a kiedy się poruszyła – zgrabnie, lekko – i załopotała rozłożystymi skrzydłami, wojownicy przelękli się do szpiku kości. Wyciągnęli miecze, choć były bezużyteczne, a kiedy Rasalas zeskoczył ze swojej grzędy, rozpierzchli się wszyscy poza Eril-Fane'em, którego zdjął strach nie mniejszy niż Lazła.

Dziewczyna. Upadek. Dziewczyna. Śmierć.

Kręcił z rezygnacją głową. Zacisnął dłonie w pięści. Lazło nawet go nie widział, nie widział nikogo poza wyobrażoną Sarai, obecną w jego głowie, śmiejącą się, piękną i żywą, jakby samo myślenie mogło sprawić, że istotnie zaraz taką ją ujrzy. Wskoczył na grzbiet Rasalasa. Jego wola zetknęła się z metalem. Drgnęły mięśnie. Stwór skoczył i unosili się w powietrzu. Lazło leciał, choć nie czerpał z tego radości, krążyła mu po głowie oderwana od reszty myśl, że to świat, o którym jeszcze niedawno marzył. Wydarzyło się coś niezwykłego. Mógł kształtować mesartjum i potrafił latać, ale to nie wystarczało, brakowało jeszcze czegoś, czegoś istotnego: Sarai w jego ramionach. Tego również sobie życzył, a skoro reszta się spełniła, to i to musiało. Uparty, rozpaczliwy, pobrzmiwający gdzieś w głowie Lazła głos dobijał targu ze wszystkim, co mogło go posłuchać. Jeśli istniała opatrność, jakiś kosmiczny byt, zbitka energii, bóg lub anioł, który odpowiadał dzisiaj na jego modły, musiał spełnić również tę jego prośbę.

I... można się spierać, czy faktycznie nie spełnił.

Rasalas wylądował w Opadzie. Zwykle była to cicha okolica, lecz nie dzisiaj. Teraz panował tam chaos: mieszkańcy rzucali wokół rozszałale spojrzenia, jakby trafili na koszmarny karnawał z jedną tylko atrakcją. Rozpleniła się histeria. Rozlało się przerażenie towarzyszące niedawnemu kataklizmowi, któremu udało się zapobiec, i wymieszało z dawną nienawiścią i bezradnością, a kiedy bestia zstąpiła z nieba, zamieszanie się pogłębiło. Lazło jednak ledwie to zauważył. Bo pośród tego wszystkiego, na samym środku milczącej bańki otoczonej panicznymi krzykami znajdowała się dziewczyna. Leżała, nabita na bramę, z odrzuconą do tyłu głową i zwiotczalymi ramionami. Była pełna gracji, dostojna. Miała niebieską skórę i różową koszulę nocną, a jej rozwichrzone włosy lśniły pomarańczem, czerwienią, miedzią i hebanem, cynamonem i miodem z dzikiego kwiecia. Oraz krwią.

Lazło tej nocy istotnie trzymał Sarai w ramionach i dziewczyna była prawdziwsza niż kiedykolwiek, z krwi, z kości i z ducha, ale nie ze śmiechu. Nie z oddechu. Te na zawsze opuściły jej ciało.

Muza Koszmarów była martwa.

Oczywiście to sen. Jak nic to tylko kolejny koszmar. Przyprawiający o dreszcze, nagły przechyl cytadeli i bierność ześlizgiwania się po gładkiej dłoni serafina, dzikie wymachiwanie ramionami i zakończone klęską próby chwytania się czegoś, co mogłoby zatrzymać upadek. Sarai już kiedyś śniła o spadaniu. Odkąd śpioch przestał działać, śniła o śmierci na liczne sposoby. Ale wtedy za każdym razem... budziła się w chwili śmierci. Nóż w sercu, kły w gardle, cios, uderzenie i już zrywała się z łóżka, dysząc ciężko. A teraz nie spała, nie śniła.

Nie żyła.

Niedowierzanie, potem zaskoczenie. Sny oferowały tysiąc różnych możliwości, prawie wszystkie piękne – lisie skrzydła, latający dywan, lot między gwiazdami. Rzeczywistość proponowała tylko jedno wyjście, niezbyt piękne. Śmierć przyszła nagle, prawie zbyt nagle, żeby zabołec.

Prawie.

Pałący ból, jakby coś przecięło ją na pół, a potem nic.

Od zawsze otoczona duchami, Sarai zastanawiała się, jak to jest, jaką moc musi mieć dusza, aby opuścić ciało, ale nie świat. Wyobrażała sobie, jak wielu przed nią i jak wielu po niej, że to kwestia woli. Jeśli się trzyma doczesności wystarczająco mocno, można... można dalej żyć.

A bardzo chciała żyć.

Lecz kiedy nadszedł jej czas, nie miała się czego chwycić, nie dano jej wyboru. Nie spodziewała się tego, co nastąpiło. Mogła się złapać jedynie swojego ciała, lecz nie miała czym. Wyślizgnęła się z siebie, jakby zrzucała skórę niczym ptak wylinkę, jakby była śliwką spadającą z nieba.

Nie była przygotowana na taki szok. Czowała się leciutka, niematerialna. Leciała w powietrzu i senna nierealność unoszenia się nad ziemią zmagala się z okropną prawdą tego, co to oznaczało. Jej ciało... ona... ono... wylądowało na bramie, leżało z odchyłoną głową, a opadające włosy gubiły czerwone kwiaty imbiru, które przypominały malutkie płomienie. Obnażone gardło Sarai lśniło gładkim błękitem, jej szkliste oczy gapiły się obojętnie w pustkę. Różowa koszula nocna podwinęła się wyzywająco, obnażając uda, akurat kiedy wokół niej zaczął się zbierać tłum.

Rozległ się krzyk.

Żelazny kwiaton przeszył jej mostek, wystawał z samego środka piersi. Sarai skupiła się na śliskim od czerwieni ostrym punkcie i... zawisła nad swoimi zwłokami, a mężczyźni, kobiety i dzieci Szlochu pokazywali ją sobie palcami, łapali się za gardła i wykaszliwali roztrzęsione, surowe słowa. Hałas był przeszywający, ich twarze powykrzywiane, przerażenie odebrało im niemal całe człowieczeństwo. Sarai chciała odpowiedzieć im równie donośnym krzykiem, lecz i tak by jej nie usłyszeli. Nie mogli jej zobaczyć, tego drżącego ducha przycupniętego na piersi swojego martwego ciała, widzieli jedynie truchło, plugawość, nieszczęście. Boski pomiot.

Odnalazły ją ćmy, te, które ocalały. Zawsze myślała, że odejdą razem z nią, lecz one nadal trzymały się nitki życia, ostatnich jego chwil, aż spopieli je świt. Trzepocząc szaleńczo skrzydełkami, unosiły się przy martwym obliczu Sarai i szarpały dziko za jej zakrwawione włosy, jakby mogły ją unieść i zanieść z powrotem do domu.

Lecz nie mogły. Zwiął je niosący pył podmuch i pozostały jedynie krzyki, wykrzywione nienawiścią twarze i... prawda.

Wszystko to było prawdziwe.

Sarai nie żyła. Już nie oddychała, a mimo to świadomość ta odebrała dech unoszącej się nad ciałem zjawie, jakby wybudziła się z koszmaru i nie mogła złapać powietrza. Na widok biednego, odsłoniętego przed tłumem ciała ogarnął ją żal, że nie może otulić się ramionami. Zresztą ciało to jedynie część poniesionej przez nią straty. Bo utraci też duszę.

Świat ją wchłonie. Energia nigdy nie ginęła, ale ona zginie, tak jak i jej pamięć, pragnienia i miłość.

Miłość.

Lazlo.

Powróciły do niej nieutracone jeszcze wspomnienia. Eksplozja, to, co było potem. Śmierć zdekoncentrowała jej świadomość. Uniosła czym prędzej głowę, przygotowując się na widok spadającej na miasto cytadeli, ale zobaczyła... niebo. Światło gwiazd przedzierające się przez dym, a nawet ich migotanie. Zamrugała. Serafin nie spadał. Jego skrzydła zostały złożone.

Znowu straciła poczucie rzeczywistości. Czy to działo się naprawdę?

Zgiełk wokół niej, niemal nie do wytrzymania, rozgorzał jeszcze bardziej. Nie spodziewała się, że można krzyczeć głośnie, a jednak tak było. Kiedy zobaczyła dlaczego, jej serca – a raczej umykająca pamięć o nich – podskoczyły, niesione szaleńczą nadzieją.

Niebo przecinał dosiadający Rasalasa Lazlo. Cóż to za niesamowity widok! Stwór został przez niego przekształcony, ale... on również wyglądał inaczej, jak Lazlo dotknięty przez mahalath. Był niebieski jak niebo i opale, aż odjęło Sarai oddech. Jego długie, ciemne włosy powiewały falami, unoszone trzepotem skrzydeł schodzącego do lądowania Rasalasa. Sarai opanowała ekstatyczna, wynikająca z ulgi radość. Bo skoro Rasalas latał, a Lazlo miał niebieską skórę, to może jednak to wszystko naprawdę było snem.

O, bogowie.

Lazlo ześlizgnął się z grzbietu Rasalasa i stanął przed nią, a jeśli uznać, że przed wybuchem radości jej rozpacz była dojmująca, teraz osunęła się w głębsze czeluści smutku. Nadzieja nie mogła bowiem przewyciężyć żałoby, jaką ujrzała na jego obliczu. Ślaniał się na nogach, nie mógł złapać powietrza. Jego piękne, zwykle rozmarzone oczy wyglądały teraz jak wypalone dziury, a najgorsze, że nie patrzył na nią, lecz na przewieszane przez bramę ciało, ociekające krwią z cynamonowych pukli. I to nie do niej wyciągnął dłoń, ale ku nim.

Sarai zauważyła, że trzęsie mu się ręka. Patrzyła, jak muska palcami cieniutkie różowe ramiączko zwisające luźno z martwego ramienia i przypomniała sobie zsuwającą je dłoń Lazla, ciepło jego oddechu na skórze i kręte ścieżki rozmaitych doznań, jakimi



podążali, zupełnie jakby to wszystko wydarzyło się naprawdę i scaliły się nie tylko ich ciała, ale i dusze. Okrucieństwo tej chwili było dla niej niczym wbity w duszę sztylet. Bo Lazlo nigdy przecież jej nie dotknął. Teraz zaś muskał jej martwe ciało, a ona nie mogła poczuć absolutnie niczego.

Poprawił ramiączko. Łzy spływały mu po policzkach. Brama była wysoka, więc pozbawiona życia, odwrócona twarz Sarai znajdowała się wyżej niż jego. Lazlo zebrał jej włosy, jakby były czymś godnym zatrzymania, choć koszula nasiąkała mu krwią, mazała szyję i twarz. Położył dłoń na gardle martwej dziewczyny, obchodził się delikatnie z ciałem, z którego uleciało już życie. Sarai wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego twarzy, lecz jej palce przeszły przez nią na wylot.

Kiedy po raz pierwszy odwiedziła jego sen, stanęła naprzeciwko niego, otulona przekonaniem o swej niewidzialności i rozżalona, bo chciałaby, aby ten osobliwy marzyciel utkwiał w niej te słodkie, szare oczy. I wtedy to właśnie zrobił. Tylko on jeden. Zobaczył ją i tym samym nadał istnieniu Sarai znaczenie, zupełnie jakby wiedźmowe światła jego zachwyty były czarem, który obdarował ją formą. Przez tych parę ostatnich nocy przeżyła więcej niż we wszystkich przemierzonych wcześniej snach, nie mówiąc nawet o prawdziwych dniach i nocach. A wszystko dzięki temu, że na nią spojrział.

Lecz przestał widzieć. Nie było w jego oczach wiedźmowych światła, nie było zachwyty, jedynie rozpacz godna Isagol za jej najgorszych dni.

„Lazlo!”, zawołała, choć nie miała ani oddechu, ani języka, ani zębów, żeby wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, mogła tylko uformować bezgłośnie słowo. Niczego nie miała. Mahalath przybyła i odmieniła ich oboje. On stał się bogiem, a ona duchem. Przewrócono stronę. Rozpoczynała się zupełnie nowa opowieść. Wystarczyło spojrzeć na Lazla, aby widzieć, że będzie ona wspaniała.

A dla niej nie było tam miejsca.

\*\*\*

Lazlo nie czuł się jednak, jakby przewrócono stronę, a raczej z hukiem zatrzęsnięto księgę i zrzucono z półki. Tym razem spadające tomiszcze nie złamało mu nosa, tylko życie.

Wszedł na kamienną podstawę bramy i sięgnął po ciało Sarai. Położył jedną dłoń na jej krzyżu, druga spoczywała na karku. Tak ostrożnie, jak tylko potrafił, unióśł ciało dziewczyny. Z piersi wyrwał mu się umęczony szloch, kiedy zdejmował nieruchome, szczupłe zwłoki z kwiatonu. Gdy udało mu się oswobodzić martwą Sarai, przytulił ją mocno do piersi, gdzie zagnieździła się pustka, a obok niej niewysłowiona czułość. Nareszcie dotykał jej prawdziwych ramion, a one nigdy go nie obejmą. Ujrzał jej prawdziwe usta, które nigdy go nie pocałują. Nachylił się nad ciałem, jakby mógł ją jeszcze ochronić, choć było już na to za późno.

Cóż za ironia, tryumfalnie uratował wszystkich poza nią.

Złość zapłonęła w piecu jego smutku. Kiedy się obrócił, trzymając na rękach nieruchome zwłoki dziewczyny, którą kochał – lekkie, przerażająco pozbawione życia – opadł okrywający go i tłamszący krzyki całun rozpacz, nareszcie usłyszał ryki ogłuszające niczym niedawna eksplozja i głośniejsze od pękającej ziemi. Chciał odpowiedzieć tym samym. Ci, którzy nie uciekli, zbliżali się do niego, a ich nienawiść

i strach kryły groźbę. Kiedy to zobaczył, wezbrało w nim uczucie podobne kuli ognia torującej sobie drogę do smoczej gardzieli. Gdyby krzyknął, z miasta ostałyby się jedynie czarne kupki popiołu. Tyle bowiem skrywał w sobie gniewu.

„Rozumiesz jednak – zapytała go Sarai – że zabiliby mnie na miejscu?”

Teraz rozumiał. Oczywiście to nie oni odebrali jej życie, ale zrobiliby to, gdyby mogli. Rozumiał też, że Szloch, miasto jego snów, które uratował przez zagładą, zamknęło przed nim podwoje. Może i wypełnił ziejącą w swoim wnętrzu pustkę odpowiedzią na pytanie o własną tożsamość, lecz utracił o wiele więcej – i Szloch, i Sarai. Szansę na dom i na miłość.

Przepadły.

Nie krzyknął jednak. To Rasalas otworzył pysk i ryknął. Lazlo nawet nie musiał go dotykać, wystarczyło, że był blisko. Niczym żywa istota, bestia kotwicy odwróciła się do nadciągającej cizby i huknęła, a dźwięk, jaki zabulgotał i dobył się z metalowej gardzieli, nie był wyrazem złości, ale męki. Ryk ten rozbił się o wzburzone krzyki i zdusił je jak kolor chłonący kolor. Nienawiść była czernią, strach czerwienią, cierpienie – błękitem. Ale nie chabru, skrzydeł ważki czy nieba, nie błękitem tyranii i idącego w ślad za nią mordy, lecz błękitem posiniaczonego ciała i ciemnych od burzy mórz, ponurym i pozbawionym nadziei błękitem oczu martwej dziewczyny. To błękit czystego cierpienia i choćby sięgnąć do samej głębi, wygrzebać fusy z dna kubka, nie znalazłoby się w duszy Szlochu niczego prawdziwszego.

Zabójca Bogów i Azareen dotarli do Opadu, akurat kiedy Rasalas zaryczał. Przepchnęli się przez tłum. Pełen bólu krzyk rozdarł im serca, jeszcze zanim zobaczyli...

Lazla i ciało, które niósł na rękach – szczupłe, zwiotczałe członki, splątane krwiste kwiaty, strumyk cynamonowych włosów. Ujrzeni prawdę, jaką zwiastowały. Chwiejny krok Eril-Fane'a wyrażał utratę nadziei, niewielkiej, ale śmiałej, która przyjęła się na gruncie obezwładniającego wstydu, a kiedy Lazlo wskoczył na grzbiet Rasalasa z przyciśniętą do piersi Sarai, padł na kolana niczym wojownik pokonany w boju.

Bestia wzbiła się w powietrze. Jej skrzydła wznieciły chmurę pyłu i zebrani musieli pozamykać oczy, a w ciemności kryjącej się za powiekami wszyscy zobaczyli to samo: brak koloru, pustkę, jakby wyrwano dziurę w materii świata.

Azareen przyklękła za plecami męża. Objęła go drżącymi ramionami. Przytulila się do pleców Eril-Fane'a i oparła twarz o bok jego szyi, płacząc łzami, na które on nie potrafił się zdobyć. Potężny mężczyzna wzdrygnął się, kiedy krople dotknęły jego skóry, i wtedy coś w nim pękło. Ukochany przycisnął mocno ramiona żony do swojej piersi i schował twarz w jej dłoniach. Pomyślał o wszystkim, co zostało utracone i ukradzione, zarówno jemu, jak i przez niego, w ciągu tych długich lat. Zabójca Bogów zaczął szlochać.

Sarai, choć była świadkiem tej sceny, nie mogła nic zrobić, nawet podążyć za swym lubym, kiedy ten podniósł jej ciało, aż nareszcie puściła ostatnia lina cumownicza i uniosła się ku niebu. Ogarnęło ją uczucie... rozpadu. Jakby zaczęła się rozpuszczać. Nadeszła pora odejścia, które było jak powtórne umieranie. Przypomniała sobie sen o mahalath, kiedy mgła odebrała jej poczucie materialności i świadomość fizycznego istnienia poza jedną, namacalną rzeczą: dłonią Lazla ściskającą jej dłoń. Teraz jednak

niczego podobnego nie doświadczała. Zabrał ciało, ale zostawił duszę. Zawołała za nim, lecz jej krzyki były ciche nawet dla niej samej.

Błysnął metal i zakotłował się dym. Straciła go z oczu.

Sarai zniknęła samotnie, jej dusza rozplynęła się w zalatującym siarką powietrzu.

Zupełnie jak chmurka pary po ciepłym oddechu, kiedy nie zostało już nic do powiedzenia.

Miasto patrzyło, jak nowy bóg wzbija się w powietrze, a cytadela obserwowała jego przybycie.

Blask Rasalasa lśnił coraz jaśniej z każdym uderzeniem skrzydeł, przebijał między kłębami niestrudzonego, nadal unoszącego się nad dachami Szłochu dymu.

Księżyc powoli zachodził i niebawem miało wzejść słońce.

Ruby, Jaskółka i Feral stali na skraju ogrodu. Na ich blade oblicza, tak jak i na serca, położył się cień rozpacz. Trudno było im wyrazić swój smutek, który nadal pętały więzy strachu. Dopiero zaczęli rozumieć wyzwanie, jakie na nich czekało: musieli uwierzyć, że to się naprawdę wydarzyło, że cytadela się przechyliła.

I że Sarai wypadła.

Tylko Jaskółka ją wtedy widziała, choć zaledwie kątem oka.

„Jak spadająca gwiazda”, mówiła, krztusząc się łzami, kiedy ona i Ruby nareszcie oderwały się od balustrady i gałęzi śliwy, która uratowała je przed podzieleniem losu ich siostry. Ruby pokręciła głową i zaprzeczyła tej prawdzie, odrzuciła ją, konsekwentnie, jakby nie mogła przestać powtarzać mechanicznego, powolnego ruchu. Feral przytulił ją do siebie. Ich szorstkie, nasiąknięte łzami płaczem oddechy dostosowały się do siebie rytmem. Chłopak spoglądał na taras Sarai, jakby się spodziewał, że lada chwila ją tam wypatrzy. Błagał, żeby wyszła z sypialni i pokazała się. Jego prośba, „No dalej, wyjdź już”, była bezgłośnym, monotonnym zaśpiewem zsynchronizowanym z przeczącym gestem Ruby.

Ale w głębi duszy wiedział, że jeśli istniałaby choćby najmniejsza szansa, że Sarai nadal tam jest, już maszerowałby korytarzem, aby tego dowieść i zobaczyć ją na własne oczy. Nie mógł jednak tego zrobić, bo instynkt podpowiadał mu, że zna prawdę, choć nie potrafił jej zaakceptować, dlatego nie chciał szukać dowodu.

Tylko Minya nie borykała się z niewiarą. Nie wydawała się nawet zasmucona. Trzymała się z tyłu, stała pod łukiem krużganka, wysoka arkada otaczała jej drobne ciało metalową ramą. Z twarzy dziewczynki nie sposób było odczytać niczego poza pewnym... zainteresowaniem.

Jakby czegoś nasłuchiwała.

Cokolwiek to było, nie chodziło bynajmniej o łopot skrzydeł tłukących powietrze, czemu towarzyszyły zdumione okrzyki pozostałych. Zamrugła i tym samym wybudziła się z transu, a kiedy zobaczyła, co wyłoniło się zza ogrodowego balkonu, zdumienie uderzyło ją niczym cios.

Na krótką chwilę wszystkie duchy w cytadeli poczuły, jak luzują się ich smycze, lecz trwało to zaledwie ułamek sekundy i Minya pośpiesznie narzuciła im ciasne okowy swojej woli, lecz chociaż na moment mogli odetchnąć ulotną wolnością, co wzmogło ich tęsknotę. Bo cóż to było za cierpienie – zupełnie jakby otwarły się drzwi klatki tylko po to, aby od razu na powrót się zatrzasnąć. Jeszcze nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. Mogły o tym zaświadczyć Duża i Mała Ellen. Od piętnastu lat władza Minyi nad duchami

nie osłabła ani na chwilę, nawet kiedy spała.

Ogromne musiało być więc jej zaskoczenie wywołane przybyciem monstrem i siedzącego na jego grzbiecie mężczyzny, którzy unosili się nad głowami Ruby, Ferala i Jaskółki. Potwór, łopocząc rozłożystymi skrzydłami, szykował się do lądowania na środku ogrodu, na skrawku ziemi porośniętym rozkwitłymi kwiatami anadne. Białe płatki unosiły się niczym śnieżynki. Pęd powietrza rozwiał jej i tak już zwichrzone włosy. Minya zmrużyła powieki, chroniąc oczy przed podmuchami.

Mesarthim. Mesartjum. Człowiek i bestia, oboje obcy, niebieski i niebieska. I zanim dowiedziała się kto, zanim dowiedziała się jak, Minya pojęła wszystkie konsekwencje wynikające z istnienia Lazła, rozumiała, że jego obecność zmienia *status quo*.

Lecz pierwszym, co poczuła, zderzona z rozwiązaniem problemu swojego i Szlochu, nie była ulga, ale powolna, stopniowa i wyniszczająca niczym wyciek, przez który uciekało z jej świata całe powietrze, pewność nieuniknionej utraty kontroli. Stała nieruchomo niczym pion królowej na planszy do kwela, jej oczy były wąskie jak bruzdy u zmii. Uważnie obserwowała ich przybycie.

Lazło zeskoczył z grzbietu bestii. Trójkę stojącą w ogrodzie zobaczył jako pierwszą – ich zszokowane twarze zauważył, jeszcze kiedy wyglądali przez okalającą ogród barierkę – i był świadomy obecności fantomowej armii, lecz to Minyi szukał, to za nią się rozglądał, a kiedy ją zauważył, skierował się prosto do niej, niosąc nieruchome ciało Sarai przyciśnięte do swojej piersi.

Wszyscy widzieli, kogo niósł, a raczej czyją nieodwołalnie uszkodzoną formę. Róż, czerwień i cynamon rysowały się niewypowiedzianie piękne na tle błękitu skóry jego i jej. To Ruby pierwsza wydała z siebie głęboki, przepelniony bólem szloch. Płomień zabłysnął w jej pustych oczach. Jej palce zapłonęły jak dziesięć cienkich, niebieskich świeczek, nawet tego nie poczuła. Smutek Jaskółki zaakcentowały usychające u jej stóp kwiaty. Jej dar – nie podejrzewali, że ma też odwrotne działanie – wysysał życie z wszystkich roślin, jakich dotknęła. Feral nieświadomie przywołał kręgi ciemnych chmur, które zebrały się wokół niego, zasłaniając niebo, horyzont i Guzek, świat skurczył się do tu i teraz, do ogrodu i tylko do ogrodu.

Dla Lazła liczyła się jedynie Minya. Im bliżej podchodził, tym bardziej duchy zacieśniały swój krąg. Tuzin strzegł ogrodu, kolejne stały pod arkadami, gotowe odeprzeć inwazję. I choć Lazło nie odrywał wzroku od Minyi, czuł ich obecność, widział widmowe sylwetki zbierające się za plecami dziewczynki, kiedy umarli ze Szlochu odpowiedzieli na wezwanie swojej pani i ruszyli ku krużgankom otwartym od piętnastu lat. Teraz zostały zamknięte przez Lazła.

Minya przywołała swoje duchy, on zablokował im drogę. Były to pierwsze kwestie wypowiedziane językiem władzy; nie padły żadne słowa, zaangażowano jedynie magię. Metalowe łuki rozpląnęły się i scalily z podłogą, zupełnie jak za czasów Skathisa, odcinając dziewczynę od lwiej części jej armii. Stała oparta plecami o ścianę krużganka. Metal nie wydawał z siebie żadnego odgłosu, ale czuła ruch mesartjum wygłuszającego trzymane przez nią na uwięzi duchy. Zacisnęła zęby. Pozostałe zjawy zajęły swoje pozycje, zachodząc obcego od tyłu. Nie odwrócił się do nich, lecz Rasalas zareagował

ostrzegawczym huknięciem, jakie dobyło się z jego metalowej gardzieli.

Ruby, Jaskółka i Feral patrzyli na nich, wstrzymując oddechy.

Lazlo i Minya stanęli naprzeciw siebie. Może i byli sobie obcy, lecz łączyło ich coś więcej niż zwłoki Sarai. Ona to rozumiała, Lazlo jeszcze nie. Bo to, że *faranji* potrafił kontrolować mesartjum, znaczyło jedno – był synem Skathisa. A co za tym idzie, jej bratem.

Refleksja ta nie była jednak zarysem siostrzanej miłości, lecz źródłem zgorzknienia, bo to on miał odziedziczyć to, co powinno należeć do niej, choć nie kiwnął nawet palcem. Skąd on się wziął?

Musiał być jednym z tych, o których mówiła Sarai, tym, który nauczył ją nieposłuszeństwa.

„Wiem, że człowiek może znieść mój widok – powiedziała, promieniejąc zuchwałością, jakiej nigdy wcześniej nie manifestowała – bo jest ktoś, kto mnie widzi”.

Cóż, albo nie znała całej prawdy, albo kłamała. To nie był człowiek.

Bestia stanęła przed duchami, a mężczyzna przed dziewczynką. Napięcie między nimi było niemalże namacalne. Iskrząca magia jeżyła włosy na głowie, ledwie okiełznana. Lazlo widział w Minyi bezlitosne dziecko, które usiłowało go zabić i którego pragnienie rozlewu krwi obciążało Sarai czarną rozpaczą. Miał przed sobą wroga i jego gniew nareszcie znalazł ujście. Ale z drugiej strony to wróg potrafiący łapać dusze sprawnie jak człowiek motyle w sieć, a on trzymał w ramionach swoją martwą ukochaną. Przykucnął przed nią. Pochylony nad ciałem Sarai, musiał uklęknąć, aby zrównać się z drobną dziewczynką. Spojrzał jej w oczy, nie dostrzegł tam empatii, nawet śladu człowieczeństwa, stąd przygotował się na niełatwą przeprawę.

– Musisz złapać jej duszę – powiedział nienaturalnie szorstkim głosem, surowym, jakby ociekał krwią; nie miał pojęcia, co to oznaczało i dlaczego tak brzmiał, obchodziło go jedynie to, że istnieje szansa uratowania części Sarai i należy tego dokonać.

Ktoś inny – właściwie każdy – dostrzegłby, że ma złamane serce i wybaczyłby mu władczy ton.

Ale nie Minya.

Owszem, miała zamiar przechwycić duszę Sarai. To jej nasłuchiwała. Od chwili, kiedy się dowiedziała, że dziewczyna wypadła z tarasu, wyęzła zmysły, czekała, ledwie odważając się wziąć oddech, aby nic jej nie umknęło, wyczulona na charakterystyczne przemykanie się ulatujących dusz. Nie nasłuchiwała bowiem jedynie uszami, lecz całą sobą. I jak z każdym dźwiękiem, szum dusz mógł zostać zagłuszony przez coś bliższego i głośniejszego.

Jak na przykład aroganckiego intruza dosiadającego skrzydlatą metalową bestię.

Nieznajomy miał czelność przyjść tutaj i przerwać jej koncentrację tylko po to, aby domagać się czegoś, co i tak już robiła? Czy myślał, że gdyby nie on, pozwoliłaby Sarai odejść?

– Za kogo ty się masz? – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Za kogo miał się Lazlo? Za sierotę? Boski pomiot? Bibliotekarza? Bohatera?

Może był tym wszystkim po trosze, lecz jedyną odpowiedzią, jaka przyszła mu do głowy, i zarazem jedynym kontekstem była Sarai, to, co dla niego znaczyła i co on

znaczył dla niej.

– Jestem... Sarai... – zaczął, ale nie miał siły, aby dokończyć.

Nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. Przecież nie byli małżeństwem, ani nawet nie zostali sobie obiecani, zresztą czy mieli czas składać sobie przysięgi? Nie byli jeszcze kochankami, ale przecież już nie przyjaciółmi. Dlatego zwlekał z odpowiedzią i nie potrafił wydusić z siebie nic więcej. Na swój sposób stanowiło to wyznanie tak samo proste, jak i prawdziwe.

– Co Sarai? – szczerknęła Minya, czując wzbierającą wściekłość. – Jesteś jej obrońcą? Masz bronić ją przede mną? – Rozzłościła się na tę myśl.

Nieznajomy trzymał ciało ukochanej, jakby dziewczyna należała do niego, jakby była dla niego cenniejsza niż dla swojej prawdziwej rodziny.

– Zostaw ją i odejdz – warknęła – jeśli ci życie miłe.

Ze co? Lazlo mało nie wybuchł śmiechem. Nowa moc rozsadzała mu żyły, buzowała jak burza chcąc się wydostać na zewnątrz, rozdzierając skórę.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedział gniewnie; jego złość dorównywała furii Minyi.

Dla niej był to zamach na rodzinę i dom, na wszystko, czemu się poświęciła i czemu oddała, co mogła, każdą chwilę każdego dnia, odkąd trysnęła boska krew, a ona uratowała, kogo zdołała unieść. Lecz to był dopiero początek. Musiała utrzymać przy życiu czwórkę dzieci pośród trupiarni pełnej duchów. Sama też była nikim więcej jak przerażoną, małą dziewczynką. Jej umysł uformował się podczas tych pierwszych rozpaczliwych tygodni i miesięcy, kiedy wychodziła z siebie i wypruwała sobie żyły, aby jakoś przetrwali. Nie знаła innego stanu. Niczego wtedy nie mieli, absolutnie niczego, nie mogła nawet nic posadzić. Tylko dzięki niezwykłemu hartowi ducha udało jej się przekierować swoją energię życiową, tak aby zaspokoić ogromne potrzeby magicznej mocy koniecznej do sprawowania kontroli nad duchami i zadbać o podopiecznych. I nie chodziło tylko o ich bezpieczeństwo, ale też o to, aby czuły się kochane.

Dając im Dużą Ellen, ofiarowała im matkę, najlepszą, jaką potrafiła im zapewnić. Podejmując te wysiłki, spowolniła rozwój swojego ciała, skazała się i wyschła do kości. Nie była nawet dzieckiem, ledwie dało się ją określić mianem osoby.

Nie zrobiła tego wszystkiego i nie dała z siebie aż tyle, żeby teraz stracić władzę.

Błysnęła od niej fala potężnej energii. Ruby, Feral i Jaskółka krzyknęli, kiedy tuzin nieumarłych dusz, które pozostały w ogrodzie – a pośród nich Duża Ellen – ruszył przed siebie i rzucił się na Lazla ze swoimi nożami, hakami do mięsa. Ich opiekunka nie miała przy sobie broni, ale jej dłonie przeobraziły się w szpony, a zęby w kły tak okazałe, że zawstydzilyby Rasalasa Skathisa.

Lazlo nawet nie musiał formować myśli. Z górującej nad nimi ściany metalu, która okalała tył ogrodu – i zlewała się z ramionami serafina oraz kolumną jego szyi – oderwała się fala płynnego mesartjum. Spłynęła ku nim, odbijając pierwsze promienie budzącego się słońca, i utworzyła barierę pomiędzy nim a nadciągającymi duchami. Rasalas skoczył. Stwór nie kłopotał się zjawami, od razu przewrócił Minyę na ziemię – była dla niego niczym zabawka dla kota – przygwoździł ją metalowym kopytem dociśniętym do piersi.

Poruszał się błyskawicznie. Smuga metalu i już leżała. Minyi zabrakło tchu,

a z Lazla... uszła złość. Bo kimkolwiek by ta okrutna dziewczynka nie była – nawet i jego niedoszłą morderczynią – zawstydził go widok rozciągniętego na ziemi dziecka zdanego na łaskę Rasalasa. Jej nogi wydawały się niemożliwie chude, ubranie miała zszargane jak żebracy z Grymasu. Nie poddawała się jednak. Duchy nadal próbowały go dopaść, choć metal ruszał się równo z nimi, cały czas je odcinając, chwytając ich broń i twardniejąc, zastawiając im drogę. Nie mogły się do niego zbliżyć.

Poszedł do Minyi i przyklęknął. Dziewczyna się szarpała, więc Rasalas zwiększył siłę ucisku swojego starannie wyrzeźbionego kopyta. Tylko odrobinę, żeby jej nie zranić. Oczy Minyi płonęły czernią, nie mogła znieść litości, jaką ujrzała na twarzy Lazla. Była ona tysiąckroć gorsza od jego gniewu. Lecz, zgrzytnąwszy zębami, kazała duchom przerwać atak i wychrypiała:

– Chcesz, żebym ją uratowała, czy nie?

Chciał. Rasalas uniósł kopyto i Minya wyslizgnęła się spod niego, pocierając obolałą pierś. Pałała do Lazla czystą nienawiścią. Zmuszając ją do zrobienia czegoś, co i tak zamierzała zrobić, mógł pomyśleć, że zwyciężył, a ona przegrała.

Utraciła kontrolę.

Królowa na planszy była odsłonięta, kiedy nie otaczały jej inne pionki. Nowy przeciwnik posiadał dar, którego zawsze pragnęła i, zderzona z nim, okazała się nikim. Zetknięcie się ich potęg było gwałtowne i Minya wypadła blado, dla Lazla z kolei starcie przebiegło gładko jak strząśnięcie wierzchem dłoni okruchów chleba ze stołu. Kontrola mesartjum dawała im wolność w każdym wysnionym przez nich na jawie wymiarze, lecz dziewczynka nie mogła mieć pewności, czy Lazlo zaliczał ją do grona, które będzie mogło z niej skorzystać, czy zostanie odepchnięta jak jej duchy. Bo jeśliby tego chcieli, mogli ją zostawić, gdyby uznali, że jej nie ufają – albo po prostu nie lubią – i nic by nie mogła na to poradzić. A co z ludźmi, z Zabójcą Bogów, z zemstą?

Miała wrażenie, że cytadela umyka jej spod nóg, choć nic takiego się nie działo, to stworzony przez nią świat zaczynał się wymykać i tylko ona mogła to odczuć.

Podniosła się z ziemi. Czowała pulsowanie żyły na skroni. Zamknęła oczy. Przyglądając się jej, Lazlo poczuł niewytłumaczalny przypływ czułości. Nie potrafił jednak powiedzieć dlaczego, może przez te zaciśnięte powieki, dzięki którym wyglądała na prawdziwą sześciolatkę, którą niegdyś istotnie była i na którą zrzucano wtedy niewiarygodnie ciężkie brzemie.

Kiedy Minya pogrążyła się w głębokiej koncentracji, Lazlo pozwolił sobie na milczącą nadzieję na coś, co do tej pory jedynie kołatało mu się po głowie: że jeszcze nie utracił Sarai, że nadal gdzieś tutaj przebywała, unosiła się na wietrze niczym kwiat uloli. Ale gdzie? Powietrze wydawało się kipieć od rozmaitych możliwości, naładowane duszami i magią.

Żył kiedyś mężczyzna, który kochał księżyc, lecz kiedy tylko próbował go objąć, ten rozbijał się na tysiąc kawałków i nieszczęśnik kończył przemoczony, z pustymi ramionami. Sathaz nauczył się jednak, że jeśli wejdzie do sadzawki i będzie stał bez ruchu, księżyc sam do niego przyjdzie i pozwoli mu być ze sobą. Ale nigdy się dotknąć. Nie bez rozbicia jego struktury. I dlatego pogodził się – tak jak opowiadał Sarai – z niemożliwym. Przestał na to, co mu dawano.



Lazlo kochał Sarai jako sen, dlatego pokocha ją i jako ducha.

Nareszcie zaakceptował, że to, co niósł na rękach, nie było Sarai, a jedynie pustym naczyniem, pozbawionym duszy i umysłu, których dotykał, śniąc. Położył ją ostrożnie na kwiatowym kobiercu, miękkie płatki ugościły ją niczym najwygodniejsza altana. Otworzyły się jej oczy, z których uciekło życie. Chciał je zamknąć, ale miał ręce oblepione krwią. Twarz Sarai wydawała się nietknięta, nawet spokojna. Lazlo nachylił się bliżej i musnął leciutko wargami jej rzęsy barwy czerwonego miodu, przesunął delikatnie dolną wargą po gładkich powiekach, po czym ucałował oboje oczu, potem każdy policzek, a wreszcie usta. Zrobił to tak delikatnie, że można by pomyśleć, iż to ćma otarła się skrzydełkiem o słodki, dojrzały owoc, miękki jak morela. Ucałował też kąciki ust, ostre jak półksiężycy, gdzie jeszcze niedawno żył jej śmiech. Pozostali patrzyli na niego z sercami rozdartymi albo skamieniałymi, a kiedy odwrócił się z powrotem do Minyi, był jak Sathaz oczekujący w sadzawce na księżyc.

Nie wiedział, czy podziałało. Nie wiedział, za czym się rozglądać.

Tak po prawdzie chwila ta nie różniła się zbyt od oczekiwania na Sarai we śnie, kiedy mogła pojawić się gdziekolwiek; całe jego jestestwo wydawało mu się wtedy niecierpliwie zaplątane na supeł. Popatrzył na twarz Minyi, szukając na niej choćby drobnej zmiany, ale niczego się nie dopatrzył. Malutka, umorusana buzia pozostała nieruchoma jak maska, do chwili kiedy otworzyła oczy.

Błysnęło w nich światło. Lazlo rozpoznał blask tryumfu i jego serca podskoczyły z radości, bo pomyślał, że znalazła Sarai i sprowadziła ją.

Tak się istotnie stało.

Jak akwaforta wytrawiona w powietrzu, wylaniający się z nicości obraz Sarai powoli wypełniał się pięknem. Dziewczyna znowu zaczęła... być. Miała na sobie różową koszulę nocną bez ani jednego śladu krwi. Gładkości jej piersi nie burzył żelazny pręt, we włosach nadal tkwiły kwiaty.

Dla Sarai uczucie ponownego istnienia dało się porównać do bycia ocaloną od utonięcia, a pierwsze oddechy fantomowymi płucami – które były, tak jak wszystko, czym się stała, iluzją, której nadano formę – wydały się jej najśłodszymi, jakie kiedykolwiek wzięła. Zdawała sobie sprawę, że przecież nie żyła, ale... Czegokolwiek brakowało jej w tym stanie, wołała go po stokroć od nicości, która niemal zdołała ją pożreć. Roześmiała się. Dźwięk ten wibrował w powietrzu jak prawdziwy głos, a jej ciało wydawało się materialne, choć wiedziała, że obowiązują je nieco luźniejsze zasady. Litość i złość, jakie odczuwała w imieniu zniewolonych przez Minyę duchów, zrazu ją opuściła. Jak mogła myśleć, że nicość jest łaskawsza? Minya ją uratowała i dusza Sarai sunęła ku niej niczym muzyka. Bo tak się czuła. Jak melodia, która ożyła. Objęła dziewczynkę.

– Dziękuję – wyszeptała gorliwie i puściła ją.

Ramiona Minyi nie odwzajemniły gestu, jej głos również. Gdyby nie pochłonęła jej ta chwila, Sarai mogłaby zauważyć chłód spojrzenia, jakim obdarzyła ją wybawicielka. Żaden dawny lęk nie mógł się równać z pustką, której umknęła.

Był tam też Lazlo.

Zamarła. Jej serca biły jak prawdziwe, policzki piekły; wszystkie odruchy jej starego ciała zakorzeniły się i w fantomowym. Lazlo. Na piersi miał krew, w oczach

wiedźmowe światła. Był niebieski, emanował mocą i miłością. Sarai podleciała do niego.

Łzy spływały mu po policzkach. I tak je ucałowała.

„Jestem martwa”, pomyślała, lecz nie mogła uwierzyć, że to prawda, tak jak nie potrafiła zanegować realności dzielonych z nim sennych marzeń. On miał w myślach to samo.

Sarai czuła się w jego ramionach wyjątkowo, a Lazlo czuł jedynie radość na myśl o drugich szansach i roztaczającej niezwykle możliwości magii. Znał już dotyk jej wyśnionych ust, całował też jej martwe lico, żegnając się z ciałem ukochanej. Pochylił się i ucałował jej ducha, którego wykrzywione w uśmiechu wargi okazały się pełne i słodkie. Czuł ten uśmiech. Smakował go. I cieszył się jej radością. Policzki Sarai pokraśniały, oczy lśniły. Nachylił się, aby pocałować jej ramię, zsunął krawędzią ust różowe ramiączko koszuli nocnej i napawał się dziewczęcym zapachem – rozmarynu i nektaru – kiedy ona szeptała mu do ucha. Lazla przeszedł dreszcz wywołany muśnięciem jej ust, ale wypowiedziane przez nią słowa go zmroziły.

Zamarł.

Bo choć usta należały do niej, to słowa już nie.

– Zabawimy się – powiedziała nieswoim głosem; był dźwięczny, słodki jak lukier. – A ja potrafię się bawić. Zobaczysz. Wyjaśnię ci zasady.

Lazlo spojrział nad ramieniem Sarai na Minyę i dojrzał w jej oczach tryumfalny błysk. Pojął, co się dzieje. Dziewczynka uśmiechnęła się, a usta Sarai szeptały dalej.

– Jest tylko jedna. Zrobisz wszystko, co każe, albo wypuszczę jej duszę. Co ty na to?

Lazlo odsunął się gwałtownie i spojrział na Sarai. Uśmiech, który smakował, zniknął, radość wyparowała z oczu, zastąpił ją strach, kiedy oboje zrozumieli przerażającą prawdę. Sarai przysięgła sobie, że już nigdy nie da sobie narzucić wynaturzonej woli Minyi, ale teraz... była kompletnie wobec niej bezsilna. Umarła, została ocalona, złapana i pozbawiona kontroli nad sobą.

„Nie”.

Chciała to wykrzyknąć, ale jej usta nadal formowały się w słowa Minyi.

– Kiwnij głową, jeśli rozumiałeś – wyszeptała do Lazla, nienawidząc każdej sylaby, nienawidząc siebie za brak sprzeciwu, choć nie mogła się sprzeciwić.

Kiedy jej dusza została wytrąsnięta z ciała, nie miała się jak go ucześcić; nie miała ani rąk, które mogłaby wyciągnąć, ani dłoni, które mogłaby zacisnąć. Teraz też nie mogła stawić żadnego oporu.

Lazlo rozumiał. Dziewczynka zatrasnęła kajdany na duszy Sarai. Tym samym spętała również i jego oraz moc, jaką posiadał. Co z nią zrobi? Jak każe mu ją wykorzystać?

Powiedziała, że to zabawa. „Kiwnij głową, jeśli rozumiałeś”.

Zrozumiał. Trzymał teraz w ramionach nie tylko Sarai, jej ducha, jej los, ale i los Szlochu. Stał w cytadeli Mesarthimów, która pochodziła nie z tego świata, i nie był już tym, kim dawniej.

„Czyli możesz być każdym – powiedziała mu kiedyś Sarai. – Nawet księciem”.

Ale Lazlo nie był księciem. Był bogiem. I nie miał ochoty na podobne zabawy.

Kiwnął głową do Minyi, a przestrzeń wypełniająca się słowami, którymi

opowiedziana zostanie jego legenda, powiększyła się.  
Bo nie był to koniec tej opowieści.  
Ciąg dalszy nastąpi

## Podziękowania

Czas powiedzieć dziękuję!

Po pierwsze: Jane. Dziękuję mojej niesamowitej agentce Jane Putch za to, że pomogła mi jakoś przetrwać ten rok. Pamiętasz tę noc w Pittsburghu, kiedy po drugim koktajlu opowiedziałam ci całą fabułę tej książki? Twój entuzjazm był dla mnie jak paliwo, nie tylko wtedy, ale i wielokrotnie później oraz w przeszłości. Jesteś naprawdę niesamowitą partnerką.

Dziękuję ekipom z Little, Brown Books for Young Readers i Hodder & Stoughton, którym nawet nie drgnęła powieka, kiedy ta pierwotnie samodzielna powieść przeobraziła się w dylogię, a ja podmieniłam głównego bohatera i tytuł. No cóż. Fajnie, że nie zmyliście mi za to głowy! Dzięki, że wykonujecie tak fantastyczną robotę, od początku do końca.

Dziękuję Tone Almhjell i Torbjørnowi Amundsenowi za istotne wskazówki, łącznie z niezwykle dla mnie ważnym, uniesionym w górę kciukiem, kiedy przeczytaliście całość, a ja zupełnie się pogubiłam. Dzięki raz jeszcze. Tone, może wymyślimy jakiś łatwiejszy sposób na pisanie książek, co? Daj znać, jak będziesz miała jakiś pomysł.

Dziękuję Alexandrze Saperstein za niezachwiany entuzjazm i wsparcie. Teraz twoja kolej na ukończenie książki (i przygodę; pamiętaj, kobieta powinna mieć zmarszczki od spoglądania na Francję, a nie od pisania przy marnym świetle...).

Parę osób pozwoliło mi podkraść swoje fajne imiona. Dzięki dla Shvety Thakrar, której nazwisko pojawiło się u mnie jako fikcyjna nazwa, a jeszcze większe dla Moonrascala Drave'a, bo jego imię wykorzystałam w niecnym celu. Jeszcze czytając ostateczną wersję manuskryptu, zastanawiałam się, czy powinnam zmienić imię eksplozjasty, bo było mi niezręcznie, że Drave to typek spod ciemnej gwiazdy. Pamiętajcie, że ten prawdziwy to świetny facet i oddany przyjaciel SFF (bonusowe punkty dla tych, którzy znają ostatnio wydaną książkę SFF, w której pojawia się jego imię).

Dziękuję również moim rodzicom, zawsze i na zawsze.

A przede wszystkim dziękuję moim Jimowi i Clementine. Za radość i przygodę, i niedorzeczności, i normalność, i lojalność, i przytulność, i lekturę, i superbohaterów, i kreatywność, i inspirację, i dni leniwe, i dni szalone, i zamki, i ciasto, i koty, i sny, i zabawki, i zabawę, i dom, i tak dużo miłości.

Jesteście dla mnie wszystkim.

\* ang. *strange* – nieznanym.

\*\* Słoi zawierających dusze zwierząt; zaniechano praktyki gromadzenia itzali niewolników i żon.